

JO NESBØ W ŚWIECIE  
STIEGA LARSSONA

VINCENT V. SEVERSKI



**INGAR  
JOHNSRUD**

**NAŚLADOWCY**

INGAR  
JOHNSRUD  
NAŚLADOWCY

TŁUMACZENIE  
MARIA GOŁĘBIEWSKA-BIJAK

*W każdej złożonej populacji – takiej jak społeczność ludzka – decydującą rolę odgrywa dobór, selekcja. Im ostrzejsza, tym lepiej ma się gatunek.*

*O ten dobór najlepszych, najbardziej zdolnych do przeżycia egzemplarzy gatunku dbała pierwotnie sama przyroda, a także ludzie – póki działali z nią w zgodzie. Do pierwszej inwazji człowieka doszło nie wbrew przyrodzie, lecz aby jej pomóc w wykonywanej pracy. Inna sprawa, że środki, które zastosowano, były brutalne, a częściowo (wedle naszych pojęć) bezwzględne. Pozostaje kwestia, czy nasze czasy, skłaniając się ku drugiej skrajności przez umiłowanie wszystkiego, co słabe i cherlawe, nie przyniosły nowych przerażających czynów, które w barbarzyństwie mogą się mierzyć z dawnymi.*

Ze wstępu do *Higieny rasowej* Jona Alfreda Mjøena,

Jacob Dybwad Forlag, 1938

(Jon Alfred Mjøen zmarł w 1939 roku)

# CZĘŚĆ I

# ROZDZIAŁ 1

W półmroku stewardesa zabrała nietkniętą tacę z wędzonym łososiem, moronem z Bosforu i wiedeńskim strudlem z jabłkami. Ruchy miała szybkie, wyćwiczone, powtarzała je tak często, że nie musiała patrzeć, co robi. Ręce pracowały, a oczy zerkały na niego. Na jej twarzy pojawił się ten sam wyraz co u innych, którzy przyglądali mu się z bliska – jak gdyby coś zakłócało obraz, choć nie umiałyby powiedzieć co. Kiedy sięgnęła po kieliszek z szampanem, położył rękę na jej dłoni. Szybko ją cofnęła.

Ostrożnie podniósł roletę w okienku. Współpasażerowie spali. W szybie bladym blaskiem odbijało się światełko migające na skraju skrzydła. W dole przepływały miriady złotych świateł. Europa. Minęło sporo czasu. Zamknął oczy, przeciągnął palcem wskazującym po linii, która oddzielała maskę od skóry, i wspomniał, co miał za sobą.

W popołudniowej łagodnej bryzie leniwie unosiły się pyłki kurzu. Przypiekające słońce lśniło na szaroniebieskim dywanie nieba. Step znajdował się na wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza. Powietrze było rzadkie, stawiało niewielki opór. Trudno o lepsze warunki.

Dwaj mężczyźni leżeli nieruchomo na kamiennych schodach przy wąskim otworze na szczycie starej wieży minaretu. Temperatura na zewnątrz zbliżała się do czterdziestu stopni. W środku było chłodniej, choć i tak upalnie.

Mężczyzna z karabinem zamrugał, by dać odpocząć oczom, po czym wpatrzył się w cień na dole, świadom, że jego towarzysz, Waleń, prowadzi obserwację przez lunetę. Spotkanie trwało już prawie cztery godziny. Jeżeli gubernator miał zdążyć do swojej domowej fortecy przed zapadnięciem ciemności, musiał się wkrótce pożegnać.

Waleń lekko stuknął kolegę w ramię. Ten wiedział, co to znaczy, i odbezpieczył broń. Spojrzał w celownik. Ściana, którą zobaczył, była nieotynkowana, w kolorze brunatnej czerwieni. Mężczyzna z gołą głową, ubrany w ciemną kamizelę i jasny *perahan tunban*, tradycyjną tunikę noszoną przez wielu Afgańczyków, otworzył drzwi balkonowe. Był to Hassam, informator, który wywabił gubernatora na zewnątrz.

Hassam odsunął się na bok, pozwalając starszemu mężczyźnie wybrać miejsce na balkonie z kutego żelaza. Gubernatorowi Osmalowi Abdullahowi Kamalowi. Krzyżyk podziałki przesunął się po jego brązowym turbanie. Potem w dół po brodzie, gęstej i siwawej. Obaj mężczyźni w pozornym spokoju zapatrzili się na pola maków.

Odrzut sprawił, że strzelec stracił cel z oczu. Kiedy jednak opuścił broń, spostrzegł, że lapua



magnum kalibru .338 trafiła prawie pięć centymetrów na prawo od środka piersi. Kula mogłaby uderzyć jeszcze bardziej w prawo, a mimo to zabić. Niemniej poczuł w skroniach klucie irytacji. Zobaczył pierś rozerwaną niemal na pół zamiast czerwonej dziury wielkości pomarańczy na białej tunice gubernatora. Fontanna krwi zabarwiła jasną czerwienią balkon, Hassama i ścianę za nim. Gubernator zachwiał się, jego ciało uderzyło w drzwi i znieruchomiło w dziwnej, lekko pochylonej do przodu pozycji, po czym wątpa drewniana konstrukcja ustąpiła, a chmura pyłu była znakiem, że zwłoki upadły na podłogę.

Dźwięk przeładowywanej broni. Brzęk łuski na schodach.

Hassam skulił się przy obutych w sandały stopach gubernatora. Może się modlił. Może ogarnęła go panika. Może odgrywał swoją rolę przed nadbiegającymi ochroniarzami. Nieistotne. Strzelec wziął poprawkę na wiatr i nacisnął spust. Chwilę potem ciało Hassama przechyliło się na bok, a mózg, krew, resztki włosów i czaszki utworzyły na glinianej ścianie pomarańczowoczerwoną aureolę.

Snajper zamrugał. Pomyślał, że oko jest niczym lustrzanka, a mrugnięcie jak ledwo uchwytny moment, gdy lustro się unosi i aparat uwiecznia chwilę. Ta chwila należała do niego, zastygła w jego pamięci na zawsze.

– Żegnaj, Hassamie – powiedział Waleń.

Strzelec zawinął karabin w ręcznik. Kiedy Waleń pakował lunetę, wstał i wspiął się trzy stopnie wyżej – do mężczyzny, który leżał związany na spoczniku. Nad zakrzepłą na czole starca krwią brzęczało kilka much. Opaska na oczach nie pozwalała stwierdzić, czy imam jest przytomny. Miał przyspieszony, świszczący oddech. Strzelec wyciągnął z kabury na udzie pistolet automatyczny. Waleń energicznie pokręcił głową.

– Nie trzeba.

Pod minaretem podali sobie ręce.

– Organizacja życzy powodzenia w Norwegii – odezwał się.

Strzelec syknął w odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 2

– Fredrik Beier. Przez „i”, nie przez „y”.

– Adres?

– Sorgenfrigaten sześć. Majorstuen.

– W kamienicy Heineckiego?

– Proszę?

– Wydaje mi się, że kamienica, w której pan mieszka, nazywa się kamienicą Heineckiego. Urodził się pan w...?

– W... Tu, w Oslo. Czy to ważne?

– Przepraszam. Chodziło mi o rok. Ile pan ma lat?

– Czterdzieści osiem. Mam czterdzieści osiem lat.

Oficer policji siedzący na skórzanej kanapie wyciągnął chudą rękę po łyżkę, która leżała przy słoiku z kawą rozpuszczalną, i obracał ją w palcach, aż ujrzał swoje zmatowiałe odbicie. W wygiętej powierzchni metalu prawie nie widział delikatnych siwych pasemek na skroniach, znamionujących upływ czasu. Za to cienki, dobrze utrzymany wąsik wyglądał, jakby go ktoś namalował w pijanym widzie.

Na wprost mężczyzny siedział policyjny psycholog. Na ścianie za psychologiem wisiał plakat z półnagim Ernestem Hemingwayem trzymającym dwulufową strzelbę.

– Czy Hemingway się nie zastrzelił?

– Jak jego ojciec.

– Czy to nie zabawne, że psycholog wiesza dla ozdoby zdjęcie faceta, który strzelił sobie w łeb?

– Przypuszczam, że równie zabawne, jak to, że pan mieszka na ulicy Beztroskiej, Sorgenfrigaten – odparł psycholog, znacząco skinąwszy głową w kierunku grubej teczki pacjenta leżącej na stoliku między nimi.

Detektyw parsknął niegrzecznie. Adres był w najlepszym razie przypadkowy.

– Mieszkanie wybierała była żona.

– A więc był pan żonaty. Dzieci?

– Troje... dwoje. Znacząco: dwoje.

– Troje czy dwoje?

– Jedno zmarło.

– Przepraszam. Co się wydarzyło? – Pracz mózgu z podwójnym podbródkiem poprawił gumkę do

włosów.

To do niego przychodzili policjanci z całego miasta, żeby sobie ulżyć. Smród mentalnego niepokoju i poczucia niekompetencji mieszał się z odorem łęków, które codziennie obijały się o przybrudzoną biel chropowatych ścian, i przyprawiał o mdłości. Gabinet terapeutyczny miał wielkość więziennej celi, a Fredrik Beier potrzebował powietrza. Wysłużone skórzane obicie kanapy pisnęło, kiedy wstawał. Jego głowa niemal sięgnęła sufitu. Stał przed oknem. Brudnobiałe firanki falowały nad mokrymi od deszczu aluminiowymi parapetami.

Psycholog nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić. Kiedy więc Fredrik na niego spojrzał, zobaczył tylko załupieżony koński ogon i błyszczącą od potu łysinę. Pod nią znajdował się mózg zamarynowany w najmroczniejszych tajemnicach policjantów. Ten człowiek był kloaką policji w Oslo. Za diabła nie będzie z nim dyskutował o swoim synu.

– Mieszka pan razem z dziećmi?

Fredrik potarł oczy.

– Nie. Są w Tromsø. Razem z matką, Alice. I jej nowym mężem. – W lewym kolanie policjanta boleśnie chrupnęło, kiedy ponownie opadał na kanapę. – Nie jestem tutaj dobrowolnie. Miałem do wyboru to albo długie zwolnienie.

Psycholog przeciągnął palcem po fałdzie pomiędzy podbródkami.

– A pańskim zdaniem nie jest pan chory? – Ton psychologa nie pozostawiał wątpliwości co do jego pogardy wobec autodiagnostów.

– Umysłowo? – Fredrik wbił w niego wzrok.

– Nie.



## ROZDZIAŁ 3

Czerwcowe chmury rzucały szare cienie na plac Jernbanetorget. Za oknem samochodu przesuwali się mieszkańcy Oslo w uniwersalnych kurtkach i ze złożonymi parasolami. Fredrik opuścił osłonkę przeciwsłoneczną, przejrzał się w lusterku i przeciągnął dłonią po krótkich włosach. Potem wyjął z kieszeni nowe okulary w metalowej oprawce. Szkła były duże, prawie czworokątne. Miał wrażenie, że wygląda jak wschodniemiecki agent policyjny. Podobało mu się to. Zacisnął usta, musnął palcem wąsy i zerknął na siedzącego obok kolegę.

– Kari Lise Wetre – powtórzył aspirant Andreas Figueras, tym razem nieco głośniej, bębniąc kciukami w kierownicę. – Czy przez jakiś czas nie miała obstawy?

Fredrik oparł głowę o zagłówek.

– Nic z tego nie wyszło.

Figueras cmoknął na znak, że sobie przypomina, gdy skręcali w Kongens gate, w stronę centrum z biurowcami i gmachami administracji, gdzie zapuszczają się tylko błądzący turyści, drugorzędni urzędnicy i miejskie niebieskie ptaki. Kwintesencja dzielnicowego smutku zwana Kwadraturą.

– O co chodziło w tamtej sprawie? Jakieś homoseksualia?

– Hm. Wetre była świadkiem, widziała, jak przed kinem Colosseum została pobita homoseksualna para. Kilka dni przed rozprawą zadzwonił do niej jakiś mężczyzna i zapowiedział, że jeżeli będzie zeznawać, to rozpląta jej brzuch. Grożono wielu osobom, ale ponieważ Wetre jest na świeczniku, wszczęto alarm.

– Pewnie, że potraktowano ją specjalnie. Cholerni politycy – warknął Andreas. Wyplątał okulary ze srebrnych loków i umieścił je na nosie. Był kilka lat starszy od Fredrika, mimo to ten był jego przełożonym. – Są jakieś związki z tą sprawą? – dorzucił, kiedy Fredrik nie skorzystał z okazji, by dać upust żalom na demokratycznie wybranych reprezentantów.

– Nie, nic na to nie wskazuje.

– Bo teraz zniknęła jej córka?

– Córka i wnuczek. Chyba należą do jakiejś osobliwej wspólnoty wyznaniowej.

– Czyli kolejna gówniana robota – jęknął Andreas, wysuwając kwadratową szczękę. W rzadkich chwilach, kiedy się nie złościł, Andreas, z oczami jak studnie, jasnobrązową karnacją i ostrymi rysami, był chyba najprzystojniejszym policjantem w mieście.

Fredrik zamknął powieki i myślał o kobiecie, z którą wkrótce mieli się spotkać. Miała styl, co było takie... nienorweskie. Wiceprzewodnicząca Chrześcijańskiej Partii Ludowej – po przegranej

publicznej bitwie o fotel przywódcy partii, jak to określiły media. Jedna z niewielu polityków, którzy posiadli sztukę pokazywania się na ekranie jako uczeni, a przy tym nie sprawiali wrażenia obłudników.

Zaparkowali na zwirowanym placu przed siedzibą Związku Oficerów w Oslo, eleganckim budynkiem tuż obok murów twierdzy Akershus. Fredrik poprawił sztruksową marynarkę i wciągnął białą podkoszulkę w dżinsy. Zlustrował wzrokiem partnera. Andreas miał w szafie trzy kremowe koszule, trzy pary szarych spodni i dwie dopasowane marynarki. Dobrze wyglądał w tym ubraniu, Fredrik rzadko widywał go w czymś innym.

– To jakaś uroczystość dla weteranów wojennych – objaśnił, kiedy mijali dwie przysadziste armaty przy wejściu. W środku pachniało cytrusami i krewetkami. W wielkiej sali bankietowej znajdowała się chyba setka gruboskórnych mężczyzn – łowców nazistów, łowców islamistów i wojowników o utrzymanie pokoju – i zaledwie kilka kobiet. Ministrowi obrony i kilku ważnym weteranom przydzielono honorowe miejsca pod portretami królewskiej pary. Kari Lise Wetre siedziała po drugiej stronie sali, gdzie na ścianie pod sufitem złotymi literami wypisano królewskie motto: „Wszystko dla Norwegii”. Z zapalem rozmawiała ze swoimi sąsiadami przy stole. Jednym był dobrze zbudowany rudzielec po pięćdziesiątce z wąsikami przypominającym szczeciniastą gąsienicę. Drugi był kruchym staruszkiem. W przeszłości musiał zostać poważnie ranny. Wyglądało to na poparzenia. Skóra na sporej części czaszki rozciągnęła się i pofałdowała niczym namoczona i wysuszona ponownie tektura. Białe jak kreda dłonie spoczywały na zaokrąglonej główce czarnej spacerowej laski.

Fredrik utorował sobie drogę pomiędzy stolikami i napotkał wzrok Kari Lise Wetre.

– Nadkomisarz Beier. Rozmawialiśmy przez telefon...

Dama uśmiechnęła się przelotnie.

– Panowie wybaczą, ale muszę ich opuścić. Panie Beier, to jest historyk wojen Stein Brønner – dokonała prezentacji, uśmiechając się do szczeciniastej gąsienicy. – A to Kolbein Ihme Monsen. Pan Monsen jest jednym z naszych bohaterów drugiej wojny światowej.

Weteran spojrzał na policjanta ciemnymi bystrymi oczami.

– Beier... – mruknął.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Monsen wyciągnął z kieszonki na piersi składany grzebień o uchwycie z kości słoniowej z wygrawerowanymi ozdobnymi inicjałami K.I.M. i drżącą ręką doprowadził do porządku kosmyki na karku.

Andreas czekał na nich w bocznym salonie, gdzie ściany były ozdobione ręcznie wykonanymi mapami i portretami oficerów z ponurymi minami.

Wetre pominęła uprzejmości.

– Jestem rozczarowana, że zajęło to tyle czasu. Kontaktowałam się z wami ponad miesiąc temu.

Te słowa wywołały budzący niepokój błysk w oczach Andreeasa.

– Pani córka jest dorosłą kobietą – zaczął. – Nie mamy pewności, czy doszło do przestępstwa, może być i tak, że nie życzy sobie kontaktu – spojrzał na wiceprzewodniczącą partii znad okularów – z rodzicami.

Kari Lise Wetre zaczerpnęła powietrza. Już miała się odezwać, ale uprzedził ją Fredrik.

– Kolega próbuje powiedzieć, że musieliśmy szukać określonej drogi ze względu na przepisy o obowiązku zachowania tajemnicy i tym podobne. I my, i Urząd Ochrony Dzieci martwimy się sytuacją pani wnuczka – dodał szybko. – Williama, tak?

– Williama Davida Wetrego Andersena – potwierdziła. – Niedługo skończy cztery lata.

– Właśnie. Cóż, Urząd Ochrony Dzieci miał już wcześniej problemy ze wspólnotą, do której należy pani córka. Wszczęliśmy śledztwo, wychodząc z założenia, że to jednak może być uprowadzenie.

– To dobrze – skwitowała, posyłając Andreasowi przenikliwe spojrzenie.

Usiedli.

## ROZDZIAŁ 4

Gdyby miał zgadywać, dałby jej czterdzieści pięć lat, ale wiedział, że jest starsza. Po pięćdziesiątce. Jej wiek stał się orężem w walce przeciwko niej, dlatego została tylko wiceprzewodniczącą partii. Ciemne włosy miała upięte na karku, ubrana była w obcisły szary kostium. Jej dekolt zdobił niewielki srebrny krzyżyk.

– Nie widziałam Annette ani nie rozmawiałam z nią przez pół roku – zaczęła.

Mówiła niższym głosem niż wtedy, kiedy stali. Najwyraźniej chciała pokazać, że panuje nad emocjami. Nic nadzwyczajnego u kogoś, kto przywykł, że się go podziwia. Tacy pogardzają słabością. Przede wszystkim u siebie.

– W większości rodzin jest tak, że rodzice rozpaczają, gdy dzieci się buntują. Gdy się upijają, eksperymentują z narkotykami, uprawiają seks czy co tam jeszcze. U nas nigdy tak nie było. Moja córka jest na mnie wściekła, bo uważa, że jestem zbyt liberalna. A ja jestem wściekła na nią, bo zniknęła z moim wnuczkiem. I dlatego, że jest konserwatywną jędzą. – Uśmiechnęła się blade. – Bo Annette...

Krzesło zatrzeszczało, kiedy Wetre odchyliła się na oparcie i zapatrzyła w sufit, jak gdyby słowa, których szukała, były gdzieś pod stiukami.

– Annette żyje tylko dla Boga.

Włosy Kari Lise Wetre były błyszczące i wypielegnowane. Każdy włos, co do jednego, starannie ułożony. Ręka bezustannie poprawiająca fryzurę stopowała wszelkie wichrzycielskie próby.

Annette zaczęła się buntować jako nastolatka. Nie chciała chodzić z rodziną do kościoła, bo nie akceptowała kobiet pastorów. Ani pastorów homoseksualistów. Ani zmian w liturgii. Jej zdaniem kościół sztywniał z Boga.

Kari Lise Wetre zaśmiała się krótko i potrząsnęła głową. Może kreski wokół oczu były odrobinę wyraźniejsze, niż pokazywały kamery, niemniej Fredrika uderzyło, że wiceprzewodnicząca na żywo wygląda tak samo jak w telewizji. Perfekcyjnie wykonany makijaż, w tym pomalowane na czerwono usta, sygnalizował wiarygodność i ciepło. I coś jeszcze, uświadomił sobie z oporami. Odcień czerwieni na wargach był akurat na tyle głęboki, że stawał się zmysłowy. Ale jakże elegancko! To, co na pierwszy rzut oka wydawało się tylko szminką, w rzeczywistości apelowało do głowy, serca i kutasa.

Trik godny polityka.

– Mimo wszystko zachowałyśmy pewien rodzaj wzajemnego szacunku. Dopiero kiedy została

wciągnięta do organizacji Światło Boga... tej wspólnoty wyznaniowej, jak ją pan nazywa, to się zmieniło.

Rudy kelner, Szwed, podał im kawę. Póki krzątał się przy stoliku, kobieta milczała.

Siedem lat temu Annette zaczęła chodzić na nabożeństwa Światła Boga, rozłamowców z zielonoświątkowego zgromadzenia Filadelfia. Rzuciła szkołę dla laborantów zaledwie kilka miesięcy przed swoim ostatnim egzaminem.

– Tak beznadziejnie głupio – sapnęła wiceprzewodnicząca.

Potem Annette sprzedała mieszkanie na Sankt Hanshaugen, które kupili jej rodzice, i zamieszkała ze współwyznawcami. Tam spotkała Pera Olava, ojca Williama. Nie chcieli wziąć ślubu kościelnego, ale zapewne jakaś ceremonia się odbyła.

– Nie zostaliśmy zaproszeni. – Zamrugała gwałtownie i szczupłymi palcami potarła skórę pod oczami. – Wszystko musiało się odbyć bardzo szybko, bo nie wyobrażam sobie, żeby Annette poszła z kimś do łóżka przed, powiedzmy, pobłogosławieniem związku. Ona nie jest taką dziewczyną, wie pan.

– Rzeczywiście, nie robi takiego wrażenia.

Szczęście jednak trwało krótko. Per Olav umarł, kiedy William był niemowlęciem. Na jakąś infekcję. W szpitalu niewiele potrafili powiedzieć. Loteria. Albo wola boża.

– Pewnie zależy, kogo pytać – rzuciła zamyślona.

Andreas podniósł wzrok znad notatek.

– Gdzie ma siedzibę ta wspólnota?

– W Maridalen. W posiadłości, którą nazwali Solro, Słoneczny Spokój. Mój mąż i ja mamy zakaz odwiedzin. Według Annette nikt ich nie może odwiedzać. To paranoja, której hołdują.

Rozczapierzyła palce, studiując perfekcyjnie polakierowane na czerwono paznokcie.

To Annette odwiedzała rodziców. Nieczęsto, od czasu do czasu. Może wzruszały ją łzy w oczach matki, gdy ta mogła oglądać wnuczka. Może miała wyrzuty sumienia, że tak po prostu porzuciła wygodne życie, które zapewnili jej rodzice. Jednak od ostatnich odwiedzin minęło pół roku. Pół roku bez żadnej wiadomości.

– Brałam udział w radiowej debacie o dziewczętach i aborcji. Jestem przeciwna aborcji. Niewielu w partii jest jej zwolennikami. Niemniej uważam, że w pewnych sytuacjach usunięcie ciąży powinno być dozwolone. Annette najwyraźniej słuchała audycji. Wściekła się, wykrzykiwała, czy chciałabym, żeby William został wyskrobany.

Kari Lise Wetre wzniosła oczy ku niebu.

– Jakby to miało jakiś związek ze sprawą. Jej zdaniem ośmieliłam się osądzać dzieło stworzenia, zerwałam z Bogiem. Od tego czasu nie mam z nią kontaktu.

Spuściła wzrok.

– Przez ostatnie miesiące dzwoniłam do niej codziennie. I mąż, i ja wysłaliśmy setki wiadomości, zebraliśmy o jakiś znak życia. Dwukrotnie byliśmy w Maridalen, ale tam nas po prostu opryskliwie spławiają. Przy zjeździe z drogi mają rozlokowanych ludzi. Strażników.

Poszukała wzrokiem Fredrika.

– We wspólnocie...

Po wyjściu z budynku Fredrik schował się pod czarnym parasolem wiceprzewodniczącej. W strugach letniego deszczu podążyli wzdłuż fasady gmachu Ministerstwa Środowiska na Nedre Slottsgate. Andreas odjechał na komendę.

– Co pani wie o tej wspólnocie Światło Boga? – spytał Fredrik.

– Pamięta pan Bjørna Alfsena juniora?

Potrząsnął głową.

Bjørn Alfsen stracił w wypadku samochodowym rodziców i starszego brata i został jedynym spadkobiercą rodzinnego koncernu Alvsen Przemysł Drzewny wartego setki milionów. Gdyby rozegrał swoje atuty sprytnie, nadal byłby jednym z najbogatszych ludzi w Norwegii. Jednak po śmierci dziadka, w połowie lat siedemdziesiątych, wszystko sprzedał i w ciągu kilku lat udało mu się roztrwonić rodzinny majątek. Imprezowanie i nietrafione inwestycje. Ogromne pieniądze zniknęły w kopalni diamentów w RPA. Alfsen współpracował z rządem stosującym politykę apartheidu, ale został oszukany przez tamtejszych przedsiębiorców. Pierwszą połowę lat osiemdziesiątych spędził w sądach – procesy o upadłości i rozgniewani partnerzy.

„Oto przekleństwo bogactwa – pomyślał Fredrik. – Pierwsze pokolenie zarabia pieniądze, drugie nimi zarządza, a trzecie trwoni. Nic dziwnego w gruncie rzeczy. Trudno cenić coś, o co się nigdy nie musiało walczyć”.

– Na wiele lat zniknął z życia publicznego, ale w połowie lat dziewięćdziesiątych znowu się pojawił. Jako wpływowy sponsor zielonoświątkowców – ciągnęła.

– Więc się wzbogacił?

– Nie wiem. Dzieci bogaczy zazwyczaj mają gdzieś ukryte jakieś pieniądze. Zrobił się niesłychanie konserwatywny w kwestiach moralnych. Zaczął stawiać warunki wspieranym przez siebie wspólnotom. Wielu źle odbierało te żądania. Powstał konflikt. Odciął się i założył własną sektę.

– Światło Boga – dopowiedział Fredrik.

– Nazywa siebie pastorem.

Fredrik podniósł wzrok na pruskie mury domów na Christiania torv. Stało tu kilka najstarszych budynków w mieście, wzniesionych przez ludzi z pieniędzmi. Dziś nikt nie miał pojęcia, kim byli. Asfalt zawibrował, kiedy z głuchym dudnieniem przejechał tramwaj.

– Pamiętam Światło Boga. Dziesięć czy dwanaście lat temu ostro demonstrowali, prawda?



– Owszem – przytaknęła. – Przeciwno społeczeństwu, które ich zdaniem dąży do moralnego upadku. Demonstrowali przeciw budowie meczetów. Przed szpitalami, gdzie dokonywano aborcji. Przychodzili na śluby homoseksualistów i wymiotowali. Także przed kościołami, gdzie kobiety były pastorami. Uważali, że Bóg nas pokarze. Że zbliża się dzień sądu... No, ale to się uspokoiło. Szczerze mówiąc, myślałam, że sekta się rozpadła.

Zatrzymali się przed Stortingiem, gdzie Kari Lise Wetre spędziła większą część swojego dorosłego życia. Zawsze jako osoba publiczna. Zastanawiał się, jak to jest, kiedy ma się matkę będącą własnością wszystkich. Czy w tej sprawie właśnie o to chodziło? O spóźniony bunt dziecka polityka?

– Dlaczego nazywa to pani sektą?

– Bo tym jest. Wiara, że dysponują absolutną prawdą. Silny przywódca. Izolacja w posiadłości. Proroctwa Sądu Ostatecznego. – Każdy punkt wyliczanki podkreślała, prostując kolejny palec. – Jak z podręcznika. Uważa pan, że to dobre miejsce do dorastania? – Nie czekała na odpowiedź. Wyciągnęła do niego rękę. – Cóż... Mam do wygrania wybory. Dziękuję, że nam pan pomaga. Bardzo to sobie cenimy, mąż i ja.

Uśmiechnęła się jak w telewizji.

## ROZDZIAŁ 5

Zapach pleśniejącej ziemi mieszał się z wonią dobrze przesmażonego boczku.

Fredrik otworzył drzwi balkonowe i zmrużonymi oczami zlustrował ciasne podwórko w dole. Owionął go podmuch chłodnego powietrza letniego dnia. Stwardniały mu sutki. Przechylił się przez balustradę, dźwignął skrzynki z kwiatami i przeniósł obie, chyboczące się w dłoniach, na betonową podłogę. Cuchnąca ciecz wylała mu się z nich na palce u stóp. Kwiaty, które w letnim słońcu powinny się mienić czerwienią i fioletem, zwiślały ciemne i śluzowate z brzegu skrzynek. Był początek lipca.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie. Był ubrany tylko w jasne dżinsy. Od podnoszenia zaboląło go kolano, zauważył też, że utyka. Twarz miał szczupłą, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Niewielki opadający ku kącikom ust wąsik stanowił pozostałość z młodzięcych czasów. Kilka razy go zgolił, ale nigdy nie przyzwyczał się do widoku swojej twarzy bez wąsów. Gęste brwi wznosiły się nad szparkami oczu.

– Masz spojrzenie starego labradora – powiedziała mu Alice, kiedy znów na nią opadł. – Tobie nie da się odmówić.

Wiedział, że lubi psy. Ale nie podobało mu się przypominanie, że zachowuje się jak jeden z nich.

Zatrzymał się w przejściu do kuchni. Już dawno tak się tu nie czuł. Jak gość. Żył sam, choć akurat jego mieszkania nie można było nazwać kawalerskim. Błat kuchenny był czysty, naczynia schowane do zmywarki, a puste butelki znajdowały się w większości w reklamówkach. Ściany pomalowano na białą z wyjątkiem tej nad kuchenką, wyłożonej płytkami tworzącymi czerwono-pomarańczową szachownicę. Wrzaskliwe. To był jej pomysł. Kiedy się wyprowadziła, usunął plakaty z wieżą Eiffla i palącym kotem w Iorgnon. Chciał powiesić własne. Podróbkę złoto-czarnego plakatu z Rolling Stonesami przed festiwalową sceną w Altamont w sześćdziesiątym dziewiątym. Plakat z festiwalu na Kalvøøy w siedemdziesiątym siódmym ze Smokie jako gwiazdą programu i ten niemieckiego pikującego dwupłatowca. Na razie jednak ściany świeciły nagością. Za to była tu ona. Znowu.

Duża goła pupa przeżyła się przed kuchenką. Powiódł wzrokiem po jędrnych białych pośladkach, jeden wciąż był zaczerwieniony. Ponad tą bezpieczną krągłą kotwicą wyrastała najpiękniejsza część jej ciała – anatomicznie idealny łuk w krzyżu, wąska talia nadająca sylwetce kształt wiolonczeli. Lata i ciężce pozostawiły na niej swoje ślady, tu i ówdzie zaokrągliły ją lub wydłużyły niczym fale ostrego łupka. „Dojrzały owoc”, pomyślał, kontemplując ją spod przymrużonych powiek.

– Na co się gapisz? – Odrzuciła na plecy skołtuniony koński ogon i posłała mu podejrzliwe spojrzenie. – Co panu chodzi po głowie, panie Beier?

Odwróciła się, a wtedy wybuchł śmiechem. W ręce trzymała kuchenną łąpatkę – i wcale nie była

naga. Na szyi i w taliu zawiązała jego jedyny fartuch kuchenny. Biały, z nadrukiem żółtego transportera opancerzonego, który przyciągał wzrok do jej średniej wielkości piersi, i szarej głowy dorsza. Jeżeli była w tym jakaś symbolika, to jej nie rozumiał.

Potem zjedli w przyjaznym milczeniu. Okruszki, plamy tłuszczu, resztki jajka i soku z pomidorów na talerzach stanowiły ślady po posiłku. Fredrik sączył letnią kawę i przeglądał „Dagens Næringsliv”. Z wieży w salonie mruzczała zaprogramowana na miniony wieczór Diana Krall. Wczorajsze wysiłki się opłaciły.

– Życie powinno się składać z takich sobót jak ta – stwierdziła Alice, pochylając się nad telefonem, żeby napisać wiadomość. – Samolot odlatuje za parę godzin, więc się zmywam.

Podniosła głowę i wykrzywiła się wyzywająco. Przyglądał się jej. Była żona miała na sobie luźny czerwony top, który skrywał jej kształty. Wracała do domu do Erika, swojego nowego męża. Delikatne kurcze łapki od śmiechu stykały się z kącikami zielonych oczu. Wciąż jeszcze mógł dostrzec piegi na jej nosie.

– Nie ma pojęcia, że tu jesteś?

– Że z tobą sypiam? Sądzę, że nie wyobraziłby sobie tego w najbardziej chorych fantazjach.

– Nie masz nikogo innego?

– Fredriku! – Zatrzepotała rzęsami, przeciągając słowa. – Są przecież jakieś granice.

Przez chwilę przypatrywała mu się badawczo.

– A co z...? Jak jej tam...?

– Bettina. Z Bettiną wszystko w porządku.

– Dalej się spotykacie?

– Owszem.

– Śpicie ze sobą?

– Sprawdzamy.

– To dobrze! Warto się z nią wiązać? – Alice podniosła głos o pół tonu.

– Mniej więcej.

– Czym to się ona zajmuje? Czy nie jest aby z policji?

Uśmiechnął się do niej, zdając sobie sprawę, że ona wie.

– Pracuje u komendanta.

– Ach tak! Oczywiście.

Odsunął krzesło, wstał i zebrał talerze. Wolał zmienić temat.

– A tak przy okazji... Wiedziałaś, że ta kamienica nazywa się domem Heineckiego? Od architekta, który ją zaprojektował, Georgesa Heineckiego.

– Od kiedy to interesujesz się architekturą? – Zdziwiła się.

– Zawsze podobały mi się eleganckie rzeczy – odparł, wskazując głową na jej biust.

Zignorowała ten gest.

– Psycholog w firmie mi powiedział.

Na czole Alice pojawiła się zmarszczka zmartwienia, której tak bardzo nie lubił. Dlaczego nic nie mówił? Do diabła, przecież powiedział teraz.

– To nic poważnego. Znów miałem kilka ataków. Lękowych, jak twierdzi ten facet. – Uśmiechnął się głupio. – Jego zdaniem to jest „uwarunkowane stresem”. Dostałem zalecenie, żeby mniej pracować. Wobec tego wakacje będą jak znalazł. Cieszę się, że zobaczę dzieci.

Posłała mu pełne zrozumienia spojrzenie, które stosowała, gdy chciała sprawić, żeby poczuł się jak dziecko. Znaczyło: „Przecież cię znam. Znam cię lepiej niż większość innych ludzi. Lepiej niż wszyscy. Wiem, co w tobie siedzi”.

– Jaki jest ten psycholog?

– Nie mam pojęcia. Wpadłem tylko po pieczętkę.

Alice potrząsnęła niedowierzająco głową.

– Jeden z szefów złożył na mnie meldunek. Potrzebowałem pieczętki, żeby móc pracować w terenie – wyjaśnił.

Założyła drogie, przezroczyste, plastikowe poncho. Odprowadził ją do wyjścia.

– Zrozumiesz, jeśli nie przyjadę na pogrzeb? Dla mnie i dzieci to za daleka podróż. Poza tym Jacob i Sofia prawie jej nie znali.

– Nawet na to nie liczyłem. Chyba uda mi się samodzielnie złożyć matkę do grobu.

Dotknęła dłonią jego policzka.

– Bettina przyjdzie?

Skinął głową.

– To dobrze. Może nie jest taka najgorsza. – Alice uśmiechnęła się nieszczerze.

Uścisnęli się krótko.

– Uważaj na siebie, Fredrik. Dzieciaki cieszą się na spotkanie z tobą. Rozumiesz, tęsknią do tatusia. Zadbaj, żeby się dobrze bawiły.

– Dobra, dobra. – Pożegnał się, dając jej lekkiego klapsa.

Właśnie otworzył puszkę carlsberga, kiedy zadzwonił telefon. Dał popracować automatycznej sekretarce. Bez pośpiechu wypił piwo, nim poszedł po komórkę leżącą na nocnym stoliku.

Dzwoniła Synne Jørgensen z kierownictwa Sekcji do spraw Przemocy Seksualnej i Gwałtów Komendy Policji w Oslo, jego przełożona.

„Fredrik, oddzwoń. Doszło do masakry. W Słonecznym Spokoju. Wysyłam po ciebie samochód”.

## ROZDZIAŁ 6

W przednią szybę biły ciężkie krople deszczu. Wycieraczki, usuwając wodę, zwijały się jak bicze na galerach. Pędzili tak, że pola uprawne w Maridalen migająy Fredrikowi przed oczami.

Przy ruinach kościoła Świętej Małgorzaty na północnym brzegu jeziora młody policjant wyłączył niebieski sygnalizator i zmniejszył prędkość. Od świętego Jana minęły zaledwie dwa tygodnie, ale ciemno było choć oko wykol.

Nawet przyprószeni siwizną rowerzyści zostali dziś wieczór w domu.

Skręcili z głównej drogi. Pola kończyły się nieco wyżej, na zboczu wzniesienia, ustępując miejsca gęstemu świerkowemu lasowi. Prowadziła przezeń żwirówka. Drzewa rosnące nieco dalej zabarwiły się od migających świateł policyjnych aut na niebiesko i czerwono. Stanęli na końcu długiego szeregu radiowozów i karetek.

– Dzięki za podwiezienie – rzucił Fredrik, zabierając z tylnego siedzenia płaszcz przeciwdeszczowy.

Było zimno, deszcz tłumił zapach wilgotnej ziemi i mchu. Jakaś niska postać z jasnymi usztywnionymi pianką włosami przywołała go pod gęsty świerk – była to inspektor Synne Jørgensen.

– Dobry wieczór – odezwała się na wdechu.

Błysnął ogień zapalniczki. Wyprostowała się i głęboko zaciągnęła. Papieros się rozjarzył. Okrągła buzia z małym płaskim nosem i nieumalowane oczy przez chwilę robiły wrażenie wyjątkowo zadowolonych. Próbowwała znaleźć kieszeń w deszczowcu, żeby schować papierosy.

– Naprawdę taki dobry?

Zmarszczyła nos.

– To są straszne rzeczy, Fredrik. Mamy pięć trupów. Zabitych z bliskiej odległości wieloma strzałami. Na jednym, ubranym w piżamę, jak się wydaje, dokonano egzekucji w jego sypialni. Brak rannych, nikt nie przeżył. – Synne odnalazła kieszeń.

– Czy Annette Wetre jest wśród...

– Nie – przerwała mu. – Wszyscy to mężczyźni. Jeszcze nie zostali zidentyfikowani...

– Jesteś pewna, że to Słoneczny Spokój? – wtrącił z powątpiewaniem. – A gdzie reszta wspólnoty?

Inspektor dotknęła językiem blizny po kółku w dolnej wardze.

– Nad wejściem do głównego budynku widnieje napis „Solro” dużymi literami, więc czuję się poniekąd uprawniona do takiego wniosku. Niemniej nie ma tu żywej duszy. Cała wspólnota po prostu wyparowała.

Zaciągnęła się trzy razy, została jej połówka papierosa. Oderwała czubek, wyjęła z kieszeni paczkę i włożyła tam niedopałek, po czym znowu poszukała kieszeni.

– Chodź ze mną – rzuciła, nasuwając kaptur na głowę i wychodząc na deszcz.

Przez las prowadziła wąska błotnista dróżka. Doszli nią do wykarczowanej polany na stoku, gdzie policjanci w przeciwdeszczowych ubraniach uwijali się na miejscu zbrodni w zimnym białym świetle silnych reflektorów. Trawnik miał rozmiary boiska do koszykówki, a na jego końcu wznosiła się biała willa. Po lewej stała niewielka czerwona stodoła, a na podjeździe na jej strych kilku przemarzniętych policjantów rozstawiało namiot nad zwłokami dwóch osób.

Na środku trawnika leżały kolejne dwa trupy. Jeden na plecach, drugi na boku z dziwnie splątanymi nogami. Temu ostatniemu brakowało sporej części twarzy.

– Kiedy to się stało? Kto to zgłosił? Omijając szerokim łukiem ofiary, Synne zamaszystym krokiem poprowadziła go w stronę willi.

– Pogotowie policyjne otrzymało telefon o dwunastej pięćdziesiąt sześć. Anonimowy. To ponoć jakaś zemsta. W imię Allaha. – Obejrzała się za siebie. – Znalezienie tego miejsca zajęło trochę czasu. Słoneczny Spokój nie jest nazwą oficjalną.

– Wiem – mruknął Fredrik. – Więc kiedy zadzwoniłaś...

– ... dopiero orientowałam się w sytuacji. Sebastian jest w drodze. Postawiliśmy wszystkich w stan pełnej gotowości..

Do willi prowadziły drewniane drzwi. Nad wejściem wisiała szeroka deska, na której rzeczywiście wymalowano wielkimi literami „Solro”. Wewnątrz technicy ustawili skrzynkę z ochroniaczami na buty, lateksowymi rękawiczkami i maskami na usta. Jedną ze ścian wąskiego holu pokrywało wielkie malowidło przedstawiające Jezusa w tunice wyłaniającego się z rozżarzonego słońca.

– Zemsta. W imię Allaha – cedził Fredrik, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy. – Więc to mają być jakieś religijne porachunki?

– Czy to nie ty wspominałeś, że ta wspólnota jest bardzo krytycznie nastawiona do islamu? Że demonstrowali w proteście przeciwko meczetom i tak dalej?

– Owszem. Ale masowe morderstwo to chyba lekka przesada.

– To nie wszystko – rzuciła Synne.

Jakiż to obłąd prowadzi kogoś do poszukiwania jakiejś wspólnoty w środku lasu? Do zabicia jej członków niczym rzeźne bydło. Fredrik zastanawiał się, o czym myślał morderca, albo mordercy, stojąc w tym korytarzu. Jak zareagowali na widok nierównego rzędu wieszaków na ubrania. Na imiona wypisane na karteczkach sztywnymi literami przez nieporadne dziecięce paluszki. Czy zatrzymali się, żeby je przeczytać? Pusty drewniany kołek podpisany „Annette” albo ten obok, z czapeczką z ogrodu zoologicznego wiszącą na wysokości niecałego metra od podłogi. „William”.

Załóżmy, że kiedy wślizgiwali się do środka, panowała tu głucha cisza. Że zajrzeli do pokoju



zabaw i stwierdzili, że wszystkie zabawki są starannie zebrane w pudłach. W kuchni poczuli zapach płynu do naczyń. Przemknęli przez szwalnię, gdzie robótki i druty pochowano w koszach, a maszyny do szycia zabezpieczono plastikowymi osłonkami, aby żadna mała rączka się nie zraniła, gdyby jakiemś chłopczykowi czy jakiejś dziewczynce przyszło do głowy wstać wcześniej niż dorośli. Przy schodach na piętro mogli być niemal pewni, że wszyscy śpią.

Wspólnota nie miała ochrony. Szli dalej. Przekradli się na górę. Do ludzi.

Nad schodami wisiał kolejny obraz Chrystusa, w koronie cierniowej, z otwartą raną na czole i strużkami krwi na policzkach, wielkości blisko półtora na półtora metra. Ta nadnaturalnych rozmiarów twarz wzbudziła we Fredriku silną niechęć. Rysy oddano tak szczegółowo, że wydawało się, iż każdy por skóry, każda jej nierówność krzyczy do widzów.

Nie chodziło tylko o poczucie nadmiernego zbliżenia się do kogoś. W tym było coś więcej. Jakaś przemoc ze strony tego, kto postanowił zawiesić tutaj ten obraz. Ostatnią rzeczą, jaką robili mieszkańcy drewnianej willi każdego wieczoru przed pójściem spać, było oglądanie Jezusowej męki. I każdego cholernego poranka widzieli to samo. Nie zdążyli się nawet wysrać i umyć zębów, a już im przypominano o wszystkich nieprawościach tego świata.

Szeroki korytarz u szczytu schodów nosił ślady panicznej ucieczki. Wszystkie drzwi stały otworem. Pod ścianami walały się ubrania i zabawki, fotografia posiadłości z lotu ptaka oprawiona w ramkę spadła na podłogę, a szkło się potłukło.

– Media już się zameldowały? – spytał.

– Nie. I staramy się utrzymać ten stan rzeczy. Chciałabym przeczesać miejsce zbrodni, zanim zaczną po nim krążyć fotografowie.

– Dobrze. Muszę zawiadomić Kari Lise Wetre, nim zadzwonią do niej z gazet.

Skierowali się do pokoju na końcu korytarza. Pomieszczenie było niewielkie, staroświecko urządzone, w oknie wisiały białe koronkowe firanki, na parapecie kwitła begonia. Kołdra leżała na podłodze. Mieszkaniec pokoju, niski mężczyzna w piżamie w białe i niebieskie paski, klęczał przed łóżkiem z głową wykręconą w bok. Duże oczy wpatrywały się w przestrzeń pustym, szklanym spojrzeniem.

– To pastor Alfsen – stwierdził Fredrik.

– Kto taki?

– Bjørn Alfsen junior. Kierował tą wspólnotą.

Fredrik pochylił się i przyjrzał zwłokom. Zmarły był częściowo łysy, resztki siwych włosów miał krótko ostrzyżone. Okalającą twarz brodę rozpoznał ze zdjęć, które przesłała mu Wetre. Tuż nad prawym uchem pastora widniała mała czerwono-czarna dziurka. Materac pociemniał od krwi.

– Wyrok wykonano, gdy modlił się przy łóżku – stwierdziła sucho Synne. – A spójrz tutaj.

Z kieszonki na piersi wyjęła długopis i uniosła pogniecione prześcieradło.

Krótkie palce pastora napęczniały płynem. Sprawił to zielony jedwabny szal ściśle zadziergnięty wokół nadgarstków. Synne rozprostowała go długopisem. Fredrik zmrużonymi oczami studiował kręte białe napisy.

– Po arabsku.

## ROZDZIAŁ 7

Kiedy przyszła ekipa techniczna, Fredrik wciąż przebywał w sypialni Bjørna Alfsena. Zajął się sprawdzaniem zawartości regału na książki. Na samym dole leżały wysokie stosy starych notatników, wydruki stron internetowych i kopie ulotek nawołujących do zwalczania tego bezbożnego szamba, które zdaniem wspólnoty zalewało kraj. Były tam jednak także przepisy kulinarne, teksty psalmów i notatki do kazań. Oraz zakurzona komórka.

Cztery środkowe półki wyglądały uderzająco pusto. Na każdej stały tylko dwie fotografie. Przyjrzał się im dokładnie.

Na wszystkich widniał pastor, natomiast ludzie, z którymi pozował do zdjęć, się zmieniali. Stał przed lśniącą w słońcu białą willą, w której został zamordowany. Letni dzień musiał być piękny. Alfsen w rozpiętej na piersiach koszuli w czerwone paski mrużył oczy od słońca. Mocno opalona skóra nadawała mu wygląd starego człowieka. Było tam zdjęcie kilkorga dzieci. Zdjęcie dwóch mężczyzn koło trzydziestki. Mężczyzny i kobiety. Annette i Williama. William wyglądał na dwu- albo trzylatka, więc zdjęcie mogło zostać zrobione w ubiegłym roku. Uśmiechnięty blondasek w zielonych szortach i zbyt obszernej koszulce z napisem „Pan jest moim pasterzem” stał tuż przed Alfsenem, który opierał swoje opalone dłonie na jego barkach, matka chłopca siedziała zaś obok na krześle i trzymała rękę synka na kolanach. Fredrik wiedział, że kobieta nie ma więcej niż dwadzieścia siedem lat, lecz u boku autorytarnego pastora wyglądała na dziewczątko. Oczy miała szeroko otwarte, jasne, pozornie niewrażliwe na promienie słońca, które oślepiały pozostałą dwójkę. Wydatny nos rzucał cień na szczupłą twarz. Jasne długie włosy Annette spływały swobodnie na ramiona. Była ubrana w białą sukienkę. Kolana trzymała złączone. Stopy miała bose. Była bardzo piękna. Młodsza, blond wersja matki.

Na najwyższej półce ułożono jedno na drugim religijne kompendia, śpiewniki i biblie. Jedna książka się wyróżniała. Na zniszczonym grzbiecie złote litery układały się w napis „*Die Bibel*”. Fredrik ostrożnie wyciągnął ją ze sterty i otworzył. Na wewnętrznej stronie okładki ktoś wykaligrafował staroświeckim charakterem pisma: „*Professor E. Brinch. Unsere tiefste Dankbarkeit. Die Wiener Gesellschaft für Rassenpflege. Wien 1936*”.

Fredrik odwrócił się do laborantki kryminalnej, która badała Alfsena. Kobieta chyba poczuła na karku jego spojrzenie.

– Nie żyje przynajmniej od dwunastu godzin – odezwała się, delikatnie ściskając zwłoki. – Strzał z bliska, ale nie było kontaktu lufy z ciałem. Powiedziałyby, że strzelano z odległości od pięciu do piętnastu centymetrów. – Zbliżyła pęsetę do śladów osmalenia wokół wlotu kuli. – Mały kaliber, ale

wystarczająco, żeby kula przebiła czaszkę.

Mimo okrywającego ją szczelnie kombinezonu ochronnego rozpoznał laborantkę z innych miejsc, gdzie ludzi pozbawiono życia. Nie mógł sobie jednak przypomnieć jej imienia ani nazwiska.

– Dopiero za jakiś czas go odwrócę, żeby ocenić wylot kuli, więc jeśli ma pan co innego do roboty...

Therese. Therese Grøfting. Dawniej lekarz, specjalistka medycyny sądowej, z na tyle perwersyjnymi, jak głosiła plotka, zainteresowaniami, że z czasem wykształciła się na technika kryminalistyki i eksperta od badania miejsc zbrodni. Kierowniczką grupy technicznej. Czterdzieści kilka lat, singielka, mniej więcej dziesięcioletni syn.

Fredrik zignorował sugestię.

– Zna pani niemiecki?

– W rzeczy samej. A co?

Potykając się, przeczytał tekst z okładki.

– Dla profesora E. Brincha – przełożyła. – Z najgłębszą wdzięcznością. Podpisano: Wiedeńskie Towarzystwo Higieny Rasowej. Wiedeń tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty. – Kaszlnęła. – Dość szczególna starość jak na własność pastora.

– Też jestem tego zdania.

Była już noc, gdy Fredrik ponownie stanął przed willą. Jakaż tu mogła panować idylla. Słoneczny letni wieczór na trawniku w środku lasu. Lekkie chmurki. Ciężka woń grzybów i żywicy zmieszana z zapachem skoszonej trawy, malinowych listków i świeżego soku z jagód. Wydawało mu się, że słyszy dziecięcy śmiech, gdakanie kur w stodole i przytłumiony hałas dochodzący z kuchni. Tymczasem buczały tylko generatory.

Deszcz przeszedł w zimną mżawkę, która oblepiła go jak mokra folia. Nad zwłokami na środku trawnika wzniesiono namiot. Dodatkowo przed stodołą rozpięto duży namiot – centrum dowodzenia. Synne powiedziała, że wszystkie ofiary to mężczyźni. Dlaczego więc zostali zabici na dworze? Dlaczego nie leżeli w swoich pokojach jak pastor? Fredrik ruszył w kierunku trupów na trawniku, gdy z namiotu dowodzenia rozległ się znajomy huczący baryton. Przybył Sebastian Koss.

W Sekcji do spraw Przemocy Seksualnej i Gwałtów największej w Norwegii komendy policji było trzech bogów. Wszechmocnym bogiem ojcem był sam komendant Trond Anton Neme. Rzadko się ukazywał, niemniej zawsze czuło się jego obecność, jakby unosił się gdzieś w powietrzu. Wiedział wszystko. Potrafił przymknąć oko na największe wpadki, a ukarać za najdrobniejszy błąd.

Neme jednak nie lubił brudzić sobie rąk. Do tego zadania wyznaczył dwójkę swoich podwładnych. Jednym była Synne Jørgensen. Wspinała się po szczeblach kariery w niebieskim mundurze, a teraz mogła osiągnąć szczyt. Drugim był Sebastian Koss. Wysoki prawnik nigdy nie ukrywał, że poświęcił policji tylko kilka lat swojego życia. Władza, pieniądze i wpływy – oto, czego pragnął, do czego został

stworzony. Ciało miał wygimnastykowane, umysł bystry, włosy złociste jak stopione masło i gładkie, twarz szczupłą, cerę nieskazitelną, a w internecie używał nicka Legolas.

Ta niedobrana para została zaangażowana do wspólnego kierowania bardzo ważnym zadaniem rozpracowywania morderstw, gwałtów i innych świństw, które popełniali mieszkańcy Oslo i element napływowy.

Co do jednego komendant Neme mógł mieć pewność. Inspektorzy nigdy by się nie zjednoczyli przeciwko niemu. Byli *yin* i *yang*. Supermanem i Leksem Luthorem.

– Jørgensen! Co tu, u diabła, robi Fredrik Beier? Do ciężkiej cholery, nie możemy przecież pozwolić, żeby po miejscu zdarzenia szwendali się nie zrównoważeni policjanci. Wydawało mi się, że usadziłem go za biurkiem na Grønlandzie.

Głęboki głos niósł się echem. Fredrik zatrzymał się u wejścia do namiotu i wpatrzył w obleczone garniturową marynarką plecy Sebastiana Kossa. Dwa mocne odbicia i już by mu na nich siedział.

– Wyjaśnijmy sobie do końca jedną rzecz. – Sięgająca Kossowi do piersi Synne się wściekła. – Fredrik to moja sprawa i moja odpowiedzialność. Mam do niego zaufanie. Więc, do diabła, nie...

Tyradę przerwało głośnie chrząknięcie Andreasa. Był w namiocie razem z resztą policjantów, którzy szukali schronienia i ciepła przy wielkich wojskowych termosach w kącie. Teraz uśmiechnął się krzywo, wskazując Fredrika, który przestąpił próg.

– Też miło mi cię widzieć, Koss – odezwał się ponuro Beier.

Inspektor coś odmruknął.

– Dobra – rzuciła Synne – wszyscy wynocha. Fredrik, ty zostajesz. Sebastianie... – Spojrzała na Kossa surowo.

Policjanci niechętnie przesuwali się bokiem koło Fredrika i znikali w ciemnościach nocy. Tylko Andreas nie umknął wzrokiem.

– Co za dupek... – mruknął na tyle głośno, by Koss go usłyszał.

Fredrik i Koss usiedli przy krzywym stoliku kempingowym. Ktoś wrył na blacie kutasa i parę okazałych jaj. Fredrik przeciągał palcem po nierównej kresce i patrzył przed siebie. Synne hojnie sypała do kubków kawowy proszek i zalewała go wrzątkiem z termosu, dobrze wiedząc, że Koss woli herbatę.

– To ja go znalazłem, przecież wiesz. Zupełnie nie kontaktował, zwinięty wokół kosza na śmieci w pokoju przesłuchań. – Wydawało się, że Koss patrzy na Fredrika, ale go nie widzi. – Czy ty tego nie rozumiesz, Synne? Chłopaki gadają. Policjant musi wiedzieć, co się dzieje z jego kolegami. Uzgodniliśmy przecież, że wyłączamy Beiera z dużych spraw, które mogłyby... angażować nerwy. Sam się z tym zgodził, o ile dobrze pamiętam.

Oparł się na rozchybotanym krześle i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie możemy pozwolić, żeby osikowy listek zwiewało w miejsca pełne zwłok.

– Opowiadasz takie cholerne pierdoły, Sebastian. – Synne potrząsnęła głową z rezygnacją. – Fredrik ma podbite w papierach, że jest zdrowy. I dobrze o tym wiesz.

Przeniosła spojrzenie na Fredrika.

– Masz coś do dodania?

– Nie. Prosiłaś, żebym tu przyjechał. Przyjechałem. Nie miałbym nic przeciwko spokojnemu latu... – odparł i zwrócił się do Kossa – ... za biurkiem na Grønlandzie i zajmowaniu się sprawą zniknięcia. Problem w tym, że kobieta i dziecko, których szukam, mieszkali tutaj. Tak więc w pewnym sensie ta sprawa stała się moja.

Koss popatrzył na Synne podejrzliwie. Chrząknęła i przytaknęła.

– Słoneczny Spokój zamieszkiwała wspólnota Światło Boga. Annette Wetre była jej członkiem.

– Córka tej Wetre z ChPL? Cholera jasna!

Dziesięć minut później Fredrik i Andreas spotkali się na dworze. Fredrik ze śmiechem opowiedział, jak poblady Koss zadzwonił do Nemego z informacją, że córka i wnuk jednego z najważniejszych polityków w kraju zniknęli bez śladu. Wiadomość nie została przyjęta spokojnie.

– Dobrze mu tak, idiocie – warknął cicho Andreas, kierując się do białego namiotu rozstawionego na trawniku.

W środku siedziało w kucki dwóch medyków sądowych. Zwłoki z odstrzeloną połówą głowy dalej miały nogi w nienaturalnej pozycji i wyglądały jak rozdeptany mechanizm zegara. Jedna z ubranych na białą postaci podniosła się i podeszła do nowo przybyłych.

– Dwaj mężczyźni, obaj powyżej trzydziestu lat, zastrzeleni ze stosunkowo bliskiej odległości z broni automatycznej. Dwie dziury w jednym i trzy w drugim. Nie licząc kuli, która podarowała temu ostatniemu „otwarty umysł”.

– Rozumiem – skwitował Fredrik łagodnie.

Nie zazdrościł roboty medykom. Tylko w jeden sposób mogli przeżyć takie zasrane dni jak ten – dzięki makabrycznemu poczuciu humoru. Obejrzał się przez ramię na zwłoki mężczyzn. Oba trupy miały buty na gołych stopach, krótkie spodenki i koszulki. Ciało i ubrania były przemoczone.

– To was pewnie zainteresuje – powiedział medyk, wskazując głową liczne przezroczyste plastikowe torebki pod ścianą namiotu.

W jednej był spray z gazem pieprzowym, w drugiej taser. Naładowane prądem elektrody, które miały unieszkodliwić ofiarę, nie zostały wystrzelone. Policjanci spojrzeli po sobie. To była broń do samoobrony. W Norwegii nielegalna. Po jaką cholere wspólnota wiernych mieszkająca na pustkowiu sprawiła sobie coś takiego?



## ROZDZIAŁ 8

– Fredrik Beier! Jest tu Fredrik Beier?

Szarpnięta na bok płachta odsłoniła wpatzonego w nich faceta w białym kombinezonie i okrągłych okularach.

– To ja.

– Chodźmy!

Mężczyzna pognał przez trawnik w kierunku namiotu ustawionego na podjeździe do stodoły i zatrzymał się dopiero przed martwymi ciałami wewnątrz. Widok wywoływał mdłości. Andreas łąpał ustami powietrze i walczył o oddech.

Z podjazdu głową w dół zwisał mężczyzna. A raczej Fredrik domyślał się, że to mężczyzna. W życiu nie widział tak poszatkowanego strzałami człowieka. Powyrywane kości, skóra, wnętrzności, bluza z kapturem posiekana z mięsem i krwią, a twarzy po prostu nie było.

– Co najmniej dwadzieścia trafień. Krótki dystans, broń automatyczna. Bardzo agresywnie – zauważył trzeźwo technik.

Fredrik długo wpatrywał się w zmasakrowane ciało, nim zdołał oderwać wzrok.

– Panie święty! – Zerknął na Andreasa, który poblady wpatrywał się w zwłoki. Pod udem ofiary leżał taser. – Został użyty?

Technik zwlekał z odpowiedzią.

– Nie jestem pewien. Jeszcze nie skończyliśmy fotografować.

Fredrik nachylił się nad podziurawionymi nogami. Z tasera strzelano. Zwrócił się ku pozostałym. Okularnik przeskoczył drugie zwłoki.

– Chodźcie! Co innego chciałem wam pokazać.

Zeskoczył pomiędzy zielsko rosnące obok podjazdu. Fredrik poszedł w jego ślady. Technik oburącz odciągnął na bok solidny fragment betonowej podmurówki. Masywne metalowe zawiasy nie wydały żadnego dźwięku, gdy ciężka konstrukcja się otwierała. Betonowe drzwi obłożono kamieniami, tak że zlewały się w jedno z podjazdem. Miały mniej więcej trzydzieści centymetrów grubości, prawie metr szerokości, a wysokością dorównywały wzrostowi Fredrika.

– Co tam, u diabła, jest? – spytał Andreas z góry.

Technik spojrzał pytająco na Fredrika.

– Właśnie. Co to, u diabła, jest?

Za drzwiami z szorstkiego betonu znajdowały się inne – ze śliskiej stali. Oczy Fredrika napotkały

jego własne zdumione odbicie. Stał była gładka, bez jednego zadrapania. Żadnej klamki, tylko lekkie wgłębienie pośrodku metalowej powierzchni. Na wyświetlaczu migąło sześć zielonych gwiazdek.

– Otwarte?

– Tak mi się wydaje – odparł technik.

Fredrik wciągnął lateksowe rękawiczki. Zagłębienie nie dawało zaczepienia palcom, więc spróbował wepchnąć drzwi do środka. Nie drgnęły. Wtedy zrozumiał. Nie miały zawiasów. Były przesuwne.

Wystarczyło lekko dotknąć zagłębienia czubkami palców. Gdzieś w głębi konstrukcji jęknęła jakaś dźwignia i drzwi ustąpiły miękko jak japońska papierowa ściana. Były dwa razy grubsze niż zwykle i wyglądały na zrobione z mocnej stali.

Pomieszczenie za nimi było okrągłe, o średnicy niecałego metra, ale nie miało podłogi. Do pomalowanej na biało betonowej ściany przymocowano aluminiową drabinę, która prowadziła w dół, w mrok. Nad nią zamontowano świetlówkę. Była stłuczona.

– Weź to. – Andreas podał Fredrikowi latarkę. Ten poświecił w mrok. Wydawało mu się, że daleko w dole dostrzega podłogę.

– Schodzę.

Fredrik włożył latarkę między zęby. Zaledwie kilka stopni niżej dźwięki z góry uległy stłumieniu i słyszał jedynie czysty śpiew drabiny pod stopami. Gdy był bliżej dna, usłyszał coś nowego. Najpierw słabe metaliczne dudnienie, potem kliknięcie i gwizd skompresowanego powietrza. Sekwencja dźwięków powtarzała się co dziesięć–jedenaście sekund. Jeszcze kilka stopni. Już. Pod stopami twarda podłoga. Instynktownie się schylił. Wziął latarkę do ręki i rozejrzał się wokoło. Od twarzy w górę dzieliło go jakieś sześć metrów. Na prawo w betonowej ścianie znajdował się otwór korytarza prowadzącego w ciemność. Dźwięki dochodziły stamtąd. To, że znajduje się w piwnicy pod stodołą, wydawało się nierzeczywiste. Nie pachniało tu ziemią, nawozem ani pleśnią. Ale jakiś zapach wyczuwał. Kliniczny. Jak w szpitalu. Powietrze było suche, musiało mieć ze dwadzieścia stopni. Zanim przemknął w stronę korytarza, zgasił latarkę. Czyniła z niego świetny cel. Musiał zaufać, że pomoże mu widzenie skotopowe, nocne. Po jakichś dziesięciu, może dwunastu krokach korytarz ostro skręcał. Fredrik nasłuchiwał, wyjrzał za róg. Ciemno jak w grobie, wyjąwszy wąską smugę światła, jakby z uchylonych drzwi.

Czekał. Wydawało mu się, że światło w oddali pulsuje w rytm dźwięków. Przy ziemi kontrastujące ze sobą linie światła i ciemności się załamywały. Fredrik podjął decyzję i skoczył do przodu.

Hałasował próżniowy czujnik fotokomórki w drzwiach. Mechanizm wyrażał niezadowolenie, bo napotykał przeszkodę w wykonywaniu swojego zadania. Drzwi nie dały się zamknąć. Coś leżało na ich drodze. Jakiś tobołek. O ludzkich kształtach. Ciężkie metalowe drzwi obijały się raz po raz o okrwawioną głowę. Fredrik przesunął ręką w poszukiwaniu zaczepu i trafił na bezwładne ramiona.

Chwycił je z całej siły i wywłókł ciało za próg. Drzwi się zatrzasnęły. Ciemność. Pochylił się, przyłożył dłoń, nasłuchiwał.

Cholera.

Zapalił latarkę i popędził z powrotem do drabiny.

– Dajcie tu natychmiast zespół ratunkowy! Mamy jednego żywego!

## ROZDZIAŁ 9

Ratownicy pracowali szybko i w milczeniu.

Fredrik i Andreas wraz z dwoma umundurowanymi policjantami w hełmach i z peemami otaczali kołem nieprzytomnego mężczyznę, oświetlając swoimi latarkami sprawne ręce obsady karetki.

Ciężko ranny nie był ubrany tak jak pozostałe ofiary. Tamci mieli buty na bosych stopach i sprawiali wrażenie, jakby ubranie wrzucali na siebie w panice. Ten tutaj miał zawiązane sznurowadła, dokładnie zapięty pasek w dżinsach, koszulę i cienki sweter z wycięciem w serek. Mogło to wskazywać, że nie spał, gdy pojawił się sprawca. Co to znaczyło? Czy się znali?

Głowę rannego skrywały przed wzrokiem Fredrika plecy w żółtej kamizelce, ale napatrzył się już na tę błyszczącą od potu twarz, gdy czekając na pomoc, pilnował drożności dróg oddechowych mężczyzny. Ranny oczy miał zamknięte, usta półotwarte, błyszczące od różowej piany. Blond włosy zlepiała mu krew. Jedyne ciche nieregularne szemranie oddechu zdradzało, że jeszcze tli się w nim życie. Wyglądał na czterdziestolatka. Fredrikowi robiło się słabo na samą myśl o tym, jak długo ten człowiek leżał, podczas gdy metalowe drzwi rozbijały mu mięśnie, chrząstki i czaszkę.

Wyjątkowa wola przeżycia. Widywał to już przedtem. Zmaltretowane ciała na miejscach krwawych zdarzeń. Ludzie zwinięci w kłębek. Niemi – jak martwi. A potem okazywało się, że gdzieś w głębi, chronione pozycją płodową, tliło się nikłe światełko życia.

Czy warto było wszystko przetrzymać?

Niektóre z tych bezwładnych tobołków spotykał później – w ławach świadków, na rehabilitacji. Blizny i przeszczepiona skóra mówiły, że ciało zostało pocerowane, zebrane do kupy za pomocą drutów i śrub. Natomiast oczy... ciche niekontrolowane głosy, drzenie, niezręczna litość rodziny i przyjaciół, ślinienie się i zapach moczu z pieluchomajtek dla dorosłych... Nie, do diabła! Za cholerę nie było warto, by przeżywać potem coś takiego!

– Co pan o tym myśli?

Gdy zapinali rzemienie na noszach, Fredrik poszukał oczu lekarza. Mężczyzna nie odpowiedział. Zacisnął tylko usta i potrząsnął głową.

– Resztę pomieszczeń przeszukamy z bronią. Rozkaz Synne – zakomenderował Andreas.

Wręczył partnerowi kaburę z półautomatycznym pistoletem Heckler & Koch. Twarda polimerowa obudowa ciążyła w dłoni. Fredrik sprawdził magazynek i wciągnął przez głowę kamizelkę kuloodporną. Pocił się. Do tej pory nie czuł niepokoju. Dopiero teraz. To broń sprowadzała nerwowość. Nie lubił czuć ciężaru pistoletu na udzie. Ani w dłoniach. Niechęć czyniła zeń złego

strzelca. Zauważył spojrzenie Andreasa. Spojrzenie psychologa. Za chwilę padnie pytanie. Uprzedził je:

– W porządku.

Policjanci z odbezpieczoną bronią ustawili się w korytarzu po obu stronach drzwi. Spuścili przyłbice i czekali na jego znak.

Rozległo się słabe kliknięcie i drzwi się otworzyły. Światło w pomieszczeniu oślepiało. Fredrik zamrugał, dopiero potem szeroko rozwarł oczy. Dwaj mundurowi byli już w środku, każdy pochylony do przodu, z bronią gotową do strzału, pokonywał biegiem długość ściany. W drzwiach stał Andreas z pistoletem w wyciągniętych rękach na wysokości piersi.

Pokój był wielkości szkolnej klasy. Ściany i sufit pomalowano na zimną, czystą biel. Oświetlały go dwa rzędy nieosłoniętych świetlówek. Na szarym, świeżo wypastowanym linoleum wyraźnie rysowała się kałuża krwi przy drzwiach. Pod bocznymi ścianami stały blaty robocze, na których zgromadzono probówki, pipety, pęsety, plastikowy statyw i inne przyrządy badawcze. Było tam też potłuczone szkło. W szafkach nad blatami umieszczono kolby, wagi, przezroczyste plastikowe kubki i kolejne nierozpakowane probówki. Na podłodze pod blatami stały lodówki i butle z gazem.

To było laboratorium. Na jego przeciwległym końcu znajdowały się uchylone drzwi. Mundurowi wpadli do środka.

– Czysto! – zawołał jeden z nich.

Fredrik ściągnął kamizelkę. Chciało mu się pić. Serce tłukło się w piersi. Oddech miał płytki i przyspieszony. Pocił się.

– Cholera, co to za miejsce? – odezwał się głośno Andreas. – Nie odprawiali tutaj swoich modłów.

Fredrik powiedział policjantom, by uprzedzili Synne, że będzie potrzebował ekipy technicznej.

– I kogoś z wiedzą chemiczną, kto by mi umiał wytłumaczyć, co to, u diabła, jest!

Kucnął przed jedną z lodówek. Ostrożnie uchylił drzwiczki. Pusto. Sprawdził następną. I kolejną. Wszystkie były puste.

„Witam, tu Kari Lise Wetre z Chrześcijańskiej Partii Ludowej. Dzięki za telefon. Niestety nie mogę odebrać. Można mi przesłać SMS, odezwę się na pewno. W przypadku prasy proszę o kontakt z moją asystentką Tiną Holten. Miłego dnia”.

## ROZDZIAŁ 10

Gerhard Monsen złożył dłonie jak do modlitwy i powiódł wzrokiem po sali konferencyjnej. Zastanawiająco długo milczał.

– Polityka – zaczął. – Sztuka możliwego.

Pociągnął lekko za klapy obcisłej szytej na miarę marynarki. Żartobliwe spojrzenie sprawiało, że wydawał się młodszy, niż był w rzeczywistości.

– Bez rezultatów polityka nie jest niczym innym jak wprawkami dla masochistów. Oraz niekończącym się szeregiem kanapek popijanych bułgarskim czerwonym winem.

Przez salę przeszedł stłumiony śmiech. Przy każdym z okrągłych stołów siedziało kilkunastu parlamentarzystów, funkcjonariuszy partyjnych i asystentów. Mówca zszedł ze sceny i stanął między nimi, utkwiał wzrok w słuchaczy przy stole na wprost, w przywódców partii.

– Jestem tutaj, żeby mówić o wymaganiach. O tym, czego się wymaga od was. Czego trzeba, kiedy politycy z czterech konserwatywnych partii po raz pierwszy w historii narodu zasiądą za sterami kraju. Razem. I będą uprawiać *Realpolitik*. O powszechnym prawie ciężenia w polityce. O umiejętności dawania, żeby dostać.

Wymowa „r” zdradzała cień akcentu.

– Rząd, w którym nie wszystkie części aparatu władzy uznają to prawo, powoli ulegnie samozagładzie.

Białe jak śnieg zęby błysnęły w uśmiechu sprzedawcy.

– By na koniec paść u stóp żadnej zemsty opozycji.

Pauza.

– Gotów, by go zadziobano na śmierć i pożarto.

Kari Lise Wetre obserwowała twarze polityków siedzących obok niej. Przez osiem lat to oni byli sępami. Opozycją. Sondaże mówiły, że zrobili dobrą robotę. Szkielet rządu niedługo będzie ogołocony do cna.

– Tego dnia, gdy utworzymy rząd, nie mogą istnieć żadne nieporozumienia między naszymi czterema partiami. Do tego czasu muszą zostać wypielone. Polityczne chwasty to mają bowiem wspólnego z tymi w przyrodzie, że kruszą beton. A tego nie zniesie żaden rząd. Nawet ten.

Pauza.

– I o tym chcę dzisiaj mówić.

Wykonał obrót jak w tańcu i podszedł z powrotem do sceny.



„Tego dnia, gdy utworzymy rząd”.

A jeśli rzeczywiście wygrają wybory? Wówczas będzie rządziła wspólnie z tymi ludźmi. Nie, nie rządziła. Zmieniała. Będzie zmieniała kraj. Prawica dostanie premiera. To jasne. Byli najsilniejsi. Zawiesiła wzrok na Simonie Riebem. Jeśli okrągły stół może mieć jakiś koniec, to lider Prawicy siedział właśnie przy nim. Włosy barwy popiołu układały się gładko, by tak rzec, ministerialnie nad jego opaloną twarzą. Zęby, idealnie spiłowane i wybielone, lśniły ponad królewskim błękitem krawata. Ciemny garnitur opinał ciało jak kombinezon panczenisty. Następny premier tego kraju.

Riebe mrugnął do niej. Miał szczególny dar wyczuwania, że jest obserwowany. Oczy mu się zwężyły. Obleśnie.

Chrześcijańska Partia Ludowa chciała zawalczyć o to, by jej liderka Vibecke Fiskvik została ministrem finansów. Puszysta i jowialna, w krzykliwym kostiumie, wyglądała u boku Riebego jak rozdymka. Jej biust rozlewał się nad stołem. Vibecke wychowała się w głębi regionu, nad vestlandzkimi fiordami. Wyrosła z najbardziej konserwatywnego podglebia partii. Czy zdoła udźwignąć taką pozycję? Ministra finansów? Kari Lise wątpiła. Jednak tej wątpliwości strzegła jak tajemnicy państwowej. Przegrała walkę o pozycję lidera. Partia chciała Vibecke. Niech więc Vibecke popełnia błędy. Dopiero wtedy przyjdzie czas Kari Lise Wetre.

Mówca Gerhard Monsen był w Prawicy legendą. Urodził się poza krajem, zdaje się, że w Niemczech, jednak jego rodzice byli Norwegami należącymi do klasy średniej. Poszedł do szkoły oficerskiej i zrobił karierę w marynarce wojennej. Pod koniec lat sześćdziesiątych dobrze ulokował swoje pieniądze, a z początkiem lat siedemdziesiątych skończył studia prawnicze jako armator milioner. Obecnie był nieprzyzwoicie bogatym i hojnym filantropem. Młodzi aktywiści Prawicy, garniturkowe nadzieje, jak o nich złośliwie mówiono, nazywali jego udział w seminarium happeningiem. Występował przed nimi jako weteran. Jako ktoś „z wewnątrz” z czasów, kiedy Prawica ostatni raz rządziła krajem. Monsen był przez dwa lata ministrem sprawiedliwości i przez osiem lat deputowanym. Kari Lise Wetre dobrze pamiętała, jak jej nie dostrzegał na korytarzach Stortingu. Była młodą asystentką, on zaś byłym ministrem.

Zdaniem jej męża „nadzwyczaj sympatyczny skurwiel”. I dokładnie tym był.

Jej myśli nagle przerwało mocne stukanie palcem w ramię.

– Musisz wyjść – szepnęła jej asystentka Tina.

## ROZDZIAŁ 11

Nieustraszony. Zdecydowany. Z otworu kominiarki patrzyły na nich zimne oczy. A potem ekran zaczął migotać i zgasł.

Znajdowali się w ciemnym pomieszczeniu w głębi piwnicy Słonecznego Spokoju. Pulsujące czerwone światelko nad drzwiami zdradzało, że włączył się alarm. Podłogę wyłożono wyciszającym filcem, a pod stołem szumiały wentylatory. Wszędzie unosił się zapach rozgrzanego plastiku i przypalonego pyłu, zapach elektroniki. Na stole stały cztery płaskie ekrany, każdy z nich podzielony na cztery pola. Pokazywały obrazy z kamer przemysłowych ukrytych w różnych miejscach wspólnotowej nieruchomości. Prawie godzinę zajęło Andreasowi odszukanie filmu ze stodoły.

– Dobra robota. Powiadomię Synne. – Fredrik klepnął go w ramię.

– Dzięki, partnerze – odwzajemnił się Andreas.

Partnerzy. Tym właśnie byli Fredrik Beier i Andreas Figueras.

Próbując określić żądnych rezultatów polityków, komendant Neme utworzył coś, co określił jako „oddziały partyzantki policyjnej, niewielkie jednostki taktyczne, które będą poruszały się szybko i niebiurokratycznie pomiędzy sprawami i będą je rozwiązywać – grupy wyjaśniające”. Nazwa chwyciła zarówno wśród polityków, jak i dziennikarzy, a tym samym połowę roboty miał z głowy. Według gazet grupy składały się z „doświadczonych, odpowiedzialnych i dojrzałych detektywów, których policyjne serca biły dla mieszkańców miasta”. W firmie wszyscy wiedzieli, że w jednym kącie otwartej przestrzeni biurowej na Grønlandzie upchnięto trzy typy policjantów: nieudaczników, pechowców i takich, którzy popadli w niełaskę.

Andreas zdecydowanie należał do trzeciej kategorii. Ciężko pracujący detektyw, jeden z najlepszych specjalistów od przesłuchań, analityk uwielbiający zagmatwane sprawy był jednak nieustępliwy jak taran, a swoją towarzyską aktywność ograniczał do świąt i pogrzebów. Toteż kariera Figuerasa utknęła w martwym punkcie. Zastygła, odesłana do krainy wiecznego snu, jak kurwa w dzień po Nowym Roku.

Natomiast Fredrik zaliczał siebie do pechowców. Jego słabością były napady lęku, a w instytucji napędzanej testosteronem słabość stanowiła tabu. Niemniej w ciągu wielu lat pracy dobrze się przysłużył policji. „Dobrych detektywów też potrzebujemy”, powiedziała mu Synne, płacąc za lunch. Co, u diabła, można na to odpowiedzieć? Tak objawił się pech. Żeby osłodzić gorzką pigułkę, jaką było przeniesienie go do grupy wyjaśniającej, pozwolono mu wybrać partnera. Więc wybrał Andreasa. Dwie stare zrzędy, które odkąd pamiętał, ramię w ramię badały sprawy morderstw, porywania dzieci, maltretowania i innych tragedii. Takie świństwa skracają człowiekowi życie. Choć po drodze zyskuje

się też kilku przyjaciół.

Szybko się okazało, że partyzantka komendanta nie została przeznaczona do tak poważnych zadań. Fredrik poczuł się, jakby go posadzono przy niekończącej się taśmie damskich bokserów, brutalni wobec dzieci i przyjaciół-gwałcicieli, ciągle dostawał sprawy, w których ofiara była pobita do nieprzytomności, a sprawca znany. Sprawy nieskomplikowanych, ale apelujących do wyobraźni gwałtów. Sprawy, które mógł szybko rozwiązać. Proste. Fredrik nienawidził każdego takiego dnia, Andreas nienawidził ich równie mocno. Byli detektywami. Nie urzędnikami. Ale to tylko jedna strona medalu. Dawno temu podobne wydarzenia sprawiły, że został policjantem. Chciał pomóc ofiarom piekła – posiniaczonym dzieciakom i śmiertelnie przerażonym kobietom. Teraz cierpiał na samą myśl o jeszcze jednym dniu i kolejnym przesłuchaniu kolejnego dziecka zawiedzionego przez tych, którzy zawieść nie powinni. Za dużo go to kosztowało. Zbyt wiele pytań wymagało odpowiedzi. Zbyt wiele emocji. Bo sam był jednym z tych, którzy zawiedli.

A teraz wydarzyła się masakra. Niech go piorun, jeżeli wypuści ją z rąk.

Z podziemnego laboratorium dobiegł go głos Synne.

– ... to centrala alarmowa, czy jak to nazwiemy. Przypuszczam, że ten Tufte siedział tutaj.

Mówiła do Sebastiana Kossa, który z nią przyszedł. Posłał Fredrikowi i Andreasowi lodowate spojrzenie, na które natychmiast odpowiedzieli.

– Jaki Tufte? – spytał Fredrik, patrząc na Synne.

– Według prawa jazdy taka jest tożsamość rannego. Ivar Tufte. Czterdzieści dwa lata. – Wpatrzyła się w ekrany.

– Mamy zdjęcia?

Pokazali im fragment nagrania. Kamera, która ujęła sprawcę, była zamontowana nad drzwiami do stodoły. Nagranie trwało niespełna siedem sekund. Ciemna postać z bronią automatyczną pojawiła się w zasięgu obiektywu, zatrzymała i podeszła wprost na soczewkę. Mężczyzna był szczupły i silny. Spokojny. Jego ramiona unosiły się i opadały w rytm oddechu. Oczy widoczne w otworze kominiarki nie umykały na boki. Mignięcie puszkii ze sprayem – i już tylko szare śnieżenie.

Cholera. Coś było w tym spojrzeniu, Fredrik zdawał sobie z tego sprawę. Coś niepokojącego. Złowieszczonego. Ludzi z takimi oczami należy się strzec.

– Wszystkie kamery zostały zlokalizowane. Pięć umieszczono w budynku, trzy w stodole i osiem na dworze. Jedenaście z nich zamalowano sprayem – odezwał się Andreas.

Synne wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Do czego takiej małej wspólnoty potrzeba aż szesnastu kamer monitoringu? – spytała. – Na ile zaawansowany jest ten sprzęt? Skąd go mieli?

– Kamery są małe i dość kosztowne – odpowiedział Andreas. – Ale jest to towar ogólnodostępny. Numery seryjne powinny nas doprowadzić do sprzedawcy.

Sebastian Koss ciągle wpatrywał się szarobury ekran. Fredrika nurtowało, czy zauważył to samo co on – zapowiedź burzy we wzroku mężczyzny.

– A nie ma jakiejś informacji? Ostrzeżenia, że teren znajduje się pod obserwacją kamer? Żadnej tabliczki z napisem „Wstęp wzbroniony”? – spytał nagle Koss, odrywając wzrok od ekranu.

Rzeczywiście miał rację. Ludzie, którzy chcieli mieć spokój, zawsze ustawiali tabliczki. To z reguły wystarczało, żeby trzymać ciekawskich na dystans. Tu jednak kamery były wbudowane w ściany i ukryte na drzewach. Schowane. Monitoring Słonecznego Spokoju zamontowano po to, żeby odkryć zagrożenie. Tak poważne, że tabliczki nie odgrywały żadnej roli. Fredrik pomyślał o martwych mężczyznach na trawniku. Nie udało się im mimo szesnastu kamer.

Wrócił do laboratorium przeczesanego od góry do dołu przez ekipę techniczną. Ciężkie oddechy świadczyły o tym, że praca była trudna. Skinął na człowieka, który kierował robotą.

– Wysyłam wszystko do analizy, ale jestem przekonany, że nic nie znajdziemy. To, co dotychczas zbadaliśmy, zostało wcześniej dokładnie oczyszczone i wysterylizowane. Tu nie ma nawet pyłku.

Technik ściągnął kaptur i papierowym ręcznikiem wytarł z brody pot, po czym rozprostował papier i użył go jeszcze raz na karku. Fredrik wpatrywał się w niego przybity.

– Mogę jedynie powiedzieć, że to laboratorium produkcyjne, a nie doświadczalne.

Siadł i gestem dał znać, żeby Fredrik ściągnął z niego ubranie, zaczynając od buta.

– To znaczy?

– Prawie nie ma tu literatury naukowej, żadnych notatek. Wszystkie stanowiska wyposażono w takie same standardowe urządzenia. Tu nie prowadzono badań.

But się poddał i w laboratorium rozszedł się gęsty, słodkawy zapach potu.

– To daje mi podstawy do następującego wniosku: albo laboratorium nie było używane, albo wspólnota robiła tu coś, co znacząco zagrażało zdrowiu. To drugie wyjaśniałoby tę ekstremalną czystość.

Fredrik poskrobał się w głowę.

– Jeżeli laboratorium nie było używane... to dlaczego zostało wyczyszczone?

– Właśnie – potwierdził technik. – Stąd moja teoria, że działało i że w tych lodówkach coś przechowywano. Może lekarstwa albo jakieś trucizny. Może narkotyki. Produkcja pewnych rodzajów środków odurzających jest bardzo niebezpieczna, jeżeli się nie wie, co się robi. – Rozłożył ręce. – Cokolwiek to było, laboranci usunęli to przed napadem albo podczas niego zostało skradzione...

– Laboranci... – powtórzył Fredrik powoli. – Jeden z członków wspólnoty był laborantem. Annette Wetre.

Kiedy stanął we wrotach stodoły, wyszło mu naprzeciw blade światło szarego świtu. Ćmiący ból głowy ostrzegł Fredrika, że jego siły wkrótce się wyczerpią.

W namiocie dowodzenia obok wojskowego termosu czekali Synne i Andreas, który wręczył mu kubek z kawą. Fredrik uniósł go do ust i podmuchał. Szkła okularów zaszły parą. Przez mgłę obserwował nowo przybyłą – młodą, piegowatą policjantkę, która relacjonowała, że poranne godziny spędziła na przepytywaniu sąsiadów. Kiedy zauważyła, że na nią patrzy, uśmiechnęła się zażenowana i zaczęła się bawić tekturowym kubkiem.

– I co powiedzieli? Są jacyś w ogóle?

– Przy głównej drodze stoi kilka domów. Mieszkają w nich rodziny z dziećmi. Na północ od willi, za lasem leży małe gospodarstwo starszego małżeństwa. – Wskazała palcem kierunek. – Mówili, że wspólnota zamieszkiwała tutaj od wielu lat i że jej członkowie nigdy nie zadzierali nosa. Przypuszczają, że przebywa tu dwadzieścia–trzydzieści osób. Mówią, że młodych. Także dzieci.

– Cholera – odezwała się Synne zmęczonym głosem. – Dzieci i rodzice. Gdzie oni, u diabła, są?

## ROZDZIAŁ 12

Deszcz wyłobił w żwirze głębokie koryta, w które wpadały koła. Na ostatnim podejździe z Kjelsås do punktu widokowego na Skale Miłości Jørgen poddał się i zsiadł z roweru. Oddychał z trudem, a serce waliło mu jak młotem. Od lasu napływała słodka woń mokrej ziemi, a nad szczytem drugiego wzniesienia piętrzyło się ciemniejące niebo. Był mokry, przemarznięty i nie w humorze.

Dotarłszy na miejsce, dziennikarz kanału telewizyjnego TV2 Jørgen Mostu oparł rower o ławeczkę zakochanych, przyjrzał się mokrym deskom i nie zdecydował się usiąść. Mieli się spotkać o szóstej. Było pięć po. Zapatrzył się w jezioro Maridalsvannet znajdujące się kilkadziesiąt metrów poniżej miejsca, gdzie stał. Od mgły otulającej wyższe partie doliny odrywały się szare kłaczkę i unosiły nad wodą jak zbłąkane baranki, by zniknąć nad lądem koło Frysji.

Mężczyzna czekał na Jørgena w lesie, ale w ciemnym treningowym ubraniu – bluzie typu softshell i legginsach do joggingu – był prawie niewidoczny pomiędzy pniami drzew. Dziennikarz zauważył go, dopiero kiedy ten wyszedł z cienia na płaską skałę. W ręku trzymał miniplecak. Był wysoki, imponująco wysportowany jak na swój wiek.

– Przykro mi, że nie mogliśmy się spotkać wcześniej – odezwał się. – Miałem zebranie.

Jørgen chrząknął.

– Nie należę do ludzi, którzy w taką pogodę jeżdżą na wycieczki rowerowe. Moja żona podejrzewa, że postarałem się o kochankę – powiedział, rozmasowując zaokrąglony brzusek.

Mężczyzna w ciemnym ubraniu uśmiechnął się zdawkowo.

– Miejmy nadzieję, że uzna pan, że było warto – skwitował, otwierając plecak. – Zna pan Annette Wetre?

Jørgen zaprzeczył ruchem głowy.

– Nieważne. Zna pan jej matkę. Kari Lise Wetre. – Mężczyzna posłał mu wiele mówiące spojrzenie. – Na tym pendrivie znajdzie pan dwa zdjęcia. Jedno przedstawia Annette Wetre, drugie Mohammeda Khaleda Omara.

Jørgen zmarszczył brwi i spojrzał pytająco. Tego znał.

– Od godziny Mohammed Khaleed Omar jest poszukiwany w związku z zabójstwem pięciu osób w posiadłości o nazwie Słoneczny Spokój, zaledwie kilka kilometrów stąd. – Mężczyzna wskazał głową kierunek. – Słoneczny Spokój zamieszkiwała wspólnota o nazwie Światło Boga. Annette Wetre była jej członkiem.

Jørgen spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Rany! Więc Annette Wetre... nie żyje?

– Zniknęła. – Mężczyzna cofnął się na leśną drogę. –Zdążymy na *Wiadomości* o dwudziestej pierwszej?

## ROZDZIAŁ 13

*Wiedeń, kwiecień 1937 roku*

Nigdy nie bił. A teraz uderzył tę, którą przez dziewięć lat kochał. Uderzył na odlew i z całej siły.

Kłaśnięcie zagłuszył hałas wózków ulicznych sprzedawców, stukot końskich podków o bruk Mahlerstraße. Potem ucichły dzwony kościoła Świętej Anny. W mieszkanku unosił się zapach mydła.

– Coś ty zrobiła, Elso!?

Wymowy prawie nie dało się odróżnić od miejscowej. Młody Norweg słuchał brzmienia własnego głosu, gdy tymczasem wiotka, zgięta w pół kobieta się prostowała. Policzek Elsy Schrader płonął czerwienią. Głos miała nie swój. Jakby dzieliła ich ściana.

– Profesor przewidział, że tak zareagujesz. Ale to moja decyzja. To było moje dziecko.

– Nasze dziecko!

– To nie było dziecko.

Nagłym ruchem zsunęła walizkę z łóżka. Jego rzeczy rozsypały się po podłodze: ubrania, książki, które się zmieściły, buty, przybory do golenia, grzebień... Grzebień. Rzucił się na kolana, zebrał swój dobytek na kupkę i spojrzał na Elsę z nienawiścią. Bo zdradzony zawsze nienawidzi zdrajcy. Kobieta, która obiecała zostać z nim na zawsze, zniknęła.

– Urodziłam potworka, Kolbeinie. Teraz jest jej lepiej.

Elsa z rezerwą wpatrywała się w podłogę, póki nie chwycił walizki i nie wyszedł.

To nie był łatwy poród. Lekarz i położna mówili, że nie rozumieją, dlaczego mała każe na siebie czekać. Wiele godzin siedział w śmierdzącej eterem poczekalni. Pielęgniarki bezustannie się kręciły. Uspokajały go. Z nieustająco głębokim szacunkiem. Wszak i on, i Elsa byli cenionymi naukowcami. I pracowali dla niego. Dla sławnego profesora Eliasa Brincha.

Opuszki palców zachowały palące wspomnienie ciepła i miękkości niemowlęcej skóry. Kolbeinowi wydawało się, że czuje zapach ciała noworodka, a echo gwałtownego krzyku dziecka dopominającego się o matczyną pierś dzwoniło mu w uszach. Elsa jednak pozostała nieugięta. Od momentu, gdy pierwszy raz zajrzała do łóżeczka i zobaczyła przerośniętą głowę i wiotkie kończyny, a także nadnaturalnej wielkości organy płciowe.

– Dlaczego przynajmniej nie urodziła się martwa? Dlaczego żyje? – pytała przez łyzy.

Wagony stukotały. Wpadające przez szparę w oknie wiosenne powietrze pachniało nawozem i świeżo zaoraną ziemią. Między pędami winorośli widział kanciastych chłopów, na poboczach dróg



przykurzonych mężczyzn z papierosami zwisającymi z kącików ust, na stacjach podniecone podróżą kobiety wybuchające egzaltowanym śmiechem. Jakby świat nie znał zła.

W Europie wrzało przed burzą. W chłopskiej Norwegii nie było miejsca dla kogoś takiego jak on. Wybrał więc Londyn.

## ROZDZIAŁ 14

*Londyn, luty 1943 roku*

Zimowa mgła zasnuwała okolicę i lepiała się do ciała. Kolbein Ihme Monsen szedł szybko po kocich łbach. Od mieszkania w suterenie przy Ridgmount Gardens wciąż dzieliło go sporo nieoświetlonych ulic, a nie miał już wątpliwości, że ktoś go śledzi.

Ogarnęła go rozpacz. Bo to nie był pierwszy raz. Ten strach dopadał go już przedtem, a rany, które zostawiał, okazały się głębokie. Pewnego razu biegł spanikowany tak długo, aż kompletnie stracił oddech. Innym razem skrył się w wojennych ciemnościach milionowego miasta i nie wrócił do domu. Ostatnio po prostu zatrzymał się w mroku londyńskiej nocy, wyobrażając sobie, że w ten sposób stawi czoło swoim fantasmagoriom. Bo przecież nie było żadnego prześladowcy. Po co ktoś miałby go tropić? Nikt nie wiedział.

Dziś wieczór jednak znowu się trząsł. Bo dziś wyczuwał zmianę. Był pewny, prawie całkowicie pewny, że tym razem się nie myli. Ktoś za nim szedł.

Wsadził rękę głęboko do kieszeni pogniecionej marynarki i objął palcami rękojeść. Ścisnął ją tak mocno, że miał wrażenie, iż grawerunek wrzyna mu się w dłoń. Jego inicjały. Gdyby to był nóż, a nie ten nieszczęsny prezent od ojca za egzamin. Grzebień. Przyspieszył kroku.

Wieczorny wykład odbył się w Audytorium Galapagos na Wydziale Nauk Biologicznych Birkbeck College Uniwersytetu Londyńskiego. Kolbein nigdy nie rozmawiał ze starym profesorem za katedrą, chociaż byli kolegami.

Nie, po co jeden z najbardziej honorowanych biologów na uniwersytecie miałby tracić czas na kogoś takiego jak on, niepozornego magistra z sennej pracowni gadzich owodniowców? Niekiedy sam się zastanawiał, do jakich gadów zaliczyłby siebie. Może do jaszczurek? W Wiedniu puszył się jak australijska agama kołnierzasta – wyzywający, barwny i pewny siebie. Ale tutaj był sam. Tu należało mimetycznie wtopić się w otoczenie jak kameleon. Nikt nie może poznać jego przeszłości. Nikt nie może się dowiedzieć. To by go zniszczyło. Tym razem na dobre.

Gdyby wykładowca przeczuwał, kto siedzi w ostatnim rzędzie Audytorium Galapagos, czułby się zaszczycony. Ponieważ starzejący się Brytyjczyk sam do niedawna był socjodarwinistą i selekcjonistą, inaczej mówiąc: biologiem rasowym. Takich określeń jednak obecnie się nie używało. Prorokiem profesora był Karol Darwin, toteż głosił on, że darwinizm nie dotyczy tylko organizmów jednokomórkowych, roślin czy zwierząt, ale także ludzi. Bo Darwin wykazał, że rasy się zmieniają. Walczą ze sobą. Wytwarzają cechy szczególne. Co oczywiście dotyczyło także ras ludzkich. Dlatego

też w zgodzie z naturą jedna rasa, najlepiej przystosowana, rozwinięta intelektualnie i społecznie rasa aryjska, była przeznaczona do panowania nad innymi. Co innego byłoby drwiną z samej ewolucji.

Właśnie podczas wykładu Kolbein po raz pierwszy poczuł strach. Ich spojrzenia się spotkały i stary profesor utkwił w nim wzrok. Jakby go rozpoznał – czy to ze zdjęcia, czy z jakiegoś artykułu albo z któregoś z niezliczonych sympozjów, gdzie spotykali się tacy jak oni. Potem jednak jego oczy przesunęły się dalej. A Kolbeinowi pozostało poczucie dyskomfortu. Wywołanego tym, że go dostrzeżono.

Zszedł pospiesznie po kamiennych schodkach do sutereny. Poszukał w kieszeni klucza. Gdy wkładał go do zamka, zeszywniał. Wysoka postać stojąca na szczycie schodów rzucała długi, mroczny cień.

## ROZDZIAŁ 15

*Londyn, luty 1943 roku*

– Musimy porozmawiać – szepnął głęboki głos.

– To ty – odezwał się Kolbein cicho.

– Nareszcie – odparł mężczyzna.

Drogę z Ridgmount Gardens przez Hyde Park przebyli w milczeniu. Kolbein musiał się starać, żeby nadążyć za prawie dwumetrowym towarzyszem. W końcu stanęli przed edwardiańską kamienicą w zamożnym Kensington. Wielkolud otworzył drzwi, dopiero kiedy się upewnił, że są sami.

Kolbein opadł na stołek w pobielonej kuchni. Jego towarzysz zasunął zasłony i przeciągnął się, aż zatrzeszczały dopasowane, wytarte bawełniane spodnie. Zabrzęczało szkło. Glenlivet. Single malt.

– Chyba potrzebujemy czegoś takiego – odezwał się. – Mają cię na oku, Kolbeinie.

Szkocki akcent był tak samo wyraźny, jak Norweg pamiętał. A więc nie zaczynał wariować. Rzeczywiście był śledzony.

– Kto? Władze? A co z tobą?

John Monkland Acton posłał mu przeciągłe spojrzenie, pochylając się nad obrusem w czerwono-białą kratkę. Postawił na stole dwie szklanki z grubego szkła, wyciągnął korek z butelki i do każdej nalał whisky na dwa palce. Uśmiechnął się szyderczo. Nie odpowiedział, tylko wyszczerzył zęby. A więc to była prawda. Kolbein nie zliczył, ile to razy Elias Brinch oskarżał w złości Johna o szpiegowanie dla Brytyjczyków. A John zaprzeczał. „Jestem lojalny wobec nauki. Wobec ciebie i nauki”, zapewniał.

– Powiadają, że ostatnio tytułujesz się magistrem. Magistrem czego, za przeproszeniem?

Kolbein wyciągnął grzebień, rozłożył go i przeczesał ciemnoblonde włosy, po czym opróżnił szklankę i odchylił się na stołku. Pozwolił, by alkohol rozszedł się po ciele.

– Owodniowce, gady – odpowiedział cicho. – Jaszczurki i takie tam – dodał, chociaż John wiedział, o czym mówi.

To nawet nie była nieprawda. Miał dawny stopień magisterski. Swoją pierwszą. Ze studiów w Muzeum Bergeńskim.

Wielkolud popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Więc... wszystko po prostu zostawiłeś? Człowiek z twoim talentem... Z twoją renomą...

– Wiedeń to zamknięty rozdział – odparł Kolbein, sącząc resztki trunku.

John napełnił szklanę ponownie.

– Dla mnie w Wiedniu zrobiło się zbyt mrocznie. Potrzebowałem nowego kraju, nowego miasta.

Bez duchów. Bez historii.

– I co? Podziałało? Ten nowy start?

Kolbein prychnął.

John opuścił Wiedeń niedługo po nim. Kiedy wybuchła wojna, zajął się łamaniem szyfrów dla brytyjskiego wywiadu wojskowego.

– Pracuję nad wyjątkowo nieoficjalnym projektem. Nie wolno nam o tym mówić. Ani o tym, nad czym, ani o tym, z kim pracujemy. Żyjemy w wojskowym ośrodku i rzadko dostajemy przepustki. Jestem tu teraz, bo sądzą, że odwiedzam brzemienną siostrę. Jednak nawet moja rodzina nie wie, czym się zajmuję. – John spojrzał na Kolbeina. – Musiałem się upewnić, że nikt cię nie śledzi, tak samo jak musiałem się upewnić, że nikt nie śledzi mnie. Dopiero wtedy mogłem nawiązać kontakt. Człowiek na moim stanowisku może zostać postawiony przed sądem wojskowym za samą wymianę spojrzeń z kimś takim jak ty.

„Ktoś taki jak ty”. Te słowa bolały. Jakby nie nienawidził Eliasa Brincha do głębi – silniej, niż byłby w stanie nienawidzić jakikolwiek zadowolony z siebie Brytyjczyk. Po prostu jeszcze jedno potwierdzenie, że dobrze zrobił, decydując się ukryć swoją przeszłość. Bo oni tego nie rozumieją. Nikt tego nie rozumie.

– Naszym zadaniem jest rozszyfrowywanie zakodowanych niemieckich meldunków – podjął Szkot po długiej przerwie. – Z powodów, o których nie mogę mówić, jesteśmy w tym cholernie dobrzy.

Nie chwalił się. Ton był raczej smutny. Dużo kosztowało go wypowiedzenie tych słów na głos, do kogoś z zewnątrz. A Kolbeina zastanowiło, dlaczego John mu się zwierza.

– Dowiesz się – rzucił Acton, unosząc w górę dłonie, jakby czytał w jego myślach, po czym wstał i z kufierka przy drzwiach wyciągnął grubą kopertę. – Pamiętasz?

W kopercie znajdowała się czarno-biała fotografia w mosiężnej ramce wielkości książki. Szkło było przykurzone, a na wąskim passe-partout widniał ozdobny napis „Wiedeń 1931”. Kolbein przeciągnął palcem po twarzach na zdjęciu. Nie musiał liczyć, wiedział, że jest tam osiem osób. Siedmioro studentów i profesor przed wielkimi łukowatymi oknami głównego gmachu Uniwersytetu Wiedeńskiego zaprojektowanego przez Heinricha von Ferstla.

W tylnym rzędzie pierwszy od lewej stał Szwed Ulf Plantenstedt, w czarnym prążkowanym garniturze, z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami i zapowiedzią podwójnego podbródka. Obok niego Austriak Thomas, matematyk z hiszpańską bródką i przedziałką pośrodku głowy oraz fajką, którą jak zwykle arogancko trzymał w kąciку ust. I sam Kolbein, świeżo ogolony, ze starannie uczesanimi włosami. Wyglądał na szczęśliwego i na – musiał przyznać – nie tak całkiem małego

aroganta.

– Dawne czasy – powiedział zamyślony.

– W kwietniu minie dwanaście lat – uściślił John.

Na zdjęciu stał obok Kolbeina, przewyższał pozostałych o głowę. Spod ciemnej fedory w rodzaju noszonych przez chicagowskich gangsterów wystawały kręcone włosy. Jego kanciasta twarz wzbudzała zaufanie. Ostatni w tylnym rzędzie był Sigmund, chemik o delikatnych ciemnych lokach, w okrągłych okularach, jedyny, który nie zdjął laboratoryjnego fartucha.

– Wiesz coś? – Kolbein postukał palcem w pierś Żyda.

John potrząsnął ponuro głową.

– Martwię się też tym, co się mogło stać z Lubow. Dochodzą mnie słuchy, że Kijów leży w gruzach.

Dobrze zbudowana Rosjanka z końską twarzą siedziała z przodu po prawej. Jasne włosy miała obcięte na pazia, a bezkształtna sukienka odsłaniała parę grubych kostek. Obok niej siedział on. Profesor. Elias Brinch.

Kolbein przełknął głośno ślinę.

Brinch był punktem centralnym tego zdjęcia. Jego skupione spojrzenie płonęło. Ubrany był nieskazitelnie, w wełnianą marynarkę w pepitkę, pachnącą, o czym Kolbein wiedział, wodą kolońską Lenthéric. Pochylał się lekko do przodu, a na kolanach trzymał dyplom: „Nagroda imienia Rudolfa IV dla profesora Eliasa Brincha za wyróżniające się badania w 1931 roku”. Ich mentor zbliżał się do czterdziestki, pozostali byli młodszy.

Lewa ręka profesora spoczywała obok uda, blisko dłoni drugiej z siedzących kobiet. Nawet przyglądając się bardzo dokładnie, co Kolbein czynił wielokrotnie, nie można było jednoznacznie stwierdzić, czy ich dłonie się stykały. Kobieca ręka to ręka Elsy. Pozowała u boku swojego mistrza wyprostowana, ze złączonymi stopami. Spojrzenie miała pewne siebie i zalotne. Długie włosy upięła nad delikatnym, pachnącym karkiem i tylko jedno pasmo spływało po sukni, którą tego dnia miała na sobie. Drobną twarz jaśniała, nos był wąski, za to oczy duże i ciepłe, tak ciepłe jak pełne wargi. Pamiętał, że zawsze były ciepłe. Boczne oświetlenie sprawiało, że jej biust rzucał delikatny cień. Była tak piękna jak Lubow brzydka.

Nad głowami stojących mężczyzn cienkim piórkiem napisano: „Wiedeńskie Bractwo przetrwa. Życie i cześć po wiek wieków! Twój przyjaciel Elias”.

– Wiedeńskie Bractwo – szepnął Kolbein.

Poczuł się, jakby stanął oko w oko ze zjawą.

## ROZDZIAŁ 16

*Londyn, luty 1943 roku*

O ile Kolbein mógł to ocenić, John Monkland Acton był geniuszem. Został wcielony do bractwa profesora Brincha, żeby wspomóc zaawansowane badania rasowe obliczeniami, kalkulacjami i prognozowaniem. Nigdy nie zaliczał się do Kolbeinowych faworytów. Młodzieniec ze szkockiej klasy wyższej był na to zbyt egoistyczny. Zajęty sobą i pewny siebie. Teraz Kolbein zrozumiał, że się go bał. Bał się, że barczysty matematyk o ostrym języku będzie się do niej zalecał. Że zabierze mu Elbę. Ale zagrożenie zjawilo się z innej strony.

– Korespondencja, którą rozszyfrowujemy, zawiera czasem prywatne wiadomości – odezwał się John. – Gretel znowu chora. Tęskni za tatą – naśladował. – To mogą być zakamuflowane komunikaty wojskowe, na przykład zakodowane nazwy agentów i akcji. Często jednak meldunki są tym, na co wyglądają: informacją od najbliższych. Niedawno rozszyfrowałem jedną taką wiadomość.

Po chwili ciszy John zacytował bezbłędną niemczyzną:

– Najdroższa E., jestem taki dumny. Praca wre. Wyniki wysyłane na bieżąco. Bractwo trwa. Najgorętsze moje myśli mkną ku tobie i E.G. E.

Kolbein zauważył, że John stara się odczytać jego reakcję.

– Wysłano ją dwunastego października zeszłego roku z dowództwa wojskowego na Południową Norwegię do jednostki w Heidelbergu.

Kolbein czekał bez słowa na ciąg dalszy. Bawił się grzebieniem, przeciągając palcem po cienkich ząbkach z kości słoniowej. Śpiewały jak struny harfy.

– Najpierw umknęła mi w stosie innych. Ale po powrocie na kwaterę jej tekst nie dawał mi spokoju. Bractwo. Inicjały. E. i E. I E.G. Elias i Elsa. A E.G.? – Szkot mierzył Norwega poważnym spojrzeniem. – Elsa... – odchrząknął. – Elsa ponownie zaszła w ciążę. Niedługo po twoim wyjeździe z Wiednia. Z profesorem. Mają dziecko. Syna.

Syna. A więc mrok w końcu zatopił w nim swoje jadowite kły. Ukąszenie smoka z Komodo. Mięśnie ramion, rąk i palców Kolbeina napięły się, ściętna szyjne naprężyły i poczuł, że twarz zastyga mu w grymasie cierpienia.

Zęby grzebienia złamały się pod palcami i rozsypały po stole.

– Wiedziałem, że jest w ciąży – odparł zmęczonym tonem. – Elsa napisała do mnie. A więc to chłopiec? Zdrowy?

John znowu chrząknął, zażenowany.

– Tak sądzę. Urodził się w czasie, gdy bractwo się rozpadało. Widziałem go tylko raz.

– A czy... wspominała czasem swoje pierwsze dziecko? Nasze?

John wbił wzrok w obrus.

– Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka – szepnął Kolbein.

Odkaslnął. Podniósł głowę. To by oznaczało...

– Brinch i Elsa prowadzą dalej prace Wiedeńskiego Bractwa?

John skinął potakująco.

– Znalazłem jeszcze trzy podobne wiadomości.

Wskazał palcem kopertę, z której wcześniej wyjął fotografię. Arkusiki bibułki były cieniutkie i szeleściły, gdy Kolbein je rozprostowywał. Na wszystkich widniał stempel „TOP SECRET”.

– To pierwsza, wysłana drugiego czerwca czterdziestego pierwszego roku, półtora roku temu. – John wskazał palcem jeden z cienkich skrawków. – „Moja wdzięczność nie ma granic. Wyglądam naszego spotkania. Dużo myśli i propozycji. E.” W tym samym roku jesienią, piątego września: „Pierwszy transport przybył pociągiem. Grecja wydaje się obiecująca. Wyniki testu zgodne z oczekiwaniami. E.”. – John przesunął palec na ostatnią bibułkę. – A teraz, w okresie świątecznym, przyszło to: „Locusta. E24G554. E.”.

– Locusta – powtórzył cicho Kolbein.

– Locusta – potwierdził John. – To dlatego trzeba się spieszyć. I dlatego szukałem kontaktu z tobą.



## ROZDZIAŁ 17

– Pakistańczycy, Somalijscy, Afgańczycy, Szwedzi, Polacy. Co te wszystkie nacje mają wspólnego? Chcą oglądać w cholernych telewizorach swoje własne gówniane programy.

Na balkonie kamienicy naprzeciwko komendy policji na Åkebergveien na Grønlandzie pojawiła się nowa antena satelitarna. Dziewięć na dwadzieścia balkonów zdobyły już olbrzymie talerze zwrócone na południe. „Nasylenie antenami” wzrosło do czterdziestu pięciu procent. Andreas nazywał to najbardziej poprawną metodą liczenia imigrantów w mieście.

Fredrik był sam w jednym z pokoi konferencyjnych na szóstym piętrze, czuł niesmak, że rachuje anteny, oblicza procenty i myśli o Andreasie. Nawet długi nocny sen nie usunął z jego ciała zmęczenia godzinami spędzonymi w Słonecznym Spokoju. Przeciągnął się, zdjął z nosa ciężkie okulary i wciągnął do płuc ciepłe, świeże powietrze, które z trudem przeciskało się przez zabezpieczoną przed próbami samobójczymi szczelinę w oknie.

Burza przez noc ucichła. Teraz po niebie płynęły białe letnie chmurki. Zwykle o tej porze na Grønlandsleiret w oczekiwaniu na zielone światło tworzyły się korki, ale nie dziś. Nie w ostatnim tygodniu przed wakacjami. Kilka samochodów leniwie wyprzedziło rowerzystę w trykocie. Dwie dziewczyny o nieopalonych udach uprawiały jogging na chodniku.

Fredrik rozpoznał baryton Sebastiana Kossa, zanim otworzyły się drzwi za jego plecami.

– ... tak więc zobaczymy, co media z tym zrobią. Pięć osób zabitych. Cała piekielna wspólnota rozplynęła się w powietrzu. Natomiast trop islamistyczny jest cholernie interesujący.

Koss wymawiał słowo „cholernie” z takim akcentem na pierwsze „e”, że „o” z poprzedzającej sylaby prawie zanikało. Chleeeenie.

Inspektor przerwał monolog.

– A oto i ten Beier, o którym wspominałem.

Odsunął się nieco na bok i mrugnął niezauważalnie, jak mu się wydawało, do niskiego mężczyzny o krzaczastych brwiach i kręconych włosach idącego za nim. Gość przeszedł zdecydowanym krokiem przez pokój.

Fredrik wyciągnął rękę i przyjął twardy uścisk spoconej dłoni. Mężczyzna miał zawieszony na szyi plastikowy identyfikator z godłem i trzema literami: PSB.

– Samir Bikfaya, Policijna Służba Bezpieczeństwa.

Słowa padały krótkim staccato, a melodia zdradzała, że norweski nie jest jego ojczystą mową. Sądząc z wyglądu, pochodził z kraju leżącego na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego.

– Miło mi – mruknął Fredrik bez przesadnego entuzjazmu.

Podniósł wzrok. Do pokoju weszła jeszcze jedna osoba – młoda, szczupła kobieta. Sięgała Kossowi do ramienia. Skórę miała bardziej beżową niż brązową, a czarne gęste włosy rozdzielał z boku przedziałek. Szerokie, zaokrąglone kości policzkowe, wąska, zdecydowana broda. „Pakistan albo Indie”, wytypował w myślach Fredrik.

– A to jest Iqbal Kafa – przedstawił ją Koss. – Pracuje w Wydziale Analiz PSB pod kierownictwem Bikfayi. Kafa jest specjalistką od islamskiego fundamentalizmu i terroryzmu. Umieściłem ją w twojej grupie. W tej sprawie będzie łącznikiem między policją w Oslo a jednostką centralną.

– Okej... – zgodził się Fredrik z ociąganiem.

Nie takie były zwyczaje.

Samir Bikfaya chrząknął.

– Jak pan rozumie, w PSB podchodzimy do tej sprawy z największą powagą. Wspólnie będziemy mogli zoptymalizować przepływ informacji i zarządzanie naszą wspólną wiedzą i doświadczeniem.

Może Samir nie nauczył się norweskiego w dzieciństwie, ale norweską biurokratyczną nowomowę najwyraźniej miał w małym palcu. Mówiąc, położył rękę na dole pleców młodej agentki, dokładnie tam, gdzie krótka kurtka stykała się z wąską spódnicą. Dziewczyna zdecydowanym ruchem chwyciła rękę Bikfayi i prawie niezauważalnie odsunęła się od przełożonego.

– Kafa Iqbal, PSB – przedstawiła się.

Podniosła oczy na Fredrika, a potem zwróciła się do Kossa:

– Iqbal to moje nazwisko.

– Ach tak – mruknął inspektor. – Tu napisano „Iqbal Kafa”. – Wskazał na identyfikator.

– A na drzwiach pańskiego biura jest tabliczka z napisem „Koss Sebastian”.

Uścisk jej dłoni był silniejszy, niż Fredrik się spodziewał.

– Już się cieszę, że będziemy razem pracować.

Fredrik posłał inspektorowi ponure spojrzenie.

## ROZDZIAŁ 18

Samir Bikfaya stanął przed policjantami. Twarz ułożył w fałdy powagi. Kłaczki brwi to opadały, to się wznosiły, gdy akcentował swoje wnioski.

– Wspólnota działająca w Słonecznym Spokoju pozostawała w konflikcie z jednym z najbardziej niebezpiecznych środowisk religijnych, jakie istnieją w Norwegii, z Dżamaat-e-Islami. Od dawna przyglądamy się tej organizacji. Dwa tygodnie temu jeden z liderów tej wspólnoty Mohammed Khaled Omar zapadł się pod ziemię. Zniknął.

Kłaczki wibrowały, kiedy Bikfaya zrobił długą pauzę.

– Zaczniemy jednak od ofiar tej zbrodni. Od członków wspólnoty Światło Boga.

Fredrik i Andreas siedzieli na końcu zaciemnionego pokoju konferencyjnego. Przy opuszczonych roletach jedynie paseczki słońca na parapetach przypominały, że na zewnątrz jest lato. Pozostałymi słuchaczami byli detektywi z Kripos – Centrali Policji Kryminalnej, agenci PSB oraz policjanci z komendy w Oslo. Kafa Iqbal siedziała w pierwszym rzędzie między Sebastianem Kossem a Synne Jørgensen.

Bikfaya nacisnął wyłącznik obok ekranu. Światło przygasło.

– Światło Boga jest wspólnotą „istniejącą wirtualnie” od późnych lat dziewięćdziesiątych, co w języku służb oznacza, że funkcjonuje w internecie.

Na ekranie za jego plecami pojawiła się strona internetowa. Fredrik rozpoznał obraz w tle. Był to ten sam odrażający portret Chrystusa, który wisiał nad schodami w Słonecznym Spokoju. Ale, na wszystkie świętości, ten na stronie był jeszcze gorszy, bo ożywiony. Jakaś kreatywna dusza zrobiła animację i po twarzy Zbawiciela spływała krew, tak że na dole ekranu powoli powstawała ciemnoczerwona kałuża.

Zgodnie z oczekiwaniami Fredrika Andreas nie pochwalał pomysłu, by do ich własnej niewielkiej kałuży wpuszczać młodą agentkę PSB. Dał temu niedwuznacznie wyraz, najpierw jęcząc i wnosząc oczy ku niebu, a później odpowiadając na uścisk jej dłoni głośnym „szalom”.

– W ciągu pięciu lat Światło Boga zamieściło co najmniej cztery tysiące wypowiedzi w internetowych gazetach, na portalach religijnych i na różnych forach dyskusyjnych – ciągnął Bikfaya. – Mowa o poważnych oskarżeniach, obrażaniu i boskich groźbach z ich strony. – Pilota ukrywał w dłoni, ale naciśnięcie guzika zaznaczał lekkim i krótkim ugięciem kolan. Na ekranie zawirowały różne artykuły z gazet. – W dodatku pracowicie demonstrowali. Spójrzcie tutaj! – Artykuły dotyczyły demonstracji z udziałem Światła Boga. – I tutaj. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki artykuły zamieniły się w wirtualny pył, poza jednym, zatytułowanym

*Fanatyczni chrześcijanie w bójce z muzułmanami.* – To rzecz z „Nettavisen” sprzed dziewięciu lat. Wielu członków wspólnoty zostało pobitych po demonstracji przed siedzibą Dżamaat-e-Islami. Protestujący przynieśli między innymi wiadra ze świńskimi wnętrznościami, wysmarowali drzwi świńską krwią i wykrzykiwali obraźliwe hasła. – To wydarzenie najwidoczniej obudziło w Bikfayi poczucie humoru, bo szycha z PSB piskliwie się roześmiał. – Kilku młodych islamistów się zagotowało. Zaatakowali kijami bejsbolowymi. Wielu spuścili lanie, także kilku kobietom. Dzieci też brały w tym udział. Trzech mężczyzn wylądowało w szpitalu, a dwóch islamistów skazano za użycie przemocy. – Bikfaya stanął przed Kafą Iqbal. Tak blisko, że mógłby jej dotknąć przeciętnej wielkości penisem. Obniżył głos. – Niecały rok po zawarciu z Dżamaat-e-Islami Światło Boga zniknęło z przestrzeni publicznej. Ani jednego głosu w debacie. Żadnych demonstracji czy kolejnych oskarżeń i gróźb. Badaliśmy internetowe zachowania wspólnoty w ostatnich latach. Było to łatwe. – Wepchnął poły koszuli tak głęboko w niemnące się spodnie, że odznaczyły się sutki. – Wiecie dlaczego? – Nie czekał na odpowiedź. – Bo ich nie mają. Żadnych. Ani profili na Facebooku. Ani kont na Twitterze. Nie mają nawet marnego adresu mejlowego. Od aktywnej obecności w przestrzeni publicznej przeszli w niebyt. – Wrócił na środek podium. – Wydaje się nam, że jest to bezpośredni skutek potyczki z Dżamaat-e-Islami. Bójka wywołała reakcję. Groźby, przemoc, które prawdopodobnie nigdy nie zostały zgłoszone policji. Powstała długotrwała wrogość. Panna Iqbal to wyjaśni. – Wskazał gestem podwładną.

Kafa Iqbal wytarła dłonie o spódnicę i wstała. Kiedy odwróciła się twarzą ku sali, Fredrik próbował odczytać, co kryje jej spojrzenie. Młoda, kobieta, muzułmanka i PSB. Na pewno dręczyły ją jakieś upiory. Czas przed zebraniem wykorzystał na sprawdzenie jej teczki. Zaledwie trzy i pół roku temu patrolowała ulice Oslo. Potem złożyła podanie o przeniesienie z Grønlandu i dostała jeden z nielicznych poszukiwanych etatów – analityka w jednostce centralnej.

Wiedział, że młodzi policjanci mieli, delikatnie mówiąc, mieszane uczucia w stosunku do chodzących po cywilnemu detektywów z kryminalnego. Za jego i kolegów plecami krążyły opowieści o tym, jak to przychodzą na niby-pogaduchy, a tak naprawdę chcą wyciągnąć od mundurowych informacje, tropy, że tylko czekają, aż ktoś uchyli im rąbka tajemnicy. Powiadano, że rzadko dochodzą do czegoś ważnego, ale zawsze strugają waźniaków. Kafa prawdopodobnie nimi pogardzała. Teraz musiała stanąć z nimi twarzą w twarz.

Zauważył też, że zmierzyła Bikfayę ostrym spojrzeniem. Co za kutafon. Opowiadał, jak to wpadł na pomysł, żeby „dać się Kafie wykazać”, i cały czas gładził ją po plecach. Ona zaś przypominała ledwo okiełznanego dzikiego konia, wciąż jeszcze nerwowego, jakby porażonego prądem.

– Dżamaat-e-Islami, przeciwko której Światło Boga demonstrowało dziesięć lat temu, była wówczas organizacją młodą i niedojrzałą. Brakowało jej silnych przywódców. Dziś natomiast...

Fredrik podobnie jak większość Norwegów znał dobrze Dżamaat-e-Islami – niewielką grupę

młodych gniewnych gardzących bezbożnym krajem, w którym dzięki rodzicom przyszli na świat. Pogardzali wszystkimi muzułmanami, którzy nie byli tacy jak oni, tak prawowierni, a więc obrażali swojego Boga. Pogardzali także norweskim narodem; tymi, którzy oczekiwali, że staną się Norwegami, bo oni Norwegami nie będą nigdy – ani w swoich, ani w Norwegów oczach. Dżamaat-e-Islami chciał zmienić Norwegię w islamski kalifat.

– Przez wiele lat działali w szarej strefie. Stosowali przemoc wobec ludzi o innych przekonaniach i wobec członków ich rodzin. Dysponowali nielegalną bronią. Mamy dane wywiadowcze wskazujące na terrorystyczny spisek... – Kafa przerwała i ponownie wytarła dłonie o spódnicę. – Niemniej zebranie niepodważalnych dowodów wymaga czasu. – Wzięła do ręki pilota i wyświetliła na ekranie fotografię Alfsena, martwego, na klęczkach obok łóżka. Jedwabny szal, który morderca zawiązał wokół nadgarstków pastora, był całkowicie rozpostarty. – Czy ktoś z państwa zna arabski?

Kilka dłoni uniosło się z wahaniem.

– W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak... – Kafa powiodła laserowym wskaźnikiem od prawej do lewej. – „Niechże walczą na drodze Boga ci, którzy za życie tego świata kupują życie ostateczne! A kto walczy na drodze Boga i zostanie zabity albo zwycięży, otrzyma od Nas nagrodę ogromną”\*. – Obrzuciła salę badawczym spojrzeniem. – To z Koranu. Cytat pojawia się na ogół w dwóch kontekstach. Jest używany przez islamistów, żeby usprawiedliwić okrucieństwa. Wykorzystują go też antyislamiści jako dowód na immanentne okrucieństwo islamu.

– A w tym kontekście? – przerwał jej Sebastian Koss.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Cóż... – zaczerpnęła tchu – to chyba zależy od zamiarów tego, kto zabił pastora.

Koss chrząknął.

Przez ułamek sekundy Fredrik radował się z wyraźnego niezadowolenia inspektora. Wzgardliwy ton odpowiedzi był oczywisty, a jednocześnie niemal nieuchwytny. A potem przypomniał sobie, kto od teraz będzie miał na co dzień do czynienia z tą pewną siebie i wyszczekaną urzędniczką z PSB. Bo, do cholery, nie Koss.

Przed zebraniem mieli gwałtowną wymianę zdań. Okazało się, że wszystkie zespoły śledcze oddelegowane do tej sprawy pytano, czy przyjmą w swoje szeregi „wywiadowczynię”. Wszystkie odmówiły. Nie będą, do diabła, robić za PSB-owską stację nasłuchu. Wiedzieli, jacy ludzie pracują w PSB. Dwudziestokilkulatki w designerskich ciuchach wpatrzone w arkusze Excela i nagrania z monitoringu nadawały się tylko do prowokowania przepłacanych adwokatów. PSB-owcy nie mieli szacunku dla porządnej roboty policyjnej takiej jak za dawnych czasów.

Fredrik nie pamiętał, żeby Koss pytał go o zdanie. Wyciągnął z tego wniosek, że praca z Kafą Iqbal ma być karą za przestępstwo, jakiego się zdaniem Kossa dopuścił – na przykład za to, że w ogóle istnieje w tym samym czasie i w tym samym miejscu we wszechświecie co jego przełożony.

Na połowie ekranu pojawiła się stop-klatka z kamery monitoringu w Słonecznym Spokoju. Oczy wlepione prosto w obiektyw. Głowa w kominiarce osadzona na szczupłej szyi wydawała się wydłużona. Kafa nacisnęła przycisk pilota. Resztę ekranu zajęło paszportowe zdjęcie śniadego mężczyzny o pełnych wyrazu oczach. Miał długą brodę i czarne gładkie włosy. Od prawego kąca ust do grdyki biegła nierówna blizna.

– To Mohammed Khaled Omar albo Emir, jak go nazywają. Prawdziwe nazwisko: Rahim Raza Hussein, trzydzieści cztery lata, obywatel brytyjski, przez ostatnie trzy lata mieszkał w Norwegii. Jedenaście lat temu skazany w Wielkiej Brytanii za uczestnictwo w nieudanym zamachu bombowym. Wybuch urwał mu wówczas cztery palce lewej ręki, poza kciukiem, i spowodował obrażenia twarzy. Ma poszarpaną bliznę biegnącą od prawego kąca ust do grdyki. Odsiedział siedem lat. Utrzymuje, że w więzieniu studiował islam i stał się prawowierny. – Wysuwając palce u nóg poza podium, Kafa wychyliła się do przodu.

Fredrik nagle złapał się na tym, że pożera młodą kobietę wzrokiem, jej szczupłe łydki w pończochach, zarys umięśnionych ud pod spódnicą, ciemne zagłębienie w materiale w kroku, wąskie biodra i płaski brzuch. Delikatny cień pod biustem. Ugryzł się w policzek i przełknął ślinę.

– Niestety materiał zdjęciowy z miejsca zbrodni nie jest wystarczająco wyraźny, żeby wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Niemniej, jak wszyscy widzą, duże oczy o intensywnym spojrzeniu i wąska, podłużna czaszka to wspólne cechy człowieka ze Słonecznego Spokoju i Emira. Nasi agenci terenowi, którzy przez jakiś czas go śledzili, twierdzą, że obaj mężczyźni poruszają się podobnie. Są w osiemdziesięciu procentach pewni, że to jeden i ten sam człowiek. – Uśmiechnęła się krzywo. – I to najlepsze, co mamy.

Fredrik zmrużył oczy. To rzeczywiście mógł być ten sam skurwiel. Ale równie dobrze ktoś inny.

Kafa wyświetliła na ekranie kolejne nieostre zdjęcie Mohammeda Khaleda Omara. Rozmawiał przez telefon w jakiejś kuchni. Lewa ręka Emira, ta bez czterech palców, leżała na stole. Przypominała przednią płetwę foki.

– Fotografia sprzed osiemnastu dni, ostatni pewny zamiar Mohammeda Khaleda Omara. Zrobiona w jego mieszkaniu. Od prawie trzech tygodni go tam nie było. Nie chodzi do meczetu. To wzmacnia nasze przypuszczenie, że może mieć coś wspólnego z masakrą w Słonecznym Spokoju.

Za jej plecami pojawiła się kopia strony ze zdjęciem z norweskiego paszportu. Jego właścicielem był Mohammad Qambrani, według dokumentu trzydziestosześcioletni. Sto osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu. Barczysty. Mocna szczęka.

– Emir rzadko wypuszcza się gdziekolwiek bez Qambraniego. Qambrani urodził się w Norwegii, jego rodzice to Pakistańczycy. Działal w tutejszych gangach. Ma na koncie dwa wyroki za szczególnie okrutną przemoc, był wielokrotnie karany za narkotyki, kradzieże i paserstwo. Obecnie pełni funkcję ochroniarza i towarzysza Emira. Podobnie jak jego pan twierdzi, że nawrócił się na islam. – Prychnęła

prawie niedosłyszalnie. – Obaj są teraz poszukiwani.

---

\* Koran, sura IV – Kobiety, przeł. Józef Bielawski, Warszawa 1986, s. 106.

## ROZDZIAŁ 19

Synne Jørgensen stała u szczytu stołu i rzucała na jego biały blat fotografie, uzupełniając je informacjami.

Henrik Grøvn.

– Dwadzieścia pięć lat. Zabity na trawniku dwoma strzałami z broni automatycznej w pierś.

Nils Bernt.

– Trzydzieści cztery lata. Zabity na trawniku trzema strzałami z broni automatycznej w pierś i w twarz.

Stół konferencyjny znajdował się pośrodku otwartej przestrzeni biurowej, gdzie pracowali także Fredrik i Andreas. Panował tu nieopisany chaos przeciążonych biurków, przewodów komputerowych, segregatorów, stert dokumentów i modnych ostatnio kanap z czerwonym obiciem. Obok stołu umieszczono szeroką tablicę. Fredrik pozdejmował z niej fotografie, mapy i szkice sytuacyjne. Nowa sprawa – otwarty umysł – czysta tablica.

Viggo Johan Farulven.

– Trzydzieści dziewięć lat. Zabity na podjeździe do strychu stodoły dwudziestoma dwoma albo dwudziestoma trzema strzałami z broni automatycznej w pierś, w nogi, w ramiona i w twarz.

Brynjar Lissemoen.

– Trzydzieści sześć lat. Zabity na podjeździe do strychu stodoły jednym strzałem z broni automatycznej w pierś.

Bjørn Alfsen junior.

– Sześćdziesiąt cztery lata. Zabity w sypialni w willi strzałem w głowę z broni małego kalibru.

Ivar Tufte.

– Czterdzieści dwa lata. Ciężko ranny. Leży w szpitalu na Ullevål. Wgniecenia czaszki i zmiżdżenia górnej części ciała. Znaleziony w piwnicy pod stodołą. Od dzisiaj oni są naszymi pracodawcami – dorzuciła Synne, kładąc chłopięce dłonie na kupce fotografii.

Powiodła wzrokiem po twarzach osób zgromadzonych wokół stołu. Ludzie z Centrali Policji Kryminalnej sobie poszli. Pozostali detektywi otaczali ją kołem.

Fredrikowi podobała się metoda Synne – chłodny, bezprzymiotnikowy opis mężczyzn z fotografii leżących na stole. Miejsce urodzenia. Zawód. Dzieci i rodzina. Wykształcenie. To były czarno-białe zdjęcia paszportowe, czasem fotki wyjęte z rodzinnych albumów. Rzeczowy dystans Synne dawał policjantom szansę na stawianie sobie pytań. Kim właściwie był ten młody człowiek sfotografowany



z rodzicami pewnego ciepłego dnia norweskiego lata? Co oznaczał uśmiech na opalanej twarzy mężczyzny siedzącego przy restauracyjnym stoliku z butelką coli? Czyja głowa wychyla się z okna starego garbusa? Tak nagle odłamana gałązka drzewa genealogicznego... Młodzi policjanci znajdowali w tym motywację. Dla starszych był to punkt wyjścia. I przypomnienie, że życie często kończy się wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewamy. Mniej więcej na tyle filozofii było stać pracowników sekcji przemocy w komendzie policji dystryktu Oslo.

– Bernt czy Nils? Które to imię, a które nazwisko? – szepnął półgłosem Andreas, wysuwając brodę w kierunku piegowatej policjantki, która rozmawiała z sąsiadami na miejscu zbrodni.

Spojrzała na niego z irytacją, ale koniuszek języka w kąciku ust wskazywał, że doceniła zwróconą na siebie uwagę.

– Nazwisko Bernt, chyba słyszałeś?

Andreas błysnął uśmiechem i mrugnął. Synne zignorowała ich i rozrzuciła po stole nowy plik zdjęć.

– Nie mamy pełnych danych, ale przypuszczamy, że wspólnota Światło Boga składała się z dwudziestu pięciu–trzydziestu osób. Dzieci, kobiet i mężczyzn. Rodzeństwo i rodzice tych członków wspólnoty pogrążają się w rozpacz, bo nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Czy zostali porwani? Uciekli? Może ich zamordowano, a ciała gdzieś ukryto? – Wyciągnęła z kieszonki prostej biurowej marynarki paczkę papierosów. Był to znak, że zbliża się do końca. – Mamy przed sobą gigantyczne dochodzenie kryminalne. Prasa nie da nam spokoju w dzień i w nocy. Ministerstwo, dyrekcja policji, każdy polityk z populistycznym zacięciem... wszyscy będą mieli coś do powiedzenia na temat tego, co zrobimy. Nie mamy czasu. I nie możemy popełnić błędu.

Do tej pory sprawa morderstw w Słonecznym Spokoju była istotna dla nielicznych – ofiar, sprawców i policji. Ale teraz psy zostały spuszczone z łańcucha. Fredrikowi dreszcz przeszedł po plecach, kiedy poprzedniego dnia obejrzał wieczorne wiadomości TV2.

Dziennikarze wiedzieli, że zaginęli córka i wnuk Kari Lise Wetre. Mieli także informacje o użyciu broni automatycznej. Stwierdzili również, że główny trop policji to konflikt z ugrupowaniem islamskim. Przecieki do prasy nie były czymś niezwykłym. Niezwyčajne było bogactwo szczegółów. Oznaczało, że telewizja miała bardzo dobre źródło.

Fredrik niepokoił się z jeszcze jednego powodu. Wszyscy, którzy mieli informacje przekazane przez telewizję, wiedzieli także, że policja znalazła w ukrytej piwnicy podziemne laboratorium. Dlaczego więc w *Wiadomościach* nie wspomniano o tym nawet słowem? Mogło być tak, że w telewizji wiedzieli o laboratorium, ale z jakiejś przyczyny zrezygnowali z przekazania informacji o nim. Dziennikarze nie znoszą jednak, kiedy wymyka im się news. Nie zaryzykowałiby utrzymania czegoś takiego w tajemnicy. Nie, w takie wyjaśnienie nie wierzył. Widział tylko jeden powód. Taki, który go przeraził: źródło wiedziało o laboratorium, ale ukryło tę wiedzę przed telewizją. Dlaczego?

Chyba że źródło wiedziało też, co się działo w laboratorium. W takim przypadku jego wiedza była bogatsza niż policji.

A w takich sytuacjach tylko dwa typy ludzi wiedzą więcej niż policja. Ofiary. I sprawcy.

## ROZDZIAŁ 20

– I zostały tylko trzy. Trzy malutkie Murzyniátka... No, w każdym razie...

Bazyliškowy wzrok Synne kazał Andreasowi się zamknąć. Z szerokim uśmiechem poszukał wsparcia u Fredrika, ale przyszło mu samemu wypić nawarzone piwo. Owszem, obaj sceptycznie odnosili się do faktu, że ich gładko funkcjonująca samowtórnóść ma zostać rozbudowana, ale o żadnym mobbingu nie mogło być mowy.

Kafa siedziała w rogu czerwonej kanapy, obejmując rękami zwieszoną głowę.

– Cóż. Jak wiecie – zaczął Fredrik i poszukał wzrokiem jej spojrzenia – w tym dochodzeniu zajmujemy centralną pozycję, ponieważ zaginiona Annette Wetre i jej syn są wśród członków wspólnoty, którzy zniknęli. – Obrócił głowę i spojrzał wymownie na Andreasa. – Żeby stwierdzić, czy ci ludzie uciekli, czy zostali uprowadzeni, musimy wiedzieć, jakie życie dotychczas wiedli. W tym pomoże nam Kafa.

– Sprawdzimy wszystko. – Synne przejęła pałeczkę. – Finanse. Telefony. Przejazdy przez płatne drogi. Poszukamy przyjaciół i znajomych, a także wrogów i popleczników członków wspólnoty. Dochodzenie będzie koordynowane przez miejską policję. Jeśli zajdzie potrzeba, poprosimy o pomoc ekspertów z Kripos i PSB. Sprawą zajmuje się ponad pięćdziesięciu śledczych. Jak wspomniał Fredrik, wy naturalnie w pierwszej kolejności szukacie Annette Wetre. Jeżeli ją znajdziemy, prawdopodobnie trafimy również na pozostałych członków wspólnoty. – Palcem z obgryzionym paznokciem postukała w fotografię na stole, zdjęcie laboratorium w Słonecznym Spokoju. – Fredrik uważa, że odpowiedź na pytanie, dlaczego ich zaatakowano, znajduje się tutaj. Do czego było im potrzebne laboratorium?

– Prochy. – Andreas nie czekał. – Chrześcijanie czy niechrześcijanie, założę się, że dragi albo inne czady.

Zbudował swoją teorię za pomocą najczęściej używanego w policji narzędzia – doświadczenia. Czy kiedykolwiek trafili na jakieś domowe laboratorium, które nie służyło do produkcji nielegalnych substancji? Nie. Gdyby było tak, jak zakładał Andreas, znaleźliby odpowiedź także na inne pytanie: z czego żyła wspólnota? Trzy dziesiątki dorosłych i dzieci w małej posiadłości w środku lasu. Nikt nie pracował. Nie mieli dochodów. Zbieranie porzeczek i śliwek nie wystarczy. A z takim laboratorium mogli zaopatrywać w narkotyki połowę miasta.

Zza chmury wychynęło słońce i sterowane komputerowo rolety na komendzie spłynęły w dół, rzucając cienie na twarz Andreasa.

– Ta polityczka... – zaczął.

– Kari Lise Wetre.

– Właśnie. Wetre. Powiedziała ci, że Alfsen kierował wspólnotą jak sektą. Widziałem, gdzie mieszkał, gdzie spał, jakimi obrazkami ozdobił swoją sypialnię. A wiecie, co teraz widzę? – Andreas pochylił się do przodu i postukał palcem w stół. – Widzę starą świnie. Otoczoną uwielbiającymi go chłopcami i dziewczętami. Może był ciotą? A może wolał pieprzyć się z dziećmi? – Jego spojrzenie spoczęło na Kafie, jakby chciał sprawdzić, czy dobór słów nią wstrząsnął. – Tak więc zaczęli od drobiazgu. Produkowali prochy dla siebie na swoje orgie. A potem kula się potoczyła.

– Ale dlaczego zostali zaatakowani? – przerwała mu Synne.

– Robili interesy nie z tymi ludźmi, co trzeba. Dżamaat-e-Islami nie byłaby pierwszą islamską organizacją terrorystyczną, która finansuje swoją działalność dzięki dilerce. Coś się zapętlilo na linii producent–dystrybutor, dawna wrogość wypłynęła na powierzchnię i ktoś wpadł w szal. Opróżnili cały magazynek, roznosząc w pył wszystkich, którzy próbowali ich zatrzymać. – Andreas wskazał palcem na Kafę. – Nie mówiłaś, że ten cały Qambrani, ochroniarz, miał wyrok za narkotyki?

Zabłąkana mucha bzycała nad płamą po kawie na stole. Kafa zgarnęła owada ręką i przytrzymała w garści.

– W kierownictwie Dżamaat-e-Islami są ludzie z kryminalną kartoteką. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby byli także powiązani z prochami – powiedziała z namysłem. Sprawiała wrażenie, że skupia się na tym, czy mucha jeszcze się miota. – Z drugiej strony... Fundamentalistyczny chrześcijanin i islamistyczne ugrupowanie jednoczą się w potajemnym narkotykowym biznesie, zapominając o dawnym konflikcie z krwawymi potyczkami w tle? To wydaje się trochę... – Kąciki ust Kafy się podniosły – wydumane.

Rozwarła pięść. Mucha była martwa. Chwyciła ją za skrzydełko, rzuciła na podłogę i przydeptała. Fredrik nie miał pojęcia, czy słyszał, czy tylko odczuł trzask. Andreas bezgłośnie bębnił kciukami w stół.

– Poza tym wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi – ciągnęła Kafa. – Jeżeli kryją się za tym jedynie pospolici kryminaliści, to dlaczego upowszechnili informację o morderstwach? O co chodzi z islamską symboliką? Gdzie jest reszta wspólnoty? – Z wolna potrząsnęła głową, a potem uniosła obcas i przyjrzała się musze. – Brutalność i determinacja są charakterystyczne dla Emira, ale ... zerwanie umowy na narkotyki? – Zagryzła pełną dolną wargę, aż odpłynęła z niej krew. – To byłoby coś nowego.

Dziewczątka oberwało skrzydełka teorii Andreeasa.

## ROZDZIAŁ 21

Dół wykopano tam, gdzie padał cień. Przybyli stanęli półkolem wokół grobu. Fredrik rozpoznał tylko nielicznych: kilka przyjaciółek matki z misji, pastora o szczupłej twarzy ze srebrną łopatką w ręku i Bettinę.

Po śmierci ojca przed dwudziestu laty zostali z matką tylko we dwoje. Żadnego rodzeństwa, żadnych krewnych wartych wzmianki. Nie wykazywała zainteresowania Alice i dziećmi. Odwiedzał ją raz w tygodniu – najpierw w mieszkaniu na Frogner, potem w domu opieki. Rozmowa zamierała na długo przed tym, nim opróżnił niewielką filiżankę do kawy z delikatnym uszkiem. Póki matka żyła, nigdy się nie zastanawiał, jak mało mieli sobie do powiedzenia. Takie życie, po prostu. Odwiedzał ją, bo to był nawyk, jak mycie rąk po skorzystaniu z toalety. To było konieczne. Czynił to bez radości i bez smutku, niemniej gdyby nie poszedł, byłby nie w porządku, czułby się źle. Teraz, kiedy umarła, uderzyło go, że zawsze tak żyli. W dzieciństwie chyba w takim samym stopniu odgrywała rolę jego ustawowej opiekunki co rodzicielki. Sprawiedliwej i pragnącej jego dobra, bez dwóch zdań. Ale zrozumiał, że nigdy nie poznał kobiety, która była jego matką. Nie wiedział, jaką potrawę lubi najbardziej, z kim chodzi do kościoła, jakie książki czyta. Czy w ogóle czyta. Kim więc byli ci ludzie, którzy przyszli ją pożegnać? Nie miał pojęcia, kogo uważała za osoby najbliższe. Nigdy mu o tym nie mówiła.

Nie będzie mu jej brakowało. Jednak brakować mu będzie tych podróży do domu opieki w Steinerud, szybkiego przemijania pór roku w ogrodach i na drogach, dębu na podwórzu i tej kompletnie zwariowanej staruszki z pokoju naprzeciwko. Kiedy w przypływie szczerości powiedział o tym Bettinie, mocno ścisnęła mu rękę i popatrzyła na niego zmieszana. Teraz, przy grobie, ścisnęła ją jeszcze mocniej, jakby chciała wycisnąć z niego łzy.

Dom parafialny o płaskim dachu przylegał do kaplicy. Z mebli unosił się zapach cynamonu i słodko pierdzących damskich pogaduszek.

Wzrok Fredrika przesunął się obojętnie po twarzach obecnych starców i pobiegł ku niewielkiemu portretowemu zdjęciu matki przy kominku. Zrobili je sześć lat temu, tego lata, kiedy zrozumieli, że jest chora.

Powinien się nie zgodzić, kiedy Bettina zaproponowała stypę. Teraz patrzył na nią z wyrzutem przez drzwi do kuchni. Nigdy dotąd jej takiej nie widział. Ciemne włosy, zazwyczaj w nieładzie, spięła srebrną spinką. Na szyi miała sznur pereł, jej prosta czarna suknia, nieznacznie wyprofilowana zaszewkami, by uwydatnić wcięcie w talii i krzywiznę pośladków, sięgała łydek. Wytatuowany na ramieniu orzeł był przykryty jedwabnym szalem. Razem ze starszą kobietą pochylały się nad

dzbankami z kawą. Jęknął. Nowy garnitur cisnął w ramionach, kołnierzyk bawełnianej koszuli wpijał się w szyję, a krawat dusił. To Bettina uważała, że ten strój jest właściwy. Że na tyle poświęcenia powinien się zdobyć. Przecież to pogrzeb jego matki.

Bettina nie była już młoda. Stara też nie. W odróżnieniu od niego. Cieni pod oczami nie da się usunąć. Zmarszczki w kącikach oczu nie znikną. Zastanawiał się, czy udałoby się podłączyć telefon do muzealnego zestawu stereo. Trochę muzyki by nie zaszkodziło. Tom Waits pasuje na pogrzeby.

– Fredrik Beier, jak mniemam.

Zaskoczyło go, że nie rozpoznał pytającego na cmentarzu. Odróżniał się od reszty starszych państwa wyprasowanym granatowym garniturem, modnymi okularami i wypolerowanymi na błysk zębami. Gerhard Monsen. Dawniej minister, armator, prawnik weteran. Powitali się uściskiem dłoni.

– Zgadza się. Znał pan moją matkę?

– Właściwie znałem pana Beiera. Zetknąłem się z pańskimi rodzicami przed wielu laty, kiedy pan dopiero uczył się chodzić. Zrobili na mnie duże wrażenie.

Fredrik się zdumiał. Do opisu swojego ojca użyłby raczej takich słów jak „pełen rezerwy”, „opanowany”. Nie był człowiekiem, który robi wrażenie. Może Monsen miał na myśli jego matkę. Kiedyś była piękna.

– W swoim czasie często kontaktowałem się z pańskim ojcem, zarówno w pracy, jak i towarzysko. Tak poznały się nasze małżonki. Elisabeth, moja żona, bardzo lubiła Gunhild.

– Elisabeth... Czy też jest tutaj? – Fredrik uśmiechnął się słabo.

– Niestety, jest zbyt chora. Ale bardzo chciała, żebyśmy uczestniczył w pogrzebie.

– Dziękuję, że pan przyszedł.

Znowu podali sobie ręce. Monsen nie wypuścił dłoni Fredrika.

– Jeśli się nie mylę, pracuje pan razem z moim synem.

Fredrik spojrzał na niego pytająco.

– Z Sebastianem. Sebastianem Kossem. Nad tym okrutnym morderstwem w Maridalen.

Fredrik nie próbował ukryć zdumienia.

– Naprawdę? Sebastian Koss jest pańskim synem? Nigdy bym nie zgadł. – Uśmiechnął się sztucznie. – Jaki ten kraj mały.

Stary armator cicho westchnął. Jego spojrzenie stało się nagle dalekie. Zmęczone. Puścił rękę Fredrika.

– Doprawdy mały – przytaknął.

– Fredrik?

Otworzył oczy. Bettina wyjęła z ust jego członek i zerkała w górę, lekko zezując.

- Co to był za staruch?
- Staruch? Który z nich?
- Ten, z którym rozmawiałeś.
- A, ten. To tylko przyjaciel moich rodziców. Ojciec kolegi, Sebastiana Kossa.
- Jest w porządku?
- Koss?
- Stary był w porzo.
- Koss to skurwiel.

Oparł głowę o zagłówek. Był zmęczony. Napalony. Smutny. Niechby już wreszcie doprowadziła rzecz do końca. Patrzył przez okno samochodu – na psa, który po drugiej stronie ulicy bawił się piłką.

## ROZDZIAŁ 22

Ford focus na cywilnych numerach rozwijał niezłą prędkość. Nad jeziorem Maridalsvannet wisiała szarawomleczna mgła, a przed samochodem i nad polami unosiły się jej pojedyncze pasma. Kątem oka zauważył, że Kafa obraca w palcach tymczasową kartę-klucz do budynku komendy. W samochodzie nie padło wiele słów, póki nie zdecydował się przełamać lodów.

– Koss Sebastian. Na drzwiach pańskiego biura jest tabliczka z takim napisem – przypomniał, naśladowując jej głos.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Myślisz, że się wściekł?

– Masz to jak w banku. Usadzenie przez podwładnego aktywuje wszystkie komórki rozrodcze niechęci w jego organizmie. On cię nienawidzi.

– O matko.

Fredrik machnął żwawo ręką, a potem zademonstrował jeden z ulubionych gestów Kossa – przeczesał palcami włosy.

– Wszystkich nienawidzi. Sebastian Koss to kawał drania.

Kafa zawiesiła kartę z powrotem na szyi.

– Podobnie jak twój kumpel Figueras. Zachowuje się, jakbym zniszczyła jego małżeństwo – rzuciła chłodno.

Fredrik zeszywniał. Oto próbuje z całych sił zewrzeć szyki w grupie... Też mogłaby się nieco wysilić.

– Nie chodzi o ciebie – odparł opryskliwie. – Rzecz w tym, że wolelibyśmy, by zapytano nas o zdanie, skoro już mieliśmy dostać nowego partnera.

– A nie po prostu przydzielono wam jakąś PSB-ówkę? – małpowała teraz Kafa. Najwyraźniej podsłuchiwała burzliwą dyskusję śledczych.

– Właśnie. Zresztą Andreas doskonale sam niszczy swoje małżeństwo.

– Jakoś nietrudno mi w to uwierzyć.

Około stu metrów za wjazdem do Słonecznego Spokoju znaleźli to, czego szukali. Na słupku wisiała krzywo niebieska skrzynka na listy. Zaparkowali. Między drzewami snuł się ciężki zapach gnijącego drewna i poszycia. Przy ziemi pnie były nagie, natomiast zielone korony przysłaniały niebo. Las milczał. Po kilku minutach doszli na polanę, na której stał czerwony, piętrowy drewniany budynek. Przy dawno niemytym oknie werandy w inwalidzkim fotelu siedział starszy człowiek.



Otworzył oczy, dopiero kiedy przed nim stanęli.

– No, no – odezwał się skrzypiącym głosem. – Więc przyszliście.

Grube jak kiełbaski palce spoczywały splecione na okrytych pledem kolanach. Zanim Fredrik zdążył spytać, co starzec ma na myśli, drzwi na werandę się uchyliły i wyszła przez nie chuda kobieta. Siwe włosy miała tak ciasno spięte na karku, że nie umiał odcyfrować wyrazu jej twarzy.

– Mamy gości, Brynjar? – spytała głośno, kładąc rękę na ramieniu siedzącego.

Po twarzy Fredrika przemknął uśmiech.

– Przypuszczam, że mam przyjemność z Brynjarem i Signe Kvarvingenami.

Stary człowiek się nie poruszył, kiedy Fredrik wyciągnął rękę. Natomiast kobieta podała mu szczupłą, wręcz kościstą dłoń, zimną i gładką jak glansowany papier.

– Nazywam się Fredrik Beier, jestem policjantem. A to moja koleżanka Kafa Iqbal.

Starsza kobieta wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Już rozmawialiśmy z policją. Z młodą kobietą. Białą. Powiedzieliśmy, cośmy mieli do powiedzenia. Tamtej.

Splotła dłonie przed sobą na grubej wełnianej spódnicy.

– I bardzo to sobie cenimy. Mamy jednak kilka dodatkowych pytań na temat Słonecznego Spokoju. I wspólnoty, która tam zamieszkiwała.

Kobieta potrząsnęła głową i ciężko westchnęła, a potem wpuściła ich do środka. W salonie stała stara skórzana kanapa, na ścianach wisały wyblakłe olejne obrazy z leśnymi motywami: jezioro o świcie, letni szałas pod skalnym nawisem...

– Mój mąż malował, dopóki starczyło mu zdrowia – powiedziała przez ramię.

Szła przed nimi powoli, choć wyprostowana jak struna. W wąskim korytarzu między salonem a kuchnią wisiał wełniany podłużny kilim z napisem „Idź, leniu, do mrówki, przyjrzyj się jej znojowi i zmądrzej”. Kobieta machnęła ręką w kierunku krzesel przy kuchennym stole i chwyciła pusty dzbanek z ekspresu do kawy. Kiedy dzbanek się napełniał, Fredrik zauważył, że ręce Signe drżą. Po chwili ich przeprosiła.

– Brynjar – mruknęła cicho.

Na środku laminowanego blatu stały cztery słoiczki ze szczawikiem zajęczym. Ściany pokrywała biała tapeta w wypukły wzorek, a nad stołem wisiał kalendarz jakiejś organizacji dobroczynnej ze zdjęciami afrykańskich dzieci. „Uchodźcy w Zairze” – głosił podpis pod fotografią. Na blacie stały niemyte od wielu dni naczynia. Pachniało gotowaną kapustą. Pani Kvarvingen nieskończenie powoli pchała ku policjantom wózek z mężem. Pleciony chodniczek leżący na kuchennej podłodze dodatkowo spowalniał tę czynność. Kiedy ustawiła męża przy stole, ekspres zaczął parskać.

– Brynjar trochę niedosłyszysz – wyjaśniła, siadając.

– Jak wspominałem – odezwał się Fredrik głośniej – prowadzimy dochodzenie w sprawie

tragicznych wydarzeń w Słonecznym Spokoju. Chciałbym państwa dopytać o tamtejszych mieszkańców.

Signe napełniała filiżanki. Spojrzała pytająco na Kafę, która uśmiechem dała do zrozumienia, że ani Allah, ani nikt inny nie ma nic do tego, czy pozwoli sobie na kapkę kawy. Kobieta wrzuciła kostkę cukru do ciemnego jak smoła napoju, umieściła filiżankę na porcelanowym spodeczku i postawiła na kolanach Brynjara.

– Co za tragedia. I ci wszyscy, którzy zniknęli. Dzieci... – powiedziała powoli.

– To ludzie z klasy wyższej – odezwał się Brynjar. – Na ogół trzymają się na dystans. Ale od czasu do czasu wpadają z wizytą. Zdarza się, że przyniosą kawałek ciasta albo bułeczki.

– Mam szczerą nadzieję, że mają się dobrze. – Głos Signe stał się ostrzejszy. – Czy morderca wciąż jest na wolności?

– Tak, niestety – Fredrik skinął lekko głową. – Morderca albo mordercy. Nie wiemy, kto napadł na posiadłość. Policja zaangażowała w rozwiązanie tej sprawy duże siły, ale to wymaga czasu.

Signe ciężko westchnęła.

Fredrik spoglądał to na jedno, to na drugie. Pstryk w kaloryferze pod stołem sygnalizował, że ogrzewanie się wyłączyło. A może włączyło? U wielu starszych ludzi, których Fredrik przez lata odwiedzał, temperatura pokojowa niebezpiecznie zbliżała się do ciepłoty ciała. Podobnie było w tym domu. Jak pani Kvarvingen wytrzymywała w zapiętym wełnianym swetrze, wydawało mu się przez chwilę największą zagadką, przed jaką stanęli. Tę zagadkę jednak prawdopodobnie można było rozwiązać. W sprawie zagadki Fredrika, czyli polowania na zaginioną sektę, małżonkowie wiedzieli niewiele. Nie mieli pojęcia, gdzie mogła się teraz znajdować wspólnota, nigdy nie zastanawiali się nad jej religijnymi opiniami, a w tych okolicach rzadko zdarzało się coś niezwykłego.

– Może odnieśli państwo wrażenie, że są z kimś skonfliktowani?

Signe uśmiechnęła się do nich lekko, maczając w kawie kolejny kawałek cukru.

– W radio mówili, że oni są tacy ekstremistyczni – powiedziała z namysłem, po czym westchnęła.

– Ale tak nie jest. To kochana, dobra młodzież. A dzieci... To takie straszne dla dzieci.

– Nie byli tak ekstremistyczni?

Fredrik pochylił się nad stołem.

– Gdzież tam – odparł Brynjar. – To dobrzy ludzie.

Do wyjścia odprowadziła ich Signe. Starszy pan został w kuchni. W korytarzu Fredrik dostrzegł coś, co kazało mu się zatrzymać. Zdjęcie na ścianie. Dom Kvarvingenów z lotu ptaka.

– Wiesz – zwrócił się do Kafy – oczy widzą tylko to, co spodziewamy się zobaczyć.

Nie zrozumiała, więc potrząsnęła głową.

Wskazał palcem na fotografię. Nie na dom Kvarvingenów, lecz na posiadłość z niewielką stodołą

i willą, położoną niżej w dolinie. Słoneczny Spokój. Nad ogrodem górował dźwig budowlany, wokół niego stały koparki.

– W Słonecznym Spokoju też jest to zdjęcie. Widziałem je tam pierwszej nocy. Po prostu nie wiedziałem, jakie ma znaczenie. Kiedy zostało zrobione? – zwrócił się do Signe.

Starsza kobieta pochyliła się do przodu i zmrużyła oczy.

– To... chyba podczas przebudowy. Bo ja wiem? Osiem–dziesięć lat temu.

Fredrik mrugnął do Kafy. Postukał palcem w szkło. Wzdłuż ramienia dźwigu wisiał długi biały baner z napisem „Oslo Montasjemiljø AS”.

– Konstruktor piwnicy – stwierdził zadowolony.

## ROZDZIAŁ 23

Policjanci pilnujący Słonecznego Spokoju dali im klucze. Fredrik zabrał Kafę do stodoły do laboratorium, a potem przeszli kolejno przez wszystkie pokoje w willi. Długo stała bez ruchu przy oknie w sypialni Bjørna Alfsena, wpatrując się przez szarawą mżawkę w gospodarstwo po drugiej stronie doliny. Okno było uchylone, a powietrze zimne i ostre.

– Doceniam, że poświęcasz na to czas – powiedziała wcześniej, gdy Fredrik opisywał jej położenie zwłok na trawniku.

Przyjrzał się jej. Przezornie zmieniła szary kostium na czerwony dziany sweter sięgający poniżej bioder. Czarne półkozaczki naciągnęła na obcisłe granatowe dżinsy.

– Nie jestem tu z twojego powodu – rzucił, zanim się spostrzegł, jak grubiańsko to zabrzmiało. – To znaczy... Mnie się to też przyda. – Spróbował się uśmiechnąć. – Pierwsze godziny na miejscu zdarzenia są zawsze bardzo intensywne. Wrażenia są za mocne.

Kucnął i zanurzył ręce w mokrej trawie. W kolanie nieprzyjemnie strzyknęło.

– Lubię ten spokój, gdy ciała i dowody są już usunięte. Jakby się oglądało wyretuszowane zdjęcie. Zostało to, co stare i nieważne. Takie było to miejsce, zanim stało się miejscem zbrodni. Tylko bez ludzi, oczywiście.

Stłumił jęk, kiedy wstawał, otrzepując ręce.

– Bardzo poetyckie – powiedziała.

Nie miał pewności, jak głęboko w tych dwóch słowach była ukryta ironia.

– Cóż, dziękuję. To taki kawałek staroświeckiej policyjnej roboty. Niech twój szef się nie dowie, że ci to powiedziałem.

– Samir? Ta świnia? – prychnęła.

Wydawało się, że więcej leży jej na sercu, ale tylko uśmiechnęła się zagadkowo. Potem zagryzła dolną wargę i odeszła parę kroków.

– Dwóch z mężczyzn, którzy zniknęli, było braćmi – powiedziała w zamyśleniu. – Fritjof i Paul Espen Hennie. Teraz ich rodzice zostali sami, nie mają pojęcia, co się mogło wydarzyć. Możesz to sobie wyobrazić? – Odchrząknęła. – Napastnik musiał mieć w pobliżu punkt obserwacyjny – stwierdziła po chwili. Głos jej stwardniał. – Ktoś musiał ich śledzić. Kiedy członkowie wspólnoty kładli się spać. Kiedy wstawali. Kto tu przebywał i kiedy. Atak musiał być skierowany na jakiś cel, a ten cel był śledzony. – Podrapała się po głowie. – Ja... Wydaje mi się, że wiem, gdzie był ten punkt obserwacyjny.

Nie mówiąc nic więcej, pomaszerowała do willi.

Fredrik dostał zadyszki, nim zatrzymał się za plecami Kify w sypialni pastora Alfsena. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem na drugą stronę doliny.

– O cholera! – rzuciła. – Pali się.

W oddali nad stodołą unosił się gęsty czarny dym.

## ROZDZIAŁ 24

Ottar Skaren miał do wyboru dwie drogi. Mógł poczekać na wilgotny i bezwietrzny dzień, podpalić rudere, zadzwonić po straż i nakłamać. Albo zrobić to, co powinien był już dawno zrobić ojciec, a co pewnie według ojca było teraz jego zadaniem, czyli rozebrać to cholerstwo deska po desce. Wykorzystać, co się da, i wyrzucić, co należy. Jakby nie miał nic innego do roboty niż rozbieranie walącej się stodoły. Tak samo myślał w zeszłym roku. I dwa lata temu. Pójść na łatwiznę czy wybrać słuszną drogę? Była jeszcze trzecia. Mógł postąpić jak ojciec. Zostawić cholerstwo. Niech stoi. Zwalić problem na innych. Stary, pieprzony faryzeusz. Na widok stodoły na szczycie zbocza dzień w dzień nachodziły go takie myśli.

Wracał właśnie ze stajni, gdzie sprawdził, jak sobie radzą dziewczyny stajenne z miasta. A może by zrobić z tego dnia święto?

Zjechał na pobocze żwirówki, pochylił się nad kierownicą i zmrużył oczy. Przyglądał się rozchwierutanemu szkieletowi budynku. Psiakrew! Bywało, że ktoś włamał się do stodoły. Kiedyś musiał nawet odwieźć do miasta dwie nastolatki – wybrały się w kwietniu pod namiot w ocieplanych kurteczkach i spódnicach, spiły do nieprzytomności jabczkiem i zabłądziły do stodoły. Pamiętał te zsiniałe z zimna nogi i majteczki w czerwone kropki.

Ottar Skaren mierzył dwa metry i trzy centymetry, w skarpetkach, ważył sto czterdzieści pięć kilo. Szedł, kolebiąc się na boki, zarośniętą ścieżką między domem a starą stodołą. Przecinając brzeźniak, wzdychał i klął na przemian, zmuszony co chwila podciągać za klamrę paska bezkształtne džinsowe spodnie. Na przecince przed stodołą wyciągnął z kieszeni ciężki pęk kluczy. Niepotrzebnie. Już miał się oprzeć o drzwi obok schodów na stryszek, gdy te się uchyliły. Zamykając je za sobą, zauważył, że znowu zaczęły skrzypieć. Śmieszne były te stare drzwi. W zeszłym roku jesienią naoliwił zawiasy i spiłował napęczniałe od wilgoci drewno, żeby nie odstawało od futryny. A teraz znowu się nie domykały. Czyżby byli tu policjanci i nie zamknęli ich dokładnie?

Po tym, jak ten zwariowany islamistyczny terrorysta po drugiej stronie doliny zaszalał z automatem, w okolicy zaroilo się od psów. Funkcjonariusze wielokrotnie pukali do drzwi Ottara Skarena, ale on niczego nie widział ani nie słyszał. O żadnej sekcji też nic nie wiedział, więc poprosił, żeby się wynieśli do diabła.

Rozbolały go nogi, gdy wspinał się po wąskich schodach prowadzących z warsztatu przez otwór w betonowym suficie do właściwej stodoły. Na górze zrobił dwa kroki w bok od dziury. Ich odgłos stłumiło zgniłe siano. Odczekał, by wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Jedynym źródłem światła były szpary w dachu.

Deszczówka zbierała się na chropowatej podłodze w śmierdzące, połyskliwe kałuże. Spadające krople deszczu dźwięczały, uderzając w rozbite auta, blaty z narzędziami i blaszanki z farbą. Kakofonia pluskania, bębnienia, grzechotania i szemrania. Opary oleju i chemikaliów mieszały się z piwniczną stęchlizną. Ottar uznał, że będzie potrzebował więcej światła, więc ruszył ku skrzynce z bezpiecznikami umocowanej na dłuższej ścianie. Zatrzymał się przed skrzynką i poczuł dreszcz. Dziwne.

W zamku tkwił kluczyk. I drgał. Brało się to stąd, że licznik w środku pracował. Ten sam licznik, który zeszłej jesieni się zatrzymał, kiedy Ottar odłączył wszystkie bezpieczniki. Wzdrygnął się. Musi się przyjrzeć reszcie stodoły. Te wszystkie dźwięki go przytłaczały, niepokoiły. Nagle poczuł, że nie jest sam.

Walnął pięścią w kontakt obok skrzynki. Powinno się zrobić jasno – przecież prąd najwyraźniej był podłączony – ale tak się nie stało. Słyszał tylko wiązkę wyładowań elektrycznych. Obróciwszy swe potężne cielsko, rozejrzał się gorączkowo, ale oślepił go deszcz iskier z pustej oprawki nad głową. Żarówka była rozbita, a wokół starej, ceramicznej obudowy owinięto drut. Zwarcie. Potem ze skrzynki na ścianie dobiegł głośny huk. Wywaliło korek. Deszcz iskier ustał i ze spalonej końcówki przewodu rozszedł się swąd palonej gumy i zapach ozonu.

Do czorta! Ottar ruszył przed siebie. Wystarczyło podnieść poprzeczną belkę tarasującą wrota, by znaleźć się na pomoście. Za nic w świecie nie zostanie w środku. Cienie kłębiły się wokół olbrzyma, gdy stapał ciężko pomiędzy starymi karoseriami, pasma światła padające przez dziury w dachu odbijały się w szybach samochodowych, w metalowych puszkach, od lusterka nad umywalką. Wreszcie dotarł do wrót. Chwycił belkę i szarpnął w górę. Jasna cholera! Napiął się, mięśnie mu się wybrzuszyły, z całej siły zaparł się nogami, żeby podnieść... tę... cholerną... belkę...

Ani drgnęła. Nawet o milimetr. Zrozumiał dlaczego, kiedy ją puścił i usłyszał chrzęst łańcucha. Łańcuchy na koła traktora, które powinny wisieć na haku obok wrót stodoły, owinięto wokół belki i zapadki. Był uwięziony. Pozostawała tylko jedna droga ucieczki – dziura w podłodze, przez którą wszedł. Poczucie, że nie jest sam, się nasiliło. Całkiem słusznie. Bo nie był.

Kiedy odwracał się plecami do wrót stodoły, mocarna postać zdążyła się zbliżyć. Ciemne ubranie. Wysoki. Silny. Kaptur na głowie. Przebłysk twarzy. Lodowaty uśmiech.

Ottar Skaren nie zobaczył noża. Ale i tak pojął, że zaraz umrze. Zimne ostrze z hartowanej stali weszło w podbrzusze tuż nad kością łonową, rozplątało kiszki, otworzyło żołądek i przecięło arterie przerośniętego serca olbrzyma.

Nie czuł bólu. Poczuł zimno. Potem gorąco. Wilgoć. A wreszcie już nic.

## ROZDZIAŁ 25

Kiedy Fredrik i Kafa dotarli na miejsce, ogień już przygasł. Może za sprawą dżdżu. Możliwe, że nawilgły ściany. W każdym razie większa część stodoły przetrwała atak płomieni.

Dwie godziny później znad spalonych aut usunięto resztki zawalonego dachu. Kwaśne opary lakieru buchnęły na Fredrika, gdy pochylił się nad karoserią starego passata. Przez strzaskaną przednią szybę przyglądał się zwłokom na fotelu kierowcy. Wielkie cielsko było spalone na węgiel i śmierdziało jak oblany benzyną, pozostawiony na grillu wieprz. Z otwartej rany biegnącej od podbrzusza do klatki piersiowej wylewały się wnętrzności. Kiszki jeszcze pracowały.

– Wypadek wykluczony. Samobójstwo wątpliwe – odezwał się medyk sądowy stojący po drugiej stronie wraku, dowcipniś w białym fartuchu ze Słonecznego Spokoju.

– I on, i bryka są nasączeni benzyną. No, wszystko trzeba przeanalizować i zbadać pod lupą przez odbyt ratlerka, zanim cokolwiek będziemy mogli stwierdzić, ale jestem prawie pewny, że ktoś grubasa rozciął, polał samochód czymś łatwopalnym, podłożył ogień i uciekł. – Zwilżył językiem kąciki ust. – Musimy go trochę oskrobać, żeby móc sprawdzić tożsamość.

Fredrik obejrzał się przez ramię. Siedmiu czy ośmiu policjantów razem z Kafą przeszukiwało zachowaną część stodoły. Utrzymawał się jeszcze żar po pożarze, więc ściągnęła sweter i pracowała w obcisłej, przepoconej pod pachami białej koszulce.

– Sąsiedzi mówią, że w tym gospodarstwie mieszka samotny rolnik. Wielki jak niedźwiedź. Mamy więc powody, by przypuszczać, że chodzi o tego mężczyznę – powiedział Fredrik. – Skaren – dodał po chwili. – Nazywał się Ottar Skaren.

Widok i zapach rozplątanych zwłok przyprawiał o mdłości. Fredrik się cofnął. Stojąca obok sterty gontów Kafa wpatrywała się w górną część ściany stodoły.

– Znalazłaś coś?

Wzruszyła ramionami.

– Na górze jest mały podest z otwartym okienkiem, które wychodzi na Słoneczny Spokój. Myślę, że to może być punkt obserwacyjny.

W ścianie, mniej więcej dwa i pół metra nad nimi, widniała kwadratowa dziura o wymiarach metr na metr. Widzieli przez nią korony drzew na stoku poniżej stodoły. Na podest prowadziły strome schodki, które zatrzeszczały pod ciężarem Fredrika.

Kafa miała rację. To miejsce było punktem obserwacyjnym. Zauważył to od razu. Stary przewód idący pod sufit został przecięty, a do oczyszczonych miedzianych końcówek przymocowano nowy



błyszczący białą kabeł, który kończył się prymitywną listwą leżącą na parapecie otworu w ścianie. W kurzu obok niej widniały wyraźne ślady statywu. Takiego, jaki się stosuje do ustabilizowania lunety albo aparatu fotograficznego czy kamery.

Przez otwór w ścianie patrzył na drewnianą willę w dole, na trawnik i stodołę – posiadłość Słoneczny Spokój. Odległość od siedziby wspólnoty wynosiła nieco ponad kilometr. Obserwator miał stąd doskonały widok. Fredrik właśnie miał zawołać, gdy uprzedził go triumfalny okrzyk:

– Fredrik! Fredrik, zobacz!

Bezpośrednio pod nim, po kolana w stercie gruzu i gontów, stała Kafa.

– To powód, dla którego morderca wrócił! Tego szukał!

W przytłumionym świetle nie dojrzał, co podniosła.

– Leżało tutaj! W gruzie! – zawołała. – To taka saszetka. W środku jest telefon. I mapa!

## ROZDZIAŁ 26

Impregnowane nogawki mundurowych spodni ocierały się o siebie z szelestem przypominającym granie świerszczy. Pod wojskowymi butami chrzęścił żwir. Policjanci zajmowali pozycje pod osłoną kontenera przed masywną bramą magazynu.

Fredrik śledził akcję przez przydymione okna białego samochodu dostawczego. Na chybotliwym krześle obok niego siedział Sebastian Koss. Inspektor szeptał do mikrofonu.

– Wykonać!

Policjanci unieśli broń i ruszyli. W słuchawkach interkomu brzmiał cichy, intensywny szum, przerywany jedynie krótkimi, stłumionymi meldunkami.

– Czysto.

– Czysto.

Fredrik wpatrywał się w trzymaną w rękę mapę. Cienkie czerwone kółko w środku, wskazujące miejsce między Kampen i Valle Hovin we wschodniej części stolicy, było prawie niewidoczne. Byli pewni, że mapa, którą znaleźli w stodole, wskazywała na dawną halę fabryczną na Ensjø.

– Czysto!

Powietrze w dostawczaku było gorące, brakowało tlenu. Drzwi i okna pozamykane. Nikt nie mógł wiedzieć, że siedzą w środku.

– Czysto!

Czoło Fredrika pokryło się potem. Oblizwał wargi i posmakował kropelek na wąsach. Wokół unosił się zapach skórzanych butów i spoconych ciał. Fredrik odchylił się na oparcie i napotkał wzrok Kafy. Niepewnie potrząsnęła głową. Minęło jeszcze pół minuty.

– Czysto!

W interkomie zadudnił pewny siebie głos:

– Inspektorze Koss. Hala sprawdzona. Nic tu nie ma.

Koss uniósł się powoli z krzesła. Zagłębił ręce w wilgotnych od potu blond włosach, po czym pochylony przeszedł do tylnych drzwi.

– Cholera! – krzyknął i je pchnął.

Samochód wypełniły zły nastrój i świeże powietrze.

Uzbrojeni policjanci wychodzili grupkami z murowanej hali sześćdziesięciometrowej długości. Na obu końcach budynku wznosiły się wąskie okrągłe wieżyczki, a nad bramą czernił się napis z rokiem budowy: 1923. Stalowe wrota miały takie wymiary, żeby zmieścił się w nich pociąg. Stare szyny

kolejowe wystawały nieco z asfaltu.

– Hala nie była używana od dawna. Nikogo tam nie ma – zwrócił się do Kossa jeden z postawnych policjantów. Mówiąc to, podniósł osłonę i wycierał pot.

Fredrik skinął na Kafę.

W półmroku powietrze wydawało się wilgotne i zimne, szybko tłumilo dźwięki z zewnątrz. Szyny kolejowe prowadziły przez całą halę, na podłodze leżała cienka warstwa trocin. Ze stalowych belek pod sufitem zwisały nieruchomo łańcuchy grubości męskiej pięści. Dochodził stamtąd odległy świergot ptaków.

Szli w milczeniu, omiatając wzrokiem sufit i nagie ściany. Koniec pomieszczenia wyznaczał szary beton. Było w nim troje drzwi i wszystkie zostały wybite taranem oddziału szturmowego. Dwa boczne pokoje okazały się niewielkie. Biurka i puste szafki na dokumenty wskazywały, że niegdyś mieściły się tu biura. Środkowe drzwi były szersze, a powgniatana stal zdradzała, jak mocno taran się tu napracował. Wnętrze miało wymiary dziesięć na dziesięć metrów i było wysokie – sięgało aż do pustej wieżyczki w dachu. Było tu ciemniej niż w samej hali. Wszystkie okienka w wieżyczce poza jednym zasłonięto, tak samo owalne okno w ścianie na końcu. Przy obu bocznych ścianach stały drewniane regały – puste, jeśli nie liczyć kilku zwiniętych kawałków filcu. Patrzyli przez chwilę bez słowa, po czym Fredrik potrząsnął głową.

– Czysto! – powtórzył prześmiewczo i westchnął przybity. – Trzeba będzie sprowadzić ekipę techniczną, żeby to obejrzel, ale przecież tu nic nie ma.

Kafa nie odpowiedziała. Odchyliła tylko głowę i wzięła głęboki wdech.

– Czeka! – rzuciła, kucając.

Zanurzyła ręce w wiórach na podłodze.

– Nie czujesz?

Fredrik posłusznie wciągnął powietrze. Nie czuł.

– Tu jest wilgotniej niż w hali. A dotknij tego. – Wyciągnęła do niego rękę.

Wióry w jej palcach nie były suche jak gdzie indziej w hali, lecz lepkie i szorstkie. Filcowe derki na półkach też były wilgotne. Musiały jeszcze do niedawna leżeć na podłodze i tamować parowanie. Kafa stanęła z opuszczonymi rękami tyłem do Fredrika i zapatrzyła się w sufit, w wieżyczkę.

– Zamknij drzwi – poprosiła.

Poobijane i wypaczone drzwi jęknęły, kiedy ściągał je ku futrynie.

Zrobiło się ciemno. Przez okienko w wieżyczce padało tylko jedno jasne pasmo światła, sprawiając, że unoszące się w powietrzu ziarenka kurzu wydawały się świecić. Na końcu tego świętego promienia stała Kafa. Jej twarz wyłaniała się z cienia jak na portrecie Rembrandta. Linia profilu, kręgosłupa, zarys pośladków i piersi odcinały się od czarnego tła.

– Kibla – mruknęła.

– Słucham?

– Myślę, że to kibla – powtórzyła, gmerając przy telefonie.

– Taaak? – Nie zrozumiał.

– Kibla – mówiła, naciskając klawisze – to kierunek, w którym muzułmanie zwracają się podczas modlitwy, a zwracają się w stronę Mekki. Myślę, że jedyne niezastłonięte okno wskazuje na Mekkę.

Po chwili spojrzała na niego z uśmiechem.

– I mam rację. To kibla.

– Skąd to wiesz?

– Bo ta aplikacja – pokazała mu ekran smartfona – może mi w każdej chwili podpowiedzieć, gdzie znajduje się Mekka. – Mrugnęła do Fredrika. – Filc do niedawna leżał na ziemi. Ktoś się tu ukrywał. I do modlitwy obracali się w stronę Mekki.

– Emir i Qambrani – dopowiedział.

Pokiwała w zamyśleniu głową.

– Pozostaje pytanie, czy uciekli, kiedy weszliśmy. Jeżeli nie wiedzą, że tu byliśmy, mogą wrócić – myślał głośno Fredrik, zapinając kurtkę, bo powietrze było wilgotne i lepkie.

– Nie – odparła Kafa, podkreślając to ruchem głowy. – Wiedzą, że tu jesteśmy. Aż tak nie lekceważą niebezpieczeństwa. Ale i tak tu wrócą.

– Tak myślisz?

– Na derkach musi być masa śladów, skóra, włosy... Wciąż tutaj leżą tylko dlatego, że uciekali w pośpiechu. Ci, którzy się tu ukrywają, mają nadzieję, że nie wpadniemy na to, iż pomieszczenie jest używane. Wrócą, żeby się ich pozbyć.

– O której? – spytał Fredrik krótko.

Nie wykazała się poczuciem humoru.

– Przypuszczalnie po zmroku.

Siadła w kącie przy drzwiach. Była tam prawie niewidoczna.

– Zakładam, że masz rację. – Westchnął. – Poproszę Kossa, żeby urządził to tak, by wyglądało, jakbyśmy odjeżdżali.

## ROZDZIAŁ 27

Nie był pewien, co to za dźwięk. Nogi go bolały, łupało w kolanie, a chropawa ściana wrosła mu w plecy. Światło wpadające do otworu w wieżyczce zbladło do poświaty. Słońce zachodziło. Próby czytania książki, którą przyniósł w kieszeni skórzanej kurtki, kieszonkowego wydania Charlesa Willeforda, jedynie wzmacniały ćmiący ból głowy. Tak bardzo chciało mu się łać, że rozważał, czy nie ulżyć sobie w spodnie. A co z nią? Czyżby nie miała żadnych ludzkich potrzeb? Kafa siedziała w tej samej pozycji, jaką zajęła pod ścianą cztery godziny wcześniej.

Jednak i ona podniosła głowę. O, znowu to słyhać. Prawie bezgłośnie drapanie o szybę za deskami, które zasłaniały okno w ścianie oddzielającej pomieszczenie od hali. A więc nie ma wątpliwości. Dźwięk przypominał odciąganie czegoś ciężkiego od ramy okna. Cisza. Fredrik zaczął liczyć. Piętnaście sekund. Trzydzieści. Wydawało mu się, że w szparach między deskami dostrzega jakiś ruch. Na podłogę spadły okruchy tynku z parapetu. Silny łomot. Dolna deska drgnęła. Potem nagłym ruchem została oderwana i odłożona. Dwie następne oderwano gwałtowniej. Otwór miał co najmniej pół metra. Dostrzegli mężczyznę. Barczysta sylwetka, byczy kark.

Chwyciwszy się mocno parapetu, intruz się podciągnął. Najpierw pojawił się tułów, potem nogi. Mężczyzna siedział na parapecie tylko moment, po czym zgrabnie zeskoczył na wióry zaścielające podłogę. Fredrik napiął mięśnie. Póki siedzieli bez ruchu, wtapiali się w otoczenie. Wystarczyło jednak, by intruz zapalił latarkę czy choćby pstryknął zapalniczką, a mógłby ich dostrzec.

Światło nie rozbłysnęło. Cień ruszył ku półce znajdującej się ledwie na wyciągnięcie ręki od Fredrika. Dobrze się orientował w tym wnętrzu. Detektyw poczuł jego zapach – męski pot, ulotną woń przyprawionego mięsa. Mężczyzna bez wysiłku zdjął z półki długi filcowy rulon. Fredrik podjął decyzję. Ruszy, kiedy tamten odwróci się plecami i podniesie w górę ręce, żeby wyrzucić filc przez okno. Trzeba przewrócić go kopniakiem w nogi i przygnieść całym ciężarem ciała. Wtedy wzrost tego diabelskiego nasienia nie będzie odgrywał roli. Wykręcić mu rękę na plecy, chwycić porządnie za dwa palce i pociągnąć, aż krzyknie, a ramię wyskoczy z barku.

Cień jednak nie przesunął się w kierunku okna, lecz zatrzymał, odłożył rulon i kucnął. Szybkim ruchem rozwinął filc i wyprostował brzegi. W środku znajdował się jakiś mały dywanik. Rozwinął go, strzepnął, zsunął buty i opadł na kolana – zwrócony plecami do Fredrika, a twarzą ku niezabitemu oknu w wieżyczce. Mamrocząc pod nosem, pochylił się do przodu. Dotknął czołem podłogi. Wyprostował się i powtórzył sekwencję ruchów.

Zaatakować człowieka, który się modli? Fredrik miał wrażenie, że tak się nie godzi. Ale pojawił się obraz zastrzelonego pastora Alfsena, klęczącego, ze splecionymi dłońmi. *Case closed*. Fredrik

wparł pięści w beton i unosił się tak bezgłośnie, jak tylko potrafił. Napiął mięśnie nóg. Wstając, przesuwał pięści o milimetry. Bolało. W nogach czuł silne mrowienie, kolano rwało, aż oczy wychodziły na wierzch. Wreszcie jednak całkiem się wyprostował. Odepchnął się lekko od ściany i stanął na własnych nogach. Nie było na co czekać. Klęczącego należało unieszkodliwić.

Samotność to pewien stan umysłu. Oko powie ci, że jesteś sam, a jednak wiesz, że to nieprawda. Zwłaszcza w mroku.

Jeszcze zanim Fredrik zdołał postawić pierwszy krok, cień gwałtownie się obrócił, popatrzył mu w oczy i przetoczył się jak kot. W jego ręce coś błysnęło. Zakrzywiony sztylet wielkości kuchennego noża śmignął ze świstem w stronę detektywa. Fredrikowi udało się jedynie niezręcznie uskoczyć w tył. Nim odzyskał równowagę, mężczyzna już zerwał się na nogi, warknął coś zza gęstej, dobrze utrzymanej brody, obnażył zęby i spojrzał na niego z nienawiścią.

Sztylet świsnął powtórnie. Fredrik cofnął się o kolejny długi krok. Szerokie jasne spodnie i obcisła podobna do tuniki koszula sprawiły, że cień stracił nieco ze swojej ruchliwości, choć nie grało to żadnej roli. Jeszcze krok, a Fredrik znajdzie się pod ścianą. Nie było miejsca na jakikolwiek inny manewr.

– Stać! Policja! Poddaj się!

Głos Kafy odbił się echem od ścian. Stała za plecami napastnika w smudze światła z wieżyczki. Cień odwrócił głowę w jej stronę, zdezorientowany. Zawahał się. A potem ustawił się tak, że miał ich oboje w polu widzenia.

– Ostatnie ostrzeżenie! Poddaj się!

Na ustach intruza pojawił się niepewny uśmiech. Wyglądał, jakby miał ochotę się odezwać. Nie zdążył. Fredrik nie czekał. Kopnął. Z całej siły walnął diabelskie nasienie w krocze. Usłyszał trzask rozdieranej bawełny spodni, gdy czubkiem buta trafił w jądra. Mignęły mu białka oczu, kiedy ciało brodacza instynktownie zwinęło się i pochyliło w przód. Splecionymi dłońmi na odlew rąbnął w byczy kark.

Z głuchym, smutnym łomotem Mohammad Qambrani wylądował na ziemi. Fredrik polał się w spodnie. O kurwa, jak dobrze.

## ROZDZIAŁ 28

Minęła północ, kiedy Fredrik zaparkował w policyjnym garażu koło czarnego mercedesa SLS AMG Sebastiana Kossa. Nie mógł się powstrzymać, by nie podziwiać tego długiego, drapieżnego pancernika – szerokie opony o pięknym zapachu, drzwi otwierane do góry, słynne „mewie skrzydła”, kabina mocno przesunięta ku tylnej osi, grożąca, że potwór stanie dęba. Cudowne dziecko inżynierów. Z zadowoleniem zauważył pasmo błota na aluminiowej karoserii.

Oddał kluczyki do państwowego forda i ruszył w dżdżu w kierunku przystanku kolejki na Grønlandzie. Sprawdził komórkę – wiele nieodebranych połączeń z tego samego numeru. Oddzwonił.

– Cześć, Fredrik – odezwał się jasny, sympatyczny męski głos.

– Dzwoniłeś?

– Jasne. Dobrze wiesz dlaczego. Masz czas na gadkę czy...?

– No faktycznie. Teraz?

– Hm... Damy radę. Miałem się już położyć, ale... Za dwadzieścia minut? Tam, gdzie zawsze?

– Do zobaczenia. Pozdrów Turid.

Tam, gdzie zawsze. W najmniejszej, najmroczniejszej spelunce na zachód od Bogstadveien, gdzie wciąż można było dostać dwie halby za stówkę. Odnawianej ostatni raz jeszcze przed wprowadzeniem ustawy antynikotynowej. Przesycone śmierdzącym dymem lilaróż ściany, zezowaty facet za barem i stała klientela skutecznie zmniejszali liczbę przypadkowych gości.

Pub był położony o rzut kamieniem od domu Fredrika i taki sam rzut kamieniem od mieszkania Jørgena Mostu i jego żony Turid. Dzięki temu spotykali się w pół drogi. Co Fredrikowi często wydawało się pożyteczne w kontaktach z dziennikarzami.

Dawno się nie widzieli. Kumple od czasu studiów, para najlepszych przyjaciół, bliscy znajomi z tych samych kręgów towarzyskich, znajomi, ponownie przyjaciele. Fredrik zapamiętał, jaki był Jørgen, gdy się spotkali po raz pierwszy – silny, żyłasty, przywykły do ciężkiej roboty w rodzinnym gospodarstwie. Teraz było po nim widać osiemnaście lat spędzonych za biurkiem w telewizji. W pasie szerszy niż w ramionach; skóra niemęsko sflaczała... Za to rude loki i uśmiech się nie zmieniły. Detektyw kończył pierwsze piwo, kiedy kumpel wszedł, zdjął okrągłe okulary i wytarł je we flanelową koszulę.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Jørgen.

Uścisnęli się po męsku. Kiedy dziennikarz zdejmował wiatrówkę, postawiono przed nim bayera.

– Kurwa gnat, co za pieprzone lato! – skomentował, osuwając się na krzesło.

– No to jak ci się wiedzie, kierowniku działu politycznego?

– Hm... Mocno różni się to od bycia reporterem. Jest bardziej serio. Więcej zebrań. Ale pensja i czas pracy są lepsze. Zdaniem Turid to najlepsza decyzja, jaką podjąłem od czasu, gdy się pobraliśmy... A od tamtej pory, jak by nie było, minęło sporo lat.

Roześmiali się, a potem Jørgen znów spoważniał.

– Po tym, jak Turid zachorowała... stałe godziny pracy są praktyczne. Ale dziś mamy rozmawiać o twojej pracy, Fredrik. – Pochylił się do przodu. – To przecież zupełnie zwariowana historia. – Potrząsnął głową, z włosów prysnęły krople deszczu. – Zmasakrowani członkowie wspólnoty religijnej, sekta, która zapadła się pod ziemię, muzułmańscy terroryści, seksowne córki polityków... Cholera, widziałeś te zdjęcia w „Dagbladet”? Ta Annette Wetre... Naprawdę jest na czym oko zawiesić. – Stłumił emocje, kiedy dostrzegł, że Fredrik nie daje się podniecić tabloidowymi szczegółami sprawy. – Więc pozostaje pytanie, co mi możesz powiedzieć.

Fredrik z zastanowieniem obserwował starego przyjaciela. Wiedział, że może na nim polegać. W geście otwarcia zdjął okulary i położył je przed sobą na stole.

– Powiedzmy, że najpierw wprowadzę cię w sprawę, a pytania zostawimy na później.

– W porządku – zgodził się Jørgen, bębniąc palcami w stół.

Fredrik opowiedział mu o pozornie błażej sprawie zaginięcia Annette Wetre, o tym, jak wszystko eksplodowało za sprawą telefonu od Synne Jørgensen. O chaosie na miejscu zbrodni, o śladach po wspólnocie, o sypialni Alfsena i porozrywanych kulami ofiarach. Potem obniżył głos i dodał:

– Nie dowiedziałeś się tego ode mnie, okej?

Jørgen mrugnął na znak zgody. Bębnienie w stół ustało.

– Jedną z rzeczy, która mnie cholernie dziwi w relacjach mediów z tej sprawy, to poziom uszczegółowienia. Wszystko, co ci do tej pory powiedziałem, jest już znane. Najwyraźniej macie źródło, które doskonale orientuje się w sprawie. Ale... – Fredrik podrapał się po brodzie, pod palcami zachrząściła szczecina. – Wasze źródło selekcjonuje informacje.

Jørgen zrobił minę z gatunku „powiedz więcej”. Fredrik zakładał, że na studiach dziennikarskich ćwiczyli takie grymasy przed lustrem, bo widział podobne już wcześniej.

– Pod Słonecznym Spokojem jest piwnica. Ukryta. Składa się z laboratorium i centrali monitoringu. Tam Światło Boga kontrolowało obrazy z kilkunastu kamer w posiadłości, umieszczonych wewnątrz i na zewnątrz.

– Laboratorium? Ale co...?

– Nie wiemy – przerwał mu Fredrik. – Niemniej coś się tam działo. Coś, co źle znosi światło dzienne. Kiedy weszliśmy, piwnica była klinicznie czysta. – Popatrzył na kolegę szczerym wzrokiem. – Dlaczego wasze źródło nie powiedziało wam o tajnym laboratorium?

Jørgen odwzajemnił się podejrzliwym spojrzeniem.



– Właśnie: dlaczego? To bardzo wiarygodne źródło – odparł.

Jego mina wyraźnie świadczyła o tym, że nie wie, co o tym sądzić.

Fredrik oparł się całą długością ciała o krzesło i odchylił tak daleko, że mało się nie przewrócił.

– Mam wrażenie, że jesteście wykorzystywani – rzucił.

Zmarszczka na czole dziennikarza się pogłębiła.

– Okej. Po co?

– Bo ktoś postanowił, że tę tragedię należy przedstawić jako swego rodzaju porachunki religijne i akt zemsty. Ktoś chce, żebyśmy uwierzyli, że kryją się za tym islamscy fundamentaliści. Może tak jest. Ale ta sprawa jest bardziej złożona, niż się wydaje. Tego jestem pewny. – Zwlekał chwilę, nim powiedział jeszcze: – Coś się w tej piwnicy działo.

Jørgen wzniósł oczy do nieba.

– Więc twoim zdaniem prasa daje się wykorzystywać? Niczym pożyteczni idioci? Stara śpiewka.

– To twoje słowa. Ci, którzy się za tym kryją, dysponują profesjonalną i głęboką wiedzą o społeczeństwie. I umieją nacisnąć odpowiednie guziki – odpowiedział dyplomatycznie. – Jeszcze jedno? – dodał, spoglądając na prawie pusty kufel Jørgena.

– Tak, do diabła – burknął niezadowolony dziennikarz.

Kiedy Fredrik wrócił z piwem, Jørgen miał minę, jakby coś rozważał.

– A co z Emirem? Mohammedem Khaledem Omarem, na którego polujecie? I z jego ochroniarzem Qambranim? Jedyjni poszukiwani w związku z tą sprawą są przecież muzułmańskimi fundamentalistami.

Fredrik nie próbował kłamać.

– Zakładaliśmy, że nikt się o nich nie dowie.

– Dobre źródło, wiesz – rzucił odważnie Jørgen.

– Nie powiem nic o Emirze. Szukamy go, bo chcemy z nim porozmawiać. Co do Qambraniego, to leży na Ullevål. Z tego, co słyszałem, z powodu opuchniętych jąder. – Przekrzywił głowę. – Skoro wiedzieliście o Emirze i Qambranim, to dlaczego o tym nie napisaliście?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Aha. Założę się o dwa piwa, że pod aresztem na Grønlandzie stoi już ekipa telewizyjna. Obiecaliście, że nie ruszycie sprawy, póki Emir nie zostanie aresztowany, tak?

Jørgen roześmiał się i wzniósł oczy do nieba.

– Zobaczymy.

Wyszedł na papierosa. Fredrik widział przez upstrzone plamami okno, jak się chowa przed deszczem pod czerwoną markizą. Wciągnął na siebie skórzaną kurtkę i pospieszył za nim. Stanęli obok siebie. Flip i Flap.

– Muszę wiedzieć, kim jest źródło – odezwał się Fredrik.

Jørgen zaciągnął się głęboko. Odpowiedział na wydechu:

– Do cholery, Fredrik, nie. – Jego głos stał się ponury. – Wiesz, że to świętość.

– Zdajesz sobie sprawę, że źródło was wykorzystuje?

Jørgen zacmokał cicho, po czym spojrzał na kumpla z ukosa.

– Nie, do cholery – powtórzył. – Takie chwytty na mnie nie działają. Uchyliłeś drzwi i to będziemy mieli w pamięci. Ale za cholere nie zrezygnuję z naszego źródła. Na razie mamy tylko twoje słowa.

– I nie dasz się przekonać tym, że cię wykorzystano? – Fredrik spróbował jeszcze raz.

Jørgen prychnął.

– Każde źródło czegoś chce. Informacja przyszła z nieoczekiwanej strony. Tyle ci mogę powiedzieć. Więcej się nie dowiesz.

Pstryknięciem posłał niedopałek na ulicę.

– Ale wskazówka przyszła od kogoś z polityki. Wysoko?

Kumpel się zaśmiał.

– Daj sobie spokój, Fredrik. Nic więcej ci nie powiem. Dlaczego tak sądzisz?

– Nie sądzę. Wiem – stwierdził zdecydowanie nadkomisarz. – Zbyt dokładnie orientujesz się w tej sprawie, żebyś poznał ją jedynie w zarysach na kolegium redakcyjnym. Najwyraźniej się nią zajmujesz. A to oznacza, że ty albo ktoś w twoim dziale macie bezpośredni kontakt ze źródłem. A kiedy ostatnio sprawdzałem, robiłeś w polityce. Nie w kronice kryminalnej.

Już wchodzili do środka, gdy Fredrik nagle się zatrzymał. Z namysłem przebiegł wzrokiem po rzędzie zaparkowanych w ciemnej ulicy samochodów. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. A może tylko mu się wydawało? Błysk reflektorów? Wszedł za kumplem do baru.

## ROZDZIAŁ 29

Księżyc odbijał się w stali noża. Trzymający brzytwę mężczyzna znieruchomiał na chwilę, zmrożony, zafascynowany. Potem powoli obrócił trzonek, aż ujrzał w ostrzu własne odbicie – i pochmurne, puste spojrzenie.

Z niezwykłą ostrożnością przesunął brzytwą po białej jak śnieg czaszce, po skroni, po chropowatej, nierównej powierzchni blizny. Jak cienka bibułka pokrywała resztę chrząstki w miejscu, gdzie powinno być ucho. I z powrotem do karku. Wykręcił głowę, aż mięśnie szyi napięły się do granicy bólu. Brzytwa, a potem ręka. Woda kapnęła do kanału usznego. Nie odłożył noża, nie wytrząsnął wody, póki nie pozbył się ostatniego włoska na ciele. Potem kucnął, otworzył słoiczek, środkowym i wskazującym palcem wmasował w skórę mlecznobiałą substancję. Masa powoli wsiąknie w wierzchnie warstwy skóry i uczyni go anonimowym.

Kiedy skończył, wstał. Długie, silne ramiona rozprostowały się i zgięły jak skrzydła podnoszącego się do lotu orła. Pięści przesunęły się po głowie.

Gdyby ktoś teraz natknął się na tego mężczyznę na zwirowisku w lesie, zobaczyłby potężnego nagiego mięśniaka o skórze błyszczącej jak roztopiony воск, stojącego na rozstawionych nogach. Zobaczyłby jego rozbujane genitalia i podobną do perły w kształcie jaja czaszkę bez uszu. Gdyby zaś mężczyzna się odwrócił, ten ktoś cofnąłby się z niedowierzaniem i przerażeniem, świadom, że jego życie dobiegło końca.

## ROZDZIAŁ 30

– Od dawna znasz Fredrika?

Kafa ściszyła głos. Andreas Figueras spojrział na nią chłodno.

– Owszem – uciął.

Zdawała się nie przejmować jego tonem.

– Co mu się stało w nogę? Dlaczego utyka?

Andreas zwlekał z odpowiedzią. Rzucił okiem na człowieka, o którym rozmawiali. W szpiegowskich okularach, koszulce z ZZ Top i wytartej sztruksowej marynarce Fredrik nie ułatwiał właścicielowi sklepiku pod nazwą Norsk Security & Tech zaakceptowania faktu, że rozmawia z wyższym oficerem policji. Kamery monitoringu w Słonecznym Spokoju pochodziły właśnie stąd.

– Cóż – wycedził Andreas – skoro masz z nim pracować, to równie dobrze możesz się dowiedzieć. Przynajmniej się nie wygłupisz.

Zrobiła sceptyczną minę. Chyba nie była przygotowana na to, że rzeczywiście kryje się za tym jakaś historia, coś więcej niż prosty upadek ze schodów lub z roweru. Teraz mierzyła Andreego wzrokiem – od brązowych wypastowanych butów po srebrnoszare loki. Wiedział, nad czym Kafa się zastanawia – czy jest szczery, czy też szuka tylko sposobu, by ją poniżyć. Odpowiedź dostała natychmiast.

– Fredrik uszkodził sobie nogę, kiedy próbował ratować swoje dziecko z płomieni. – Zauważył, że się wzdrygnęła.

– Fredrikowi i jego żonie Alice urodziło się właśnie trzecie dziecko. Alice wróciła do pracy, więc Fredrik został w domu z małym. Z Frikiem. Kiedy niemowlę spało, Fredrik wyszedł na zakupy, po drobiazgi do sklepu na rogu. Nie było go góra dziesięć minut, a jednak... Kiedy wrócił, mieszkanie stało w płomieniach. Skoczył z drugiego piętra z Frikiem w ramionach. Frikk nie przeżył. Fredrik pogruchotał kolano.

– Smutne – powiedziała cicho.

– No. – Andreas zacisnął wargi.

Fredrik przywołał kolegów gestem dłoni, po czym wskazał palcem na umowę na ladzie i na właściciela, łysola około czterdziestki. Umowa sprzed dwóch lat. Światło Boga zapłaciło prawie dwieście tysięcy koron za sprzęt do monitoringu. Po dokładnym sprawdzeniu identyfikatora Fredrika sprzedawca przyznał, że dobrze pamięta to zamówienie.

– Niech pan powtórzy to, co mi powiedział o tym zamówieniu.

Sprzedawca sapał jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Widocznie w tej budzie serio traktowano gwarancję poufności.

– No właśnie. Zapłacili gotówką. Od ręki.

– Gotówką – powtórzył Fredrik. – To normalne?

– Nie.

– A spytał pan, czemu płacą gotówką?

Właściciel wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

– To branża bezpieczeństwa. Ludzie przychodzą tu, bo mają tajemnice. Płacenie gotówką nie jest chyba nielegalne w tym kraju?

– Jeszcze nie – odparł Fredrik kwaśno. – Może pan opisać tych, którzy to kupowali?

– Tego. Był tylko jeden. Właściwie nie pamiętam, jak wyglądał. Zupełnie zwyczajny facet. Taki trochę twardy. Twarde spojrzenie, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli.

– Ale to był on? – wtrąciła Kafa, wskazując na podpis pod umową, którą starannie przestudiowała.

Właściciel tłumaczył, że nie sprawdzał dowodu, skoro facet płacił gotówką, ale tak, to był podpis kupującego.

Per Olsen.

Sklepik leżał na uboczu, na terenie przemysłowym w Alfaset, siedem–osiem kilometrów na wschód od centrum Oslo. Zdobywszy coś, co przypominało kawę, wracali na Grønland. Prowadziła Kafa, Andreas zaś rozkładał na tylnym siedzeniu arkusz za arkuszem – rezultat łowów w państwowych archiwach z poprzedniego dnia.

– Ani wśród ofiar, ani wśród zaginionych nie ma nikogo, kto by się nazywał Per Olsen – zauważyła Kafa.

– To może być pseudonim – mruknął Andreas.

– Ba, ale czyj? Przecież właściciel nie rozpoznał pastora ani też nikogo z członków wspólnoty na zdjęciach, które mu pokazywaliśmy. Nie. Nie wierzę w to – stwierdziła. Powróciła do swojego belferskiego tonu, toteż facjata Andreeasa zbliżyła się barwą do koloru ugotowanego raka.

– Brzmi jak pseudonim – powtórzył z uporem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Cóż, tak czy owak – zaczął Fredrik – powiedz, co znalazłeś, Andreas.

Jego partner założył okulary.

Pastor Bjørn Alfsen junior miał naturę pająka. Co do tego właściwie nie było wątpliwości. Andreas ustalił listę nieruchomości należących do wspólnoty. Znaleziska godne uwagi, bo żaden z szeregowych członków nie miał niczego, nawet działki rekreacyjnej. Już nie, ponieważ wcześniej, jak większość Norwegów, dysponowali mieszkaniami i domami.

Fredrik obrócił się na fotelu. Zaimponowała mu góra dokumentów, które przekładał z tyłu Figueras.

– To się zgadza z tym, co mówiła o córce Kari Lise Wetre. Annette sprzedała mieszkanie na Sankt Hanshaugen – powiedział.

– A gdzież tam. – Andreas się zaśmiał. – Jak sądzę, miła Annette wpuściła mamuszkę w maliny. Nie sprzedała absolutnie niczego. Mieszkanie zostało przepisane. Gratis. Na pastora Bjørna Alfsena.

– O cholera.

Andreas przeczytał fragment dokumentu.

– Na jego nazwisko poza Słonecznym Spokojem jest zarejestrowane trzynaście nieruchomości. Dwie z nich, willę na Bygdøy i letni domek w Tjøme, odziedziczył po rodzicach. Ale w chwili śmierci miał także pięć mieszkań w Oslo, teren pod inwestycje w Lysaker, jeden dom jednorodzinny w Larviku, dwa w Lillehammer, las w Północnym Trøndelagu i letni domek w Rjukanie. Wszystkie te posiadłości należały do członków sekty, ale zostały przekazane Alfsenowi. I owszem, sprawdziliśmy – zwrócił się do Kafy, omiatając ją gniewnym spojrzeniem – w żadnym z tych miejsc nie ma oznak życia.

– Masz jakiś pomysł dlaczego?

– Mam. Ale to tylko teoria – rzucił, wciąż piorunując nową wzrokiem. – Funkcjonowały jako swego rodzaju zabezpieczenie finansowe.

Zwracało uwagę, że Alfsen nie sprzedał ani jednej nieruchomości. Wspólnota nie potrzebowała zatem pieniędzy. Jak wobec tego zapłacili za zbudowanie piwnicy i tajnego laboratorium? Za co żywili ponad dwudziestkę ludzi? Andreas ruchem ręki podkreślił, że to cholernie dobre pytania. Sam Alfsen też był wart parę koron. Jednak takie sumy, o jakich tu mowa? Dziesiątki milionów? Andreas potrząsnął głową. Pastor od ponad dziesięciu lat nie miał konta w banku. Jeżeli były jakieś pieniądze, to leżały ukryte w tym materacu, którego jeszcze nie rozcięli.

– A Słoneczny Spokój? – spytała Kafa.

– Jak mówiłem, w stu procentach własność Alfsena. Jak wynika z tego – Andreas rozłożył wyrys z planu zagospodarowania Maridalen – obszar Słonecznego Spokoju jest stosunkowo duży, ponad dwa hektary, z posiadłości można wydzielić działki od północy i od wschodu.

– Co z ukrytą piwnicą?

Andreas odszukał kopię listu z nagłówkiem gminy Oslo.

– Formalności dopełnione. To znaczy: złożyli wniosek o pozwolenie na budowę piwnicy pod stodołą. We wniosku Alfsen nie wymienia żadnego laboratorium. Gmina dała pozwolenie na rozbudowę pod warunkiem późniejszego dostania projektu. Tego nigdy nie zrobiono. W każdym razie w gminnym archiwum go nie ma.

Kafa potrząsnęła głową.

– A jeżeli te nieruchomości nie miały być zabezpieczeniem finansowym? Jeżeli były kryjówkami?

Miejscami, w których można by się schronić, gdyby coś poszło nie tak?

– O czymś zapominasz – rzucił Andreas twardo. – Coś rzeczywiście poszło nie tak. Doszło do masakry.

## ROZDZIAŁ 31

Wspomnienia powracały, kiedy odchyłał głowę na oparcie krzesła, zamykał oczy i głęboko oddychał. Nie były niemiłe widziane, nigdy nie niosły z sobą groźby. Gwałciciel z minionej zimy. Dziewiętnastolatek, który zadźgał nożem ojca. Obandażowany właściciel sklepu i drżący, mokry trzynastolatek, wciąż z krwią brata na policzku. Sprawcy. Świadkowie. I ofiary. Wszyscy na swój sposób byli ofiarami – ci, którzy lądowali tutaj, u niego.

Andreas nie pamiętał dat. Nie pamiętał, jak długo siedzieli. Często nie przypominał sobie głosów, zdarzało się, że zapominał, czy płakali, śmiali się, czy tylko mówili. W pamięci przechowywał obrazy. Resztę utrzymywał magnetofon. Bo nawet ten, kto nic nie mówi, coś przekazuje. Nerwowe spojrzenie na adwokata. Pstrykanie długopisem. Stukanie wierzchem dłoni w nogę krzesła. Oddech.

Andreas Figueras wiedział, że poza ścianami pokoju przesłuchań nie jest lubiany. Za nieodpowiednie komentarze, za to, że zawsze wdawał się w konflikty, za nieustający gniew. Nic nie mógł na to poradzić. Zżerała go wieczna nerwowość i tylko tych, którzy to akceptowali, jak Fredrik, zostawiał w spokoju.

Natomiast tu, w pokoju przesłuchań, był dla nich jednym z najlepszych. Bo tutaj nie obowiązywały owe wszystkie skomplikowane reguły. W tym pokoju puls mu się uspokajał. Cichł nieustanny zgiełk świata. Był tu tylko on, stół, drzwi i lustro. I osoba, której historię należało wydobyć. No i ci cholerni adwokaci.

– Doradziłem panu Qambraniemu, by odpowiadał na wszystkie pańskie pytania. Jak zeznał, bardzo mu przykro, że jego zachowanie zostało odebrane jako agresywna obrona przed pańskimi kolegami. Jednak, jak również zeznał, od chwili, kiedy dwoje policjantów w cywilu ujawniło swoją tożsamość, przestał działać w samoobronie. Potem to jego unieszkodliwiono. Bardzo brutalnie, jeśli mogę dodać.

Andreas pozwolił adwokatowi gadać. Nie znał go, a nazwisko już mu uleciało. Nie siedział bezpośrednio przy laminowanym stole jak tamci dwaj, wcisnął się w róg, by mieć kontakt wzrokowy z podopiecznym adwokata. Spojrzał na Qambraniego. Ciemna cera wydawała się delikatna jak aksamit w zestawieniu z gęstą, starannie uczesaną brodą. Za sprawą kołnierza ortopedycznego szyja robiła wrażenie opuchniętej.

– Chciałbym prosić pana policjanta o wybaczenie – odezwał się Qambrani cicho. – Byłem wystraszony. Myślałem, że przyszli, żeby mnie zabić. Otrzymaliśmy tak wiele pogróżek. A po zniknięciu emira... – Zawiesił głos. Spuścił wzrok na swoje ręce bawiące się wyciągniętą nitką w tunice od szarzielonego *szalwar kamiz*, zapiętej na rząd guzików, który sięgał od szyi do połowy klatki piersiowej.



Andreas przewrócił oczami i spojrział w weneckie lustro. W pomieszczeniu za szybą siedzieli Synne, Sebastian Koss i Fredrik.

– Gdzie jest Mohammed Khaled Omar? Emir?

Qambrani popatrzył na Andreasa z buntem w oczach. Zwinął w palcach pasemko brody. Potrząsnął głową. W końcu musiał wypełnić ciszę.

– Nie widziałem go od wielu tygodni. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Qambrani jęknął.

– To... Nie przypominam sobie dokładnie. Myślę, że jakieś trzy–cztery tygodnie temu. Zorganizowaliśmy wieczorne modły. Omar podczas nich przemawiał. Nie jestem pewien, czy potem jeszcze go widziałem.

Andreas przez chwilę milczał. Na czole mężczyzny szybkim, regularnym rytmem pulsowała nabrzmiała żyła.

– To kiedy się pan zorientował, że Emira nie ma?

Aresztant złożył ręce jak do modlitwy.

– To było podczas piątkowych modłów, trzy tygodnie temu. Wszyscyśmy się wtedy spotkali, ale on nie przyszedł.

– Dlaczego?

Qambrani rozłożył ręce.

– Nie wiem.

– O czym rozmawialiście? Tego dnia, kiedy spotkaliście się po raz ostatni?

– Nie pamiętam. O zwykłych sprawach. O niczym godnym zapamiętania.

– Nic o tym, że wyjeżdża? O planach pobytu poza miastem?

Odpowiedzią na pytania był jeszcze jeden przeczący ruch głową.

– Rozmawialiście o Słonecznym Spokoju?

– Nie.

– Rozmawialiście o Świetle Boga?

Qambrani nie odpowiedział. Andreas podniósł głos.

– Rozmawialiście o waszych dawnych wrogach w chrześcijańskiej wspólnotie Światło Boga? Wspólnotie, która cztery dni temu została zmasakrowana? Rozmawialiście o nich?

– Nie! – Potężny mężczyzna uderzył dłonią w stół z taką siłą, że rozlała się kawa. Po czym zacisnął ręce na siedzeniu krzesła, jakby sam siebie chciał powstrzymać. – Nie, mówię. Nie. Nie mam nic wspólnego z tą odrażającą akcją. Nic na ten temat nie wiem. Nie rozumiem pańskich pytań! – Spojrzał bezradnie na adwokata.

– Mój klient w żadnej mierze nie był zaangażowany w omawianie, planowanie czy też dokonanie morderstw w Słonecznym Spokoju. Nieporozumienie, o którym wspomniano, to odległa przeszłość. Więc jeśli nie macie nic bardziej konkretnego, co wiązałoby mojego klienta ze zbrodnią w Słonecznym Spokoju... – Adwokat nie pofatygował się nawet, by skończyć zdanie, jedynie kiwnął powoli tłustą brodą.

Andreas milczał. Pochylił się do przodu, wyjął z pudełka na stole kilka papierowych serwetek, położył je na rozlanej kawie i pozwolił, by płyn w nie wsiąknął, po czym zebrał je do swojego tekturowego kubka. Wyjął kilka nowych skrawków bibuły i wytarł blat do sucha. Kolejne serwetki wylądowały w jego kubku. Na koniec zagiął brzegi kubka i wrzucił go do kosza na śmieci.

– Dlaczego zatem ukrywa się pan w hali fabrycznej w Ensjø?

– My...

Andreas kątem oka zauważył, że adwokat kiwnął głową. Qambrani odchrząknął.

– Organizacja Dżamaat-e-Islami ma wielu wrogów. Prowadzimy legalną działalność religijną, a mimo to wiele osób nas nienawidzi. Do wynajmowanych przez nas lokali się włamywano, demolowano je, właściciele wyrzucali nas z nich z powodu naszej wiary. W związku z tym emir prosił, żebym znalazł jakieś bezpieczne miejsce, dokąd moglibyśmy się wycofać. Jeżeli sytuacja się zaogni.

– Zaogni?

Qambrani wzruszył ramionami.

– Niech pan spojrzy wkoło siebie. Konflikty religijne i kulturowe mogą rozwinąć się wszędzie. Także tutaj. Dlatego znaleźliśmy halę w Ensjø. Mogę przyznać, że nie wszystkie formalności zostały dopełnione, na przykład umowa najmu, ale pracowaliśmy nad tym...

Andreas przewrócił oczami i cicho gwizdnął.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego się pan ukrywał?

Islamista znowu zaczął się bawić wyciągniętą nitką. Czy gdyby pociągnął za nią wystarczająco mocno, sprułaby się cała tunika? Gdzie znaleźć końcówkę nitki w Qambranim?

– Nie wydaje mi się, żeby emir opuścił nas dobrowolnie.

– Tak?

Mohammad Qambrani pociągnął za bawełnę szerokich spodni. Potem przesunął stopy do przodu – niebieskie tenisowe skarpetki stapiały się w jedno z plastikowymi klapkami Adidasa. Ulubionym obuwiem bywalców więzień.

– Emir nie opuściłby nas tak bez słowa. – Qambrani przestał poruszać wielkimi łapami. – Obawiam się, że został uprowadzony i zabity. Przez tych, którzy nienawidzą islamu. Przeraziłem się i ukryłem. Dlatego... zareagowałem tak, jak zareagowałem, kiedy znaleźli mnie policjanci.

– Więc Emir nie mieszkał w hali?

– Nie.

– Dlaczego nie zgłosił pan jego zniknięcia?

Andreas Figueras nie grał w szachy, ale brał udział w seminarium, podczas którego jakiś zadowolony z siebie bubek z wyższej szkoły policyjnej wygłosił elaborat na temat pokrewieństwa między przesłuchaniem a tą starożytną grą. „Zanim przejdzie się do ataku, trzeba sprytnie rozstawić swoje pionki – tak powiedział. – A potem należy zadbać o to, żeby przeciwnik nigdy nie miał okazji silnie uderzyć. W pokoju przesłuchań policja zawsze gra białymi. Białe zaczynają partię, a tym samym mają przewagę. Tylko słabi policjanci oddają tę przewagę”. Te słowa dźwięczały Andreasowi w uszach, kiedy obserwował triumfującą minę Qambraniego.

– Ależ zgłosiłem!

– Chyba nie – powiedział Andreas niepewnie, zerkając w lustro.

– Owszem, tak – stwierdził adwokat.

Nosowy ton miał go zirytować. I zirytował.

– Dokładnie przed dziesiętnastoma dniami. Co prawda, był to telefon anonimowy, niemniej z prywatnego numeru pana Qambraniego. Z tego telefonu, który został przez was zarekwirowany. Sprawdźcie go i jednocześnie sprawdźcie własną książkę zgłoszeń.

Szach.

Andreas prychnął.

– Ta sprawa to priorytet dla policji w Oslo. Sądzę, że gdyby w naszej bazie danych istniała jakaś wskazówka dotycząca człowieka, który jest głównym podejrzanym o morderstwa w Słonecznym Spokoju, wiedzielibyśmy o tym.

– Mimo to... – zaczął adwokat, lecz Andreas go zignorował.

Jego grą był poker. W niej wygrywało się, nawet kiedy karta nie szła. Wystarczyło wystarczająco dobrze zablefować.

– Przyszło panu do głowy, że Emir mógł was oszukać? Że chce, żeby to wyglądało na jego zniknięcie? Że jego nienawiść do Światła Boga i innych chrześcijan jest silniejsza, niż się panu wydaje?

Qambrani popatrzył na detektywa bez wyrazu.

– Nie. Nie odniosłem takiego wrażenia.

– Zatem jak pan wytłumaczy to? – Z oprawnego w skórę notatnika Andreas wyciągnął mapę wskazującą halę fabryczną jako ich kryjówkę. – Znaleźliśmy to w gospodarstwie sąsiadującym ze Słonecznym Spokojem. Właściciel gospodarstwa został zabity, rozplątany nożem dwa dni temu.

Qambrani potrząsnął głową.

– Niech Bóg się zlituje nad jego duszą. Nigdy przedtem tego nie widziałem. Po co emirowi byłaby potrzebna mapa? Przecież wiedział, gdzie jest hala.

Cholera. Qambrani przejrzał blef.

Andreas wyciągnął zdjęcie i położył na stole między nimi. Zdjęcie pastora na klęczkach, ze splecionymi dłońmi. Byłoby nawet pełne spokoju i zadumy, gdyby nie ostre, zimne oświetlenie. I wlot kuli nad uchem klęczącego.

Qambrani pochylił się nad fotografią. Przyglądał się jej.

– Czy on... nie żyje?

– Nie żyje.

– Niech spoczywa w spokoju – powiedział osiłek i się wyprostował. – Kto to jest?

– Nazywał się Bjørn Alfsen. Był pastorem wspólnoty Światło Boga.

Qambrani syknął ze smutkiem.

– Widzi pan ten szal zawiązany wokół jego rąk? Jest na nim napis z Koranu. Zabawne, prawda? – dodał Andreas, stukając palcem w fotografię.

Qambrani się namyślał.

– Nie wiem. Nie jestem detektywem. Ale – spojrzał policjantowi w oczy – to nie jest muzułmański zwyczaj. Ci, którzy za tym stoją, nie są wyznawcami islamu. Nie są przyjaciółmi islamu.

Szachy czy poker, ta partia dobiegła końca.

## ROZDZIAŁ 32

Cholerne gównno.

Fredrik nachylił się, włożył rękę do środka czarnej torebki i wywrócił ją na lewą stronę. Śmieciowa kiełbasa smakowała mniej więcej tak, jak Andreas wyglądał po wczorajszym przesłuchaniu.

Przypomniął sobie rozmowę z ekipą techniczną w stodole. W bagażniku wypalonego passata leżały resztki czarnej torby. Zawierała, jak sądzili, dużą liczbę plastikowych zlewek, tubek, probówek i szalek Petriego – jakich używa się w laboratoriach. Teraz to wszystko było stopione w jedną masę. Niemniej jednak to tu trafiły chemikalia ze Słonecznego Spokoju. Na pogorzelsko w Maridalen. Potem Fredrik pomyślał o Mohammadzie Qambranim. Prawdę powiedziawszy, nie mieli na niego kompletnie nic. Pewnie uda im się wycyganić od sędziego kilka tygodni aresztu, ale później trzeba go będzie wypuścić. Muszą znaleźć Emira. Muszą znaleźć wspólnotę. Mordercę. Czas działał na ich niekorzyść.

Było pochmurno, a cienka brązowa sztruksowa marynarka nie chroniła od wiatru. Wreszcie przez Sorgenfrigaten przetoczył się ford na cywilnych numerach. Kafa opuściła nieco szybę.

– Co tam masz? – Zagapiła się na spaniela.

Pies miał gęstą sierść o długim włosie, uszy w kształcie liści wiązu i mokre ślepia.

– Co? A, ją. Nazywa się Krezuska.

– Zabierasz swojego psa do pracy?

– To pies Bettiny. Yyy... przyjaciółki. Pojechała na seminarium, a ja pilnuję zwierzaka. Krezuska nie lubi zostawać sama. Dostaje biegunki.

Kafa nie wyglądała na zachwyconą.

– Nie lubisz psów?

– Jestem muzulmanką.

– No tak. Niech cię pocieszy fakt, że to nie świnia.

Kafa zamknęła okno i otworzyła bagażnik. Fredrik zastukał palcem w szybę.

– Przykro mi. Musi siedzieć z przodu. Cierpi na chorobę lokomocyjną.

Odrywane od blatu gazety głośno zaszeleściły, a na jego powierzchni zostało kilka przyklejonych skrawków. Biurko przedsiębiorcy budowlanego Henninga Skauga lepilo się od brudu – jak zwykle biurka, kiedy przez dłuższy czas zbiera się na nich kurz, resztki środków czyszczących, taśm klejących i samoprzylepne karteczki. Ale na środku był czysty prostokąt, a na nim leżał stosik

dokumentów.

– Miałem kłopot ze znalezieniem tych papierów. Jednak poszukiwania dały mi powód do zrobienia porządku. – Mówiąc to, Skaug nalewał kawę do tekturowych kubków.

Były właściciel Oslo Montasjemiljø AS siadł za biurkiem i wskazał kartonik ze śmietanką.

– Zabielić? Niestety cukru już od dawna nie używam.

Przedsiębiorstwo Henninga Skauga zbankrutowało kilka lat po tym, jak zbudowali piwnicę w Słonecznym Spokoju. Teraz Skaug pracował dla większego dewelopera, z siedzibą w Furuset. Kartkował dokumenty kościstymi palcami, aż wyciągnął na wierzch rysunek techniczny.

– Tej roboty nie zapomnę nigdy.

Nic dziwnego. To było duże zamówienie. Skaug poprosił o zaliczkę. Dwie godziny później w jego biurze zjawili się trzech chłopca z walizką wypchaną gotówką. Dziewięć milionów dwieście czterdzieści cztery tysiące koron. W banknotach po tysiąc i pięćset koron. Czuł się jak gangster. Skaug mruzczał i pocierał palcami, demonstrując technikę ręcznego liczenia pieniędzy.

– Więc kiedy usłyszałem o strzelaninie w Maridalen, pomyślałem w duchu, że może to mieć coś wspólnego ze Słonecznym Spokojem... – Musnął palcami wąski pasek włosów nad uszami, siwą splątana aureolkę.

– Dlaczego? To znaczy: dlaczego przyszło panu na myśl to połączenie? – spytała Kafa.

– Ci ludzie... wydawali mi się – zacisnął usta, szukając właściwego określenia – szczególnie. – Skinął głową, jakby na potwierdzenie, że tak właśnie sądzi. – Gdyby kto inny przyszedł do mojego biura z walizką pełną pieniędzy, pomaszerowałbym prosto na policję. Ale ci ludzie... Wydawali się tak... wydawali się chodzącą niewinnością. Cały czas mówili o Bogu. Byli tacy naiwni i mili. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Podawali nam na drugie śniadanie świeże bułeczki i sok. Chłopaki to uwielbiały. I dziewczyny były śliczne i słodkie, bose, w rozwianych sukienkach. Jakbyś się znalazł w jakiejś bajce... – Na jego twarzy pojawił się cień zastanowienia. – Bergmanowskiej.

– Ale – zaczęła Kafa – to nie wyjaśnia, dlaczego pan pomyślał o wspólnocie, kiedy usłyszał o morderstwach.

– Rzeczywiście. Dojdę i do tego. Interesuje się pani filmem?

– Nie. No, może trochę. A o co chodzi?

– W narracji Bergmana jest zawsze podwójne dno. Niezmiennie kryje się tam tragedia. Pod idyllą.

– Mógłby pan to wyjaśnić bardziej konkretnie?

Nie było to zdaniem Skauga takie proste. Szło o drobiazgi – jak archaiczny język pastora Alfsena, jego skłonność do rugania członków wspólnoty czy cisza, która zapadała, gdy robotnicy podeszli zbyt blisko. Najlepiej jednak pamiętał spojrzenia. Mieszkańcy Słonecznego Spokoju patrzyli na nich w taki dziwny, śmieszny sposób. Najpierw pomyślał, że flirtują. Że w posiadłości w imię boże dzieją się

nieprzyzwoite rzeczy. Ale potem zaczął się zastanawiać... Do dziś miał przed oczami tę młodzież. Dźwigali jakąś tajemnicę. Głęboką, poważną tajemnicę, która ich przewyższała. Większą niż wspólnota, większą niż... życie? Boską tajemnicę. W późniejszym czasie przyszło mu na myśl, że w ich spojrzeniach była nadzieja. Cicha nadzieja, że on, Skaug, padnie na kolana, będzie prosił Boga o odpuszczenie win i się z nimi zjednoczy. Zanim będzie za późno. To były spojrzenia tych, którzy wiedzą, jak się to wszystko skończy. Że nie skończy się dobrze.

Przedsiębiorca przeniósł wzrok z detektywów na dokumenty.

– Druga sprawa, która wzbudziła refleksje, to sama robota. To rysunek techniczny, który wykonałem na podstawie szkiców wspólnoty.

Fredrik już zdążył się przyjrzeć. Rysunek był zgodny z tym, co zapamiętał z podziemnych pomieszczeń.

Magazyn, jak twierdziła wspólnota. Potrzebowali magazynu. Niemniej specyfikacje były opracowane dla czegoś zupełnie innego. Grube mury, miejscami blisko półtorametrowe. W dodatku zwracali dużą uwagę na wentylację. I filtry. Skończyło się na zbudowaniu dwóch kompletnych, niezależnych od siebie systemów wentylacyjnych. Chcieli mieć podwójne zasilanie o dużej mocy, skanalizowane łazienki i toalety, a drzwi... Cóż, drzwi to osobny rozdział. Sprowadzono je ze Szwajcarii. Musiały kosztować majątek. Tak... Policjanci zresztą sami je widzieli. Zaawansowana technologia.

Fredrik pochylił się na krześle i sięgnął po kawę.

– I nigdy pan tego nie zakwestionował? Tych ścian, tych drzwi?

– Owszem, pytałem o to. Ale powiedzieli, że zamierzają przechowywać materiały wymagające dokładnej kontroli termicznej. – Mówiąc to, Skaug uniósł brwi, zaznaczając tym samym, że to wyjaśnienie go nie przekonało. – Poza tym przecież płacili. Podatki, VAT-y i tak dalej. W konstrukcji nie było nic nielegalnego. Wobec tego robiliśmy to, za co nam zapłacono, za bardzo się nie dopytując. – Przykrył jedną dłoń drugą. – Ale wiecie, co myślę?

Zaprzeczyli ruchem głowy.

– Myślę, że budowaliśmy schron. Tam, na dole, mogliby przebywać miesiącami, kompletnie odcięci od świata.

Kafa zmrużyła oczy.

– A po co mieliby budować sobie coś takiego?

Skaug zapatrzył się w blat biurka. Zmarszczył czoło.

– Sąd Ostateczny. Ta tajemnica, którą mieli... To był koniec świata.

Oboje, Kafa i Fredrik, podziękowali za drugą kawę. Przedsiębiorca wzruszył ramionami i nalał tylko sobie. W czasie prac budowlanych w Słonecznym Spokoju mieszkało jakieś piętnaście–

dwadzieścia osób. Głównie młodzi ludzie. Kilkoro dzieci. I kilkoro starszych.

– Bjørn Alfsen?

– Nie. Nie on. Nie ten, który został zabity. Tamci byli starsi od niego. My mieliśmy kontakt z Bjørnem Alfsenem, pastorem Alfsenem. I dodatkowo z paroma facetami. Dwoma innymi pastorami.

Fredrik zeszywniał. Uniósł głowę znad notatek.

– Innymi? Kto to był?

Henning Skaug wyciągnął z kupki dokumentów kontrakt na budowę piwnicy.

– Tak, no właśnie. Zupełnie wypadły mi z głowy nazwiska, ale wszyscy trzej podpisali umowę. To było całkowicie niepotrzebne, z powodzeniem wystarczyłby podpis jednego, ale twardo obstawali przy tym, że wszyscy trzej mają złożyć podpisy. Nazywali się pastorem. Takiego słowa użyli.

Pchnął dokument po blacie.

Podpis Bjørna Alfsena juniora, maczkiem, był nadmiernie ozdobny, niemniej czytelny. Per Olsen napisał swoje nazwisko, stawiając przesadnie wielkie P i zrośnięte z nim równie wielkie O, po których następowały dalsze bazgroły. Rozszyfrowanie trzeciego podpisu zajęło im trochę czasu. Litery były ściśnięte, postawione z dużym naciskiem pióra, jakby sygnatariusz przywykł do wypowiedziania się w węższych ramach, niż by chciał. Søren Plantenstedt, odczytali.

Kim, u licha, był Søren Plantenstedt?



## ROZDZIAŁ 33

Kiedy zmarła jego babka, był letni dzień. I tego dnia podjął decyzję. W ciszy przewędrował z małego salonu, gdzie leżało ciało, przez wyłożone dywanem schody w holu do swojego pokoju. Tam wyrzucił na łóżko zawartość swojej walizki. Mieszkał tu od dziesięciu lat. Przez dziesięć lat waliza leżała nietknięta na półce.

Po prześcieradle rozsypały się w nieładzie książki i zabawki. Każda niosła z sobą jakieś wspomnienie. Nie dał się im jednak uwieść. Wyciągnął z szafy trzy komplety bielizny i skarpetek, dwie pary spodni, dwa swetry, trzy koszule, marynarkę, parę butów treningowych i parę eleganckich trzewików. Zapakował to wszystko do walizy razem z Biblią, paszportem i zegarkiem po ojcu. Z grubej koperty w szufladzie biurka wyjął kilka banknotów i włożył je do wewnętrznej kieszeni. Kopertę schował w Biblię. Potem wsunął kapcie pod łóżko, stanął przed lustrem i przeczesał ciemne, zapuszczone włosy.

Wychodząc, zobaczył dziadka. Szerokie plecy przy łóżku w małym salonie. Dziadek musiał go słyszeć, ale się nie odwrócił.

Zaparkował przy dworcu. Za szybę wsadził karteczkę, a kluczyki oddał panience w kiosku Pressbyrån przy stacji kolejowej Uppsala. Dzień później samochód odstawiono z powrotem do majątku Plantenstedtów.

Jesienią tego samego roku Søren Plantenstedt był poszukiwany przez kolegów ze studiów biochemicznych na uniwersytecie w Umeå.

– Kilka lat później krótko pracował w szwedzkich siłach zbrojnych. Jako kapelan wojskowy. Potem cisza. Dziś ma czterdzieści pięć lat. Jeżeli jeszcze żyje – referowała przez telefon Kafa.

– Coś jeszcze?

– Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał dwanaście lat. Do śmierci babki mieszkał u dziadków ze strony ojca. Od tego czasu nie kontaktował się z dziadkiem.

– Dzięki – rzucił zamyślony Fredrik.

– Nie mnie się należą – odparła Kafa. – Możesz podziękować swojemu starem kumplowi Hassemu Hanssonowi ze sztokholmskiej policji. Jak mu przekazałam pozdrowienia od ciebie, zaczął się uwijać jak mrówka.

– A Per Olsen?

– Nic. Na razie nic.

## ROZDZIAŁ 34

Fredrik czuwał w małżeńskim łożu. Letnią nocą, bezksiężycową i bezwonną po ulewie, która towarzyszyła jego beznamiętnym, niemal mechanicznym pchnięciom. Bettina leżała teraz u jego boku – miękka, choć żyłasta, brązowa opalenizną z solarium, przykryta cienką kołdrą – i lekko pochrapywała. Widać było tylko jej głowę i dużego orła na ramieniu. Przypomniawszy sobie, co powiedziała. „Traktujesz mnie jak jakąś pieprzoną sukę. Jak kurwę na telefon, która zrobi ci loda. Nie możemy tak dłużej. Ja tak nie chcę”.

Pastorat. Tak sami siebie określali. Bjørn Alfsen junior, Søren Plantenstedt i Per Olsen. Pastorat. Sprawdził znaczenie. To nie było norweskie słowo. Natomiast występowało w duńskim, szwedzkim i niemieckim. Organizacyjne rozgraniczenie w ramach jednej wspólnoty wyznaniowej.

Czym się zajmowali, w czym reszta członków nie brała udziału? O czym wiedzieli, co dla pozostałych było nieznaną? Bjørn Alfsen junior był założycielem, sponsorem i inicjatorem. Został zabity. Søren Plantenstedt, osierocony Szwed z wyższych sfer z majątku pod Uppsalą, przerwał studia i został duchownym. Zaginiony. Per Olsen. Człowiek, który według sprzedawcy kamer monitoringu miał zupełnie zwyczajny wygląd. Energiczne spojrzenie. Wymyślny podpis. Zaginiony.

Per Olsen. Tak zwyczajne nazwisko, że było to aż niezwykle. Fredrik zdziwił się, kiedy Kafa zrobiła wyciąg ze statystyk. W Norwegii żyło tylko sześćdziesiąt jeden osób nazywających się Per Olsen. Może używał dodatkowego nazwiska? Może w rzeczywistości były sześćdziesiąt dwie osoby? Tyle że numer sześćdziesiąty drugi, zaginiony Per Olsen, w ogóle tak się nie nazywał, to nazwisko było pseudonimem. Teoria Andreasa. Ale po co pastor jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi wspólnoty miałby nadawać sobie pseudonim?

Bettina zamrugnęła, kiedy nachylił się nad nią, żeby podnieść z ziemi wibrujący telefon.

– Praca – szepnął i musnął palcami jej czoło.

Nagi przeszedł po zimnej podłodze do salonu. Przyjął, że okulary zostały gdzieś w pobliżu kanapy. W każdym razie była tam Krezuska. Nie zaś, zgodnie z umową, na swoim legowisku.

Znowu dzwoniła Kafa.

– Tak? Jest druga w nocy.

Przeszła od razu do sedna.

– Przeszukałam na nowo bazę zgłoszeń. Nie ma tam żadnego anonimowego zgłoszenia na temat Emira. Mohammad Qambrani kłamie.

Fredrik złapał za kark jedyną prawdziwą sukę w tym mieszkaniu i wyniósł na zabudowany balkon,

po czym zamknął drzwi od wewnątrz. Stanął za zasłoną i wpatrzył się w ciemne okna sąsiedniej kamienicy.

– Rozumiem. Czy to ten powód, dla którego dzwonisz?

– Nie. Dziś wieczorem przyszedł raport na temat komórki. Tej, którą znaleźliśmy w stodole.

– No i?

– Żadnych odcisków palców. Żadnego DNA. Komórka nie nosi śladów używania do połączeń telefonicznych. Brak SMS-ów. Nierejestrowana karta prepaid. Natomiast telefonu używano do surfowania po sieci.

– Aha...? –

Usłyszał w tle słaby szum silnika i głos z radia.

– Gdzie jesteś?

– W taksówce. Nieważne. Analiza nie zdołała wykryć, które strony odwiedzano z tego telefonu.

Ani też kiedy był zalogowany do sieci...

– Więc skąd wiesz, że używano go do surfowania?

Kafa chrząknęła. Dało się wyczuć jej zadowolenie.

– Właściciel wykasował wszystko z rejestrów połączeń telefonicznych i sieciowych. Musiał mieć zaawansowany program, bo w komórce w ogóle nie ma śladów używania. Dlatego poprosiłam informatyków, żeby spróbowali innej metody... – Zawiesiła głos. – Zamiast odtwarzać zapisane wcześniej informacje, szukaliśmy aktywnych ciasteczek, czyli krótkich danych informatycznych, które telefon używany jako przeglądarka wykorzystuje, aby optymalnie funkcjonować. I tam to znaleźliśmy. Automatycznie łączył się z wcześniej używanymi sieciami.

– I?

– Dwie w Sztokholmie, jedna tutaj. W Oslo. W centrum. Telefon jest ustawiony na automatyczne logowanie do kodowanej sieci Wi-Fi w hostelu Oslo na Prinsens gate.

Fredrik nie zdążył zadać kolejnego pytania.

– Coś mi mówi, że to nie dostawca w tym grzebał.

– A ciebie taksówka wiezie do...?

– Jestem już na Prinsens gate.

– Nie, do cholery! Zatrzymaj tę pieprzoną brykę i ani kroku, póki nie przyjadę! Niech to jasna cholera!

## ROZDZIAŁ 35

Prawie zrobił szpagat, żeby przekroczyć kałużę na szynach tramwajowych, a i tak nalało mu się do buta. Irytacja spowodowana samowolą Kafy znowu wzrosła.

Postać przy szklanych drzwiach postąpiła w jego kierunku. Kafa trzęsa się z zimna, dłonie schowała w kieszeniach krótkiej dżinsowej kurteczki. Ten widok pomógł mu się opanować. Mimo wszystko dziewczyna zadzwoniła. Okaże jej miłosierdzie. Zatrzasnął drzwi taksówki i wylał wodę z buta.

Wejście do schroniska młodzieżowego znajdowało się na rogu trzypiętrowego murowanego budynku, tam, gdzie Prinsens gate przecina Skippergata, w najmroczniejszym centrum Oslo. Nad wejściem umieszczono kamerę. Wrzaski pijanej młodzieży z Karl Johan odbijały się echem. Poza tym było tak cicho, jak ciche stawało się centrum Oslo, gdy tramwaje zakończyły pracowity dzień.

Kiedy zadzwonili, za drzwiami zapaliło się światło. Chwilę potem pojawił się rudy młodzieniec w kucharskich spodniach i spojrzał na nich przez szybę z pytaniem w oczach.

– Goście? – Poruszył wargami, nie kwapiąc się do otwarcia drzwi.

Fredrik przyłożył do szyby identyfikator.

– Po-li-cja.

Nocny dozorca wpuścił ich i obojętnie ruszył w kierunku recepcji.

– Dzisiaj nic się tutaj nie dzieje. Są tylko turyści.

Detektywi spojrzeli po sobie, unosząc brwi.

– Co pan ma na myśli? – spytał Fredrik.

– Kobitki – odparł recepcjonista bez oporu. – W pokojach nie ma kurew. Tylko turyści.

Obrócił ku nim ekran komputera.

– Rozumiem. – Fredrik zmrużył oczy i doliczył się około dwóch dziesiątek nazwisk. – Szukamy czegoś innego – wyjaśnił nieobecny głosem. – Może mi pan zrobić z tego wydruk?

Kiedy młody zniknął na zapleczu, Fredrik odwrócił się do Kafy. Przyglądała się tablicy nad stolikiem z broszurami informacji turystycznej.

– Te inne sieci, które wykrywał telefon, były w Szwecji?

– Dwa hotele w Sztokholmie.

– Czyli Szwed, tak?

Fredrik zerknął znad okularów. Søren Plantenstedt był Szwedem.

W hostelu mieszkało dwudziestu trzech gości. Fredrik wypytał recepcjonistę o każdego z nich.

Dziwięciu samotnych, trzech Szwedów. Żaden nie nazywał się Søren Plantenstedt.

– Mogę się rozejrzeć? – spytała Kafa.

Nie czekając na pozwolenie, otworzyła cienkie szklane drzwi na klatkę schodową. Fredrik pozostał z recepcjonistą.

– Ta kamera na zewnątrz ma tylko straszyć i przestrzegać?

Młody człowiek potrząsnął głową.

– A skąd! Jest na chodzie. Mieliśmy tu parę sytuacji, które... No, wie pan przecież, jaka tu okolica. W środku też mamy kamerę. – Wskazał palcem białą półkulę na suficie.

Zimny powiew z klatki schodowej oznajmił powrót Kafy.

– Idziemy?

Kiwnęła głową, nieobecna duchem.

Fredrik ruszył do drzwi. Kafa nie poszła za nim. Znowu stanęła przed tablicą informacyjną. Wyjęła telefon, wyszukała połączenie z siecią i wpisała hasło dostępu, które widniało na tablicy.

## ROZDZIAŁ 36

Po niebie gnały ciemne chmury. Nocne powietrze było ciepłe. Pogoda się zmieniała.

Kafa przeszła przez ulicę, Fredrik pospieszył za nią. Zatrzymała się przed wąską gardzielą bramy kamienicy naprzeciwko hostelu.

– Zauważyłam ją, kiedy na ciebie czekałam... – powiedziała.

Dalszą drogę zagradały drewniane wrota. Kafa oparła się o nie i uchyliła je.

– Weszły dwie osoby. Żadna z nich nie użyła klucza – ciągnęła.

Wchodząc, Fredrik przyjrzał się zamkowi. Dziurkę od klucza zatkało jakąś podobną do gumy masą. Jasny sklepiony korytarz prowadził na ciasne podwórko. Kafa dotarła tam, zrobiła rundkę i wróciła do Fredrika.

– Po co tu jesteśmy? – spytał.

– Zobacz – wyciągnęła z kieszeni komórkę, która wciąż łąpała sygnał sieci z hostelu. – Powinnam była na to wpaść – mruknęła, przygryzając dolną wargę. – Emir nigdy się tam nie rejestrował jako gość. Po prostu logował się do ich sieci.

Potem zdradziła rezultat swojej krótkiej wędrówki po hoteliku. Na każdym piętrze na końcu korytarza umieszczono bezprzewodowy ruter. Dzięki temu sygnał sieci można było spokojnie łąpać stąd. I ze wszystkich mieszkań w kamienicy, których okna wychodziły na hostel. Fredrik przebiegł wzrokiem guziki domofonu. Dwie klatki, pięć kondygnacji.

– Kto nam otworzy o tej porze? – rzuciła Kafa.

– Spróbuj tutaj – odparł.

U. Walme. Jedyne lokator, którego nazwisko widniało na tabliczce obok guzika.

– Uporządkowany gość – dodał. – Poza tym mieszka na parterze.

Kafa nacisnęła guzik. Minutę później odezwał się niewyraźny, burkliwy głos. Detektywi się przedstawili. Buczenie i kliknięcie oznaczało, że drzwi zostały otwarte. Przez szparę obserwował ich zezowatym okiem starszy mężczyzna.

– Szukamy osoby, która, jak podejrzewamy, przebywa tutaj – wyjaśnił Fredrik.

– U mnie? Mieszkam sam.

– W tej klatce schodowej. Czy zna pan swoich sąsiadów?

Ulrik Walme znał wszystkich swoich sąsiadów. Mieszkał w kamienicy najdłużej, poza tym pełnił po części funkcję zarządcy budynku – wymieniał żarówki, dbał o odśnieżanie dachu w zimie i utrzymywanie porządku na podwórzu w lecie.

– Czemu przygnało was tu w środku nocy?

Fredrik nie widział powodu, żeby się tłumaczyć.

– Wszystkie mieszkania są zajęte? Może ostatnio ktoś się wprowadził?

Walme potrząsnął powoli głową.

– Już od dawna nikt. Jedno mieszkanie w drugiej klatce wynajmują studenci. Właścicielem jest jakieś adwokackie nasienie. Tam cały czas ktoś się kręci.

– Ale to są studenci?

– Oni to nazywają kolektywem. Ale czy pracują, czy ciągną druta, żeby mieć na smaruchę do chleba, tego za cholerę nie wiem. – Mówiąc to, gapił się na Kafę.

– Rozejrzymy się trochę – rzucił Fredrik ze złością.

Dostali klucze i poszli na górę. Na klatce stały półki na buty, worki ze śmieciami, wały się zabawki i parę gazet. Większość drzwi była opatrzona nazwiskami. Nic im nie mówiły. Nic nie odbiegało od normy. Wąskie schody prowadziły z trzeciego piętra na strych. Na podeście przed drzwiami stały stoły, regały i krzesła, tak że zagradały wejście. W drugiej klatce było tak samo. Nic niezwykłego.

Zeszli z powrotem do przejścia w bramie.

– Co o tym myślisz?

– Przyślemy tu jutro patrol. Na wszelki wypadek, ale – Fredrik spojrzał Kafie prosto w oczy – każdy dobry policjant słucha intuicji... Czasem się trafia. Czasami nie. – Wzruszył ramionami. – Po prostu tak jest.

Kafa milczała, zmarszczyła czoło.

– Nie! – powiedziała wreszcie. – Wiem, że mam rację.

## ROZDZIAŁ 37

Na podwórku Kafa wtopiła się w cień. Dopiero kiedy Fredrik do niej podszedł, zauważył, że wsparłszy się pod boki, obserwuje wąskie kręcone schody doczepione do muru po zewnętrznej stronie. Spojrzała na partnera z naleganiem. Fredrik westchnął, przetaił okulary i zrezygnowany pokiwał głową.

– Jasne, że idziemy – mruknął.

Schody pożarowe dawały mniej hałasu, niż się obawiał. Na ich szczycie zamontowano metalowy ażurowy podest ogrodzony drutem. Fredrik zadrżał, spojrzawszy w dół na ciemne podwórko. Upadek stąd – i koniec zabawy. Na amen. Cholerne kolano rozboleło go od wspinaczki. Żeby się dostać na strych, musieli przejść przez metrowej wysokości otwór zasłonięty zbitymi z drewna drzwiczkami. Zamka nie było. Dwa wystające z muru zagięte gwoździe blokowały drzwiczki, tak że nie można ich było otworzyć od wewnątrz. Teraz jednak gwoździe były skierowane w dół. Detektywi porozumieli się wzrokiem. Oczy Kafy rozszerzyły się i spoważniały. U nasady czarnych włosów zaśniły krople potu.

– Gotowa? – szepnął Fredrik.

Potwierdziła mrugnięciem.

Szarpnięte drzwiczki pisnęły cicho, dobiegł ich lekki zgrzyt metalu. Oczy powoli przyzwyczajają się do mroku, nieznacznie rozjaśnionego światłem wpadającym przez okienko w dachu. W środku ustawiono jeden na drugim stoły, nogami w górę niczym włócznie, krzesła i kanapy stały w nieładzie. Wokół unosił się zapach kurzu, drewna, starej bejcy i słaba metalicznośłodka woń trochę przypominająca zapach zgniłych owoców. Ściana z surowych desek dzieliła pomieszczenie po linii kalenicy, a przez otwór w niej sączyło się światło wpadające oknem od frontu.

Strych ciągnął się przez całą długość kamienicy. Nieruchome, stęchłe ciepło zastąpiło tu rześkie powietrze nocy. Fredrik poczuł, że plecy pokrywają mu się potem. Dotknął skórzanej kurtki, żeby ją z siebie zdjąć, ale obawiał się wywołać hałas. Coś mu mówiło, że należy być cicho. Miewał to przecucie już wcześniej i mu ufał. Krew pulsowała mu w skroniach. Skurczony skradał się powoli. Deski podłogi protestowały. Mniej więcej w połowie drogi do otworu w drewnianej ścianie stanął.

Nie ostrzegł go żaden dźwięk, żaden ruch. Mimo to się zatrzymał. To była jakaś kombinacja wrażeń zmysłowych, coś, co przeoczył. Dał znak Kafie. Przymknął powieki i nasłuchiwał. Nic. Otworzył oczy. Powiódł wokół spojrzeniem i zobaczył ciemny zarys na ścianie, który na pierwszy rzut oka wydawał się jedynie kolejną dziurą po sęku. Tak jednak nie było. Większa, równiejsza, okrąglejsza – nie pasowała tutaj, została wydrążona. Świadczyły o tym nawet wióry podłódze, które teraz dostrzegł. Jasne, świeże strużyny. Przez dziurę przewleczono cienką żyłkę. Wędkarską.



Rozciągała się nad jego głową i łączyła z zasłoniętym płytą otworem, przez który weszli. Obejrzał się. Kafa też ją zauważyła. Pociągnęła delikatnie i znowu rozległ się delikatny zgrzyt metalu.

Druga część strychu była mniejsza. Pomiedzy ścianą a pochyłością dachu rozciągnięto sznury, na których falowały dywany, chodniki i koce, tworząc kołyszące się poprzeczne korytarze. Na końcu po prawej dostrzegli drzwi.

Kafa klepnęła Fredrika w ramię. Pokazała palcem. Na ścianie tuż nad nimi wisiały dwie związane żyłką śruby. To one wydawały ten zgrzytliwy dźwięk. Alarm?

Szybko porozumieli się wzrokiem.

– Drzwi – powiedział bezgłośnie Fredrik, wskazując korytarz między dywanami.

Skinęła głową na znak, że widzi. Tkaniny śmierdziały kurzem i papierosami.

Drzwi były przymknięte. Fredrik otworzył je kopnięciem. Mieli przed sobą kwadratowe pomieszczenie bez okien. Z trudem dostrzegli stojącą pod ścianą brudnobiałą wannę, przed którą stało kilka plastikowych kanistrów i wypełniony worek na śmieci. Wślizgnęli się do środka.

Fredrik Beier nie był przygotowany na to, co zobaczył. Na coś takiego nigdy nie jest się przygotowanym.

Zwłoki w wannie nie przypominały niczego, co dotychczas widział.

Nie ulegało wątpliwości, że to ciało. Człowiek. Czy jednak była to kobieta, czy mężczyzna, ciemnoskóry czy biały, zabity czy samobójca...? W wannie znajdowała się galaretowata, organiczna masa o długości człowieka. Dno pokrywała krwistoczerwona zgęstniała ciecz, w której unosiły się grubsze, podobne do mięśni włókna, białe ułamki kości i szare grudki.

– Boże jedyny – wykrztusiła Kafa i zatkała dłonią usta.

Nagle uderzył w nich ów słodkawy, metaliczny smród. Kiedy weszli na strych, poczuli tylko ślad zapachu. Tutaj wypełniał całą przestrzeń. Jak ropa wdarł się do nosa i gardła Fredrika, któremu wydało się, że tonie. Zatoczył się i wylądował na czworakach. Przepona samoistnymi i bolesnymi skurczami wypompuwała smród z płuc. Z trudem przełknął zawartość żołądka. Oblał się zimnym potem i ciężko dyszał. Zamknął oczy i zatkał ręką nos. Odzyskał kontrolę nad oddechem. Odwrócił się i jeszcze raz zajrzał do wanny.

– Do diabła, ale obrzydliwość – syknął. – Co z tobą?

Spojrzeli sobie w oczy.

– Kto to może być? – sapnęła Kafa, oddychając przez materiał kurtki.

Pochyliła się nad tym, co kiedyś musiało być głową. Oczy zniknęły, pozostały dwie czarne wypalone dziury. Zauważyła cofniętą dolną szczękę i przyżółcone górne zęby.

Fredrik potrząsnął głową i zajrzał do worka ze śmieciami. Zawierał szarobiałą proszek. Fredrik polizał palec i już miał go zanurzyć w tajemniczej substancji, ale zmienił zdanie. Odkaszlnął i splunął

do worka. Uniósł się żrący, ostry w zapachu dym.

– Wapno – powiedział. – Niegaszone wapno.

– Wapno?

– W połączeniu z wodą środek żrący. Niszczy materiał organiczny. Ten facet kawałek po kawałku spływa do fiordu. I to szybko. Gdybyśmy go nie znaleźli, w ciągu kilku dni stałby się nawozem dla glonów.

Fredrik chciał sprawdzić kanistry z chemikaliami, ale Kafa chwyciła go mocno za ramię i pociągnęła do wanny.

– Zobacz – szepnęła.

Jej palec wskazywał miejsce, gdzie kiedyś prawdopodobnie znajdowały się mocne ręce. Prawa dłoń była zaciśnięta w pięść. Ale lewa... Deformację widać było wyraźnie. Brakowało czterech palców. Został tylko spalony kciuk.

– Niech to szlag!

Fredrik znał tylko jednego człowieka, któremu u lewej dłoni brakowało czterech palców. Emira. Spojrzał na Kafę. Już miał coś powiedzieć, lecz to, co zobaczył, sprawiło, że słowa utknęły mu w gardle. Po ciemnych lokach na jej skroni przesuwała się tanecznym ruchem, jak świetlik w świętojańską noc, czerwona centymetrowa kropka.

– W dół!

Pchnął ją tak mocno, że sam się przewrócił. Strzału nie usłyszał, natomiast świst kuli – owszem. Przeleciała między nimi z gwizdem i utkwiała w wannie.

Kafa wlepiła oczy we Fredrika, który odwzajemnił jej spojrzenie, gramoląc się z ziemi.

– Biegnij! – krzyknął.

Pobiegła. Skuliła się i wpadła między dywany. Pobiegł za nią. Odsuwała na bok falujące ściany, przemykała pod nimi, okrążała je. Trzeba było tylko przeczyć naprzód, do drugiego pomieszczenia, do wyjścia. Na dwór. Wtedy będą uratowani. Kafa zniknęła z pola widzenia Fredrika, gdy przedarła się za ostatni dywan. Był większy od pozostałych, grubszy i dłuższy, policjant wiedział, że musi dobiec do samej ściany, żeby go minąć. Opóźniało go uszkodzone kolano. Jej krótkie, szybkie nogi o wiele lepiej nadawały się do ucieczki. Dlatego zaskoczyło go, gdy odsunąwszy dywan, zobaczył, że wciąż tu jest, zaledwie kilka kroków od niego. Zrobiła krok w bok, potem jeszcze jeden, chwiejny, oparła się ręką o framugę otworu, ale palce się ześlizgnęły. Wsparła się dłonią o podłogę, a jej ciało zaczęło wolno okręcać się wokół własnej osi. Z jakiegoś powodu Fredrik utkwiał wzrok w jej kostkę, nagą, smukłą kostkę, która wykonywała zwolniony obrót, gdy tymczasem but trzymał się nieruchomo podłogi.

Zauważył krew, dopiero kiedy opadł na czworaki i przewrócił dziewczynę na plecy. Złapał mocno za kołnierz jej kurtki i odepchnął się od framugi. Kafa nic nie ważyła. Spojrzenie jej wielkich brązowych oczu spotkało się na moment z jego wzrokiem w rozpaczliwym strachu. Z rany

postrzałowej głowy spływała krew. Z trudem przeszedł z Kafą przez otwór i dopiero wtedy się odwrócił.

Za nimi ożywił się cień. Wysoka, silna, ubrana na czarno postać. Wyższa i dużo silniejsza od Fredrika. Miała owalną łysą głowę. Na podłodze między nią a Fredrikiem tańczyła czerwona kropka lasera. Przez chwilę wydawało mu się, że mężczyzna ma na twarzy maskę nurka, ale potem się zreflektował. To były gogle noktowizyjne. Jeszcze kilka kroków i zobaczy ich jak w jasnym świetle dnia.

– Nie strzelać! Policja! – krzyknął Fredrik.

Stuk. Stuk, stuk. Stuk. Pociski odłupywały wióry od cienkich desek ściany. Z Kafą w ramionach dał nura pomiędzy stoły, krzesła i pufy. Bardziej wyczuwał, niż słyszał jej oddech przy swojej piersi, szybki, świszczący... Nie miał wiele czasu. Dojrzał przewróconą kanapę opartą o stół. Kafa się tam zmieści. Nie może się nią obciążać. Dla nich obojga oznaczałoby to śmierć. Odsunął kanapę i wepchnął za nią Kafę. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni komórkę i nacisnął numer alarmowy.

– Nadkomisarz Fredrik Beier. Strzelają do nas. Moja partnerka jest ranna – zasyczał do mikrofonu.

Dwukrotnie powtórzył adres i włożył komórkę w dłoń Kafy. Potem przewrócił kanapę do poprzedniej pozycji i się wyczołgał. Znalazł kryjówkę za komodą. Nasłuchiwał. Postać w czarnym ubraniu musiała go słyszeć. Jak długo myśliwy tu zostanie? Do końca polowania? Trochę potrwa, zanim koledzy się zjawią. Musi się stąd wydostać. Inaczej tamten go zabije. I Kafę. Jeżeli ona jeszcze żyje.

Z drugiego pomieszczenia dobiegł go syczący oddech. Cmokanie odrywanych od podłogi gumowych podeszew zbliżało się do otworu w ścianie. Fredrik odsunął od siebie myśl o wejściu z zewnątrz na strych. Zanim dobiegnie do połowy drogi, zostaną z niego strzępy. Pozostawała zatem tylko jedna możliwość. Drzwi na klatkę. Za którymi stały zwalone na kupę meble. Drzwi musiały być gdzieś w drugim końcu strychu.

Jednym ruchem Fredrik przewrócił komodę, co spowodowało potężny hałas. I pobiegł. W ciemnościach nie dało się gnać przed siebie bezszelestnie. Przewrócił stół, szurnęło kilka krzesel, zestaw półek runął na podłogę.

Jednak strzału nie było słyszeć. Za plecami nie zabrzmiał żaden dźwięk. Detektyw rzucił się naprzód. Wreszcie. Ścianę zasłaniał wysoki regał. Musiał przecisnąć się między nią a meblem, żeby dotrzeć do drzwi. Uda mu się. Aż tak ciasno nie było. Przesuwał się bokiem, krok po kroku, i oto był u celu. Dotknął futryny. Klepnął ręką w drzwi, poszukał klamki...

I zrozumiał.

To był powód, dla którego mężczyzna nie strzelał. Powód, dla którego go nie gonił. Dlatego teraz Fredrik rozpoznawał ciche, przyczajone sapanie. Bo nie było klamki, tylko dziura po niej i gruba deska przybita do ściany po obu stronach futryny. Od momentu wejścia na strych nie mieli szans.

I tamten to wiedział. Że stąd nie ma wyjścia. Że prędzej czy później za plecami będzie tylko ściana. Fredrik poczuł, że go mdli. Nie mógł oddychać. Starał się chwycić ręką coś, cokolwiek w dziurze drzwi, co pomogłoby mu się wydostać. Nic takiego nie było. Zimny metal i martwe drewno. I... plastik. Plastik obok drzwi, wzdłuż futryny. Przewód. Kontakt. Wyłącznik światła.

Po drugiej stronie regału zatrzeszczała podłoga. Fredrik pojął, że mężczyzna, który wkrótce go zabije, po prostu czeka. Drwi. Rozkoszuje się świadomością, że w jego ofierze narasta panika. W takim razie... teraz.

Uderzył łokciem w wyłącznik. Błysnęło raz. I znowu. Zamrugało szybciej. Pomieszczenie zalało brutalne, zimne światło jonizowanego gazu w świetlówkach na suficie. Fredrik odepchnął się od ściany i z całej siły napał na regał. Mebel przewrócił się z łomotem na podłogę. Wtedy zobaczył strzelca.

Mężczyzna musiał mieć ponad dwa metry wzrostu. Był szczupły. Obcisły ciemny sweter podkreślał jego atletyczny tors. Pochylony do przodu kręcił się chaotycznie wkoło na szeroko rozstawionych nogach. Wywijał prawą ręką z półautomatycznym pistoletem, lewą szarpał noktowizor. W chwili olśnienia Fredrik uświadomił sobie, że światło spowodowało w goglach wybuch białozielonej mazi i elektronika właśnie szukała błędu. Przez kilka krótkich sekund napastnik będzie oślepiiony. Rzucił się do przodu. Uderzył tak mocno, jak zdołał, w czaszkę olbrzyma. Trafił w szczękę i wielkie cielsko cofnęło się o krok w poszukiwaniu wsparcia. Fredrik zapał się mocno barkiem o pierś mężczyzny i chwycił rękę z pistoletem. Była zimna i śliska. Wydawało mu się, że dotyka ryby. Przewrócili się na podłogę. Krzesła i kawałki drewna prysnęły na boki. Fredrik miał nadzieję, że wpadną na coś masywnego, co odebrałoby równowagę czarnej postaci i spowodowało, że upadnie na plecy. Usłyszał stuk. Zerwany z głowy noktowizor upadł na podłogę. Zimne, równomierne syczenie mężczyzny było tak sugestywne, że policjant nie potrafił się oprzeć i spojrzął. Napotkał wzrok swojego przeciwnika. Drugi raz w ciągu tej nocy nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Głowa była podłużna, wąska i kompletnie pozbawiona włosów. Usunięto nawet brwi i rzęsy. Błada, pomarszczona skóra przypominała zastygły воск. Ze sponiewieranej ludzkiej twarzy patrzyły na niego lodowate szare oczy. Mężczyzna nie miał uszu. W miejscu nosa była jedynie czarna nierówna, prychająca dziura, która przechodziła w usta bez górnej wargi. Podobnie jak nos górna warga w którymś momencie została odcięta, a gruba różowawa blizna zlewała się z dziąsłami. W głębi otwartej jamy ustnej wibrował z nienawiści ku Fredrikowi różowy kikut, resztki języka.

Walnęli z hukiem w wątlą drewnianą ścianę. Zderzenie nie było bardzo silne, lecz wystarczające, by pozbawić olbrzyma tchu. Fredrik rozejrzał się. Znalazł. Mniej więcej na wysokości jego barku ze ściany wystawał czubek śruby. Z całej siły wyrzwał w nią ręką z pistoletem. Śruba wbiła się w wierzch dłoni mężczyzny. Z jego gardła wydobył się niski warkot. Pistolet upadł na podłogę. Fredrik wbił kolano w krocze napastnika. Trafił, bo okaleczony zagulgotał. Powtórzył cios. Ze wszystkich sił tłukł

kolanem w genitalia mężczyzny. Chciał jeszcze raz użyć kolana, ale nagle nie dało się go unieść. Ręka, która jak obcęgi obejmowała jego udo, była tak wielka, że palce prawie się stykały. Fredrik został mocno pchnięty w tył. Nie miał szans. Złapał przeciwnika wpół, chwycił się jego paska i upadł, przygnięciony przez olbrzyma. Ten zacisnął ręce na jego szyi i uderzył głową Fredrika w podłogę. Z obezwładniającą siłą. Trząśł nim, jak dziecko potrząsa lalką. Fredrikowi spadły okulary. Mobilizacja. Szarpnąć za pasek. Chwycić za kieszenie. Trzymać. Zimny cynizm policjanta. Coś się rozluźniło.

Świat zmałał. Nad Fredrikiem pełna nienawiści twarz. Wokół jego szyi zimne dłonie.

Coraz więcej czerni. Coraz mniej światła.

## ROZDZIAŁ 38

Wciągał go wir. W dół, w dół i jeszcze bardziej w dół.

Potem w pewnym momencie się rozdzielili – tonący statek, przewodnik na drugą stronę i on, kołyszący się, lekki jak piórko, zawieszony między życiem a śmiercią. Zaparł się nogami. Odepchnął w górę. I znowu. I jeszcze raz. By wreszcie – siny na twarzy, z pustymi płucami – przebić powierzchnię i zaczerpnąć tchu, napełnić pierś, krew i serce, wszystkie komórki ciała życiem.

Odzyskał przytomność. Ręce miał zlepione taśmą. Coś ciepłego, pewnie krew, spływało mu z potylicy na kark. Usłyszał trzask rozdeptywanych okularów. Przełknął ślinę. Igły bólu w tchawicy mało nie zepchnęły go z powrotem w otchłań.

Olbrzym stał odwrócony do niego plecami. Między nogami miał torbę, a w ręce przezroczystą butelkę z atomizerem. Śmierdziało spirytusem i amoniakiem. Mężczyzna delikatnymi ruchami oczyszczał śrubę w ścianie. Potem zdjął z paska latarkę wielkości długopisu i zaświecił. Powiół strumieniem światła od ściany ku podłodze i od podłogi ku sobie. Ultrafiolet. Usuwał ślady.

Uwagę Fredrika przykuło co innego. Syreny. Głośne komendy. Ostry trzask zamykanych drzwi w samochodach. Mężczyzna nachylił się nad nim. Miał zaciśnięte zęby. Oczy zwężone, już nie rozwarte, by obserwować. Czyżby potwór jeszcze raz miał chwycić go za gardło? Skończyć z nim?

Górująca nad nim postać chwyciła łańcuszek z metalowych kulek, na którym wisiał policyjny identyfikator, i pociągnęła.

# CZĘŚĆ II

## ROZDZIAŁ 39

*Marzec tego samego roku*

– Pio. Kochany, najdroższy Pio.

Carl Josefsen pochylił się i jeszcze raz pocałował kochankę w usta. Przeoczył, że Pio zeszytywniał, zawstydzony jak zawsze. Dziś wieczorem to nie miało znaczenia. Dziś wieczorem będą świętowali. Zignorował nawet to, że Pio palił. Carl zamknął oczy, oparł się o ścianę i rozkoszował świeżym zimowym powietrzem. Potem uniósł powieki i patrzył na to, co uważał za najpiękniejsze. Ciężkie płatki śniegu tańczyły leniwie w żółtym świetle latarni, a potem kładły się jedne na drugich, barwiąc miasto bielą. I kładły się na Pio. Na jego ciemnych lokach, na ramionach i na kapturowym kołnierzu puchowej kurtki. Pospiesznie parowały z czystych rysów Baska, pozostawiając jego twarz lśniąca i jeszcze, jeszcze piękniejszą.

– To twój wieczór, Pio. Nasz. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Trzymali się za ręce, torując sobie drogę do boksu w głębi lokalu, gdzie siedzieli ich partyjni towarzysze. Zignorowali swoje zasady i nie poszli do domu, gdy alkohol zaczął działać. Nie, zostali, szczęśliwi, póki nie zabłyśły światła, a barman nie zapowiedział surowym, choć przyjacielskim tonem:

– No, chłopaki, wieczór się skończył. W każdym razie tutaj.

I jakby szczęście tej zimowej nocy nie miało końca, na zewnątrz czekała taksówka.

– Skien, centrum. – Rozpromienił się Carl.

Jasnowłosa, potargany taksówkarz o bystrych, roześmianych oczach odwrócił się.

– Czy to nie Pio? Pio Otamendi z Prawicy?

Żaden z nich nie zareagował. Po sześciu latach uprawiania polityki na szczeblu lokalnym ludzie dzielili się na przeciwników politycznych, zwolenników lub partyjnych towarzyszy.

– Mój partner został dziś liderem Prawicy w Porsgrunn – oznajmił podchmielony Carl.

– Wiem – przytaknął mężczyzna.

Pio znów się zawstydził. Zacisnął ręce na wełnianym kocu, który przykrywał siedzenie.

– Pio... Nikt się tym nie przejmuje – szepnął Carl, obejmując go ramieniem.

Bask usnął, zanim taksówka wjechała w granice miasta. Spał głęboko. Kiedy stanęli na czerwonym świetle, taksówkarz się odwrócił.



– Bóg się przejmuje – mruknął.

– Co?

Carl nawet nie poczuł ukłucia igły w udo. On także zasnął.

## ROZDZIAŁ 40

– Przykro mi, Jacob. Pozdrów Sofię.

Telefon ciążył Fredrikowi w dłoni. Jego głos odbijał się żalosnym echem w pustym mieszkaniu. Alice nie chciała przekazać wiadomości. Niech powie to dzieciom sam.

– Tak mi przykro, ale nie możecie przyjechać. Musimy przełożyć wspólne wakacje. Tatuś musi pracować.

W końcu zrozumiał, że cisza po drugiej stronie nie zostanie przerwana. Przetarł oczy i się rozłączył.

W mieszkaniu na Frogner, gdzie Fredrik Beier dorastał, na ścianach nie wisały już obrazy. Meble zostały rozmontowane, a książki upchnięte w skrzynkach. Tylko wspomnienia pozostały na swoich miejscach. I zapachy. Szarlotka z cynamonem, krew z nosa i świeżo położony asfalt.

Jego matka Gunhild Fredesen miała dziewiętnaście lat, kiedy sama wyruszyła w podróż przez Atlantyk. Dwa lata później stanęła przed ołtarzem w St. Petri Lutheran Church w Grygla w Minnesocie. U jej boku stał mężczyzna, w którym się zakochała. Kenneth Beier był Amerykaninem mającym norweskich przodków. Poznali się, kiedy Gunhild pracowała jako sekretarka dla norweskiej delegacji oenzetowskiej. Mały Fredrik przyszedł na świat pewnego lata, kiedy para spędzała urlop w starym kraju, a dwa lata później niewielka rodzina przeniosła się do Norwegii. Jak się miało okazać, na dobre. Zawsze było ich tylko troje. Kenneth Beier był dyplomatą w amerykańskiej ambasadzie, Gunhild została w domu z dzieckiem.

Adwokat okazał się długonogą asystentką adwokata ubraną w tak obcisły kostium, że niemożliwością było znalezienie w jego kieszeni miejsca dla kluczyków do czerwonego audi, które stało krzywo na chodniku przed domem.

W mejlu podał, że jest nadkomisarzem policji. Było po niej widać, że oczekiwała kogoś innego niż poobijanego faceta z obandażowaną głową i chropawym jak papier ścierny głosem.

Jedyne, co mógł jej zaproponować do picia, znajdowało się w nienaruszonym sześciopaku od Carlsberga. Odmówiła.

– Oczywiście dostanie pan ustawowy spadek. Pańska matka zostawiła panu dodatkowo wszystkie ruchomości w mieszkaniu, dzieła sztuki, srebra stołowe i meble, które pańskim zdaniem mają wartość finansową lub emocjonalną. Pozostałe elementy, to znaczy środki w banku i zysk ze sprzedaży mieszkania, przeznaczyła na Misję Miejską Kościoła.

– A o jaką sumę chodzi?

Wyłowiła z oprawnej w skórę aktówki dokument i długopis.

– Hmmm. Bez przesady. Trzy miliony na koncie. Do tego dojdzie suma ze sprzedaży mieszkania.

Tylko że tu trzeba co nieco zrobić. – Posłała oskarżycielskie spojrzenie złuszczonej ścianom.

Fredrik przyjął, że tak samo oceniła jego, stojącego przed nią w spranej, przepoconej pod pachami koszuli i dziurawych niebieskich dżinsach. Trzeba by co nieco zrobić.

– Jedenaście, może dwanaście milionów – podała kwotę z nieobecną miną.

– No, no – mruknął Fredrik.

– Słucham?

Uśmiechnął się tak szeroko, jak się dało.

– To i wy dostaniecie swój kawałek tortu.

Nie odpowiedziała, tylko odwzajemniła uśmiech.

– To również jest dla pana – Wręczyła mu szarą kopertę.

„Dla mojego syna Fredrika Beiera”. Musiała to napisać pod koniec życia, bo litery się chwiały. Na cienkiej kopercie widniało logo kancelarii adwokackiej. Otworzył ją. Znał fotografię, która była w środku. Przez wiele lat wisiała w salonie nad kanapą, a potem matka zabrała ją ze sobą do domu opieki. Miał dwa albo trzy lata, stał gdzieś na Drammensveien 17 maja w latach sześćdziesiątych. Po obu stronach rodzice. Ojciec wcisnął swoje chude, długie członki w ten sam garnitur, w którym potem został pochowany. W ustach trzymał fajkę, której zapach Fredrik do dzisiaj pamiętał. Matka w dopasowanym jasnym kostiumie z dużymi okrągłymi guzikami. On sam trzymał w jednej ręce norweską flagę. W drugiej amerykańską. Rodzice uśmiechali się, lecz on wyglądał na przytłoczonego powagą chwili. Nie miał pojęcia, kto zrobił zdjęcie. To jedyna fotografia jego i rodziców z tamtego okresu.

– Jakie ładne – zauważyła zimno.

– Dziękuję.

W kopercie znajdował się jeszcze testament, oświadczenie z banku i wyciąg z konta.

– Tu jest taka wpłata. – Pokazał wyciąg. – Dziesięć tysięcy koron miesięcznie. Z waszej kancelarii? Skąd są te pieniądze?

Nim odpowiedziała, rzuciła okiem na złoty zegarek na przegubie.

– Pewien donator wspierał co miesiąc taką kwotą budżet domowy pańskiej matki. Służyliśmy pomocą przy jej przekazywaniu.

– Donator? Kto taki?

– Ta informacja jest poufna. Pańska matka prosiła nas, by zostało to załatwione w ten sposób. Nie jest niczym niezwykłym, że testator ukrywa niektóre źródła dochodów przed spadkobiercami.

Fredrik spojrzał na nią z ukosa. Donator. Testator. O czym ona, u diabła, mówi?

– I to jest w porządku, jeśli się tak robi?

– Póki wszystko jest legalne, decyzja podjęta przez pańską matkę pozostaje w mocy.

Prychnął.

– Bez owijania w bawełnę: pani wie, kto mojej matce dawał pieniądze, ale nie chce tego powiedzieć.

Czerwone paznokcie zniknęły w geście desperacji w blond czuprynie.

– Cóż. Ja tego nie wiem. Wie firma. I nie chodzi o chęć. To kwestia pełnomocnictw. W kopercie znajdzie pan zresztą jeszcze jeden przedmiot.

Fredrik wyciągnął nieoznaczony kluczyk.

– Do skrytki w banku?

Uśmiechnęła się chłodno.

– Wie pani w którym?

– Nie, niestety. Pańska matka uważała, że ucieszy się pan, mogąc samemu na to wpaść.

Taka była ta jego matka. Nie będzie mu jej brakowało.

## ROZDZIAŁ 41

Od skroni do miejsca nad uchem skóra na głowie była odsłonięta. Jedynie czarny milimetrowy meszek świadczył o tym, że minął tydzień, od kiedy chirurg z zawodową precyzją potraktował skalpelem czaszkę Kafy Iqbal. Dwa zakrwawione płaty skóry połączyło osiem szwów. Kafa otarła łzę wierzchem dłoni i palcem przycisnęła zaczerwieniony gruczoł w kąciku oka.

– Czy to ustąpi? – Andreas Figueras wskazał podbiegłe krwią oko.

– Lekarz mówi, że tak. – Uśmiechnęła się delikatnie. – To tylko pęknięte naczynko. – Westchnęła. – Miałam niesamowite szczęście – powiedziała, wodząc wzrokiem od Fredrika do Andreeasa.

Szczęście. Czyste, litościwe szczęście. Nic innego. Kula chybiła. Jedynie musnęła czaszkę w locie. Siła pocisku oderwała płat skóry od skroni aż po lewe ucho. Szok, ból i wpływ krwi wystarczyły, by Kafa straciła świadomość.

– I nie tylko szczęście. Tak bardzo jestem wdzięczna...

Położyła dłoń na ręce Fredrika. Delikatny uścisk parzył, toteż chciał cofnąć rękę. Nie czuł żadnej dumy. Nie powinni byli iść na tamten strych. Nieuzbrojeni. Nikomu nic nie mówiąc. „Niewybaczalne” – tego słowa użył Sebastian Koss. A najgorsze było nie to, że Synne mu nie zaprzeczyła, lecz to, że Fredrik się z nim zgadzał. Oboje mogli już nie żyć.

Podniósł głowę i zapatrzył się w nierówny brzeg prążkowanej tapety nad rozczochraną głową Kafy. Byli w kuchni jej trzypokojowego mieszkania na Sagene. Patrzenie jej w oczy, gdy miała na sobie szerokie spodnie od piżamy i długą białą podkoszulkę, wydawało się zbyt intymne. Dużo bardziej niż te sekundy na strychu, gdy płynęła krew, a ona wpatrywała się w niego – z prośbą o ratunek i śmiertelnym strachem w oczach. Wtedy wiedział, co ma robić. Teraz nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Andreas chrząknął.

– No, to był dopiero chrzest bojowy. Witamy w drużynie. – Wyciągnął do niej rękę.

– Dzięki, Andreas. – Odwzajemniła uścisk dłoni. – Bardzo to sobie cenię.

Uśmiechnął się i zadarł brodę.

– Podziękowania należą się przede wszystkim Fredrikowi. Uratował nie tylko ciebie, ale i całe śledztwo.

Fredrik odsunął się hałaśliwie z krzesłem i chrząknął z niechęcią. Potarł grzbiet nosa. Nowe okulary go uciskały, chociaż były takie same jak poprzednie.

– Ten chory osobnik starał się jak szalony, żeby zatrzeć swoje ślady. Sąsiedzi powiadają, że

słyszeli odgłosy na górze i że to trwało jakiś miesiąc. Myśleli, że to szczury. A mimo to nie znajdujemy nic. Kompletnie nic! Żadnego włoska, nawet śladu stopy. Żadnego strzępka, nitki z ubrania – wyliczał Andreas, potrząsając głową. – Bez tego nie da się nic zrobić. Bylibyśmy bez szans, gdyby nie Fredrik.

Opowiedział o skórzanym woreczku, który Fredrik oderwał od paska napastnika. O tym, co zawierał. O pendrivie.

Otworzył aktówkę, przesunął wazon ze zdychającymi kwiatami i rozłożył na stole cztery fotografie.

– Były na nim zapisane.

Kafa pochyliła się nad najostrożniejszą z nich. Wyglądała jak zdjęcie z legitymacji. Mężczyzna o urodzie Skandynawa. Jasne gładko zaczesane włosy. Twarz szczupła, pociągła, cienkie wargi, intensywne spojrzenie. Około trzydziestu lat. Dwa następne zdjęcia były niewyraźnymi ujęciami z kamery monitoringu w kiosku. Jedno, zrobione od tyłu, ukazywało kogoś wchodzącego do środka. Szczupła sylwetka, ani wysoka, ani niska. Dopiero na drugiej fotografii mężczyznę można było zidentyfikować. Włosy miał dłuższe, w nieładzie. Był przynajmniej dziesięć lat starszy niż na zdjęciu z legitymacji. Niemniej to był ten sam człowiek. Czwarta fotografia pochodziła z wypadu na narty. Mężczyzna na tle ośnieżonych górskich szczytów. Błady na twarzy. Opierał się o kijki i uśmiechał. Miał takie samo intensywne spojrzenie.

– O pierwszym i czwartym nie wiemy nic. Natomiast dwa pozostałe zrobiono ubiegłej jesieni w kiosku przy Ullevålsveien. – Andreas manipulował przy górnym guziku koszuli. – Datowane, jak widać. Właściciel kiosku jest pewny, że taśmy z monitoringu nie były nikomu udostępniane.

– W takim razie jak trafiły na pendrive napastnika?

Andreas rozłożył ręce i zerknął na Fredrika.

– Nie mam pojęcia.

– Mężczyzna ze strychu nosił je przy sobie. Najwyraźniej musiały mieć dla niego duże znaczenie. Sądzę, że ten człowiek – Fredrik popukał palcem w zdjęcie z legitymacji – był celem ataku. Ta osoba nie przypomina nikogo ze znanych nam członków wspólnoty mieszkających w Słonecznym Spokoju. Żadnej z ofiar. Żadnego z zaginionych. Prawda?

Po raz pierwszy tego przedpołudnia oczy Kafy i Fredrika się spotkały.

– Ale spójrzcie na oczy. To jedyna rzecz, jaką wiemy o trzecim pastorze wspólnoty. Ludzie zwracali uwagę na jego oczy.

– Per Olsen – stwierdziła Kafa.

– Pastor Per Olsen – uzupełnił Fredrik.

Kafa popatrzyła z namysłem na Andreasa.

– I te zdjęcia nie były zabezpieczone?

– Cały pendrive był zabezpieczony hasłem. Natomiast plik ze zdjęciami był dostępny. Jest jeszcze jeden plik, ale na tym założono blokadę. Pracujemy nad jej usunięciem.

– Okej. A jakie było hasło?

– Ręka Boga.

– Ręka Boga – powtórzyła Kafa, smakując słowa. – Co to znaczy?

Nie mieli pojęcia.

Fredrik wyciągnął z kieszeni pudełko tabletek przeciwbólowych, wycisnął na dłoń dwie i połknął, popijając kawą. Potem podniósł się i stanął przy oknie z rękami założonymi na piersi.

– Zdaniem specjalistów od medycyny sądowej Emir, Mohammed Khaled Omar, został zabity strzałem w głowę. Uważają, że kiedy go znaleźliśmy w wannie, nie żył od niecałego tygodnia. Wokół kostek i nadgarstków odkryli uszkodzenia tkanek, które wskazują na to, że był związany. Mocno. To oznacza, że musiał żyć jeszcze dobrą chwilę po uprowadzeniu.

Fredrik przerwał i wpatrzył się zamyślony w ulicę na dole.

– Dlaczego? Po co porywać terrorystę z wyrokiem? Dlaczego napastnik podjął ryzyko uprowadzenia człowieka, który prawdopodobnie jest pod obserwacją policji?

Odwrócenie uwagi. Cała trójka to sobie uświadamiała. To było oczywiste! Policję, media i wszystkich zainteresowanych należało skłonić, by uwierzyli, że masakra w Słonecznym Spokoju była elementem porachunków między islamskimi i chrześcijańskimi fundamentalistami. I chociaż Fredrik miał swoje zastrzeżenia, poszli tym tropem.

– Myślę, że Emir miał być więziony aż do zabicia Pera Olsena. W końcu by się uwolnił, ale wtedy morderca byłby już dawno za siedmioma górami. Omar został zabity, bo atak na Słoneczny Spokój nie przebiegł planowo.

Fredrik odwrócił się.

Pod zaczerwienioną powieką Kafy narosła łza. Siła ciężenia oderwała ciężką słońną kroplę, która potoczyła się po ciepłym i miękkim niczym aksamit, jak sobie wyobrażał, policzku. Nad brodą nieco zwolniła, a potem szybko spłynęła w dołek na szyi, zostawiając połyskliwy ślad. Kafa jej nie zauważyła. Absorbował ją następny krok w rozumowaniu.

– Jeżeli pominiemy porwanie Emira, pozostałe islamistyczne tropy są całkowicie amatorskie. Weźmy jedwabny szal z cytatem z Koranu albo to dziwne zgłoszenie na policję. Ci, którzy za tym stoją, musieli wiedzieć, że odkrycie tej mistyfikacji to jedynie kwestia czasu – powiedziała.

A więc celem nie było oczernienie muzułmanów. To żadna kampania nienawiści przeciwko islamowi. Wybrano tę metodę jedynie dlatego, że napastnik wiedział, że wszystko, co pachnie islamskim terroryzmem, wzbudzi olbrzymie zainteresowanie. Zamierzał zmusić policję do śledzenia wątku islamistycznego na tyle długo, by zdążyć uciec.

Fredrik pokiwał wolno głową.

– A to znaczy, że mężczyzna ze zdjęć żyje. Per Olsen żyje i jest w niebezpieczeństwie.

W przeciwnym razie napastnika dawno by już nie było. Nie kryłby się na strychu w centrum miasta.

Odchrząknął, wyprostował się i oznajmił głośno:

– Sprawca jeszcze nie skończył. Uderzy znowu. Zawiadomię Synne.

Wsluchiwali się w uliczny ruch. Andreas przekopywał swój plecak.

– Przynajmniej finanse Światła Boga są w porządku. Konto mieli zarejestrowane na Plantenstedta.

Dlatego u Alfsena nie znaleźliśmy nic – powiedział, kładąc na stole wyciąg z banku. – Sie-dem-dziesiąt dwa mi-lion-y ko-ron – akcentował każdą sylabę. – Corocznie niewielka liczba wypłat gotówkowych. Za każdym razem setki tysięcy koron. Czasami więcej.

Większość pieniędzy pojawiła się na koncie przed siedmioma laty. Konkretnie sześćdziesiąt milionów. Policji udało się prześledzić ich drogę wstecz aż do jakiejś spółki ze skrytką na Barbados. I tam trop się urwał.

– Ktoś hojną ręką wspiera sektę Światło Boga – zauważył Andreas.

– A mamy pewność, że to nie jest po prostu spadek, który ukrył Bjørn Alfsen? – spytał Fredrik.

Andreas wzruszył ramionami.

– Wątpię. Swego czasu Alfsen zajmował się wieloma dziwnymi rzeczami, ale nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek używał spółek słupów lub wyprowadzał pieniądze do rajów podatkowych. – Potarł czoło. – Nie, myślę, że pieniądze pochodzą skądinąd.

Kafa odprowadziła ich do drzwi. Ciepłym uściskiem zatrzymała na chwilę Fredrika.

– PSB pozwala mi uczestniczyć w dalszym śledztwie – powiedziała szybko. – Chociaż ten islamistyczny trop odpadł. Bardzo bym chciała kontynuować. Razem z wami.

Uśmiechnął się.

– Jasne.

– Dzięki – szepnęła, przyciągnęła go bliżej i szybko pocałowała w policzek.

Pachniała kwiatem pomarańczy i świeżo skoszoną trawą.



## ROZDZIAŁ 42

Pomalowane na zielono ściany były puste. Wyjątek stanowiła tabliczka, która informowała, że kanapki są tylko dla pacjentów. Fredrik przyniósł po kubku kawy dla siebie i Synne i dopiero wtedy usiadł. Na krzesło naprzeciwko czekała młoda kobieta. Wyglądało na to, że marznie w cienkim szpitalnym szlafroku. Czytała jakiś stary tygodnik i postukiwała bosymi palcami o podłogę.

– „Policja potwierdza, że zabity jest poszukiwanym przywódcą islamistów” – czytał Fredrik przez ramię Synne Jørgensen.

– Musieliśmy im rzucić jakiś kasek – stwierdziła, wyłączając tablet.

Opowiedział jej szeptem, do jakich wniosków doszli we troje. Że można się spodziewać kolejnej napaści. Synne wyszła z poczekalni. Przez szybę w drzwiach widział, jak ta niska, krępa kobieta niestrudzenie przemierza tam i z powrotem korytarz z komórką przy uchu.

– Jak się ma Kafa? – spytała po powrocie.

– W miarę dobrze. Nieźle ją trzepnęło.

– Myślisz, że znajdzie u was swoje miejsce?

– Jasne. I ja, i Andreas nie możemy się doczekać. Zaczęliśmy nie z tej nogi, ale – klepnął Synne po koleżeńsku w ramię – nic tak nie łączy policjantów jak kula we łbie.

Więcej nie spyta. Pod tym względem Synne była w porządku. Poza tym czuł, że to, co mówi, jest prawdą. Teraz było ich troje. Jak w bajce. Dwóch starszych braci i Kafa Kopciuszek, jak to ujął Andreas.

Całus w policzek. Dlaczego właśnie ta chwila przyszła mu do głowy, gdy Synne pytała o Kafę? Co takiego to dotknięcie w nim obudziło? Czytał o tym. Interwencja kryzysowa. Dla osób, które przeżyły kryzys, ważne jest wyrażenie wdzięczności. Pocałowała go. Aby wyrazić wdzięczność. Była wdzięczna, bo uratował jej życie. „No i niech tak, do diabła, zostanie”, powiedział sobie w myślach. Kafa jest jego koleżanką. Kafa jest znacznie młodszą koleżanką. Podwładną. I nikim więcej.

Synne chrząknęła, by zwrócić jego uwagę. Poważny wyraz jej twarzy na nowo obudził w nim wyrzuty sumienia. To ona musiała odpowiadać za decyzje podejmowane przez niego na strychu. Sebastian Koss zadbał o to, by zdrowie psychiczne Fredrika znów stało się tematem dyskusji. A Synne o niego walczyła. Jego błędne decyzje obciążały ją. Komendant Neme zaś liczył wpadki.

– Przepraszam. Jeszcze raz – powiedział.

Nagle zwątpił, czy to dlatego rozmowa na korytarzu tak długo trwała. Czy Koss i Synne kłócili się o ocenę sytuacji, bo informacja pochodziła od niego? Najwyraźniej Synne nie zamierzała ani słowem

zdradzić, z kim rozmawiała ani o czym, a Fredrik wolał nie pytać.

– Zapomnij. – Zerknęła na bosą kobietę. – Jednej rzeczy nie rozumiem – szepnęła. – Dlaczego on ciebie nie zabił?

Fredrik pokręcił głową w zamyśleniu.

– Nie wiem.

Ponownie włączyła tablet.

– Tu jest wideo z hostelu.

Na ekranie pojawił się obraz sprzed czterech tygodni. Pierwsze klatki pokazywały z góry mężczyznę przy wejściu. Ciemne ubranie i skrywająca twarz czapka. Zdjęcia ze środka były lepsze. Kiedy podchodził do recepcji, widać było rysy. Synne zatrzymała obraz. Fredrik zmrużył oczy za szklami.

– Mmm... Kształt głowy podobny. Oczu wyraźnie nie widzę... Ale nos i górna warga... – Zawiesił głos. – Nosi maskę. Wygląda jak normalna twarz.

– Myślisz, że to on?

To był on. Długie, muskularne ciało. Zwinne, kontrolowane ruchy. Fredrik zadrżał na widok człowieka w ciemnym ubraniu podchodzącego do tablicy z loginem i hasłem hostelu. Jego pogromca stał tam kilka sekund bez ruchu, po czym po prostu wyszedł z recepcji. Dokładnie tak jak podejrzewała Kafa.

– Mogę na chwilę? – Fredrik chwycił tablet.

Synne spojrzała na niego zdziwiona, lecz nim zdążyła zadać pytanie, wywołano ich nazwiska i wyszli z poczekalni.

Zapach salmiaku, środków dezynfekcyjnych i rozgotowanych jarzyn przywoływał w pamięci dawne czasy. Milczący personel targał po linoleum chlupoczące bańki. Drzwi skrzypiały w zawiasach, rozmawiano przyciszonymi głosami. Pielęgniarka z warkoczem, która po nich przyszła, wyprzedzała ich o dwa kroki, aż stanęli pod jasnoniebieskimi drzwiami. Spojrzała na zegarek przyczepiony do kieszonki na piersi.

– Lekarz powiedział „dziesięć minut” – obwieściła.

Kwadratowy pokój śmierdzał moczem. Łóżko było puste. Przed oknem stał fotel na kółkach, a w nim siedział mężczyzna.

– Ivar? Ivar! Ma pan gości.

Pielęgniarka położyła rękę na jego palcach i obróciła fotel. Głowa otulona hełmem z gazy i gąbki, przechylona, opierała się na poduszce umieszczonej na jego barku. Z kącika ust na frotowy ręcznik kapąły lśniące krople. Przezroczysty wężyk doprowadzał płyn do tętnicy szyjnej.

– Ivar? Nazywam się Synne. Pracuję w policji.

Kucnęła przed fotelem.

Ivar Tufte się nie poruszył. Jedynie lekkie rozszerzenie ciemnych źrenic zdradziło, że ich zauważył. Fredrik pomyślał o chwili, kiedy ostatni raz widział tego człowieka – w piwnicy w Słonecznym Spokoju, leżącego bezwładnie z głową wystawioną na uderzenia stalowych drzwi. Już wtedy obawiał się tej chwili.

– Ivar? Rozumie pan, co mówię?

Synne położyła rękę na kolanach chorego. Obok jego dłoni. Jedna, mocno zabandażowana, leżała nieruchomo. Palce drugiej bezwiednie skubały cienkie nitki bandaża. Synne pogłaskała ją delikatnie kciukiem. Mężczyźnie w fotelu przyspieszył oddech. Z wysiłkiem uniósł dłoń i położył ją na jej ręce.

– Eeeeeee – wydobyło się z jego ust.

– Badamy to, co się stało w Słonecznym Spokoju. Może pan ścisnąć mi rękę, jeżeli pan rozumie?

Czekali.

– Może pan ścisnąć?

Synne odwróciła się do Fredrika.

– Żadnej reakcji.

Kiedy się podnosiła, uchyliły się drzwi do pokoju. Niski lekarz uścisnął im dłonie wilgotną ręką, przepraszając za spóźnienie. Stanęli w nogach łóżka.

– Pacjent ma bardzo rozległe uszkodzenia mózgu – mówił szybko i cicho. – Prognozy są wyjątkowo niepewne.

– Co jest z jego ręką? – spytał Fredrik.

– Gryzie ją. – Lekarz odczekał chwilę. – Cóż... Widzieli go państwo, tak jak sobie życzyliście. Jeżeli macie jeszcze jakieś pytania, to proponuję, żebyśmy przeszli do mojego gabinetu.

Detektywi spojrzeli po sobie.

– W porządku – powiedziała Synne.

Kierowali się do drzwi, gdy Fredrik zapytał:

– Czy mógłbym... tylko kilka minut? Sam?

Lekarz przyglądał mu się zmrużonymi oczami.

– Kilka minut. – Skinął przyzwalająco.

Fredrik wyjął spod pachy teczkę i otworzył ją. Sięgnął po fotografię z wierzchu. Było to zdjęcie legitymacyjne odzyskane z pendrive'a ze strychu. Najpierw podsunął je Tuftemu przed oczy, a potem położył mu na kolanach. Ranny śledził zdjęcie spojrzeniem. Położył na nim pogryzioną rękę i palcem drugiej pogłaskał je czule.

Niecałą godzinę później Fredrik siedział w samochodzie na podziemnym parkingu w szpitalu na Ullevål. Przyciskał palcem opatrunek umocowany plastrem między palcem wskazującym a kciukiem. Mimo znieczulenia czuł pulsujące ciepło i kłucie. Ból głowy się nasilał.

– Coś ty tam, u diabła, wyczyniał? – warknęła Synne.

– Wykonywałem pracę policyjną.

– Lekarz zagroził, że złoży na nas doniesienie. Co się, u jasnego czorta, stało?

Fredrik spojrzał na nią przepraszająco.

– Porozmawialiśmy sobie.

Miała wściekłość w oczach.

– I?

Fredrik podał jej zdjęcie.

– Najpierw Ivar Tufte potwierdził, że jest to drogi członek wspólnoty Światło Boga.

Przypuszczalnie jeden z zaginionych pastorów.

Oddał jej tablet.

– Następnie przyznał, że to jest człowiek, który próbował go zabić. Mężczyzna, który zaatakował nas na strychu. Pokazałem Ivarowi to wideo z hostelu. Wtedy krzyknął i rzucił się do tego cholernego gryzienia.

## ROZDZIAŁ 43

Kwas octowy znieczulał dotknięte zapaleniem dźwięka. Jego woń oczyszczała zmysły.

Mężczyzna żuł skrawek materiału, póki język nie wydał się gruby i odrętwiały. Potem jeszcze raz zanurzył materiał w brązowej cieczy i ssał dalej.

Pobyt w Norwegii był zgodny z oczekiwaniami. Latem cały kraj spał. Mała chatynka w lesie stała na uboczu. Mógł tu działać bez przeszkód tygodniami. Właściwie zamierzał używać tego miejsca jako składu, ale sytuacja się zmieniła. Ruszyło polowanie na myśliwego.

Ściany pokrył czarną plastikową folią, a na polepie położył filcową matę. Nie było tu łóżka, krzesła ani stołu. Jedynie czarna torba podróżna i walizka z bronią. Prąd podprowadzał ze skrzynki przy drodze. Na torbie stał przenośny komputer. Migające światełko wskazywało, że nie pracuje. Ponownie przejrzał nagrania wideo ze Słonecznego Spokoju. Nie miał wątpliwości. Kiedy przyszedł sygnał do działania, obiekt znajdował się na jego terenie. Jednak dwadzieścia cztery minuty później już nie.

Pastor w łóżku przysięgał, że nic nie wie. No ale nie mógł pozostać przy życiu. Strażnik w piwnicy chyba przetrwał. To go zadziwiło. Czasami dziwiła go zdolność ludzi do znoszenia cierpień. Przypominał sobie o niej, kiedy z rzadka zaglądał w lustro.

Męczyła go ta czwórka na trawniku. Nie miał wyrzutów sumienia. Po prostu liczba ofiar była za duża. Zrobił się szum. Szok elektryczny prawie pozbawił go przytomności. Na szczęście strzały z tasera trafiły w kamizelkę, więc kop był znacznie osłabiony. Jak na ironię, właśnie mimowolne skurcze mięśni spowodowały, że opróżnił magazynek w człowieka, który do niego strzelał. Pozostali zatrzymali się na widok rozrywanego na strzępy kolegi. Ale wtedy było już za późno.

Dach z blachy falistej drżał w wieczornym wietrze. Mężczyzna położył sobie laptopa na kolanach i włączył. Począł, aż połączenie będzie bezpieczne, dopiero potem wpisał hasła i umieścił kciuk na czytniku linii papilarnych. Piętnaście sekund później zobaczył na ekranie nieruchomą twarz Walenia.

– Tak?

Palce poruszały się niezgrabnie po klawiaturze. Nawet teraz, tyle lat po tym, jak odcięto mu język, za to właśnie najbardziej sobą pogardzał. Że odebrali mu zdolność mówienia. Że siedzi tutaj schylony nad klawiaturą jak jakiś imbecyl.

*Czekam na rozkaz.*

– Dlaczego ich nie zabiłeś?

Zwlekał chwilę, zanim napisał odpowiedź.

*Zmieniła się sytuacja.*

Waleń patrzył na niego zmrużonymi oczami.

Pochylił się więc nad klawiaturą i długo pisał. Na odpowiedź też musiał chwilę czekać.

– Aha. Powiadomię Organizację. – Waleń patrzył prosto w kamerę. – Cała ta sprawa przybrała zły obrót. Co znajdzie policja?

Potrząsnął głową.

*Nic innego poza islamistą w wannie. Zdjęcia obiektu. Ale nie będą mogli ich wykorzystać.*

*Materiały skonfiskowane w laboratorium zostały zniszczone.*

– Popełniłeś błąd – powiedział Waleń potępiająco. – Pendrive... Podejrzewamy, że nie doceniasz oporu. Ludzie w Norwegii dokładnie przyglądają się akcji. Są teraz wystraszeni, a i wściekli na to całe zamieszanie. To dokłada wszystkim pracy. Co, jeżeli cię złapią?

Mężczyzna w chatce warknął. Pochylił się nad klawiaturą. Teraz pisał szybciej.

*Nie złapią!*

Popatrzył Waleniowi prosto w oczy.

*Trop islamistyczny zadziałałby świetnie, gdyby wywiad zrobił swoje. Obiektu tam nie było.*

*Musiałem improwizować.*

Nie podnosił wzroku znad klawiatury, póki nie usłyszał głosu Walenia.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Powstał problem. W związku z Afganistanem. Z gubernatorem, który... zmarł na balkonie.

Wyprostował się z uwagą.

– Widziano cię, zanim opuściłeś prowincję. Ktoś doniósł władzom, że istnieje związek pomiędzy twoją obecnością a śmiercią gubernatora.

*Mam się martwić?*

Twarz Walenia była bez wyrazu.

– Zajęto się tą sprawą. Niemniej to stwarza kłopoty. Za dużo rzeczy idzie nie tak, Staffan. – Westchnął głęboko. – Nieważne. Organizacja jest pewna, że musi istnieć jeszcze jedno laboratorium. Akcję trzeba doprowadzić do końca.

Mięśnie wokół otwartej dziury w twarzy się napięły.

*Cieszę się.*

Waleń odsłonił zęby w drapieźnym grymasie i zniknął z ekranu.

## ROZDZIAŁ 44

– Nadkomisarzu! Proszę tutaj!

Sebastian Koss wyszczał te słowa za jego plecami, gdy Fredrik przechodził korytarzem. Detektyw odwrócił się i ujrzał rozognioną twarz inspektora. Rękawy włoskiej koszuli były podwinięte do łokcia, a fryzura odrobinę wzburzona. W gabinecie panował tłok. Na dwuosobowej kanapie pod ścianą siedział Andreas. Synne paliła przy uchylonym oknie. Za biurkiem na wysokim oparciu krzesła wisiała marynarka Sebastiana Kossa, a przed biurkiem stał Trond Anton Neme. Komendant. Jedyny w pokoju człowiek w mundurze – kilka lat starszy od Fredrika i otoczony sławą najszybszego, najsprytniejszego i najsilniejszego policjanta ze swojego rocznika. Bystre oczy dostarczały pokarmu mózgowi kompletnie pozbawionemu poczucia humoru i empatii. Pokrewna duszyczka Sebastiana Kossa.

Andreas podał Fredrikowi kartkę papieru. Czytając, Beier gładził palcami wąsy.

Nagłówek donosił: „Cieszę się z całej duszy, że zerwałem z sektą”. Pod spodem wybito tłustym drukiem najważniejsze zdania: „Dezerterzy opowiadają o:

- śmiertelnym strachu,
- przyjaciółach, którzy zniknęli,
- tajnych rytuałach wspólnoty”.

Fredrik odkaszlnął, świadom, że wszyscy starają się odczytać wyraz jego twarzy.

„Przed rokiem Annabell Wiehe (34) i Bernhard Knutsen (37) zerwali ze wspólnotą Światło Boga. Teraz z lękiem śledzą bezowocne poszukiwania dawnych przyjaciół przez policję. Równocześnie panicznie się boją, że ci, którzy dokonali masakry na wspólnocie, polują także na nich. »Policja nie robi nic, żeby pomóc«, mówią”.

Fredrik oderwał oczy od kartki.

– Co to, u diabła, jest?

– No właśnie. Co to, u diabła, jest, Beier? – powtórzył cicho i z naciskiem Koss. – Zaraz ci powiem. To jest wstęp do artykułu, który kanał TV2 zamieścił dziś po południu na swojej stronie internetowej. – Podniósł głos. – Wywiad z Wiehe i Knutsenem będzie pokazany w wieczornych wiadomościach. – Parsknął wściekły. – A tu jedzie reporter, żeby zrobić wywiad na ten temat z nami!

Koss huknął pięścią w biurko, aż zadźwięczała pozłacana lampa.

– To jest, u diabła, to! Dlaczego, do jasnej cholery, dopiero z telewizyjnych wiadomości muszę się dowiadywać, co się w tej sprawie dzieje?

Fredrik napotkał jego spojrzenie. Iskrzyło od podejrzeń i pogardy. Do cholery, nie ponosi za to winy. Bez słowa wpatrywali się z wściekłością jeden w drugiego, póki komendant nie przerwał ciszy.

– Godzinę temu dzwoniли do mnie z TV2 – Głos Neme go był ponury jak noc. – Koss jako policyjny prawnik odpowiedzialny za sprawę spotka się z dziennikarzem w recepcji. Reporter tu nie wejdzie.

Komendant posłał inspektorowi spojrzenie, które mówiło, że decyzja nie podlega dyskusji.

– Powinienem raczej posłać ciebie – ciągnął, wskazując głową Synne, po czym przesunął machinalnie palcem po brodzie. Dołek był tak głęboki, jakby go wyrąbano siekierą. – Albo ciebie. – Skierował palec na pierś Fredrika. – Ale póki się nie dowiem, kto zdradził, będziemy postępować zgodnie z regułami.

Oczy Kossa płonęły, ale zachował milczenie.

– Większości bajdurzenia dezertarów nie musimy komentować. Wysunęli natomiast jedno konkretne oskarżenie. Takie, które stawia mnie, a zatem nas wszystkich, w złym świetle. – Neme przyjrzał się swoim wielkim dłoniom. – Uciekinierzy z sekty mówią, że się z nami kontaktowali. Prosilili o pomoc.

Wpatrzył się najpierw we Fredrika, a potem w Synne, która wyrzuciła niedopałek i zamknęła okno.

– W takiej sprawie jak ta nie stać nas na podobne wpadki. Wiecie, ile to naprawdę kosztuje? Ile na to idzie zasobów? Ilu przestępców robi napady, ilu złodziei i gwałcicieli cieszy się wolnością, bo ja w pierwszej kolejności muszę skierować te siły, które mam, do poszukiwania tego cholernego mordercy wariata?

Długimi krokami podszedł do drzwi. Tam odwrócił się i przystawił palec do posiwiałej skroni.

– Więc przestańcie, do cholery, robić ze mnie pośmiewisko. Zrozumiano? Jørgensen? Beier?

Nie czekając na odpowiedź, wymaszerował z pokoju. Drzwi pozostały otwarte, a Neme kończył tyradę, sunąc korytarzem.

– Znajdźcie tę pieprzoną wspólnotę! – ryknął.

Pozostali trwali przez chwilę w milczeniu, po czym odezwała się Synne:

– Zapis z centrali wskazuje, że rzeczywiście łączono rozmowę z telefonu któregoś z tych dwojga z waszym numerem dwa dni po masakrze. Wiecie coś o tym?

Fredrik spojrzał na Andreasa. Ten potrząsnął głową.

– Nie znalazłem śladu takiego połączenia – rzucił zaczepnie.

Fredrik, wzruszając ramionami, zwrócił się do Kossa:

– *Sorry*. Nic do nas nie dotarło.

– Cholera jasna! – ryknął Koss, kopiąc powietrze.

– W takim razie proponuję, żeby ustalić, z kim rozmawiali – powiedziała Synne.

– No – zgodził się Fredrik. – Wezwiemy ich na przesłuchanie.



– Nie trzeba – dodała. – Już tu są.

*Londyn, luty 1943 roku*

W pokoju przesłuchań wisiała lampa z kloszem w kolorze mięty. Jej światło nadawało chorobliwy wygląd czterem siedzącym tu osobom.

Major wywiadu Herbert Gowan odgiął zakładkę w paczce tytoniu Dunhill. Wsunął lewy kciuk i palec wskazujący do środka i zwijał w palcach włókna. Następnie skubał grudki wielkości groszku, toczył je jeszcze raz w palcach i ostrożnie wkładał w główkę krótkiej hebanowej fajki.

– A więc, panowie, podsumujmy. Pan, panie Acton...

John chrząknął, by mu przerwać.

– Doktor Acton. Obecnie mam stopień porucznika i służę w Bletchley Park.

– Słusznie – potwierdził major niespiesznie. – Pan, poruczniku Acton, jest związany z brytyjskim wywiadem i od kilku lat pracuje dla tajnych służb Jego Królewskiej Mości. Pan, doktorze Monsen, jest Norwegiem. Pracuje pan w Birkbeck College na Uniwersytecie Londyńskim jako magister biologii morskiej i nie ma pan żadnych związków z norweskim rządem emigracyjnym ani z ruchem oporu, który ów rząd organizuje.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Kolbein przesunął palcem po blacie stołu.

Gowan położył fajkę obok kartki z notatkami. Za nim, przy drzwiach prowadzących do Wydziału Analiz Wywiadowczych, siedział chudy kapral z cienką bródką. Przez dwie godziny, które trwało przesłuchanie, twarz mu nie drgnęła.

– Obaj panowie należeliście do tego samego środowiska naukowego w Wiedniu, które zajmowało się studiami nad rasami. Czy możecie być tak uprzejmi i podać szczegóły składu tego... – Major przerzucił kilka kartek – tej panów wiedeńskiej grupy?

John i Kolbein wymienili spojrzenia.

– Cóż... – powiedział Kolbein, biorąc ołówek z zagłębienia w stole. – Pozwoli pan?

Z kantyny na ostatnim piętrze obserwowali, jak pomarańczowy blask zimowego słońca przechodzi w fiolet, nim miasto okryło się płaszczem nocy. Bezlistne korony wierzb w Hyde Parku niezauważalnie stapiały się w jedno z murowanymi domami w Kensington. Zupa gulaszowa była aromatyczna i smaczna, wyjątkowo bogata w kawałki mięsa.

– Proszę opowiedzieć o zerwaniu.

Oczy majora Gowana się zwężyły. Kaprala nie było. Zamiast niego obok majora siedział bladolicy

oficer z norweską flagą naszytą na ramieniu munduru. Przedstawił się jako pułkownik Hasle z naczelnego dowództwa Obrony Narodowej. Na stole przed nim leżała koperta. Złożył na niej ręce i słuchając, z nabożeństwem studiował swoje krótkie palce.

– Profesor Elias Brinch założył Wiedeńskie Bractwo w połowie lat dwudziestych – zaczął Kolbein i opuścił powieki. – Pierwszy wielki projekt Bractwa polegał na określeniu różnic w rasach ludzi.

Norweski pułkownik ze zdziwieniem podniósł wzrok.

– Rozmiary czoła, kształty nosów i tego typu rzeczy?

Kolbein czym prędzej odchrząknął, by pokazać, że należał do tych, którzy uważali badania rasowe za rzecz bardziej złożoną niż to.

– Cóż, to także. My jednak zagłębialiśmy się w medyczną stronę biologii ras. Niektóre rasy na przykład lepiej sobie radzą z poszczególnymi chorobami niż inne. Weźmy gripę hiszpankę. W Skandynawii była ona znacznie groźniejsza dla Lapończyków niż dla Szwedów czy Norwegów. Rasy niejednakowo reagują na leczenie. Na substancje trujące i na różne odżywki.

Odetchnął głęboko.

– Tworząc część Wiedeńskiego Bractwa, mieliśmy szczerą chęć ulepszenia świata. Chcieliśmy usystematyzować wiedzę o rasach dla dobra ludzkości. Wspomóc wynalezienie dostosowanych rasowo szczepionek, doradzać z punktu widzenia specyfiki rasy w kwestii chorób i stosowania lekarstw, sposobu odżywiania i podawania witamin... Tak, w takich sprawach. Jeżeli jednak ma się dość wiedzy, by stworzyć lekarstwo, ma się również dość wiedzy, by stworzyć truciznę.

Potał dłonie z przepaszającym uśmiechem.

– Profesor Brinch – kontynuował za niego John – był bardzo zaangażowany w kwestię degeneracji człowieka. Wielu badaczy ras uważa, że współczesna medycyna podtrzymuje przy życiu zbyt wiele chorych jednostek, takich, które według Darwina powinny w konkurencji z jednostkami lepiej przystosowanymi przegrać. Zamiast jednak umrzeć, rozmnażają się. Zdaniem profesora tego typu zwichnięcie, osłabienie materiału genetycznego jest dla rodzaju ludzkiego niszczące. – Spojrzał w oczy norweskiego pułkownika.

– Dzięki takim teoriom zyskał naturalnie posłuch w kręgach politycznych i naukowych Berlina. Stopniowo dochodziliśmy do wniosku, że – tu zerknął na Kolbeina – zadaniem Wiedeńskiego Bractwa stało się podbudowywanie tych teorii.

Kolbein przejął opowieść przyciszonym głosem, ze spuszczonymi oczami.

– Z wielkim wstydem przyznaję, że oślepiła mnie sława. I swoboda kontynuowania pracy naukowej oraz manipulacje słowne profesora Brincha. Koniec końców jednak się wyłamaliśmy. Różnice między nami stały się zbyt wielkie. Wiedeńskie Bractwo podzieliło się na tych, którzy wspierali Hitlera, na tych, którzy mu się sprzeciwiali, i takich, którzy nie chcieli zaakceptować faktu, że w pewnym sensie uprawiamy w równym stopniu politykę, co naukę.

Przerażony, że dzieło jego życia zostanie rozerwane na strzępy, profesor Brinch zaproponował pewien pakt. Ośmiu członków Wiedeńskiego Bractwa rozstało się w swego rodzaju zgodzie i każdy mógł wyjechać, dokąd chciał, i pracować, gdzie mu się podobało. Projekty Bractwa dotyczące biologii ras miały zostać odłożone, pozostawać w letargu, aż świat znów znajdzie się w takim stanie, że będą mogli podjąć badania.

Kolbein odchrząknął.

– Powód, dla którego tu z panem siedzimy, jest taki, że Elias Brinch wraz ze swoją asystentką Elsa Schrader złamali ten pakt. Profesor znów eksperymentuje. Na ludziach.

– I to wnioskuje panowie, jeżeli dobrze zrozumiałem, z tego zaszyfrowanego słowa „Locusta”? – spytał Norweg. – Co to jest?

– Trucicielka cesarza Nerona – odpowiedział John.

Oficerowie unieśli brwi.

– Locusta pochodziła z Galii i była znana w całym cesarstwie rzymskim ze swojej wiedzy o roślinach, szczególnie ziołach. Z czasem postanowiła używać tej wiedzy jako trucicielka. W pięćdziesiątym czwartym roku naszej ery otruła cesarza Klaudiusza na zlecenie jego żony Agrypiny. W ten sposób nieślubny syn Agrypiny Neron został cesarzem. Ochraniał Locustę, póki sam nie został skazany na śmierć. Wtedy stracono także ją.

John pochylił się nad stołem.

– W Bractwie używaliśmy sformułowania „wyřęcać Locustę”. Znaczyło to, że śledziliśmy przebieg chorób nie w celu ich zwalczania, ale żeby określić, czy któraś rasa jest bardziej narażona na zarażenie i zachorowanie niż inne. Produkowaliśmy trucizny. Poszukiwaliśmy tego, co szkodzi, zamiast tego, co uzdrawia. Elsa Schrader i Elias Brinch używają tego pojęcia, kiedy się porozumiewają.

Norweski oficer otworzył kopertę. Zatłuszczone palce pozostawiły ślady na papierze. Na stół wysypały się dwie fotografie. Pierwsza ukazywała przyprószone śniegiem świerki i jamę przed nimi. Obok niej leżał nagi mężczyzna.

Kolbein przyglądał się drugiemu zdjęciu. Był to powiększony fragment pierwszego i obejmował górną połowę ciała mężczyzny. Z trudem dawało się określić jego wiek; nie był ani chudy, ani gruby, oczy miał zamknięte, cerę jasną, włosy ciemne, siwą szczecinę na brodzie i prawie nieowłosiony tors. Płaski nos i szeroka twarz nadawały mu mongoloidalny wygląd. Nie było widać żadnych zewnętrznych ran.

– Zdjęcia zrobiono niecały miesiąc temu w pobliżu obozu jenieckiego na półwyspie Lista na południu Norwegii. Nasi ludzie donoszą o bardzo wysokiej śmiertelności, nawet jak na obóz jeńców rosyjskich. Obóz jest inaczej zbudowany i inaczej prowadzony niż pozostałe, które widzieliśmy w Norwegii.

Hasle splótl dłonie.

– Komendantem nie jest żaden oficer SS ani członek NS Quislinga, nawet nie norweski oficer z batalionu żandarmerii Hird. Jest nim jakiś lekarz. Niemcy mówią o nim *Herr Doktor* Elias Brinch.

## ROZDZIAŁ 46

Uciekinierzy z sekty. Dlaczego na to nie wpadł? Przecież to takie oczywiste. Sekty i uciekinierzy. Rzadko trafiało się na jedno bez drugiego. „Jak kiła i kurwy”, pomyślał Fredrik.

Annabell Wiehe i Bernhard Knutsen siedzieli w korytarzu przed pokojem przesłuchań. Knutsen wyciągnął przed siebie krótkie nogi i niecierpliwie bębnił w tłusty brzuch.

Witając się, postąpił krok do przodu, Annabell nieznacznie się cofnęła. Była pulchną blondynką, z grzywką sięgającą brwi. Na jej szyi wisiał krzyżyk, a luźna bawełniana koszulka wyraźnie podkreślała ciężkie piersi.

– No dobrze. Może zaczniemy od samego początku?

Para siadła po jednej stronie prostokątnego stołu, Andreas i Fredrik – po drugiej.

– Proszę bardzo.

Minęło jedenaście lat od momentu, gdy Bernhard Knutsen po raz pierwszy spotkał Sørena Plantenstedta i Bjørna Alfsena. Było lato, student Knutsen pracował jako wolontariusz w jednej z miejskich kawiarni dla narkomanów. Pastorowie zatrzymali go na Karl Johan pytaniem, czy wie, że usunięte płody całymi dniami potrafią żyć poza macicą. Bernhard tego nie wiedział, a dopiero później doszedł, że to kłamstwo.

– Przyciągały mnie nie tyle ekstremalne poglądy, ile ekstremalne poczucie wspólnoty. Mieszkaliśmy razem, jedliśmy i spaliśmy razem. Oddaliśmy wspólnocie wyznaniowej wszystko, co posiadaliśmy, a ona się nami zaopiekowała – tłumaczył, ciągnąc w zamyśleniu dolną wargę. – Dla mnie fundamentalizm zawsze stanowił trudny do przeskoczenia mur.

Zaledwie kilka tygodni po tamtej rozmowie z pastorami młody student pedagogiki opiekuńczej przeprowadził się do Słonecznego Spokoju. Tam spotkał inny nowy nabytek, Szwedkę Annabell z Norrköping, a także około dwudziestu innych członków wspólnoty. Niektórzy byli starsi, jednak zdecydowanie przeważali młodzi. Wszyscy dali się uwieść otwartości pastora, który zerwał z zielonoświątkowym ruchem Filadelfii i utworzył wspólnotę Światło Boga, ponieważ jego zdaniem istniejące wspólnoty nie miały odwagi kierować się wolą Boga. Rzeczywistą wolą Boga. Søren Plantenstedt dołączył kilka lat później. Ci dwaj byli liderami. Pastorami.

Bernhard splótł ręce na wystającym brzuchu, patrzył przed siebie.

– W charyzmatycznym ruchu wyznaniowym istniała wtedy jakaś siła. Ktoś powinien był podnieść alarm. Ktoś powinien był wstać i głośno dać znać o wszystkim, co złego działo się w społeczeństwie.

Tego zadania podjęło się Światło Boga. Demonstrowali. Nieustannie. A jeżeli nie wykrzykiwali na

ulicy albo przed jakimś szpitalem czy meczetem, to pisali listy do redakcji, wysyłali politykom cytaty z Biblii i udzielali się na forach dyskusyjnych w internecie. Pracowali dzień i noc.

Fredrik nalał do szklanek letniej wody.

– Ale potem coś się stało? Coś, co was wycofało z ulic?

– Nie coś, ale ktoś.

Bernhard i Annabell porozumieli się wzrokiem.

– Per Olsen. Albo Tata Per, jak go nazywaliśmy.

Andreas położył na stole zdjęcia z pendrive'a napastnika.

– Czy to jest Per Olsen?

Oboje kiwnęli głowami.

– Nie Søren Plantenstedt?

– Nie – zaprzeczyli chórem. – Søren jest niski, ciemny i mocnej budowy. To jest Per – stwierdziła Annabell.

Wzrok Fredrika napotkał spojrzenie Andreeasa. Czyli ich przypuszczenia były słuszne. Mężczyzną, na którego polował morderca ze Słonecznego Spokoju, był tajemniczy pastor Per Olsen.

– No to proszę nam opowiedzieć o tym Tacie Perze – odezwał się Andreas.

Była Wigilia i cała wspólnota poza pastorami zebrała się w dużym salonie. Minęło dwa i pół roku, odkąd Bernhard przeniósł się do Słonecznego Spokoju. Kiedy siedli do stołu, rozmowy dorosłych ucichły. U szczytu, tam, gdzie zawsze siedzieli Alfsen i Plantenstedt, przygotowano jeszcze jedno miejsce. Usadowienie przy stole zależało od rangi – od tego, jak długo dana osoba należała do wspólnoty oraz jaką cieszyła się opinią u Bjørna i Sorena.

Obaj pastory weszli do salonu, pozdrowili wszystkich jak zwykle i poprosili o napełnienie kieliszków winem. Potem zabrał głos Bjørn.

– Droga rodzinno, nasze serca wypełnia dziś radość. Nie tylko z okazji nowiny Bożego Narodzenia, narodzin Chrystusa, lecz także z powodu narodzin, które mają miejsce u nas, w naszej rodzinie. Od dzisiaj już nie dwóch, lecz trzech będzie pastory w boskiej wspólnotie. A jakież dzień jest lepszy na świętowanie trójcy niż dzisiejszy?

Po tych słowach Søren Plantenstedt otworzył drzwi do kuchni i ukazał się w nich trzydziestokilkuletni mężczyzna o jasnych zwichrzonych włosach i intensywnym spojrzeniu. Rozłożył ręce w powitalnym geście i z uśmiechem wkroczył do salonu.

– Dzieci Boga! Moje dzieci! – powiedziała. – Razem spotkamy Pana.

Potem okrążył stół, ściskając i całując każdego z obecnych. Był jak prorok.

– Kiedy Per na kogoś spojrzał, dawał mu poczucie... – Bernhard zacisnął usta, namyślając się – bycia w centrum uwagi. To było silne uczucie. Per miał dużą wiedzę, wychodził ludziom naprzeciw i wyjątkowo zaznaczał swoją obecność.

Tej wiosny nie demonstrowali. Niewielu członków wspólnoty tęskniło za wystawianiem w zimnie na ulicach i przyjmowaniem obelg. Mieli dość spluwania i współczujących spojrzeń, więc długo nie podejmowano tego tematu. Kiedy wreszcie pytanie padło, Tata Per oznajmił, że te czasy minęły. Latem w Słonecznym Spokoju pojawią się robotnicy, a ich czekają ważniejsze zadania.

– Dlaczego nazywaliście go Tatą Perem?

Zdaniem Fredrika to określenie pachniało kazirodztwem.

Annabell i Bernhard zgodnie wzruszyli ramionami.

– Nie wiem. Chyba Søren i Bjørn zaczęli go tak nazywać.

– A co robił, zanim pojawił się w Słonecznym Spokoju?

Nie mieli pojęcia. We wspólnocie pytania zadawał Tata Per, a nie na odwrót.

Fredrik przeprosił, wyszedł z pokoju przesłuchań i zniknął w ciemnym pokoiku obok. Rozdrażnienie żarzyło się w nim już od rугi w gabinecie Kossa. Teraz musiało znaleźć ujście. Przez lustro weneckie widział, jak pochylony do przodu Bernhard gestykuluje. Resztki jego brązowych włosów falowały nad powiększającą się łysiną. Annabell Wiehe z opuszczonymi z rezygnacją ramionami oparła się o krzesło i bezustannie gładziła pastelową szeroką spódnice. Fredrik nie słyszał, co mówią, bo mikrofony były wyłączone. Zielony trójkącik na ekranie komputera świadczył jednak o tym, że wszystko jest nagrywane.

Odnalazł w kontaktach numer telefonu.

– Witam, Jørgen Mostu z TV2...

– Cześć – odezwał się ponurym tonem, wspierając się pięścią o ścianę. – To ja.

– Cześć, Fredrik – odpowiedział radośnie Jørgen. – Co masz taki głos, jakby ci odszedł ulubiony kotek? Przykro by mi było, gdybym nie wiedział, że jedyne, co się u ciebie uchowa, to roztocza i mendi. Jakiś problem?

– Problem. W tym, że jesteś niegodnym zaufania skurwielem. Dlaczego mi nie powiedziałeś? Ja ci o laboratorium mówiłem. Cholera, podałem ci to na tacy!

Jørgen zwlekał przez chwilę.

– Nie powiedziałem o czym? – Głos mu stwardniał. – Że nie oddzwaniacie do świadków? Czy że mamy temat? – Zrobił dłuższą przerwę. – Myślałem, że o tym wiesz.

Fredrik przełknął głośno ślinę.

– Nie – odparł. – Nie wiedzieliśmy. – Odchrząknął. – Nie możemy odnaleźć zgłoszenia. Szkoda, że do mnie nie zadzwoniłeś. Nieważne. To by była sympatyczna... – zawiesił głos – przyjacielska przysługa.

Jørgen milczał. Fredrik oczekiwał jakichś sloganów, że tamten po prostu robi swoją robotę – po prawdzie cholernie dobrze mu to szło – ale nic takiego nie nastąpiło.



– W porządku – powiedział wreszcie Jørgen. – Następnym razem zadzwonię. Okej?

– Okej.

Fredrik zaczął chodzić tam i z powrotem po ciasnym pokoiku.

– Jeszcze jedna sprawa, Jørgen. To, o czym ostatnio rozmawialiśmy. Dalej nie ma tych kobiet i dzieci. Sześć osób nie żyje. Widziałem Ivara Tuftego. To... wrak człowieka.

Dziennikarz wciągnął głośno powietrze.

– Fredrik... Nie wystawię źródła.

– Bierzesz na siebie dużą odpowiedzialność – powiedział zimno Fredrik. Tak zimno, że poczuł się lepiej.

– Ty masz do odegrania swoją rolę, ja swoją. I tak musi zostać.

– Ale widzisz, że zrobił was na perłowo z tym muzułmańskim tropem?

Jørgen prychnął.

– Nas oszukał, was oszukał. Chyba nie wymagasz, żeby nasze źródło wiedziało więcej niż policja?

Fredrik zaczerpnął powietrza.

– Bądź ostrożny. To niebezpieczni ludzie.

– Dzięki za ostrzeżenie – odparł sucho Jørgen.

– Pozdrów Turid.

– Ty też. Kimkolwiek ona jest.

Rozmowa w pokoju przesłuchań trwała. Fredrik wyłączył nagrywanie i wrócił do pracy.

## ROZDZIAŁ 47

Kiedy piwnica pod stodołą była gotowa, pastorowie podzielili dorosłych na grupy: piwniczną, stodołną i domową, opowiadał Knutsen. Wprawdzie nigdy nie powiedziano tego otwarcie, ale nie było wątpliwości co do rangi tych grup. Członkowie grupy piwnicznej znikali wcześniej rano i nie pokazywali się aż do późnego popołudnia. Wieczory spędzali w swoim towarzystwie. Jeżeli zbliżał się do nich ktoś z innej grupy, zmieniali temat rozmowy na nieistotny. Wtajemniczeni przestali się interesować niewtajemniczonymi.

Wydawałoby się, że to podzieli wspólnotę, ale stało się wprost przeciwnie. Niektórzy, jak bracia Hennie, stodolarze, starali się za wszelką cenę okazać swoje oddanie Tacie Perowi. Tak, Fritjof i Paul Espen z Hønefoss to były fajne chłopaki. Paul Espen miał syna z jedną z dziewcząt. Johannes mu było na imię, a urodził się w Słonecznym Spokoju.

– No, Urząd Opieki nad Dziećmi nie był specjalnie zachwycony – dodał Bernhard z krzywym uśmiechem.

Bracia urządzali spotkania modlitewne, podejmowali się dodatkowych zadań i przewodzili w nauczaniu dzieci Biblii. Pewnego dnia Tata Per oznajmił, że chłopaki Hennie będą uczestniczyć w pracach w piwnicy, tak więc było to możliwe. Tym, którzy mocno wierzyli i ciężko pracowali, Bóg okazywał swoją wdzięczność.

Annabell należała do grupy domowej, a Bernhard do stodolarzy. Pranie, gotowanie, strzyżenie trawnika, uprawianie warzyw i karmienie zwierząt gospodarskich. Ich ogień był ogniem dla społeczności. Wspólnoty. Ogień, którego poszukiwał Tata Per, był z gatunku boskich. Wyszukiwał tych, którzy płonęli dla Słowa. Jedyne prawdziwego Słowa.

Fredrik pochylił się do przodu.

– W jakim celu powstała tajna piwnica?

– Może pan wierzyć albo nie, ale nie mamy pojęcia – odparł Bernhard. – Żadne z nas tam nie było. Nigdy. Chodzenie tam nie było dozwolone.

Fredrik cofnął się na krzesło, klepnął dłońmi po udach i spojrzał zrezygnowany na Andreasa. Annabell głośno nabrała powietrza i tak mocno pociągnęła za krzyżyk, że Fredrik miał wrażenie, że łańcuszek zaraz pęknie.

– Kto wobec tego należał do tej piwnicznej grupy?

Pastorowie, to oczywiste. I bracia Hennie. Ivar też pracował na dole, Ivar Tufte, tak tragicznie okaleczony przez mordercę. Odwiedzili go w szpitalu – jako dawni przyjaciele ze wspólnoty i dobrzy

chrześcijanie musieli przecież – ale Annabell nie sądziła, by wiedział, kim byli. Po prostu siedział i nieustannie gryzł bandaż na dłoni. Pomodlili się w jego intencji i poszli. Na resztę grupy składali się Nils, Viggo Johan i Brynjar. I Per Olav. No ale on umarł wcześniej.

Annabell przestała manipulować przy krzyżyku i wróciła do gładzenia spódnicy. Było w tym gładzeniu coś z przymusu.

Fredrik sprawdził szybko nazwiska.

– Tak więc z tych, którzy byli w grupie piwnicznej, mamy trzech zabitych w ataku, jednego, który umarł z powodu choroby, jednego, którego obrażenia zagrażają życiu, a dwaj, bracia Hennie, zaginęli. Plus pastorowie. Zgadza się?

Annabell nagle podniosła głowę.

– Ta nowa! Ta, co jej matka jest politykiem. Annette. Późno do nas dołączyła. Tata Per powiedział, że zbiór jest doskonały. Nie miało być nas więcej. A potem zjawiała się Annette. Myślę... Per powiedział, że jej potrzebuje. Annette była w grupie piwnicznej.

Annette Wetre była ostatnią osobą, która zamieszkała w Słonecznym Spokoju. Szybko się zaręczyła i pewnego słonecznego dnia w maju, w zapachu kwiatów wiśni i grillowanego cielaka, poślubiła swojego Pera Olava w ogrodzie Słonecznego Spokoju. Zanim poszli do łóżka w swojej nowej prywatnej sypialni, Annette była z pastorem Alfsenem.

– Spała z pastorem Alfsenem?

Bernhard potrząsnął głową. Annabell opuściła powieki.

– Nie wiem. Nie wychodziłam za mąż w Słonecznym Spokoju – odpowiedziała krótko, nie podnosząc wzroku znad plastikowego kubka.

– Na pewno wiedzą panowie, o czym mówimy – ciągnął Bernhard. – Bjørn Alfsen miał pewne... rytuały tego typu. Taki już był. Przecież założył wspólnotę. Pastor Bjørn... Myślę, że nie zbliżył się za bardzo do Boga. Dzisiaj łatwo dostrzec, że Bjørn miał wspólnotę, Per zaś wiarę.

– A Søren?

– Søren był klejem. On ich wiązał.

Annabell potakiwała głową.

– Skoro zaś Tata Per nigdy nie zasugerował, że z tym... rytuałem... jest coś nie tak... to po prostu tak zostało – dokończył Bernhard.

– A Søren i Tata Per nie uczestniczyli w...?

Annabell potrząsnęła przecząco głową, ale to Bernhard ubrał odpowiedź w słowa.

– Nie. Nie robili wrażenia zainteresowanych sprawami cielesnymi.

Fredrik westchnął i oparł się na krześle. Wyciągnął przed siebie nogi.

– A nazwisko E. Brinch coś wam mówi?

– Nie...

– Pastor Alfsen miał starą niemiecką Biblię. Była podarunkiem dla profesora E. Brincha z Wiedeńskiego Towarzystwa Higieny Rasowej...

Bernhard wyglądał tak, jakby się zastanawiał, czy Fredrik nie żartuje.

– Pastor Alfsen był specyficzny. Ale żeby się zajmował higieną rasową? Nie sądzę.

Andreas zmienił temat.

– A więc potem opuściliście wspólnotę? – Patrzył na Annabell.

– Tak. Rok temu – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Nie... – zaczął Bernhard, ale Andreas przerwał mu gwałtownym ruchem dłoni.

– Przez ostatni rok w Słonecznym Spokoju byliśmy ze sobą. Chcieliśmy się pobrać. Ale nie tam.

Ja nie chciałam wychodzić tam za mąż – mówiła Annabell.

Bernhard położył rękę na jej kolanach.

– Wzięliśmy ślub w maju – dodał. – W naszej nowej wspólnocie.

– Gratulacje.

– Jeszcze tylko ostatnia sprawa. Powiedzieliście reporterowi z TV2, że kontaktowaliście się z policją, ale że wam nie pomogliśmy...

– Zgadza się – odparła Annabell.

– Pamiętacie, z kim rozmawialiście?

– Tak, z cudzoziemką. A raczej... Mówiła po norwesku, ale miała jakieś nienorweskie nazwisko.

Zapisałam sobie.

Annabell Wiehe otworzyła portfel, wyciągnęła karteczkę i pchnęła ją po stole.

– Iqbal. To była Kafa Iqbal.

## ROZDZIAŁ 48

Po drodze do wyjścia Annabell Wiehe wstąpiła do toalety. Fredrik poczekał na nią, a Andreas sprowadził jej męża na dół, do garażu. Mieli zostać odwiezieni do hotelu. Trochę dla bezpieczeństwa, ale głównie z powodu prasy – żeby nikt nie mógł oskarżyć komendanta Nemego o zaniechanie, skoro sprawa trafiła na jego biurko.

Fredrik już miał nacisnąć guzik windy, gdy Annabell go powstrzymała.

– Jest jeszcze jedna rzecz.

– Tak?

Rozejrzała się po korytarzu. Byli sami.

– Bernhard nie może się dowiedzieć. Absolutnie nie może – powiedziała błagalnym tonem.

Fredrik zauważył to już w drodze do pokoju przesłuchań. Dźwigała brzemię jakiejś historii. Mroczniejszej niż opowieść męża. Historii zdrady. Zdrady, której czuła się winna i której jej zdaniem Bernhard nigdy by jej nie wybaczył, nawet gdyby bardzo chciał.

Pastor Alfsen naturalnie nie zaakceptował tego, że ona i Bernhard zostali kochankami. Przyszedł do niej natychmiast, gdy się dowiedział. Oznajmił, że nie samo zawarcie małżeństwa było ważne, lecz to, że tych dwoje było razem. W ten sposób razem.

Otarła łzę w kąciku oka. Drżała. Z wysiłkiem odróżniał jej słowa.

– Zmusił mnie do... Zabrał mnie tam, do tej piwnicy. Do... To było laboratorium, prawda? Pokazał mi jakieś takie rurki, takie grubości palca...

– Probówki.

– Tak. Probówki. Powiedział, że one... Powiedział tak jakoś dziwnie, że one zawierają coś od Boga. Boski ratunek, tak powiedział. I powiedział, że muszę... Żebyśmy z Bernhardem również zostali uratowani przez Boga, to ja muszę... Uprawialiśmy seks oralny. – Wypluła to słowo, jakby nigdy nie była w stanie dokładnie oczyścić ust z tego, czym pastor w nie wytrysnął. – Wiele razy. Sprowadzał mnie do swojego pokoju w ciągu dnia, kiedy mężczyźni pracowali. I zmuszał mnie do przyglądania się. Kiedy robił to z innymi. – Odkaszlęła, zanim podjęła opowieść. – Lisa to akceptowała. I Annette. Musiałam siedzieć na krześle pod ścianą, kiedy one... To wyglądało, jakby Annette była w jakimś transie. Zachowywała się jak zwierzę. Oni... robili... To, co oni robili, nie było normalne. Nawet nie poczekała, aż Pera Olava przykryje ziemia. – Rozpląkała się w koszulę Fredrika.

– Bjørn Alfsen był bardzo, bardzo złym człowiekiem – szepnęła.

– Wyobrażam sobie – mruknął Fredrik, obejmując ją ramieniem.

## ROZDZIAŁ 49

Tina Holten oparła się o ławkę w cieniu osik. Torby położyła na stole. Wykorzystała przerwę, żeby wklepać w twarz trochę kremu do opalania. Przed nią aż do płaskich skał nad wodą rozciągała się zielona łąka. Tam, na dole, leżeli ci, którzy na młodzieżowy obóz partyjny nie przyjechali tylko po to, by szkolić się przed kampanią wyborczą.

Większość młodych zgromadziła się wokół jej szefowej. Wiceprzewodnicząca Chrześcijańskiej Partii Ludowej Kari Lise Wetre właśnie zakończyła swoje przemówienie, a teraz rozdzielala uściski dłoni i poklepywania po plecach. Tina usłyszała sygnał komórki. Stary przebój Céline Dion wskazywał, że to jej telefon. Numer zastrzeżony.

– Cześć. Mówi Tina.

Cisza w słuchawce trwała dłużej niż zwykle, nim osoba po drugiej stronie się odezwała. Kobieta szeptała:

– Tina Holten? Pracujesz dla Kari Lise Wetre?

– Owszem – odpowiedziała wyczekująco.

– Tu Annette. Annette Wetre. Jest tam mama?

Tinie zabrakło tchu. Zerwała się z ławki. Serce waliło jej jak młotem.

– Annette? – odezwała się po chwili. – Muszę tylko...

Spojrzała w kierunku otoczonej młodzieżą Kari Lise.

– Rozmawia właśnie z kilkoma osobami... chwileczkę...

Szła szybko do szefowej, starając się uchwycić jej wzrok.

– Nie mogę długo mówić. Rozumiesz? Powiedz tylko mamie, że wracam do domu. Okej? Powiedz, że William i ja wracamy do mamy i taty. Okej? – Głosik był cieniutki, drżący. Na środku trawnika Tina się zatrzymała. Kari Lise ją dostrzegła. Tina zamachała trzęsącą się ręką. Wyraz twarzy szefowej zdradzał, że domyśliła się, że to ważne. – Powiedz mamie, żeby nie... żeby nic nie mówiła policji. I nikomu innemu – szeptała Annette.

Kari Lise torowała sobie drogę do Tiny, która stała jak porażona.

– Zadzwoń na ten telefon. Maminy jest na podsłuchu. Taty też. Powiedz, że ich kocham... i że William też ich kocha... i że zadzwonię jutro. Okej? Będziemy jutro.

W chwili kiedy Kari Lise Wetre chwyciła komórkę, połączenie zostało przerwane.

## ROZDZIAŁ 50

Jørgen Mostu uwielbiał, kiedy wrzało. Gdy szef redakcji *Wiadomości* Henning Herlovsen szedł jak burza między biurkami, wyzywając tymczasowy personel od cip i ciot. Kiedy dziennikarze odbiegali od biurek z telefonem przy uchu i notatnikiem w garści i pędzili do reżyserki. Cieszył się, kiedy zdenerwowani doradcy i spece od PR-u ujadali, bo ich szefowie wyszli w telewizji na idiotów.

Właśnie dlatego najgorsze były przedpołudnia po porannych kolegiach, kiedy reporterzy wyruszali w teren robić swoje materiały do popołudniowych programów. Wtedy milkły klawiatury, cichły pogaduchy przy stołach konferencyjnych, a kakofonia komórkowych dzwonek zamierała. W redakcji *Wiadomości* ciśnienie rośnie na powrót, dopiero kiedy redaktorzy wjeżdżają windą na górę. Wtedy budzą się nocne drapieżniki. Ci, którzy tworzą newsy.

Ten temat radował Jørgena Mostu dużo bardziej, niż byłby skłonny przyznać. To było jego źródło. On dowiedział się pierwszy. To za jego przyczyną TV2 był lepszy w relacjonowaniu morderstw w posiadłości Słoneczny Spokój, którymi żyła ostatnio cała Norwegia, od „VG”, „Dagbladet”, „Aftenposten” i NRK.

Tak więc z ciężkim sercem kroczył teraz przez wyciszoną salę. Stuknął w szybę i zamknął za sobą drzwi do szklanej klatki, gdzie kierownik redakcji *Wiadomości* Carl Solli czytał „Finansavisen”, pogryzając swój chleb powszedni obłożony krewetkami z kantyny. Solli podniósł wzrok znad gazety, ale nie odezwał się, póki Jørgen nie opadł na krzesło przy biurku.

– No więc – zaczął – będzie coś z tej sprawy konfliktu w kierownictwie śledztwa?

Jørgen obrzucił go nieobecny wzrokiem.

– Rozmawialiśmy o tym wcześniej na kolegium redakcyjnym, pamiętasz?

– Tak... Ach, tej. Jest już mniej więcej gotowa – powiedział ogólnikowo rudzielec z kręconymi włosami. – A potem zacisnął ręce i pochylił się do przodu. – Ale jest co innego... Coś, co chciałbym z tobą przedyskutować.

Solli opuścił gazetę i spotkali się wzrokiem. Jørgena coś męczyło. A Solli nie lubił przygnębionych współpracowników, o czym Jørgen wiedział. Bo zawsze psuli dobry temat.

– Chodzi o źródło. Główne źródło – wykrztusił Jørgen.

– No i?

– Policja chce wiedzieć, kto to jest.

Solli zmarszczył czoło.

– Taaa... Z tym chyba nie ma problemu? Wystarczy po prostu powiedzieć „nie”?

Jørgen położył ręce na kolanach.

– Policja uważa, że źródło może wiedzieć, gdzie jest reszta wspólnoty. I że może mieć informacje o sprawcy. O tym albo o tych, którzy za tym stoją.

Zawsze łatwo było zauważyć, kiedy Carla Sollego ogarniała złość. Od szyi aż po skronie rozchodził się jak pożar wypalanych traw płomienny rumieniec. Zmrużone oczy w chłopięcej twarzy zwięzały się jak w reakcji anafilaktycznej, a oddech stawał się nierówny.

– Będą nas pozywać? Zaciągną nas do sądu?

Jørgen potrząsnął głową.

– Nie odniosłem takiego wrażenia.

– No więc w czym problem? – Zdumiał się Solli. – Ochrona źródła to rzecz święta! Pamiętasz? Pierwsza lekcja na dziennikarstwie.

„Finansavisen” wylądowała na chlebie z krewetkami.

– Nawet mnie nie chcesz powiedzieć, kim jest twoje źródło. A teraz chcesz z tym lecieć na policję? Pojebało cię?

Jørgen sapał, aż w nozdrzach gwizdało. Próbował zachować spokój, ale sam zaczynał się gotować. Najpierw kłótnia z Fredrikiem, a teraz kolejne kazanie, i to od gówniarza? Dosyć tego.

– Jeżeli mamy informacje, których nieujawnienie zagraża czyjemuś życiu, to bierzemy na siebie cholernie dużą odpowiedzialność. Pomyśl: jeżeli ktoś zostanie zabity, ponieważ nasze źródło wie coś, o czym powinna wiedzieć policja? Niech mnie diabli, jeśli jestem pewien, czy dobrze bym się z tym czuł!

Solli płynnie odgarnął gazetę na bok, a potem wstał i oparł się pięściami o stół.

– Jesteśmy w państwie czwartą władzą, do cholery! Jesteśmy niezależni. Myślisz, że ktokolwiek kiedykolwiek zwierzy się z czegokolwiek kanałowi TV2, jeżeli wystawimy źródło w takiej sprawie jak ta? Cholera, nie mogę uwierzyć, że w ogóle przyszło ci to na myśl – burknął. – Powinniśmy złożyć doniesienie na Fredrika Beiera i całą pieprzoną policję w Oslo za nieuczciwe naciski.

Walnął pięściami w stół, aż podskoczyły talerzyki.

– Odpowiedź brzmi „nie”, „nie” i jeszcze raz „nie”! Zapomnij o tym. Rozumiesz?

Jørgen wstał. Przełknął głośno ślinę. Parsknięcie przypominało pryskanie wrzącego oleju.

– Dokładnie to samo powiedziałem Fredrikowi. Niemniej skontaktuję się ze źródłem i zachęcę do pójścia na policję. Jeżeli w wyniku tego stracimy go jako źródło, to trudno.

Carl Solli miał kamienny wyraz twarzy. Jak samce podczas godów wpatrywali się w siebie, szukając słabości przeciwnika. Solli zrozumiał, że mężczyzna naprzeciw niego nie zmieni zdania.

– W porządku – rzucił.

Jørgen odwrócił się i wyszedł.



Odpowiedź na SMS przyszła natychmiast.

„Spotkanie pasuje. Też mam coś do omówienia”.

## ROZDZIAŁ 51

Po trzech godzinach spędzonych na kolanach Fredrik się poddał. Położył się na twardej czerwonej kanapie, kopniakiem pozbył butów i wyciągnął bolącą nogę na siedzeniu. Pokręcił się, szukając wygodniejszej pozycji, i wspomniał brązowy skórzany mebel sprzed designerskich czasów. Zwinął roboczą koszulę w niebieską kratkę do wymiarów podkładki pod głowę.

Z tej pozycji przyglądał się, jak Andreas zbiera setki powiększonych zdjęć paszportowych rozrzuconych po podłodze między biurkami. Zrobiło się późno, byli prawie sami.

– Odkryłeś, co się stało z tym zgłoszeniem od byłych członków wspólnoty? Tym, które odebrała Kafa? – spytał Andreas pozornie obojętnym tonem.

– Pracuję nad tym – mruknął Fredrik.

Andreas podniósł się, zdjął czarną marynarkę od garnituru z oparcia krzesła i otrzepał ją demonstracyjnie, jakby na znak, że nie da się wplątać w tajemnice Fredrika.

– Koss cholernie naciska, żeby się dowiedzieć, co mówili. Twierdzi, że majstrowano przy nagraniu. Podobno brakuje drugiej połowy. Tej części, w której mówili, że rozmawiali z Kafą – ciągnął wątek.

Nawet po wielu godzinach spędzonych przez Andreasa na podłodze jego kremowa koszula prawie nie była zmięta. Fredrik zastanawiał się, gdzie on, u diabła, znajdował koszule takiej jakości. Mimo to nie wyglądał jak ten paw Koss. Andreas nieskończenie powoli naciągał marynarkę, nie spuszczając uważnego spojrzenia z Fredrika.

– To brzmi zupełnie nieprawdopodobnie – prychnął Fredrik, uznając, że się nie wymiga. – Chciałbym najpierw porozmawiać z Kafą. Zanim inni się dowiedzą.

– Do diabła z Kossem! – Andreas się uniósł, zaraz jednak poufale ściszył głos. – Tylko uważaj, żebyś się nie dał zmanipulować tą jej retoryką. I tymi wielkimi ślepiami jak migdały.

– Nie ma takiej opcji – odparł głucho Fredrik.

Najgrubszy plik zdjęć wylądował w szarej kopercie, na której Andreas flamastrem napisał „nieaktualne” i którą demonstracyjnie schował do szuflady. Chudszy plik też trafił do koperty. Na niej Andreas wypisał „nieprawdopodobne” i położył ją na stole. Ostatni plik, który plikiem właściwie nie był, bo składał się zaledwie z pięciu fotografii, starannie przytulił do piersi, po czym siadł na krześle na kółkach i przetoczył się do partnera.

– Nie wydaje mi się, żeby to też była któraś z tych – mruknął ponuro.

Fredrik odchylił głowę i obserwował kolegę, prostując i wyginając kręgosłup, żeby stłumić ból

w kolanie.

W Norwegii było więc sześćdziesięciu jeden mężczyzn, którzy nazywali się Per Olsen. Wiedział też teraz, że istniało dalszych czterystu pięćdziesięciu dziewięciu o nazwisku Olsen i imieniu Per-coś-tam. Przez ostatnie trzy godziny przeglądał zdjęcia ich wszystkich. Pięciu z nich przypominało z wyglądu jego Pera Olsena. Pastora Olsena. Tatę Pera. Mężczyznę, który – jak podejrzewali – mógł być prawdziwym celem mordercy w Słonecznym Spokoju.

– Musimy tę parkę z sekty wezwać jeszcze raz – powiedział. – Oni go znają. Im będzie łatwiej.

Andreas nie odpowiedział. W zamian podniósł zdjęcie trzydziestolatka z blond włosami i pociągłą twarzą.

– To mógłby być ten tutaj. Podobny, a równocześnie niepodobny. Popatrz na oczy. One... nie mają w sobie tego ognia. Kapujesz? To jest po prostu... zwykły facet.

Fredrik spuścił nogi z kanapy. Andreas mówił to od początku. Per Olsen to fałszywe nazwisko. Może miał rację?

– Zostawmy to. – Machnął z irytacją ręką. – Mówiłeś, że przejrzalesz fora dyskusyjne...

Andreas przyniósł teczkę i laptopa, po czym siadł koło Fredrika. Sprawdził wszystkie debaty w sieci, w których, jak wiedzieli, członkowie wspólnoty Światło Boga brali udział. Następnie ułożył listę wszystkich innych, którzy udzielali się w tych debatach. Przecież sekta w jakiś sposób musiała rozdrażnić człowieka, który ją zaatakował. Mieli całe arkusze nicków, w większości oczywistych pseudonimów.

– Spora lista... – mruknął Fredrik, z rezygnacją biorąc teczkę. – I co z tego wyczytałeś, Andreas?

Trudno było dostrzec w tym jakiś wzór. Niektórzy użytkownicy byli szczególnie aktywni, inni pisali rzadziej, ale dawali wyraz zupełnie obłądnym postawom. Część wykazywała dużą aktywność przez kilka miesięcy, część całymi latami. Andreas potrząsnął głową.

– Nie wiemy dokładnie, czego szukamy, więc trudno wyczuć, gdzie mamy zacząć.

– Odłożmy to więc na później – zgodził się Fredrik.

Już miał zamknąć teczkę, kiedy zainteresowała go jedna nazwa. Anonimowy login. Ta osoba nie napisała wielu postów, niemniej przez lata uczestniczyła w dyskusjach na szereg tematów.

– Ten tutaj. – Wskazał palcem. – Co o nim masz?

Andreas pochylił się i wpisał pseudonim do bazy na laptopie.

– Rękaboga – mruknął. – O, jest. Rękaboga uczestniczył w stu czternastu dyskusjach, w których udzielali się również członkowie Światła Boga. Robi wrażenie bardzo religijnego, kogoś z dobrym przygotowaniem teologicznym. W dużym stopniu podziela opinie wspólnoty. Zasadnicza tematyka odpowiedzi obraca się wokół końca świata, rychłego powrotu Jezusa, Sądu Ostatecznego, ukarania wszystkich bezbożników na świecie i tak dalej – przeczytał szybko. Podniósł wzrok znak komputera. – Brzmi dość ekstremalnie, ale wierz mi, po przeczytaniu tych dyskusji mogę cię zapewnić, że w dużej

mierze jest to dość normalne stanowisko. Tam jest cała masa takich ludzi. Coś cię w tym zaskoczyło? – spytał.

– Nie pamiętasz hasła? – odpowiedział pytaniem na pytanie Fredrik. – Tego z pendrive’a ze strychu? Ręka Boga?

Andreas zrobił wielkie oczy.

– O cholera.

Fredrik chwycił za komórkę, żeby zadzwonić do Kafy, przypomniał sobie jednak, że policjantka wciąż jest na zwolnieniu. Wtedy instynktownie zareagowała na hasło – i słusznie. „Ręka Boga” nie była przypadkowo wybranym hasłem. Był to nick człowieka ze zdjęć na pendrivie. To on był Ręką Boga. Mężczyzna, którego byli członkowie wspólnoty zidentyfikowali jako Pera Olsena. Proroka Sądu Ostatecznego.

## ROZDZIAŁ 52

Tina Holten jeszcze raz sprawdziła godzinę. Nowy tabun turystów wyroił się na placyku na wprost niej. Robili sobie zdjęcia przed tygrysem z brązu, a potem oddalali się w kierunku Karl Johan, ulicznych sprzedawców, muzykantów i żebraków. Siedziała na schodach przed Oslo S już prawie trzy kwadranse. Rozbolał ją tyłek.

Był typowy dzień norweskiego lata. Przedpołudniowe słońce zastąpiła pokrywa szarobiałych chmur. Minęły dwie godziny od chwili, kiedy zadzwoniła Annette Wetre. Głos miała zdyszany, ale stanowczy. Jakby podjęła decyzję. Jakby nie było odwrotu.

Umówiły się, że Tina odbierze Annette z synem na Centralnym. Potem miały pojechać do domu Kari Lise i jej męża na Kringsjå. Na tym kończyła się misja Tiny.

Żałowała, że się zgodziła. Nie pojmowała, dlaczego tak rozsądna kobieta jak Kari Lise Wetre dała się namówić na to, by nie zawiadamić policji. W grę przecież wchodziło morderstwo. Pięć morderstw. Sześć, jeżeli doliczyć muzułmanina w wannie. Rozejrzała się. Kilku skaterów. Garstka brudnych narkomanów. Grupka dziewcząt w niebieskich sweterkach wracających z turnieju piłki ręcznej. Poza tym wszyscy inni w ruchu. Nikt się jej nie przyglądał. Była tego całkiem pewna. Prawie. Skóra na głowie spotniała i swędziała pod ciemnymi lokami. Czuła, że musi się podrapać, obiema rękami, pazurami, jak się jej to czasami zdarzało, kiedy uznała, że zrobiła coś głupiego.

Telefon zawibrował. Ukryty numer.

– Tak?

Głos po drugiej stronie szeptał:

– To ja. Jesteś samochodem, prawda?

– Tak, oczywiście. Tak jak się umówiliśmy. Stoi...

Annette jej przerwała.

– Przyjeźdź po nas na stację w Solbråtan. Będziemy tam za dwadzieścia pięć minut.

– Ale...

Cisza. Tina usłyszała tylko w tle dudnienie kół pociągu. Solbråtan? Nawet nie wiedziała, gdzie to jest.

Poszła szybko na parking. Chciała zadzwonić do Kari Lise, ale zrezygnowała.

Okazało się, że Solbråtan to stacyjka zaraz za Kolbotn na linii østfoldzkiej. Zobaczyła ich przed kioskiem, gdy tylko skręciła z szosy. William siedział na rękach mamy i lizał sorbetowego loda. Annette miała na nosie duże okulary słoneczne, które nie pozwalały rozpoznać twarzy. Byli bez

bagażu.

– Cześć. To ja jestem Tina.

Opuściła szybę w samochodzie i się wychyliła. Annette jednak, zamiast spojrzeć na nią, rozglądała się ponad dachem samochodu. Tina już miała wyłączyć silnik, gdy szczupła sylwetka pochyliła się i podniosła okulary. Twarz Annette była szara. Piękne, miękkie rysy, które Tina знаła z fotografii, napęczniały i zgrubiały. Jasne włosy były spięte w postrzępiony koński ogon.

– Cześć. – Malec uśmiechnął się, machając lodem.

Tina odpowiedziała mu uśmiechem, a Annette opuściła okulary i patrzyła na nią przez ciemne szkła. Źrenice miała zwężone i rozbiegane.

– Przyjechałaś sama? – szepnęła.

Tina kiwnęła głową.

– Żadnej policji?

Potrząsnęła głową.

Tylko mlaskanie Williama przerywało ciszę, gdy mijali ozdobne ogrody, pola i zagajniki. Mimo opuszczonej osłonki przeciwsłonecznej Annette nie zdjęła okularów. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Tu mam chusteczki higieniczne. – Tina pokazała na torebkę leżącą na podłodze pomiędzy nogami Annette.

– Dzięki. – Pociągnęła nosem. – Przepraszam. Pewnie uważasz, że jestem szalona. – Wydmuchała nos. – Nie miałam odwagi wysiąść na Oslo S. Tyle tam ludzi. I kamery. Więc pojechaliśmy podmiejskim, który stał po drugiej stronie peronu.

Annette obsunęła się na fotelu, kryjąc się przed samochodami wokół nich. Potem położyła ręce na piersiach okrytych bawełnianym topem i oddychała. Głęboko i długo.

– Nie wiem, co mam robić – szepnęła, patrząc na Tinę.

Szlochała cicho.

Tina zerknęła w lusterko na chłopca na tylnym siedzeniu. Spokojnie wyglądał przez okno i ssał patyczek po lodzie. Wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała Annette po kolanie. Czuła, że dziewczyna drży.

– Matka się wami zajmie – pocieszyła. – Kari Lise jest rozsądna. Będzie wiedziała, co robić.

Annette pociągnęła nosem.

– Wiem. – Nagle podwinęła top. Zza paska dzinsów wystawała wypchana koperta.

– Możesz ją dla mnie przechować? Tylko kilka dni?

Nie czekała na odpowiedź, lecz od razu wsadziła ją do schowka.

– Cóż... pewnie muszę – zgodziła się Tina z pytaniem w oczach.

Willowa część Kringsjå jest położona wysoko, najbliżej terenów rekreacyjnych, mniej więcej

w środku aglomeracji stolicy. Latem jest tu masa jabłek, śliwek i grillów ogrodowych. Zimą za duże SUV-y z pojemnikami na narty na dachu i biurokratami dobrobytu za kierownicą zagrażają bezpieczeństwu ruchu drogowego. To oni zawłaszczyli dzielnicę – razem z żądnymi uwagi mediów akademikami i zmęczonymi show-biznesem telewizyjnymi osobowościami. Tu stał dom Kari Lise Wetre.

Skręcili z trzeciej obwodnicy i pojechali uliczkami w kierunku Sognsvann. Tina otworzyła okno. W ogrodach bawiły się dzieci. Pachniały lekko dzikie róże. Minęli wycieczkowicza i jego niemieckiego doga. Zza chmur wyjrzało słońce.

– A jednak zrobił się ładny dzień. – Tina uśmiechnęła się zachęcająco.

Nawet nie zdążyła zahamować. Ciemny samochód dostawczy po prostu skręcił na ślepo na jezdnię i trafił ich prosto w maskę. Zderzenie nie było potężne, dostatecznie jednak silne, by uruchomić poduszki powietrzne. Siła bezwładności odrzuciła głowę Tiny w tył. Na chwilę ją zamroczyło. Zniknęło słoneczne ciepło, zrobiło jej się ciemno przed oczami, ale początkowo nie czuła bólu. Nie czuła nic. Jedynie silny zapach benzyny. Potem usłyszała krzyk dziecka. Jej stopa uwięzła między pedałami. Teraz bolało.

– Nie! Proszę! Nie, nie, nie...! – krzyczała Annette. Tina uniosła głowę. Wszystko wokół niej płynęło, mogła skupić wzrok tylko na ulicy przed autem. Samochód dostawczy został cofnięty i zaparkował w poprzek jezdni. Patrzyła na puste siedzenie kierowcy. Co się stało? Czy kierowcę zemdliło?

Nagle w bocznym lusterku zauważyła jakiś ruch. Poczowała się nieswojo. Mgła przed oczami zniknęła i wydawało się jej, jakby ktoś przestał gnieść gąbkę w jej piersi. Odwróciła głowę. Mężczyzna. Stał tam. Obserwował ją przez okno. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, serce jej stanęło. Oczy miał okrągłe, szare, prawie pozbawione życia. Jak soczewka w aparacie fotograficznym. Spoglądały na nią z otworu kominiarki.

Samochodem nagle szarpnęło i drzwi się otworzyły. Wielka łapa w rękawiczce chwyciła ją za szyję i pociągnęła. Tina była pewna, że mężczyzna wyrwie jej obojczyk. Ciągnął z całej siły. Ostatnim wysiłkiem zdołała odpiąć pasy. Odbiła się wolną nogą. Trzask w stopie nie pozostawiał złudzeń: uwięziona między pedałami kostka została złamana. Potem Tina wylądowała na brzuchu, ciśnięta na asfalt obok samochodu. Krew napłynęła jej do ust, kiedy patrzyła na parę błyszczących wojskowych butów. Miała mokre majtki, zlała się. Czy teraz umrze?

Najbardziej chciała zamknąć oczy, zwinąć się w kłębek i krzyczeć. Krzyczeć tak długo, aż by z nią skończył, krzyczeć tak głośno, by ból i strach nie przedarły się przez ścianę dźwięku w głowie. Ale z jej ust nie wydostał się nawet szept. Nie potrafiła choćby mrugnąć. Patrzyła tylko prosto przed siebie jak wyciągnięta z wody ryba. Kątem oka zobaczyła, że mężczyzna kieruje pistolet wprost w otwarte drzwi. Na Annette. Zrozumiała, że bez słów każe jej przejść do samochodu dostawczego. Szlochająca

kobieta posłuchała. Stojący nad Tiną olbrzym się odsunął. Trzasnęły drzwiczki. Usłyszała jeszcze szum silnika i samochód dostawczy zniknął.

Wtedy się wydobył. Z jej gardła. Krzyk. Szlochając, przetoczyła się na plecy, wsparła na łokciach i zjrzała do samochodu. I zamknęła usta. Bo tam siedział William. Patyczek po lodzie był złamany.

– Mama – powtarzał cicho. – Mama.



*Szkocja, lato 1943 roku*

Jedna walizka. To wszystko, co Kolbeinowi Ihmemu Monsenowi wolno było zabrać, nim został przez dwóch żołnierzy pod bronią odprowadzony na stację King's Cross, gdzie czekał na niego pułkownik Hasle. Razem wsiedli do pociągu jadącego na północ.

Podróż trwała długo, ale pułkownik zadbał o to, żeby przedział mieli dla siebie. Po drodze rozmawiali. Hasle chciał wiedzieć wszystko o profesorze Eliasie Brinchu, o badaniach nad rasami i o Wiedeńskim Bractwie. Więc Kolbein opowiadał. Jakby puściła jakaś tama. Wszystko, co go przygniatało jak brzemień, zostało uniesione i splukane – to było dobre uczucie. Płakał, mówiąc o niedorozwiniętej córce, którą umieszczono w zakładzie. Paznokcie boleśnie wpijały się w zaciśnięte dłonie, kiedy opowiadał o Elsie, Brinchu i ich dziecku.

– Jakie są pańskie uczucia w stosunku do profesora Brincha? – spytał go potem Hasle.

Kolbein długo milczał, kreśląc na zaparowanej szybie prostą linię. Za wrzosowiskami dostrzegał granat Morza Północnego, co sprowadziło jego myśli ku ojczyźnie po drugiej stronie morza.

– Nienawidzę go. I będę nienawidzić do końca życia.

Pułkownik spojrzał na niego w zamyśleniu.

Dojechali wreszcie do Aberdeen. Pożegnali się przy samochodzie, który czekał na naukowca.

Wyprawa Kolbeina kończyła się w Buckie, maleńkiej szkockiej osadzie rybackiej daleko na północy i równie daleko na wschodzie. Dostał pokój w murowanym budynku z widokiem na morze. Mógł tu codziennie podczas spacerów natykać się na norweskich rybaków i ich rodziny – uciekinierów z Norwegii i spod władzy nazistów. Co wieczór zaś mógł czuwać i gapić się w sufit, obojętny i bezużyteczny.

Dni zamieniły się w tygodnie, a z wiosny zrobiło się zimne, niegościnne lato. Pewnego lipcowego dnia wrócił pułkownik Hasle.

– Przyjechałem, żeby prosić pana o pomoc. Ojczyzna pana potrzebuje.

Zasiedli z pułkownikiem na giętych krzeselkach przed niewielkim kominkiem. Pokój oświetlała parafinowa lampa na suficie.

– Elias Brinch wrócił do Norwegii w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Tam wstąpił do NS Quislinga. Dzięki swoim znajomościom w Niemczech wkroczył się na znaczące stanowiska. Przez jakiś czas kierował między innymi Wydziałem Nauk Przyrodniczych na Uniwersytecie w Oslo.

Hasle masował sobie policzki opuszkami palców. Szkockie lato nadawało jego cerze odcień

typowy dla ciężko chorego wieprzka.

Od maja 1941 roku profesor kierował obozem jenieckim Østhassel na półwyspie Lista, na zachód od Lindesnes. Brinch współpracował z Elsą, która udzielała się w Instytucie Cesarza Wilhelma w Heidelbergu. Z tego, co ustalił brytyjski wywiad, wynikało, że dużo czasu spędzała na jakiejś położonej na uboczu greckiej wyspie.

– Pański dawny kolega z Wiedeńskiego Bractwa doktor Acton bierze udział w wyjaśnianiu tego, co się tam odbywa.

– Wiem, co się tam odbywa – oznajmił pustym, bezdźwięcznym głosem Kolbein. – Elsa i Elias eksperymentują. On prowadzi doświadczenia w Norwegii, potem ona testuje wyniki na ludności czystej rasowo. O czymś takim marzyliśmy w Bractwie. – Rozłożył grzebień i przeczesał ciemnoblonde włosy. – A mnie chcecie wysłać do Norwegii?

– Jak się pan na to zapatruje?

– Nie mam życia osobistego. W Norwegii jestem dla ludzi jedynie bladym wspomnieniem. Rodzice nie żyją. Moje dziecko oddano obcym. Narzeczona mnie opuściła... – Zacisnął pięści.

– To niebezpieczna operacja – powiedział Hasle. – W normalnych warunkach nasze placówki na Sørlandzie dysponowałyby ludźmi do obserwacji, a jeśli zaszłaby potrzeba, do ataku na Brincha. Niestety jest tak, że większość naszej Grupy Bojowej Trzy została zdekonspirowana i ruch oporu w regionie leży na łopatkach. – Pułkownik nachylił się do Kolbeina. – Chcielibyśmy, żeby pan obserwował, co się dzieje w obozie, i donosił o tym. Zostanie pan przerzucony do punktu kontaktowego w Południowej Norwegii.

Tak Kolbein Ihme Monsen został bojownikiem ruchu oporu.

## ROZDZIAŁ 54

Kari Lise Wetre otworzyła Fredrikowi drzwi z wnukiem na ręku. W jej oczach nie było życia. Nie tłumaczyła się, stwierdziła tylko, że żałuje, że nie powiadomiła policji.

Godzinę później Fredrik z kciukami w kieszeniach spodni przyglądał się, jak ekipa techniczna ostrożnie ładuje ciemnoniebieskiego citroena Tiny Holten na lawetę. Z przodu karoserii widniało wgniecenie. Kolorowy pleksiglas z reflektorów został na asfalcie. Ulicę przecinała policyjna taśma. Kawałek dalej spekulowała grupka sąsiadów i dziennikarzy. Wśród ogrodów na Kringsjå nigdy dotąd nic podobnego się nie zdarzyło. Andreas podciągnął nogawki spodni od garnituru i kucnął w miejscu, gdzie wcześniej stał samochód Tiny. Fredrik starał się ukryć utykanie, kiedy do niego podchodził. Jeżeli zostanie rozpoznany na miejscu zdarzenia, co bystrzejsi dziennikarze skojarzą, że ma to coś wspólnego ze Słonecznym Spokojem.

– W samym środku cholernego osiedla – mruknął.

Andreas obejrzał się przez ramię.

– Zobacz.

Piórem wskazał czarną puszkę wielkości pudełka od zapalek. Narysowane grubą białą kredą kółko znaczyło miejsce znaleziska. Fredrik rozpoznał małe stalowe urządzenie. Był to pozycjoner GPS. A więc tak mężczyzna, który uprowadził Annette Wetre, zlokalizował samochód Tiny.

– Coś więcej?

– Owszem – oznajmił Andreas z tajemniczym wyrazem twarzy i wstał. – Niech mnie diabli, dużo więcej. Masz to jak w banku.

Podniósł wieczko plastikowego pojemnika stojącego na poboczu, w którym znajdowały się zabezpieczone dowody, i wyłowił przezroczystą plastikową torebkę. W środku była koperta.

– Tina Holten mówiła w szpitalu naszym ludziom, że dała jej to Annette. Znaleźliśmy tę kopertę w schowku w samochodzie. Zajrzyj sobie.

Fredrik pozwolił, by koperta wysunęła się z plastiku. Zważył lekko wybrzuszone opakowanie w dłoni, po czym zajrzał do środka. Zmarszczył czoło, a potem nos.

– Co...? Co to jest?

Przypominało zaszuszonego ogrodowego ślimaka – było brązowobiałe, wydzielalo ostrą, mięsną woń. Potrząsnął delikatnie kopertą, żeby obejrzeć to coś z drugiej strony.

– Och, do kurwy nędzy! Wyślij to zaraz do analizy. Chcę wiedzieć, czyj jest ten pieprzony mały palec!

Trzy nieodebrane połączenia. Wszystkie z tego samego numeru. Wzdragał się oddzwonić, ale z głębokim westchnieniem wziął się w garść.

Głos Synne Jørgensen był niski i zdarty od czasu, gdy papierosy z filtrem zamieniła na skręty. Wściekała się.

– Jak Kari Lise Wetre mogła być tak bezdennie głupia!?

Fredrik nie odpowiedział.

– Pomyśl, jak to wygląda! Polityczny przywódca, który nie ma zaufania do policji! W tak ekstremalnie nagłośnionej sprawie!

Jęknął.

– Tak, do cholery, nie wolno – wypluła.

Fredrik delikatnie odchrząknął.

– Mówi, że to Annette ją przekonała. Według Kari Lise Wetre tylko ona, jej mąż i Tina Holten wiedzieli, że Annette wraca. – Opowiedział Synne o lokalizatorze. – Annette była przekonana, że telefon matki jest na podsłuchu. Dlatego nalegała, żeby posłużyć się Tiną. – Przeciągnął wolną ręką po włosach i poczuł, że się poci. – Jeżeli Annette Wetre miała rację, to nic nie stało na przeszkodzie, by napastnik podsłuchiwał także Tinę Holten.

Głos Synne Jørgensen był zimny.

– Wierzysz w to? Że ktoś zakłada podsłuch jednemu z naszych czołowych demokratycznie wybranych polityków? I jej asyście? Jeśli tak, to kto to jest?

Fredrik nie odezwał się.

– Wpadł tutaj komendant. Nie z gratulacjami. „Chodzi o zaufanie”, powiedział. „I o konsekwencje”. Rozumiesz, co to znaczy, Beier? Wiesz, że na Nemego cholernie naciskają. Niedługo będzie musiał pokazać swoją skuteczność. Może się polać krew.

Rozłączyła się. Zwrócił uwagę, że użyła jego nazwiska.

## ROZDZIAŁ 55

Pomieszczenie na strychu było mniejsze, niż pamiętał. Wspomnienie podobnych do włóczni stołowych nóg, przytłaczających kanap i umeblowania salonów, które podpierało ściany, zbladło w świetle policyjnych reflektorów. Raptem z mrocznego tunelu zrobił się zwyczajny strych, a meble nie były niczym innym jak ponadczasowymi pomnikami złego smaku. Jak na każdym innym strychu każdej innej kamienicy w Oslo.

Technikiem operacyjnym, który wyszedł im na spotkanie, była Therese Grøfting, ta sama co w sypialni pastora Alfsena w Słonecznym Spokoju. Tym razem Fredrik pamiętał nazwisko. Workowaty kombinezon zamieniła na białą trykotową koszulkę i obcisłe džinsy, które podkreślały pupę w kształcie odwróconego serca.

– Imponujące – powiedziała, wskazując laserowym piórem na drewnianą ścianę. – To ta śruba, na którą nadział pan jego rękę. Absolutnie, sterylnie czysta. Użył mieszanki spirytusu, amoniaku i kwasu siarkowego, żeby usunąć ślady organiczne. Znajdujemy tyle co nic.

– Tyle co ile?

Kafa podrapała czoło pod czapkę, która skrywała opaskę utrzymującą klapkę na lewym oku.

To był jej pierwszy dzień po powrocie ze zwolnienia. Wydawała się nieporuszona ponowną bytnością w miejscu, gdzie o mało nie została zabita. W miejscu, gdzie przemoc splotła życie jej i Fredrika.

– To też jest fascynujące – ciągnęła Therese Grøfting, odsuwając z czoła grzywkę i kierując promień na plamy na ścianie. – Krew. Krew. Krew. I tu też krew. Widzimy, że to krew, ale nie potrafimy jej zanalizować. Ani grupy, ani DNA. Nie ma struktury komórkowej, tylko jakaś nieokreślona masa. Odfiltrował z płynu ustrojowego całą swoją tożsamość. To naprawdę... imponujące. Niezwykłe i imponujące. Nie widziałam jeszcze czegoś podobnego.

Fredrik nie podzielał zachwyty specjalistki techniki kryminalistycznej. Chciał już stąd wyjść.

– Czy to trudne? Takie ukrycie siebie?

Potrząsnęła z namysłem głową.

– Nie jest trudne. Za to czasochłonne. Wymaga ogromnej samodyscypliny.

Z Kwadratury ruszyli w kierunku Karl Johan. Fredrik zauważył, że znowu utyka, i starał się tego nie robić. Usiedli przy osłoniętym stoliku w barze kawowym. On jadł rozmokniętego owsianego muffina, ona grzebała w plastikowym kubku z sałatką owocową. Wyciągnęła z torebki kilka kartek z wydrukiem rozkładu jazdy pociągów.

– Przyjrzałam się temu trochę, kiedy siedziałam w domu. Bo zrobiło się nudno – zaczęła, jakby uważała, że musi się usprawiedliwić.

Tabelki pokazywały, które pociągi zatrzymywały się na stacji Solbråtan na godzinę przed zniknięciem Annette Wetre. Były tylko trzy. Jedna linijka została podkreślona.

– O czternastej dwadzieścia osiem na Oslo S przyjechał skład linii vestfoldzkiej na tor piąty... a o czternastej trzydzieści sześć z toru szóstego odjechał pociąg podmiejski do Ski. W Solbråtan był o czternastej pięćdziesiąt cztery. – Kafa spojrzała zezem na Fredrika. – Annette powiedziała Tinie, że przeszli tylko na drugą stronę peronu, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy. Żaden z pozostałych pociągów, które zatrzymywały się w Solbråtan, nie dzielił peronu z innym na Oslo S. Fredrik pochylił się nad rozkładem jazdy. Linia vestfoldzka zaczynała się w Skien, mijała Porsgrunn i przez miasteczka regionu docierała do Drammen i Asker. Dotknął palcem kartki, a potem spojrzał na Kafę.

– A więc sądzisz, że w jednym z tych miast... znajduje się reszta wspólnoty?

– To chyba naturalne założenie, że trzymają się razem. – Kafa uśmiechnęła się, rada, że skojarzył.

– A jeżeli są uwięzieni?

– Nie sądzę. Gdyby tak było, to dlaczego Annette tak bardzo by nalegała, żeby nie powiadamiać policji? Musi być jakieś inne wytłumaczenie. – Kafa podwinęła czapkę nad czoło, śląc Fredrikowi nieczytelne spojrzenie jednego oka. – Pytałam Andreasa, dlaczego kulejesz. Powiedział mi o twoim synu, o Frikku. Przykro mi.

Najpierw spojrzał na nią zaskoczony. Potem przesunął talerzyk na bok, odetchnął głęboko i przykrył jedną dłoń drugą.

– Cóż. Zakładam, że wszyscy nowi słyszą tę historię.

– Co się wydarzyło?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? To nie jest zabawna historia.

Fredrik nie zapamiętał z tamtego dnia niczego. Absolutnie niczego. Jednak był to środek czerwca, więc drzewa na pewno pyszniły się zielenią. Przez drzwi balkonowe zapewne napływały łagodne zapachy lata. A w gniazdach jaskółek, które uwiły je sobie tuż nad oknem sypialni, chyba panował największy ruch. Jakie mieli plany na to lato? Nie miał pojęcia. Mówiono jednak, że przebiegło to tak: Alice pojechała do pracy. Miała jeszcze urlop macierzyński, ale pracowała jako nauczycielka, a to było zakończenie roku szkolnego i jej klasa przechodziła do gimnazjum. Odprowadził Sofię do szkoły, gdzie mieli grillować, potem zaś Jacoba do przedszkola, odebrał paczkę z poczty i wrócił do domu z Frikiem w wózku. Dla Fredrika dzień spędzony z synem był tej pracowitej wiosny miłą odmianą. Obiecał Alice, że rodzina powróci do czystego i wysprzątanego domu na obiad domowej roboty. Tak więc kiedy Frikk odbywał swoją przedobiednią drzemkę, Fredrik wyskoczył na zakupy do sklepiku na rogu. Robił to już wcześniej. Alice też. Bo u Friikka jedna rzecz była naprawdę wspaniała – uświęcony

przedpołudniowy sen. Kiedy spał, to spał.

Pożar musiał wybuchnąć nagle. Dochodzenie wykazało, że zaczął się w instalacji elektrycznej w kuchni. W starej kamienicy sufit i podłoga były drewniane, a ściany pokrywały sklejka i tapety.

– Frikk umarł, zanim go znalazłem. Udusił się dymem.

Fredrik zdjął okulary i otarł łzę w kąciку oka.

Nie jest łatwo zebrać wspomnienia o dopiero co rozpoczętym życiu. Przecież na początku dzieci są do siebie tak podobne. A to było trzecie. Zawstydzające, ale to prawda. Niewiele pamiętał z tego, jaki był Frikk, czy też jak wyglądał, jak się ruszał. Pozostało mu jedno wspomnienie, które wzruszało go do łez, gdy tylko o tym pomyślał. Wspomnienie silnych rączek zaciśniętych na jego palcach wskazujących. Wspomnienie tego, jak mocno Frikk go chwycił i jak z całej siły napinał mięśnie, żeby podnieść tułów bliżej taty. I bezzębny uśmiech syna, gdy mu w tym pomagał.

– Czujesz się winny? – rzuciła Kafa.

Na początku było tylko to: poczucie winy. Z czasem jednak zaschło, zgrubiało, połamało się – jak strup na ranie – aż wreszcie odpadło, pozostawiając bliznę.

– Poczucie winy jest jak księżyc. Wszystkiego nie przysłania, ale gdzieś zawsze jest. Najgorsze są noce.

– Nie chcesz o tym rozmawiać? Sprawia ci to przykrość?

– Ludzie już nie pytają. Większość tych, z którymi teraz mam do czynienia, nie wie, że kiedyś byłem ojcem trojga dzieci. Nawet ci, którzy wiedzą, zapomnieli o tym. Coś takiego pozostaje ważne tylko dla tych, których dotyczy.

– Dlatego się rozwiedliście? Ty i matka Frikka?

– Oczywiście. – Fredrik westchnął. – Straciłem jej syna.

Potem wziął głęboki oddech i machnął ręką.

Bo przecież tak prosto nie było. Widział wiele typów związków. Takie, które funkcjonowały, i takie, które nie funkcjonowały. Nacechowane podejrzliwością i przesycone szacunkiem. Szczęśliwe i nieszczęśliwe. Więc wiedział, że jego związek z Alice należał do szczęśliwych. W najlepszych czasach wręcz się kochali. Rzadko szukali przyczyny konfliktów w złych cechach charakteru partnera.

Śmierć Frikka zmieniła bardzo dużo, ale nie wpłynęła na to, kim była Alice. Nigdy go nie oskarżała. Zaopiekowała się nim, pocieszała, przetrwała przy nim okres samooskarżeń i samousprawiedliwień.

Jak mógł zostawić Frikka samego? No tak, to nie był pierwszy raz, ale o czym on myślał? Co mu właściwie chodziło po głowie? To nie ona stawiała takie pytania. Tylko on. To była siła napędowa jego żałoby, tak potężna, że nie potrafił się pozbierać. Zbyt długo ona musiała być tą silniejszą. Straciła dla niego szacunek. A on dla niej. Dlatego ich związek się skończył.

Została tylko potrzeba pieprzenia się, żeby od czasu do czasu przypomnieć sobie nawzajem

zapachy i smaki, miękkość i twardość – a potem rozejść się, każde w swoją stronę.

– Masz teraz kogoś?

– Mam... przyjaciółkę. – Potrząsnął głową. Odkasznął. On też musiał ją o coś spytać. – Słuchaj, Kafa. Skoro już tak zeszło nam na szczerłość...

Przyjrzał się jej. Dżinsowa kurteczka na szczupłych, silnych ramionach. Na niej wystający spod czapki nieporządny warkocz przypominający kawałek liny okrętowej.

– No...?

– Widziałaś ten reportaż o uciekinierach z sekty?

– Jasne.

– Ta kobieta, Annabell Wiehe, twierdzi, że się z nami kontaktowała.

Kafa zmarszczyła brwi.

– Powiedziała, że rozmawiała z tobą – ciągnął powoli.

– No... mogło tak być. Przecież w pierwszych dniach telefony się urywały. – Podrapała się pod czapkę. – Wydaje mi się, że odebrałam taki telefon, owszem. Przekierowany z centrali. Kobieta ze szwedzkim akcentem. Mówiła, że należała do wspólnoty. Wpisałam to do bazy informacji. Coś w tym złego?

Fredrik zgniótł muffina w bibułce na miazgę.

– Jesteś pewna, że wpisałaś to do bazy?

– Tak.

– Tej informacji tam teraz nie ma.



Wiadomość od Andreasa była równie krótka, co brutalna.

– Fredrik. Zwolnili Synne. Koss wygrał.

Sebastian Koss został wezwany do komendanta. Sytuacja stała się więcej niż kłopotliwa. Ludzie Synne Jørgensen nie zdołali odnaleźć wspólnoty. Zdaniem komendanta Nemego ona sama ochraniała detektywów i odpowiadała za brak wyników. Informacja, która wyparowała. Urowadzenie Annette Wetre. Morderca, który wyślizgnął się im z rąk na strychu. To skutki błędnych decyzji podejmowanych z błogosławieństwem Synne Jørgensen. Jeden wielki skandal. Koss skwapliwie podchwycił szansę. Kwadrans później wmaszerował do pokoju Synne.

– Jesteś zwolniona – stwierdził.

Jutro ta sprawa wycieknie do gazet. Jednostka specjalna zbada, czy nie złamano prawa. Neme znalazł kozła ofiarnego. Wykazał się skutecznością.

Wysoki, utykający mężczyzna w brązowej sztruksowej marynarce i niska, krępa kobieta w bluzie z kapturem jako jedyni siedzieli na trawie w parku przy kościele na Vålerenga, w cieniu świerków po zachodniej stronie tej ponadstuletniej granitowej budowli. Fredrik czekał, aż Synne Jørgensen zacznie mówić. Ale ona tylko paliła, wpatrzona w jasne kolory drewnianych domów poniżej. Co jakiś czas gasiła niedopałek w palcach, zwijała go w kulkę i kładła obok innych śmierdzących kulek na trawie między nogami.

Siedzieli na tyle blisko siebie, że mógłby ją objąć ramieniem. Ale to nie było w jego stylu. W jej też nie. Wcisnęła paczkę z tytoniem do kieszeni i zaczęła mówić:

– To dochodzenie jest sabotowane, Fredrik. Weźmy przecieki do prasy, fałszywe tropy, znikające ot tak informacje. – Gwizdnęła krótko i zerknęła na niego. – Qambrani nie kłamał. Na jego telefonie jest zapisane połączenie z policją w tym czasie, w którym, jak twierdzi, poszukiwał Emira. Zgodnie z tym, co mówił na przesłuchaniu. Ale tego zgłoszenia także nie ma. Nie wierzę, że dwie ważne informacje dotyczące sprawy takiej jak ta znikają same z siebie.

Fredrik popatrzył jej w oczy z namysłem.

– Pozostaje tylko pytanie – odparł – jak głęboko to sięga. Morderca ze Słonecznego Spokoju nie mógłby w żaden sposób zrobić tego wszystkiego na własną rękę. Ktoś musi za nim stać. Ktoś, kto ma jakiś cel. Myślisz, że mają jakąś wtyczkę u nas? Policjanta?

– Albo policjantkę – rzuciła Synne, dając mu sójkę w bok i zaraz poważniejąc. – Ufasz Kafie?

Fredrik wciągnął powietrze.

– Tak. Przynajmniej na razie. To ona odebrała wiadomość od uciekinierów z sekty. Tę, która zniknęła.

– Koss twierdzi, że ktoś zmanipulował nagranie. – W jej głosie zabrzmiało pytanie.

– Zmanipulował... – Fredrik zmarszczył nos. – To ja wyłączyłem nagrywanie. Koss jest... wydaje się strasznie napalony, żeby kogoś dopaść. Mnie interesuje, żeby dopadł właściwą osobę.

– Dopadł mnie – mruknęła zniechęcona Synne.

Przed nimi przemaszerowała grupka przedszkolaków w żółtych kamizelkach odbłaskowych. Policjanci podnieśli się i wolno poszli dalej. Synne zapaliła kolejnego papierosa.

– Dlaczego jej wierzysz? Kafie?

Zastanowił się chwilę.

– Bo... Bo wydaje się zbyt oczywiste, że to ona kabluje. Nie robi na mnie takiego wrażenia.

Synne spojrzała na niego ze sceptyczną miną.

– A jakie właściwie wrażenie na tobie robi? Chyba się nie zakochałeś?

– No co ty. Mógłbym być jej ojcem.

Kafa zadzwoniła, kiedy parkował w policyjnym garażu. Nie odebrał. Dał skończyć Prince'owi *Raspberry Beret* i dopiero oddzwonił.

– Jesteś w firmie? Czy to nie ty mówiłeś, że będziesz wieczorem pracował?

– Owszem – odparł powoli, pocierając oczy za okularami. – Musiałem wyjść. Stało się coś?

Stało. Znaleźli samochód dostawczy, którym uprowadzono Annette Wetre. Kafa tryskała wprost entuzjazmem.

Zaprosiła go gestem do swojego biurka, gdzie już czekał kubek parującej kawy. Czapkę zdjęła i tylko opaska z klapką utrzymywała jej włosy w jakim takim porządku.

– Samochód jest wyczyszczony i kompletnie wypalony. Właśnie stamtąd wróciłam. Stoi na wysypanym żwirze placu w pobliżu Rypetjern. W lasach Nordmarka. Jakiś rowerzysta zauważył dym dziś po południu.

– Dobrze – stwierdził sucho.

Dmuchał w kawę, para osadzała mu się kroplami na wąsach.

Samochód był własnością wypożyczalni w Økern, szemranej spółki pojawiającej się w polu widzenia, kiedy sprawdzano włamywaczy, którym się średnio poszczęściło. Wypożyczała zarówno używane, podniszczone pojazdy, jak i supernowoczesne sportowe auta z najwyższej cenowej półki w szpanerskich kolorach.

– Potwierdzają, że samochodu nie zwrócono, jak było umówione.

– Okej. Świetnie. Kto wypożyczył?

– No właśnie. Wypożyczalnia twierdzi, że nie była to jedna osoba, lecz dwie. Niski, korpulentny facet i wysoki osiłek. Wysoki czekał na zewnątrz. Drugi płacił. Kartą.

– Kartą? Więc znamy jego tożsamość? – Teraz pojawił entuzjazm Kafy. – Nie znam nazwiska. Jeszcze nie miałam czasu sprawdzić. Właśnie dostałam kopię karty kredytowej.

Odwróciła ekran komputera w stronę Fredrika. Zamarł. Jego usta powoli się rozchyliły. Pot wystąpił mu na czoło. Przestał myśleć i oddychać. Zrobiło mu się niedobrze.

Karta należała do Jørgena. Przyjaciela z młodości, dziennikarza kanału TV2 Jørgena Mostu.

Odgłos pracującej kosiarki był monotony i usypiający.

Ostatnio nie przesypiała w nocy wielu godzin. Nie potrafiła. A jednak zmęczenie dopadło ją tego popołudnia, toteż przeciągnęła się i ziewnęła. Od czasu do czasu w ogrodzie piętrowej willi ze smołowanych bali, który był domem rodziny Wetre, Kari Lise migąła wśród owocowych drzew sylwetka męża. Wczoraj przycinał żywopłot i wrywał chwasty z grządek róż. Dzień wcześniej umył i wypolerował samochód. Nie widziała, by się uśmiechał, chyba że bawił się z wnukiem. Wtedy twarz mu się rozjaśniała i rzucali sobie krótkie, pełne nadziei spojrzenia. Potem znowu jedno drugiego unikało. Za bardzo przypominali sobie nawzajem o córce, która zniknęła. On miał swoją metodę na przelotne zapomnienie, ona swoją. Myślała o polityce.

Kiedy upubliczniono wiadomość, że jej córka i wnuk zaginęli po masakrze w Słonecznym Spokoju, poinformowała partię, że będzie czynna jak przedtem. A teraz, kiedy wnuk bawił się spokojnie na piętrze, a Annette została od nich oderwana i uprowadzona? Musiała pracować. Zarzuty wobec samej siebie, że dała posłuch obawom córki przed policją, paliły serce żywym ogniem.

Położyła ostatnie kotlety mielone na patelni i czekała, aż woda się zagotuje, żeby wrzucić makaron świderki. Odsunęła firanki w kuchni i spojrzała w ciemne od ciężkich chmur niebo.

Przygotowała porcję dla Williama, potem wyszła do przedpokoju i zawołała go. Odpowiedział, że idzie, i znów ucieszyła się, że słyszy jego głos. Następnie ruszyła ku drzwiom na taras, ale zatrzymała się w salonie, gdzie siedział barczysty policjant, który ich pilnował.

– Proszę przyjść i zjeść z nami.

– Dziękuję, ale zjem, kiedy przyjdzie zmiennik. – Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Niech pan nie opowiada. William będzie pytał, dlaczego pan z nami nie je.

Bjørn Olav Wetre spojrzał na żonę pytająco. Kiedy William nie przyszedł od razu, trójka dorosłych zaczęła posiłek. Minęło już prawie dziesięć minut, a dzieciak się nie pokazał.

– Mam go przyprowadzić?

– Jedzcie, panowie. Sama pójdę.

Dopiero na szczycie schodów ogarnął ją dręczący niepokój. Nisko sklepiony korytarz wydawał się węższy niż zwykle. Przebiegła spojrzeniem po ścianach z wyblakłymi zdjęciami Annette z dzieciństwa i pojęła, co było nie tak. Drzwi do dawnego pokoju Annette okazały się zamknięte. Była pewna, że zablokowała je gazetą – właśnie po to, żeby słyszeć wołanie dziecka. Otworzyła drzwi szarpnięciem. William uśmiechnął się do niej.

– Cześć, babciu!

Nie zdobyła się na odpowiedź, tylko przerażona utkwiała wzrok w głębi pokoju. Na wielobarwnym dywanie siedział wysoki osiłek i trzymał czterolatka na kolanach. Wokół wały się rozrzucone klocki lego, samochodziki i plastikowe zwierzątka. Zabezpieczone przed dziećmi okno było otwarte na oścież. Mężczyzna, ubrany na czarno, na podłużną głowę głęboko naciągnął ciemną czapkę. Przykrywała całe czoło aż do oczu. Wbitych w nią. Położył palec na ustach. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na delikatne kontury maski sięgającej od grzbietu nosa do brody. Dokładnej imitacji twarzy. Będąc tak blisko, widziała jednak, że brakuje w niej drobnych wibracji, skurczy mięśni i pewnej asymetryczności, które czynią ludzi unikatowymi.

Woskowożółtą dłoń, wystarczająco dużą, by tylko palcem wskazującym i kciukiem objąć szyję chłopca, mężczyzna położył Williamowi poniżej karku. W drugiej trzymał torebkę ze słodyczami. Kari Lise Wetre przyglądała się, jak dziecko bierze jednego krokodylka za drugim. Torebka była ich pełna. Kiedy jednak William spróbował dać krokodyla babci, mężczyzna natychmiast pociągnął go w tył. Spojrzenie chłopca od razu stało się niepewne. Potem nieznajomy kiwnięciem głowy wskazał na podłogę. Leżała tam przezroczysta torebka z plastiku. Kari Lise osunęła się bezwładnie na kolana i wyjęła z niej zdjęcie mężczyzny. Wydawało się jej, że go rozpoznaje. Była to jedna z fotografii, które pokazywał jej Fredrik Beier. Per Olsen, tak detektyw go nazwał. Jeden z pastorów w Słonecznym Spokoju. Na zdjęciu był napis „Børre Drange”. W torebce znajdował się jeszcze jeden przedmiot, który wyślizgnął się na jej dłoń. Dyktafon.

Ciemna postać, nie spuszczając z niej wzroku, posadziła Williama na podłodze, wstała, a potem miękko i zwinnie zniknęła za oknem.

## ROZDZIAŁ 58

W jadalni na Majorstuen, gdzie siedziała cała czwórka, wszyscy wstrzymali dech. Głos na nagraniu był drżący i wysoki. Krótkie, nienaturalne przerwy między słowami zdradzały przyspieszony oddech. „Kari Lise Wetre, jeżeli chce pani zobaczyć córkę żywą, użyje pani swoich znajomości, żeby zlokalizować tego człowieka. Nazywa siebie Perem Olsenem, ale jego nazwisko brzmi Børre Drange. Ma pani na to siedemdziesiąt dwie godziny. Od tej chwili. Jeżeli się pani nie odezwie, już nigdy nie zobaczy pani Annette. Jeżeli powiadomi pani policję, już nigdy nie zobaczy pani Annette. Niech się pani z nami skontaktuje – na odwrocie zdjęcia podano adres mejlowy”.

– Boże wielki! – Turid Mostu zatkała ręką usta.

Fredrik zatrzymał odtwarzanie i odłożył dyktafon na stół.

– Chyba nie ma wątpliwości. – Posłał Turid pocieszające spojrzenie.

Potrząsnęła głową.

Na nagraniu słychać było głos Jørgena Mostu.

– Zakładamy, że Jørgena trzymają razem z Annette Wetre – powiedziała Kafa neutralnym tonem.

Fredrik nie zliczyłby, jak często siadywał w tej jadalni, w dużym, pięciopokojowym mieszkaniu na Majorstuen, tuż obok swojego. Jadali tu obiady, obchodzili urodziny dzieci, dzielili radości i smutki. Ileż to razy odchyłał się na oparcie tego samego krzesła, na którym siedział teraz, wyciągał długie nogi i opróżniał kieliszek, wodząc oczami po kruszących się sztukateriach wysokiego sufitu? Teraz sufit był zimny i odpychający. Tak samo jak Turid. Jakby go prawie oskarżała, że przyniósł ze sobą do jej domu trupi odór. Wiadomość, że jej mąż został porwany. Bezustannie omiatała spojrzeniem pokój w poszukiwaniu czegoś dającego poczucie bezpieczeństwa, czegoś znanego, przyjaznego. Tak rozumował Fredrik. Wreszcie jednak zatrzymała wzrok na nim. Minęły trzy dni, odkąd Jørgen zniknął. Nikt go przez ten czas nie widział.

Fredrik przyglądał się pozostałej dwójce. Koło niego siedziała Kafa, a u szczytu stołu stał Carl Solli, kierownik redakcji *Wiadomości* kanału TV2. Oparł się ciężko o blat, a puciołowate policzki, teraz obwisłe, świadczyły, że nie czuje się dobrze.

Naprzeciwko siedziała Turid, ale odtoczyła fotel inwalidzki od stołu, od współczujących min zebranych, i podjechała pod drzwi na balkon. Były otwarte, więc stanęła tak, by krople dżdżu padały jej na kark.

– Analiza nagrania wskazuje, że powstało we wnętrzu. Ton świadczy o tym, że czyta wcześniej napisany tekst z kartki. I że pani mąż... Jørgen... Że znajduje się pod silnym naciskiem – ciągnęła

Kafa, manipulując przy klapce na oku.

Ostrzeżenie było jednoznaczne. Morderca ze Słonecznego Spokoju mógł unieszczęśliwić Kari Lise Wetre i jej najbliższych, kiedy mu było wygodnie.

– Ale dlaczego zabrali Jørgena? Nie rozumiem. Co on takiego zrobił? – Turid odwróciła fotel w ich stronę. Nie ukrywała tego, że płakała. – Fredrik... Fredrik, ja tego nie rozumiem! Dlaczego Jørgena nie ma?

Chciał podejść i ją pocieszyć, ale Kafa położyła mu rękę na ramieniu i niedostrzegalnie pokręciła głową. Może miała rację. Musi chyba zachować pewien dystans.

– Robimy, co możemy, Turid – powiedział.

Potem mimo wszystko wstał i kucnął przed jej fotelem.

– Prawda jest taka, że jeszcze nie wiemy. Oczywiście myślimy, że ma to coś wspólnego z tym, że pracował nad tą sprawą. Mógł coś odkryć. Albo kogoś. Nic ci nie mówił?

Turid potrząsnęła głową.

– Tego dnia, kiedy zniknął, też nie?

– Nie.

– Nie wymieniał żadnych nazwisk?

Prychnęła i uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

– Wiesz, że nigdy by tego nie zrobił. Jest zawodowcem – odparła, spoglądając wrogo na redaktora z TV2.

– Børre Drange... to nazwisko, które podaje Jørgen... Wiesz, kto to jest? Słyszałaś je kiedyś?

Turid wciąż zaprzeczała ruchem głowy. Załkała i mocniej chwyciła poręcze fotela.

– Mówiłeś, że wydaje ci się, że porywacz to ten sam człowiek, który zaatakował ciebie. – Przypomniała sobie nagle.

Fredrik rzucił Kafie zdesperowane spojrzenie.

– Dlaczego on zmusza Jørgena do czytania?

– Żeby zademonstrować swoją władzę. Żeby pokazać, że jest panem życia i śmierci. To sygnał dla nas, dla policji. Mówi nam, żebyśmy się trzymali z daleka – odparła wciąż tym samym trzeźwym tonem Kafa. – Poza tym... ktoś już odciął temu diabłu język – dodała.

Fredrik podniósł się i poszukał wzrokiem Carla Sollego.

– Dowiaduje się pan o tym, ponieważ jest pan jego pracodawcą. Rozumie pan? Jeżeli choć jedno słowo z tego, co zostało powiedziane w tym pokoju, pojawi się w *Wiadomościach*, to niech mnie szlag, ale nie będzie to jedyny odcięty język w tej sprawie. Wyrażam się jasno?

Solli wyraźnie czuł się tu nie na miejscu. Uściskawszy sztywno zaraz po przyjsciu zrozpaczoną żonę Jørgena Mostu, zadbał o to, by dzieliła go od niej długość stołu. Język jego ciała był łatwy do

odczytania, a jego tchórzostwo denerwowało Fredrika, który mimo to dobrze wiedział, że nie powinien był powiedzieć tego, co powiedział. To dał o sobie znać jego strach przed dalszymi przeciekami, przed daniem płamy kolejny raz. Po zwolnieniu Synne był pierwszy w kolejce do odstrzału.

Solli potrząsnął ponuro głową i rozpiął pod szyją designerską koszulę.

– Wyjaśnił mi to pan w dostateczny sposób już przez telefon. Ja dotrzymuję umów. – Uniósł się honorem.

– Co pan wie o źródle?

– Nic. Nikt inny poza Jørgenem nie wie, kim jest źródło. Według niego był to bezdyskusyjny warunek współpracy. Który niestety zaakceptowałem.

Fredrik nie mógł nic poradzić na to, że czuł do faceta raczej sympatię. Jørgen nigdy nie krył, że pogardza młodszym, bardziej ogładzonym i bardziej utalentowanym dziennikarzem, który pędem wyminął go we wspinaczce po szczeblach kariery. Solli był zapewne boleśnie świadomy, że jego gorsze cechy stanowiły przedmiot wielu rozmów w tym pokoju. A teraz przebywał tu jako troskliwy pracodawca, co – jak on sam i Turid doskonale wiedzieli – było nieprawdą.

– Zwykle tak nie postępujemy – dodał. – Ale też nie jest to zwykła sprawa. Gdyby pojawiła się kwestia okupu... – zwrócił się bezpośrednio do Fredrika.

Ten przerwał mu, patrząc na Turid.

– Zajmijmy się wszystkim po kolei. Co z dniem, kiedy zniknął?

– Wiem tylko, że planował spotkanie ze źródłem. Ale nie umiem powiedzieć, czy coś z tego wyszło. Jørgen wyszedł w porze lunchu. I już nie wrócił.



*Lista, październik 1943 roku*

– *Niet. Niet. Niet!* Nie! Nie mnie!

Łamiący się głos niósł się daleko po ciemnym świerkowym lesie. Więźniowie w pasiakach stali w kolumnie marszowej – po siedmiu–ośmiu w dziesięciu rzędach – ze wzrokiem utkwionym w wygolony kark przed sobą.

Nocne przymrozki zaczęły się prawie miesiąc wcześniej niż zwykle, toteż błotniste kałuże pokrywała cienka powłoka lodu. Kolbein leżał, jak to miał w zwyczaju, ukryty pod gęstymi świerkami na niskim pagórku ciągnącym się wzdłuż obozu. Spędzał tu z lornetką i notatnikiem każdy dzień, odkąd przybył na półwysep. W miejsce, gdzie norweskie wybrzeże akurat zaczyna się odginać ku północy.

Kryjówka znajdowała się około dwudziestu metrów od półmetrowych pieńków, które znaczyły granicę karczowiska wokół obozu jenieckiego Østhassel, położonego na skraju niewielkiego gęstego lasu zwanego Marką. Tylko stu pięćdziesięciometrowej szerokości pas wrzosowisk i pastwisk oddzielał go od morza, toteż nawet w głąb lasu, gdzie zieleniły się między pniami mchy i paprocie, docierał słaby zapach morza, gnijących wodorostów i owczego łajna. Na zachód znajdowała się zatoczka Nordhasselvika, a na południu i wschodzie rozciągała się piaszczysta plaża zwana Austhasselstranda.

Wśród drzew, na polach uprawnych i na wrzosowiskach wyrosły jak szorstkie narośle na skórze betonowe bunkry i stanowiska artyleryjskie. Nie było w Norwegii miejsca, gdzie Niemcy budowałiby umocnienia militarne gęściej niż tutaj. Siłą roboczą byli rosyjscy jeńcy. Wał Atlantycki. Tak nazywał się mur obronny Hitlera złożony z nabrzeżnych fortyfikacji od Kirkenes na północy po Saint-Jean-de-Luz na południu. To tutaj naziści mieli zatrzymać aliancką inwazję. Wiedzieli, że nadejdzie. Ale nie wiedzieli gdzie. Wobec tego dwoili się i troili. Przyjeżdżali napakowanymi ciężarówkami albo podskakując na przeładowanych furmankach, upijali się do nieprzytomności, wybijali ptactwo w zagajnikach, odbębniali ćwiczenia bojowe i pieprzyli po stodołach chłopskie córki.

Ciągle jeszcze było ciemno, kiedy Kolbein stwierdził, że coś się zmieniło. Nad budynkiem w środku obozu, zwanym barakiem pracownią, górowała wysoka wieżyczka strażnicza. Zazwyczaj reflektory na górze jak głodne hieny obiegały nieustannie w tę i w tę wysypany żwirem plac wokół czterech baraków z jeńcami. Jednak nie tej nocy. Dziś, skierowane nieruchomo, oświetlały wejście do obozu. Jakby chciały wytworzyć fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Dostrzegł błyski latarek, dobiegły

go szepty i warkliwe niezadowolone psów w ciasnych kagańcach. Gdy pojawiły się pierwsze promienie świtu, zobaczył go. Elias Brinch stał na rozstawionych nogach na betonowej rampie przed barakiem pracownią – w białym laboratoryjnym fartuchu – zwrócony plecami do Kolbeina, a przodem do podbiegających żołnierzy. Ręce założył z tyłu, jasne włosy starannie zaczesał na bok. Nie był ani wysoki, ani niski, chudy, wąski w ramionach i wyprostowany jak struna. Kolbeinem wstrząsnął widok obchodzących Brincha z daleka szeregowców i kadry, która zbliżała się w lansadach, a także tego, jak profesor jednym ruchem palca wprawiał cały plac w ruch. Jak dyrygent swoją orkiestrę. Widział to już dawniej.

Żołnierze zabrali się do roboty. Scena przeszła z pantomimy w głośny, kipiący życiem manez. Rozległ się przenikliwy gwizd syren strażackich, pyski owczarków uwolniły się od kagańców i pod pokryte ciężkimi chmurami niebo uniosło się pełne złości ujadanie. Żołnierze z psami wpadli z rykiem do baraku. Ze środka dochodziły krzyki i głuchoe odgłosy uderzeń, a potem najpierw pojedynczo, później grupkami więźniowie wybiegali na ścieżkę zdrowia między błyskające kły i strażników. Okna w pozostałych barakach wypełniły się bladymi wystraszonymi twarzami. Więźniowie szybko ustawili się na swoich miejscach w szeregach, zastygając w bezruchu, wpatrzeni szklanym wzrokiem przed siebie. Chodziło o to, żeby sadyści nie mieli na czym zawiesić oka. Potem w drzwiach pojawił się żołnierz Hirdu, paramilitarnej formacji NS, unosząc triumfująco w ręce trofeum – filcowy worek. Co zawierał? Dwie kromki suchego chleba? Łopatę? Zardzewiały nóż?

Brinch podniósł rękę z wystawionym palcem. Żołnierz cisnął worek na ziemię i wskazał jednego z więźniów. Dwóch innych strażników wyrwało go z milczącej, bezsilnej wspólnoty i zaciągnęło przed pracownię. Elias Brinch odwrócił się i wmaszerował do środka. Za nim strażnicy z więźniem. Krzyk strachu odbił się echem po lesie.

– Czegoś takiego poszukiwałaś?

Kolbein odłożył lornetkę i wciągnął wełniane łapawice. Dopiero potem odwrócił się do leżącego obok mężczyzny, który wręczył mu piersiówkę. Zimne niebieskie oczy, które leniwie śledziły dramat w obozie, nabrały życia. Po raz kolejny Kolbein zwrócił uwagę na ostry zapach wody po goleniu bijący z kołnierzyka szaroniebieskiego munduru Hirdu. Na ramieniu widniała mała naszywka z napisem „Nordland”. Między mężczyznami leżała laska, na której wspierał się żołnierz przy chodzeniu. Zaokrąglona hebanowa główka przypominała nasadę kości i przyprawiała Kolbeina o dreszcze. Kjell Klepsland był nazistą, a obóz jeniecki Østhassel jego miejscem pracy. Cztery i pół tygodnia wcześniej spotkali się po raz pierwszy.

Kolbein dotarł do Abelsnes w gminie Flekkefjord w śmierdzącej rybą ładowni kutra. Kręcąc z niedowierzaniem głową, słuchał, jak rybak mu mówi, że jego kontaktem na półwyspie Lista będzie zaprzysięgły enesowiec.

– Zgoda, jest nazistą. Ale nienawidzi Eliasa Brincha – uzupełnił rybak.

– Wystarczająco, żebym mógł na nim polegać? – zapytał wtedy.

Rybak nie odpowiedział.

Po dwóch dniach, które Kolbein spędził we Flekkefjordzie, zjawił się człowiek z Hirdu. Rybak wypłynął na połów, więc Kolbein zlazł ze strychu dopiero wtedy, gdy człowiek w mundurze zatrąbił po raz trzeci. To był umówiony sygnał.

– Klepsland. Kjell – odezwał się żołnierz, wyciągając na powitanie rękę obciążoną czarną skórzaną rękawiczką.

Zamiast mu podać swoją, Kolbein zeszywniał. Lugera, którego mężczyzna miał za pasem, nie dostałby od Niemców byle zwariowany norweski nazista. Kim właściwie był ten człowiek?

Przypomniawszy sobie fałszywe nazwisko w fałszywych dokumentach w kieszeni. Jakie to jednak miało znaczenie? Przysłano go tu jako szpiega. Był tego świadom i nazista też. Jeżeli ma umrzeć, woli umrzeć pod własną tożsamością.

– Kolbein. Nazywam się Kolbein Ihme Monsen. Nie ma pan czasem kropelki na rozgrzanie?

Kjell Klepsland pogrążył się w myślach, gdy przerobiony austin przebijał się przez wzgórza Fedaheia. Podróż zajęła nieco ponad dwie godziny. Czasami nazista wydawał jakiś dźwięk, coś pośredniego między nuceniem a pomrukiem, i Kolbein nie mógł się powstrzymać, by mu się nie przyjrzeć. Wąskie wargi lekko drżały. Broda była wysunięta, a nos szpiczasty. Dłuższe jasne falujące włosy przykrywały podgoloną siwiznę na skroniach. Wyglądał na czterdzieści pięć lat.

Na ostatnim odcinku Klepsland wytłumaczył mu, jak dotrzeć do małej ziemianki w lesie, gdzie miał przebywać. Sam mieszkał w Vanse, osadzie, którą właśnie minęli. Wypuścił Kolbeina, dopiero gdy upewnił się, że nikt ich nie widzi.

## ROZDZIAŁ 60

Fredrik czuł mrowienie w nogach, ale ani drgnął. Stał przed tablicą w sali konferencyjnej już tak długo, że nawet z zamkniętymi oczami potrafili by odtworzyć każdy szczegół.

Na wprost niego wisały niewyraźne stop-klatki z nagrań wideo z hostelu. Ukazywały mężczyznę, który napadł na niego i Kafę, którego podejrzewali o atak na Słoneczny Spokój, który – jak przypuszczali – porwał Annette Wetre i Jørgena Mostu. Obok stop-klatek powiększona fotografia paszportowa Mohammeda Khaleda Omara, Emira. Podejrzanego, który okazał się ofiarą. Krótka niebieska strzałka prowadziła do jego towarzysza Mohammada Qambraniego i innych członków organizacji Dżamaat-e-Islami. Na prawo od islamistów czerwone magnesy przytrzymywały serię zdjęć ze Słonecznego Spokoju. Wejście z kołkami na ubrania i rozrzucone w nieładzie buty na piętrze, pastor Alfsen na klęczkach przy łóżku i laboratorium. Były tam także różne zdjęcia z lotu ptaka i mapki gminy. Kafa napisała wzdłuż krótszego brzegu tablicy: „Oslo Montasjemiljø AS – piwnica. Norsk Security & Tech – kamery monitoringu. Wypożyczalnia samochodów Økern – dostawczy”. Po lewej stronie wisały zdjęcia zabitych w posiadłości, okaleczonego Ivara Tuftego, rolnika Ottara Skarena, miniaturowe fotografie zaginionych członków wspólnoty, a na samej górze Annette i Jørgena.

Czarnym pisakiem Fredrik zaznaczył związki z Turid Mostu, Kari Lise Wetre, jej mężem i wnukiem Williamem oraz więzy łączące ich razem. Teraz należało tylko znaleźć miejsce dla Børrego Drangego – Taty Pera, Pera Olsena. Trzeciego pastora. Człowieka, którego pojawienie się zmieniło życie i obyczaje całej wspólnoty. O nicku Rękaboga. Gdzie go w tej całej zagadce umieścić?

Fredrik otworzył oczy. Zbliżył się do tablicy i przeniósł zdjęcia zabitego Mohammeda Khaleda Omara i reszty islamistów na sam skraj. Zrobił miejsce obok napastnika ze strychu. Tutaj, w centrum szarady, powinien się znaleźć Børre Drange.

– Dwie osoby. W całym kraju istnieją dwie osoby nazywające się Børre Drange.

Fredrik stanął przed tablicą, spojrzał na słuchaczy znad okularów i skierował cienki wskaźnik na zdjęcie Børrego Drangego. Na krzesłach biurowych rzędem, jak na grzędzie, siedzieli dochodzeniowcy podzieleni na zespoły i kierownicy grup techniki kryminalistycznej. Za nimi z lodowatym wyrazem twarzy stał Sebastian Koss, a obok niego sam komendant. Neme – sztywny jak kutas w erekcji – wsadził palec w szczelinowaty dołek na brodzie. Z tyłu sali pod rzędem okien siedzieli srebrnowłosey Andreas i Kafa. Przyszła tu razem z mężczyzną, który opierał się teraz o okno, szepcząc coś do telefonu, z palcem wetkniętym w ucho. Z dumnym szefem z PSB, obdarzonym

bojowymi brwiami Samirem Bikfayą.

– Jeden z tych mężczyzn ma trzydzieści osiem lat, jest zameldowany w Follo i pracuje jako lekarz w prywatnej klinice. Od sześciu lat żonaty, trójka dzieci. Wyciągnęliśmy o nim wszystkie informacje, jakie się dało. Wiek by pasował, no, może jest trochę młodszy, niż szacowaliśmy, natomiast niewiele z reszty się zgadza. – Przerwał na chwilę. – Tak czy owak, Kafa złoży mu wizytę jutro przed południem.

Kiwnął głową w kierunku koleżanki. Neme obejrzał się na nią, a Fredrik mógłby przysiąc, że się zarumieniła.

– Bez wsparcia? – zahuczał głęboki, reklamowy głos komendanta.

– Tak, zasadniczo bez wsparcia...

– Zastanowimy się nad tym, Beier – przerwał mu Koss.

Neme rozdał z zadowolenia nozdrza. Fredrik wzruszył ramionami. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia.

– Tak więc... w tym samym czasie, kiedy Kafa... ze wsparciem policji z okręgu Follo odwiedzi tego Børrego Drangego, Andreas i ja złożymy wizytę drugiemu. Bez wsparcia. – Rozciągnął usta w czymś, co miało udawać uśmiech. – Osoba numer dwa jest bardziej zagadkowa. Tu, w Oslo, na Røa, mieszka Børre Drange, który według danych Urzędu Ewidencji Ludności ma sześćdziesiąt osiem lat. Według informacji urzędu skarbowego: czterdzieści pięć. Ani urząd skarbowy, ani ewidencja ludności nie potrafią wyjaśnić tej różnicy. Nie ma fotografii, brak informacji w rejestrach paszportowych, żadnych danych migracyjnych i pusta kartoteka w rejestrze skazanych.

Fredrik powiedział też, że adresu mejlowego, którego miała użyć Kari Lise Wetre, nie dało się wysledzić. Można się było na niego zalogować z dowolnej kafejki internetowej lub komórki. Nawet jeżeli zhakowanie go było technicznie możliwe, nie zrobili tego, obawiając się, że zostaną zdemaskowani. To konto mejlowe stanowiło jedyną możliwość komunikowania się z porywaczem. Ten kanał chcieli pozostawić otwarty. Neme zmrużył oczy, a potem mrugnął, co oznaczało: „Mądrze!”.

Po tym wprowadzeniu kierownicy zespołów i policyjna góra zasiedli wokół stołu konferencyjnego.

– Porywacz dał Kari Lise Wetre trzy doby na znalezienie Børrego Drangego. Zostało z tego jeszcze czterdzieści godzin. Moim zdaniem Wetre powinna się z nim skontaktować tak szybko, jak to możliwe, i poprosić o więcej czasu i o więcej informacji o Drangem, a dopiero później dać ostateczną odpowiedź. – Fredrik poprawił okulary na nosie. – Jeżeli ten człowiek ma poważne zamiary, wykaże zrozumienie. Powinien wiedzieć, że trzeba czasu na wyszukanie żądanej przez niego informacji.

Kątem oka zobaczył, że komendant podnosi rękę.

– Dlaczego on w ogóle uważa, że Wetre mogłaby samodzielnie, bez pomocy policji, wysledzić prywatną osobę? To świadczy o niewielkiej znajomości norweskiego społeczeństwa – burknął.

– Też jestem tego zdania – zgodził się Fredrik. – Czy to znaczy, że przecenia wpływy danego polityka? Czy może oznacza, że to porwanie nie jest rzeczywiste? – Wzruszył ramionami. – Tego nie wiemy. Dlatego bardzo rekomendowałbym, byśmy pracowali nad przedłużeniem terminu. W tej chwili to porywacz kontroluje sytuację.

Jego zdaniem należało zachowywać się w tej sprawie jak przy zwykłym porwaniu. Muszą zażądać dowodów, że Annette i Jørgen żyją, muszą się dowiedzieć, czy ten człowiek ma jakieś inne warunki: pomoc przy ewakuacji, dostawy żywności, lekarstw i tym podobne.

– Powinniśmy zrobić wszystko, co się da, żeby zbliżyć się do tego faceta. Żeby zlokalizować miejsce, gdzie trzymani są Wetre i Mostu. – Fredrik poszukał wzrokiem oczu komendanta. – Musimy się dowiedzieć, dlaczego poluje na Børrego Drangego.

Komendant zamyśloną miną i spojrzeniem zmrużonych oczu odpowiedział na niemy apel Fredrika, a potem zwrócił się do Sebastiana Kossa, który stał razem z Samirem Bikfayą przy drugim końcu stołu:

– Rozumiem, że pan i PSB jesteście innego zdania.

Koss spojrział na Fredrika z kwaśną miną.

– Głównym zadaniem Beiera i jego grupy przed tą tragedią było zlokalizowanie Annette Wetre i jej syna. Ta praca... – udał, że szuka słów – nie dała rezultatów. Nie zbliżyliśmy się także do porywacza, bo Beier i jego niedoświadczona koleżanka z PSB włamali się do kryjówki sprawcy. W nieuzgodnionej z dowództwem akcji, za którą oboje mogli zapłacić życiem. Gdyby napastnik został wówczas ujęty, zapobiegłoby to całemu temu bałaganowi.

Koss zrobił kolejną długą przerwę, by studiować swoje wypolerowane paznokcie.

– Teraz sprawca rzucił nam rękawicę. Czy mamy odpowiedzieć na to wyzwanie, podążając wytyczonymi ścieżkami? Czy może powinniśmy zmusić przeciwnika, żeby się ujawnił? – spytał retorycznie, patrząc na Fredrika.

Sebastian Koss najwyraźniej żądał jego głowy, ale Fredrik nie był gotów stanąć do tej walki. Jego pozycję osłabiały brak Synne i niewiedza, ilu kierowników grup go popiera. Poza tym Koss miał niepodważalny argument. Mijały tygodnie dochodzenia, a oni dalej nie wiedzieli, gdzie jest sekta. Nie wiedzieli, do czego używano laboratorium w piwnicy. Błądzili po omacku. Upewnili się, kto jest celem mordercy, tylko dlatego, że sam sprawca dał im to na tacy. Takie były fakty. Poza tym zniknął Jørgen. A emocje, które kazały Fredrikowi poszukiwać przyjaciela, mogły go równie dobrze sprowadzić na manowce.

Konfrontacja – tego chciał Koss. Porachunki przy podniesionej kurtynie. Nic z tego. Fredrik uniósł więc dłonie i uśmiechnął się łagodnie.

– Posłuchajmy więc pańskiego planu.

Przez chwilę wydawało się, że wytrąciło to Kossa z równowagi. Przygotował się na bitwę. Szybko

jednak się pozbierał i ze wzrokiem wbitym we Fredrika wyłożył swoją koncepcję:

– Uważam, że propozycja Beiera zmierza właśnie do tego, czego chcemy uniknąć. Do narażenia życia zakładników na niebezpieczeństwo. Nie ma powodu, żeby przeciwstawiać się wyraźnemu poleceniu porywacza. Będziemy uczestniczyć w jego grze. Umówimy spotkanie. I wtedy uderzymy.

– I uważa pan, że on nie będzie na to przygotowany? – przerwała Therese Grøfting dowodząca grupą techników.

– Owszem, będzie. Ale nie na taką siłę, z jaką uderzymy. Zmusimy go do ujawnienia się i do popełnienia jednego błędu. Tylko jednego. Wtedy będziemy go mieć. – Skinieniem głowy oddał głos Samirowi Bikfayi.

– Kari Lise Wetre odpowie jutro wieczorem – powiedział ze swoim charakterystycznym akcentem. – Tworzymy właśnie fałszywe zdjęcia Børrego Drangego. Prześlemy mu parę jako „próbkę towaru”. – Bikfaya nakreślił w powietrzu znak cudzysłowu.

Było w tym człowieku coś mimowolnie komicznego. Błat stołu sięgał mu do połowy klatki piersiowej, a szare kłaczki brwi podnosiły się i opadały w rytm gestów podkreślających wypowiedź.

Potem Wetre miała zaproponować porywaczowi spotkanie na placu przed operą, zapewniając go, że policja nie jest w to wmieszana.

Therese Grøfting głośno chrząknęła.

– Przed operą? Gdzie zawsze jest tłum? To bardzo ryzykowne.

Bikfaya potrząsnął głową, aż zatańczyły kręcone włosy.

– Właśnie – odparł. – Wiemy, że mamy do czynienia z człowiekiem instynktownie świetnie wyczuwającym policyjne metody. Pomyśli dokładnie tak samo jak pani, pani... – zmrużonymi oczami wpatrywał się w jej identyfikator, aż prawie zniknęły pod krzaczastymi brwiami – Grøfting. Porywacz uwierzy, że to nie policyjna robota. Pomyśli, że nigdy byśmy tak nie ryzykowali. I tym samym zyskamy przewagę. – Zmarszczył czoło. – A jeżeli morderca zacznie coś podejrzewać, po prostu zmienimy sposób postępowania. Tymczasem zaczynamy planowanie akcji na placu Kirsten Flagstad – rzucił.

– A Kari Lise Wetre? – odezwał się Fredrik. – Co sądzi o tym planie?

– Kari Lise Wetre jest w nim zorientowana. Zaakceptuje każdy plan, który zdaniem komendanta będzie najlepszy – odparł Koss, patrząc z pewną siebie miną na Nemego.

## ROZDZIAŁ 61

Kafa przyjechała na rowerze w porannym słońcu. Fredrik czekał na nią na antresoli nad okienkami do wydawania paszportów, skracając sobie czas patrzeniem, jak powoli wypełniają się siedziska na dole. Dziewczyna nadal przysłaniała oko czarną klapką. Wyglądało na to, że nie spała wiele. Pozdrowiła go, podnosząc nad głowę szarą teczkę.

– Coś się tak zamyślił?

– Ta akcja pod operą...

Ugryzł się w język. W tym gmachu nielojalności się nie ceniło. Był szefem Kafy i dzieląc się z nią swoimi czarnymi myślami, stawiał ją w trudnej sytuacji. Wciągnął powietrze nosem i poruszył ramionami jak wtedy, gdy zrobił swoje przy pisuarze.

– Mnie też. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Zanim winda ruszyła, otworzyła teczkę.

– Dziś w nocy skończyliśmy analizować aktywność telefoniczną członków wspólnoty – objaśniła. – Zaledwie kilku z szeregowych członków miało komórki. Annette Wetre i jeszcze paru. Rzadko ich używali. Żadnej w noc masakry – ciągnęła, rozpinając jasną letnią marynarkę.

Kafa zupełnie zarzuciła noszenie czarnego kostiumu i spódnicy do kolan, w których chodziła przez pierwsze dni na Grønlandzie. W obcisłych džinsach wyglądała dużo lepiej. Fredrikowi podobały się krzywizny pod ubraniem.

– A pastorowie?

Wyłowiła z teczki następny dokument. Każdy z pastorów miał komórkę. Co prawda, utrudnili ich namierzenie, bo kupili górę kart prepaidowych zarejestrowanych wyłącznie na wspólnotę, niemniej Bernhard i Annabell, para uciekinierów, wskazali, których numerów używali.

– Okej.

– Dane uzyskane od operatora mówią, że pastorowie dzwonili dużo, przede wszystkim do siebie nawzajem. Sprawdziliśmy oczywiście wszystkich innych, z którymi rozmawiali, ale nie znaleźliśmy niczego niezwykłego. Z jednym wyjątkiem. – Kafa spojrzała na niego z ukosa. – Tej nocy, kiedy napadnięto na Słoneczny Spokój, dwa telefony były wyłączone. Bjørna Alfsena, ten, który znaleźliśmy w jego sypialni, i Børrego Drangego. Natomiast Søren Plantenstedt swojego używał. Wielokrotnie. – Kafa przekartkowała papiery. – Poparz tutaj. Dwie rozmowy o szóstej rano. Po napaści. Pierwsza rozmowa szła przez stację bazową w Asker. Druga parę minut później przez Lier. Telefon został wyłączony mniej więcej przy przekraczaniu granicy gminy Holmestrand w Vestfoldzie... – Zawiesiła



głos. – Søren Plantenstedt poruszał się więc na południe wzdłuż E18. Możemy chyba przyjąć, że jako jeden z dwóch pozostałych przy życiu pastorów podróżował z zaginioną wspólnotą.

– A rozmawiał z...?

– Okazuje się, że numer, na który dzwonił, jest jednym z numerów pozostałych telefonów na kartę, zakupionych przez wspólnotę. Jednak nigdy wcześniej nie był używany.

– Może mieli jakiś telefon alarmowy? Może rozmawiał z innymi członkami sekty, jadącymi w drugim samochodzie – podsunął Fredrik.

– Można by tak pomyśleć. Ale to jest jeszcze bardziej zadziwiające. – Kafa wskazała palcem szereg cyfr. – To kod rozpoznawczy stacji bazowej obejmującej zasięgiem Słoneczny Spokój. Søren Plantenstedt dzwonił do kogoś, kto znajdował się w Słonecznym Spokoju.

Fredrik potrząsnął głową, nic nie rozumiał.

– Więc... członkowie sekty kontaktowali się z kimś w Słonecznym Spokoju wiele godzin po napadzie?

Kafa przygryzła dolną wargę z pewną siebie miną. Zaimponowała mu. Jej teoria mówiąca, że członkowie wspólnoty znajdowali się gdzieś w pobliżu linii vestfoldzkiej, została wzmocniona. Dlaczego Søren Plantenstedt opuścił Oslo zaraz po masakrze, skoro rozmawiał przez telefon z kimś, kto wciąż znajdował się w Słonecznym Spokoju? Czy był to Børre Drange? Członkowie sekty?

Fredrik klepnął Kafę po koleżeńsku w plecy. Oboje zauważyli, jak bardzo nienaturalny był ten gest.

– Dzięki – mruknęła.

Andreas czekał przy biurku Fredrika. Kiedy zobaczył, że wchodzi razem, zrobił minę, jakby właśnie wygrał jakiś zakład. Nic jednak nie powiedział, tylko zdjął okulary i zaczął je starannie czyścić.

– Pojawily się interesujące tropy z telefonów – odezwał się Fredrik, poirytowany wieloznaczną miną kolegi. – Kafa mi to właśnie relacjonowała.

– Świetnie – rzucił Andreas, wsuwając okulary we włosy.

– Działo się coś? – zapytał po chwili Fredrik.

– Palec. Pamiętasz mały palec w kopercie?

– No?

– Według laboratorium należy do trupa.

Po raz drugi tego poranka Fredrik miał wątpliwości, czy rozumie, co się do niego mówi.

– Co masz na myśli, mówiąc „trupa”?

– Ustalenie kodu DNA trwa sporo czasu, dlatego nie mamy jego tożsamości. Niemniej jednego laboratorium jest pewne. Ktoś, komu odcięto ten palec, był bardziej martwy niż izraelsko-palestyński

traktat pokojowy.

## ROZDZIAŁ 62

Na żółtym budynku na Røa łuszczyła się farba, ogród był zapuszczony i wszędzie walały się śmieci. Na parterze i na piętrze mieszkali klienci opieki społecznej. Lokator Børre Drange zajmował piwnicę. Do drzwi jego mieszkania prowadziło kilka betonowych schodków. Zanim Fredrik i Andreas zapukali, porozumieli się krótko wzrokiem. Pół minuty później usłyszeli grzebanie przy zamku. Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i nad zabezpieczającym łańcuchem ukazała się twarz starszego mężczyzny.

– Panowie do kogo?

– Børre Drange?

– A kto pyta?

Pokazali swoje identyfikatory.

– Wpuści nas pan na chwilę? Chcemy porozmawiać.

Gospodarz przyjrzał się identyfikatorom badawczo i z namysłem, po czym zdjął łańcuch z drzwi.

Piwnica przypominała kapsułę czasu. Tapeta o strukturze bambusa przy wejściu pofałdowała się i żółkła. Starszy pan zaprosił ich gestem, by szli za nim zabejcowanym na ciemno korytarzem. W jego łysinie odbijało się światło sufitowej lampy. Na zwieńczeniu boazeryjnej lamperii stały talerzyki z kolorowymi wizerunkami żaglowców. Podłogę w pokoju pokrywał gruby biało-brązowy dywan. Gospodarz wskazał im gestem skórzaną kanapę w kolorze burgunda, a potem spytał, czy napiją się kawy. Owszem, napiją się.

Jedynym źródłem naturalnego światła były dwa podłużne okienka pod sufitem. Różnej wielkości i barwy butelki stojące na parapetach rzucały na podłogę podłużne pstrokate cienie. Sufit zdobił mosiężny żyrandol, a na niskiej ławie pod ścianą, gdzie w większości domów stałby telewizor, pysznił się model tankowca długości około metra, cytrynowy powyżej i czerwony poniżej linii zanurzenia. Obok wejścia do kuchni stał brązowy globus – z tych, co to można w nich unieść północną półkulę i zajrzeć do środka ziemi, którym zwykle okazują się zakurzone butelki dżinu i ajerkoniaku.

Børre Drange wrócił do pokoju, niosąc małe filiżanki z porcelany.

– Marynarz? – spytał Andreas, wskazując na tankowiec.

Teraz, kiedy oczy przyzwyczyły się do oświetlenia, na burcie można było odczytać nazwę statku: MS Pallas.

– Dwadzieścia dwa lata – potwierdził, nalewając kawę. Potem wyciągnął z kieszeni paczkę tytoniu do skrętów, otrzepał szare poplamione dresowe spodnie ze ździebeł tytoniu i okruszków, po czym

z wprawą zaczął skręcać papierosa. – Kobita wtedy umarła i mogłem zejść na ląd – wyjaśnił chropowatym głosem.

Fredrik nie był pewien, czy to żart, więc tylko uśmiechnął się głupawo.

– Hiszpan?

– Słucham?

Marynarz wbił wzrok w Andreasa.

– Nie wygląda pan na pełnokrwistego Norwega. I nazywa się pan jakoś tak z hiszpańska, prawda?

– Zgadza się. Figueras. Dawne dzieje. Dziadek – odpowiedział Andreas. – Z Chile.

– Silne geny – stwierdził Drange.

– Przyszliśmy, żeby wyjaśnić jedną sprawę – wtrącił się Fredrik.

Gospodarz przeniósł wzrok na niego.

– Według oficjalnych danych pod tym adresem mieszkają dwie osoby o nazwisku Børre Drange, pan i jeszcze jedna osoba po czterdziestce. Czy tak?

Zanim Børre odpowiedział, zapalił papierosa. W płomieniu zapalniczki widać było, jak bardzo zmięta i bladą ma cerę. Emerytowany marynarz chyba niewiele przebywał na dworze.

– Nie.

Fredrik wychylił się z kanapy i uniósł filiżankę do ust. Siorbiąc, upił nieco kawy, po czym dopytał:

– Przepraszam, może to głupio zabrzmiało, ale... Jest pan pewien?

– W stu procentach – odparł marynarz.

W milczeniu zmagali się wzrokiem. W końcu Fredrik zwrócił się do Andreasa:

– Cóż, w takim razie trafiliśmy tu omyłkowo.

– Na to wygląda – przytaknął Andreas powoli. – Przepraszamy za najście. – Podniósł się i wyciągnął rękę.

Starszy pan patrzył na nich zdziwiony.

– A mogę spytać, o co chodzi?

Fredrik uśmiechnął się przelotnie.

– Poszukujemy mężczyzny o nazwisku Børre Drange, ale on jest znacznie młodszy od pana.

Były marynarz zignorował wyciągniętą rękę Andreasa i przypatrywał się im z namysłem. Potem ciężko podniósł się na nogi.

– Chwileczkę – rzucił. – Siadajcie.

Przez wejście do kuchni widzieli, jak odczepia od lodówki wycinek z gazety. Po powrocie wręczył Fredrikowi pożółkły, kruszący się skrawek. Nekrolog. Nekrolog Børrego Drangego. Zgodnie z nim umarł sześć lat temu, mając trzydzieści dziewięć lat. „Morze daje i morze odbiera – głosił tekst. – Mój syn. Będzie mi go bardzo brak. Børre”. I krzyżyk.

– Miał pan syna? Syna, który nazywał się Børre Drange? Który nie żyje?

Stary człowiek w fotelu wydawał się jeszcze bardziej zmęczony.

– Børrego zabrała Arktyka. Był naukowcem. Wypadł za burtę, powiedzieli. Ale nigdy nie odnaleźli jego ciała. Wypadł za burtę statku badawczego, powiedzieli. W nocy. Na oceanie. – Spuścił wzrok. – Myślałem, że dlatego przyszliście. Że go znaleźliście. – Jego głos brzmiał głucho.

– Ma pan może... jakieś zdjęcie syna?

Miał. Stare, zrobione chyba zaraz po studiach. I wycinek z gazety, artykuł zatytułowany *Młode talenty z politechniki poszukiwane przez wojsko*. Obok ziarnista fotografia uśmiechniętego młodego mężczyzny. Rysy były niewyraźne. Zdjęcie stare i pożółkłe, ale Fredrik nie miał wątpliwości. Jasne falujące włosy, spojrzenie, postawa... Rozpoznał oczy, twarz. To był „ich” Børre Drange. Per Olsen. Pastor. Podał wycinek Andreasowi, który cicho gwizdnął. Poprosił, żeby marynarz opowiedział o śmierci syna.

– Cóż... nie ma dużo więcej do opowiadania. Dostałem telefon. Od policjanta, który poinformował, że Børre nie żyje. Nawet nie umiał mi powiedzieć, gdzie zmarł ani dlaczego. Dlaczego w środku nocy podczas sztormu na oceanie stał na pokładzie? Policjant oznajmił tylko, że mnie zawiadomią, jeśli go znajdą. – Potrząsnął głową. – Myślę, że uważają mnie za głupka – mówił dalej. – Myślę, że Børre odebrał sobie życie. Że wyskoczył przez burtę. A oni nie chcieli dobijać starego człowieka.

– Czemu pan tak uważa?

Drange się nie odezwał. Odłożył przedtem papierosa na srebrny talerzyk, a teraz zapalił go znowu. Rozżarzone okruchy tytoniu i bibułki spadały na spodnie, ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać.

– Bo... w głosie tego, który dzwonił, coś było. Coś nie brzmiało... jak trzeba. Przecież znałem swojego syna. Wiecznie albo na samej górze, albo na samym dnie. Jak matka.

Kiedy Børre Drange został ojcem Børrego Drangego, miał dwadzieścia trzy lata i znajdował się na statku płynącym z Indii do Wielkiej Brytanii z ciasno upchanymi listkami herbaty. To był jego szósty rok na morzu. To matka dziecka życzyła sobie nazwać syna imieniem i nazwiskiem mężczyzny, do którego tak okrutnie tęskniła. Kiedy tamtego roku wrócił na Boże Narodzenie do domu, bardzo spodobało mu się, że w kołysce przy łóżku leży mały Børre. I tak zostało. Børre Drange młodszy miał szesnaście lat, kiedy jego matka powiesiła się w salonie. Tu, w tym salonie, na żyrandolu. Syn ją znalazł, odciął i zadzwonił po karawan. I wysłał telegram do ojca. Ale kiedy cztery dni później Børre starszy w odświętnej garniturze wylądował na Fornebu, pojechał taksówką do pustego domu. Syn się wyprowadził.

– Børre pewnie uważał, że powinienem tu być, rozumie pan. Zarzucał mi, że Bodil... zachorowała i umarła. Chociaż nigdy nie powiedział tego otwarcie. Po pogrzebie sprowadziłem się do domu na dobre. Børre skończył liceum, a potem zaczął studia w Norweskiej Wyższej Szkole Technicznej

w Trondheim. Został biochemikiem. Widywaliśmy się kilka razy w roku.

Odsunął drzwiczki meblościanki z ciemnego forniru i wyciągnął grubą tekturową teczkę. Pomrukując, kartkował zgromadzone tam papiery, aż znalazł to, czego szukał. Pojedynczą kartkę. Akt zgonu. Pełne imię i nazwisko syna brzmiało Børre Andreas Drange. Przyczyna zgonu: utonięcie. Data: czerwiec. Zawód: nieznany. Miejsce zamieszkania: nieznane. Miejsce zgonu: nieznane. Ciało nie znaleziono, lecz uznano Børrego Andreasa za zmarłego. Akt zgonu nie był podpisany, niemniej miał pieczęć Urzędu Ewidencji Ludności z lipca tego samego roku.

– Mówił pan, że syn był naukowcem? Badaczem?

– Tak. Był bardzo zdolny.

– Więc dlaczego tutaj tego nie napisali?

Drange wzruszył ramionami.

– Nie pytał pan?

– Kogo miałem pytać? Znalazłem to po prostu w skrzynce na listy.

– Często kontaktował się pan z synem w ostatnich latach?

Marynarz ponownie zaprzeczył ruchem głowy i wsadził zakrzywiony palec do ucha.

Po studiach Børre dostał pracę w wojsku i przeprowadził się na północ. Czasami rozmawiali przez telefon. To wtedy powiedział, że ma dziewczynę. Amerykankę. I że mają go przenieść. Po przeniesieniu Børre odwiedził ojca tylko raz, cztery albo pięć lat przed śmiercią.

– Wtedy rozmawialiśmy ostatni raz.

Fredrik przeniósł spojrzenie z Andreasa na starego marynarza.

– Niewiele tego było – skomentował cicho.

Tamten odpowiedział spojrzeniem.

– To był wybór Børrego – odparł dobitnie. – Nigdy nie podał mi swojego numeru telefonu. Ani adresu.

– I pan twierdzi... Nie wie pan, co syn robił w Arktyce?

Drange potrząsnął głową.

– Nie. Nie mam pojęcia. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– A ta dziewczyna...? Kto to był?

– Na imię miała Lisa. Nazwiska nie znam. Przez kilka lat byli razem. Przysyłała mi życzenia na święta. Amerykanie są pod tym względem trochę dziwni.

Zanim zdążyli zadać następne pytanie, Drange wygrzebał z teczki dwie kartki z tańczącymi skrzatami w czerwonych kurtkach. Teksty były identyczne, krótkie i niespecjalnie osobiste. „*Happy Xmas. Lot's of love. From Lisa & Børre*”. Obie nosiły stempel z datą tuż przed Bożym Narodzeniem i nazwą miejscowości Arvidsjaur w Szwecji. Wysłano je dwanaście i trzynaście lat temu.

– Szwecja?

Drange wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może byli na urlopie albo co?

– Może – przyznał Fredrik z ociąganiem. – Dość niezwykle miejsce na urlop w takim razie. Dwa lata z rzędu...

Wyprostował się, dopił kawę i odchrząknął.

– Jeszcze ostatnia sprawa, o którą chcielibyśmy pana spytać. Powiedział pan, że Børre był jak jego matka, albo na samej górze, albo na samym dnie. Co pan przez to rozumie?

Drange wpatrywał się intensywnie we Fredrika, jakby chciał odkryć, co się dzieje w głowie policjanta. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Beier.

– Dlaczego interesujecie się Børrem? – odparował. – Znaleźliście go?

– Niestety nie, panie Drange. – Fredrik zaprzeczył z łagodnym uśmiechem. – Nawet nie wiedziałem, że pański syn nie żyje. Jego nazwisko pojawiło się w związku ze sprawą, którą się teraz zajmujemy.

– Czy on... Czy Børre zrobił coś złego, zanim umarł?

Fredrik zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy.

– Na to nie mamy żadnych dowodów. Po prostu sprawdzamy wszystkie nazwiska, jakie się pojawiają w tej sprawie.

Na czole Børrego Drangego zarysowała się głęboka zmarszczka, jakby to wyjaśnienie nie trafiło mu do przekonania.

– Børre był bardzo inteligentny. Już jako dziecko. Ale też... mięczak, jak by wielu powiedziało. Nie interesował się tak bardzo kopaniem piłki, samochodami czy podobnymi rzeczami, jakimi chłopcy powinni się zajmować. Kiedy podrósł, nagle zrobił się z niego socjalista. Zupełnie go to pochłonęło. Tylko o tym potrafił gadać. Potem stracił to zainteresowanie i postanowił zostać naukowcem. Badaczem. Wszystko kręciło się wokół szkoły. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, znowu się odmienił. Zrobił się bardziej... pobożny. Powiedział, że odnalazł Boga. Stał się chrześcijaninem. – Zastanowił się. – Więc może to, że był albo na samej górze, albo na samym dnie, nie jest dobrym opisem. Tyle że ciągle miał fioła na innym punkcie. Børre oddawał się w całości temu, co go interesowało. A jeżeli mu się nie udawało, był strasznie rozczarowany. Złościł się na siebie. I na wszystkich wokół. O to mi chodziło.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

– Skłonność do oskarżania samego siebie miał po matce. Sposób myślenia odziedziczył po mnie.

## ROZDZIAŁ 63

*Lista, listopad 1943 roku*

Jedynym miejscem, gdzie Kolbein Ihme Monsen czuł się mniej więcej bezpiecznie, była ziemianka.

Według tego, co mówił nazista Klepsland, małe kamienne schronienie zostało zbudowane jako prochownia dla pirata Petera Wessela Tordenskiolda w XVIII wieku. Konstrukcja była przedłużeniem naturalnego porośniętego darnią wzniesienia, a darni pokrywała także dach i ściany budowli, które nachylały się do poziomu otaczającej je przyrody. Można było przejść po dachu ziemianki, nie przypuszczając, że stąpa się nad czyjąś sypialnią. Wejście przykrywała wyłożona mchem drewniana płyta o wymiarach mniej więcej metr na metr, a drzwi za nią nie były wiele większe. Wewnątrz dach stopniowo się podnosił i koło pryczy pod ścianą, blisko pięć metrów od wejścia, Kolbein mógł się całkiem wyprostować. Żeby mieć światło, wyciągał kilka obluzowanych cegieł wmontowanych w boczne ściany. Tymi lufcikami wypuszczał też dym z paleniska. Stołu i krzeseł nie było, tylko trzy solidne skrzynie z napisem „*L.O. Smith – Absolut Rent Brännvin*”. Kolbein siadywał na jednej, jadł na drugiej, a w trzeciej przechowywał ubrania i pistolet, żeby nie zamokły, bo kiedy padało, ubita ziemia klepiska wilgotniała.

Na rozkaz pułkownika Haslego prowadził dziennik obserwacji i zapisywał wnioski z tego, co widział, leżąc w ukryciu pod świerkami przy obozie jenieckim Østhassel w coraz krótsze dni. Notatki wkładał do wodoszczelnego skórzanego worka i wsuwał pod kamień w łożysku strumienia, skąd czerpał wodę i w pobliżu którego co rano się załatwiał. Kiedy wracał, notatek już nie było, a w worku leżały czyste kartki, czasami kilka konserw, chleb i tytoń. Zdarzało się, że znajdował tam też czystą bieliznę czy mydło. Nie miał pojęcia, kto zabiera zapiski. Nie miał odwagi o tym myśleć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dowie się wystarczająco wcześnie. Jeżeli nie, lepiej nie wiedzieć.

W miarę upływu czasu Kolbein stawał się coraz bardziej niezadowolony. Liczenie więźniów, których wprowadzano do baraku Eliasa Brincha, a potem trupów, które stamtąd ładowano na obozowe ciężarówki, było stosunkowo proste. Ale co działo się w środku? Czym właściwie zajmował się Elias Brinch?

Bardzo go to gnębiło. Umowa przewidywała, że będzie prowadził swoje raportowanie jeszcze przez półtora miesiąca. Zadba o to, żeby Elias Brinch w dniu, kiedy Niemcy zostaną pokonani, zapłacił za swoje występki. Ale to nie wydawało się Kolbeinowi sprawiedliwe. Do tego czasu za dużo mogło się zdarzyć. Miałyby stąd wyjechać, nie upewniwszy się, że Elias Brinch poniesie karę?



Mijało sześć tygodni, odkąd się tu wprowadził. Był w połowie zadania. Co wieczór spisywał swoje uwagi. Także dzisiejszego wieczoru. Dopóki nie ogarnęło go zimne, straszne przecucie. Żaden dźwięk, żaden ruch, jaki mógł dostrzec w świetle księżyca, nie różnił się od tych dźwięków i poruszeń, z którymi nauczył się tutaj żyć. Mimo to wzdrygnął się, wypuścił z ręki ołówek i zdusił knot lampy. Chwytał colta i odbezpieczył go jednym szarpnięciem.

Pistolet, który kilka tygodni wcześniej ciążył mu w dłoni i wydawał się nieporęczny, skierował teraz pewnie na niskie drzwi. Palenisko przygasało i powoli napełniało pomieszczenie dymem. Zniknęły resztki wątpliwości. Coś przemieszczało się po przemarzłym dachu ziemianki. Albo ktoś. Kroki były ciężkie, wolne i niepewne.

– Kolbein!

Głos przetoczył się donośnie i bełkotliwie przez las. Płyta przed drzwiami przesunęła się na bok. Szarpnięte drzwi otworzyły się na oścież. Kjell Klepsland zmrużył oczy, potem je zamknął i zakasłał, machając ręką przed nosem. Włosy miał bardziej rozwichrzone niż zwykle.

– Rok – jęknął w obłokach dymu. – Dziś mija rok, jøssingu\*. W fabryce traktorów w Spartanowce. Tam bolszewicy wreszcie dopadli Kjella. Rok temu zostałem odesłany do domu z pola bitwy pod Stalingradem. Diabłu niech będą dzięki.

Potem dołożył jeszcze więcej przekleństw, kiedy wczołgiwał się na łokciach przez otwór wejściowy. Laskę z masywną główką rzucił przed siebie.

– Ta przeklęta noga – mruknął, przesuając płytę na miejsce.

Kolbein zapalił lampę naftową i wypuścił dym, Klepsland zaś wsparł się na lasce i podciągnął do pozycji stojącej. Kolbein po raz pierwszy widział go bez munduru. W szarych spodniach i grubym swetrze, chwiejąc się na boki, wydawał się mniej przerażający.

– Piłeś, Klepsland? – rzucił zirytowany Kolbein. – Po co tu przyszedłeś? Stało się coś?

Nigdy się nie spotykać ani nie kontaktować gdzie indziej poza kryjówką pod świerkami przy obozie – to były własne słowa nazisty. Kjell Klepsland dokuśtykał do stołu-skrzyni i oparł laskę o ścianę. Wsadził obie ręce do głębokich kieszeni spodni i wyciągnął z jednej pistolet, a z drugiej płaską do połowy opróżnioną butelkę goldwassera. Potem bez ceregieli odsunął na bok papiery Kolbeina i położył wódkę i broń na skrzyni. Wydobył ze spodni jeszcze dwa kieliszki. Splunął w każdy i wytarł je wewnętrzną stroną kieszeni, po czym usiadł ciężko, aż skrzynia-krzesło zatrzęszczała.

– Stało się to – zaczął – że do Randi przyjechała z wizytą siostra. A kiedy do Randi przyjeżdża – czknął i podniósł głos – z wizytą siostra... to... Kjell musi się zmyć. Kjell mianowicie pije. Nie to co Vidar. Bo kiedy – czknął znowu – Kjell poszedł się bić z Sowietami... to Vidar poszedł do Kristiansand, żeby zostać urzędnikiem w banku. – Odchrząknął. – I Vidar nie pije... – W oczach Kjella Klepslanda pojawiło się zamyślenie. – Bo Vidar nie potrzebuje pić.

Kolbein się nie odzywał, tylko patrzył na człowieka przed sobą. Klepsland pochylił się i ogrzewał palce nad szkłem lampy naftowej. Potem otworzył butelkę, napełnił kieliszki, opróżnił swój i nalał ponownie. Drugi pchnął ku Kolbeinowi.

– Co się z nim stało?

Klepsland zamrugał zaskoczony i się otrząsnął.

– Z kim?

– Z tym człowiekiem z placu apelowego. Z Rosjaninem, którego zaprowadzili do baraku Brincha.

Nazista oparł się o ścianę i zapatrzył na swoje pięści.

– Ach, z tym – rzucił obojętnie. – Więźniowie, którzy łamią reguły, podlegają karze. Oni to wiedzą i my to wiemy. Więźniowie, którzy planują ucieczkę, są... Trafiają w pierwszej kolejności do doktora.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Kolbein potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Ta operacja, którą tu prowadzi Elias Brinch... Nie można im zarzucać, że chcą uciekać.

Oczy nazisty błysnęły.

– Za to, co robi doktor, niech odpowiada doktor – uciął opryskliwie.

Zerkali na siebie w ciszy. Klepsland popijał z kieliszka, aż wreszcie z hukiem postawił go na skrzyni i wlepił oczy w Kolbeina.

– Nigdy nie zrobiłeś niczego, czego teraz żałujesz, jøssingu?

Kolbein wziął oddech, lecz słowa stanęły mu w gardle. Spróbował jeszcze raz. W piersi rosła czarna dziura. Wbił wzrok w wieko skrzyni.

– Piętnastu lat – odpowiedział wolno. – Ja żałuję piętnastu lat. A zaczęły się w dniu, kiedy spotkałem Eliasa Brincha.

– Chcesz się tym podzielić? – spytał nazista.

Kolbein potrząsnął przecząco głową. Poprawił knot w lampie i dopiero wtedy podniósł swój kieliszek. Powąchał zawartość. Zbadał migotanie blaszek złota, które w przezroczystym płynie opadały wolno jak jesienne liście. Odetchnął głęboko, westchnął i uniósł głowę.

– Eliasa Brincha trzeba zatrzymać. A ty musisz mi pomóc.

Dopiero około północy Kolbein wyczołgał się z ziemianki zaraz za żołnierzem Hirdu. Podał mu rękawiczki, laskę, pistolet i pustą butelkę. W żółtej poświacie księżycy uścisnęli sobie ręce. Kiedy las na powrót zamknął się w ciszy za plecami żołnierza, Kolbein tyłem wycofał się pod ziemię.

Obudził się sześć godzin później. Wciąż jeszcze było ciemno. Wyszedł na dwór i przeciągnął się, pozwalając świeżemu, zimnemu powietrzu ożywić ciało.

W świetle księżycy odnalazł strumyczek. Wybił w cienkim lodzie przerębę i nabrał wody do

porannej toalety.

Wracając do ziemianki, usłyszał... ciszę. Wokół nie było słychać żadnego dźwięku. Żadnego chrobotu drobnych gryzoni biegających po poszyciu. Żadnego krakania zaspanych wron kiwających się na gałęziach blisko pni. Nawet szelestu wiatru w koronach nie słyszał. Jedynie głośny trzask łamiącej się gałązki.

---

\* *Jøssing* – w czasie II wojny światowej i potem potoczne określenie osoby działającej w norweskim ruchu oporu lub ogólnie patrioty.

## ROZDZIAŁ 64

Była północ, a sala biurowa tętniła życiem. Przy stoliku z fotelami zebrała się grupa taktyków z Kripos, zaopatrzona w swoje laptopy. Samir Bikfaya zaglądał przez ramię kilku sztywniakom z PSB. Przy biurkach ciemne twarze obserwowały rozjaśnione monitory, a w centrum przy wielkim stole konferencyjnym królował Sebastian Koss.

Fredrik i Kafa siedli z tyłu pomieszczenia, gdzie przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze nocy. Wielu ludzi nie znosi jesieni, pozwala się przygnieść zimowym ciemnościom i w desperacji wyczekuje pierwszych oznak późnej na Północy wiosny. Dla Fredrika jednak najgorsze były bujne letnie noce. Jego pierwsze klarowne wspomnienie po tym, jak pochował syna, to właśnie taka noc jak dzisiejsza. Teraz widok soczyście zielonych drzew na tle wieczornego nieba przygiętych ciężarem własnego rozrosłego listowia, upojny zapach bzów czy świergot ptaków były dla niego jedynie memento – przypominały, że to, co najlepsze, ma już za sobą. Że potem czeka zgnilizna. Mroźna zima. Dla niego letnia noc była zapowiedzią tego, co przyjdzie.

Właśnie skończył opowiadać Kafie o spotkaniu z Børrem Drangem, kiedy przysiadł się do nich Andreas. Kontaktował się z Urzędem Ewidencji Ludności. Mimo że Drange wyprowadził się z domu jako szesnastolatek, nigdy nie zameldował się pod innym adresem. Potwierdzili, że akt zgonu pochodzi od nich, ale musiała nastąpić jakaś usterka w systemie.

– Usterka w systemie? – zdziwił się Fredrik.

Urząd Ewidencji Ludności rejestruje zgony i wystawia potwierdzenia w formie aktów zgonu. Śmierć potwierdzają lekarze. A w sprawach takich jak ta, gdy zwłok nie ma, powinno zostać złożone pisemne zeznanie albo inne wyjaśnienie, że dana osoba nie żyje. Dopiero wtedy urząd wypisuje akt zgonu.

– A w tym wypadku tak nie jest?

– Nie. Nie mają ani jednego dokumentu, jedynie ten akt, który sami wystawili. – Andreas poprawił wyłogi marynarki. – Urzędniczka, bardzo miła zresztą, zwróciła jeszcze uwagę na dwie kwestie. Według dokumentu Børre Drange zmarł nieokreślonego dnia w czerwcu. Jej zdaniem graniczy to z niemożliwością, by jakiś norweski biurokrata przyjął coś takiego bez zmrżenia oka. Zapewniła mnie, że muszą mieć ścisłą datę.

– Jeszcze by tego brakowało, żeby nie musieli – zauważył sucho Fredrik.

– Kobieta wyraziła się całkiem jasno. Ktoś w tym przypadku zignorował system. A nikt tego nie zrobi bez jednoznacznego rozkazu z góry. – Andreas przesunął okulary na potargane włosy.

Fredrik zwrócił uwagę, że przyjaciel był zmęczony, ale przecież partner uwielbiał tę część roboty

– kopanie w dokumentach, analizowanie ich, ocenianie i wyciąganie wniosków, a na koniec rozwiązanie kolejnej zagadki.

– Aktu zgonu nie dałoby się wystawić już w miesiąc po śmierci. Taki przypadek wymaga drobiazgowych działań, podejmowania decyzji. Musi zostać przedłożona dokumentacja. Niczego takiego w tej sprawie nie ma.

Fredrik oparł się o poduszki kanapy. Odetchnął głęboko, co znowu przywiodło mu na myśl lato na zewnątrz.

– Ojciec Børrego Drangego mówił, że syn pracował w wojsku. Skontaktowałem się z nimi – ciągnął Andreas. – Sprawdziłem w archiwach, co mają na jego temat. Odciski palców, grupę krwi, historię chorób...

– Czym w takim razie zajmował się Drange od ukończenia studiów na politechnice do czasu uznania go za zmarłego czternaście lat później? – spytała Kafa. – I dlaczego uznano go za zmarłego, skoro mamy świadków, a nawet dokumentację fotograficzną, która potwierdza, że ten człowiek żyje? Kto go uznał za zmarłego? Dlaczego zmienił tożsamość?

– No i przede wszystkim – dodał Fredrik – dlaczego ściga go zawodowy zabójca? – Wpatrzył się w sufit, a potem zamknął powieki. – Børre Drange jest kluczem do tej zagadki – szepnął. – Od niego to wszystko się zaczęło.

Najchętniej wróciłby teraz do domu. Ręce i nogi mu ciążyły, pulsowały gałki oczne – ostatnie ostrzeżenie przed nadchodzącą migreną.

Kafa wstała i przeszła do swojego biurka. Kiedy jednak Fredrik chciał zrobić to samo, Andreas przytrzymał go za rękę.

– Jest jeszcze jedna sprawa – mruknął. – Coś, co musisz zobaczyć.

– Co takiego?

Andreas odpalił laptopa i otworzył folder ze zdjęciami. Pojawiły się cztery fotografie zrobione w odstępie kilkunastu sekund.

Fredrik wzdrygnął się, rozpoznając siebie i palącego papierosa Jørgena Mostu przed ich pubem na Majorstuen. Tego wieczoru, kiedy opowiedział Jørgenowi o dochodzeniu. Na ostatnim zdjęciu był tylko on, Fredrik. Wpatrywał się prosto w obiektyw. Przypomniawszy sobie ten moment, to uczucie, że ktoś go obserwuje.

– Skąd się to wzięło?

– Pamiętasz ten ostatni plik na pendrivie? Ten, z którym się tak męczyliśmy, żeby go otworzyć?

Fredrik przytaknął.

– To jego zawartość. Złamaliśmy szyfr dziś wieczorem. – Andreas obejrzał się szybko przez ramię. – Chciałem, żebyś to zobaczył, zanim poinformujemy Kossa. Tym bardziej że dotyczy ciebie osobiście.

Fredrik wpatrywał się w zdjęcia. W twarz Jørgena – uśmiechniętą, rozluźnioną. Zastanawiał się, co się teraz dzieje z przyjacielem.

– Dzięki – powiedział w zamyśleniu. – Jakie było hasło dostępu?

– Walen – rzucił Andreas. – A po tym słowie długi szereg niezwiązanych ze sobą cyfr, znaków i liter.

– Walen?

Andreas wzruszył ramionami.

Przerwało im nagłe klaskanie. Sebastian Koss uderzał w dłonie, żeby ściągnąć na siebie uwagę wszystkich obecnych. Fredrik złowił jego spojrzenie i Koss przyzwał go do siebie gestem, który można by scharakteryzować jako niemal przyjazny. Inspektor promieniał. Na stole konferencyjnym leżała mapa i zdjęcia lotnicze opery.

– Mieliśmy rację – powiedział. Przez „my” rozumiał siebie, Bikfayę i komendanta Nemego. – Porywacz zgodził się na spotkanie z Kari Lise Wetre. Przed operą jutro o dziesiątej rano.

## ROZDZIAŁ 65

Biały gmach opery w Oslo wznosi się nad mętными wodami portowymi – odbijające się od niego promienie oślepiają, tak że wydaje się niewidzialny jak niewykrywalny samolot. Pieniądze z ropy zamienione w architekturę i karraryjski marmur. Dopiero z bliska widać, że pyszna budowla wcale nie lśni bielą. Marmur jest szary. W czarne plamki. I kawowy. Trójkolorowy. Beżowy jak pety i żółtawy jak zużyta guma do żucia. Przede wszystkim jednak szary. We wszystkich wyobraźalnych odcieniach najzwyklejszego koloru życia.

Przez noc skontrolowali pojemniki na śmieci. Psy szkolone do wykrywania ładunków wybuchowych obwąchały pomnik światowej sławy sopranu – Kirsten Flagstad. Policjanci przebrani za robotników budowlanych sprawdzili, czy żadna z ciężkich kamiennych płyt, szorstkich łusek na skórze opery, nie została naruszona. Teraz plac przed głównym wejściem był uważnie obserwowany przez celowniki optyczne karabinów wyborowych SIG-Sauer SSG 3000 należących do snajperów, których zespół ukrywał się w północno-wschodniej wieży Havnelageret, magazynu portowego – wybudowanego w stylu skandynawskiego neobaroku bloku z betonu długości stu czterdziestu metrów przy nabrzeżu Tollbukaia na zachód od opery. Odległość od wieży do marmurowej ławki przed głównym wejściem, miejsca spotkania, wynosiła dwieście trzydzieści metrów. Łatwe zadanie dla wyćwiczonego strzelca, nawet gdyby wykonanie go utrudniało ostre światło przedpołudniowego słońca.

Inny snajper i jego obserwator znajdowali się jeszcze bliżej. Pilnowali opery od północy, z dachu hotelu Opera przy Dworcu Centralnym Oslo S. Na najwyższym piętrze hotelu mieścił się pokój 1001, apartament Jezioro Łabędzie z własnym niewielkim tarasem. Między tarasem a brzegiem dachu było wąskie wysypane żwirem przejście. Jedynie sięgające kostki, obite aluminiową blachą podwyższenie dzieliło najpiękniejszy w mieście widok na operę od śmierci na asfalcie. Snajper klęczał na żwirze. Światło słoneczne padało z boku. Prawie nie było wiatru. Póki cel był widoczny, pudło nie wchodziło w grę.

Jedyny problem w tym, że porywacz i Kari Lise Wetre nie będą sami.

Fredrik znajdował się w foyer opery, w kryjówce pod masywnym pochyłym dachem biegnącym od poziomu podłogi w górę, obok wejść na widownię. Żeby nikt tu nie zaglądał, osłonięto tę część grubą niebieską plandeką udekorowaną tabliczkami „Prace remontowe – wejścia nie ma”. W środku panowała ciasnota, można wręcz było dostać klaustrofobii. Fredrik mocno się pocił. Obok niego siedział Sebastian Koss, a za nimi stało czterech uzbrojonych po zęby, zamaskowanych policjantów z jednostki specjalnej.

– Jak to oceniasz? – szepnął Fredrik, przyciskając komórkę do ucha i pochylając się na składanym krzeselku.

Andreas długo milczał.

– Cholernie trudno powiedzieć. Przecież to piekielne mrowisko. Snajperzy mają kłopoty z celowaniem.

Andreas z Kafą zajęli pokój pod zespołem snajperów. Jej klapka na oko zwisała z boku długiej lunety, przez którą obserwowali rejon wejścia do opery.

Prawdopodobieństwo, że porywacz krąży już gdzieś między ludźmi na placu, było duże. Fredrik szacował, że na marmurowej płycie przed wejściem jest siedemdziesięciu–osiemdziesięciu cywili. Jeszcze więcej, jeżeli doliczyć tych, którzy chodzili po pochyłym dachu budynku. Turystów z autokarów idących gęsiego za białym parasolem, rodziny z dziecięcymi wózkami i studentów ze słuchawkami na uszach. Wielu już siedziało na bloku marmuru, gdzie za dwanaście minut miała zająć miejsce Kari Lise Wetre. Była 9.38.

W tej chwili Wetre znajdowała się w kolejce gdzieś między Teatrem Narodowym a Stortingiem. Za dwie minuty i czterdzieści sekund wysiądzie na Jernbanetorget i przejdzie zdecydowanym, choć niezbyt szybkim krokiem przez Oslo S, przetnie Dronning Eufemias gate, a potem pokona krótką kładkę dla pieszych łączącą plac przed operą z portem w Oslo. Na wysokości rzeźby z brązu albo na krótko się zatrzyma, albo od razu podejdzie do marmurowej ławki. Jeżeli się zatrzyma, będzie to znaczyło, że rozpoznała swojego prześladowcę.

Porywacz miał zostać ujęty, gdy się rozejdą. Strzelanie było dozwolone tylko w sytuacji zagrożenia życia.

Fredrik zerknął na sąsiada. Sebastian Koss miał w uchu plastikową słuchawkę, podobnie jak on sam. Beier jednak powiesił skórzaną kurtkę na oparciu krzesła i odsłonił założoną na koszulę kamizelkę kuloodporną, natomiast Koss nie zdjął swojej olejkowej kurtki i twarda kamizelka pod spodem sprawiała, że wyglądał, jakby miał usztywniony kręgosłup i było mu niewygodnie. Blond włosy zaczesał jak zwykle gładko do tyłu. Nawet nie próbował ukryć zadowolenia z siebie. Zanim zarządzono ciszę w eterze, głowa kiwała mu się jednostajnie na boki w rytm napływu informacji przez interkom, jak kompozytorowi, który z uznaniem słucha próby generalnej swojego nowego dzieła.

Śledzili przebieg operacji na dwóch monitorach. Nagrywały kamery monitoringu w operze. Czterech policjantów z jednostki specjalnej miało za zadanie ochraniać Kari Lise Wetre, jeżeli przycisnęłaby lewy łokieć do ciała i tym samym uruchomiła alarm, którego nadajnik miała przyklejony po wewnętrznej stronie biustonosza.

Fredrik lekko podskoczył, gdy cisza radiowa została przerwana.

– Ruszamy – zabrzmiał przytłumiony głos.

Sygnał. Kari Lise Wetre wysiadła z kolejki. Fredrik jeszcze raz sprawdził czas. Minęły dwie



minuty i czterdzieści pięć sekund.

Kari Lise Wetre myślała, że będzie się bać. Jednak od chwili, gdy ubrany w czerń mężczyzna włamał się do jej domu, narastała w niej obłądana wściekłość. Była wściekła na siebie. Na męża. Na Boga i policję. Wściekła na Annette.

Na peronie złapała się na tym, że bada wzrokiem twarze wokół siebie. W każdej chwili mogła kogoś rozpoznać i zgłosić to kierownictwu akcji. Obawiała się, że ktoś się w to niechcący wmiesza. Jako wiceprzewodnicząca Chrześcijańskiej Partii Ludowej nie mogła się spodziewać niczego innego. Była popularna, a jeśli ktoś wystarczająco długo pokazuje się w telewizji, to ludzie myślą, że go znają. Tak się przyzwyczaiła do pogaduszek z przygodnymi nieznajomymi, do przyjmowania uścisków, do spławiania skłonnych do kłótni, że wystarczyło jej jedno spojrzenie, by wiedzieć, jak potoczy się rozmowa. Unikatowa wiedza socjologiczna, która jej teraz przeszkadzała. Twarze. Rozpoznawały ją za dużymi okrągłymi okularami od słońca? Nie potrafiła odróżnić wyborców od policjantów i od niego. Czy stał gdzieś tutaj i ją obserwował? Może siedział za nią w kolejce?

Czuła się bezpiecznie, widząc beztroski tłum na placu przed operą. Policja nie chciała zdradzić, gdzie umieścili snajperów, ale nie potrzebowała wojskowego przeszkolenia, żeby stwierdzić, że znajdowali się w którymś z wysokich budynków po północnej stronie placu. Zmusiła się, żeby tam nie patrzeć, przecięła marmurową płytę i usiadła mniej więcej w połowie długości kamiennego bloku.

Teraz pozostawało tylko czekać.

Początkowo jej nie rozpoznał. Okulary przysłaniały górną część twarzy, a obfitość włosów zniknęła pod szerokim poncho w różnych odcieniach brązu. Na ramieniu miała skórzaną torbę.

Przez chwilę wydawało mu się, że Wetre zatrzymuje się przed pomnikiem, ale zwolniła tylko i zerknęła znad okularów.

Zostało jeszcze dziewięć minut. Kari Lise zajęła pozycję. Torba między nogami, plecami do opery. Grupy policjantów w cywilu zaczęły się przemieszczać. Jedna z nich, złożona z kobiety i mężczyzny, pchała brzegiem płyty w kierunku marmurowego mostku dziecięcy wózek ze służbową bronią pod kołderką. Inna spacerowała na południe od wejścia, tam, gdzie opadający dach łączy się z płytą widokową. Mężczyzna zdjął skórzaną kurtkę i usiadł na niej. Broń mieli ukrytą w plecaku kobiety.

Fredrik sprawdził czas. Sześć i pół minuty.

Wcześniej właściwie nie miała wątpliwości. Dopiero teraz. Komendant, inspektor i ten siwawy funkcjonariusz PSB byli tak pewni swego. Sprowokować porywacza do wyjścia na otwartą przestrzeń. Nie myślała, że to się może nie udać. Nie zastanawiała się, jakie konsekwencje może to mieć dla Annette, jeżeli porywacz ich przejrzy. Nie miała odwagi o tym myśleć. Tym razem musiała polegać

na policji. Teraz jednak, gdy siedziała zupełnie sama, choć przecież otoczona policjantami i niczego niepodważającymi turystami, zaczęła się zastanawiać. Kari Lise Wetre czuła się straszliwie samotna. Uwierał ją twardy plastik pod obrzeżem biustonosza. Potem zabrzmiał carillon z ratusza: „Jadę przed siebie w radości promieniu. W niedzielnej ciszy i dzwonów brzmieniu”. To z Bjørnsona. Wybiła dziesiąta.

Sześć po dziesiątej. Prawie siedem. Fredrik położył zegarek pomiędzy monitorami. Widział, że poczucie dyskomfortu Kari Lise Wetre rośnie. Kiedy szesnaście minut wcześniej usiadła na ławce, odchyliła się do tyłu. W tym geście był jakiś element pewności siebie. Teraz pochyliła się do przodu, plecy miała skulone, kark zgięty. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, wytarła czoło z potu i włożyła je na powrót. Nawet nie najlepsza jakość obrazu z kamer monitoringu nie zdołała ukryć zmarszczki bezradności na czole. To nie może potrwać dużo dłużej. Szukali. Przyglądali się twarzy za twarzą. Poszukiwali nienaturalnych zachowań, wielkich toreb, szybkich ruchów. Co przeoczyli? Sebastian Koss zabębnił palcami i złamał własny rozkaz dotyczący ciszy radiowej, prosząc o raporty od wszystkich grup, które nie znajdowały się na placu.

– Kari Lise Wetre? Czy to pani jest tym politykiem?

A więc stało się. Została rozpoznana. Kobieta stała tuż za nią i uśmiechała się ze zrozumieniem. Kari Lise szacowała, że ma nieco powyżej dwudziestu lat. Ładna, szczupła, miała w sobie jakiś studencki luz.

– Widziałam w wiadomościach informację o pani. I o pani córce. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży – powiedziała kobieta.

– Ja... – zaczęła Kari Lise Wetre, a potem się opanowała. – Dziękuję, miło, że pani tak mówi. Przepraszam, nie chcę się wydać nieuprzejma, ale czekam tu na kogoś.

Młoda kobieta zaprzeczyła gestem.

– To ja powinnam przeprosić. Nie chciałam przeszkadzać. Tak czy owak, proszę, to pani komórka.

Kari Lise spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Leżała tutaj. Na ziemi. Jest na niej pani nazwisko. – Podała czarny aparat.

Kari Lise Wetre nigdy przedtem go nie widziała. Od spodu miał podklejoną grubą żółtą taśmę z napisem „KLWETRE”.

– Dziękuję – powiedziała z wahaniem.

Kiedy brała go do ręki, odezwał się sygnał SMS.

– Cóż, miłego dnia – rzuciła kobieta.

Tego Kari Lise Wetre już nie dosłyszała. Wpatrywała się w wyświetlacz. Otworzyła wiadomość. Dopiero po sekundzie lub dwóch zrozumiała, co widzi.

Była to fotografia. W tle zimne niebieskie niebo, o nieco cieplejszym odcieniu tam, gdzie stykało

się z fiordem. Potem rozpoznała gmach opery i dotarło do niej, że fotograf znajduje się za jej plecami. Odwróciła się i wpatrzyła w hotel przy Oslo S.

Zdjęcie zrobiono z jego szczytu. Z prawej strony obok tarasu biegło wąskie wysypane żwirem przejście. Na żwirze przykucnęło dwóch ubranych na ciemno mężczyzn. Jeden patrzył w kierunku opery przez celownik karabinu. Drugi obsługiwał lunetę. Obaj tyłem do fotografa. Odbicie światła na zdjęciu zdradzało, że robiono je przez szybę. Na dole widniało jedno słowo. „Bum”.

*Lista, listopad 1943 roku*

Uderzenie pozbawiło go tchu. Kolbein poleciał w ciemnościach do przodu i upadł jak długi na kamienie przed ziemianką. Próbował obrócić się na bok i wyjąć zza paska pistolet, ale zanim zdołał się zwinąć, przygniotło go ciężkie cielsko. Czyjaś ręka złapała go za włosy, odchyliła jego głowę w tył i zaczęła nią walić o zamarznąłą ziemię. Czyjeś kolana wgniatały mu się w krzyż. Skóra na twarzy popękała, gardło zalała krew o specyficznym smaku mchu. Potem wykręcono mu ręce na plecy i ciasno związane w nadgarstkach stalowym drutem. Silne dłonie podniosły go do pionu. Zachwiał się, próbował skoncentrować wzrok na majaczącej przed nim postaci, ale oślepiło go silne światło latarki skierowane na twarz. Wszystko zamieniło się w ruchome cienie.

– Popatrz, popatrz – zabrzmiał piskliwy głos.

Latarka zgasła. Kilka szybkich mrugnięć powiekami i zobaczył tego człowieka. Niski, otyły typ o rozbieganych oczach, w czapce lensmanna. Zabrał mu colta. Sapiąc w nastroszone wąsiki, usiłował wyjąć magazynek.

– Przeszukać go!

Jakiś żołnierz zaczął go brutalnie klepać po nogach, w kroczu i po torsie.

– Jest was tu więcej? Z kim współpracujesz? – Lensmann potrząsał nim, trzymając za klapy kurtki. – Nazwisko. Co tu robisz? – wyrzucał przy tym z siebie rozwlekłym sørlandzkim dialektem.

– Jestem sam – odpowiedział Kolbein.

– Kłamiesz! – Lensmann odwrócił się do żołnierzy. – Asbjørnsen, postaw tu na warcie dwóch ludzi. Za dnia przeszukamy zagajnik. Svendsen, Haug, sprawdź ziemiankę. Wszystko, co znajdziecie interesującego, zabrać do aresztu. Kiedy skończycie, wysadzimy to gównu w powietrze. – Przeniósł wzrok na Kolbeina. – Tu, na półwyspie, nie chcemy takiego świństwa. Rozwalimy je w drobny mak. – Splunął Kolbeinowi pod nogi. – Asbjørnsen! Zabrać go!

Dwóch żołnierzy pociągnęło Kolbeina za sobą. Z tyłu sapał lensmann. Rozległ się odgłos zapuszczanego silnika i silne reflektory oświetliły żwirowaną drogę. Kiedy zbliżyli się do ciemnej sukki, Kolbein dostrzegł jeszcze dwóch ludzi w policyjnych mundurach. Obok nich stała ładna dziewczyna w białej czapce, piętnasto-, może szesnastoletnia, o piegowatej szczupłej buzi. Lensmann chwycił Kolbeina mocno za kark i pociągnął do świateł.

– Czy to tego tutaj widziałaś, Karen?

Dziewczyna zadrżała, ale Kolbein nie miał pojęcia, czy na jego widok, czy z powodu tego, jak

brutalnie go potraktowano. Potarła ramiona dłońmi w jasnoniebieskich dzianych rękawiczkach w płatki śniegu. Odwróciła wzrok, zanim odpowiedziała.

– Tak. To on.

– Na pewno?

– Tak. Jestem pewna.

– Całkiem, absolutnie pewna, kochanie?

Kolbein się wzdygnął. Głos należał do kogoś innego. Kogoś, kogo znał. W świetle reflektora ujrzał najpierw spodnie od munduru. Postać podeszła krok bliżej. Kjell Klepsland trzymał laskę poziomo na wysokości piersi.

– Tak, tato. Jestem całkiem pewna. Absolutnie całkiem pewna.

Karen Klepsland podniosła oczy na ojca i się uśmiechnęła.

## ROZDZIAŁ 67

Fredrik pojął, że coś jest nie tak, kiedy Kari Lise Wetre odwróciła się i spojrzała prosto na snajperów na dachu hotelu. Potem w jego uchu rozległ się cienki pisk. Alarm. W tym momencie przestał być widzem. Najwyższy czas. Dłonie mu spotniały, krew tętniła w skroniach. Zaparowane plastikowe ściany kryjówki lekko trzepotały. Potrzebował tlenu. Przewrócił krzesło, zrywając się, gdy dostrzegł, że chłopaki z jednostki specjalnej już wymykają się przez szparę w plandece. Dołączył do nich, macając, czy półautomatyczna broń Heckler & Koch w kaburze na udzie jest zabezpieczona.

W kilka sekund leniwa letnia idylla zamieniła się w chaos przerażonych twarzy. Kobieta, która zaczęła Kari Lise Wetre, krzyczała, leżąc na brzuchu na ławce. Na jej plecach siedział policjant w cywilu, a policjantka z plecakiem trzymała jej głowę na muszce, jednocześnie agresywnie wykrzykując do gromadzących się ludzi:

- Policja! Rozejść się! To akcja policyjna!
- Policja! – ryczeli ludzie z jednostki specjalnej.

Cizba ludzka z niedowierzaniem gapiła się na czterogłową zamaskowaną hydrę, która z uniesionymi automatami C8 i MP5 wyskoczyła z gmachu opery. Dwóch policjantów pchnęło Kari Lise Wetre na ziemię za marmurowy blok i stanęło nad nią jak żywe tarcze. Dwóch pozostałych rozdzieliło się i ruszyło przez plac, celując wokół siebie z automatów.

Początkowo sparaliżowani strachem ludzie teraz zaczęli uciekać. Byłe dalej od wrzeszczących policjantów i ich broni. Na marmurowy mostek i na pochyły dach. Rozkrzyczane dzieci powyciągano z wózków. Przewrócone butelki z wodą, książki, plecaki porzucono na placu. Fredrik śledził wzrokiem jabłko – zielone, ledwo przez kogoś nadgryzione, które toczyło się powoli w dół, pod prąd sadzących wielkimi krokami. Taki chaos był ucztą dla napastnika. Bomba w torbie. Nóż w plecy. Snajper albo świr w amoku z pistoletem maszynowym. Nie znali zagrożenia.

- Cholera! – mamrotał Fredrik. – Cholera, cholera, cholera!

Za długo musieliby czekać na zabezpieczenie placu. Tu byli jak na widelcu. Podbiegł do policjantów strzegących Kari Lise Wetre.

- Postawcie ją na nogi. Musimy ją stąd zabrać.

Mocno oberwała, kiedy policjanci się na nią rzucili. Pękła jej górna warga i krew skapywała na brodę. Okulary przeciwsłoneczne zniknęły, a w oczach pojawiły się strach i dezorientacja. Ciemne włosy potargały się i przykurzyły. Fredrik pobiegł ku wejściu. Szarpnąwszy drzwi do wyjścia ewakuacyjnego, stanął oko w oko z Sebastianem Kossem. Przewrócił oczami.

– Był strzał!?! Był strzał!?! – krzyknął inspektor.

– Nie wiem! – ryknął w odpowiedzi Fredrik i odepchnął go z przejścia. – Tutaj! – zawołał, wskazując odgradzony rejon szatni.

Policjanci przeprowadzili Kari Lise Wetre obok nich. Dopiero wtedy Fredrik odwrócił się do Kossa.

– Pieprzony cyrk się tam rozpętał.

– Więc dlaczego, do jasnej cholery, był alarm? Dlaczego wywołała alarm?

– Nie wiem. Sam przecież widziałeś. Najpierw z kimś rozmawiała, a potem...

– To się dowiedz! – ryknął Koss.

Nie czekając na odpowiedź, inspektor wyskoczył z foyer i wbiegł w tłum oblegający marmurowy mostek.

Kari Lise Wetre siedziała z policjantami w szatni opery. Już nie wydawała się śmiertelnie przerażona, była tylko zmęczona i mokra od potu. Twarz miała poszarzałą. Przy górnej wardze trzymała gazowy tampon. Policjanci zdjęli hełmy, okulary ochronne i kominiarki. Światło było tu przytłumione, a zewnętrzny zgiełk zmienił się w szum.

– Jest pani ranna? – Fredrik stanął przed nią.

– Nie. Ja... uderzyłam się tylko, kiedy upadłam na ziemię.

– Co się stało? – spytał cicho, lecz z naleganiem. – Czego chciała ta kobieta? Dlaczego wywołała pani alarm?

– Ja... to był...

– Chodzi o to. – Jeden z policjantów wręczył mu komórkę. – Leżała na ziemi koło niej.

– Ja... – Wiceprzewodnicząca partii głośno odkaszlnęła i odzyskała kontrolę nad głosem. – Dała mi ten telefon. Ta kobieta. Powiedziała, że mi upadł. Niech pan zobaczy wiadomość.

Fredrik przyjrzał się zdjęciu.

– Cholera! Masz kontakt ze snajperami? Na dachu hotelu? – zwrócił się do najbliższego policjanta o szerokiej, mokrej od potu twarzy. Odwrócił komórkę tak, by zdjęcie było widoczne dla policjanta.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, tamten spróbował połączyć się z kolegami. Po dwóch nieudanych podejściach potrząsnął głową.

– Zdjęcie wysłano z niezastzeżonego numeru.

– Co???

Policjant wskazał palcem komórkę i Fredrik pojął, o co chodzi. Porywacz przesłał im swój numer telefonu.

Położył telefon na podłodze i zanim wybiegł, poprosił, żeby go dobrze pilnowali. Koledzy zaczęli odzyskiwać kontrolę nad tłumem. Ludzie zgromadzili się po drugiej stronie mostku i tam ich

wszystkich sprawdzano. Pośrodku pustego placu przed operą stanął samochód ruchomego centrum dowodzenia akcją. Oficer policji siedząca na miejscu pasażera wydawała polecenia przez radio. Kossa nie było widać. Fredrik zatrzymał się przy pojeździe, stanął tak, by osłaniał go od strony hotelu, i zadzwonił. Po długiej chwili odebrał Andreas.

– Co za burdel! Nikt w łączności nic za cholere nie wie. Co się dzieje?

– Nie wiem – odparł szybko Fredrik. – Wiem tyle, że grozi wam niebezpieczeństwo.



## ROZDZIAŁ 68

Z hotelowego korytarza dobiegał jedynie niski, monotony szum klimatyzacji. Andreas i Kafa stali na schodach pożarowych na najwyższym piętrze hotelu. Partner obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Kafa pociła się, oparta o ścianę, trzymając pistolet lufą ku ziemi. W jej dłoniach wydawał się wielki. Oczy – z jednym białkiem białym, drugim czerwonym – miała szeroko otwarte. Spotkali się wzrokiem i Kafa kiwnęła głową. Z wymierzoną bronią ruszył więc bokiem na korytarz. Dziewczyna szła za nim. Przejście było puste. Tylko na ścianie jakieś piętnaście metrów przed nimi wisiał operowy plakat. Na końcu korytarz skręcał w lewo. Tu znajdował się apartament Jezioro Łabędzie i wyjście na taras. Andreas ruszył biegiem naprzód. Minął okno wychodzące na operę i dobiegł do ściany, gdzie sprawdził krótki korytarzyk. Czysto. Kafa biegła tuż za nim. Zatrzymała się przy oknie. Dokładnie w tym miejscu musiał stać fotograf.

Na brzegu dachu na żwirze klęczeli dwaj policjanci. Jeden z karabinem, drugi z lunetą. Zastukała mocno kolbą pistoletu w szybę.

Fredrik czekał przy samochodzie centrum dowodzenia, aż Andreas oddzwonił.

– Tak?

– Wszystko w porządku. Problemy z łącznością radiową. Snajperzy nie mieli kontaktu przez blisko kwadrans. Teraz, jak się wydaje, znowu wszystko gra.

– A fotograf?

– Żadnych śladów. Sprawdziliśmy całe piętro. Nic. Zniknął.

– W porządku – skwitował w zamyśleniu Fredrik.

Trząśł się z zimna, jakby miał gorączkę. Co się tu odbywało? Czego w tym nie rozumiał?

Kari Lise Wetre wciąż siedziała w szatni. Jej górna warga napuchła i się zaczerwieniła. Ktoś przyniósł stół, kawę i wodę. Sebastian Koss rozsiadł się obok na metalowym krzeselku na cienkich nóżkach, kurtkę zawiesił na oparciu, ale kuloodporną kamizelkę wciąż miał na sobie. Niebieska jedwabna koszula była przeпоcona pod pachami.

– Kobieta, która podała komórkę, nie ma z tym nic wspólnego. Jest kompletnie przerażona. Upiera się, że znalazła ją na ziemi. Ja jej wierzę – rzucił.

– Komórka nie mogła tam leżeć długo – odparł Fredrik. – Widziała pani kogoś, kto...? – zwrócił się do Kari Lise.

Uniosła ciężkie powieki, by jej spojrzenie spotkało się z jego wzrokiem, i lekko potrząsnęła głową.

– Nie.

– W ogóle nikogo?

Dalej zaprzeczała ruchem głowy.

Koss odciągnął go od stolika. Zbliżał się do nich Samir Bikfaya. Podał Kossowi przezroczystą plastikową torebkę, na oko z obudową telefonu komórkowego.

– Nie mamy żadnych informacji o numerze, z którego wysłano zdjęcie – powiedział. – To zagraniczny numer telefonu na kartę, aktywowany trzy dni temu. Uzyskanie danych ze stacji bazowych zabierze trochę więcej czasu. To znaczy ustalenie, gdzie był nadawca, gdy wysyłał zdjęcie.

– A co z tym telefonem?

– Zgłoszony jako skradziony pół roku temu. Oryginalna karta SIM usunięta. Tu także anonimowa karta prepaid.

– No więc co robimy? – spytał Koss, wodząc wzrokiem od Bikfayi do Fredrika. – Mamy bezpośredni numer do porywacza.

Pewny siebie Bikfaya klasnął w dłonie.

– Chodźcie ze mną – powiedział, popatrując to na jednego, to na drugiego.

Poprowadził ich w stronę toalet. Na środku stylowej damskiej toalety umieszczono duży stół i zastawiono go komputerami, monitorami i serwerami. Trzech operatorów rozmawiało w podnieceniu. Żaden nawet nie spojrzał na nich, kiedy weszli. Kaski i kamizelki kuloodporne leżały na podłodze.

– Jesteśmy gotowi namierzyć rozmowę – powiedział słumionym głosem Bikfaya. – Jeżeli odbierze, możemy go szybko zlokalizować. Podłączyliśmy się już do stacji bazowych w rejonie.

Fredrik potrząsnął głową. To było nieprzemyślane. Wolałby, żeby była z nimi Synne.

– Mamy ograniczony czas. Dzwonimy – odezwał się Koss.

Bikfaya był wyraźnie zadowolony.

Fredrik złapał Kossa za ramię.

– Ale czy nie zrobimy właśnie tego, czego chce od nas porywacz? Przecież nie podał nam swojego numeru przez pomyłkę.

Koss szarpnięciem wyswobodził ramię i z irytacją potrząsnął głową. Podniósł w górę drżący palec.

– Tego nie wiemy! Możliwe, że zestresował się na widok snajperów. Kryminaliści na ogół nie mają ochoty zadzierać z Delta. – Niemal wsadził palec w oko Fredrika. – Ty się, u diabła, nie nadajesz do podejmowania decyzji w takich sytuacjach jak ta! Zamknij się, Beier! – Uspokoił głos. – Słuchaj! Chodzi o życie porwanych. Jeżeli teraz wypuścimy człowieka z rąk, możemy go stracić na zawsze! Do diabła, przecież chodzi też o twojego kumpla, nie?

Fredrika zalała fala kipiącej wściekłości. Oczy mu się zwęziły.

– Dlaczego podał nam swój numer? Dlaczego wysłał zdjęcie? To porywacz dyktuje reguły tej gry!

Koss nie zwracał na niego uwagi.

– Działamy. Porywacz nie wie, że możemy go namierzyć. Nie tak od razu. Tego się nie spodziewa.

Dzwonimy – zwrócił się do Bikfayi.

Siwe loki PSB-owca zawirowały. Wziął do ręki telefon podłączony czarnym kablem do jednego z komputerów.

Fredrik mocno potrząsnął głową i powiedział:

– A jeżeli telefon jest... – Koss zatkał mu usta dłonią, wziął od Bikfayi komórkę, nacisnął i podniósł do ucha – ... pułapką?

– Jest sygnał – odezwał się Koss.

Głuchy huk zabrzmiał tak, jakby rozerwała się wielka nadmuchana papierowa torba. Podłoga zadrżała, zamigotały monitory komputerów.

Fredrik Beier biegł w kompletnej ciszy.

Widział, że inni też biegną – jednostka specjalna, policjanci z foyer. Wszystkie okna wokół głównego wejścia wybił podmuch, toteż pierwszym odgłosem, który do niego dotarł, był chrzęst szkła pod stopami. Potem jakby ktoś przesunął pokrętło głośności – czyjś płacz, wycie syren, wykrzykiwane rozkazy. Rozpoznał specyficzny zapach migdałów i oleju silnikowego, woń materiałów wybuchowych. Gęstniała. Na tle nieba unosiły się płatki nadpalonego lakieru i marmurowy pył, tworząc błonę między ziemią a słońcem.

W powietrze wyleciał samochód centrum dowodzenia. Boki i dach zdmuchnęło, ale front i fotele z przodu zostały na ramie. Wtedy ją zobaczył. Oficer z samochodu. Leżała obok ławki, na której wcześniej siedziała Kari Lise Wetre. Pochylało się nad nią dwóch policjantów z Deltą w czarnych bojowych uniformach jednostki specjalnej. Z ucha ciekła jej gęsta czerwona krew, skóra była blada i błyszcząca. Mocno ścisnęła za rękę jednego z chłopaków. Fredrik podbiegł bliżej. Tuż przed jego stopami leżało ramię, chude, blade, nagie ramię. Bliżej samochodu – dolna połowa czyjegoś ciała oderwana od reszty mniej więcej na wysokości pępka. Grube nogi, przez rozerwane spodnie widać było męski członek. Fredrik zatrzymał się przed częścią bagażową. Wewnątrz wszystko było spryskane krwią, oblepione skrawkami skóry, włosami i ludzkim tłuszczem. Tu też leżały resztki ciała, w każdym razie większa ich część. Annette Wetre dało się łatwo rozpoznać. Brakowało jej ramienia, a wnętrzności wylewały się spod bawełnianego topu, głowa jednak była raczej nietknięta. Gorzej z Jørgenem.

Potrząskaną czaszkę z rudymi lokami znaleziono dopiero pod wieczór, kiedy nurkowie przeszukiwali basen portowy.

# CZĘŚĆ III

## ROZDZIAŁ 69

Pochyliła się do lustra i obejrzała rezultat swoich wysiłków.

Oczy podkreślone węższą kreską niż zwykle. Brwi odrobinę jaśniejsze. Górna warga wciąż spuchnięta.

Łzy obeschły, ale wyżłobione przez nie ślady wokół oczu nie znikną nigdy. I niech tak będzie. Nie ma się czego wstydzić.

Czarna wąska wełniana suknia do kostek miała wycięcie pod szyją tak niewielkie, że ledwo było widać kości obojczyka. W zagłębieniu spoczywał krzyżyk. Przy drzwiach czekały czarne matowe buty. Zanim Kari Lise Wetre opuściła łazienkę, zarzuciła na ramiona biały jedwabny szal i założyła na rękę srebrny zegarek.

Schodząc po schodach, słyszała przytłumiony gwar rozmów, a kiedy wyszła z za rogu, zauważyła, że jej mąż w kieliszkach do szampana podał oranżadę. Nawet w takiej chwili uderzył ją komizm sytuacji na widok lidera Prawicy – człowieka, który zapewne zostanie następnym premierem kraju – popijającego owocowe bąbelki. Simon Riebe, wyprostowany, sztywny, z jedną ręką założoną z tyłu, jak zawsze nienagannie ubrany. Kiedy ją zobaczył, szybko poprawił krawat, po czym z szacunkiem pochylił głowę. Nawet liderka jej własnej partii, Vibecke Fiskvik, włożyła stonowany strój.

– Droga Kari Lise, przyjmij najszczerze kondolencje – powiedziała, odstawiając kieliszek.

Chwyciła jej dłonie i wymownie kręciła głową na boki. Wetre zmusiła się do opanowanego uśmiechu.

– Jesteśmy z tobą. Cała partia. – Vibecke Fiskvik dała się ponieść emocjom i wytarła nos w serwetkę, a potem uważnie usunęła z rzęs krople łez.

– Dziękuję, Vibecke.

Simon Riebe wziął ją za rękę i szybko uścisnął.

– Głęboko ci współczujemy, Kari Lise.

Powiodła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Miejmy to już za sobą.

Z ręką Riebeggo na plecach i Vibecke krok za sobą otworzyła drzwi na taras.

Kamery zaczęły gorączkowo pracować w momencie, gdy firanki zostały odsunięte na bok. W ogrodzie zebrało się przynajmniej pięćdziesięcioro dziennikarzy. Dom znajdował się przy zazwyczaj spokojnej ulicy, teraz jednak na poboczach stały wozy transmisyjne i furgonetki stacji telewizyjnych, wjazdy na działki były zablokowane przez duże samochody ze sprzętem

nagrywającym, a sąsiedzi tłoczyli się, żeby nie uronić niczego z widowiska.

Fredrik stał obok Andreasa. Na trawniku przed nimi roilo się od dziennikarzy. Stok, na którym stał dom rodziny Wetre, przedzielała taśma.

Andreas nachylił się do partnera i szepnął:

– Dostałem odpowiedź od wojska. O Drangem. Odcisków palców nie mają. Ale udało mi się namierzyć starą krew pobraną do analizy podczas jego służby zasadniczej. Pracujemy nad DNA.

– Dobrze. Cholernie dobrze.

Obok nich rozlokował się zespół TV2. Młoda reporterka wydała się Fredrikowi znajoma z ekranu. Benedikte Stoltz. To jej przypadło w udziale niewdzięczne zadanie wypełnienia gadaniem czasu oczekiwania na konferencję prasową. Miała pod trzydziestkę, a jej talia przywiodła Fredrikowi na myśl zagłodzonego węgorza. Wszyscy dziennikarze i personel techniczny tego kanału nosili na ramieniu czarne opaski ku pamięci Jørgena. Przed transmisją na żywo Benedikte podciągnęła swoją wyżej, tak żeby telewidzowie musieli ją zauważyć.

– Wydarzyło się to w willi za moimi plecami. Policja podaje, że nieznany mężczyzna włamał się do domu wiceprzewodniczącej Chrześcijańskiej Partii Ludowej Kari Lise Wetre, tu, w tej spokojnej willowej okolicy na Kringsjå w Oslo, i groził deputowanej do Stortingu oraz jej wnukowi. Według policji stało się to bezpośrednią przyczyną akcji przed operą w Oslo cztery dni temu, która miała tak tragiczny finał. Przedwczoraj policja potwierdziła, że w jednym z jej samochodów ulokowano bombę i że w wyniku eksplozji zginęła córka Kari Lise Wetre Annette oraz doświadczony reporter działu politycznego kanału TV2, Jørgen Mostu. W szpitalu na Ullevål przebywa policjantka, która odniosła ciężkie, choć niezagrażające życiu rany. Obie ofiary śmiertelne zostały uprowadzone w dniach poprzedzających wybuch. TV2 wie, że zdaniem policji porywaczem jest ten sam człowiek, który groził Kari Lise Wetre...

Benedikte Stoltz zamilkła na chwilę i przechyliła swoją śliczną telegeniczną główkę na bok, pozwalając blond lokowi zsunąć się na czoło. Najwyraźniej w jej uchu zabrzmiało jakieś polecenie, bo zaraz potem szybko obejrzała się do tyłu.

– Tak... Wygląda na to, że Kari Lise Wetre w towarzystwie liderów partyjnych Prawicy i Chrześcijańskiej Partii Ludowej Simona Riebego i Vibecke Fiskvik za moment wyjdzie z domu. Zapowiada się, że Wetre skomentuje to nieszczęśliwe wydarzenie... – Znowu zerknęła w tył. – Tak... a konferencja prasowa zaraz się zacznie, jak nas poinformowano... Posłuchajmy, co mają do powiedzenia.

Zaraz za taśmą odgraniczającą, przed wypielegnowaną grządką róż pysznił się okazały bukiet mikrofonów. Tam czekała Tina Holten, asystentka Kari Lise Wetre. Jej kule stały oparte o jabłonkę. Obok niej, czując wyraźny dyskomfort, z rozbieranymi oczami, przestępował z nogi na nogę Sebastian Koss. Dopiero kiedy trójka czołowych polityków do nich podeszła, Tina Holten zrobiła krok

do przodu i stanęła przed wiązką mikrofonów. Powitała wszystkich i oddała głos Kari Lise Wetre.

– Drodzy tutaj zebrani – jej głos był stłumiony, ale zdecydowany – przede wszystkim chcę wykorzystać tę okazję, żeby podziękować za całe to ciepło i współczucie, które spłynęły na mojego wnuczka, mnie i męża w trakcie tej niepojętej tragedii. Otrzymywaliśmy mejle i kartki z daleka i z bliska, od znajomych i nieznanym osób, od kolegów z partii i od politycznych przeciwników. Pełne miłości i troski. Ogrzewały nas. Dawały siłę i moc w tych trudnych chwilach...

Mówiąc to, Kari Lise Wetre miała splecione dłonie, a twarz poważną i spokojną. Wydawała się opanowana.

To Fredrik powiedział jej o śmierci córki. W reakcji osunęła się na marmurową podłogę, zwinęła w pozycji płodu i łkała, łkała, łkała, trzymając się kurczowo za brzuch. Znał to uczucie. Sam przez to przeszedł.

– Jak państwo wiedzą, nasz wnuczek William mieszka teraz z nami. I jak państwo wiedzą, ma za sobą traumatyczne przeżycia. Dlatego postanowiłam wycofać się z kampanii wyborczej i poprosić swoją partię o urlop, aby móc całkowicie skoncentrować się na rodzinie. – Obrzuciła spojrzeniem Vibecke Fiskvik. – W Hønefoss rodzice czekają na wiadomość od swoich synów Fritjofa i Paula Espena Hennie. Mają nadzieję, że dowiedzą się czegoś o swoim wnuczku Johannesie. I nie są w tym osamotnieni. Mój mąż i ja przesyłamy nasze serdeczne myśli wszystkim bliskim osobom ze Słonecznego Spokoju, którzy wciąż żyją w niepewności, nie wiedząc, gdzie się znajdują ich najdrożsi. I oczywiście tym, którzy swoich stracili, kiedy Słoneczny Spokój został zaatakowany. – Odchrząknęła. – Wiele osób prosiło o pozwolenie na fotografowanie i filmowanie naszego domu, wielu chciało też przeprowadzić wywiady. Mam nadzieję, że to spotkanie zaspokoi państwa potrzeby na tyle, że w najbliższym czasie nie będziemy niepokojeni. Nie będę udzielała wywiadów nikomu aż do oficjalnego ogłoszenia wyników wyborów parlamentarnych. Dziękuję.

Podniósł się las rąk. Kiedy Wetre odchodziła na bok, jakiś reporter zawołał:

– Co pani sądzi o decyzjach podejmowanych przez policję w czasie akcji pod operą?

Tina Holten już miała zaciągnąć Sebastiana Kossa przed mikrofony, kiedy Kari Lise się odwróciła. Przez chwilę przypatrywała się dziennikarzowi z namysłem.

– Nie mam żalu do policji – odparła. – To dzieło człowieka szalonego i nieprzewidywalnego. Nikt inny poza nim – mówiła dalej cicho – nie jest winien, że mój wnuk i dwoje dzieci Jørgena Mostu będą dorastać bez matki i bez ojca, którzy ich tak bardzo kochali.

Jej miejsce zajął Sebastian Koss. Otarł dłonie o garnitur, a dopiero potem zaczął od podkreślenia, że policja jest zadowolona z zainteresowania, jakie media okazują w tej sprawie.

Fredrik wzniósł oczy ku niebu.

– Z uwagi na dobro śledztwa wielu rzeczy nie mogę komentować. Chcę jednak uciąć kilka spekulacji. – Koss rozejrzał się po słuchaczach. Miał minę korespondującą z zachmurzonym niebem

nad głowami. – Na razie nie wiemy, kiedy Annette Wetre i Jørgen Mostu zostali umieszczeni w samochodzie centrum dowodzenia. Nie wiemy także, jak mogło się to stać. Tymczasowe wyniki sekcji wykazały natomiast, że w momencie śmierci oboje byli pod wpływem mocnych środków odurzających. – Położył nacisk na słowo „mocnych” i uniósł wzrok znad kartki z notatkami. – Oboje nie byli przytomni przez jakiś czas poprzedzający eksplozję i podczas samego wybuchu.

Nowa krótka przerwa.

– Mogę również potwierdzić, że policja łączy te porwania z masakrą w posiadłości Słoneczny Spokój w Maridalen. Jak państwo wiedzą, Annette Wetre była członkiem mieszkającej tam wspólnoty. W dalszym ciągu jesteśmy bardzo zainteresowani nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi członkami tej społeczności. Usilnie zatem prosimy, aby ci, którzy znajdowali się w Słonecznym Spokoju, jak najszybciej skontaktowali się z policją. Dotyczy to także wszystkich tych, którzy mogą mieć o nich informacje. – Koss podniósł dłonie w kierunku prasy, powstrzymując pytania. – I to wszystko z mojej strony. Dziękuję.



## ROZDZIAŁ 70

Kafa czekała na nich przy samochodzie. Na dobre pozbyła się już klapki na oko. Niecierpliwym gestem wskazała, żeby wsiadali.

– Znacie sprawę Pio? Tę z Telemarku?

– No...? – Fredrik zawiesił pytająco głos. – Chyba wszyscy ją znają. Pedaly, nie? Zaginięcie w zimie lokalnego polityka, prawda?

Kafa złożyła ręce jak do modlitwy.

– Właśnie. W marcu po wieczorze spędzonym w lokalu zaginęła bez śladu para gejów, Pio Otamendi i Carl Josefsen. Razem z kolegami partyjnymi z Prawicy w Porsgrunn świętowali wybór Pio na lidera lokalnych struktur partii.

– Zgadza się. Tak było – wtrącił Fredrik. – Świadkowie mówili, że tych dwóch odjechało taksówką. Samochód znaleziono później w zagajniku pod Skien. Skradziony mercedes fałszywie oznakowany na dachu jako taksówka.

– Dziesięć minut temu dzwonili do mnie z laboratorium. Zgadnijcie, do kogo należał palec, który Annette Wetre dała Tinie Holten w samochodzie? – Kafa omiotła partnerów wzrokiem. – Do Carla Josefsena, partnera Pio Otamendiego. Te dwie sprawy się łączą!

Godzinę później Fredrik siedział w ogródku jednej z restauracji na Youngstorget. Naprzeciwko niego – Bettina, która zdjęła przez głowę białą biurową bluzkę i położyła ją obok siebie na stoliku. Pod spodem miała czarny top z wywieszonym językiem Rolling Stonesów na przodzie i głębokim dekoltem. Widoczne na opalonej skórze między drobnymi piersiami Bettiny zmarszczki przypominały delikatne kreski ołówkiem. Wytatuowany na jej ramieniu orzeł patrzył na Fredrika ze złością, a sama Bettina właśnie przed chwilą odsunęła rękę kochanka z kolana.

– Dobrze, że znalazłeś trochę czasu, żeby zjeść – skwitowała.

W tym tygodniu dwukrotnie odwołał spotkanie. Jej zdaniem potrzebował rozmowy na temat utraty przyjaciela, utraty Jørgena. Nie zgadzał się z nią. Może i na dziś powinien był wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Nie była w humorze. Bettina, partnerka, kochanka czy jak to tam jeszcze nazwać, chciała wiedzieć, co Fredrik myśli. Jeżeli nie o Jørgenie, to o nich, o ich związku. Nie miał dla niej żadnej odpowiedzi.

Wkrótce minie rok, od kiedy zaczęli się spotykać. Oboje od początku byli zgodni co do tego, żeby mieszkać osobno. Stopniowo jednak ten stan się zmieniał. A to pojawiła się szczoteczka do zębów, a to na półce w łazience zostały perfumy i biżuteria. Z szuflady zniknęły męskie skarpetki, znalazła

się za to damska bielizna. Pożyczony klucz miał stałe miejsce na kółku Bettiny.

Fredrik lubił się z nią pieprzyć. Tak się sprawy miały. Nie to jednak chciała usłyszeć.

Jej zdaniem zasłużyła na coś więcej. To raczej jasne jak słońce, że pora na następny krok? Przecież chyba tak rozwijają się związki? Przynajmniej każdy związek, który opiera się na wzajemnym szacunku. Za stara jest na głupoty. Chyba Fredrik to rozumie?

Pochyliła się nad torebką w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Zajrzał za pasek jej spodni. Stringi. Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę, żebyśmy zamieszkali razem.

*Lista, listopad 1943 roku*

Przyszedł. Półtorej doby po zamknięciu Kolbeina w celi pod pomalowanym na biało domem lensmanna.

Kolbein położył się na wąskiej pryczy. Światło księżyca wpadające przez szczeliny w oknie nad posłaniem kreśliło jasne paski na betonowej podłodze. Po jakimś czasie usłyszał, że metalowa zasuwka przy zejściu do piwnicy jest odciągana w bok. Na schodach zabrzmiało przytłumione skrzypienie skórzanych podeszew. Zapaliło się światło. Było ich kilku, zatrzymali się przed celą. Kolbein wpatrywał się nieruchomo w mokrą kamienną ścianę.

– Leży tutaj – rozległ się piskliwy głos lensmanna.

Cisza.

I po co udawać? Kolbein usiadł na pryczy i podniósł głowę.

Profesor stał obok. Białe spodnie lekarza wpuścił w oficerki, miał też na sobie lubiany przez esesmanów długi do kolan skórzany płaszcz. Elias Brinch się uśmiechał. Jego czarne oczy płonęły. Kolbein poczuł, że serce bije mu jak młotem. Zagryzł policzek. Do ust napłynęła mu lepka ślina, mało się nią nie zadusił.

Profesor zwilżył kciuk językiem i odsunął na bok blond grzywkę. W świetle nagiej żarówki zwisającej z sufitu delikatny prosty nos rzucał cień na jego wąskie wargi.

– Miał to w kieszeni – odezwał się nerwowo lensmann, podając mu składany grzebień Kolbeina.

On także wyczuwał ponure napięcie. Brinch spoglądał przez chwilę na inicjały, rozłożył grzebień, złożył go na powrót, a potem schował do kieszeni na piersi.

– Kolbein... – szepnął głosem bez wyrazu.

Kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza, po czym wyjął z kieszeni płaszcz paczkę papierosów i stuknięciem w dłoń wysunął jednego. Kiedy go wypalił, przydeptał niedopałek na podłodze, zwilżył językiem lewy kciuk i ponownie odsunął na bok włosy z czoła.

– Pójdzie ze mną.

Elias Brinch zaparkował przed główną bramą obozu. Kolbein zerknął w bladym świetle księżyca w kierunku lasu, gdzie wcześniej leżał, obserwował, notował i marzył. Teraz na własne oczy zobaczył, co się działo za kolczastym drutem. Może to ostatnia rzecz, którą dane mu będzie oglądać.

Nad musztardowym budynkiem w centrum obozu wznosiła się strażnica. Reflektory obok karabinu

maszynowego otaczały bladą poświatą białą drewnianą willę Brincha i żwirowaną drogę, która do niej wiodła. Budowla stała na niewielkim wzniesieniu za obozem, a przed nią rozciągał się brunatny skrawek ogrodu. Z sypialni na piętrze doktor musiał chyba mieć widok na całe swoje niewielkie królestwo. Kiedy wysiedli z samochodu, dwóch żołnierzy otworzyło im bramę. Byli młodzi, niespełna dwudziestoletni.

– To mój gość doktor Monsen. Będzie mieszkał w pracowni. W pomieszczeniu obok laboratorium. Każcie komuś przygotować ten pokój – odezwał się Brinch po niemiecku.

– *Jawohl, Herr Doktor Kommandant* – odpowiedział jeden z nich, salutując.

Brinch spojrział na zegarek na przegubie. Prosty, niemiecki, żołnierski model.

– Za dziesięć druga. Proszę za mną, doktorze Monsen.

Mistrz Kolbeina ślizgał się po żwirze. Przy każdym kroku stopy ledwo unosiły się nad podłożem. Plecy miał pochylone. Jak polujący drapieżny kot. Po obu stronach drogi wznosiły się zasieki uwieńczone drutem kolczastym. Za nimi stały baraki dla więźniów. Ciemne. Nieme.

Profesor zaprowadził Kolbeina do małego pokoju bez okien w baraku. Oświetlała go pojedyncza słaba żarówka. Ściany były nagie, wyjąwszy lustro nad białą umywalką. Siedli przy kulawym stole na środku.

– Nie najlepiej pan wygląda, Kolbein.

Popatrzył na swoje dłonie. Tej jesieni skóra mu zgrubiała, zrobiła się czerwona i pokryła rankami. Pod paznokciami zgromadził się ciemny brud. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że nie przeglądał się w lustrze od czasów Szkocji. Całą wieczność. Przeciągnął ręką po policzku. Początkowo w ziemiance golił się codziennie, potem kilka razy w tygodniu. A teraz... Nie pamiętał, żeby używał brzytwy przez ostatnie tygodnie.

– Co pan tu robi? – Elias Brinch przeciągnął ręką po dobrze ostrzyżonych włosach. Kąciki jego ust się napięły, odsłaniając końcówki przednich zębów w próbie przyjacielskiego uśmiechu.

– Złamał pan umowę – odparł Kolbein cicho, spuszczaając wzrok. – Pamięta pan? Bractwo miało nie działać, dopóki wszyscy się znowu nie spotkamy. Złamał pan pakt. Pan i Elsa.

Kolbein nie podnosił wzroku. Stół lekko wibrował. Brinch bębnił w niego palcami.

– Skąd pan to wie? – spytał szybko, wciąż jeszcze z pewną dozą ciepła w głosie.

Kolbein się zawahał. Najchętniej powiedziałby prawdę – o tajnych meldunkach i o Johnie. Żeby Brinch wiedział, że został odkryty, żeby zrozumiał, że Niemcy wkrótce przegrają, a on będzie skończony. Ale nie mógł. Naraziłby na niebezpieczeństwo Johna i operację w Grecji, w której tamten, jak powiedział pułkownik Hasle, miał swój udział.

– Tyłu więźniów umiera w tym obozie. Zwrócono na to uwagę. A kiedy pojawiło się pańskie nazwisko, skontaktowano się ze mną. Brytyjczycy poprosili mnie o ocenę. – Chrząknął. – A w mojej ocenie złamał pan umowę.

Czuł, że wzrok Brincha wwierca mu się w czaszkę. Przez jakiś czas panowało milczenie.

– I znalazł się pan tutaj – stwierdził profesor.

Kolbein wreszcie podniósł głowę. Twarz Eliasa była poważniejsza, niż gdy siadali. Ich spojrzenia się spotkały.

– Liczyłem trupy. Widziałem, na co naraża pan tych ludzi. Dokumentowałem pańskie zło, Eliasie.

Oddech mu przyspieszył. Był przygotowany na natychmiastową reakcję. Ale jaką? Czy Brinch rzuci się na niego tu i teraz i go zabije?

Drzwi się otworzyły i weszła drobna kobieta, przypuszczalnie przed czterdziestką, w pasiaku. Brinch zaczął szybko i rytmicznie stukać palcem w blat stołu – niecierpliwie, ale w kontrolowanym rytmie. Więźniarka pochyliła głowę, bez słowa podeszła do stołu i postawiła na nim dwie smukłe filiżanki. Potem pospieszyła z powrotem i wróciła z okrągłym dzbankiem herbaty. Kiedyś musiała być piękna. Teraz jej skórę pokryła siatka drobnych zmarszczek, włosy posiwiały na skroniach, a twarz stała się nieruchoma jak u lalki. Postawiła dzbanek między filiżankami, głęboko się skłoniła i zamknęła za sobą drzwi. Palec wskazujący Brincha się zatrzymał. Profesor nalał herbaty. Najpierw sobie, potem Kolbeinowi. Podniósł filiżankę i powąchał.

– Przekłęta wojna – szepnął. – W Wiedniu herbata smakowała dymem. Pamięta pan? – Spojrzał mu prosto w oczy. – Zapach moreli. Aromaty, które potrafiły pomieszczenie, salę wykładową wypełnić spokojem, namysłem. Wie pan, że kiedy Adolf Hitler odwiedza Berghof w bawarskich Alpach, codziennie spaceruje do herbaciarni na Mooslahnerkopf? Tylko po to, żeby wypić filiżankę herbaty. O jednym mogę pana zapewnić. Führer nie dostaje takiej mętnej zawiesiny jak ta tutaj. – Przepędził herbatę przez zęby i wypluł z powrotem. Wziął się za ściąganie oficerek. – Zło! – prychnął. – To takie średniowieczne, Kolbeinie, tak mało wizjonerskie. Niech się tym zajmują księża i politycy. – Rozprostował nogi. – Przecież sam pan widział. W laboratorium. Rasa słowiańska. Silna i pracowita, bez dwóch zdań, ale jakże ociężała umysłowo. Niezdolna do decydowania pracowita mrówka. Albo Żyd. Pasożyt żerujący na naszym dziele stworzenia. Przenika nasze społeczeństwo i naszą kulturę. Czarni? Tak niecywilizowani, że przez stulecia pozwalali Europejczykom bez oporu wykorzystywać swoją ziemię i ludzi.

Wstał, stanął przed lustrem i przeciągnął smukłymi palcami po policzkach.

– A wśród tej skarłalej genetycznie masy rasa nordycka. Germanie. Aryjczycy. My! Cywilizowani. Mądrzy. Inteligentni i myślący. Jeżeli człowiek ma przeżyć, musi przeżyć Aryjczyk! Szczury i wszy! – zawołał, odwracając się. – Rozmnażają się bezwzględnie i szybko. Szybciej niż antylopa, tygrys i sowa. Na koniec zostaną tylko te groźne obrzydlistwa. To nic innego jak czysta matematyka. – Przerwał i odgarnął włosy z czoła. – To nie kwestia ideologii – podsumował zimno i formalnie. – To kwestia higieny. – Siadł ciężko na krześle, odchylił się na oparcie i założył ręce na piersi.

Spotkali się wzrokiem. Kolbein zauważył w jego spojrzeniu pogardę.

– Więc nie gadaj mi tu o złu. W laboratorium nie ma żadnego zła. Tylko fakty. Fakty, obserwacje, hipotezy i empiria. Umowa? To była moja umowa – wypluwał słowo po słowie. – Moje badania. Moje wyniki i moje sukcesy. Zamiast ciebie mógł być ktokolwiek.

Elias Brinch zrobił kolejną długą pauzę. Wykrzywił twarz w szyderczym grymasie i ciężko dyszał. Znowu wstał, jęknął, odwrócił się plecami do Kolbeina, podszedł do ściany i powiódł palcem po deskach.

– Narodowi socjaliści chcą zacząć od nowa, Kolbeinie. – Jego głos zabrzmiał nagle szczerością. – Nowy świat. Nowa cywilizacja. Brytyjczycy? A czegoż oni by chcieli? Niczego! Zachować ten świat taki, jaki jest. Żydzi z wyższych klas zatrzymają odziedziczone przywileje, a świat tymczasem zgnije do cna. Otwórz oczy, Kolbeinie, a dostrzeżesz. – Brinch odwrócił się i oparł o ścianę. – Jakie były Niemcy w 1928 roku? A jakie wtedy, kiedy opuszczaliśmy Wiedeń dziesięć lat później? Przemiana, Kolbeinie. Wola i wiara. Siła i zdolność do urzeczywistniania idei.

Profesor przyglądał się dawnemu uczniowi ze zmarszczonym czołem, a potem, rozłożywszy ręce gestem zbawcy, uczynił pojednawczy krok w przód.

– Powiedz mi szczerze. Czy ma znaczenie, czy ci ludzie umrą tutaj, czy na polu walki? To nie są cywile. To nie są kobiety i dzieci. To żołnierze. Mężczyźni, którzy chwycili za broń, żeby poświęcić życie. Jednak zamiast umrzeć za nienawidzącą ludzi bolszewię, mogą umrzeć z pożytkiem dla ludzkości. Ich ofiara jest elementem drogi budowanej ku nowemu początkowi. Ku lepszemu światu, gdzie kierują ci, którzy mają kierować. Gdzie stworzeni do służenia mogą służyć. – Uśmiechnął się łagodnie. – Przywracamy naturalny porządek. Czy jest coś lepszego, za co można umrzeć? – Pokręcił głową. – I ty nazywasz to złem?

Kolbeina zaprowadzono do pokoiku bez okien. Na wąskim metalowym łóżku leżało ubranie robocze i prążkowany odświętny garnitur. A potem w drzwiach pojawił się Kjell Klepsland. Postawił na podłodze tacę z jedzeniem – cienką zupką i małą ilością chleba. Kolbein próbował uchwycić jego spojrzenie, lecz oficer Hirdu cofnął się zdecydowanie o dwa kroki, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Kierownik redakcji *Wiadomości* kanału TV2 Carl Solli wpatrywał się baranim wzrokiem w okienko w drzwiach.

Turid Mostu ustawiła wózek inwalidzki tak, by blokował wejście, i dopiero wtedy otworzyła. Dzieci były w szkole, ale nie miała sił znosić obecności tego człowieka w swoim domu.

– Godny miał pogrzeb – powiedział wbrew sobie. – Tu są jego rzeczy – dodał, wręczając tekturowe pudełko.

Nie odpowiedziała. Zaczęła od razu grzebać w pudle. Na samym dole wyczuła pod palcami zimny metal. Kasetka. Jørgen prosił, żeby ją zabezpieczyła, gdyby coś się stało.

– Dziękuję. Dzięki za całą dotychczasową pomoc. I za piękną mowę na pogrzebie. Wiem, że pan i Jørgen nie zawsze... – Zawahała się.

– ... byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – dokończył za nią. Barani wzrok powrócił. – Ale bardzo go poważałem jako dziennikarza – skłamał.

– Będziemy w kontakcie – pożegnała go.

Położyła sobie kasetkę na kolanach i przejechała do małego gabinetu Jørgena. Nie miała siły tu sprzątnąć, więc panował bałagan – jak dawniej. Na niewielkim blacie walały się kubki od kawy, spodki, magazyny i wycinki z gazet o masakrze w Słonecznym Spokoju. Podkreślenia i esy-floresy wskazywały, które ustępy Jørgen uważał za interesujące. Turid otworzyła szufladę w biurku i wyjęła z niej schowany tam, jak wiedziała, kluczyk. Potem otworzyła kasetkę.

Była akurat tej wielkości, by pomieścić kołonotatnik. Przekartkowała go. Sprawa Kirkerød. Szwindel w kampanii wyborczej. Chorzy naftowcy. Nowotworowy blef. Wszystkie jego dawne dzieła. Tematy, które budowały i zbudowały jego karierę. Tu zebrał nazwiska tajnych źródeł. Był tu lekarz, który dostarczył mu sfałszowane karty. Adwokaci wynoszący i ujawniający dokumenty sądowe. Doradca polityczny, który odkrył, że lokalny lider partii w fylke<sup>\*</sup> oszukuje na podatkach. Byli tu wszyscy. Ci, którzy ryzykowali stanowiska i status, więzy przyjaźni i rodzinne – ze słusznych albo mniej słusznych powodów. Zeszyt nie był gruby i nie zapisano w nim nic na temat Słonecznego Spokoju. Rozczarowana zamknęła notatnik. Dziś wieczór trafi do kominka.

Na dnie kasetki leżał telefon. Włączyła go. Nie miał hasła dostępu. „Jørgen nigdy by nie zdał żadnego testu kwalifikacyjnego na tajnego agenta”, pomyślała, wzdychając. Komórka była używana wyłącznie tego lata. I tylko w kontaktach z jednym numerem. Ostatnio w dniu, kiedy Jørgen zniknął. Był to SMS. „Spotkanie pasuje. Też mam coś do omówienia”.

Zamknęła oczy. Trzymając komórkę w obu dłoniach, ścisnęła ją. Mocno. Potem otworzyła oczy, sprawdziła, że numer jest zastrzeżony, i nacisnęła klawisz.

Rozległ się sygnał. Jeden. Drugi. Po trzecim odebrano.

– Simon Riebe, słucham?

---

\* Jednostka administracji terenowej drugiego stopnia odpowiadająca województwu.



## ROZDZIAŁ 73

Budynek hotelu wciąż rzucał długi cień, kiedy Fredrik Beier odsuwał zasłony. Poranne słońce ledwo wyszło nad lasy ciągnące się leniwie od Telemarku po Vestfold. Głowę mu rozsadzało. Mało co spał tej nocy.

Przez okno przyglądał się pozbawionemu uroku, murowano-betonowemu centrum Porsgrunn. To w tym mieście po raz ostatni widziano homoseksualną parę. Poza tym przestudiowane przez Kafę rozkłady jazdy pociągów wskazywały, że przed porwaniem Annette Wetre jechała do Oslo linią vestfoldzką. Porsgrunn leżało na tej trasie.

Na parkingu przed sklepem spożywczym pięć pięter niżej stał samochód drapieżnik Sebastiana Kossa. A gdyby Fredrik podniósł wzrok, zobaczyłby rzekę, ostatnie resztki zlewni Telemarku przed ujściem do Frierfjorden. Mieszkańcy Porsgrunn zwali rzekę Porsgrunką, ludzie ze Skien – Skienką.

Fredrik nie potrafił zrozumieć, dlaczego te dwa zrosnięte z sobą miasta nigdy się administracyjnie nie połączyły. Każde z nich miało swój pozbawiony charakteru klub piłki nożnej, każde po kilka tysięcy mieszkańców i siebie nawzajem w głębokiej pogardzie. Skien dochowało się Vidkuna Quislinga, a Porsgrunn zasłynęło produkcją klozetów. Fredrik próbował to przekazać Kafie podczas niespełna dwugodzinnej jazdy samochodem z Oslo na południe. Podejrzewał jednak, że nie była tym zainteresowana. Zachodzące nad polami słońce pyszniło się czerwienią i oranżem, kiedy minęli zjazd na Tønsberg. I kiedy zadzwoniła Turid.

Tajnym źródłem Jørgena był Simon Riebe. Lider Prawicy był informatorem kanału TV2. Przez ostatnie dwanaście godzin Fredrik powtarzał to sobie tyle razy, że kręciło mu się w głowie. Czy Jørgena zabito, bo mógł ujawnić Riebego? Skąd Simon Riebe miał tak dokładne informacje o toczącym się śledztwie? Kto go informował? Czy był tylko informowany, czy też zamieszany? Do diabła, ten człowiek szykował się na następnego premiera tego kraju!

Fredrik pokazał Porsgrunn plecy i opuścił powieki.

„Vidar Saga stracił sporo włosów, za to zyskał dodatkowe kilogramy”, skonstatował Fredrik, kiedy godzinę później, stojąc przed hotelem, mocno ścisnął dłoń dawnego kolegi ze studiów.

– Cholera, Beier, kopę lat – stwierdził komisarz policji w okręgu Telemark. Na kartoflowatym nosie tkwiły duże zaokrąglone okulary.

Fredrik z uśmiechem pokręcił głową.

– O tak. Co najmniej dwadzieścia. Pół życia.

– Amen. – Saga poprawił czapkę. Jego ulubionym ubiorem od zawsze był mundur.

Fredrik przedstawił Kafę. Vidar Saga zlustrował obcisłe džinsy i wydekoltowany top, a potem spojrzał jej w oczy.

– A więc tak dziś wyglądają agenci z centrali. Dobrze wiedzieć.

Fredrik nie potrafił zinterpretować jego tonu. O co mu chodziło? O płeć, ubiór czy kolor skóry?

– A tak, jak rozumiem, wyglądają w okręgach policjanci w podeszłym wieku – zabrzmiała błyskawiczna riposta Kafy. Jej spojrzenie przesunęło się od bladej tłustej przypominającej wielkanocną kiełbasę szyi, która oddzielała głowę od tułowia, w dół ku brzuszysku wylewającemu się z mundurowych spodni.

Po sekundzie zwłoki Saga wyciągnął do niej rękę wielkości hokejowej rękawicy.

– He, he – zaśmiał się sucho.

Zaledwie kilkaset metrów dzieliło hotel od restauracji, gdzie pięć miesięcy wcześniej po raz ostatni widziano partnerskie duo: Carla Josefsena i Pio Otamendiego.

– Zniknęli zaraz po zamknięciu lokalu. Taksówka stała tam... – Saga machnął ręką w kierunku wejścia. – Tuż przed drzwiami. Widać to na filmie z kamery monitoringu zamontowanej przed bankiem po drugiej stronie ulicy, o tam. Niestety odległość jest zbyt duża, żeby zobaczyć szczegóły, poza tym, że kierowca prawdopodobnie był sam.

W radiowozie Fredrik zajął miejsce pasażera, a Kafa usiadła z tyłu. Kiedy przejeżdżali przez rzekę i kierowali się na zachód obok ceglanych budynków dawnej fabryki Porsgrunds Porselen, Vidar opowiedział im, jak to się stało, że śledztwo utknęło w martwym punkcie.

– Ci z Kripos też tu zjechali – rzucił tonem mającym usprawiedliwić lokalną policję, kręcąc głową tak, że aż mu się trzęsły policzki. – Szukaliśmy wrogów. Byłych kochanków. Zdarza się przecież, że niektóre rodziny nie czują się komfortowo... w tak bliskim sąsiedztwie homoseksualistów. Nie wydaje się jednak, żeby to było problemem.

– A co wiecie o zaginionych? – spytała Kafa.

– Hm, tak: Carl Josefsen pochodzi z Mosjøen, z Saamów\*. Trzydzieści pięć lat. Wykształcenie zawodowe, piekarz. Pracował w piekarni w Skien. Rodziców brak. Są siostra i brat mieszkający na północy. Pio Otamendi... ma czterdzieści trzy lata, Bask z Bilbao w Hiszpanii... i całkiem znany polityk, w każdym razie lokalnie. Lubiany. Obok polityki zajmował się importem win. Nienotowani. Ani jeden, ani drugi. No, może jakiś mandat za parkowanie.

– Długo byli ze sobą związani?

– Tak, przynajmniej z dziesięć lat. Na początku trochę z przerwami. Przyjechali tutaj jakieś siedem–osiem lat temu.

– A to, że są homoseksualistami... – wtrącił się Fredrik. – Czy to mogło kogoś sprowokować? Kogoś spoza rodziny?

Policjant mruknął zirytowany.

– Nie sądzę. Absolutnie nie. Nic na to nie wskazuje. Świat idzie naprzód. Także tu, w okręgu.

Dalej jechali w milczeniu. Kręte, wąskie drogi prowadziły ich w głąb terenów na zachód od Porsgrunn. Po trzech–czterech kilometrach skręcili z głównej drogi na wyboistą żwirówkę prowadzącą przez iglasty las. Teren się wznosił. Wreszcie Saga stanął na otwartym placyku przed rozpadającym się garażem z blachy falistej.

– Tu – odezwał się. – Tu, w środku, znaleźliśmy samochód. Starego merca. Nie takie luksusy, jakimi rozbija się wasz szef.

Mercedes został przeszukany przez agentów Kripos, podobnie jak miejsce jego znalezienia. Był kradziony. Jak podejrzewają, kierowca używał rękawiczek, bo znaleziono tylko odciski palców zaginionych. Na podłodze leżała rozgnieciona ampułka. Saga wyłowił z plastikowej koszulki zdjęcie niebieskiej szklanej kapsułki wielkości dziecięcego palca.

– Zawierała resztki środka odurzającego. Sreberko na czubku było przebite, zapewne przez igłę w strzykawce. Zdaniem ludzi z laboratorium środek nie został wyprodukowany fabrycznie. Uważają, że ktoś wytworzył go sam do własnego użytku.

Zielsko przerastało żwir i rosło pod ścianami srebrzystego garażu. Policjant podszedł do bramy i pochylił się, by sięgnąć do mocnej kłódki przy ziemi. Fredrik miał wątpliwości, czy kolega zdoła się wyprostować o własnych siłach. Garaż był zupełnie pusty.

– Czyją własnością jest to miejsce? – spytała Kafa, wchodząc do środka.

– Gminy. Dawniej przechowywano tu pługi śnieżne, żwir i takie tam. Samochód został odkryty zupełnie przypadkowo. Garaż miał iść na złom.

Tam, gdzie dziury w blasze falistej przepuszczały światło, słońce rysowało na betonowej podłodze cienkie kreski. Pachniało starym olejem i wilgotną ziemią.

– Żadnych śladów? W ogóle? – spytała Kafa, patrząc na Sagę z niedowierzaniem.

Wolno potrząsnął głową.

– W każdym razie niewiele. W błocie śniegowym na zewnątrz znaleźliśmy ślad buta, zrobiliśmy coś w rodzaju odlewu. Nie potrafimy się domyślić, co to za but. Rozmiar jest męski, a kriposi szacują, że jego właściciel waży siedemdziesiąt pięć–dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Tylko że... pamiętajcie, że to było przedwiośnie, śnieg, błocko i pogoda do dupy. Równie dobrze mógł to być ślad buta któregoś z zaginionych. – Podparł się pod boki i wbił wzrok w Kafę, a ona w niego.

Fredrik wyszedł na słońce.

– Nic więcej?

– Nie.

– Jakiej budowy ciała byli zaginionieni?

Vidar prychnął przez nos.

– Jak byli zbudowani? Jak to? Przypuszczam, że zwyczajnie. Jak zwykli dorośli mężczyźni, nie

grubasy, nie chudziaki.

– W takim razie należy przyjąć, że ani Pio Otamendi, ani Carl Josefsen tu nie dotarli.

– Tak?

– Tak. Bo jeżeli osoba, która ich porwała, wynosiłaby ich stąd, musiałaby ważyć grubo ponad dziewięćdziesiąt kilo, prawda?

– A dlaczego miałyby ich wynosić?

– Ponieważ w samochodzie leżała zużyta ampułka po środku odurzającym.

Vidar Saga na dłuższą chwilę zamilkł.

---

\* Saamowie – rdzenni mieszkańcy północnej części Półwyspu Skandynawskiego.

## ROZDZIAŁ 74

Leśna ziemia ugięła się pod stopami. Drzewa liściaste, sosny i świerki walczyły o przewagę na okolicznych niskich wzgórzach. Był to teren wycieczkowy, więc mężczyzna ryzykował, że się na kogoś natknie. Dlatego poruszał się z wysiłkiem, póki nie stanął w cieniu pod grzbietem wzgórza. Tu wtapiał się w otoczenie. Pod nim znajdowało się piarżysko, prawie nie do przejścia do samego dołu, gdzie teren robił się płaski. Tam znajdowało się wejście do schronu.

Przypomniawszy mu się Afganistan, te wszystkie dni i noce, które spędził w jamach, jaskiniach i na zboczach pionowych gór. On, Waleń i karabin. W oczekiwaniu na konkretny samochód w kolumnie. Mężczyznę ze szpakowatą brodą. Agent NATO ukrywającego się wśród pasterzy kóz. Dziewczynę obwiązaną w pasie ładunkami wybuchowymi.

Tu działał sam, a Waleń był tylko twarzą na ekranie. Nie przypuszczał, że będą jeszcze kiedyś razem pracowali. Akcja w Kandaharze przeciwko gubernatorowi miała być ostatnią.

Nie miał pojęcia, jak go powiązano z zabójstwem gubernatora, ale jedna rzecz budziła w nim wściekłość. Że pozostawili przy życiu starego imama. Ta decyzja była błędna. Decyzja Walenia. W Organizacji wrzało, a dla takich pionków jak on było to niebezpieczne. Wiedział, że jest dobry, ale nie był niezastąpiony.

Rozpiął siatkę maskującą, a potem otworzył czarną torbę. Rozłożył na ziemi impregnowany kawałek materiału i wyjął karabinek M4A1 oraz magazynki do niego. Kaburę na udo ze specjalnie zaprojektowanym czeskim pistoletem CZ 75 położył obok materiałów wybuchowych. Sprawdził, czy czarne wojskowe spodnie dokładnie przylegają do butów. Wciągnął przez głowę kamizelkę kuloodporną, przypiął kaburę z pistoletem i bidon z wodą. Na koniec poluzował maskę. Przy wysiłku na silikonie od strony podniebienia zbierała się para. Obawiał się pozostawić ślady.

Olbrzym siadł w pozycji lotosu i rozłożył przed sobą laptopa. Akcja zaczęła się, kiedy Waleń da sygnał.

Dopiero co był ścigany. Groziło to fiaskiem całej akcji. Groziło jemu. Zmusiło go do działania. W ten sposób wpadł na pomysł, że nie tylko odwróci uwagę policjantów od siebie, ale także sprytnie zapewni sobie ich pomoc w dotarciu do swojego celu. Tak więc kiedy Annette Wetre uruchomiła komórkę w pociągu do Oslo, stając się tym samym widoczna dla tych, którzy umieli szukać, plan był już gotowy. Dlatego nic nie dało, że błagając i modląc się do Boga, stawiała opór bólowi i poniżeniu, jakie jej zadawał. Nie poskutkowało, że – by nie zdradzić kryjówki sekty – gryzła wargi do krwi, aż usta jej spuchły.

Otarł z brody przezroczystą kroplę.

Co czuł, kiedy oddalał się spacerkiem z Oslo S, a w jego kieszeni zawibrował telefon? Co czuł, słysząc głuchy huk eksplodującego ładunku za plecami? Triumf.

To policja skierowała go do Porsgrunn. Po serii kłopotów nowy szef Koss nie chciał tracić śledztwa z oczu. Kiedy więc wsiadł do swojego luksusowego mercedesa i pognął na południe, wystarczyło tylko go śledzić. Z parkingu niedaleko hotelu widział, że grubas, kulawiec i Pakistanka gdzieś jadą. Wjechał za nimi w las. A kiedy na leśnej drodze zobaczył zardzewiałą strzałkę z napisem „Magazyn górski Kverndammen”, elementy układanki się dopasowały. Zostawił policyjnych ignorantów ich sprawom i skręcił. To jasne, że w pobliżu był schron. Ostatnimi czasy sporo ich sprzedano jako niepotrzebną spuściznę po zimnej wojnie. Wypełnione ciszą kamienne hale. Zawsze to samo oświetlenie, stała temperatura. Zapomniane, usunięte z pola widzenia. Ze ścianami grubości kilku metrów. Idealna kryjówka dla tych, którzy mieli coś do ukrycia.

Jak pastorowie ze wspólnoty Światło Boga.

Z szacownego ratusza miasta Porsgrunn rozciąga się wspaniały widok na rzekę. Natomiast z biura obsługi klienta urzędu gminy na Storgaten, upchanego w odległym o rzut beretem klocku z cegły, widać jedynie fasadę budynku po drugiej stronie ulicy. Dla Fredrika i Kafy nie miało to znaczenia. On studiował mapy w wydziale geodezji, ona rozmawiała przez telefon z Andreasem.

Gdzie członkowie sekty mogli się ukryć?

Przyjęła ich drobna pani – gminna geodetka. Kiedy wyjaśnili, z czym przychodzą, potrząsnęła zrezygnowana głową. Teraz, niezadowolona, spoglądała na Fredrika zza monitora. Nie wyglądało na to, że policjant zamierza wkrótce ewakuować się z biura, bo powiesił sztruksową marynarkę na oparciu krzesła, długie nogi wyciągnął przed siebie, a ręce zagrzebał w szpakowatych włosach. Zgodnie z tym, co napisano na tabliczce na drzwiach, godziny pracy urzędu gminy już dawno minęły.

– Mapy są dostępne także w wersji elektronicznej – spróbowała pani inżynier.

Fredrik zamachał tylko dłonią, jakby się od niej opędzał. Musiał poznać okoliczne tereny, a to udawało mu się najlepiej z papierową mapą w ręku.

Kafa zakończyła rozmowę z Andreasem.

– Myślę, że mamy – szepnęła, nachylając się do Fredrika.

Spojrzał na nią pytająco.

– Andreas sprawdził wszystkie wypłaty, których dokonywał Plantenstedt z konta wspólnoty w filiach banku poza granicami Oslo. Siedem lat temu w lecie pastor podjął trzysta tysięcy koron w filii w Tønsbergu. Kilka godzin później taką samą sumę podjął w Porsgrunn.

– No i?

– Więc poszukaliśmy zakupu nieruchomości w okolicy w cenie około sześciuset tysięcy – ciągnęła. – I nic nie znaleźliśmy. – Błysk białych zębów Kafy świadczył, że ma jeszcze coś

w zanadrzu. – Ale Andreas rozszerzył poszukiwania. Okazuje się, że Plantenstedt podjął jeszcze dwieście tysięcy. Półtora tygodnia wcześniej. W Oslo. – Położyła swój tablet między nimi. – Zobacz.

Była tam lista zmian własnościowych w Porsgrunn sprzed siedmiu lat. Kafa wskazała palcem podświetlony tekst: „Sprzedający Państwo Norweskie przekazał prawo własności do Magazynu Górskiego Kverndammen kupującemu Solorinvest za siedemset pięćdziesiąt tysięcy koron”.

– Solorinvest! – Kafa była podniecona. – Solor. Solro? Słoneczny Spokój?

– Niech to piekło pochłonie!

Fredrik zerwał się i podszedł do geodetki, która spojrzała na niego ponad szklami okularów i uśmiechnęła się fałszywie, udając, że nie widzi podniecenia Kafy.

– Potrzebuję planów magazynu górskiego Kverndammen – rzucił. – Poza tym musi mi pani zrobić kopię umowy sprzedaży.

Kobieta wyjęła mu z ręki tablet, zmrużyła oczy, nozdrza jej się wygięły jak boczek na gorącej patelni.

– Plany zaraz znajdę, ale umowa... to może zająć więcej czasu... Jak pan widzi, gmina nie jest tu stroną. – Postukała palcem w monitor.

Fredrik uśmiechnął się z politowaniem.

Pół godziny później wróciła z archiwum i cisnęła umowę na stół. Dokument podpisał Per Olsen.

Słońce schowało się za grzbiet wzgórza. Było późne popołudnie, kiedy metalowy bolec w stalowych, odpornych na falę uderzeniową wrotach wydał głośny jęk. Opuścił się o jedną trzecią obrotu i zatrzymał, a wtedy rozległ się metaliczny huk. Zamek.

Olbrzym czekał. Jasnożółte wrota były wprawdzie pokryte plamami rdzy i odpadała z nich farba, ale zbudowano je tak, żeby wytrzymały atak atomowy. Sforsowanie ich bez szmeru było niemożliwe, ale też – niekonieczne. Od ukrycia się sekty minął bowiem ponad miesiąc. A miesiąc izolacji osłabia zdolność oceny zagrożenia. Wiedział o tym. Pod lasem, blisko wejścia do bunkra, znalazł połamane gałązki, zdeptane niedopałki papierosów i świeże ślady w wilgotnej ziemi. Tam, w środku, był ktoś, kto miał zwyczaj wymykania się na zewnątrz po odrobinę świeżego powietrza i kilka promieni słońca. To była tylko kwestia czasu.

Wejście do górskiego magazynu przypominało wlot tunelu – nawis skalny spoczywał na betonowym łuku, który chronił wrota przed spadającymi kamieniami, a przez dziesięciolecia porósł mchem i zwilgotniał. Pierwszą myślą mężczyzny było, że najbliższa okolica schronu jest monitorowana przez kamery, ale potem zreflektował się, że nie. Nowoczesna kamera monitoringu przyciągałaby uwagę. A to, czym sekta zajmowała się za tymi wrotami, stanowiło najgłębszą tajemnicę. Tak więc olbrzym przemknął do samej skalnej ściany przy stalowych drzwiach i przyklęknąwszy na jednym kolanie, wsparł łokieć o drugie, a pistolet w jego dłoniach całkowicie

znieruchomiał.

Mężczyzna, który wyszedł z bunkra, był bardziej nieostrożny, niż można się było spodziewać. Nie spojrział ani w prawo, ani w lewo, zostawił wrota otwarte i po prostu wystawił twarz do słońca z papierosem w kąciku ust. Szukał czegoś w kieszeni bluzy z kapturem. Suchy trzask tłumika był ogłuszający, choć olbrzym wiedział, że dźwięk się nie niesie. Strzelił mężczyźnie w potylicę i drugi raz między łopatki.

Po drugim strzale mężczyzna szybko osunął się na kolana, a potem z miękkim klaśnięciem padł na twarz na porośnięte mchem kamienie.

Zabójca odwrócił się, błyskawicznie zrobił trzy kroki w bok i wycelował w korytarz prowadzący w głąb góry – był pusty. Poczł tylko słaby cug zastałego powietrza.

Przejście było dość szerokie – zmieściłby się w nim samochód, a bielone betonowe ściany sięgały czterech metrów. Spotykały się ze skalnym sufitem, z którego mniej więcej co pięć metrów zwieszały się aluminiowe lampy. Naliczył ich pięć. Na końcu korytarza zobaczył kolejne stalowe drzwi, tego samego typu co przy wejściu. Schował pistolet do kabury na udzie. Chwycił ofiarę za kołnierz i spodnie, zarzucił ją sobie na ramię, zabrał karabin i wszedł do korytarza.

W ciemnym kącie obok wrót rzucił ciało, które z miękkim plaśnięciem uderzyło w beton. Ręką w rękawiczce chwycił szczękę trupa i obrócił jego twarz ku światłu. Młody człowiek. Młodszy od niego. Dwadzieścia kilka lat, brodaty, duże, niebieskie oczy. Otwarte, ale nieobecne, jak u śpiącego konia. Falujące włosy zlepiała krew płynąca z otworu w czole wielkości dużej monety, a jasna masa mózgu zatrzymywała się na krzaczastych brwiach. W ustach wciąż tkwiła końcówka złamanego papierosa. Rozpoznał go ze zdjęć ze wstępnych informacji. Fritjof Hennie, część jądra sekty. Grupa piwniczna – czy Waleń nie mówił, że tak się nazywali? Wytarł powalane krwią palce o bluzę trupa, po czym zamknął za sobą stalowe wrota. Następnie odbezpieczył karabin i pospieszył w głąb korytarza.

Przy drugich wrotach kucnął i nasłuchiwał. Były niedomknięte. Cisza. Uchylił ciężką konstrukcję. Korytarz przed nim miał taką samą długość jak ten za nim. Tu jednak na ziemi leżały plecione chodniki, a ściany ozdobiono oprawionymi w ramki widokówkami z okręgu Grenland. Temperatura była o kilka stopni wyższa.

Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą wrota. To była mieszkalna część schronu.

W obu ścianach znajdowały się pojedyncze drzwi, a na końcu korytarza jeszcze jedno, szersze. Zaczął z prawej. Sypialnie – wszystkie trzy puste. Drzwi na końcu korytarza były zamknięte.

A więc pozostawała tylko jedna droga – wahadłowe drzwi bez klamki po lewej. Znowu przykucnął i nasłuchiwał. Wydawało mu się, że słyszy cichy szmer rozmowy. Ostrożnie zdjął worek z materiałami wybuchowymi. Delikatnie nacisnął drzwi, które lekko poruszyły się w zawiasach. Pomieszczenie, do którego zaglądał, było duże, podłużne i słabo oświetlone. Na podłodze leżało pofałdowane linoleum, a ciemne plastikowe krzeselka na lśniących metalowych nogach odwrócono



i oparto siedzeniami na blatach stołów.

– Fritjof? – Męski głos zabrzmiał niepewnie, pytająco.

Odezwał się instynkt zabójcy. Olbrzym zerwał się na nogi, podniósł karabin i kopnięciem otworzył drzwi. Zobaczył, że pomieszczenie miało siedem albo osiem metrów szerokości i prawie trzydzieści długości. Dwie trzecie kantyny zajmowały stoły i krzesła. Przez rozsunięte ruchome ściany na drugim końcu widział kuchnię. Tuż przed ladą, pod zapaloną lampą, jedynym źródłem światła w sali, siedziało dwóch mężczyzn. W ścianie na prawo od nich znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Ich jedyna droga ucieczki – o ile się nie mylił. Otworzył ogień.

Strzały mimo tłumika odbijały się od betonowych ścian głośnym echem. Pierwsza seria pocisków trafiła mężczyznę odwróconego doń plecami i zamieniła połowę jego głowy w czerwony tusz. Ciało runęło w przód, przewracając stół i siedzącego naprzeciwko drugiego mężczyznę, który zniknął za blatem.

Zabójca przerwał ogień. Spojrzał dla orientacji przez celownik, po czym szybko i zdecydowanie ruszył ku środkowi sali. Przed nim myszkowało światełko lasera. Widoczność miał ograniczoną przez stoły i krzesła, ale nie miało to żadnego znaczenia. To była tylko kwestia czasu. Bo były dwa wyjścia – drzwi w ścianie i drzwi za jego plecami. Zwolnił. Napiął mięśnie pleców, ramion i karku.

Na tyle znał naturę człowieka, że wiedział: ścigany będzie uciekał. Wszystko, czego potrzebował, to dobry widok na drogę ucieczki. Wreszcie strach zwycięży i ukryty za stołem mężczyzna skończy żalną modlitwę, którą pewnie teraz odmawia. Rzuci się przed siebie z ławym szlochem i w zaszczytach spodniach, ale nie dotrze nawet w pobliże drzwi, bo gdy będzie w połowie drogi, pociski rozerwą mu serce i płuca na strzępy. Umrze z niedowierzaniem w błyszczących w świetle lampy oczach.

Olbrzym zestawiał krzesło ze stołu i rozkoszował się wywołanym przez siebie pandemonium. Dostrzegł ciało, które przedziurawił – nie więcej niż sześć–siedem metrów dalej.

Postrzał nie boli. Nie od razu. Najpierw odbiera się go jak paraliżujący kop, na przykład twardym butem do slalomu. Albo jak cios kijem bejsbolowym. Coś tak silnego, że podrywa ciało i bólu się nie odczuwa, tylko się go widzi – jako białe fajerwerki na tle czerwonej mgły. Sygnały, które wysyła rozerwana na strzępy część ciała, są tak krzycząco niezrozumiałe, tak niepojęte dla mózgu, że ten musi się wyłączyć. Wtedy w człowieku budzi się zwierzę. I przychodzi ból.

Uderzenie było tak silne, że zarzuciło go na ścianę. M4 wysunął mu się z dłoni, toteż kiedy opadł na kolana, użył obu rąk, żeby się podeprzeć. W tym właśnie momencie, czując w ustach słodkawy smak krwi, stwierdził, że prawe ramię oblewa się płonącym żarem. Ugięło się, więc upadł jak długi głową na linoleum. Uderzenie nie było mocne, dlatego zamiast go ogłuszyć, rozjaśniło mu umysł. Został postrzelony. On został postrzelony. Od tyłu. Nie rozumiał tego. Teren za nim był sprawdzony. Nikogo nie powinno tam być. Przeturlał się i napotkał spojrzenie człowieka, którego chwilę wcześniej

miał zabić.

Søren Plantenstedt podniósł się zza przewróconego stołu i wpatrywał się w niego nieruchomymi, żółtymi ze strachu oczami.

– Søren! Paul!

Zabójca zerwał kontakt wzrokowy z Plantenstedtem i odwrócił głowę. Tam. Przy drzwiach, przez które wszedł, stał człowiek – to on go zranił. W ręku trzymał półautomatycznego glocka. To był on. Nie mogło być mowy o pomyłce, chociaż twarz, która na zdjęciach od Walenia była gładko ogolona, teraz maskowała broda. Potargane blond włosy wymagały umycia. Drange był blady i przewiercał go wzrokiem. Krzyknął:

– Søren! Paul!

Søren Plantenstedt wsparł się o przewrócony stół, wydając z siebie gulgotanie. Następnie zgiął się wpół i zwymiotował. Pomarańczowobiałą pienistą cieczą.

Drange szedł przez salę. Teraz się zatrzymał. Poczekał, aż Plantenstedt się wyprostuje, wytrze oczy i usta. Morderca widział wymianę spojrzeń między pastorami. Przerażone Plantenstedta i lodowate Drangego. Lodowate i zdecydowane.

– Wynocha! – syknął Drange do Plantenstedta, machnąwszy pistoletem w stronę drzwi.

Potem wziął oddech. Wytarł pot z czoła w rękaw granatowego marynarskiego swetra. Zmrużył oczy i postąpił krok bliżej.

– Teraz umrzesz, szatanie!

Niskie metaliczne dudnienie zaskoczyło ich obu. Pastor obrócił głowę w kierunku dźwięku, a ranny zrozumiał, że to jego szansa. Rzucił się przed siebie, głową i zdrowym ramieniem torując sobie drogę pod stołami. Wokół niego waliły się krzesła. Usłyszał też trzy krótkie, ostre strzały z glocka. Pudła. Czołgał się dalej. Zatrzymywał się, nasłuchiwał i ruszał naprzód. Nagle znieruchomiał. Dopadło go przecucie. Znał je z tych wszystkich chwil, kiedy stawał oko w oko ze śmiercią i śmierć się cofała. Pojął, że jest sam. Zrozumiał, że człowiek, który go postrzelił, uciekł. Wstał.

Z zewnętrznego korytarza dobiegło go hałaśliwe wycie. Zapachniało paloną farbą i topionym metalem. Potężną szlifierką kątową ktoś wycinał sobie przejście w wewnętrznych stalowych wrotach.

Zabójca odwrócił się i pobiegł. Przymocował karabin do uchwytu na kamizelce, a potem uciekł tą samą drogą co mężczyźni, których przyszedł zabić.

## ROZDZIAŁ 75

– Jeszcze dwóch – jęknął Fredrik. – Co to za draństwo tu się wyprawia?

Spojrzał na Kafę, która pochylała się nad zabitym w kantynie. Na wprost niego przy stole z laminatu siedział Sebastian Koss. Twarz inspektora była ściągnięta i blada. Przeczesał ręką włosy i zmęczonym wzrokiem spojrzał na Fredrika. Bez słowa potrząsnął głową. Wreszcie Kafa przerwała ciszę.

– To bracia – powiedziała cicho. – Ten przy wejściu to Fritjof Hennie. Ten tutaj... trudno powiedzieć, biorąc pod uwagę, że jest tak zmasakrowany... Myślę, że to Paul Espen Hennie. – Odchrząknęła. – Ich rodzice mieszkają w Hønefoss.

– Poślemy tam kogoś – rzucił przybity Koss, patrząc na Fredrika i wzruszając ramionami. – Prawda?

– Ma syna – odparł Fredrik. – Paul Espen Hennie ma małego syna. Tak mówili uciekinierzy z sekty. Na imię mu Johannes.

Raptem za ich plecami świsnęły wahadłowe drzwi. Do sali weszło trzech uzbrojonych po zęby policjantów. Czarne kaski z dużymi łukowatymi osłonkami wisiały u pasów. Dowódca wydawał się niepewny, do kogo ma się zwracać. Fredrik przywołał go ruchem dłoni.

– Nic – zaraportował krótko policjant. – Na zewnątrz chodzą patrole. Na razie nic.

Oddział specjalny przyleciał z Oslo helikopterem mniej więcej w tym czasie, gdy policjanci z Telemarku rozpruli zewnętrzne wrota. Fredrik szedł tuż za nimi, gdy sprawdzali jedno pomieszczenie po drugim, zabezpieczywszy niewielki worek z C4. Ten sam materiał wybuchowy, którego użyto pod operą.

Schron składał się z trzech sypialni z łazienkami i toaletami, kantyny i z dużego magazynu za wewnętrznymi szerokimi drzwiami.

– Chciałbym państwu coś pokazać – odezwał się dowódca grupy.

Kafa i Fredrik poszli za nim. Policjant zatrzymał się przy stalowych wrotach, które oddzielały część mieszkalną od korytarza prowadzącego do wejścia.

– Patrzcie – powiedział i ukląkł.

Mniej więcej na wysokość centymetra nad podłogą wyrastała z betonu zniszczona stalowa listwa. Wzdłuż niej biegła biała silikonowa nitka, niewiele grubsza od włosa.

– To system alarmowy. Nitka była umocowana na wrotach, o tu. – Pokazał malutki haczyk wbity w stalową blachę kilka centymetrów nad podłogą.

Wciąż wisiała na nim pętelka z zerwaną częścią nitki. Drugi jej koniec niknął w dziurce w ścianie.

– Nitka jest dość długa, żeby wrota dało się uchylić na mniej więcej piętnaście centymetrów.

Dopiero wtedy się zrywa. – Odwrócił się do Fredrika i podrapał po głowie z milimetrowej długości włosami. – Nie wiem tylko, gdzie alarm został odebrany. Przeszukaliśmy cały schron dwa razy. Nie ma sygnalizatora dźwiękowego ani świetlnego. Za cholere nie wiem gdzie.

– No to zrobimy jeszcze jedną rundę – stwierdził Fredrik.

Zaczęli od sypialni. Trzy pokoje w amfiladzie, w każdym dwa łóżka. Fredrik porozumiał się wzrokiem z Kafą. Zbyt mało łóżek, żeby przebywała tu cała zaginiona wspólnota. Policjant zaprosił ich gestem do środkowego pokoju. Tam wskazał między łózkami niskie drzwi jak w szafce ubraniowej. Było to wyjście ewakuacyjne. Powadziło do korytarza, który wiódł na zewnątrz góry, po przeciwnej stronie do głównego wejścia, jak wyjaśnił policjant. Otworzyli je. Ściany i sufit wąskiego tunelu tworzyła surowa skała. Panowała tu wilgoć, a temperatura nie przekraczała siedmiu–ośmiu stopni. Pod sufitem wisiały słabe żarówki. Kroki całej grupki odbijały się stłumionym echem od kamiennego stropu. Po mniej więcej dziesięciu metrach doszli do stalowych drzwi w bocznej ścianie.

– Prowadzą do głównego magazynu. Korytarz ciągnie się jeszcze około pięćdziesięciu metrów i kończy mocnymi drzwiami, za którymi jest las. Były otwarte – dodał policjant.

– Trasa ucieczki – powiedziała wolno Kafa.

Weszli do pustego magazynu. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej piętnastu metrów. Jak w całym schronie, tak i tutaj temperatura była przyjemniejsza, a powietrze suche. Drzwi na korytarz ewakuacyjny zatrzęsnęły się za nimi.

– Zauważyliście? – spytała Kafa. – Tu jest nadciśnienie. Dlatego drzwi tak mocno uderzają o futrynę. Nie zatyka wam uszu? No właśnie. Nadciśnienie sprawia, że zanieczyszczone powietrze z zewnątrz nie dostaje się do środka. To się przydaje na przykład przy skażeniu radioaktywnym po ataku atomowym. Wiele schronów się tak buduje. Niemniej takie urządzenia do wytwarzania nadciśnienia są drogie w utrzymaniu. Zazwyczaj włącza się je tylko wtedy, gdy rzeczywiście występuje zagrożenie skażeniem... – Zawahała się. – Podobne urządzenie pracowało też w Słonecznym Spokoju – dodała.

Kiedy wrócili, Sebastian Koss wciąż siedział przy tym samym stole w kantine. Z niezadowoloną miną przywołał ich skinieniem dłoni.

– Siadajcie – rzucił. Zabrzmiało to jak mieszanina rozkazu i prośby.

Fredrik demonstracyjnie odwrócił się plecami i nalał z termosu dwie filiżanki parującej kawy. Jedną posłał przez stół Kafie, która podziękowała z zażenowaniem. Kossowi zaczęły pracować mięśnie szczęki. Opowiedzieli mu o wyjściu awaryjnym.

– Tak więc przyjmujemy, że mieszkało tu najwyżej sześć osób – wywnioskował Koss. – Dwie zostały zabite, co oznacza, że dwie do czterech uciekły.

– Chyba mamy powód przypuszczać, że mieszkała tu też Annette Wetre z Williamem. Bracia byli w grupie piwnicznej, w wewnętrznym kręgu. Tak samo jak ona – wtrąciła Kafa.

Koss spojrział na nią. Nie tyle nieprzyjaźnie, co pustym, zmęczonym wzrokiem.

– To prawdopodobne.

– Komórka Sørena Plantenstedta po masakrze była używana na trasie E18. Wliczając braci, Annette i Williama zlokalizowaliśmy więc pięć osób. Czy tą ostatnią był Børre Drange? Czy to uciekli dwaj pastorowie? – myślała głośno Kafa.

Koss nic nie odpowiedział.

– To mi nasuwa następne pytanie – powiedział za to przyciszonym głosem. – Co się tu, u diabła, stało?

Stuknął palcem w stół tak mocno, że Fredrik pomyślał, że Koss go sobie złamał.

– Są dwa wyjaśnienia – zabrał czym prędzej głos – albo były to wewnętrzne porachunki, albo zostali zaatakowani.

– Nie – sprzeciwiła się zdecydowanie Kafa – istnieje tylko jedno prawdopodobne wyjaśnienie.

Koss spojrział na nią zaskoczony. Nie był przyzwyczajony do policjantów podważających zdanie swoich przełożonych. Nie podobało mu się to. Fredrik podejrzewał jednak, że ten jeden raz zechce zrobić wyjątek i usłyszeć, co Kafa ma do powiedzenia – wyjątkowy wyjątek, skoro chodziło o niego.

– Pierwszego zabito Fritjofa Henniego. Strzałami w plecy i potylicę, kiedy wyszedł z bunkra. Wskazują na to ślady krwi przed wejściem, prawda?

– Tak... – mruknął Koss.

– Musiał zostać zaskoczony. Napastnik schował zwłoki wewnątrz, ale nie miał czasu na usunięcie śladów krwi. – Kafa wodziła wzrokiem od Fredrika do Kossa. – To oznacza, że na Henniego ktoś czatował. Ktoś, kto nie mógł wejść. Ktoś, kto nie był w środku mile widziany. Napastnik z zewnątrz.

Ani Fredrik, ani inspektor się nie odezwali.

– Kiedy napastnik otworzył drugie wrota, uruchomił alarm. Ale nie był tego świadom. Doszedł tutaj, do kantyny, i strzelił do Paula Espena Henniego. Hennie dostał w głowę. Wszystkie strzały utkwily wysoko, dlatego przyjmuję, że Hennie wtedy siedział. A więc także on został zaskoczony.

Koss uniósł brwi z widocznym podziwem.

– I co dalej?

– Pozostają ślady krwi tutaj. – Kafa wstała i wskazała miejsce na ścianie. – Tu została postrzelona trzecia osoba. Myślę, że był to napastnik.

Fredrik nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu.

– Tak? A skąd wiesz, że krew pochodzi od kogoś trzeciego? – spytał Koss.

– Paul Espen Hennie został zastrzelony z broni automatycznej – wyjaśniła. – Proszę spojrzeć na

rany i na rozprysk krwi.

Obeszła wkoło jednego z techników kryminalistycznych, który klęczał przy zwłokach. Koss i Fredrik poszli w jej ślady. Krew rozlała się po całym blacie lady i szerokim wachlarzem rozprysnęła w głąb kuchni. Kafa podeszła do ściany.

– Za to tutaj jest tylko kilka większych kropli krwi na podłodze oraz czysty, drobnokropelkowy rozprysk na ścianie. – Wskazała palcem znak na betonie, mniej więcej pół metra w prawo od delikatnego krwawego tuszu. – A tu mamy pocisk. Dziewięć milimetrów. A więc z broni ręcznej. – Wróciła do mężczyzn. – Fritjof Hennie został na zewnątrz zastrzelony z pistoletu. To logiczne, ponieważ napastnik zaczął się w ukryciu. Żeby zaatakować, gdy odległość i moment będą dogodne. Sądzę, że użył tłumika. Bo gdyby nie zależało mu, czy zostanie odkryty, nie przejmowałby się ukrywaniem zwłok. – Szybko upiła łyk kawy. – Jednak napastnik nie wiedział, co go czeka w środku. Dlatego skorzystał z broni automatycznej. Zaskoczył Paula Espena Henniego i strzelił do niego, zanim sam został zaskoczony i postrzelony, tu, przy ścianie. To umożliwiło pastorom ucieczkę. Sprawca poszedł w ich ślady: uciekł jedyną drogą, którą można było zwiać, nie natykając się na nas.

Koss spojrział na Fredrika, odchrząknął, zawahał się, aż w końcu wycedził:

– Zobaczymy. Zobaczymy, co wykażą analizy. – Potem opuścił ich truchtem.

Fredrik wyszczerzył zęby.

– Jeżeli masz rację, czeka nas przełom – powiedział cicho. – Jeżeli masz rację i krew na ścianie to krew sprawcy, mamy szansę go zidentyfikować.

## ROZDZIAŁ 76

Fredrik się ocknął. Prawie nie spał, jedynie podrzemywał, podczas gdy jego myśli krążyły wokół tego, co zobaczył w górskim schronie. A raczej wokół tego, czego nie zobaczył.

Nie mógł wyrzucić z głowy powodu, dla którego w ogóle się tu znaleźli. Dwójki homoseksualistów. Gdzie byli? A przynajmniej ich zwłoki. Czy istniała jeszcze jedna kryjówka?

Coś tu nie grało. Cały czas go to męczyło, aż wreszcie zrozumiał co konkretnie. Ładunki wybuchowe. C4 jest materiałem wybuchowym używanym przez wojsko i niełatwo uzyskać do niego dostęp. Skoro C4 wykorzystano pod operą, można przyjąć, że napastnik nosił go z sobą. Do czego potrzebne mu były ładunki wybuchowe? Przecież nie do wysadzenia wrót do schronu. Wybuch narobiłby za dużo hałasu. Pastorowie mieliby aż nadto czasu na ucieczkę albo na organizację obrony. Zabójca nie zamierzał też wysadzić w powietrze całego schronu, bo na to materiału wybuchowego by nie starczyło. A więc chodziło o coś innego we wnętrzu góry, o coś, co należało wysadzić, usunąć z mapy. Uczynić niewykrywalnym.

Chwila. Usunąć z mapy? Usiadł w pościeli. Wciąż jeszcze była noc. Zegarek wskazywał za dziesięć czwartą. Coś przeoczyli, a teraz wiedział co. Ta świadomość sprawiła, że z miejsca otrzeźwiał. Wstał i spojrzał na śpiące miasto. Był tak przekonany, że ma rację, że włączył ekspres. Poszedł do łazienki, żeby zmyć z siebie resztki snu. Obwiązany w biodrach ręcznikiem siadł przy biurku i dopiero wtedy rozwinął plany schronu. Wystarczyło, że rzucił na nie okiem, by zyskać pewność. Tak cholernie oczywiste. Miał to przed oczami cały pieprzony dzień i nie widział!

Głos Kafy był zaspany i zdezorientowany, kiedy odebrała.

– Główny magazyn, Kafa. Jest za krótki – powiedział, nie dając jej czasu na refleksję. – Oglądam teraz plany. Zgodnie z projektem powinien być dużo większy. Tam musi być ukryte pomieszczenie. W schronie. Z wejściem w głównym magazynie. Jeszcze jedno laboratorium.

Kafa głośno wciągnęła powietrze.

– Aha... Tak. No i? – zamamrotała, po czym odchrząknęła. – Dlaczego myślisz, że tam jest laboratorium?

– Nadciśnienie. Nie jest tam po to, żeby chronić bunkier przed skażeniem z zewnątrz. Nadciśnienie ma chronić przed skażeniem od wewnątrz. Z laboratorium. Zapewnić, że strumień powietrza z laboratorium zostanie wyciągnięty wentylacją poza schron.

– No i? – powtórzyła. – Jaki z tego wniosek?

– Cholera wie. Ale za dziesięć minut spotykamy się w holu, żeby się tego dowiedzieć. Ty

dzwonisz do chłopaków z oddziału specjalnego, ja do Kossa.

Odnalezienie tajnych drzwi zajęło im godzinę. Były dobrze ukryte.

Co do jednej rzeczy Fredrik nie miał racji. Wejście nie znajdowało się w głównym magazynie. Ściana tam była mocna i zwarta. Akurat zaczęli dyskutować, czy mają się przebijać przez beton, gdy z kuchni rozległo się wołanie Kafy.

Fredrik, Sebastian Koss i czterech z Deltę ostrożnie minęli wciąż zajętych w kantine techników. Zwłoki Paula Espena Henniego leżały na noszach pod prześcieradłem. Jego mózg pozostał na podłodze.

Kuchnia była po prostu przedłużeniem kantyny. Składały się na nią półki, blaty robocze, zmywarki, dwie duże kuchenki, zamrażarki i lodówki. Wszystko z lśniącego przemysłowego aluminium. Na półkach zgromadzono setki teraz zakurzonych filiżanek, spodeczków i szklanek.

Kafa wskazała palcem coś, co wyglądało jak wlot kanału wentylacyjnego, mniej więcej na wysokości dwóch i pół metra nad jedną z lodówek. Potem przeciągnęła stopą po podłodze. Cienkie wygięte kreski na linoleum świadczyły o tym, że lodówka była przesuwana.

Fredrik przyniósł krzesło i przystawił rękę do kratki.

– Cug idzie z kuchni – stwierdził.

Na widok min pozostałych Kafa pospieszyła z wyjaśnieniem.

Nowoczesnych, lakierowanych na biało metalowych drzwi za lodówką nie próbowano nawet zamaskować. Były zamknięte, ale wystarczyły cztery minuty pracy palnika i usłyszeli brzęk spadającego na ziemię stalowego bolca. Żołnierze z Deltę założyli maski przeciwgazowe i zajęli pozycje. Jeden po prawej stronie drzwi, drugi po lewej i dwóch gotowych do wejścia.

Fredrik i Kafa przypięli kabury z pistoletami, a Koss wciągnął przez głowę kamizelkę kuloodporną. Dowódca grupy czekał na znak Kossa. Kiedy go dostał, kopnął drzwi i runął w ciemność.

– Policja! – wrzasnął.

Policjanci na flankach nie zdążyli przekroczyć progu, gdy odrzuciła ich silna eksplozja. Wylądowali na plecach, wymachując rękami i nogami jak odurzone kałamarnice.

Oślepiający błysk i ogłuszający huk spowodowały, że wszyscy rzucili się na podłogę. Fredrik natychmiast zrobił się mokry od potu, bębniaki go rozboleły, a w skroniach zatętniała krew. Zabrakło mu tchu. Usiłował za wszelką cenę utrzymać jak najwięcej powietrza w płucach, śmiertelnie przerażony mdłościami, które, jak wiedział, pojawią się, jeżeli zostawi choć odrobinę miejsca nad przeponą. W rękach i stopach czuł mrowienie, marzył. To był strach. Przestrzeń wokół niego się skurczyła. Przysunęły się ciemne ściany. Pole widzenia się zawężyło. To się nie uda. Widział to. Przez chmurę pyłu przyglądał mu się Koss. Fredrik podparł się rękami o ziemię i tak pozostał, na czworakach. Wydawało mu się, że słyszy krzyki. To nie on krzyczał. Skoncentrował się na kolejnych



haustach powietrza. I oddychał. Oddychał.

Fredrik Beier miał trzynaście lat, kiedy dostał pierwszy adapter. Zdarzało się czasem, że mocno przyciskał kciukiem papierowe kółko na płycie, tak że obroty ustawały, a muzyka milkła. A potem puszczał. Zawsze fascynowała go ta chwila, ułamki sekund, nim prędkość obrotów wróci do normy. Jakby czas się zatrzymał i potrzebował chwili, żeby ruszyć na nowo.

Tak się czuł, kiedy otworzył oczy, napełnił płuca pyłem i tlenem i podniósł głowę.

Cała ściana przed nim wykrzywiła się i popękała. Próg chyba wysadziło, bo metalowe drzwi były na wpół otwarte i pojękiwały za każdym razem, gdy pompa próżniowa próbowała je domknąć. Obaj policjanci, których odrzucił wybuch, byli już na nogach i pochylali się nad leżącym przed nimi na ziemi kolegą. Był to policjant, który szturmował wejście zaraz za dowódcą.

Kafa i Koss zniknęli. Pędem minął go jeden z techników w kombinezonie ochronnym poplamionym na piersi krwią. Ściągnął kaptur, który teraz przypominał zielono-biały garb. W rękę trzymał defibrylator. Pchnął na bok metalowe drzwi i zniknął w ciemnościach.

Fredrik powrócił do normalnej prędkości.

Pistolet tkwił dalej w kaburze na udzie. Przepecone ubranie było mokre i zimne. Ale łomot serca ustał. Nagle odezwało się szczególnie silnie poczucie bycia tu i teraz. Zmysły na wyścigi rejestrowały wrażenia, a mózg na bieżąco je analizował. Fredrik włożył okulary na nos i ruszył.

Wchodząc do laboratorium, napotkał wzrok leżącego policjanta – zdezorientowany i pełen złości. Koledzy właśnie bandażowali mu kostkę, a on sam przytrzymał gazę na brodzie.

– Trzymaj! – Okrzyk Kafy wyrażał zdecydowanie.

Fredrik stanął w drzwiach. Na podłodze w ciemnym wąskim korytarzu biegnącym wzdłuż ściany kuchni klęczeli Sebastian Koss i technik. Między nimi leżał dowódca grupy specjalnej. Kafa podała Fredrikowi silną latarkę. Przebiegła koło niego, a on oparł się o futrynę.

– Przyniosę lampę. Karetka jest w drodze – rzuciła w biegu.

Koss z technikiem rozerwali ubranie na klatce piersiowej rannego. Gdy Koss wykonywał nieprzerwanie masaż serca, technik próbował na owłosionej piersi policjanta umocować elektrody. Ranny miał szarą i błyszczącą od potu skórę. Oczy zamknięte. Kiedy Kafa wróciła z silną lampą halogenową, elektrody były już przytwierdzone. W ostrym świetle Fredrik dostrzegł, że lewa noga policjanta została oderwana mniej więcej w kolanie, a kikut ściśle obwiązano ręcznikiem. Prawa noga była cała, lecz łydka została wykręcona pod nienaturalnym kątem.

– Nitka pułapka jak w tamtym korytarzu – odezwała się Kafa.

Kucnęli po obu stronach ocalałej nogi i zaczęli rozcinać spodnie.

– Ładunek wybuchowy umocowany nisko na ścianie. Mina, jak sądzę.

Kafa przyglądała mu się bystro. Jej duże ciemne oczy błyszczały. Twarz znaczyły zaschłe kropelki krwi. Pracowała szybko i sprawnie. Kość strzałkowa policjanta była złamana, a z otwartej rany

wystawał biały piszczel.

– Dobrze się czujesz? – spytała cicho.

Fredrik kiwnął głową.

– Na chwilę straciłem oddech – powiedział. – Pył musiał się dostać do płuc.

Kiedy wynosili rannego z wąskiego korytarza, pojawiła się ekipa karetki.

– Jadę z nim do szpitala. Wy zostajecie tutaj. Policja ze Skien jest w drodze. Saperzy zawiadomieni. Nikt nie wchodzi do innych pomieszczeń bez uprzedniego porozumienia się ze mną. Wy dwoje, żadnych wybryków i działania na własną rękę. To nie jest osobista vendetta! Zrozumiano?

Skołtunione i obsypane pyłem włosy Sebastiana Kossa przylegały do czaszki. Rękawy koszuli zawinął do łokci, w białych, zakrwawionych lateksowych rękawiczkach wyglądał jak makler giełdowy w rowie strzeleckim. Obrzucił ich surowym spojrzeniem zmrużonych oczu, odwrócił się i zniknął.

Wąski korytarz za kuchenną ścianą miał siedem–osiem metrów długości i zaledwie metr szerokości. Na jego końcu znajdowały się metalowe drzwi, takie same jak te wysadzone w powietrze.

Kafa wsparła ręce na krzyżu i zapatrzyła się w wysoki sufit. Nadal miała kamizelkę kuloodporną na bluzie treningowej, a na udzie kaburę z pistoletem. Na szyi tak jak Fredrik zawiesiła białą plastikową maskę z filtrem powietrza.

W świetle reflektora nietrudno było dostrzec, gdzie umieszczono ładunek wybuchowy. W głębi korytarza, około metra od wejścia, dwadzieścia pięć centymetrów nad ziemią beton był osmalony i popękany. Wybuch zrobił zagłębienie w miejscu, gdzie przytwierdzono minę.

Gdzie, u diabła, wspólnota Światło Boga zdobyła coś takiego? Fredrik przecesał ręką włosy pozlepiane potem i pyłem.

Kafa zbierała pęsetką resztki miny do przezroczystej plastikowej torebki. Oderwaną nogę policjanta zabrała karetka, ale na ziemi pozostały zakrwawione strzępy materiału i skóry i kałuża krwi.

– Nie zostawisz tej roboty technikom?

– Muszę się czymś zająć – mruknęła.

Już miał jej odpowiedzieć, gdy podniosła głowę jak jeleni, kiedy wiatr przyniesie mu obcy zapach. Gestem zasygnalizowała, by był cicho. Niepotrzebnie. On też to usłyszał. Słabe śpiewne klikanie. Przekradł się pod zamknięte drzwi na końcu korytarza, tam dźwięk się powtórzył. Mocniejszy.

– To coś w środku – potwierdził po powrocie. – Jakby... uderzało?

Nie odpowiedziała. Klikanie było nieregularne i brzmiało ze zmienną siłą.

– Wchodzimy – zdecydował Fredrik.

– Ale... Koss dał wyraźny rozkaz, żeby...

– Dopiero wróciłaś do roboty po tym, jak centymetry dzieliły cię od tego, by zdmuchnęło ci głowę.

Mój kumpel nie żyje. Jednego z naszych kolegów właśnie rozerwało na strzępy. Sram na to, co mówi Sebastian Koss. To będzie, kurwa, tak osobiste, jak się tylko da. Wiesz równie dobrze, jak ja, że ten dźwięk pochodzi od człowieka. Wchodzimy!

Kafa spojrzała na niego ze zważaniem, gdy szybko ją mijał, by rzucić okiem na kantinę. Wkrótce będzie tu lokalna policja i przejmie dowodzenie, a Fredrik wiedział, co wtedy zrobią. Nic. Bez posiłków nie zrobią nic. Odwrócił się, wyjął pistolet z kabury i nasunął maskę na nos i usta.

Kafa już czekała w pogotowiu.

*Lista, listopad 1943 roku*

W pokoiku bez okien Kolbein stracił poczucie czasu. Godziny wydawały się minutami. Minuty trwały wieczność.

Minęło dziewięć nocy, odkąd ulokowano go w izbie przy laboratorium. Co rano budził go niezadowolony i poważny Kjell Klepsland, przynosząc na tacy śniadanie – suchy chleb i śledzia. Nie odzywał się ani słowem.

Po śniadaniu pojawiał się Elias. Kolbeinowi wolno było zrobić poranną toaletę w pokoju, w którym za pierwszym razem pili herbatę. Resztę czasu spędzali w laboratorium.

Więźniowie byli jedynie szarymi cieniami za niemytym oknem. Prostokątny pokój miał osiem na dwadzieścia metrów. Kolbein zmierzył go krokami. Długa, prawie dwudziestometrowa metalowa lada dzieliła pomieszczenie na pół. W pobliżu drzwi piętrzyły się na niej dokumenty i podręczniki. Służyła też jako stół sekcyjny – pośrodku miała zagłębienie i odpływ dla płynów ustrojowych. Na końcu zamieniała się w biurko profesora. Pod blatem stał sejf, a na półkach wzdłuż ściany rozciągała się galeria ludzkich kości. Palce, kości udowe, czaszki i obojczyki. Kilka z nich oznaczono kodem liczbowym i tekstem: „00100434 Europa Środkowa, kwiecień 1942” albo „00200430 ZSRR, wschodni Ural, maj 1942”. Na przebarwionym piszczelu widniał napis „Hg”, symbol chemiczny rtęci.

Każdego przedpołudnia pojawiał się Klepsland z tacą z lunchem i gazetami, które Elias zabierał ze sobą do willi. Profesor wypełniał dni czytaniem, notowaniem i sprawdzaniem swojej pracy. Potrafił godzinami nie ruszać się z miejsca, zjadał trochę chleba i wpatrywał się przed siebie z zamyśloną miną.

Pewnego dnia przywołał Kolbeina gestem. Polizał palec i odgarnął grzywkę.

– Masz kontakt z kimś z reszty?

– Nie – skłamał Kolbein.

– A ja tak – oznajmił niepytany. – Z Elszą.

Kolbein zauważył badawcze spojrzenie profesora, szukające oznak gniewu, nienawiści czy rozpaczki. Miał rację, szukając. Czy Elsa i profesor spali ze sobą, kiedy jeszcze była jego? Czy Elsa nie była mu wierna? Te pytania już tak długo w nim kipiały. Przysięgł sobie jednak, że Brinch nie będzie się cieszył świadomością, jaki ból mu zadał. Odpowiedział więc na spojrzenie Eliasa pustym wzrokiem.

– Pozostali... się rozproszyli. John pojechał do Szkocji. Ulf wrócił do Szwecji. A Thomas został

zmobilizowany. Żyd pewnie ukrywa się ze szczurami. A Końska Szczęka po prostu zniknęła – dokończył Brinch.

Po tej rozmowie prawie się do siebie nie odzywali. Nie dlatego, że Kolbein nie chciał. Czuł potrzebę zrozumienia. Dlaczego profesor namówił Elbę do odebrania mu córki? Dlaczego Elias zawiesił oko na Elsie, kiedy mógł sobie wybrać którąkolwiek? Chciał wiedzieć, czy zło płynęło w Brinchu już wtedy, gdy w Wiedniu wziął go pod swoje skrzydła. Czy sam wybrał swój los, czy też los wybrał jego? Tyle pytań. Po prostu nie miał pojęcia, od czego zacząć. Słowa, których potrzebował, nie przychodziły mu do głowy. A profesor milczał.

W laboratorium miał swobodę. Brinch machał nonszalancko ręką, kiedy z pytaniem w oczach unosił notatniki, badał zawartość butelek na półce z chemikaliami i otwierał szuflady archiwum. Było tu wszystko. Całe archiwum Wiedeńskiego Bractwa, cała ich korespondencja i zapiski z doświadczeń. Profesor nie zdradził, po co go trzyma, więc Kolbein czytał. Badania, które profesor tu prowadził, były w gruncie rzeczy prymitywną formą eksperymentu. Brinch podzielił więźniów na grupy według ras. W jednym baraku zgromadził radzieckich żołnierzy o wschodnioazjatyckich korzeniach. Drugi zamieszkiwali Łotysze, a trzeci jeńcy z równin Ukrainy. Przez miesiąc więźniowie otrzymywali ekstremalne dawki witaminy A. W pierwszej grupie dało to dużą liczbę uszkodzeń trzustki i wątroby. Łagodniejszą postać wewnętrznych uszczerbków z wyraźniejszymi oznakami zewnętrznymi takimi jak utrata owłosienia i przebarwienia skóry – w grupie drugiej. Najwięcej przypadków śmiertelnych w grupie trzeciej. Dwa miesiące później do wody pitnej dodawano rtęci. Depresja, halucynacje, kaszel, plucie krwią i skurcze mięśni musiały życie w obozie uczynić piekłem. I tak to się ciągnęło. Witamina D. Żelazo. Cynk. Różne drożdżaki. Salwarsan stosowany w leczeniu syfilisu i insulina.

Nie było w tym metody, żadnego planu. Chemikalia, lekarstwa i dodatki do żywności testowano na ludziach jak na szczurach. Kiedy któryś umierał, zastępowano go nowym. Tu nie było izby chorych. Tylko obserwatorium. Logiczne. Chcesz zobaczyć skutek przedawkowania, nie ma sensu leczyć objawów. Kolbein był zaskoczony. Jakże daleko odbiegało to od systematyczności, którą profesor głosił w laboratorium w Wiedniu. Nawet pod koniec. Od metodyki, która zaprowadziła ich tak daleko. Mimo to lektura zaabsorbowała go całkowicie. Nigdy nie spotkał się z obszerniejszą dokumentacją podstaw zróżnicowania rasowego.

Kiedy dziewiątego dnia zjedli popołudniowy posiłek, profesor podszedł do Kolbeina.

– Dziś wieczorem świętujemy z naszymi niemieckimi przyjaciółmi Dzień Pokutny. Oczekuję cię w willi – powiedział.

## ROZDZIAŁ 78

Kiedy Fredrik oparł się całym ciężarem o drzwi, rozległ się słaby szum, a na betonie pojawił się pas jasnego światła. Ostrożnie sprawdził szparę w poszukiwaniu linek.

– Nic – szepnął w końcu.

Nasłuchiwali. Uderzenia stały się głośniejsze. Popchnął drzwi o kolejne dziesięć centymetrów. Znowu sprawdzili próg. Jeszcze pięć centymetrów. Wystarczyło, by Kafie udało się przecisnąć. Mijając go, popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pistolet trzymała przy boku. Maską musnęła pierś Fredrika.

– O Boże!

Usłyszał, jak wciąga powietrze. Po chwili w szparze między drzwiami a ścianą pojawiła się jej twarz.

– Możesz wejść.

Pomieszczenie było wielkie jak sala gimnastyczna. Na skalnym suficie wisały świetlówki. Ich światło odbijało się od błyszczącego aluminiowego stołu na środku. Pod jedną ścianą stały takie same półki z takimi samymi instrumentami i takie same lodówki jak w Słonecznym Spokoju. Laboratorium. W pewnej odległości od drugiej ściany zbudowano prawie dwumetrowe przepierzenie. Było w nim troje drzwi, które zapewne prowadziły do małych wydzielonych pokojków. Uderzyła ich w nozdrza silna woń dezynfekujących środków czyszczących zmieszana z jeszcze innym zapachem. Słodkawym, duszącym odorem zwłok.

Na podłodze obok aluminiowego stołu leżała biała plastikowa płachta, a na niej rozczłonkowane ciało mężczyzny. Głowa z ciemnymi ulizanymi włosami odwrócona twarzą do ziemi – rozcięta, z widocznym kręgiem szyjnym i rurką tchawicy. Podbrzusze odcięto tuż pod pępkiem, odcięto też nogi tak, że zachowano pięć centymetrów ud. Obok leżały stopy odrąbane powyżej kostek. W torsie ziała otwarta do sekcji klatka piersiowa. Para rąk. W lewej dłoni brakowało małego palca. Na stole leżała rzeźnicka piła.

Fredrik i Kafa wymienili spojrzenia. Policjant mocniej ujął chłodną rękojeść pistoletu i głośno przełknął ślinę. Poszli, każde po swojej stronie blatu – Kafa od strony półek i szafek, Fredrik od strony przepierzenia. Kiedy przechodził obok z maltretowanych zwłok, nie potrafił się powstrzymać i rzucił okiem. W otwartej klatce piersiowej wciąż znajdowały się płuca i serce. Brunatny żołądek wypadł, niszcząc czystą linię cięcia, i leżał na plastiku jak pomarszczona kobza. Proces gnilny już się rozpoczął. Fredrik przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Metaliczny stukot zabrzmiał teraz wyraźnie. Wydobywał się zza pierwszych drzwi w przepierzeniu.

Sprawdziwszy laboratorium od góry do dołu, poczuli się pewni, że nie ma więcej pułapek.

Otworzyli jedną z dwudrzwiowych lodówek pod ścianą. Była pełna po brzegi. W jednej części znajdowały się setki probówek grubości palca osadzonych w delikatnych plastikowych statywach. Każdą przykrywał niebieski kapsel, zawierały wodnistą ciecz. Drugą część wypełniały stosy szalek Petriego. Po dziesięć w rzędzie i na wysokość. Niektóre wydawały się puste, inne zawierały różne substancje. Zawartość kilku przypominała niewielkie meduzy, gdzie indziej wyglądała jak szarobiałe grudki pleśni albo zaschła sperma. Kafa zamknęła lodówkę. Nie potrzebowali słów, by się porozumieć. Nareszcie się dowiedzą. Klik, klik, klik – rozległo się stukanie. Fredrik wskazał palcem najodleglejsze drzwi.

– Zaczniemy od tych. Pokój ze stukaniem na końcu.

Przyjął pozycję, trzymając oburącz pistolet. Pewnie. Żadnego strachu. Żadnego potu ani walenia w piersi. Lufą pistoletu dał sygnał Kafie, która otworzyła drzwi. Pokoik był mały i ciemny. Przy ścianie stał piec do spalania. W kwadratowych drzwiczkach zmieściłyby się akurat największe części rozczłonkowanych zwłok.

W następnym pomieszczeniu znaleźli magazyn. Wszystkie ściany pokrywały półki zapełnione laboratoryjnym sprzętem.

Stukot ustał. Fredrik ustawił się w pozycji strzeleckiej. Kafa patrzyła na niego w napięciu. Czoło jej lśniło od potu, wysunęła dolną szczękę. Czekwała na znak, by otworzyć ostatnie drzwi.

Ściany i sufit wyłożono białymi gipsowymi płytami jak w pozostałych pokoikach, tu jednak przykrywały je grube stalowe kraty. Na bocznych ścianach umocowano wąskie prycze. Duży kaloryfer zapewniał temperaturę znacznie wyższą niż dwadzieścia stopni. Drzwi, które od zewnątrz wydawały się cienkie, wzmocniono od wewnątrz grubą stalową płytą, a klamkę usunięto.

Nie było jednak zagrożenia, że nagi mężczyzna leżący na szpitalnym łóżku na środku pokoju ucieknie. Materac był obciążony plastikiem, a przez poręcz łóżka przewieszono prześcieradło z żółtawymi plamami. Mężczyzna był średniego wzrostu, a cerę, niegdyś zapewne zdrową i oliwkowej barwy, miał chorobliwie bladą. Ciemne niemyte loki otaczały wychudzoną twarz pokrytą podbiegniętymi płynem pęcherzykami. W miejscach, gdzie pęcherzyki popękały, skóra lśniła lepka żółcią. Najgorsza była twarz, ale również ramiona, pierś i nogi miał usiane wodnistymi krostami wielkości ziarenek kawy. Oddychał chrapliwie i z trudem, z prawie pustej torebki na metalowym statywie płynęła przez wenflon do ręki przezroczysta ciecz. Od smrodu kału, uryny i tłusto-słodkiego odoru ropy Fredrikowi zachciało się rzygać. Kiedy mężczyzna uchylił powieki i ich dojrzał, lekko uniósł ręce i zaraz je opuścił. Kajdanki na wiotkich nadgarstkach zabrzęczały, uderzając o ramę łóżka.

– Pio – szepnęła Kafa. – Znaleźliśmy Pio Otamendiego i Carla Josefsena.

Wszystko, co działo się potem, Fredrik pamiętał mgliście. Przyjazd miejscowej policji. Mężczyzn w żółtych przeciwzakaźnych kombinezonach ochronnych. Wściekły głos dyszącego złością, ale

bezsilnego Sebastiana Kossa w komórce. Informację o śmierci policjanta z grupy specjalnej.

– Widziałeś to? – Głos Kafy przebił się przez mgłę i Fredrik odwrócił się w stronę partnerki.

Od ostrego światła w laboratorium bolały go oczy. Zmrużył je, patrząc na to, co trzymała w ręku.

Fotografia.

– Wisiała tam, na ścianie nad mikroskopem. – Pokazała palcem.

Czarno-białe zdjęcie. Osiem osób. Pięć stojących, trzy siedzące. Zrobione przed reprezentacyjnym budynkiem, którego nie rozpoznawał. Stoją sami mężczyźni. Czterech z nich w ciemnych garniturach, jeden – z kręconymi włosami i w okrągłych okularach – w czymś podobnym do lekarskiego fartucha. Uśmiechają się. Jeden pali fajkę.

Przed nimi siedzi mężczyzna, najwyraźniej punkt centralny fotografii, nieco starszy od pozostałych, może tuż po czterdziestce. Pochyla się lekko w przód i intensywnie wpatruje w obiektyw. Po obu jego stronach siedzą kobiety, niepodobne do siebie jak dzień i noc. Jedna pozbawiona urody, kanciasta i bezbarwna. Druga żywe srebro i flirtiera. W prawym rogu napis „Wien 1931”, a pod nim „Wiedeńskie Bractwo przetrwa. Twój przyjaciel Elias”.

Fredrik potrząsnął głową, nic nie rozumiał. Kafa odwróciła fotografię. Na jasnobrązowej tekturce wyrobionym charakterem pisma utrwalono osiem nazwisk. Przeczytała je głośno.

– Od lewej: Ulf Plantenstedt, żyje. Thomas Bergmann Hagelin, nie żyje. Kolbein I. Monsen, nie żyje. John Monkland Acton, nie żyje. Sigmund Blatt, nie żyje. Lubow Pasiecznik, żyje? Elias Brinch, żyje. Elsa Schrader, nie żyje.

Fredrik zmarszczył brwi.

– Ulf Plantenstedt? – powtórzył z wahaniem.

– Mnie też to uderzyło – przyznała Kafa.

Wyjął jej z rąk fotografię. Przyjrzał się badawczo pulchnemu mężczyźnie w ciemnym prążkowanym garniturze.

– To nie może być przypadek – ciągnął.

Bo i skąd? Polowali na Plantenstedta. Søren Plantenstedta. Nazwisko nie było tuzinkowe. Czy to był syn tamtego? Może wnuk?

Kafa przejrzała myśli Fredrika.

– Rodzice Søren Plantenstedta nie żyją – rzuciła. – Pamiętasz, jak o tym mówiliśmy? Zanim ten typ zaatakował nas na strychu.

Fredrik zaprzeczył lekkim ruchem głowy.

– Zmarli, kiedy miał dwanaście lat. Zginęli w wypadku samochodowym. Potem przeprowadził się do dziadków. Uciekł od dziadka po śmierci babki – przypomniała.

Fredrik już miał jej oddać fotografię, gdy nagle coś go tknęło. Sprawdził jeszcze raz nazwiska na odwrocie, a potem przyjrzał się spod zmrużonych powiek mężczyźnie w środku tylnego rzędu.



Średniego wzrostu, włosy ciemnoblond, na ustach chytry uśmiezek.

– Kolbein I. Monsen – odezwał się nagle. – On żyje. Spotkałem go. – Wpatrzył się w Kafę. – Był na zebraniu weteranów w Związku Oficerów w Oslo. Bardzo stary. Jakiś bohater wojenny czy coś. Razem z Andreasem rozmawialiśmy tam z Kari Lise Wetre. Towarzyszył jej przy stole.

## ROZDZIAŁ 79

Chmury wisiały nisko nad wodą. Fredrik stał nad rzeką z pełną garścią niewielkich kamyczków. Przedpołudnie zajął mu sen – pełen obrazów i niedający odpoczynku.

Rzucił kilka kamyczków w wiry przy brzegu. Poobijały się o siebie bezładnie w zalewającej je wodzie, zanim poszły na dno. Zdane na własny los. Zbliżała się czwarta.

Wciąż starał się pojąć to, co zobaczył – na łóżku, w celi więźnia, w laboratorium. Poćwiartowanego mężczyznę. Drugiego zżeranego przez chorobę. To zmieniało wszystko.

Do tej pory ścigali cienie. Zabójcę z niejasnym motywem, który zmasakrował część niewielkiej wspólnoty religijnej w posiadłości z dala od głównych dróg. Tajna piwnica, sekciarskie tendencje, przygotowania do Sądu Ostatecznego... Oczywiście wyczuwał, że dzieje się coś niedobrego. Ale to? Wspólnota Światło Boga uprowadziła, torturowała i zabiła niewinnych ludzi...

Zaokrąglony kawałek granitu dobrze układał się w dłoni. Fredrik cofnął się o krok i wycelował w stary słupek wbity w muliste dno rzeki. Wypowiedział na głos swoją myśl:

– Wspólnota uprowadziła, torturowała i zabiła niewinnych ludzi.

Kamień przeleciał kilka metrów od celu.

A co w takim razie z człowiekiem, którego ścigali? Z zabójcą ze Słonecznego Spokoju, potworem bez twarzy, który prawie odstrzelił Kafie głowę? Który porwał i zabił Annette Wetre? Który porwał i zabił jego przyjaciela Jørgena? Kim on, u licha, był? Czy stał po stronie zła? Czy dobra?

Przynajmniej rozumiał teraz, dlaczego Słoneczny Spokój został zaatakowany. Ktoś wiedział, czym się zajmuje wspólnota. I ktoś był skłonny złożyć w ofierze życie wielu ludzi, żeby to, co się odbywało w Słonecznym Spokoju i w schronie, nigdy nie wyszło na jaw. Zło złem zwyciężaj.

W godzinach świtu przyszło mu na myśl, że zna jeszcze jedno nazwisko z fotografii. Eliasa Brincha. Zmęczenie sprawiło, że nie od razu dostrzegł związek ze starą Biblią, którą znalazł w sypialni pastora Alfsena. „*Professor E. Brinch. Unsere tiefste Dankbarkeit. Die Wiener Gesellschaft für Rassenpflege. Wien 1936*”. Co miał wspólnego badacz ras z lat trzydziestych XX wieku z okrucieństwami w schronie?

Zachował biały błyszczący kwarc o średnicy centymetra, a resztę kamieni wrzucił do wody.

Podczas krótkiej jazdy z Porsgrunn do Skien Kafa i Koss wprowadzili Fredrika w bieżącą sytuację.

– Krew w kantynie pochodzi od dwóch różnych osób – odezwał się Koss. – Jedną jest Paul Espen Hennie. Nie wiemy, czyja jest krew ze śladu na ścianie. Wysłaliśmy zapytanie do Interpolu.

– No to miałaś rację, Kafa. To krew sprawcy.

Fredrik dojrzał jeszcze rozciągnięte w uśmiechu usta dziewczyny i błysk białych zębów, nim zdjął okulary, by ręką koszuli zetrzeć ze szkła największe tłuste plamy.

– Wszystko na to wskazuje, owszem – potwierdził Koss, po czym dodał, że preparaty z laboratorium są właśnie badane.

Zatrzymali się przy stacji kolejowej w Skien. Kafa miała wrócić do stolicy, żeby pomóc Andreasowi w analizach. Jechała niechętnie, wołałaby zostać w Porsgrunn.

– Mina pochodzi z zasobów wojska. Przeciwpiechotna. – Mówiąc to, odwróciła się, żeby spojrzeć na Fredrika, który siedział z tyłu.

Uniósł brwi.

– Nie przypuszczałem, że nasze wojsko ma miny przeciwpiechotne. Czy prawo międzynarodowe tego nie zabrania?

Wzruszyła ramionami.

– Wojsko tego nie ma. Sądząc po numerze seryjnym, tę minę zniszczono dziesięć lat temu.

W milczeniu odprowadzili Kafę wzrokiem, gdy skulona biegła przez mżawkę. Koss trzymał rękę na stacyjce. On także nie wyglądał na wyspanego, skórę miał zmiętą, a powieki ciężkie.

– Po prostu nie rozumiem, jak morderca dostał się tam przed nami – warknął.

Odpalił silnik i pojechali do miejskiego szpitala.

W gabinecie ordynator Margrethe Hansson było pojedyncze okno, które wychodziło na asfaltowany plac.

Przed biurkiem stały dwa krzesła, Koss od razu usiadł. Fredrik zajął się studiowaniem starych metalowych strzykawek powieszonych za szkłem na ścianie. Drzwi za jego plecami się otworzyły i weszła niska, przysadzista pani około sześćdziesiątki z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami. Szybko zamknęła je za sobą. „Zapewne skrzywienie zawodowe, w końcu pracuje na oddziale zakaźnym”, pomyślał.

Margrethe Hansson nie przywitała się z nimi, lecz od razu usadziła swój okazały tyłek na podobnym do barowego stołku za biurkiem. Potem wsunęła na czubek nosa cienkie okulary.

– Przepraszam, że musieli panowie czekać – odezwała się głębokim altem. – Cały dzień mieliśmy zebrania. To dla nas dość nietypowa sytuacja – ciągnęła.

– Pani doktor pozwoli. Inspektor Sebastian Koss z policji. A to mój kolega nadkomisarz Fredrik Beier. – Posłał mu zimne spojrzenie. – Czy może nam pani udzielić aktualnych informacji?

– Pacjent ma ospę – rzuciła.

Koss próbował skinąć głową z miną światowca, ale coś w wyrazie twarzy lekarki go zaalarmowało.

– Rozumieją panowie, co to znaczy?

Ludzkość przeżyła wiele koszarów. Możliwe, że najgorszym z nich jest czarna ospa. Tylko w ubiegłym wieku wirus zabił co najmniej trzysta milionów ludzi – pięć razy więcej niż padło ofiarą II wojny światowej.

Jest nieporozumieniem, że to Hiszpanie wybili dumny lud Inków w XVI wieku. Zrobiła to za nich choroba, którą przywlekli: wyjątkowo zaraźliwy wirus ospy. Wśród ludności, która nigdy nie miała do czynienia z epidemią, śmiertelność jest niebotyczna – sześćdziesiąt–dziewięćdziesiąt pięć procent populacji. Dziewiętnastu na dwudziestu zarażonych nie przeżywa. Trzeba wiedzieć, że nawet w społecznościach z doświadczeniem epidemicznym umiera jeden na trzech, jeżeli dopadnie go to diabelstwo.

Choroba zaczyna się gorączką, bólem głowy i drgawkami. Potem ciało pokrywa się czerwoną wysypką, która rozwija się w podbiegnięte płynem pęcherze. Pęcherze pojawiają się nawet na wewnętrznej stronie dłoni i na podeszwach stóp, na języku i w ustach. U niektórych występują silne podskórne krwotoki, część chorych umiera w wyniku krwotoku z wątroby, pęcherza albo jajników. A wielu z tych, którzy wracają do zdrowia, zostaje na całe życie oszpeconych odrażającymi bliznami. Nierzadko na skutek infekcji rogówki następuje ślepotą. Dochodzi też do deformacji.

Pierwszą skuteczną szczepionkę opracował w 1796 roku brytyjski lekarz Edward Jenner. Powiada się, że żaden człowiek nie uratował życia tyłu ludziom, co on. Jenner postanowił sprawdzić, dlaczego angielskie dójki są takie ładne. Prawie nigdy nie zarażały się ospą, toteż niewiele z nich miało blizny. Odkrył wtedy, że dójki chorują głównie na krowiankę. A ospa krów jest dużo łagodniejsza w przebiegu i ma tę fantastyczną właściwość, że kto raz na nią zachoruje, ten staje się odporny na czarną ospę.

W 1796 roku Edward Jenner wszczepił materię krowy chorej na krowiankę w ranę na skórze ośmioletniego dziecka biedaków Jamesa Phippsa. Chłopiec zapadł na lekką postać choroby i wyzdrowiał. Półtora miesiąca później lekarz zaraził go ospą prawdziwą. Jeżeli Jenner by się mylił, w ten sposób zabiłby dziecko. Ale doktor się nie mylił. Przez resztę swojego sześćdziesięciopięcioletniego życia w biedzie, jako ogrodnik Jennera, Phipps raz po raz był zarażany ospą. I nigdy nie zachorował.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku pewien norweski student zaraził się ospą w Afganistanie. Po dwudziestu pięciu dobach zmarł w szpitalu w Kopenhadze. To była ostatnia ofiara tej choroby w Norwegii. W roku siedemdziesiątym siódmym w Somalii wystąpił ostatni naturalny przypadek ospy. A w siedemdziesiątym ósmym zmarła brytyjska fotograficzka, która zaraziła się w laboratorium. Przekazała wirusa swojej matce, ale matka przeżyła. W osiemdziesiątym Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła, że świat jest wolny od ospy – opowiadała Margrethe Hansson.

Obaj śledczy patrzyli na nią intensywnie.

– A więc ten mężczyzna tam – Sebastian Koss wskazał kciukiem drzwi na oddział – Pio Otamendi

ma chorobę zakaźną, która już nie istnieje?

– Nie można powiedzieć, że nie istnieje.

– Ale tak właśnie to pani...

– Oficjalnie na świecie – przerwała mu – istnieją dwa szczepy wirusów. Jeden w laboratorium w USA. Drugi w laboratorium w Rosji.

– Dlaczego? – spytał Koss.

Odpowiedział mu Fredrik:

– Wirus ospy jest bronią biologiczną. Oba kraje miały zniszczyć swoje szczepy. Ale żaden tego nie zrobił. W latach dziewięćdziesiątych wyszło na jaw, że Rosjanie próbowali rozwijać wirusa, uczynić go groźniejszym. Przyjmuje się, że Amerykanie zrobili to samo.

– Wśród fachowców – wtrąciła się ordynator – panuje obawa, że terroryści albo państwa mniej stabilne niż Rosja i USA również mają tego wirusa. Bo dzisiejsza sytuacja jest pod wieloma względami bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek, groźniejsza niż mamy odwagę sobie wyobrazić.

– Westchnęła głęboko. – Władze Norwegii zawiesiły szczepienia przeciw ospie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku. Ci, którzy wówczas byli szczepieni, już stracili odporność. Duża część populacji świata nigdy nie była narażona na zetknięcie się z wirusem ospy. Potencjalna epidemia przyniosłaby takie skutki, jakie dotknęły Indian pięć wieków temu. Kolejna czarna śmierć...

Ordynator Hansson przesunęła się na swoim barowym stołku i założyła ręce na biuście.

– Jak panowie rozumieją, mieliśmy pracowity dzień.

Fredrik potarł ślad po ukłuciu na ramieniu. Za tydzień uzyska odporność.

Miał na sobie pożyczone białe spodnie i koszulkę. Przyglądał się rzeczom, które czekały na niego w przebieralni. Żółty fartuch ochronny. Osłona na włosy. Respirator i gogle, wciąż zapakowane w sterylny plastik. Rękawice i buty. Pielęgniarka pomogła mu się ubrać.

– Pio Otamendi jest bardzo ciężko chory. Według mojej oceny prawdopodobnie nie przeżyje. Jest jednak przytomny. Jeden z panów może tam wejść na pięć minut. Pięć minut – powiedziała wcześniej Margrethe Hansson.

Sebastian Koss wyraził zgodę ponurym skinieniem. Fredrik myślał, że inspektor zechce przesłuchać Otamendiego sam, ale z niespotykaną dotąd pokorą delegował to zadanie na podwładnego.

– Myślę, że jesteś w tym lepszy – przyznał.

Pio Otamendi ledwo uniósł powieki, gdy śledczy ciężkim krokiem wyszedł ze śluzy. Ciało miało wciąż pokryte pęcherzami z płynem, jednak Fredrik odniósł wrażenie, że wygląda nieco lepiej niż dwanaście godzin wcześniej. Miał na sobie czystą białą-niebieską szpitalną piżamę. Został umyty, opatrzone mu rany. Podłączono go do kroplówki, a kontrolka pulsu popiskiwała regularnie. Dyżurujący przy łóżku pielęgniarki skinęli na powitanie głowami i opuścili pokój.

– Nazywam się Fredrik Beier – odezwał się. – Jestem policjantem. Byłem tam, kiedy pana znaleźliśmy.

Wzdragał się dotknąć chore ciało. Musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę, zanim zdołał włożyć osłoniętą lateksem rękę w dłoń Pio. Dotyk, jak się wydawało, zbudził chorego do życia. Powoli obrócił twarz w stronę Fredrika.

– Marzyłem, żeby zobaczyć kogoś w tych drzwiach. Kogoś innego niż... jego. – Głos był wysuszony i piskliwy, a choć gramatyka nie pozostawiała nic do życzenia, wymowa lekko utykała. Pio mocniej ścisnął rękę Fredrika. – Carl? Gdzie jest Carl? Nikt mi nie chce powiedzieć, jak się czuje Carl.

Fredrik spojrzał w czarne smutne oczy. Poinstruowano go, że ma mówić, iż Carl czuje się dobrze.

– Carl... Nie wiem. Nie znam najnowszych wieści. Został przetransportowany do Oslo.

To była w pewnym sensie prawda. Ciało Carla przewieziono do Oslo – żeby zrobić sekcję w zakładzie medycyny sądowej.

– Tam mają najlepszych ludzi – szepnął Pio.

Fredrik skinął głową.

– Tam mamy najlepszych – powtórzył.

– Mówią, że mam... ospę? *Smallpox*, prawda? *La viruela*? – Chory patrzył na niego zdziwiony.

– Tak.

Pio Otamendi nie pamiętał porwania. Za to dobrze pamiętał, jak się obudził. Przywiązany do łóżka, w którym go znaleźli. Carl leżał na pryczy obok. Dopiero później, tygodnie później, rozdzielono ich. Pamiętał też mężczyznę, który nad nimi górował. Jasne potargane włosy. Błyszczące oczy. Stawał w nogach łóżka, uśmiechał się i pochylał nad nimi. Ale nie patrzył im w oczy. Wydawało się, że patrzy przez nich. Pewnego dnia – i tylko tego dnia – odezwał się do nich.

– Żyjecie w grzechu – powiedział. – Odwróciliście się od Boga, a teraz On się od was odwraca. Ale Bóg jest litościwy. Nawet wobec tych, których od siebie odpycha, ma plan. Wszyscy jesteśmy częścią bożego planu – zakończył. W ten sposób usprawiedliwił czynione przez siebie zło.

Pio Otamendi szacował, że minęły miesiące od pierwszego zachorowania. Wyzdrowieli i znowu zachorowali. Blondyn przynosił im jedzenie, golił ich, mył, wycierał odchody i zakładał im cewniki. Zdarzało się, że coś nucił, ale nigdy nic nie mówił. Kiedy krzyczeli, pozwalał im krzyczeć. Kiedy ogarniała ich panika, targały nimi samotność i strach, kiedy rzucali się na łóżkach, szarpali kajdanki i gryźli do krwi języki, pozwalał im szaleć. Dopiero gdy życie ledwo się w nich tliło, gdy lęk był zaledwie drżącym w rozgorączkowanej skórze wspomnieniem, ocierał ich z płynów ustrojowych i robił im zimne kompresy.

– Nigdy nie wymienił swojego imienia?

– Nie.

– Czy to był on? – Fredrik podniósł na wysokość głowy zdjęcie Børrego Drangego.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek widział pan kogoś innego?

– Nie.

Ale słyszał głos kobiety. Tak mu się wydawało. Albo przyśniło.

– To dlatego Annette uciekła – podsumował Fredrik, jadąc z Kossem samochodem. – Zobaczyła szaleństwo Børrego i uciekła.

Børre Drange musiał błędnie ocenić Annette. Uznał jej fanatyzm za tak silny, że pochwalił się swoim diabelskim dziełem, swoimi umierającymi trofeami. Dlatego odcięła palec ze zwłok Carla Josefsena – żeby mieć dowód.

Fredrik masował sobie nieogoloną, wysuszoną skórę na policzkach. Chrzęst szczeciny spowodował, że Koss odwrócił ku niemu głowę.

– Gdzie, u diabła, Børre Drange mógł zdobyć wirusa ospy? I po co? Na co był mu potrzebny? Do

torturowania następnych homoseksualistów?

Fredrik nie odpowiedział. Westchnął tylko – głośno i ze spokojem. Dla niego sprawa była jasna. Børre Drange miał wielkie plany, dużo poważniejsze niż porywanie i pozbawianie od czasu do czasu życia jednego czy drugiego homosia. Eksperymentował. W laboratorium, w kontrolowanej przestrzeni poznawał chorobę. Tak, żeby być przygotowanym. Żeby wiedzieć, co się będzie działo, gdy Bóg nakaże mu wypuścić wirusa.

Wciąż padało. Zapadł zmrok. Światła ulicznych latarni przesuwają się do tyłu. Odezwała się komórka. Fredrik rozpoznał numer kanału TV2. Początkowo chciał odrzucić połączenie, odłożyć telefon i dać umysłowi odpocząć, ale coś kazało mu odebrać. Włączył głośnik, żeby i Koss mógł słyszeć.

– Słucham.

– Fredrik Beier?

– Tak.

– Mówi Carl Solli. Kierownik redakcji *Wiadomości* TV2. Spotkaliśmy się w domu Turid i Jørgena Mostu po...

– Tak, pamiętam.

– Cały dzień próbowaliśmy skontaktować się z kimś odpowiedzialnym za śledztwo w sprawie morderstw w Słonecznym Spokoju. Nikt nie odpowiada.

Fredrik zerknął na Kossa. Inspektor wzruszył ramionami.

– I?

– Dzwonię, bo chcę powiedzieć, że wiemy, że strzelanina w schronie atomowym w Porsgrunn jest związana z masakrą w Słonecznym Spokoju. Dowiedzieliśmy się, że zabitych zostało dwóch członków wspólnoty. Bracia Paul i Fritjof Hennie. Mówi się także, że zginął jakiś policjant w czymś w rodzaju wybuchu...

– Aha.

Koss zacisnął ręce na kierownicy.

– A skąd pan to wie? – spytał Fredrik.

– Tego nie mogę powiedzieć.

I nie musiał. Po wizycie pastora w asyście dwóch policjantów u rodziców nieszczęsnych braci było tylko kwestią czasu, kiedy media się dowiedzą. Takie wieści rozprzestrzeniały się jak zaraza. To tak à propos.

– To dlaczego pan do mnie dzwoni?

Carl Solli odpowiedział dopiero po chwili.

– Może pan to nazwać przysługą. Wiem, że był pan wściekły na Jørgena z powodu tej sprawy z uciekinierami z sekty. Uważam, że należy... informować, kiedy przekazujemy istotne wiadomości



o sprawie. Poza tym chcielibyśmy uzyskać komentarz policji.

– Aha – powtórzył Fredrik. – Nie będę niczego potwierdzał ani komentował. Więc jeżeli tylko po to pan dzwoni, to może pan o tym zapomnieć. Właściwy człowiek to Sebastian Koss. Odezwie się, jeżeli będzie chciał z wami rozmawiać.

Koss potrząsnął głową. Po drugiej stronie panowała cisza.

– W porządku – skwitował Fredrik. Już miał się rozłączyć, ale zmienił zdanie. – Carl? Wie pan co?

– Nie, nie wiem.

– To nie był schron, tylko górski magazyn.

– No i?

– Żeby było zgodnie z prawdą, nie?

– No, owszem.

– Było tam jeszcze dwóch innych. Pio Otamendi i Carl Josefsen. Polityk homoseksualista z partnerem. Josefsen nie żył. Otamendi żyje. Byli torturowani.

Przez telefon było niemal słychać, jak szczeka Carla Sollego opada. Koss mało nie zjechał do rowu.

– Nie dzwoń pan do mnie więcej – rzucił jeszcze Fredrik i się rozłączył.

Mieszanka niedowierzania, złości i dezorientacji na ściągniętej twarzy Kossa lekko poprawiła mu humor.

– Równie dobrze można to już mieć z głowy – powiedział. – I tak wypłynęłoby to jutro na konferencji prasowej. Nie będziesz musiał zarywać nocy, myśląc, co masz powiedzieć.

To dlatego Koss go nienawidził.

## ROZDZIAŁ 81

Jak schodzący do lądowania samolot. Niebo znika w chmurach. Kadłub otula szara mgła i nagle zbliża się ciemna, płaska i ponura ziemia. Takie było przebudzenie.

Łomotanie do drzwi trwało długo, a nie było jeszcze ósmej. Fredrik nie odpoczął.

– Do diabła – warknął na widok kolegi.

Vidar Saga miał na sobie policyjną czarną czapkę z daszkiem, a na mundurową koszulę zarzucił skórzaną kurtkę. Zmrużył grube powieki, jego brwi lśniły od potu, chociaż było nie do pomyślenia, by wszedł po schodach. Przepchnął się obok Fredrika i zlustrował pokój wzrokiem. W poszukiwaniu talerzyka z hotelowymi czekoladkami, jak założył Fredrik.

– Miałem dziś w nocy telefon.

Fredrik tylko spojrzał pytająco.

– Ktoś chce się z nami spotkać. Ktoś, kto się cholernie boi o swoje życie.

Jechali do Skien. Vidar Saga prowadził.

– Pamiętasz ten pożar tutaj?

Fredrik wzruszył ramionami.

– Czy nie codziennie się coś pali? Wszędzie?

– Palił się kościół... – odparł lekko skwaszony Saga. – W Gjerpen. Kilka lat temu.

– Niech pomyślę... – Coś mu świtało. – Podpalenie?

Saga kiwnął zamaszyście głową, aż zatrzęśły mu się policzki.

– Prowadziłem śledztwo w tej sprawie. Nawiązałem dobre kontakty z pastorem. Albo z pastorką, czy jak to tam, do diabła, nazwać. Pastorzyca. – Prychnął. – Sigrid. Nazywa się Sigrid Hansen. To ona do mnie zadzwoniła.

Więcej nie powiedział, póki nie skręcili w stronę szarego średniowiecznego kościółka, kilka kilometrów za centrum Skien.

– Quisling jest tu pochowany – objaśnił, zerkając nad kamiennym murem od strony parkingu. – I jego żona.

Pastorka czekała na schodach przed kościołem. Rzuciła okiem na zegarek, kiedy wysiadali z samochodu.

– Dobrze, że przyjechali panowie tak szybko – odezwała się z powagą. – Przyszedł przedwczoraj – dodała ściszym głosem. – Jest śmiertelnie przerażony. Myśli, że władze chcą go zabić.

Patrząc na policjantów, zacisnęła chude dłonie, jakby potrzebowała jakiegoś potwierdzenia, że to

wszystko nieprawda. Fredrik starał się przyjąć wyraz twarzy zgodny z jej oczekiwaniami. Saga poprawił okulary na perkatym nosie.

Echo odpowiedziało grzmotem, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Bielone ściany kościoła kontrastowały z ciemnymi ławkami. Przez chwilę Fredrikowi wydawało się, że wewnątrz jest puste. Potem zauważył jakiś ruch przy ołtarzu. Kiedy doszli mniej więcej do połowy nawy, postać się podniosła. Z pochyloną głową, sztywno i niepewnie ruszyła po kardynalskiej purpurze chodnika.

Mężczyzna był niski, silnej budowy i miał rozbiegane małe oczka. Był ubrany w ciemną marynarkę od garnituru, czarne spodnie z kantem i skórzane buty.

Pastorka kiwnęła do niego pokrzepiająco głową i odsunęła się na bok.

– To są policjanci, o których mówiłam – przedstawiła, patrząc na Sagę. – Ufam im.

Fredrik wyciągnął rękę. Mężczyzna naprzeciw niego z wahaniem uczynił to samo.

– Fredrik Beier. Nadkomisarz policji.

Kąciki ust mężczyzny drgnęły i ułożyły się w grymas przypominający uśmiech.

– Søren Plantenstedt. Zakładam, że panowie mnie szukają.

Trudno było uwierzyć, że stojący przed nimi człowiek jest pastorem we wspólnocie religijnej, autorytetem i przywódcą. Wyglądał jak łazarz. Cerę miał niezdrową, o lekko żółtawym odcieniu, dolną wargę napuchniętą. Kępki zarostu pokrywały przypadkowymi plamami policzki i brodę, a gdy ścisnęło się jego dłoń, miało się wrażenie, że z gąbki wyciska się tłuszcz. Cofając rękę, Plantenstedt intensywnie zamrugnął, po czym szeroko otworzył oczy, zacisnął usta w mimowolnym grymasie i przeciągnął rękami po ciemnych półdługich włosach.

Sigrid Hansen zaprowadziła ich do zakrystii, gdzie stał stół i cztery krzesła. W srebrnym lichtarzu paliła się świeca.

Usiedli. Fredrik naprzeciwko Plantenstedta, Sigrid Hansen i Saga po bokach. Kobieta położyła rękę na bladej dłoni pastora. Długo obrysowywał palcem haft na obrusie. Na koniec podniósł głowę i spojrzał Fredrikowi w oczy.

– Kim jest człowiek bez twarzy? – Jego głos brzmiał jak z oddali, a jednocześnie bardzo bezpośrednio. W słowach dało się wyczuć echo szwedzkiej melodii zdania. – Kto nas nienawidzi i zabija?

Fredrik przyglądał mu się badawczo. Zimny pot rosił lepkie czoło Plantenstedta. Czyżby nie wiedział? Naprawdę nie wie? A może tylko udaje głupiego? Czyżby odgrywał spektakl? Postanowił zignorować pytanie.

– Gdzie jest Børre Drange?

Pastor potrząsnął głową.

– Ja... Nie wiem. My... Straciliśmy się z oczu podczas ucieczki. Byliśmy ścigani. Polował na nas. Potwór. – Wytrzymał spojrzenie Fredrika przez kilka sekund, a potem zaczął mrugać

w niekontrolowany sposób. Twarz mu drgała od grymasów i tików. Głowa opadła na piersi, a potem załamał się i rozpaczliwie rozszlochał.

– W porządku – przerwał wreszcie Fredrik. – Niech mi pan opowie, co się wydarzyło tamtej nocy w Słonecznym Spokoju.

Nawet ulewny deszcz nie zagłuszał gardłowych jęków, westchnień i uderzeń poręczy łóżka w drewnianą ścianę.

Gnębiło go, że Bjørn Alfsen pozwalał sobie na taką swobodę. Jednak Tata Per prosił, żeby nie zwracał na to uwagi, więc nie zwracał. Przez kilka minut zajmował się sobą, widząc w wyobraźni parę w pokoju obok. Potem zamknął oczy i przysnął – spał płytkim, niespokojnym snem. W pewnej chwili usłyszał pukanie do drzwi. Przez sen pomylił pukanie ze stukaniem łóżka za ścianą, obrócił się na drugi bok i obudził dopiero wtedy, kiedy silny blondyn położył mu rękę na ramieniu i szarpnął.

– Muszę wyjechać – szepnął Tata Per. Miał szeroko otwarte oczy i przyspieszony oddech, a na sobie cienką kurtkę narzuconą na wełniany pulower.

Dla Søren Plantenstedta nie było niespodzianką, że Tata Per pojawia się i znika, kiedy mu wygodnie. Miał do tego prawo. Per był posłuszny Panu. Pan sprowadził Pera do nich i Pan przez niego dał im do wykonania zadanie. Mimo to później wracał myślami do tamtej chwili. Chodziło o oczy Pera. Tata Per zawsze był tak pełen spokoju, tak pełen Pana, ale wtedy coś go martwiło. Głos mu drżał. Słowa padały szybko.

– Będę w Porsgrunn, gdyby coś się stało.

Gdyby coś się stało? Tata Per wyrzucił z siebie kilka nazwisk.

– Nikomu innemu nie wolno tam jechać.

– Grupa piwniczna? – upewnił się Søren, przecierając oczy.

Pastor kiwnął potakująco, po czym musnął jego czoło pocałunkiem.

– Bóg z tobą.

– O co chodzi? – spytał Søren.

– Nie wiem. Bóg do mnie przemówił – odpowiedział Per.

Potem zniknął. Søren nastawił uszu. Usłyszał trzeszczenie drewnianych schodów i daleki stuk drzwi wejściowych. Po drugiej stronie ściany rozlegało się głośnie, monotonne chrapanie. Odwrócił się na bok i zasnął. Tym razem głęboko.

Obudziły go krzyki na dworze. Przepęłnione strachem, rozdzierające, zwierzęce. Nie potrafił określić, czy krzyczy kobieta, czy mężczyzna. Usiadł w pościeli i dostrzegł migające czerwone światelko alarmu nad drzwiami. Nie wyskoczył jednak z łóżka. Nie pobiegł zdjęty strachem do okna ani nie ukorzył się w pospiesznej modlitwie. Nie był bohaterem. Na zewnątrz nie miał nic do roboty. Niech się dzieje wola Boga.

Krzyczała kobieta. Zagłuszała szum ulewy krótkim, zawodzącym szlochem. W sąsiednich pokojach zrobiło się zamieszanie. Rozległy się przytłumione, poważne głosy dorosłych i jęśliwe, przestraszone głosiki dzieci. Potem otworzyły się drzwi. Annette. Trzymała na ręku Williama. Blond włosy, mokre i w nieładzie, zasłaniały jej twarz. Źrenice miała rozszerzone, wargi zbieleły. Była ubrana tylko w bawełnianą koszulkę i majtki, przez wilgotny materiał widział zarys ciemnych dużych brodawek.

– Potrzebujemy cię – powiedziała cicho. – Pera nie ma. A Bjørn... Pastor Alfsen nie żyje.

Pierwszy z dni ostatecznych.

Właściwie chyba wszyscy byli na to przygotowani. Rozmawiali o tym, planowali i żyli w gotowości. Dorośli i dzieci, którzy schronili się w kuchni. Kobiety zabrały torby z ubraniami, przyborami toaletowymi, lekarstwami i sprzętem potrzebnym do przeżycia. Mężczyźni zgromadzili się przy oknie i omijając wzrokiem martwych współbraci w ogrodzie, zerkali w stronę samochodów z zapuszczonymi silnikami.

Jedynie on nie był przygotowany. Ani razu nie pomyślał, że będzie stał przed nimi i mówił, kto wyjedzie, a kto musi zostać. Ręce miał lepkie od potu, dzieci się na niego gapily, a on desperacko próbował odzyskać kontrolę nad mięśniami, które wprawiały w drgawki kącik ust. Wreszcie przyłożył rękę do policzka i drgawki ustały. Na jego miejscu powinien stanąć Tata Per. Albo Bjørn. Biedaczysko.

Fredrik chrząknął i nieobecny wyraz twarzy mężczyzny zniknął. Plantenstedt zamrugął nerwowo i wrócił myślami do nich, do zakrystii.

– Powiedział pan – odezwał się, zerkając na notatnik, w którym pracowicie skrobał Saga – „pierwszy z dni ostatecznych”?

Nie potrafił zinterpretować spojrzenia, które posłał mu pastor. Wydawało się jednocześnie dumne, triumfujące, bezradne i nerwowe. Søren Plantenstedt wziął oddech, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale milczał. Potem zamrugął i zaczął od nowa.

– Dzień Sądu. Sądu Ostatecznego. – Podniósł głowę i spojrzał Fredrikowi w oczy. – Jest pan chrześcijaninem? Religijnym?

Fredrik wolno pokręcił głową.

– Niespecjalnie – odpowiedział.

Oczy Plantenstedta lekko zamigotały.

– My... My, wierzący... – rzekł, spoglądając na Sigrid Hansen. – My, wierzący, cieszymy się, oczekując na dzień Sądu Ostatecznego. Ponieważ w ten dzień otworzą się bramy Królestwa Niebieskiego. W dniu Sądu Ostatecznego oddzielone zostanie to, co czyste, od nieczystego. Cieszymy się, że dobro zostanie nagrodzone. A zło ukarane. – Przez dłuższą chwilę mrugał nerwowo. –

W naszych bezbożnych czasach większość zapomniała, co właściwie niesie ze sobą dzień Sądu. Jakby to było coś groźnego. Negatywnego. Media piszą o kometach Sądu Ostatecznego. O bakteriach Sądu Ostatecznego. Ludzie myślą, że Sąd Ostateczny to koniec wszystkiego. – Robił teraz wrażenie spokojniejszego. – Ale dzień Sądu jest właśnie tym, dniem Sądu. Dniem, w którym winni zostaną skazani na wieczną mękę i potępienie. Dniem, w którym niewinni narodzą się na nowo. Dla nas, zbawionych, to nie jest koniec. To początek. – Spojrzał na Fredrika. – W Słonecznym Spokoju nie baliśmy się dnia Sądu. Myśmy się cieszyli.

– Ale... – Fredrik zmrużył oczy i zapytał: – Pierwszy z dni ostatecznych? Co pan przez to rozumie?

Søren Plantenstedt przestał mrugać, oddech mu się uspokoił, a tiki nerwowe zniknęły.

– Rozumiem przez to koniec świata. Sąd Ostateczny nadchodzi.

## ROZDZIAŁ 82

– Błogosławieństwo. Prawda?

Bjørn Alfsen junior zerknął na niego z uśmiechem. Siedzieli na ławce na Lwim Wzgórzu, w niewielkim parku pod gmachem Stortingu. Zimne podmuchy zniknęły, gdy tylko przez chmury przedarło się wiosenne słońce, złocąc mury stolicy. Søren nie zdążył odpowiedzieć, bo obaj zauważyli nadchodzącego mężczyznę. Nadchodzącego? To słowo nie oddawało rzeczywistości. Pędzącego. Ledwo zdążyli wstać, gdy szczupły mężczyzna zatrzymał się przed nimi. Pod pachą miał skórzaną aktówkę.

– Børre Drange – przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie.

Bjørn zignorował ten gest. Postąpił do przodu i objął mężczyznę.

– Ręka Pana – odezwał się radośnie. – Nie mogliśmy się doczekać tego spotkania.

Przysadzisty pastor długo obejmował przybyłego.

Børre Drange zwrócił się do Plantenstedta. Søren jeszcze nigdy nie widział tak promiennych oczu. Wypaliły na jego duszy znak.

– A pan musi być...

– Søren. Søren Plantenstedt.

Na jasnej twarzy Børrego Drangego zagościł uśmiech. Blond czupryna zaśniła jak fale w słońcu.

– Ach, więc to pan jest Jego narzędziem – powiedział ze słodyczą.

Plantenstedt rzucił niepewne spojrzenie na pastora Alfsena. To Bjørn wpadł na pomysł, aby spotkać się z zapalencem z internetu.

– Ulf Plantenstedt. Dobrze znam osiągnięcia pańskiego dziadka – wyjaśnił, mocno ściskając jego dłoń. – Bóg pozwolił mi ujrzeć, że był on ojcem pańskiego ojca. To wtedy zrozumiałem Jego życzenie. Że powinienem dać się poznać. Że wspólnota Światło Boga jest również moją wspólnotą. Że w nas trzech zamieszka nowa Trójca Święta. – Ujął dłoń Plantenstedta w swoje ręce. – Jestem biochemikiem. Jak pan – dodał, mrugnawszy śmiało. – Niezbadane są ścieżki Pana.

– Dał mi pierścień. Podobno należał do mojego dziadka. Nie wiem, skąd go miał. Ale też nie pytałem. Ja i mój dziadek... Nasze stosunki nigdy nie były szczególnie dobre. Nie mam już tego pierścienia... – Zawahał się.

– A pastor Alfsen dostał Biblię – powiedział Fredrik. – Starą niemiecką Biblię, prawda?

– Tak... Skąd pan to wie? – Plantenstedt nie posiadał się ze zdumienia.

– Kim jest Elias Brinch? Co to jest Wiedeńskie Bractwo? – Fredrik nie spuszczał z niego oczu.

Plantenstedt dalej potrząsał głową, zdziwiony.

– Ja... Nie mam pojęcia. Nigdy nie słyszałem o żadnym bractwie. Ani... o tym człowieku, o którym pan mówi.

– Børre Drange miał zdjęcie. Stare zdjęcie Wiedeńskiego Bractwa. Na tym zdjęciu jest pański dziadek.

Søren Plantenstedt odchylił głowę i zapatrzył się w bielony sufit zakrystii.

– Nic o tym nie wiem – stwierdził. – Nie widziałem takiego zdjęcia.

Zniechęcony Fredrik wzruszył ramionami i poprosił, żeby Plantenstedt opowiadał dalej.

Børre Drange wprowadził się do Słonecznego Spokoju dopiero pół roku po spotkaniu na Lwim Wzgórzu. Na Boże Narodzenie. Zmienił wtedy nazwisko. Na Per Olsen. Wybrał je sobie, bo było takie zwyczajne. „Tu nie chodzi o mnie – mówił. – Chodzi o Boga. Jestem tylko narzędziem. Głosem i narzędziem Boga”.

– Chciał, żeby dzieci nazywały go Tatą Perem. – Plantenstedt zmarszczył czoło. – A potem wyszło tak, że wszyscyśmy go tak nazywali. Bo też był ojcem nas wszystkich. Tata Per.

Dni w Słonecznym Spokoju już nigdy nie były takie jak przedtem. Na początku tylko pastorowie wiedzieli, że nadeszły czasy ostateczne. Ziemia oczyszczała się przez chorobę. AIDS. SARS. Ptasia grypa. Ebola. Boski plan. Ale to wszystko było niczym wobec tego, co miało nastąpić. Zaraza niepodobna do żadnej, jaka kiedykolwiek dotknęła ludzkość. Zaraza, która miała oddzielić niezabawionych od zabawionych. Muzułmanów od chrześcijan. Zło od dobra.

– Bóg zbroi swoją trzódkę na czasy ostateczne. Do nas przemówił przez Pera. Żebyśmy mogli się przygotować. Albowiem tak jak Bóg kazał Noemu zbudować arkę, by się uchronił przed potopem – głos Plantenstedta przybrał namaszczonego ton – tak pozwoli prawowiernemu dożyć dnia Sądu.

– A prawowierni... to jesteście wy?

– To my. – Odpowiedź Plantenstedta nie brzmiała jak żart czy ironia.

Fredrik odsunął krzesło, wstał i zdjął brązową sztruksową marynarkę. Powiesił ją na kołku przy drzwiach. Potem powoli okrążył stół. Sigrid Hansen i Saga śledzili go wzrokiem, a Søren Plantenstedt wbił oczy w blat. Fredrik stanął za jego plecami.

– Te przygotowania – wycedził, gładząc wąsy – na czym polegały?

Søren Plantenstedt nie próbował się odwrócić.

– Tata Per przewidział, że Słoneczny Spokój zostanie zaatakowany. Bóg mu powiedział, że kiedy to się stanie, będzie to dla nas znak, że nastąpił pierwszy z dni ostatecznych. Więc się przygotowaliśmy. Zamontowaliśmy alarmy, kamery. Zdobyliśmy środki, żeby się bronić. Bo tak jest w dniach ostatecznych – rzucił nieobecny tonem. – Zapanuje niezgoda. A lud boży będzie zagrożony. Człowiek jest słaby. Odczuwa zazdrość. I gniew wobec tych, których jest zbawienie.



– A laboratorium w Słonecznym Spokoju? Po co tam było laboratorium?

– Na szczepionki. – Zaśmiał się. – Robiliśmy szczepionki. Tysiące. Na dzień przyjscia zarazy. –

Spojrzał na pastorkę, szukając zrozumienia. – Sam przecież jestem biochemikiem. Ale to Børre pokazał nam jak.

– Ale po co wam były szczepionki? Skoro zaraza miała oddzielić zło od dobra? Muzułmanów od chrześcijan?

– Podczas deszczu używamy i kaloszy, i parasola, czyż nie? – Głos pastora zabrzmiał łagodnie.

Zdaniem Fredrika zbyt łagodnie. Fałszywie. Okrążył ponownie stół i wychylił się daleko nad oparcie krzesła. Jego głowa znalazła się na wysokości głowy Plantenstedta.

– Było jeszcze jedno laboratorium – powiedział, akcentując każdą sylabę.

Starał się odczytać wyraz drgającej tikami twarzy. Prowokowała go ta pełna uników postawa besserwissera. Wyprostował się błyskawicznie i rąbnął obiema pięściami w stół tak mocno, aż lichtarz się przewrócił.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, do diabła!

Søren Plantenstedt spojrział na niego przestraszonym wzrokiem.

– Było jeszcze jedno laboratorium! W schronie! Gdzie ty, Børre Drange i reszta tej cholernej sekty miesiącami męczyliście i torturowaliście dwóch ludzi. Jeden nie żyje, a drugi jest umierający! I ty się zastanawiasz, dlaczego jakiś szaleniec na was poluje? – Fredrik rozkoszował się szumem pulsującej w skroniach krwi.

Pastor patrzył na niego z niedowierzaniem, potrząsając bezradnie głową. W kąciku jego ust pojawiła się ślina.

– Nie, nie – mamrotał, a głową wstrząsały szybkie drobne drgania. – Nie mogę nic powiedzieć. Nie mogę nic powiedzieć. To nieprawda. To nie tak. – Zakrył twarz obiema rękami. – Nie – zaszlochał.

Fredrik czekał, aż mężczyzna przestanie drżeć.

– Wiele godzin po masakrze dzwonił pan do kogoś, kto znajdował się w Słonecznym Spokoju. Do kogo? Gdzie jest reszta wspólnoty?

Plantenstedt oderwał ręce od twarzy i powoli złożył je na stole. Spojrzenie miał zimne, nieobecne.

– Chcę rozmawiać z adwokatem.

W radiowozie Fredrik usiadł z tyłu obok pastora. Søren Plantenstedt oparł głowę o okno i wpatrywał się pustym wzrokiem w szare chmury nad polami, wodząc palcem po szybie.

– Oni byli... homoseksualistami... – Głos brzmiał obojętnie.

Fredrik nie potrafił rozstrzygnąć, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.

– Jak się ma ten... który wciąż żyje?

– Pio. Nazywa się Pio Otamendi – odparł Fredrik cicho. – Źle. Sądzą, że umrze.

– Więc taka jest chyba wola Boga.

Fredrik czuł, że mógłby rozbić jego głowę o drzwi.

– Życzy sobie pani informacji na temat Wiedeńskiego Bractwa?

– Zgadza się – potwierdziła Kafa. Podała fotografię Steinowi Brønnerowi, a on wyciągnął z etui parę sfatygowanych okularów do czytania.

Gdy oglądał zdjęcie, policjantka śledziła wzrokiem wąski pasek słonecznego światła, który wpadał przez szczelinę w zasłonach. Biegł przez lakierowane na ciemno biurko, oświetlał plamy na orientalnym dywanie i padał na brzydki portret Ottona Rugego, generała, który dowodził walką z Niemcami w 1940 roku. Obok obrazu wisiał płaski brytyjski zegar ścienny, tykający tak głośno, że słycać było każdą mijającą sekundę. Czas mija. Historycy pewnie lubią takie potwierdzenia.

Kafa siedziała przy przeładowanym biurku, a potężny gospodarz wyjechał biurowym krzesłem na kółkach na środek pokoju. Dlatego mogła widzieć coś więcej poza rudą czupryną.

To Fredrik prosił, żeby skontaktowała się z Brønnerem, historykiem wojen, którego spotkał w Związku Oficerów w Oslo i który rozmawiał z Kari Lise Wetre i weteranem Kolbeinem Ihmem Monsenem. Tym Kolbeinem I. Monsenem, którego nazwisko figurowało na odwrocie starej fotografii znalezionej przez nich w laboratorium w schronie atomowym.

– No, wie pani – odezwał się Brønner, odkładając fotografię ze zmarszczonym czołem – świadkowie czasów wymierają. Zdjęcie zostało zrobione przed gmachem Uniwersytetu Wiedeńskiego – stwierdził.

A potem odchylił się na oparcie krzesła, założył ręce na piersi i zaczął opowiadać.

Mężczyzna przyszedł na świat w połowie lat dziewięćdziesiątych XIX wieku w tym rejonie Oslo, który dziś nazywa się Vika, a wówczas nosił nazwę Pipervika. Miasto nazywało się wtedy Kristiania, a wspomniana okolica uchodziła za najbiedniejszą z biednych. Urodził się jako Elias Brink, ale zmienił „k” na „ch” tej jesieni, kiedy poszedł na studia. Pochodził z biedoty, niemniej miał błyskotliwy umysł. Był tak bystry, że Królewski Uniwersytet Fryderycjański, „czyli dzisiejszy Uniwersytet w Oslo” – dodał Brønner dla wyjaśnienia – dał mu stypendium. Pojechał do Austrii, aby dokończyć swoją rozprawę doktorską z biologii. W kipiącym życiu Wiedniu Brinch odkrył poza biologią jeszcze dwie rzeczy godne miłości: kobiety i politykę. 18 marca 1925 roku swoją działalność zainaugurowało Wiener Gesellschaft für Rassenpflege, Wiedeńskie Towarzystwo Higieny Rasowej. Była to wzniosła uroczystość w sali balowej Uniwersytetu Wiedeńskiego. Jednym z gości był doktor Elias Brinch. Brinch był bowiem nazistą, higienistą rasowym i jednym z największych uczonych swoich czasów.

Stein Brønner posłał Kafie znad okularów wieloznaczne spojrzenie.

Młody Brinch uważał za swoją misję przedstawienie świata najobszerniejszej *Encyklopedii homo sapiens*, jaką ów *sapiens* kiedykolwiek stworzył – kompendium wszystkich ras na ziemi, sklasyfikowanych pod kątem fizjologii, psychologii i kultury. Badania rozpoczęto od rejestracji poszczególnych danych takich jak przeciętny wzrost i waga, kolor skóry, kształt głowy, budowa ciała, wysokość czoła i wygląd nosa. Stopniowo Brinch i jego współpracownicy przechodzili do obserwacji owłosienia na ciele, ukształtowania organów płciowych, stosunku masy mięśniowej do tkanki tłuszczowej, płodności i języka. Prowadzili badania poziomu inteligencji, testowali narządy zmysłów, odporność na ból, rejestrowali tradycje kulturowe i język pisany.

– Krótko mówiąc: był to przegląd ras, jakiego dotąd na świecie nikt nie przeprowadził. Do pomocy w wykonaniu tej pracy Brinch zebrał i podporządkował sobie grupę młodych badaczy. Nazwali się Wiedeńskim Bractwem.

Historyk tak czule pogłodził nastroszone wąsy, że Kafę ogarnęło zażenowanie. Szczeciniasta gaśienica? Czy tak nazwał go Fredrik? Może wąsy to była jego strefa erogenna?

– Brinch jednak nie zadowolili się rejestracją właściwości poszczególnych ras. Chciał nauczyć się wykorzystywania różnic między nimi. W ramach oczyszczania rasowego w celu pognębienia grup etnicznych, które nie podobały się nazistom: Żydów, Cyganów, Słowian i innych *Untermenschen*.

Brønner potrząsnął ponuro głową.

Metoda, którą stosowali, była okrutna. Eksperymentowali na więźniach, pacjentach zakładów psychiatrycznych i osobach niedorozwiniętych psychicznie. Testowali trucizny i zarażali ludzi różnymi chorobami. Dokumentowali, że medykamenty mają niejednakowy wpływ na przedstawicieli odmiennych ras. Nie chodziło zresztą tylko o lekarstwa. Niektóre rasy lepiej przyswajały substancje odżywcze niż inne – witaminy, minerały. A także szczepionki i substancje trujące.

– I to wszystko działo się przed wybuchem wojny! – Walnął pięścią w stół.

Kafa patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem. Czegoś tu nie rozumiała. Jeżeli Kolbein Ihme Monsen dopuszczał się takich okrucieństw, to co w takim razie robił na uroczystości dla norweskich weteranów wojennych?

Brønner podniósł zdjęcie i kilkakrotnie puknął mocno palcem w czoło Brincha.

– W czasie wojny profesor był komendantem obozu jeńców radzieckich na półwyspie Lista. Śmiertelność była tam niesamowita. Tak ekstremalna, że norweskie władze w Londynie zainteresowały się tą sprawą i skontaktowały z Kolbeinem Ihmem Monsenem. – Stein Brønner wskazał uśmiechniętego przystojnego mężczyznę z przedziałkiem na boku. – Kolbein przez wiele lat był członkiem Wiedeńskiego Bractwa, w końcu jednak dostrzegł, ku czemu to wszystko zmierza. Jeszcze przed wojną zerwał z Bractwem i wyjechał do Londynu. Potem wysłali go jako szpiega na Listę. Tam pojął, że to, czym zajmowali się przed wojną, to drobiazg w porównaniu z nieludzkimi działaniami Brincha w obozie. Naszego norweskiego doktora Mengelego. Na koniec Kolbein dostał

sygnał do przeprowadzenia akcji i uratował życie wielu ludziom.

– A co się stało z Eliaszem Brinchem?

– Zniknął. Wybuchł ogromny pożar i Brinch zniknął w płomieniach. Kolbeina do dzisiaj szpecą blizny. Został za tę akcję odznaczony. Można powiedzieć, że miał na tyle rozumu, by stanąć po właściwej stronie, póki jeszcze był na to czas.

Wychodząc, Kafa jeszcze raz podziękowała historykowi za pomoc.

– Wie pani, coś mi się przypomniało... – Brønner przytrzymał jej rękę w uścisku. – Poza samym Kolbeinem Ihmem Monsenem jest kilka osób, które dobrze znają tę historię. Powinna pani porozmawiać z jego synem.

– Z kim!?

– Z Gerhardem Monsenem.

– Tym politykiem? Armatorem?

– Właśnie. To syn Kolbeina.

– No, no. Dziękuję – rzuciła zdumiona Kafa.

Wyszła na wysypany żwirem plac apelowy przed dawnymi koszarami w twierdzy Akershus, gdzie znajdowało się biuro historyka. Gerhard Monsen. Syn Kolbeina Ihme Monsena. Wyciągnęła komórkę. Fredrik odebrał wraz z ostatnim sygnałem.

– Nie wspominałeś czasem, że Gerhard Monsen był na pogrzebie twojej matki?

– Owszem, bo co?

– I wtedy ci powiedział, że jest ojcem Sebastiana Kossa?

– Tak... ale...

– Kolbein Ihme Monsen jest dziadkiem Sebastiana Kossa!

Dziadek Sebastiana Kossa był higienistą rasowym! Zamilkli oboje – ona w Oslo, on w Porsgrunn. Wiedeńskie Bractwo i sekta ze Słonecznego Spokoju zlały się w ich wyobraźni w jedno.

Wspólnota została wybrana przez Boga. Elias Brinch należał do wybranej aryjskiej rasy. Sekta czuła się zagrożona ogólnym upadkiem religii i moralności. *Übermensch* zaś upatrywał zagrożenia w zdolnych do mnożenia się podludziach. Naziści i fundamentaliści dotarli do tego samego ostatecznego rozwiązania. Eksperymentowanie na nielicznych przed masową rzezią i przymusowa śmierć. W tym tkwiło zbawienie. Komora gazowa albo zaraza. Ideologia albo religia. Jaka właściwie była między nimi różnica?

*Lista, listopad 1943 roku*

Do kołnierza marynarki przyszyto skrawek materiału, lecz atrament, którym zapisano dane poprzedniego właściciela, zbladł. Rękawy były porwane, a spodnie za krótkie.

– Gotowy?

Kjell Klepsland czekał. Przyszła odwilż i mżył deszcz. Światła reflektorów odbijały się od lśniących zwałów lodu. W ciepłym holu willi owionął ich budzący apetyt zapach cebuli, pieczeni i papierosowego dymu. Z otwartego kominka w salonie dochodził trzask bierwion. W jadalni siedzieli mundurowi.

– Panowie, oto on. Mój student, kolega i moje dziecko. Brutus. – To był Elias. Rozchylił usta w pełnym oczekiwania uśmiechu. Ubrany był elegancko, w ciemnoszary wcięty w pasie garnitur.

Niemcy zaśmiali się uprzejmie. Brinch zaprowadził Kolbeina do wolnego miejsca przy końcu mahoniowego stołu, nakrytego białą porcelaną, delikatnym srebrem i smukłymi kryształami. Siedzący obok oficer zerwał się, stuknął obcasami i wyciągnął rękę. Był wzrostu Kolbeina. Zza okrągłych okularów patrzyły na Norwega szparki oczu. Niemiec miał dwadzieścia parę lat.

– To komisarz kryminalny i Hauptsturmführer Randolph Ferner, odpowiedzialny za operacje Gestapo w Kristiansand i na Sørlandzie – przedstawił go Elias po niemiecku.

Uścisk dłoni Fernera był mdły i bezosobowy. Obok oficera siedział jego asystent. Obaj mieli na kołnierzach znaki SS. Pozostali dwaj oficerowie należeli do Wehrmachtu.

– Hauptmann Heinrich Willüber kieruje pracami przy budowie tutejszych nadbrzeżnych umocnień i z zapalem korzysta z obozowej siły roboczej – powiedział Elias.

Łysy grubas wyciągnął bladą białą łapę.

– Plotka głosi, że twoim zdaniem tak naprawdę wykorzystuję obozową siłę roboczą – odezwał się tubalnym głosem i zaraz hałaśliwie się roześmiał.

Reszta skwitowała to uśmiechem. Kolbein zwrócił się ku ostatniemu gościowi profesora Brincha.

– Robert Nietzke, porucznik, administruje obozami pracy na półwyspie.

Ciemnowłosy Nietzke nie wstał, tylko wychylił się przez stół i podał Kolbeinowi rękę. Kolbeina przeszedł nagły dreszcz, gdy dotknął jego dłoni. Mężczyzna, który z grymasem przypominającym uśmiech spojrzał mu w oczy, miał ucięty pod drugim stawem serdeczny palec. Skóra na dłoni była twarda i nierówna od blizn. Niemiec przyglądał się Kolbeinowi z namysłem, opierając brodę na drugiej ręce.

– Jaka jest pańska ocena doświadczeń naukowych, które się tu przeprowadza, doktorze Monsen?

– Cóż... – odezwał się po chwili Kolbein. – Profesor Brinch był wybitną osobistością świata nauki już wtedy, gdy zacząłem dla niego pracować. A od tego czasu minęło ponad piętnaście lat. Biologia rasowa jest... zróżnicowana. I skomplikowana. – Podniósł głowę i spojrzał w oczy Eliasowi, który stał po drugiej stronie stołu i przysłuchiwał się uważnie. – Nie będę kłamał. Niektóre stosowane tu metody mnie niepokoją. Niemniej istnieją podstawy, by przypuszczać, że może to doprowadzić do osiągnięcia wyników naukowych szybciej, niż można by się tego spodziewać w czasach pokoju.

– Hm, dyplomata z tego pańskiego chłopca na posyłki – skwitował Nietzsche, patrząc na Eliasa.

Elias Brinch gestem kazał Kolbeinowi usiąść. Sam na stojąco podziękował gościom za obecność w swoim domu, który nazwał willą Østhassel, oraz powitał ich na obchodach Dnia Pokuty.

– Tak jak go świętowaliśmy na Mahlerstraße – zakończył, zatrzymując wzrok na Kolbeinie.

Hałas wokół stołu stał się z czasem nieprawdopodobny. Jedli świeżo złowioną rybę, pieczeń z sarny i bitą śmietaną z moroszkami. Popijali francuskimi winami i koniakiem. Od wiedeńskich czasów Kolbein nie spożył takiego posiłku.

W którymś momencie zorientował się, że nie są już tylko w męskim gronie. Ktoś się śmiał dziewczęcym śmiechem. Jak na komendę oficerowie podnieśli się i pomaszerowali do salonu, z którego dochodził ten miły dźwięk.

Norweskie dziewczęta i oficerowie się znali. Towarzystwo zebrało się wokół stołu w salonie, każdy z kieliszkiem do szampana. Niemcy i pięć młodych kobiet. Elias zatrzymał się w drzwiach za plecami Kolbeina.

W centrum stał Willüber, który właśnie wyciągał korek z butelki szampana. Korek wyszedł z cichym syknięciem i pozostał w dłoni oficera.

– Och, Heinrich! Powinien wyskoczyć! To przecież święto! – zawołała jedna z dziewcząt zaskakująco dobrą niemczyzną.

Miała kręcone ciemnobrązowe włosy i białe zaokrąglone zęby. Kremowa letnia sukienka zdradzała istnienie dodatkowego wałka tłuszczu nad biodrami, a uniesione piersi, pewny siebie uśmiech i płonące oczy przywodziły na myśl huldrę. Mocno trzymała się grubego ramienia Willübera.

– Wiesz, jak to mówią, Marianne – odparł, obracając tłusty kark i prawie dotykając jej twarzy – ma brzmieć jak westchnienie zaspokojonej kobiety.

Dziewczęta parsknęły śmiechem na ten nieprzyzwoity komentarz, a ta, którą oficer nazwał Marianne, pozwoliła mu wycisnąć sobie na dłoni wilgotny pocałunek, po czym podeszła do buzującego kominka.

Dopiero wtedy Kolbein zwrócił uwagę na nią. Na dużej skórzanej kanapie przed kominkiem siedziała pełna życia młoda kobieta. Obserwowała pozostałych z zainteresowaniem, ale i dystansem, tak jak kot przygląda się zabawie szczeniaków. Brązowe włosy o rudawym odcieniu ledwo sięgały

pleców. Miała na sobie ciemniejszą, dłuższą i znacznie droższą wieczorową suknię niż pozostałe dziewczęta. Nosiła cienki złoty łańcuszek z pojedynczą perłą wielkości grochu, spoczywającą w zagłębieniu u nasady smukłej szyi. Jej twarz była wąska i piękna. Kogoś Kolbeinowi przypominała. Else. Uderzyło go to.

Podoficerowie na służbie przynieśli krzesła z jadalni, a tymczasem Willüber stanął przed kominkiem.

– Czas na rozrywkę tego wieczoru. – Zachichotał.

Roześmiany Ferner zerkał spod oka na dziewczęta, gdy Willüber zniknął w holu. Zaklaskały zachwycone i siadając, poprawiały letnie sukienki. Po chwili Willüber wrócił. Na łysej czaszce ułożył sobie jasne futro lisa. Kurtka od oficerskiego munduru ustąpiła białemu jedwabnemu szalowi upiętemu na ramionach. W ręku trzymał półmetrowe czerwone pióro, a w kąciku ust zapalonego papierosa. Trzepotał rzęsami i mówił schrypniętym falsetem:

– Cóż za piękny wieczór, panowie. I panie...

– Nie jesteś czasem w Londynie i nie pieprzysz się z Żydami!? – zawołał Nietzsche.

Willüber nie zwrócił na niego uwagi. Drobnymi kroczkami, na palcach, jak kobieta przeszedł półokręgiem, jakby był na scenie, pochylił się w przód, podciągnął szal i zakołysał szerokim tyłkiem. Męskie obwisłe dupsko w oficerskich spodniach. Spojrzał na widzów zalotnie i położył palec na dolnej wardze, po czym zaczął głosem jak tarka:

*Ich bin die fesche Lola, der Liebling der Saison!*

*Ich hab' ein Pianola zu Haus' in mein' Salon*

*Ich bin die fesche Lola, mich liebt ein jeder Mann*

*Doch an mein Pianola, da laß ich keinen ran\*.*

Nie była to wysublimowana scenka. Kolbein zamrugał i powędrował myślami do czasów, gdy po raz pierwszy usłyszał tę fascynującą piosenkę. Film miał tytuł *Błękitny anioł* i oglądali go z Eliasem i Elszą w Wiedniu, w kinematografie na Praterze.

*Ich bin die fesche Lola, der Liebling der Saison!*

Teraz dołączyli pozostali oficerowie, a Willüber przysunął się do Nietzkego, który chwiał się na krześle koło stołu. Usiadł mu na kolanach i z głośnym cmoknięciem ucałował w czoło. Dziewczęta zaklaskały, a Nietzsche chwycił kolegę porządnie za pośladki i potrząsnął. Niemiec podreptał do holu.

Jedynie ciemnoruda dziewczyna nie brała udziału w hałaśliwym przedstawieniu. Zaklaskała tylko lekko. Skóra na jej chudych ramionach była biała jak śnieg, a piersi ledwo się odznaczały pod materiałem eleganckiej sukni. Uśmiech należał do kogoś młodszego od kobiety, dla której uszyto tę toaletę. Elias zarozumiale położył rękę na ramieniu Kolbeina, wskazując dziewczynę skinieniem głowy.



– Piękna, co? – szepnął.

Potem prześlizgnął się przez pokój i siadł koło niej na oparciu kanapy, kładąc rękę na jej karku. Zamknęła oczy i jak we śnie przesunęła głowę z boku na bok.

Stopniowo atmosfera się zmieniała, przechodząc w pijaństwo i brutalność. Uruchomiono gramofon stojący w kącie pokoju, a powietrze zgęstniało od dymu. Krępa Marianne siedziała na kolanach kapitana Willübera, który bezwstydnie wsadzał jej rękę pod spódnicę. Nietzsche i asystent Fernera siedli między dziewczętami na kanapie i zabawiali się formowaniem zwilżonych śliną serwetek w kształty genitaliów.

Kolbein nie opuszczał swego miejsca przy drzwiach. Kiedy Elias sobie o nim przypomniał, wstał, gestem kazał zrobić to samo kobiecie w wieczorowej sukni i przyprowadził ją do niego. Wydawała się prawie zawstydzona.

– Siądźmy w jadalni – zaproponował profesor.

Po drodze wyszeptał do ucha Kolbeina:

– Niemcy tak lubią. Potrzebują tego. Ciężar odpowiedzialności i tęsknoty za rodziną jest duży.

Młoda kobieta przeszła koło Kolbeina, kiedy Elias wysunął dla niej krzesło przy stole. Poczł zapach lata. Tak dyskretny, jakby tylko umoczyła palec w różanej wodzie.

– Kolbeinie, poznaj Karen.

Karen? Karen. Oczywiście. Teraz ją skojarzył. Z bliska drobne dziecinne piegi były dobrze widoczne. To była Karen Klepsland, córka Kjella Klepslanda. Dziewczyna, która go zadenuncjowała. Uśmiechnęła się skromnie i podała mu dłoń. Ujął ją – poczuł się, jakby dotknął świeżo wyklutego pisklęcia.

– Doktorze – powiedziała, leciutko skłaniając głowę.

– Panienko – odrzekł.

– Panienska... No cóż, już niedługo – wtrącił Elias. – Pobierzemy się, gdy tylko Karen będzie w odpowiednim wieku. Wtedy pojedę do Niemiec, do Elsy, po swojego syna i wszyscy troje zamieszkamy tutaj, w willi Østhassel. Dobrze będzie mieć tutaj dziecko, prawda, Karen? – Elias pogładził ją po wystających kościach policzkowych.

Zarumieniała się i wbiła wzrok w stół.

Kolbeinowi zabrakło tchu. Ścisnęło go w gardle, a serce zaczęło walić jak młotem. Nie było trudno pojąć, o co Eliasowi chodzi. Jak cierpliwy sęp dziobał rany dawnego współpracownika. Chciał go złamać. A jaka była najlepsza metoda? Elsa? Dziewczyna, która na niego doniosła? Może przypomnienie o dziecku Eliasa i Elsy? Stało się jasne, dokąd prowadziła ta rozmowa. Profesor użyje kalekiej córki Kolbeina, żeby zadać mu śmiertelną ranę. Żeby rzucić go na kolana. Podporządkować sobie.

Elias Brinch miał morze czasu i nie ukrywał, że ten zamaskowany pojedynek sprawia mu radość.

Kolbein zmusił się do spojrzenia profesorowi w oczy. Przełknął ślinę.

– Co u Elsy?

– U Elsy... – powtórzył Brinch i uśmiechnął się niemal z zawstydzeniem. – Najlepiej jest tak, jak jest. Elias mieszka teraz u dziadków w Bortfeld, a Elsa jest w Grecji. Ale w sytuacji wojny i tego wszystkiego... Chcę mieć syna przy sobie. Jest już dużym chłopaczkiem. Pięć lat. Żadne dziecko nie powinno wzrastać bez ojca. Karen też tego chce. Nie może się doczekać, aż zostanie dla chłopca matką. Będzie go kochała jak rodzzonego.

Żadne dziecko nie powinno wzrastać bez ojca. Jak on śmie! Kolbein jeszcze raz przełknął gniew. Nie podda się.

– Elias? Ochrzcilesz syna swoim imieniem?

– To był wybór Elsy. Elias Gerhard Schrader. Po jej bracie i po mnie. – Uśmiechnął się. – Wiesz... Elsa jest pod tym względem trochę sentymentalna. Zresztą jak większość kobiet. Nawet rozważała imię Kolbein. Kiedy była w ciąży z twoim dzieckiem, oczywiście. Zanim się dowiedziała, że urodziła dziewczynkę. I że dziecko jest niedorozwinięte. – Uśmiech niezauważalnie przeszedł w zwierzęcy, drapieźny grymas. – Wyobrażasz sobie? Niemieckie dziecko, któremu na chrzcie dano Kolbein! – Roześmiał się głośno. – Nie, no coś takiego... Dobrze, że nic z tego nie wyszło.

Pachniało dołem kloacznym i szczekał pies, kiedy Kjell Klepsland podpierał Kolbeina w drodze powrotnej do celi.

---

\* Piosenka z 1930 roku śpiewana przez Marlene Dietrich (sł. Robert Liebmann, muz. Friedrich Hollaender).

## ROZDZIAŁ 85

Skęcili z E18 i Sebastian Koss zwolnił. Nie na tyle jednak, by pęd w dalszym ciągu nie zwiewał kropli deszczu z przedniej szyby mercedesa. Fredrik siedział na fotelu obok skurczony, cierpiał na chorobę lokomocyjną. Zbrodniczą prędkość utrzymywali od chwili, gdy Fredrik powiadomił inspektora o starej fotografii Wiedeńskiego Bractwa i o obecności na niej Kolbeina Ihmeo Monsena. Teraz od Kossa zależało, czy cisza zostanie przerwana. Odezwał się, dopiero gdy mijali tablicę informującą, że znajdują się w Horten.

– Na ile godny zaufania jest ten twój historyk?

Fredrik uśmiechnął się w duchu. To musiała być dla Kossa gorzka pigułka. Najpierw dowiedzieć się prawdy, a potem żyć z tym, że Fredrik też to wie. Posiadanie higienisty rasowego tuż nad sobą w drzewie genealogicznym nie bardzo pasowało do rodzinnej legendy. Jednak Fredrikowi nie było dane długo rozkoszować się nowo nabytą wiedzą.

– To... to mnie w gruncie rzeczy nie zaskoczyło – stwierdził trzeźwo Koss. – Wiedziałem, że dziadek był uczonym i bojownikiem ruchu oporu. Ale nigdy nie słyszałem o żadnym bractwie. Mój ojciec i on nigdy nie byli sobie bliscy.

W Horten podróż zakończyła się na terenie przemysłowym przy Bromsjordet, na południe od dawnej stoczni. Inspektor zaparkował przed niskim murowanym budynkiem. Obok wejścia – szklanych drzwi obramowanych aluminium – stała tabliczka z logo Norsk Biolab.

– A ten historyk wojen wiedział, że jestem wnukiem Kolbeina Ihmeo Monsena? – wyrwało się Kossowi.

– Nie. Wiedział tylko, że jego synem jest Gerhard Monsen. A twój ojciec był na pogrzebie mojej matki i wtedy powiedział mi, że jesteś jego synem.

Trwało sekundę, nim Koss zaskoczył.

– Rozumiem. Znasz mojego ojca?

– Nie. Ale widocznie znali go moi rodzice. Oboje nie żyją.

Koss otworzył mewie skrzydła mercedesa.

– Bo ojciec pytał o ciebie.

Do recepcji wpuścił ich strażnik. Było to niezbyt przyjazne pomieszczenie, jasnozielone, z palmą z plastiku i automatem do kawy, który produkował zabrudzoną wodę. Strażnik poszedł zaanonsować ich przybycie.

– Wygląda na to – zwrócił się Fredrik do Kossa – że od Wiedeńskiego Bractwa do wspólnoty ze

Słonecznego Spokoju prowadzi jakiś trop. Muszę porozmawiać z twoim dziadkiem. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

Koss długo przyglądał się podwładnemu, ale z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Wreszcie wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Nie. Ale ostrzegam cię: to stary dziwak i kawał diabła.

Szefowa zespołu analityków Petra Johanssen była delikatnej budowy kobietą około czterdziestki. Z poważną miną sprawdziła ich upoważnienie. Następnie rzuciła okiem na strażnika i gestem poprosiła, by poszli za nią w głąb korytarza. Zatrzymała się dopiero wówczas, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu mundurowego.

– Wyniki analiz są wyjątkowo niepokojące. Mowa o znaczącym zagrożeniu dla zdrowia ludności.

Sebastian Koss chrząknął zniecierpliwiony.

– Mamy tego świadomość. U tego, który przeżył, zdiagnozowano obecność wirusa ospy prawdziwej.

Kobieta spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu.

– Jest jeszcze gorzej. Dużo gorzej.

Weszli do pomieszczenia o gołych ścianach z oknem rozciągającym się na długość jednej z nich. Przed szybą stał rząd plastikowych krzeseł. Mieli stąd widok wprost na laboratorium z co najmniej piętnastoma stanowiskami pracy. Zajęte były tylko dwie osoby, obie ubrane w kombinezony ochronne. Nie można było nawet poznać, czy to kobiety, czy mężczyźni. Zaabsorbowani pracą analitycy rzucili im szybkie spojrzenie zza olbrzymiego mikroskopu. Petra Johanssen stanęła przed oknem i założyła rękę na piersi okrytej laboratoryjnym fartuchem.

– W tej branży boimy się wyciągać pochopne wnioski... – zaczęła z namysłem, wodząc wzrokiem od jednego policjanta do drugiego.

Koss zabębnił palcami w siedzenie krzesła.

– Jednak na podstawie otrzymanych informacji nie znaleźliśmy innego wyjaśnienia. – Nacisnęła jakiś wyłącznik, okno pociemniało i stało się nieprzejryste.

To, co znaleźli w Porsgrunn, okazało się kompletnym pakietem terrorystycznym z całym instrumentarium potrzebnym do sparaliżowania społeczeństwa – wywołania poczucia zagrożenia, paniki i śmierci. Słowem: anarchii.

– To prawda – zwróciła się do Kossa – a jednocześnie stwierdzenie bardzo nieprecyzyjne, że znaleziono wirusa ospy prawdziwej. Oznaczyliśmy trzy wirusy. Trzy różne odgałęzienia tego samego szczepu. I nie są to przypadkowe mutacje. Te warianty wirusa zostały zaprogramowane.

– Dlaczego...? – przerwał jej Koss. – Dlaczego ktoś to zrobił?

Kobieta uniosła dłonie.

– Żeby zwiększyć śmiertelność – odparła ponuro. – Zaraz to wytłumaczę.

Przywołała porównanie z antybiotykami. Uczni i firmy farmaceutyczne wciąż produkują nowe antybiotyki, ponieważ bakterie szybko zyskują odporność na już istniejące. To wyścig. Walka o byt między bakterią a człowiekiem, trochę w stylu teorii Darwina.

Wprowadzając do populacji trzy różne warianty wirusa ospy prawdziwej, znacząco redukuje się szansę ludzi na przeżycie. Można być odpornym na jeden wariant wirusa, ale już nie na inny. W tym kontekście człowieka można porównać do bakterii. Wirus ospy atakuje człowieka – tak jak antybiotyk zwalcza bakterię. Jeżeli pierwszy wariant wirusa nie zabije, to może uda się to następnemu.

– To znalezisko świadczy moim zdaniem o tym, że ktoś przygotowywał zaawansowany terror biologiczny.

– Boże... – jęknął Koss.

Szefowa analityków wyprostowała się i zamilkła. Dała im czas na przetrawienie informacji, zanim przeszła dalej. Bo rewelacji było więcej. Tuż przed wizytą śledczych rozmawiała z Instytutem Medycyny Sądowej. Carl Josefsen nie zmarł na ospę.

– Co takiego!?! – zawołał Koss.

– Zmarł na wąglika. Płucnego.

– Wąglika? Na to, co terroryści wysyłają ludziom w listach, żeby ich zabić?

Petra Johanssen odchrząknęła.

– Zgadza się. Dodatkowo zidentyfikowaliśmy jeszcze jedną chorobę. – Prawie przepaszająco wzruszyła ramionami. – Nosaciznę.

– Nosa... ciznę? – Kossa zatkało ze zdumienia. – A co to, u diabła, jest?

– Choroba zwierzęca – zgasił go Fredrik. – Też całkiem śmiertelna, jeśli się nie mylę. Daj kobiecie dokończyć. I jak to wygląda w ogólnych zarysach?

Koss spojrział na niego z irytacją, ale się nie odezwał.

– Ospa, jak panowie wiedzą, jest wywoływana przez wirus. Bardzo zaraźliwy i potencjalnie wysoce śmiertelny. Wąglik i nosacizna to choroby bakteryjne.

Spoglądając raz na jednego, raz na drugiego, wyjaśniała to, co oczywiste. Te choroby nie występują w sposób naturalny razem. Mają tylko jedną rzecz wspólną. Wszystkie trzy są bronią biologiczną.

Splotła ręce na brzuchu i wbiła wzrok we Fredrika.

– Ma pan dzieci?

Kiwnął głową.

– Jak by pan zareagował, gdyby wybuchła epidemia ospy? To znana broń biologiczna. W ciągu tygodnia ludzie zaczynają umierać. Najpierw kilkadziesiąt osób i tylko na szpitalnych oddziałach zakaźnych. Potem setki. Choruje coraz więcej ludzi. Nie ma już miejsc na oddziałach specjalnych, brakuje odzieży ochronnej dla personelu medycznego. Tracimy kontrolę. Choroba może się czaić

wszędzie. Wszędzie tam, gdzie zbierają się ludzie. Niewielkie ilości szczepionki, które można dostać, są na wagę złota. – Wzięła oddech. – W środku tego wszystkiego zostają przeprowadzone kierowane ataki bakteriami węgliką. Na system wentylacyjny w podziemnej kolejce. Szpitale. Ministerstwa. A jeśli w tym samym czasie epidemia nosaczyny dziesiątkuje hodowle? Stada się wyrzyna, a zabite zwierzęta pali na stosach na polach, przy drogach. – Rozłożyła ręce. – Nie pójdzie pan do pracy. Zatrzyma pan dzieci w domu, nie puści do szkoły. Może uciekniecie państwo z miasta. Na lotnisko? Ludzie gromadzą w domu wszystko, co im wpadnie w ręce. Żywność znika ze sklepów. Zawodzi zaopatrzenie w wodę. Nie ma prądu. System kanalizacyjny się wali.

Fredrik zerknął na inspektora. Cera Kossa znów miała niezdrowy odcień.

– Szerzy się panika – ciągnęła Petra Johanssen. – Pan ją czuje. I ci, których pan kocha. Wszyscy pańscy znajomi wpadają w panikę. Cała Norwegia.

Cisza.

– Totalny chaos. Mówimy więc o ataku terrorystycznym apokaliptycznego wręcz formatu – podsumowała powoli.

– Dzień Sądu – mruknął Fredrik. – Pierwszy z dni ostatecznych.

Petra Johanssen odprowadziła ich na parking.

– Myśli pani...? Czy może za tym stać jedna osoba? Albo mała grupa? Taka jak wspólnota ze Słonecznego Spokoju?

Petra Johanssen potrząsnęła głową.

– Nie. To nie do pomyślenia. Tu mamy do czynienia z czymś dużo większym. Ze znaczną liczbą bardzo dobrze wykształconych ludzi z dostępem do zaawansowanych technologii, dużych zasobów i mających czas. Dużo czasu. Dekady. Trudno sobie wyobrazić – potrząsnęła głową – że do czegoś takiego mogłoby dojść bez zaangażowania władz danego kraju.

Sørena Plantenstedta przyjęto na szóstkę. Do kliniki psychiatrycznej. Pawilon 6 w szpitalu okręgowym Telemarku. Nie jadł, nie spał i się nie odzywał. Przez dwa dni tylko gapił się w sufit i mamrotał – niezrozumiale i bez sensu.

Trzeciego poranka, kiedy przyszedł pielęgniarz, łóżko było puste. Pracownik szpitala usłyszał jednak nucenie w łazience. Søren Plantenstedt stał przed lustrem. Ubrał się, uczesał, umył zęby. Odwrócił się do pielęgniarza.

– Jestem gotowy. Powiedźcie policji, że jestem gotowy.

Fredrik Beier stał przy oknie, wypatrując transportu, i nieobecny duchem międlął rozsunięte zasłony.

Posterunek policji okręgu Grenland to nowoczesny, porządnie zbudowany, murowany architektoniczny koszmarek na zachodnim brzegu Falkumelvy. Rzeka stanowi naturalną granicę między miastem a terenami wiejskimi i ciągnie się jak wąska kiszka na północny zachód od Skien. Po zachodniej stronie siedziby policji wznosi się częściowo zabudowany willami, częściowo zarośnięty lasem grzbiet wzgórza. Fredrik powiódł wzrokiem po wysadzonych w powietrze skałach, po półnagich pniach sosen i zaroślach zjeżonych jak szczecina dzika.

Kafa i Andreas wyjechali z Oslo wcześniej. Za jakieś dziesięć minut na miejscu, gdzie teraz siedziała policjantka, miał się znaleźć Søren Plantenstedt. Kafa i Koss staną za weneckim lustrem w pokoju obok, a Andreas i on sam poprowadzą przesłuchanie.

– Musi być mowa o Drangem – odezwała się zza jego pleców Kafa. – Plantenstedt nie może wygłaszać tyrad o sobie i Bogu. Fundamentalisci uwielbiają autopromocyjne pustosłowie. Musimy z niego wyciągnąć, gdzie ukrywa się reszta sekty. I czy istnieje więcej magazynów wirusów. Musimy się dowiedzieć, jakie mają plany. Zdobyć konkretne informacje.

Kątem oka Fredrik zauważył, że Andreas bawi się guzikami swojej kremowej koszuli, co było oznaką, że się namyśla. Nie powiedział jednak nic.

Dojrzał skuloną postać Plantenstedta w zjeżdżającym do garażu radiowozie. Przeszedł pospiesznie przez pokój. Zatrzymał się, żeby obejrzeć jedyną naścienną ozdobę we wnętrzu – akwarelę w skageńskim stylu\* przedstawiającą złotą piaszczystą plażę, granatowe morze i niewyraźne mewy na tle czerwonopomarańczowego zachodu słońca. Odpychający obraz. Fredrik odwrócił się do niego plecami.

Andreas cofnął się z krzesłem i spoglądał na Kafę znad okularów.

– Mamy coś na przynętę? Będzie mu zależało na rozmowie z nami?

Andreas i Kafa zawarli swego rodzaju zawieszenie broni po tym, jak współpracowali przy lokalizacji schronu w Porsgrunn. Dalej konkurowali w wymyślaniu najlepszych, najbardziej wiarygodnych teorii, teraz jednak z pewnym szacunkiem dla konkluzji partnera, jak zauważył Fredrik nie bez swego rodzaju dumy. Jego spojrzenie spoczęło na Kafie. Pochyliła się nad stołem – ten ruch z jakiegoś powodu przypomniał mu chwilę, kiedy go pocałowała.

– Z tym może być problem – odpowiedziała. – Jeżeli identyfikuje się z terrorystycznymi planami Drangego, jeżeli rzeczywiście wierzy, że przyjdzie dzień Sądu, to będzie trudno coś od niego wyciągnąć. Zaakceptuje swój los. Im bardziej będziemy naciskali, tym bardziej będzie się zamykał. Religijni ekstremiści upatrują we wszelkich karnych reakcjach na ich działania potwierdzenia, że realizują wolę Boga. Bóg ich testuje, bo są jego wybrańcami. *Klasyczny Paragraf 22.*

Fredrik słuchał. To był błędny trop. Søren Plantenstedt przychodził do nich, żeby powiedzieć prawdę o Børrem Drangem. O broni biologicznej i o planach Sądu Ostatecznego. Możliwe, że sam jeszcze tego nie wiedział, ale to właśnie robi. Fredrik był tego pewien. Los Pio Otamendiego i Carla Josefsena wytrącił pastora z równowagi – niezależnie od tego, jak bardzo wyprany miał mózg. W tym człowieku było coś, co mówiło Fredrikowi, że tego, co się stało, Søren nie uważał za słuszne. Widział to po nim. Te niekontrolowane skurcze mięśni twarzy, jakby jakiś głos, niesłyszalny dla nikogo poza samym pastorem, krzyczał mu do ucha prawdę. W końcu Søren musiał posłuchać tego głosu. Tylko w ten sposób mógł osiągnąć spokój.

– Powinniśmy zagrać na jego poczuciu winy.

Koledzy przerwali dyskusję i popatrzyli na Fredrika.

– Pamiętajcie, że Plantenstedt jest kimś więcej niż fundamentalistycznym pastorem. Jest również świetnie wykształconym biochemikiem. Jego religijność opiera się na fundamencie intelektualnym, a nie emocjonalnym. Sam wie, co złego zrobił. Walczy w nim wiara z moralnością. W tym miejscu powinniśmy drążyć.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi i ukazała się głowa policjanta.

– Aresztant i jego adwokat są tutaj.

Søren Plantenstedt poruszał się po pokoju jak żerujący nocą gryzoń. Tanią marynarkę zamienił na bluzę od dresu. Podenerwowany żuł gumę. Nie okazał, że poznaje Fredrika, póki nie uścisnęli sobie dłoni. Uśmiechnął się wtedy przelotnie i kapryśnie.

– To jest Andreas Figueras, mój kolega. Mamy nadzieję, że... – Nie dokończył.

Bo w tym momencie głowa Sørena Plantenstedta eksplodowała.

W żaden inny sposób nie da się tego opisać. Kiedy Fredrik się odezwał, pastor zerknął na niego, ich spojrzenia się spotkały i... raptem głowy nie było. Zwiało ją.

Nabój o dużej prędkości wylotowej trafił pastora w skroń. Cała górna połowa głowy aż do dolnej



szczęki została oderwana, odsłaniając osadzone w niej półkuliście zęby. Z różowej miękkiej tkanki gardła niczym z zapchanej toalety wydobyło się gulgotanie, a potem tętnica szyjna wypompuwała półmetrowej wysokości fontannę jasnej krwi, barwiąc biurko, notatnik, krzesła, adwokata, Fredrika Beiera i Andreasa Figuerasa na czerwono.

Jak zachód słońca w skageńskim stylu.

---

\* W Skagen na Jutlandii w latach 70. i 80. XIX wieku istniała kolonia malarzy, który wypracowali bardzo charakterystyczny styl. Malowali głównie sceny rodzajowe i pejzaże wyróżniające się intensywnymi efektami świetlnymi.

Kabina prysznicowa w piwnicy posterunku policji. Ciemna krew i jasna masa mózgowa rozcieńczone wodą. Różowe strumyczki na białych kafelkach.

Z grzbietu wzgórze Fredrik miał widok prosto na posterunek policji. Szyba w oknie została przebita jedną perfekcyjnie wystrzeloną kulą. Szkło zasłonięto teraz grubym białym plastikiem. Żeby fotoreporterzy z gazet, ze swoimi trzystumilimetroowymi obiektywami, nie mieli na czym żerować.

W plastikowych ochraniaczach na butach i niebieskich lateksowych rękawiczkach Fredrik kuczał teraz, na ile pozwalało mu kolano, pod na pół nagą sosną. Badał ziemię pod najniższą warstwą konarów. Szukał połamanych gałązek. Śladów czubków butów w wilgotnej glebie. Zagłębień, w których spoczywały łokcie.

Tutaj leżał. Stąd morderca oddał jeden strzał. Odległość nie sięgała stu pięćdziesięciu metrów. Nie było wiatru ani słońca. Rolety, które zazwyczaj opuszczano, kiedy korzystano z pokoju przesłuchań, popsuły się. Fredrik pomyślał, że jego głowa także była na celowniku. Kula minęła go zaledwie o pół metra. Żył, ponieważ zabójca zdecydował, że ma żyć. Znowu.

– Musimy myśleć szerszym spektrum – zawołał przez ramię.

Kafa była gdzieś z tyłu. Nie czekał na jej odpowiedź.

– Ten facet rozsadza nam skalę. Nie potrafimy wyobrazić sobie jego reakcji. Nie wiemy, jak brutalnie jest skłonny postępować. Atak na posterunek policji... – Wstał. – Brakuje nam fantazji. – Odwrócił się i napotkał spojrzenie Kafy. – Mentalnie ten człowiek nie przebywa w Norwegii. Znajduje się w strefie działań wojennych. A to dlatego, że jest przyzwyczajony do działania w strefie wojny. Szukamy kogoś z doświadczeniem wojskowym. Komandosa. Najemnika. Czy ja wiem...? Kogoś tego typu.

Przerwało im wołanie. Za taśmą policyjną stał Andreas i przyzywał ich do siebie. Fredrikowi zdawało się, że we włosach kolegi wciąż widzi krwawe błyski.

– Zniknął z parkingu niedaleko na górze – powiedział Andreas. – Świadek mówi, że widział ubranego na czarno mężczyznę wciskającego się w mały czerwony samochód osobowy. Niósł torbę i podłużny kawałek filcu.

– Dobra – skwitował zamyślony Fredrik – to było dwie godziny temu. Skurwiel może być diabli wiedzą gdzie. Jedziemy. Do domu. – Westchnął.

Lokalne drogi z Grenlandu w kierunku stolicy wiły się przez jasnozielone lasy liściaste, ciemnozielone iglaste i przez pofałdowane pola. Trasa była kłopotliwa, bolało go ramię, ale nie szkodzi. Niech zajmie to tyle, ile ma zająć. Tymczasem rozważał swoje osiągnięcia i porażki.

Wątpliwości mu ciążyły, dopóki przez perfekcyjnie skalibrowane przyrządy optyczne nie zobaczył pastora. Dopiero wtedy zaakceptował to, że otrzymana informacja była prawdziwa. Plantenstedt rzeczywiście został wprowadzony do pokoju na pierwszym piętrze budynku policji. Automatyczne rolety faktycznie dały się unieruchomić poprzez sieć informatyczną posterunku.

Czekał i zastanawiał się, jaka była szansa, że śledczy zasuną zasłony. Może pół na pół? To nie był jednak oddział bojowy. To nawet nie był policyjny patrol. Ci ludzie nie zajmowali się zapobieganiem przemocy i zabójstwom. Oni przychodzili później. Nie myśleli o bezpieczeństwie. Zdecydowanie zmniejszył prawdopodobieństwo, że tamci zasuną zasłony, i przekonał się, że ma rację. Ta akcja to będzie punkt dla niego. Tak jak poprzednia, w schronie, dała punkty im.

Akcja w Porsgrunn była poważnym ciosem. Nie tylko dlatego, że został poniżony, postrzelony, że zostawił ślady krwi. Nie tylko dlatego, że nie udało mu się zlikwidować celu. Przede wszystkim dlatego, że nie zdołał zniszczyć laboratorium.

Pastor, ten złośliwy skurwysyn, ukrył wejście. A policja je znalazła. Znaleźli wirusy i bakterie. Poza tym jednego martwego, a drugiego śmiertelnie chorego homo? Musiał oddać pastorowi sprawiedliwość. Tego nawet on się nie spodziewał. Dobrze było czuć szacunek. Nie zdarzało się to często. Ci, którzy w tym życiu coś osiągną, to ci, którzy robią to, co konieczne. Tak długo i tak wytrwale, aż zadanie zostanie wykonane. Tacy jak on sam.

Wyeliminowanie Sørena Plantenstedta było konieczne, żeby Waleń przestał naciskać. Ocena szkód. Przebieg tej akcji wzbudzał duże niezadowolenie. Jego działania też. Ale to nie on zadecydował, że operacja ma być jednoosobowa. To była decyzja Walenia. I tych, których rozkazy Waleń mu przekazywał. Organizacji.

Policja wiedziała o broni biologicznej, a to wszystko zmieniało. Czuł jednak ulgę. Teraz zachowanie tego w tajemnicy nie było już jego sprawą. Mógł się skoncentrować na swojej robocie.

Oddanie strzału z karabinu AWM odczuł boleśnie w postrzelonym ramieniu. Ale póki trafiał za pierwszym razem, wystarczyło zamknąć oczy, śledzić przebłyśki bólu na rogówce i przełykać smak krwi. Żegnaj, pastorze Plantenstedt.

Został jeszcze jeden.

Pozłacane litery wysokości zapalek na tabliczce obok masywnych mahoniowych drzwi składały się w imię i nazwisko. Na pukanie odpowiedziało ciche kliknięcie zamka.

Ściany w sekretariacie pokrywał palisandrowy fornir. Pomieszczenie miało kształt migdała i pachniało słodkawo drewnem. Podłoga była wyłożona grubym czerwonym dywanem, który skutecznie pochłaniał każdy dźwięk, przyczyniając się do dostojnej atmosfery tak jak facjaty sześciu mężczyzn w złożonych ramach na ścianie. Na środku pokoju za delikatnym biurczkiem siedziała sekretarka – szczupłe stworzenie w okularach zsuniętych na czubek nosa, tak zharmonizowana z otoczeniem, że wydawała się jego integralną częścią. Zerknęła na nich znad klawiatury połączonej z cienkim jak kartka monitorem. Na blacie biurka leżała czarna skórzana podkładka, a na niej arkusz papieru listowego z nagłówkiem „Simon Riebe. Adwokat Sądu Najwyższego. Deputowany do Stortingu. Kancelaria Prawna Riebe & Co.”.

– Kafa Iqbal i Fredrik Beier?

– Zgadza się.

– Proszę wejść. Pan Riebe państwa oczekuje – powiedziała, gestem wskazując drzwi za swoimi plecami.

Portret Simona Rieiego wisiał najbliżej drzwi. W przeciwieństwie do swoich pięciu męskich przodków lider Prawicy został namalowany w konwencji nowoczesnej, z przesadnie zaznaczonymi światłocieniami na kanciastej twarzy i na dość ponurym tle. Trudno powiedzieć, czy miało to coś mówić o osobowości portretowanego, czy o tym, że krajem, w którym żył, z reguły rządzą socjaldemokraci.

Fredrik już miał zapukać, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Ruben Andersen, asystent Rieiego. Fredrik widział go kiedyś w telewizji.

– Proszę wejść – zapiszczał Andersen, robiąc ryjek i schylając głowę staroświeckim gestem.

W odróżnieniu od sekretariatu gabinet Rieiego składał się wyłącznie z kątów prostych. Prawnik siedział za biurkiem na końcu pokoju. Za plecami miał regał z książkami. Na dłuższej ścianie brązowo-pomarańczowe aksamitne zasłony do ziemi zaznaczały duże okno z widokiem na port i na Muzeum Astrup Fearnley na Tjuvholmen. Kanciastość pokoju łagodziła metrowej wysokości biała marmurowa rzeźba przedstawiająca kobiece ciało o wygładzonych łukach od ud do karku. Dwie przypominające ramiona wypustki wyciągały się w górę, prostując plecy na całą długość. Ta właśnie linia – od pośladków przez plecy do karku – była dziełem sztuki. Tors postawiono naprzeciw okna na postumencie z czarnego jak smoła kamienia.

– To Arp\* – odezwał się mężczyzna o popielatosiwych włosach, wstając zza biurka.

Simon Riebe był wzrostu Fredrika. Nienagannie ubrany. Uśmiechnął się z poczuciem pewności siebie, które dają stare pieniądze i idealne zęby. Ucisnął im dłonie i gestem zaprosił do zajęcia miejsc na obitych skórą krzesłach przed biurkiem. Asystent stanął za ich plecami.

– Nie powiedział pan, że pani jest perską księżniczką – odezwał się Riebe, zerkając na Fredrika podczas nalewania kawy do białych porcelanowych filiżanek.

– Dziękuję – skwitowała zażenowana Kafa. – Pochodzę jednak z Pakistanu, nie z Persji – pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Piękno nie zna granic – skomplementował z uśmiechem Riebe, podsuwając im filiżanki.

Nie nalał asystentowi, a swoją filiżankę napełnił tylko do połowy i ze srebrnego dzbanka dolał wrzątku. Następnie odchylił się na krzesło i spojrzał badawczo na gości.

– A więc... w czym mogę pomóc?

Fredrik ostrożnie przesunął filiżankę na bok. Riebe złożył dłonie na blacie i śledczy nie mógł nie podziwiać idealnie łukowatych paznokci.

– Jesteśmy tutaj, ponieważ mamy powody przypuszczać, że przekazał pan informacje o sprawie Słonecznego Spokoju dziennikarzowi Jørgenowi Mostu... – Fredrik zawiesił głos, żeby przyjrzeć się reakcji Rieiego. – Temu, który został zabity pod operą.

Riebe uniósł prawą brew.

– A na czym... opiera się ta teoria? – Ton głosu prawnika był mniej więcej taki, jakby Fredrik zaproponował mu, żeby spotkali się na Youngstorget na kebabie.

– Wiemy, że Mostu wielokrotnie dzwonił do pana tego lata. A pan przysyłał mu SMS-y. Ostatni raz tego dnia, kiedy zniknął – wyjaśnił Fredrik, starając się zachować neutralny ton.

– Rozumiem – odparł Riebe i zerknął na połę marynarki, z której strzepnął niewidzialny pyłek. – Cóż, sprawy mają się tak... Na wiosnę skradziono mi telefon komórkowy. Znam oczywiście Mostu ze Stortingu, ale nigdy, zapewniam: nigdy nie byłem dla niego żadnym źródłem. A szczególnie w tej sprawie. W sprawie Słonecznego Spokoju. W jaki sposób miałoby dojść do tego, że dysponowałbym informacjami na ten temat? Jestem politykiem. Nie zaś policyjnym śledczym. – Potrząsnął szpakowatą głową i spojrzał z rezygnacją na asystenta. – Tak więc w tym przypadku wydaje mi się raczej, że ktoś próbuje nam wszystkim zrobić kawał – dokończył, opierając się na krzesle.

Zanim Fredrik zdołał odpowiedzieć, Ruben Andersen wyczarował dwa dokumenty, które położył na stole między gośćmi.

– Proszę czytać – pisnął zwięźle i niespecjalnie uprzejmie.

Fredrik wysupłał okulary z wewnętrznej kieszeni marynarki. Jednym z dokumentów była kopia zgłoszenia na policję datowana zaledwie kilka dni przed pierwszym zapisem kontaktów z numerem Rieiego na telefonie Jørgena. Drugim był rachunek za zakup nowej komórki.

– No tak – odezwał się Fredrik, przeczytawszy oba papiery. – Nie zablokował pan numeru po kradzieży?

– Niestety nie. – Riebe się uśmiechnął. – To był przecież środek planowania kampanii wyborczej. I nie tylko... Także formowania polityki naszego przyszłego rządu. – Znowu spojrzał ponad ich głowami na asystenta. Jego wzrok mówił wyraźnie, że Fredrik kompletnie nie jest zdolny, by zrozumieć, co to oznacza. – W takich chwilach podobne szczegóły... ulatują z głowy.

– Myślałem, że właśnie po to zadajecie się z takimi jak on. – Fredrik wskazał przez ramię Andersena.

Pisk zza pleców świadczył o tym, że zniewaga została właściwie odczytana. Riebe uniósł brwi, a potem głośno się roześmiał, obracając filiżankę o sto osiemdziesiąt stopni, tak że jej uszko celowało w pierś Fredrika.

– Chyba nie jestem podejrzany?

Fredrik nie zareagował.

– Skąd wiedzieliście, że przyjdziemy, żeby spytać właśnie o to? Papiery były już przygotowane.

– Przyjmuję zatem, że nie jestem – kontynuował Riebe. – To nie było trudne – ciągnął. – My, politycy, musimy zawsze pilnować porządku w naszych szmatkach i gałgankach. Ciągłe znajdujemy się pod ostrzałem. Prasy. Przeciwników politycznych. Besserwisserów... – Spojrzał wymownie na Fredrika. – Jesteśmy w tej komicznej sytuacji, że musimy dowodzić swojej niewinności. – Powiódł wzrokiem od niego do Kafy. – Takie salto mortale z prawniczego punktu widzenia.

Prawie pół minuty nie spuszczała z siebie wzroku. Fredrika uderzyło, że Simon Riebe wyglądał na młodszego w rzeczywistości niż na portrecie, który kazał sobie namalować. Prawdopodobnie był to celowy zabieg. Wydawał się przez to odporny na działanie czasu. W każdym razie nie było mowy o przypadku. W tym wnętrzu przypadki jakby nie istniały.

– Muszę przyznać, że zdumiewa mnie, iż tracie państwo przedpołudnie w moim gabinecie. No wie pan, cały naród oczekuje, że ta wspólnota wkrótce się odnajdzie... – Riebe zawiesił głos, a Fredrik uśmiechnął się chłodno.

– Naród oczekuje także, że winni zostaną postawieni przed sądem. No wie pan. – Z tymi słowami podniósł się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Uścisk dłoni Riebego był lodowaty.

– Miło mi było panią poznać, panno Iqbal – powiedział polityk. – Ruben państwa odprowadzi.

---

\* Hans Arp (1886–1966) – francuski malarz, grafik, rzeźbiarz i poeta. Jego rzeźby należą do nurtu abstrakcji organicznej.

## ROZDZIAŁ 90

Odpowiedź mieli przed nosem. Dostrzegł to, gdy stał przed tablicą dotyczącą sprawy Słonecznego Spokoju w gmachu policji z kopią zgłoszenia policyjnego Simona Riebege w ręku. Wiedział, gdzie szukać wspólnoty!

Dziewięć minut później Kafa prowadziła nieoznakowany radiowóz przez Tøyen w kierunku placu Carla Bernera, a Fredrik usiłował przesunąć fotel do tyłu. Znowu dokuczało mu to cholerne kolano.

Kafa ostro przyhamowała, żeby przepuścić pieszego na Finnmarkgata.

Pochmurne popołudnie zamieniało się w duszny wieczór. Park na Tøyen, nie licząc kilku biegających, był pusty i bezbarwny.

– No? Skąd to wiesz?

Wreszcie. Ustawił fotel we właściwej pozycji.

– Od dawna wiedziałem. Ty w pewnym sensie też. Po prostu to do nas nie dotarło.

– Ale co?

– Plantenstedt dzwonił na anonimowy telefon, który znajdował się w Słonecznym Spokoju. Na numer, który należał do wspólnoty, ale nigdy przedtem nie był używany. Prawda?

– Owszem. I? – Patrzyła na niego z uniesionymi brwiami.

Fredrik wyciągnął z kieszeni mapę, którą wychodząc, pospiesznie porwał z tablicy.

– Andreas mówił, że Słoneczny Spokój to duża posiadłość. Że umożliwia wydzielenie działek na północ i na wschód. – Rozpostarł mapę zabudowy Maridalen. – A co leży w odległości stu metrów na północ od Słonecznego Spokoju? – Odpowiedział sobie sam: – Tam już stoi dom! Kvarvingenów. Staruszków z sąsiedztwa. – Postukał mocno w papier. – Tutaj to mamy. Czarno na białym. Dom Kvarvingenów leży na działce Słonecznego Spokoju!

W samochodzie zapadła cisza.

– Większość członków sekty nigdy nie opuściła Słonecznego Spokoju – rzucił cicho. – Anonimowy numer należy do małżeństwa Kvarvingenów.

– A niech to! – odezwała się wreszcie Kafa, uderzając z całej siły w kierownicę.

Przedsiębiorca, który budował piwnicę, Henning Skaug powiedział przecież, że w Słonecznym Spokoju mieszkała para starszych ludzi. O tym samym wspominali uciekinierzy z sekty Annabell i Bernhard: że wspólnota składała się w większości z młodych, ale też kilkorga starszych. Kiedy przesłuchiwali małżonków, na blacie w kuchni stało pełno brudnych naczyń. Stary sam przecież powiedział: „Aha, więc przyszliście”, jakby ich wizyta była po prostu kwestią czasu. A oni to

przeoczyli!

Słonecznego Spokoju wciąż pilnowało dwóch uzbrojonych policjantów. Stali tam, gdzie półtora miesiąca wcześniej Fredrik wysiadł z auta w strugi deszczu. Całą wieczność temu. Przypomniął sobie Synne, która czekała na niego pod świerkiem, paląc wilgotnego papierosa.

Namiot policyjny został usunięty. Trawa urosła, a w ogrodzie wisiał ciężki aromat dojrzałych śliwek. Odnaleźli pokrytą igłami ścieżkę za willą. W zapadającym zmierzchu poszli nią na północ i stanęli na wykarczowanej polanie. Ostatnio, kiedy się tu pojawili, Brynjar Kvarvingen drzemał w inwalidzkim wózku na zabudowanej werandzie. Teraz była ciemna i pozbawiona życia. Jednak za białymi firankami paliło się światło.

Nie musieli długo stać, żeby się upewnić. Pokrzykiwania dzieci, głosy kobiet i szybko przesuwane cienie za oknami mówiły same za siebie.

– Jedzą kolację – powiedziała Kafa.



## ROZDZIAŁ 91

Na biurku Fredrika Beiera zabrzączał aparat. Andreas tylko zerknął – niech się nagra na sekretarkę, odbierze adresat. Dwie minuty później telefon zadzwonił jeszcze raz. Andreas wyciągnął się i podniósł słuchawkę.

– Fredrik? – odezwał się suchy męski głos.

– Tu Figueras. Kolega Fredrika. Andreas Figueras.

– Aha. Mówi Hasse. Hasse Hansson. Policja kryminalna w Sztokholmie. *Länga sen*.

– Tak. Kawał czasu minęło – odpowiedział Andreas.

– Znalazłem odpowiednik waszej próbki krwi.

Andreas zerwał się zza biurka tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

– Tak?! No i?!

– Człowiek, którego szukacie, nazywa się Staffan Häyhä.

– Aha? Coś jeszcze?

– Obywatel szwedzki.

Andreas zapisał numer z ewidencji ludności.

– Dopiero co znalazłem nazwisko. Ten facet na kilometr śmierdzi tajemnicą. Brak adresu, brak numeru telefonu. Nie ma konta w banku. Brak danych migracyjnych.

– Do diabła! – skwitował Andreas.

Mężczyzna po drugiej stronie mruknął chrapliwie.

– Pozdrów ode mnie Fredrika. Powiedz, że będę grzebał dalej.

Potwór miał imię. Nazywał się Staffan Häyhä.

## ROZDZIAŁ 92

Fredrik walnął pięścią w pomalowane na biało drzwi.

– Policja! Otwierać! – zawołał.

Nagle umilkł wszelki gwar. Zamarł perlisty dziecięcy śmiech. Długo panowała przytłaczająca cisza.

Załomotał raz jeszcze.

– Otwierać. Wiem, że jesteście w domu.

Zachrobotał klucz w zamku. W uchylonych drzwiach ukazała się blada twarz Signe Kvarvingen. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu tak jak ostatnio. Niegrzecznie obrzuciła go spojrzeniem zmrużonych oczu. Dzieliła ich masywna klamka.

– Czego?

– Signe, jak pani wie, poznaliśmy się wcześniej. Jestem policyjnym detektywem, podobnie jak Kafa Iqbal, którą pani zapewne także rozpoznaje. – Odsunął ramię tak, by kobiecie mignęła Kafa. – Wiemy, że pani i pani mąż wzięliście na siebie wielką odpowiedzialność. Wiemy, że byliście częścią wspólnoty w Słonecznym Spokoju i że kobiety i dzieci stamtąd mieszkają tu w ukryciu.

Signe Kvarvingen zachowała kamienną twarz, tylko mierzyła go wrogim spojrzeniem.

– Myślę też, że rozumiecie, że dłużej nie może tak być. Musicie nas wpuścić, żebyśmy mogli porozmawiać. Nie mam ze sobą nakazu – przyznał szczerze – więc nie będziemy wchodzić siłą. Niemniej mogę dostać ten nakaz...

– To niech pan dostanie ten papier – rzuciła, starając się domknąć drzwi.

Czekając na stuk zapadki, usłyszeli ponury głos:

– Signe...

Głos męża, Brynjara.

– On ma rację – kontynuował zmęczony. – Pomyśl o dzieciach. Pomyśl: gdyby ktoś rzeczywiście chciał... Nie dalibyśmy rady stawić oporu, Signe. Nie dalibyśmy rady.

Usłyszeli zduszony szloch i brzęk metalowego łańcucha. Za plecami Signe stał Brynjar. Kiedy widzieli go ostatnio, podrzemywał jak starzec w fotelu na kółkach. Teraz stał za nią jak opoka. Wysoki, o bystrych oczach. W niebieskich ogrodniczkach i czerwonej koszuli w kratkę. W rękach dzierżył dwururkę z odwiedzionymi kurkami. Fredrikowi przypomniał się plakat z Hemingwayem u psychologa.

– Dziś przed południem widziałem bawiące się na polu obok sarenki. Pomyślałem sobie wtedy,

jakie to wszystko dziwne. Że zamykamy dzieci w domu, a przyroda się o swoje nie troszczy. Pozwala im biegać swobodnie. Pomyślałem, że jeśli dzisiaj stanie się coś specjalnego... to znaczy, że Bóg tak chciał. – Brynjar spojrzał na Fredrika z powagą. – Myśli pan, Fredriku Beierze, że Bóg tak chciał?

Fredrik zerknął na niego ponuro.

– Nie wiem zbyt wiele o Bogu, panie Kvarvingen. Ale na dobry początek należałoby odłożyć tę strzelbę.

Właz do piwnicy był ukryty pod plecionym chodniczkiem przy stole w kuchni, dokładnie tam, gdzie przed kilkoma tygodniami pili kawę. Brynjar Kvarvingen odsunął stół, przyklęknął i silnie pociągnął za uchwyt.

– Wszystko w porządku – mruknął w szparę. – Tora i Lisa, wychodźcie.

Wpatrzyli się w ciemności. U podnóża schodów zgromadziły się blade twarze. Fredrik naliczył pięć kobiet i co najmniej tyleż dzieci. Scena przypominała czasy wojny. Przestraszone twarzyczki dzieci w piwnicy. Serce się kroiło. Na schodach stały brudne talerzyki, garnki i sztućce. Zastawa z kolacji, którą tak szybko uprzątnęli. Potem wszyscy wyszli na górę.

Signe Kvarvingen czekała w drzwiach kuchni i zaprowadziła dzieci do salonu. Najmłodsze nie mogły mieć więcej niż rok albo dwa lata, najstarsze zbliżały się do dziesięciu. Trzy kobiety i Signe poszły z dziećmi. Dwie zostały w kuchni. Brynjar zamknął właz, przesunął stół na dawne miejsce i postawił na blacie filiżanki.

– Napijemy się kapkę – odezwał się w formie ni to pytania, ni to stwierdzenia.

Fredrik kiwnął głową na potwierdzenie i zwrócił się do Kafy:

– Zadzwoń do Kossa. Niech podstawią mikrobus. Nie muszą się bardzo spieszyć. Powiedz mu, że sytuacja jest pod kontrolą.

Kafa zniknęła z telefonem w dłoni, a Fredrik przysiadł się do dziewczyn.

– To są Tora i Lisa – przedstawił Brynjar, obsługując powoli ekspres do kawy. – Tora jest... Tora była żoną Paula Espena.

Paul Espen Hennie. Jeden z braci zabitych w Porsgrunn. Zacisnął usta i spróbował obdarzyć kobietę pełnym współczucia spojrzeniem.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

– Paul Espen był ojcem jednego z chłopców, którzy tu przechodzili – ciągnął Kvarvingen. – Johannes. Ma tylko trzy lata. Jeszcze mu tego nie powiedzieliśmy, więc...

– Zadbam o to, żeby ta informacja została przekazana dalej – odparł cicho Fredrik. – Z mojego doświadczenia wynika, że trzeba o tym powiedzieć. Im szybciej, tym lepiej – zwrócił się do Tory.

Kobieta zakryła twarz rękami.

– Wiem. – Zaszlochała cicho i zadrżała.

Tora była pulchna, miała gęste blond włosy i głowę okrągłą jak piłka. Fredrik szacował, że ledwo

przekroczyła trzydziestkę. Druga z kobiet, która teraz gładziła ją po plecach, była o kilka lat młodsza. Lisa. Nagle uświadomił sobie, kto to jest. Chętna kochanka Bjørna Alfsena, o której opowiadali uciekinierzy z sekty. To ona według Plantenstedta spała w pokoju Alfsena tej nocy, kiedy go zabito. Fredrik pochylił się do przodu, rzuciwszy okiem na Kafę, która wróciła już do kuchni i stała z Brynjarem przy kuchennym blacie.

– Nasi koledzy wkrótce przyjadą. Zawiozą was w bezpieczne miejsce. Tam nie będziecie musieli się ukrywać – uspokajał, starając się przyjaźnie uśmiechać. – Musimy porozmawiać z wami wszystkimi. Zarówno z dorosłymi, jak i z dziećmi. Interesuje nas wiele rzeczy. Wszystko, co waszym zdaniem może nas doprowadzić do człowieka, który was zaatakował. – Spojrzał wprost na Torę. – Człowieka, który zabił pani męża. – Przeniósł wzrok na Lisę. – Myślę, że pani widziała napastnika tamtej nocy, Liso.

Szczupłe ciało zadrżało, a oczy wypełniły się łzami. Na ramieniu leżał ciemnoblonde warkocz, który teraz chwyciła obiema rękami i przeciągnęła po nim dłońmi aż do samego końca. Powtórzyła ten ruch jeszcze raz. Było w nim coś z samoudręczenia. Wielkie łzy spływały po bladych policzkach. Wytarła nos wierzchem dłoni, a potem osuszyła dłoń o spódnicę.

– Tak – przyznała czystym głosem.

A potem wszystko opowiedziała.

Lisa niczego nie zauważyła. Tego, że drzwi sypialni się otworzyły. Że do środka wślizgnęła się wysoka postać. Że ten ktoś obudził pastora Alfsena, przykładając mu koniec tłumika do czoła. Kiedy się obudził, pastor leżał na podłodze, a nieznajomy siedział mu na plecach. Był olbrzymem. Wszystko miał wielkie. Głowę, tors, ręce. Nosił ciemne ubranie i taki kaptur... kominiarkę.

– Wsadził palec w oko Bjørna i pastor powiedział, żebym była cicho. I nie patrzyła. Potem musiałam siedzieć przy drzwiach z twarzą do ściany. Zakneblował mi usta, związał ręce i nogi, potem naciągnął mi na głowę poszewkę od poduszki. Potem zmusił...

Jej brwi, niewyrównane, lekko wygięte w odwróconą literę „v”, nadawały twarzy wyraz wiecznego szczęścia, prawie frywolnie uwodzący, czego nawet płacz nie był w stanie ukryć. Jakby czytając w myślach Fredrika, zwilżyła palce językiem i przygładziła nimi brwi. Przykryła je rękami.

Pastor musiał odczytać na głos tekst z jakiegoś papieru. Głos mu się strasznie trząsł. To było pytanie o kod do piwnicy. I o Tatę Pera. Ten człowiek chciał wiedzieć, gdzie on jest. A pastor nie mógł mu odpowiedzieć.

Zaszlochała.

– A potem... usłyszałam trzask. Jakby ktoś zamknął głośno książkę. – Łzy lały się ciurkiem po policzkach. – Zastrzelił Bjørna. To była egzekucja.

Fredrik pokiwał współczująco głową.

– A ta piwnica? Do czego była używana?

Obie kobiety potrząsnęły głowami. Tak samo zareagował Brynjar.

– Budowaliśmy schron. Kryjówkę. Kiedy... Jeżeli nadejdzie dzień Sądu. Nigdy nie zeszedliśmy na dół. Byliśmy podzieleni na grupy. My...

– Wiem – przerwał jej Fredrik. – A pani mąż? – zwrócił się do Tory. – Nigdy nie wspominał, co tam robią?

– Nie. Nigdy.

Przez krótką chwilę wszyscy milczeli. W końcu Kafa się poruszyła.

– W dalszym ciągu brakuje nam jednej osoby. Kogoś, z kim chętnie byśmy porozmawiali – odezwała się. – Børrego Drangego. Człowieka, którego nazywacie Tatą Perem. Perem Olsenem.

Kobiety wymieniły szybkie spojrzenia.

– Wiemy tylko tyle, ile widziałyśmy w telewizyjnych wiadomościach. Od napadu nie mamy kontaktu. – Tora odwróciła dużą głowę ku Brynjarowi, który chrząknął potakująco.

W świetle reflektorów radiowozu Fredrik dostrzegł Sebastiana Kossa, który stał przy mikrobusie. Zatrzymał się i przyjrzał twarzom za szybami, twarzom bez wyrazu. Drzwi się zasunęły i busik odjechał.

– Staffan Häyhä – odezwał się cicho Koss.

– Człowiek, którego ścigamy – odparł Fredrik.

Andreas dzwonił także do inspektora. Fredrik ruszył ku parkingowi.

– Beier! – zawołał za nim Koss. – Pio Otamendi nie żyje! Zmarł godzinę temu na Ullevål!

W powietrzu unosiła się świeża wilgoć. Niewystarczająca, by nazwać ją dżdem, na tyle jednak intensywna, żeby pokryć szkła okularów mgiełką. Podciągnął zamek w skórzanej kurtce, schował ręce w kieszeniach i ruszył spacerkiem z Majorstuen przez centrum na Grønland. Właściwie wolałby wsadzić sobie do uszu słuchawki i pozwolić myślom wędrować śladem głosu Oscara Danielsona ze *Stockholm i mitt hjärta*, ale było za wcześnie. Nie odważył się „wyłączyć” słuchu w Oslo po nocy. Za długo był policjantem. Rozrabiaki wciąż jeszcze nie wylądowały w czyichś łóżkach. Polujące na ostatniego klienta nielegalne taksówki zwalniały na jego widok, a kilka zmęczonych prostytutek zaryzykowało mało zachęcająco: „Cześć, przystojniaku!”.

Bezpieczny za betonowymi ścianami budynku policji Fredrik poszedł schodami na szóste piętro. Tam bezszelestnie przemknął pod drzwiami gabinetu Sebastiana Kossa. Ze środka dobiegały głosy – ciemny baryton Sebastiana i jeszcze głębszy bas komendanta Nemego. Nie dało się rozróżnić słów, niemniej domyślił się, o czym mówią. Na ósmą zwołano konferencję prasową. Na niej zostanie podana zdobycz dnia poprzedniego. Wspólnota została odnaleziona. Kobiety i dzieci żyją. Pod sprawnym kierownictwem Nemego Sebastianowi Kossowi poszczęściło się tam, gdzie inni błędzili.

Otworzył jeden z nijakich pokoi konferencyjnych. Wyłączył komórkę, położył okulary na biurku, przykrył się skórzaną kurtką i ułożył wygodnie na obrotowym krześle. Zamknął oczy i zasnął. W domu przeszkadzały mu głębokie pomruki wtulonej w poduszkę śpiącej Bettiny. W salonie chrapała Krezuska. A tu był spokój.

Półtorej godziny później obudziły go odgłosy rozmowy na korytarzu. Zegar na ścianie wskazywał 8.24. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie włączyć telewizora, żeby zobaczyć końcówkę konferencji prasowej, ale po prostu nie miał na to siły. W zamian ścisnął słuchawkę służbowego telefonu między uchem a ramieniem i wybrał numer. Przyjął, że kolega jest już w pracy.

– Hansson, policja kryminalna – usłyszał ochryply głos ze smålandzkim zaśpiewem.

– Hasse – odezwał się zadowolony Fredrik – ty to chyba nigdy nie śpisz.

Na chwilę po drugiej stronie zaległa cisza, a potem mężczyzna wybuchł zgrzytliwym śmiechem.

– Do diabła, Fredrik. Cholernie dobrze usłyszeć twój głos.

Minęło dziewiętnaście lat, odkąd Fredrik Beier i Hasse Hansson zetknęli się po raz pierwszy. Fredrik miał pokazać grupce policyjnych rekrutów kilka mniej urokliwych stron nocnego życia Oslo. Czwórka czy piątka niebieskookich młodzieńców i Hansson, szwedzki policjant, który przeprowadził się ze Sztokholmu za swoją norweską żoną, świeżo po norweskim egzaminie policyjnym. Wyglądał jak husky, a jego śmiech brzmiał jak rozszczepiane drewno. Kiedy pierwszy agresywny imprezowicz

przebierał nogami i rękami na asfalcie, ich spojrzenia się spotkały i zostali przyjaciółmi. Małżeństwo się rozpadło i Hasse już dawno wrócił do ojczyzny, ale przyjaźń przetrwała.

– Staffan Häyhä, taaa... – wycedził Hansson, a Fredrika dobiegło stukanie puszek z tabaką o biurko. – Obywatel szwedzki, lat czterdzieści jeden. Urodzony na Gotlandii w rodzinie z siedmiorgiem dzieci, w środowisku wolnej gminy wyznaniowej. Odbył obowiązkową służbę wojskową i został komandosem, służył w wojskach powietrznodesantowych. Pełnił służbę w Jugosławii podczas wojen bałkańskich i to tam... – Hasse Hansson przerwał. – Tego nie będzie w policyjnym raporcie. Niczego z tego, co ci mówię. Oficjalną wersję prześle twojemu szefowi mój szef po rozmowie ze swoim szefem. I diabeł jedyny wie, co wtedy z tej historii zostanie. Ale to tutaj to prawda. Całe gówno, rozumiesz? Tak między przyjaciółmi. Prawda?

– Jasne. Dziękuję, że zadałeś sobie trud.

Hansson zamruczał zadowolony.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł cicho. Odchrząknął i mówił dalej: – Bezpieczniacy i killerzy tam, na górze, oblewają się potem, gdy tylko usłyszą nazwisko Häyhä. Facet w zasadzie nie istnieje. Jeżeli się odwróci i pierdnie, to jest to informacja ściśle tajna, wymagająca certyfikatu dostępu. Robił dla Szwecji rzeczy, których Szwecja nie robi. Kapujesz?

Fredrik kapował.

Staffan Häyhä był żołnierzem jednostki specjalnej, pierwotnie szkolonym na strzelca wyborowego. Jego ulubiona broń to karabin AWM z amunicją lapua magnum kalibru .338. Został okaleczony podczas którejś wojny bałkańskiej. Okoliczności przeprowadzanego zadania były w dalszym ciągu *top secret*, ale Hasse miał do rozliczenia kilka usług dla starego znajomego z MUST, Militära underrättelse- och säkerhetstjänsten. Oficjalnie ani Szwecja, ani oddziały pod flagą ONZ nie wykonywały w Jugosławii żadnych tajnych operacji, były to przecieży tylko siły gwarantujące pokój. Ta historia jednak świadczyłaby o tym, że ktoś wykorzystał możliwości, jakie stwarzała wojna, do uporządkowania nieco zastarzałej wrogości. Korzeniami sięgającej czasów ZSRR.

– A co ma z tym wspólnego MUST?

– Nie wiem. Tyle że w swoich archiwach osobowych mają jego teczkę.

Häyhä został pojmany przez bośniackich muzułmanów w trakcie wykonywania zadania. Był torturowany, podobno w rewanżu za wyeliminowanie lokalnego szmuglera broni. Trzy dni później został uwolniony przez grupę żołnierzy Organizacji Narodów Zjednoczonych pod szwedzkim dowództwem. Podczas tortur odcięto mu uszy, nos, górną wargę i język. Do Sztokholmu na leczenie przewieziono go prywatnie wycarterowanym odrzutowcem. Nikt nie wie, dlaczego nie został po prostu wywieziony zwykłym samolotem oenzetowskim.

Po wyjściu ze szpitala Häyhä spędził kilka lat w Sztokholmie jako cywil. W tym okresie wielokrotnie donoszono na niego na policję. Nigdy nie wymieniono nazwiska. Ale nie wyglądał na

przeciętnego człowieka z ulicy, a opis pojawiał się w kontekście wielu spraw. Grubych: zakłócania porządku w mieście, gwałtów, stosowania przemocy wobec prostytutek w związku z seksem.

– Sprawca nieznany. Sprawca nieznany. Sprawca nieznany – odczytywał Hasse.

– Ktoś go chronił? – spytał Fredrik.

Hasse Hansson odchrząknął.

Mimo okaleczeń Staffan Häyhä uparł się, by wrócić do żołnierskiego życia. Oficjalna wersja brzmiała jednak, że nie dostanie na to zgody. Dla władz obronnych Szwecji stał się ciężarem.

– Wersja oficjalna?

– Ostatnie dziesięć albo dwanaście lat w jego życiu to czarna dziura. Nikt nic nie chce powiedzieć. Jeżeli wszystkie więzy zostały zerwane, to po co zachowywać milczenie? – spytał retorycznie Hasse, bo jednak coś znalazł. – Wiesz coś o Osmalu Abdullahu Kamalu?

– Absolutnie nic.

Osmal Abdullah Kamal był w Afganistanie jednym z ludzi, których się najbardziej obawiano. Jako gubernator Kandaharu, gniazda terrorystów, przemytników broni i handlarzy narkotyków, stał za wieloma zabójstwami i zamachami. Kamal nienawidził cudzoziemców, którzy napadli na jego kraj, a za cel obrał sobie likwidację wszelkich wpływów NATO w prowincji. Uważano go za ważnego poplecznika talibów. Raptem coś się stało. Co? Tego do dzisiaj nie wyjaśniono. Jednak wiosną Kamal został zabity. Zdarzyło się to w wiosce oddalonej o prawie godzinę drogi od Kandaharu. Co dziwniejsze, zabito go w domu jednego z miejscowych zwolenników NATO. Wszystko wskazuje na to, że kiedy kula zakończyła życie Kamala, obaj prowadzili negocjacje dotyczące jakiejś umowy.

– Ściśle tajny natowski dokument wskazuje na Staffana Häyhä. Musiałem zdrowo przycisnąć swojego człowieka w MUST, żeby się tego dowiedzieć. Nie wiadomo, co natowcy mają na niego poza tym, co nazywają obserwacjami wiarygodnego świadka.

– Więc Staffan Häyhä jeszcze kilka miesięcy temu był żołnierzem w Afganistanie?

– Na to wygląda.

– Kurwa mać.

Kafa Iqbal źle spała tej nocy. Niespokojnie przeskakiwała ze snu w jawę. Może powinni byli powiedzieć kobietom ze wspólnoty prawdę o Børrem Drangem? Czy kobietom i dzieciom naprawdę coś groziło? Bo wydawało się, że same w to wierzą.

Jeżeli Staffan Häyhä rzeczywiście chciałby wybić całą wspólnotę Światło Boga, to chyba nie znalazłby lepszej okazji niż tej pierwszej nocy w Słonecznym Spokoju. Członkowie sekty zebrali się w jednym miejscu, czuli się bezpieczni, byli izolowani, sami, na pustkowiu. Mimo to większość pozostawił przy życiu. Niezależnie od tego, jak bardzo był okrutny. A był... Nie przypadkiem padł z jego ręki ten, kto padł. Dlaczego więc kobiety i dzieci ukryły się w domu Kvarvingenów?



Zakładając, że nie znają odrażających planów Børrego Drangego...

Wstała o 5.40. Przez pół minuty szorowała zęby wyłącznie po to, by pozbyć się z ust niesmaku. Potem włożyła legginsy do biegania i ruszyła na północ. W porannej szarówce przebiegła przez Bjølsen i dalej wzdłuż Akerselvy do Nydalen. Trzymała się rzeki aż do południowego końca Maridalsvannet, gdzie wbiegła w las drogą wznoszącą się nad wschodnim brzegiem jeziora. Ciało Kafy pulsowało energią. Potrzebowała podbiegów. Zatrzymała się na Skale Miłości. Zrobiło się na tyle jasno, na ile mogło pod szarą masą chmur dzielących stolicę od słońca. Popatrzyła na jezioro i zadrżała, gdy zimny powiew z północy schłodził spoconą skórę. Ugasiła pragnienie i pobiegła dalej. Dopiero przy kaplicy na północnym brzegu Maridalsvannet zorientowała się, dokąd ją niesie. Zwykle w tym miejscu zawracała na południe. Ale nie tego ranka. Dziś pobiegła dalej na północ, natykając się na pierwsze samochody z dojeżdżającymi do pracy w mieście. Pokonała ciąg wzniesień i znowu otworzyła się przed nią dolina.

Stąd miała już tylko niecałe dwadzieścia minut biegu do Słonecznego Spokoju. Musiała wrócić do domu Kvarvingenów.

– Søren Plantenstedt – rzucił nagle Fredrik. – On też pracował w szwedzkim wojsku. Czy Häyhä mógł go tam spotkać?

Hasse Hansson oczyścił gardło ogłuszającym kaszlem.

– Nie – wychrypiał na koniec.

Ta myśl też przyszła mu do głowy. Niemniej nie ulegało wątpliwości, że Plantenstedt był jedynie mizernym wojskowym pastorzyną w koszarach gdzieś pod Malmö. Hasse rozmawiał z jego przełożonymi. Szybko pojęli, że ten człowiek nie ma nic do roboty w boju. Dlatego nigdy nie został nikim więcej niż ramieniem do wypłakiwania się dla osiemnastolatków trawionych tęsknotą za domem. Nie było żadnego punktu styczności między elitarnym żołnierzem takim jak Häyhä i gryziopórkiem Plantenstedtem.

– Więc od kogo Staffan Häyhä bierze dzisiaj pieniądze za swoje usługi?

Tego Hasse nie wiedział. Znalazłoby się sporo takich, którzy byliby skłonni zapłacić za człowieka z jego umiejętnościami. Na przykład doradcy do spraw bezpieczeństwa. Ludzie potrzebujący ochrony. Organizacje zrzyszające najemników. Albo ci, którzy po prostu chcieli się kogoś pozbyć. Decyzja zależała jedynie od jego sumienia bądź pazerności.

– A jeżeli on nie ma sumienia?

Hasse Hansson sapał jak astmatyczny wieloryb. Stukanie pudełka z tabaką stało się tak głośne, że Fredrik zastanawiał się, czy przyjaciel wali nim w słuchawkę. O tej porze Hasse musiał już desperacko odczuwać potrzebę porządnego nikotynowego kopa. Fredrik miał nadzieję, że kumpel sobie odpuści. Rozedma i w konsekwencji POChP.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy znajdę coś więcej. Ktoś mający znaczny wpływ upchnął jego życiorys głęboko w szafie. – Hasse ściszył głos. – Pamiętaj, że ci killerzy to śmietanka wojska, odznaczana tajnymi orderami w trakcie tajnych ceremonii. W imieniu Szwecji przeprowadzali operacje, które nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Zamachy. Wsparcie organizacji terrorystycznych. Handel bronią. Narkotyki... Wszystko, póki służy to dobrej sprawie. To te chłopaki rąbią drwa. – Roześmiał się z własnej przeróbki przysłowia. – W ramach wdzięczności państwo dba o to, żeby mieli w życiu spokój. Oskarżenia o gwałt giną. Świadkowie zapominają. Nazwiska znikają.

Fredrik podziękował koledze i się rozłączył. Wstał i spojrział na zegar. Ciągle jeszcze było za wcześnie na następną sprawę. Zjadł w kantine kanapkę z jajkiem i anchois, a potem przespacerował się do kolejki podziemnej.

Drewniany dom w lesie lśnił od rosy.

Ostatnie kilometry Kafa przebiegła, ile sił w nogach. Dotarłszy do poszczekujących z zimna policjantów, padła jak długa na trawę.

A teraz stała samotnie przed domem Kvarvingenów. Z kluczami w ręku. Przeszła pod policyjną taśmą i otworzyła zamek w drzwiach. W holu czuć było jeszcze zapach jedzenia. W salonie wisiały wyblakłe oleje Brynjara Kvarvingena. Kafa zatrzymała się w korytarzu do kuchni przed zdjęciem lotniczym Słonecznego Spokoju. Odpowiedzi należało szukać w szczegółach.

Szukała więc szczegółów. Poprzedniego wieczoru wydarzyło się coś, co się nie zgadzało. Jeszcze tego nie dostrzegła, ale przez całą noc ją to męczyło. Tak jej się wydawało. A kiedy weszła do kuchni, okazało się, że nie o szczegół chodzi, lecz o coś całkiem oczywistego.

Mały garnek, który stał na kuchennym blacie, został przeniesiony – na kuchenkę. W środku znajdowały się resztki szarej zgęstniałej owsianki. Kafa lekko dotknęła jej palcem. Jeszcze nie całkiem wystygła. Ktoś tu był po tym, jak wczoraj późnym wieczorem zamknęli z Fredrikiem drzwi wejściowe na klucz.

Odwróciła się. Przy ścianie pod stołem leżała duża biała porcelanowa skorupa. Otworzyła drzwiczki szafki pod zlewozmywakiem – więcej skorup w koszu na śmieci. Z filiżanek, z których wczoraj pili kawę. Już wiedziała, skąd się wziął w niej ten niepokój. Piwnica. Nie przeszukali piwnicy. Nie sprawdzili, czy piwnica jest pusta.

O tym świadczyła pojedyncza skorupa pod ścianą. Ktoś podniósł klapę do piwnicy od spodu. Stół nad nią przewrócił się, a filiżanki spadły na ziemię. Kafa przestawiła mebel, odsunęła nogą chodniczek i podniosła klapę.

Czyż ten staruch nie wezwał kobiet i dzieci szybkim i eleganckim gestem na górę, a potem po prostu na cztery spusty zamknął klapę na ich oczach? Brynjar Kvarvingen. Już dwukrotnie ich oszukał. Trzeciego razu nie będzie. W szufladzie Kafa znalazła świeczkę i zapałki. Stanowczym krokiem zeszła po schodach. Piwnica miała takie wymiary jak kuchnia na górze. Była na tyle wysoka,

by Kafa mogła stać prawie wyprostowana. Na gołej ziemi leżała gruba warstwa wełnianych koców. Z sufitu zwieszała się lampa na baterie. Zapaliła ją.

Pomieszczenie urządzone jako kryjówkę. W kącie na wprost schodów leżała gra planszowa i kilka zabawek. Obok ustawiono piętrowo kanistry z wodą. Dwie stare workowate pufy i kuchenne krzesło na środku, a na najdalszej ścianie zbite z desek regały. Kasza, puszeki, zupy w torebkach, warzywa w słoikach i suszone owoce. Stos koców, karimat i śpiworów. Wszystkie oznaczone imionami. Poszukała. Tam. „Per”. Śpiwór na wierzchu należał do Børrego Drangego. Leżało na nim coś jeszcze. Biblia. Mocno używana. „Własność Pera Olsena” – napisano niebieskim tuszem na wewnętrznej stronie okładki.

Kolejka zatrzymała się na stacji Lambertseter i Fredrik ruszył trasą obok centrum handlowego i wzdłuż głównej ulicy. Długimi krokami mijał niskie jasne murowane bloki, czterorodzinne budynki, małe wille i szeregowce, które składają się na pierwsze miasto satelitę Oslo. Zostawiał za sobą skrawki ogrodów, przerośnięte żywopłoty i pachnące drzewa owocowe. Szarość nieba stała się o ton jaśniejsza i wydawało mu się, że słońce lekko grzeje go w plecy. Po siedmiominutowym spacerze dotarł do celu. Najpierw zszedł po niewielkim zboczu, a u jego podnóża skręcił w boczną uliczkę, która wiodła na skos ponownie pod górę. To było tam. Numer 31. Zielony domek wzniesiono na małym pagórku, od furtki w brązowym płocie przez zarośnięty ogród prowadziła do białych drzwi wejściowych wąska żwirowa ścieżka.

A więc Børre Drange spał tu dzisiejszej nocy.

Kafa pociągnęła palcem po złożonych brzegach cieniutkiej bibułki Biblii. W jednym miejscu kartki się rozchyliły – na wstępie do Księgi Hioba Starego Testamentu. Przyczyną było to, że coś tam tkwiło. Fotografia. Zdjęcie domu. Niskiego zielonego domku na niewielkim pagórku, powyżej bujnego ogrodu. Do drzwi prowadziła żwirowa ścieżka. Na brązowym parkanie z ukośnych desek wisiała skrzynka na listy. Na niej ciemnym tuszem napisano „K. Monsen”.

Dzwoniła i dzwoniła. Do diabła, dlaczego Fredrik wyłączył komórkę?

Otworzył mu mężczyzna w niebieskiej koszuli i dżinsach. Przedstawił się z nazwiska i dodał, że pracuje jako pomoc domowa. Miał gęstą zwichrzoną brodę i jednorazowe cieliste rękawiczki na dłoniach. Spod ciemnej bejsbolówki wystawały faliste blond włosy. Niebieskie oczy patrzyły pytająco, kiedy Fredrik wyjaśniał, po co przyszedł.

– Kolbein nie jest w najlepszej formie. Ale proszę spróbować – powiedział i wpuścił detektywa do środka.

## ROZDZIAŁ 94

Hol wejściowy był mały, więc stali nieprzyjemnie blisko siebie. Drewno ścian pociemniało ze starości. Tylko szczelina okienna przy drzwiach wpuszczała trochę światła. Dopiero kiedy Fredrik zdjął i powiesił skórzaną kurtkę, pomocnik domowy otworzył drzwi do dalszych pomieszczeń.

– Kolbein przeszedł właśnie paskudne zapalenie płuc – szepnął.

Korytarz był wąski. Po lewej stronie znajdowała się kuchnia, po prawej gabinet. Na ścianie na wprost w ramce za szkłem wisiał pożółkły papier. Fredrik zmrużył oczy. Pod królewskim lwem widniał napis „My, Haakon, Król Norwegii, ogłaszamy, że przyznaliśmy Kolbeinowi Ihmemu Monsenowi Medal Wojenny za zasługi dla Ojczyzny podczas wojny 1940–1945”. Podpisane przez króla osobiście, datowane na 10 maja 1946 roku. Obok na gwoździu wisiał na czerwonej wstążce z żółtymi pasami medal z brązu z profilem króla. Fredrik zajrzał do kuchni. Tuż obok wejścia stała lodówka z uchwytem w drzwiach do złudzenia przypominającym klamki w starych amerykańskich samochodach.

– Tędy – powiedział pomocnik domowy, kierując się do gabinetu.

Panował tam chaos. Ściany były zastawione regałami na książki, okna zasłonięte grubymi brązowymi storami, toteż pokój oświetlała głównie sufitowa lampa z czerwonym abażurem. Pod oknem stało biurko zavalone stosami książek. Były tam znane traktaty filozoficzne, jednak większość stanowiła literatura naukowa z dziedziny medycyny, biologii, chemii. Przede wszystkim po niemiecku. Na podłodze wały się brązowoszare czasopisma. Wąskim korytarzykiem dotarli do salonu, gdzie leżał Kolbein Ihme Monsen. Podczas jazdy kolejką Fredrik przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie – drżące z niecierpliwości dłonie i czarne bystre oczy weterana.

To, co zobaczył, nie mogło chyba być bardziej odmienne. W starcu leżącym na kanapie, okrytym kocem nie było żadnego ognia. Kolbein Monsen leżał lekko odwrócony na bok, więc poraniona w pożarze głowa i zdeformowane ucho były doskonale widoczne. Kosmyki włosów na karku wyglądały jak ufryzowane wodorosty, a nozdrza skrzywionego nosa wibrowały jak lustro wody, gdy wiatr zmienia kierunek. Starzec nie był świadomy ich obecności, toteż Fredrik zajął się studiowaniem fotografii na komodzie pod ścianą. Największe było zdjęcie ślubne. Fryzura panny młodej i bokobrody pana młodego zdradzały, że zrobiono je w latach siedemdziesiątych we wnętrzu urządzonym w modnym wówczas barokowym stylu. To był Gerhard Monsen, syn Kolbeina Ihmego Monsena. Robił wrażenie przytłoczonego powagą chwili i dumnego. Panna młoda, szczupła, urodziwa, miała długie blond włosy i taką minę, jakby czuła ulgę. Na sąsiednim zdjęciu stał wątpy konfirmant z pryszczami i odstającymi uszami oraz jasnymi półdługimi włosami, ubrany w białą marynarkę

z krótkim rękawem – Fredrik rozpoznał Sebastiana Kossa. Fotografia wywołała w nim takie samo uczucie, jakie pojawiało się, gdy wpadał w drzwiach toalety w komendzie na dobrego kolecę. Przywodziła na myśl woń, która niosła ze sobą niepodważalny dowód tego, co ów przed chwilą robił. Brutalny nadmiar informacji. Trzecia fotografia przedstawiała dwie dziewczynki na tle topolowej alei, identyczne jak dwie krople wody, także w confirmacyjnym wieku. Kości policzkowe, kolor włosów i proste nosy odziedziczyły po matce. To musiały być siostry Kossa. Najwyraźniej bliźniaczki.

Starzec na kanapie głęboko westchnął.

Fredrik odwrócił się i zajął podziwianiem opartej koło głowy leżącego spacerowej laski z hebanu. Wydawało się, że dolną część odcięto i zastąpiono metalową nasadką. U góry twardy lakierowany kij rozszerzał się w kulę wielkości pięści.

Pomocnik domowy podsunął jedyne krzesło w tym pokoju: wózek na kółkach.

– Kolbein – powiedział cicho, pochylając się nad starcem, i zakłaskał językiem, żeby zwrócić jego uwagę. – Ma pan gościa, Kolbein. Policjanta. Mówi, że się znacie.

Fredrik usiadł, a Monsen otworzył szkliste oczy, zakryte grubą niebieskoszarą błoną.

– Beeiiii – wymamrotał, wysupłując rękę spod koca i szukając w powietrzu dłoni Fredrika.

Policjant pochwycił rękę starca – była koścista i zimna.

– Beeeee – szepnął znowu.

W kąciку ust pojawiła się ślina. Tylko raz wcześniej, w Związku Oficerów w Oslo, ten człowiek wymienił jego nazwisko. Widocznie był na tyle świadomy, że nie tylko pamiętał spotkanie, ale i jak się nazywa.

– Czy on – Fredrik odwrócił głowę – długo choruje?

Mężczyzna oddelegowany do pomocy w domu podrapał się po brodzie, potrząsając głową.

– Lekarz jest zdania, że mu się polepsza. Zazwyczaj ożywia się trochę później, po południu.

– Czy rodzina wie, że niedomaga?

– Nic o tym nie słyszałem. Ale gmina ma dobre procedury. Kolbein nie będzie zostawiony sam sobie. Gwarantuję.

Fredrik zmarszczył brwi i zwrócił się do starca:

– Kolbein? Rozumie pan, co mówię?

Chory utkwiał oczy we Fredrika i odcharknął, ale nic nie powiedział. Uścisk ręki osłabł.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań o Wiedeńskie Bractwo. O pańską pracę w nim.

– Taaa! – jęknął Monsen. – *Wien... Land der Berge...\**

Fredrik spojrzał na niego zdumiony.

– *Land am Strome...*

Pomocnik domowy nachylił się, a Fredrik odniósł wrażenie, że jego oczy stały się czujne. Czy dla

starego było to za duże obciążenie?

– Kolbein nie lubi rozmawiać o tamtych czasach – szepnął mężczyzna. Stał tak blisko, że Fredrik czuł na plecach ciepło jego ciała.

– Słuchaj no pan, moglibyśmy porozmawiać z Kolbeinem chwilę w cztery oczy?

Mężczyzna się zawahał, a potem usta ułożyły mu się w przelotny grymas przypominający uśmiech.

– Oczywiście. Przepraszam. Posprzątam w gabinecie. Proszę mnie zawołać, jeśli zajdzie potrzeba.

Ku irytacji Fredrika nie zamknął za sobą drzwi. Rzuciwszy jednak wzrokiem na leżącego na kanapie, detektyw uznał, że nie ma to znaczenia. Bładoróżowe wargi drżały. Kolbein Ihme Monsen był po prostu starym, bardzo starym człowiekiem. Podobnym do tych gapiących się głów, które tkwią jak na wystawie w korytarzach domów starców.

– Przykro mi, że się pan rozchorował – zaczął Fredrik.

Monsen znowu charknął i poruszył głową.

– Ja... Może wrócę tu później?

Uścisk ręki się wzmógł. W skórę nad nadgarstkiem wbił się żółty paznokiec.

– Chodzi o bieżące śledztwo. Gdyby się pan zastanowił i przypomniał sobie, czy nazwisko Børre Drange albo wspólnota o nazwie Światło Boga coś panu mówią, byłbym...

Weteran obrócił głowę i wpatrzył się we Fredrika.

– Beeiii...

– Słucham?

– Beiiiiier... – wysapał powoli i zamknął oczy.

Kiedy Fredrik się podniósł, pomocnik domowy stał w drzwiach i wydawał się zdenerwowany.

– Chyba muszę pana prosić, żeby pan poszedł. Kolbein nie jest na tyle zdrowy, żeby go przesłuchiwać.

Detektyw wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

Na dworze Fredrik napełnił płuca świeżym, zimnym powietrzem. W głowie mu się przejaśniło.

W atmosferze tego domku było coś dziwnego. Coś w barwach salonu i w tym wędnącym starcu wyjątkowo mu się nie podobało. Taki pozbawiony zapachu powiew rozkładu. Może powinien powiedzieć Kossowi, jak bardzo chory jest jego dziadek? Jak to możliwe, że Kolbein Ihme Monsen żył w takim zniszczonym domu, skoro jego syn był zamożnym armatorem, posłem i eksministrem? Co takiego powiedział Koss? Że Gerhard Monsen rzadko kontaktował się z ojcem?

Fredrik oparł głowę o okno podziemnej kolejki. Nie, to nie jego sprawa. Monsena odwiedził lekarz i miał pomocnika domowego. A chociaż rodzina też powinna przy nim być, to jednak nie

pozostawiono go na pastwę losu. Nie jego zadaniem było dzwonienie do kogokolwiek. Dzwonić?

Właśnie wtedy uświadomił sobie, że po porannej drzemce w komendzie ma w dalszym ciągu wyłączony telefon.

Kafa zostawiła trzy wiadomości. Gdy nagrywała ostatnią, głos jej drżał.

Nadkomisarz Fredrik Beier widział starego chorego człowieka, mężczyznę wykonującego obowiązki pomocy domowej i zabałaganiony, popadający w ruinę dom. Po rozmowie z Kafą zobaczył inny obraz. Børrego Drangeo w rękawiczkach, czapce i przyklejonej brodzie – czujnego, gdy usłyszał, że Fredrik stawia pytania o Wiedeńskie Bractwo, wystraszonego, gdy zapytał o niego samego. Ujrzał bezbronnego, błagającego o pomoc starca. I nie zabałaganiony dom, ale dom w trakcie przewracania go do góry nogami.

– Przyjedź po mnie na Helsfyr – mruknął przez zaciśnięte zęby.

---

\* Pierwsze słowa hymnu austriackiego (1946).

*Lista, listopad 1943 roku*

Kolbein Monsen ocknął się na odgłos przekręcanego w zamku klucza. Przysnął. Dziwne. A był taki pewny, że tej nocy sen nie przyjdzie.

Drzwi uchyliły się powoli i do środka ostrożnie wemknął się cień, zamykając je za sobą. Dopiero wtedy zapaliło się światło. Kjell Klepsland miał na sobie mundur hirdmanna, a za pasem lugera. Laskę oparł o ścianę. W rękę trzymał ubranie i worek.

– Tu jest wszystko, czego potrzebujesz – odezwał się sucho. – Pieniądze, pozwolenie na podróż i papiery identyfikacyjne. Jeżeli cię zatrzymają, powiesz, że jedziesz do Kristiansand, żeby dopasować sobie okulary. Wszystko masz w dokumentach. Na miejscu pójdziesz do sklepu kolonialnego Gundy Hansen, gdzie spytasz, czy ktoś nie chce kupić papierosów, które ci włożyłem do worka. Potem skontaktują się z tobą. To wszystko, co wiem. W worku masz dwa granaty i pistolet, na wypadek gdyby...

Kiedy Klepsland mówił, Kolbein się ubierał. Mundur Wehrmachtu dobrze na nim leżał. Z dystynkcji na pagonach wynikało, że posiada stopień podoficerski. Sprawdził, czy zgadza się to z oznaczeniami na czapce.

– Wszystkie wiadomości są przekazane dalej? – spytał.

– Wszystko poszło dalej.

Zgasili światło i wymknęli się do laboratorium, ale przedtem Kolbein zapytał Klepslanda:

– A twoi?

– Karen jest bezpieczna. Matka teraz do niej jedzie. Jeżeli wszystko pójdzie, jak powinno, za kilka dni będziemy w Szwecji.

– Dzięki za współpracę. – Kolbein wyciągnął rękę.

Światło ruchomych reflektorów bez wytchnienia goniło cienie po laboratorium, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Kolbein przekradł się na czworakach do sejfu pod blatem, kucnął i przekręcił koło. 0-0-1-0-0-4-3-4. Drzwi sejfu pozostały zamknięte.

– Doktor zazwyczaj tylko wymienia kody liczbowe z kości na regale – szepnął przez ramię, próbując na nowo.

Kliknęło. Kolbein przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

– ZSRR, wschodni Ural, maj 1942 – mruknął, odwracając się do Klepslanda. – Ile mamy czasu?

– Jest kwadrans po trzeciej. Zmiana warty za piętnaście minut.



– Dobra. To wszystko, czego potrzebuję.

W sejfie leżały w stosach beżowe teczki. Kolbein wyjął je, czytał nalepki i szybko kartkował pierwsze strony.

– Czego szukasz?

– Gotowych sprawozdań. Korespondencji z Elsą, jego asystentką w Grecji. Dowodów, że eksperymentowali na miejscowej ludności. Zatruwają wodę pitną – wyliczył Kolbein.

Wybrał dwie teczki i włożył je do worka. Pozwolenie, dokumenty identyfikacyjne i pieniądze wsadził do kieszeni na piersi.

– Wszystko, co wytworzyło Wiedeńskie Bractwo, znajduje się w tym pomieszczeniu. Całe dziedzictwo naukowe Eliasa Brincha. Dziś w nocy skończy się jego życie jako uczonego. Jego życie jako człowieka skończy się wraz z kresem tej piekielnej wojny. Te sprawozdania wystarczą, żeby posłać go na szubienicę.

– Miło mi to słyszeć – mruknął Klepsland.

– Ani w połowie tak miło jak mnie – odparł Kolbein.

Nazista podkradł się do drzwi, gdzie przy progu stał kanister z pachnącą słodkavo i przenikliwie benzyną. Zaczął od okien, chlapanął płynem po podłozie, polał metalowy stół, ściany i papiery. Kiedy skończył, Kolbein był prawie gotowy.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział.

– A co ze strażnikami na wieży?

– Będą mieli dość roboty z uniknięciem pożaru. A my w chaosie znikniemy.

Klepsland wyszedł na korytarz. Kolbein wziął jeszcze kilka teczek, które mogły zainteresować Brytyjczyków. Zrobił im miejsce w worku, zostawiając granaty. Klęcząc, zarzucił worek na plecy, sprawdził, czy rzemienie dobrze trzymają, i głęboko odetchnął. Pozostawała jedna sprawa. Tej chwili się bał.

Wstał i podszedł do szafki na dokumenty na końcu pomieszczenia. Elias niczego nie wyrzucił, więc to musiało być tutaj. Odnalezienie tego, czego szukał, zajęło mu niecałą minutę. Trzy listy. Pierwszy z lipca 1937 roku. Ostatni z czerwca 1942 roku. Wszystkie z nagłówkiem „*Landes-Heil- und Pflegeanstalt Bernburg*”. Państwowy Zakład Sanatoryjno-Opiekuńczy w Bernburgu. Rozerwał ostatni adresowany do Eliasa Brincha list, który zawierał jedynie kartkę szarego papieru. Akt zgonu. Bezimienna dziewczynka. Lat pięć. Zapalenie płuc.

Ile czasu minęło? Czterdzieści minut? Trzy kwadranse?

Kafa zaparkowała po drugiej stronie ulicy i oboje szybko ruszyli zwirową ścieżką. Fredrik ukrył w ręku gruby koniec latarki. Czy Børre Drange domyślił się, że został odkryty? Może. Wobec tego należało go jak najszybciej unieszkodliwić.

Fredrik odetchnął głęboko, zanim zapukał. Mocno, ale nie brutalnie. Kiedy po raz trzeci knykcie uderzyły w drewno, drzwi się uchyliły. Zajrzeli do ciemnego, niesympatycznego holu.

– Były otwarte, jak wychodziłeś? – szepnęła Kafa.

Nie pamiętał. Nasłuchiwali. Żadnych kroków na wykładzinie.

– Jesteś pewien, że to był Børre Drange?

– Dzwoniłem do agencji. U Kolbeina Ihmego Monsena nie pracował żaden pomocnik domowy – mruknął z goryczą.

Kafa szybko dotknęła ręką jego dłoni. Spotkali się wzrokiem. Potem weszli do środka.

– Halo? Panie Monsen? Tu Fredrik Beier. Policjant.

Na regałach w gabinecie prawie nie było książek. Wszystkie leżały rozrzucone na ziemi. Książki, magazyny, czasopisma... Fredrik, nie zatrzymując się, wkroczył do salonu. Zaklął cicho. Kanapa była pusta. A Kolbein Ihme Monsen zniknął. Jedyne wgniecenie w poduszce świadczyło o tym, że przed niecałą godziną spoczywała na niej głowa starego człowieka. Zniknął też fotel na kółkach, na stole została tylko spacerowa laska starca.

– Cholera – mruknął policjant, szarpnięciem otwierając drzwi do następnego pomieszczenia.

Sypialnia. Na środku pokoju stało proste niepościelone łóżko, a obok niewielki nocny stolik. Na nim zaś leżały dwa przedmioty, które rozpoznał. Niebieska szklana ampułka, taka sama jak ta znaleziona przez policję w samochodzie, którym uprowadzono Carla Josefsena i Pio Otamendiego. Środek odurzający. W leżącej obok strzykawce zostało jeszcze sporo płynu. Starzec nie potrzebował dużej dawki. Drugim przedmiotem był składany grzebień. Złożony, więc ze schowanymi zębami, ale widoczne były wygrawerowane na boku inicjały „K.I.M.”. Monsen użył go na spotkaniu w Związku Oficerów.

– Cholera! – powtórzył Fredrik.

W drugim końcu pokoju na drzwiach prowadzących do kuchni wisiało lustro. Fredrik zawrócił, kiedy się zorientował, że Kafy już za nim nie ma.

– Kafa?

– Tu. W gabinecie.

– Zabrał ze sobą starego. Nafaszerował go narkotykiem i po prostu zabrał! – ryczał Fredrik, idąc szybko przez mieszkanie.

Kafa siedziała w gabinecie przed regałem. Włożyła lateksowe rękawiczki, odsunęła stertę książek i przeglądała rozsypującą się broszurę. Odwróciła poźólkłą stronę tytułową do Fredrika. *Norweski program higieny rasowej* Jona Alfreda Mjøena.

– Dużo tu takich rzeczy – powiedziała powoli. – To – machnęła kartkami – leżało tam.

Za dolną półką regału zainstalowano w ścianie sejf. Niewielki, z trudem zmieściłby się w nim plik magazynów. Póki zasłaniały go książki, był skrytką. Fredrik zajrzał do środka. Pusto.

– Widocznie znalazł to, czego szukał – odezwał się z rezygnacją.

Złapał się obiema rękami za głowę. Nie mógł w to uwierzyć. Że też dał się wymknąć Børremu Drangemu! Że też nie dostrzegł, że za gęstą brodą krył się on! Przecież patrzył mu prosto w oczy! W skupione, płonące oczy pastora.

– Ale ze mnie idiota! – jęknął cicho. – Cholerny idiota!

Kafa pogładziła go po plecach.

– Oczy widzą tylko to, co spodziewamy się zobaczyć – zacytowała. – Pamiętasz? Tak mi powiedziałeś po pierwszej wizycie w domu Kvarvingenów.

W podłodze w kuchni wmontowano klapę do piwnicy. Fredrik podniósł ją, a Kafa poświeciła latarką w ciemności. Schodów nie było, jedynie stroma drabina z szerokimi stopniami. Położyli się oboje na ziemi. Uderzył ich zapach mokrego papieru i pleśni. Dwa okienka blado oświetlały surową betonową podłogę, na której stały w nieładzie półotwarte kartony z książkami. Fredrik zbierał się do zejścia na dół, gdy Kafa chwyciła go za ramię.

– Patrz!

Wyłączyła latarkę. W snopie światła z okien zobaczył to samo co ona. Ktoś szedł przez ogród. Ciemny, nieforemny cień przesunął się po podłodze piwnicy.

Ledwo zdążyli uklęknąć, gdy na podeście rozległo się tupanie. Drzwi do holu szybko się otworzyły i zamknęły.

Przyszedł.

Wysoka postać wypełniała niski korytarz, zasłaniając sobą padające przez szparę światło. Choć mężczyzna stał zwrócony do nich plecami, Fredrik nie miał wątpliwości, kim jest. W gardle urosła mu kula. Nie mógł oddychać.

Z owalnej głowy wydobył się cichy syk. Staffan Häyhä obrócił się. Resztki światła wydobyły z cienia zarys kabury pistoletu. Tak jak Fredrik nachylił się i czytał pożółkły papier na ścianie. Kontury jego twarzy stały się wyraźniejsze. Wydawał się nieomal ludzki – szlachetny nos, zaznaczona górna warga. Potwór nosił maskę.

Fredrik nie miał pojęcia, jak tu trafił, ale domyślił się, że wynajętego mordercę przywiodło w to miejsce polowanie na Børrego Drangego. Zrozumiał także, że za sekundę albo dwie Häyhä się odwróci i ich zobaczy. Dzieliły ich cztery metry. Musiał działać. Mózg krzyczał – do nóg, do rąk – żeby wstał. Wstał, skoczył naprzód i rzucił się na człowieka w korytarzu. Tym razem olbrzym ich nie oszczędzi. Fredrik nie wiedział, skąd to wie, ale wiedział.

Tylko jak mężczyzna, który ledwie jest w stanie oddychać, miałby zaatakować potwornego olbrzyma? Fredrikowi huczało w głowie. Krople potu spływały po grzbiecie nosa. Ściany wokół pociemniały. Korytarz się zwęził. Fredrik wsparł dłonie o podłogę i zwymiotował.

– Fredrik! Pomóż!

Krzyczała Kafa.

Fredrik z wysiłkiem podniósł głowę i odkrył, że partnerka akurat trafia faceta, przynajmniej pół metra wyższego od siebie, potężnym kopem karate w bok na wysokości nerek. Wielkolud jęknął głośno, a potem wydał z siebie dźwięk przypominający pryskanie zimnego oleju na rozgrzanej patelni. Na moment ugięły się pod nim kolana. Kafa od razu zaczęła okładać plecy i kark mężczyzny masywną latarką. Ciosy padały z prędkością błyskawicy. Fredrik stanął na nogi. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy wojenne odznaczenie spadło na podłogę.

Fredrik rzucił się naprzód prawie na ślepo. Był po temu najwyższy czas. Kopnięcie w nerki musiało zmobilizować wszystkie neuroprzewodniki w ciele olbrzyma. Przez chwilę wydawało się, że stracił kontrolę nad mięśniami w nogach. Niemniej w jego dużych szarych oczach nie było strachu, a jedynie nienawiść, złość i dezorientacja. Przewracając się na plecy, używał rąk do ochrony przed bolesnymi ciosami. A potem złapał Kafę za nadgarstek. Fredrik widział, jak Häyhä pozwala się przewrócić na książki w gabinecie, Kafa zaś nie ma szansy wyhamować. Żadnej szansy, żeby się wyrwać. Samym ciężarem ciała przerzucił drobną policjantkę nad głowę i uderzył nią w ścianę. Z takim hukiem, że aż jej zagrało w piersiach.

Ciemna postać leżała na plecach, gdy Fredrik się na nią rzucił, obnażywszy zęby na widok obojętnej silikonowej maski z zastygłym uśmiechem na fałszywych wargach. Obsypał tę groteskową namiastkę twarzy ciosami. Bił do nieprzytomności, z całą siłą, na jaką było go stać. Nie miał zamiaru przestać, póki z tego nieczłowieka nie zostanie tłumok bez życia. Bił bez ustanku. Za Jørgena. Za Annette. Za małego Williama i Johanna. W skroń, w twarz, w gardło i zabandażowane ramię. Pozbawione włosów brwi i czoło się sfałdowały. Wbił silikonową maskę w czarną parskającą dziurę po nosie i górnej wardze. Za każdym uderzeniem czuł na twarzy i szyi ciepło tryskającej lepkiej krwi. Mimo to te puste oczy po prostu na niego patrzyły, jak z zatrzymanego kadru. Ten wzrok czynił go niepewnym. Nieuważnym. Za późno dostrzegł niebezpieczeństwo. Nagle w rozdartych džinsach nad kolanem ukazała się nie biała skóra, a rozwarta rana w poprzek rzepki.

– On ma nóż!

Kątem oka Fredrik dostrzegł Kafę rzucającą się na ramię, które Häyhä uwolnił i teraz łukiem opuszczał na niego. Nie udało się jej zatrzymać ciosu, ale zdołała zmienić kierunek gerbera, akurat na tyle, by lśniący czubek noża ominął jego gardło. W zamian trafił w ramię. Ostrze wbiło się tuż pod prawym barkiem z siłą tak potężną, że gumowana, antypoślizgowa rękojeść zatrzymała się dopiero na kości. Fredrika odrzuciło. Najpierw siłą ciosu. Potem ze strachu. Na koniec z bólu. Znowu zabrakło mu tchu. Z niedowierzaniem przyglądał się trzonkowi wystającemu ze skórzanego kurtki o centymetry od jego twarzy.

Zaczął się gorączkowo czołgać tyłem po zakrwawionych, porwanych książkach i magazynach, aż plecy dotknęły ściany gabinetu, mimo to dalej przebierał nogami – jak nakręcana mysz, póki pracuje sprężyna. Wokół pociemniało.

– Zostaw mojego partnera! Patrz na mnie, ty diable! Patrz na mnie! – wrzasnęła Kafa i czarne monstrum się odwróciło. Stała już na nogi i cofała się na korytarz w stronę salonu.

Mężczyzna uniósł się na czworaki i wytarł ręką twarz, nie spuszczać wzroku z policjantki. Wyprowadzenie kopniaka teraz, kiedy zwracał się do niej przodem, byłoby bez sensu. Śliskie od krwi magazyny i sterty książek czyniły z podłogi niebezpieczną pułapkę. Gdyby złapał ją za nogę, złamałby ją na pół. Ucieczka także nie wchodziła w grę. Jego droga do wyjścia była krótsza niż jej. A poza tym... gdyby uciekła, Fredrik by zginął.

Gdy Staffan Häyhä nieoczekiwanie sprężyście skoczył z kolan na nogi i syknął coś do niej, odwróciła się nagle, pobiegła do salonu, chwyciła ze stołu laskę i stanęła twarzą do drzwi. Już tam był. W rękę trzymał silikonową maskę. Zostało z niej niewiele więcej nad krwawy gumowy zwitek. Z czarnego otworu po nosie płynęła gęsta krew ze skrzepami. Białe zęby w górnej niczym nieosłoniętej szczęce lśniły jak klawisze fortepianu. Sztywny kikut po uciętym języku zwracał się ku niej z nienawiścią. Olbrzym postąpił krok do przodu. Cisnął na ziemię maskę, która zwinęła się jak kozuch zdjęty z mleka. Przez moment Kafie wydawało się, że Häyhä sięgnie do uda po pistolet,

i przygotowała się, by na niego skoczyć. Ale on po prostu ją prowokował, a potem z dzikim wyciem rzucił się na nią z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby był ojcem bawiącym się z dzieckiem.

Odskoczyła w bok i trzymając laskę za cieńszy koniec, zamachnęła się nią. Rączka laski była masywną gałką, twardszą i większą od kuli bilardowej. Staffan Häyhä był ogromny, ale gdyby udało się jej trafić, przewróciłaby go. Tyle że się nie udało. Bo nie tylko był wielki, ale także zwinny. Wymknęła się jego długim rękoma.

Teraz to Kafa znalazła się plecami do gabinetu. Wojownik wykonał płynny obrót. Nie powinno mu się udać, nie zmusi jej do wycofania, nie w głąb korytarza. Zrobiła więc krok do przodu, celując w zabandażowane ramię olbrzyma. Uchylił się i spudłowała. Nie wyhamowała jednak ruchu laski, tylko poszła za nią w obrocie całym ciężarem ciała. Gałka znowu poleciała w kierunku potwora. Siły i celowania kompletnie w tym nie było, niemniej atak nastąpił zupełnie niespodziewanie. Coś trzasnęło w kości – trafiła tuż nad ziejącą dziurą po uchu monstrum. Chwiejne kroki olbrzyma świadczyły o tym, że cios odniósł skutek.

Kafa podniosła laskę. Zgięty w pół spojrzął na nią zezem. Zachwiał się i zaraz po prostu znieruchomiał, jakby jedna runda śmiertelnego tańca dobiegła końca, a zaczynała się następna. Rytm był teraz wolniejszy, ton głębszy, dźwięki mocniejsze. Orkiestra przygotowywała się do finału.

Staffan Häyhä wyprostował się na całą wysokość. Niewiele brakowało, by głową szorował po suficie. Potem cofnął najpierw jedno, ranne, ramię, a potem drugie, aż klatka piersiowa mu się wybrzuszyła. Mimo że jego twarz była tak okaleczona, Kafa dostrzegła na niej odczuwany ból. Olbrzym wyglądał jak ćma uwalniająca się z kokonu. Tak boleśnie. Tak swobodnie.

Nie był już agresywny. Ani szybki jak błyskawica, ani nieoczekiwanie zwinny. Dużo gorzej. Groźniej. Był czystą, pierwotną siłą woli. Kafa zebrała w sobie całą swoją energię, całą precyzję i uderzyła. I trafiła. Bo potwór się nie uchylił. Przyłożył tylko rękę do ucha. Przyjął zabójczo silny cios, jedynie osłaniając się dłonią. Znow trzasnęła kość. To go nie obchodziło. Złapał główkę laski, przyciągnął Kafę do siebie i zacisnął dłoń na jej gardle. A potem uderzył. Bił i bił. Połamana ręką.

Słyszał tylko ciszę. Nieobecność dyszenia Kafy. Brak syczącego oddechu czarnego monstrum. Nic. Początkowo nic. Potem cichy dźwięk rozdzierania. Fredrik był mokry od potu. Zamknął oczy. Dudniący puls, który rozsadzał skronie, ból w barku i ręce powoli znalazły się pod kontrolą. Wykręcił szyję, zagryzł zęby i obiema rękami z całej siły pociągnął za trzonek noża.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciało mu się krzyczeć. Pociemniało mu w oczach, w ustach poczuł słony smak krwi i jednocześnie suchość, pod powiekami rozbłysły pociski bólu – czerwone, pomarańczowe i żółte. I opadły jak gorący popiół. Mógł oddychać. Mógł otworzyć oczy i patrzeć. Wpatrywał się w ząbki przy trzonku noża, który właśnie wyrwał znad łopatki. Bark bolał, a klatka piersiowa była lepka od krwi. Spróbował poruszyć ramieniem. Było niesamowicie posłuszne. Adrenalina. Podniósł się na kolana. Zobaczył tunel. Znieruchomiał, odetchnął i wstał. Zważył nóż

w dłoni.

Chwiejnym krokiem podążył za dźwiękiem. Salon wyglądał jak pole bitwy. Zdjęcia Gerharda Monsena, Kossa i jego sióstr leżały rozbite na podłodze. Ława była przewrócona, a kanapa pochłapana krwią. Dźwięki dochodziły z sypialni. Fredrik przekradł się do drzwi i zajrzał przez szczelinę. Kafa leżała w głowach łóżka. Ręce i nogi miała oklejone taśmą, oczy na wpeł przymknięte, a z nosa leciała jej krew. Na górnej wardze widniała otwarta rana. Ale oddychała. Fredrik przesunął się lekko w bok i zobaczył potwora. Siedział w nogach łóżka, odwrócony do niego błyszczącymi od potu plecami.

Ściągnął sweter przez głowę. Na prawym barku miał opatrunek. Dźwięk, który go dobiegł, pochodził z taśmy klejącej, którą potwór owijał wokół potrzaskanej dłoni. Od czasu do czasu wydawał jęk. Mógł być spowodowany bólem. Albo gniewem. Poprawiając mocny chwyt rękojeści noża, Fredrik wolno policzył do trzech i pchnął drzwi. Staffan Häyhä napotkał jego wzrok w lustrze wiszącym na uchylonych drzwiach kuchni. Obrócił się.

Miał oczy zranionego niedźwiedzia. Jego spojrzenie biegało między twarzą Fredrika a nożem. Z jamy w głowie wciąż kapała krew, zęby przybrały barwę różu, a gdzieś z głębi piersi wydobywał się charkot.

Rzucili się na siebie. Fredrik trafił, czuł, jak nóż wchodzi w ramię. Jednak morderca wylądował na nim. Był po prostu za silny, za ciężki. Za bardzo zdeterminowany. Czysta wola. Zaklejoną ręką przygwoździł trzymające nóż ramię Fredrika do ziemi. I nie dał mu się ruszyć. Przesunął się tak, że siadł mu na piersi. Powoli pochylił się nad nim i położył mu przedramię na gardle.

Ciepła, jasna krew chlusnęła z rany po nożu w oczy Fredrika. Zamrugał w panice i poczuł, że nacisk na gardło rośnie. Coraz bardziej. Nie mógł oddychać. I bardziej. Zaczął kopać nogami w podłogę. Nie miał kontroli. Jeszcze bardziej. Pociemniało...

– Staffan Häyhä!

Piskliwy, przestraszony głos kobiety. Häyhä zeszywniał, rozluźnił chwyt i się wyprostował. Wydawał się dezorientowany, słysząc własne nazwisko. Stuk!

Wciąż siedział na piersi Fredrika. Ale duszenie ustało. Zabójca patrzył dezorientowany przed siebie. Odwrócił głowę i spojrzał na Kafę, która zakrwawiona i oklejona taśmą chwiała się obok łóżka. Z jej brody na kurtkę kapała czerwona piana. Odwzajemniła się intensywnym, nienawistnym spojrzeniem.

– Masz! Ty sukinsynu!

Raptem Häyhä jakby stracił zainteresowanie Fredrikiem. Jego wzrok stał się niezborny, pochylił się do przodu, zapał rękami o podłogę, próbując wstać, ale osunął się z powrotem. Fredrik był za słaby, żeby się bronić, ale olbrzym nie robił wrażenia, że chce go skrzywdzić. Próbował tylko wstać. Przewrócił się na bok, uniósł na kolana, znów upadł, aż wreszcie udało mu się podnieść. Zrobił dwa kroki w bok i obrócił się w stronę kuchennych drzwi.

Pośrodku karku tkwiła wbita strzykawka. Z wciśniętym do końca tłokiem. Wielkolud stracił równowagę i okręcił się chwiejnie w ich kierunku, po czym, potykając się, cofnął do kuchni. Jego spojrzenie wędrowało między Fredrikiem a Kafą. Zaczął macać udo w poszukiwaniu kabury z pistoletem. Fredrik ledwie był w stanie unieść głowę. Monstrum cicho zachrobotało kikutem języka, wysupłało broń i zamachało nią. Häyhä cofnął się jeszcze o krok. Przymknął oko, starając się wycelować. Jeszcze jeden niepewny krok. I upadł.

W kuchni wciąż było otwarte wejście do piwnicy. Staffan Häyhä potknął się o nie, zwałił na plecy i uderzył głową w klapę, a następnie spadł na betonową podłogę.



21 maja, godz. 1.54 czasu wschodniego

NARKOTYKOWY GUBERNATOR NIE ŻYJE

Associated Press

KANDAHAR, Afganistan (AP): Oślawiony gubernator Kandaharu Osmal Abdullah Kamal został zabity 19 maja w Kandaharze w Afganistanie. Liczne niezależne źródła podają, jakoby Kamala zlikwidował snajper podczas wizyty w domu jednego z miejscowych negocjatorów NATO Hassama Alego. Sam Ali został zabity podczas zamieszek, które wybuchły po zabójstwie gubernatora.

Gubernatora Kamala wiązano z wieloma morderstwami i porwaniami w regionie, przypuszczalnie był też jedną z ważniejszych postaci, jeśli chodzi o południowoafgański handel bronią i narkotykami. Osmal Abdullah Kamal był stanowczym przeciwnikiem mieszania się Zachodu w sprawy afgańskie, toteż lokalne władze reagują niedowierzaniem na informacje, jakoby przebywał w domu zwolennika NATO. Natowskie dowództwo oddziałów wspierających Resolute Support Mission (RSM) odmówiło komentarza na temat likwidacji gubernatora, natomiast potwierdza, że Osmal Abdullah Kamal nie żyje.

Kafa ostrożnie wytarła serwetką wilgoć z górnej wargi. Wargi nabrzmiały jak dziób rozdzielony czarnym strupem. Czytając na głos telegram z wiadomością sprzed prawie trzech miesięcy, przy każdej twardej głosce wypluwała fontanny śliny.

– Według raportu policyjnego zabójca strzelał z minaretu. Znaleziono tam pobitego i związanego starego imama.

Kafa siedziała przy łóżku Fredrika w jednym z betonowych pawilonów szpitala na Ullevål. Dotknęła go ciepłymi dłońmi, by pomóc mu się podnieść do pozycji siedzącej, a następnie osunęła się na niewygodne plastikowe krzesło obok. Długo tak siedzieli, przyglądając się sobie bez słowa, każde pograżone we własnych myślach o tym, jak to się stało, że nadal żyją. Wreszcie dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła dokumenty z PSB.

– Na wieży znaleziono też pustą łuskę – ciągnęła. – Po pocisku lapua magnum, ulubionej amunicji Staffana Häyhä. Tej samej, która zdmuchnęła głowę Plantenstedtowi.

Fredrik zacharczał i przycisnął rękę do szyi, żeby mniej bolało przy mówieniu. Po duszeniu gardło miało tak obolałe, jakby nałykał się kwasu. Minimalną ilością słów powtórzył informacje od Hassego Hanssona – że natowcy w tajnym dokumencie wskazali Staffana Häyhä jako sprawcę.

– Gubernator został zabity zaledwie sześć tygodni przed masakrą w Słonecznym Spokoju. Häyhä musiał przyjechać do Norwegii prosto stamtąd – zauważyła.

– Więc po co zabijał jakiegoś gubernatora talibów, który potajemnie spotykał się z negocjatorem z ramienia NATO? Kto ma w tym interes? I jaki?

Tego się pewnie nigdy nie dowiedzą. Kafa podała Fredrikowi kartkę, wydruk z poczty elektronicznej. Miejscowy komendant policji oświadczył niedawno, że za zamachem kryje się jakiś pasterz. Który przypadkowo został zabity podczas wymiany strzałów zaledwie kilka godzin po przyznaniu się do winy. Motywem miał być zatarg między rodziną pasterza uprawiającą mak na opium a klanem, do którego należał gubernator. Adres nadawcy tej wiadomości został zacerniony, niemniej mejl z informacją wyłowili z morza innych agencji wywiadu wojskowego w Kabulu. Śledztwo zakończono.

Fredrika ogarnęło zmęczenie. Zamknął oczy i przypomniał sobie poranną wizytę w toalecie. Charkotem i pełnymi agresji gestami przekonał pielęgniarkę, że nie ma zamiaru załatwiać się do błyszczącego zimnego basenu, który mu podsuwała pod tyłek. W łazienkowym lustrze ujrzał bladą facjatę. Tłuste włosy sterczały na głowie nierównymi kępkami, broda pleniła się jak chwast, a tak kiedyś wypielegnowane wąsy wyglądały przy niej na wątle i wyskubane. Okulary ciążyły mu na nosie.

Gruby bandaż ściśle spowijał ranę po nożu na ramieniu, podobny założono mu też na kolano. Szyja mieniła się intensywną czerwienią i sinizną. Pojawiające się od czasu do czasu napady kaszlu brzmiały jak piski świeżo wykastrowanego wieprza.

– Za dzień albo dwa się polepszy – pocieszała młoda pielęgniarka, podtrzymując go nad pisuarem. Posłała tęskne spojrzenie w stronę paczki jednorazowych rękawiczek, zastanawiając się, czy sam sobie poradzi ze skierowaniem strumienia.

– Miejmy nadzieję – mruknął w odpowiedzi.

Kafa chrząknęła i Fredrik otworzył oczy.

– Lekarze mówią, że skóra i tkanka tłuszczowa Staffana Häyhä noszą ślady traktowania chemikaliami. Często, może nawet codziennie, smarował skórę chlorem i rozcieńczonym wodą alkoholem, a potem wcierał w siebie jakąś mieszaninę zjełczanego tłuszczu i kredy.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Tłusta masa mieszała się z potem i martwym naskórkiem. Odór łożu niemal kamuflował zapach jego ciała. Łój wsiąkał, a pot i warstwa naturalnego tłuszczu na skórze mieszała się z suchą kredą, tworząc szarobiały łuszczący się proszek, nieczytelny dla tych, którzy szukali odcisków palców, grupy krwi lub DNA.

Fredrik próbował wyrazić jednym charkotem, jakie to imponujące.

– To dlatego nie mogliśmy znaleźć jego śladów, zanim nie został postrzelony i nie zdobyliśmy dostępu do jego nieskażonej krwi. – Kafa wstała i podłożyła Fredrikowi rękę pod kark, odchylając ostrożnie głowę, by poprawić poduszki. Jej dotyk był czuły i energetyzujący.

– W jakim jest stanie?

Odsunęła mu włosy na bok, a potem palcem pokazała na sufit.

Staffan Häyhä leżał dwa piętra wyżej, ledwo żywy. Podczas upadku połamał kilka kręgów szyjnych. Nie będzie mógł chodzić. Cios nożem w ramię uszkodził tylko mięśnie, podobnie jak postrzał w bark. Miał też strzaskaną rękę i pękniętą czaszkę po uderzeniach przez Kafę główką laski. Był nieprzytomny. Mózg spuchnięty. Lekarze nie byli pewni, czy nie ma tam uszkodzeń.

– Ale przeżyje? – spytał Fredrik z powagą.

Pokręciła głową ze zwątpieniem.

– Nie wiedzą.

– Do diabła, mam nadzieję, że przeżyje. Istnieje przecież zleceniodawca – wychrypiał.

– Którego Staffan Häyhä zechce ujawnić?

Spotkali się wzrokiem. Fredrik zacisnął wargi.

– Świat wygląda zupełnie inaczej, kiedy się budzisz i pojmujesz, że resztę życia spędzisz na wózku inwalidzkim. W więzieniu.

Spod opuszczonych powiek przyglądał się Kafie. Dopiero teraz, ledwo przeżywszy tę powódź

przemocy, która się przetoczyła, był skłonny zaakceptować to, co podejrzewał już od dłuższego czasu. Bystry umysł, cięty język. Przyjemnie zaokrąglone ciało. Cóż, nawet z twarzą zmaltretowaną przez szwedzkiego najemnika była dla niego atrakcyjna. Gdyby go tak cholernie nie bolało, zasymulowałyby kolejny atak kaszlu. Tylko po to, żeby poczuć jej dłoń na swoich plecach.

Nie był zakochany. W tym słowie się to nie mieściło. Uratował jej życie. Ona uratowała życie jemu. Więzy między nimi stała się nierozzerwalna.

Wzrok Fredrika zatrzymał się na pysznej wiązance róż na parapecie. „Kocham cię. Zadzwoń, jak się obudzisz. Twoja partnerka Bettina (i Krezuska)” – brzmiały słowa na karcie, którą wsunął do koperty. W pewnym sensie cieszyło go, że Kafa pracuje w PSB i wróci tam, kiedy to wszystko się skończy. Potrzebował czasu. Przestrzeni. Czasoprzestrzeni, w której mógłby pomyśleć.

– Nie powinnaś teraz szukać Monsena i Drangego?

Kafa podniosła wzrok znad komórki.

– Właśnie znaleziono zwłoki. Starszy człowiek. Na zboczu nad Mosseveien. Podobno nagi.

Kiedy Kafa wyszła, Fredrik odczuł naraz ulgę i tęsknotę. Zamknął oczy, chciał przespać ból ciała i zmęczenie, ale wtedy zawibrował telefon na nocnym stoliku. Tylko jeden numer na całym świecie mógł go zmusić do odebrania. I właśnie on wyświetlił się na komórce.

– Cześć, tatusiu – rozległ się zapłakany głos po drugiej stronie. – Mama nie pozwoliła nam zadzwonić wcześniej. Powiedziała, że musisz odpocząć. Tak się cieszymy, że żyjesz!

Głosy nastolatków Sofii i Jacoba zmiękczyły mu serce, a jednocześnie dodały siły. Zażądali szczegółowego sprawozdania z przebiegu walki z „tym obłąkanym mordercą”, a potem słuchali jak równoprawni dorośli. I jak dzieci nie dali się uspokoić, póki ich wielokrotnie nie zapewnił, że zabójca już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Na koniec Alice odebrała im telefon.

– Boże, Fredrik! Na szczęście żyjesz! Panie Boże wielki!

Ponownie opowiedział o krwawych chwilach w domu Kolbeina Monsena. Podczas gdy była żona w różny sposób dawała wyraz szokowi i przerażeniu, połknął ostatnią tabletkę przeciwbólową, która już od dobrej chwili go kusiła. Kiedy skończył mówić, Alice wzięła oddech.

– Słuchaj, Fredrik. Muszę ci coś powiedzieć. Wiedziałam o tym już jakiś czas, ale z powodu... Ponieważ musiałeś w lecie pracować i nie mogłeś spędzić urlopu z dziećmi, co, jak się domyślasz, sprawiło trochę... trochę nas z Erikiem zaskoczyło, dzieci oczywiście również, nie miałam okazji...

Przezornie zachował milczenie. Rzecz polegała na tym, że Erik, nowy mąż Alice, dostał pracę w Oslo. Jakąś posadę dyrektora w Ministerstwie Oświaty. Prawdę mówiąc, guzik go obchodziło, gdzie pracuje Erik. Natomiast konsekwencje miały dla niego znaczenie. Ponieważ postanowili przeprowadzić się z powrotem. Do Oslo.

– Tak więc teraz już wiesz.

Fredrikowi nie udało się zasnąć. Kafa, Bettina i Alice. Dzieci. Święci pańscy, ależ będzie zamieszanie.

Musiał pomyśleć o czymś innym. Wobec tego usiadł. Sala obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, zanim zgasły wszystkie gwiazdy przed oczami. Potem zsunął się na chłodną podłogę, poczłapał do okna i rozsunał granatowe zasłony. Myślał, że to już wieczór, ale patrząc na szpitalne pawilony, zorientował się, że jest dopiero wczesne popołudnie. Naciągnął szlafrok i włożył komórkę do kieszeni.

Na korytarzu panował spokój. Uśmiechnął się przelotnie do pielęgniarki w dyżurce. Obawiał się, że zasadnicza kobieta zechce go na powrót zapędzić do łóżka, ale tylko odwzajemniła uśmiech. Wyszedłszy z windy, zobaczył szerokie schody na piętro wyżej i dwuskrzydłowe drzwi do korytarza

prowadzącego tam, gdzie się wybierał. Pododdział drugi. Przed drzwiami stało dwóch panów w garniturach, pogrążonych w rozmowie z lekarzem. Czarne marynarki, czarne spodnie, skórzane buty, białe koszule i krawat. Strażnicy z PSB. Mijając ich, Fredrik wymruczał pozdrowienie, ale nie zwrócili na niego uwagi. Zapewne widzieli w nim tylko pacjenta.

Za drzwiami pokuśtykał przez pomalowany na kremowo korytarz. W jakimś gabinecie dojrzał kilka ubranych na biało postaci, jakaś pielęgniarka z miednicą i ręcznikami zniknęła w drzwiach sali. Obok niego przetoczyło się łóżko z nieboszczykiem. Jeszcze zakręt w końcu korytarza i był na miejscu. Na giętych krzeselkach wpatrzeni w drzwi siedzieli dwaj policjanci w mundurach.

– Cześć – wyszeptał Fredrik.

Nie odpowiedzieli.

– Jestem policjantem. Nazywam się Fredrik Beier. Zostałem ranny podczas zatrzymania człowieka, którego pilnujecie.

Obaj wstali i się przedstawili.

– Chciałbym, jeśli to możliwe, go zobaczyć – wychrypiał.

Policjanci spojrzeli po sobie niepewnie. Zanim jednak zdążyli dać odpowiedź, za plecami Fredrika zagrzemiał znajomy baryton.

– Fredrik! Dobrze cię widzieć.

Sebastian Koss.

– Wstąpiłem po drodze do twojego pokoju, żeby zobaczyć, co u ciebie. A skoro cię tam nie znalazłem, domyśliłem się, że jesteś tutaj.

Fredrik chrząknął potwierdzająco, zasłaniając usta dłonią. Koss otworzył drzwi do ciasnego korytarzyka i obaj weszli. Przeszkłone drzwi zagradały dalszą drogę do pacjenta. Przez szybę widzieli łóżko, gdzie leżał Häyhä. Obok stała pielęgniarka i notowała wskazania aparatury monitorującej stan pacjenta.

– Całą noc go operowali. Ledwo udało im się utrzymać go przy życiu. Zdecydowaliśmy, że opróżnimy cały pododdział. Po południu wszyscy pozostali pacjenci zostaną przeniesieni.

– I dobrze – mruknął Fredrik.

Rozumiał, o co chodzi Kossowi i komendantowi Nememu. Staffan Häyhä stanowił dla swoich zleceniodawców istotne zagrożenie. Nie można było wykluczyć, że ktoś zechce go raz na zawsze usunąć. A policji zależało, żeby szubrawiec żył.

– W ostatnich dniach zrobiliśmy duże postępy – odezwał się Koss. – Doceniam wkład. Twój i Kafy. W końcu znaleźliśmy wspólnotę. A teraz mamy sprawcę.

My? Fredrik nie odpowiedział. Przyglądał się postaci na łóżku. Widzieli tylko zarys twarzy z profilu, reszta była przykryta starannie ułożoną kołdrą. Nad głową wisiała przezroczysta torebka, z której przez wężyk zasilano to stworzenie płynem. Nawet przez drzwi było słychać, jak ciężko

oddycha. Fredrik wzdygnął się, uspokoił i skierował wzrok na zniszczoną twarz.

– Kto cię wysłał, najemny morderco? – szepnął, opierając głowę o szybę.

Nie przejmował się spojrzeniem Kossa, wychylony do przodu oparł obie ręce na szkle. Kto wynajął zabójcę? Powoli obrócił wciąż opartą o drzwi głowę i spojrzał Kossowi prosto w oczy.

– Musimy zacząć myśleć, jak to pozbawione języka skurwysyństwo zmusić do mówienia – powiedział cicho, jakby do siebie. – Kto jest skłonny poświęcić życie tylu osób, żeby ukryć makabryczne plany sekty?

Przez krótką chwilę wydawało mu się, że spojrzenie Kossa stało się niepewne.

– Tak. Dostaliśmy więcej informacji od Szwedów. Chyba nie mają zbyt wiele na Staffana Häyhä. W latach dziewięćdziesiątych pojawił się znowu w szwedzkim wojsku. Deformacji twarzy dorobił się podczas akcji ONZ w Jugosławii. Jakiś wypadek. Potem chyba działał na własną rękę. Przez krótki czas mieszkał w Sztokholmie. A później po prostu zniknął. Żadnych śladów przez ostatnie dziesięć–piętnaście lat.

– Ach tak – skwitował Fredrik. – Jaką mamy pewność, że niczego nie przemilczeli?

– Jasne, że nie... – W głosie Kossa irytacja mieszała się z pytaniem. – Po co mieliby to robić?

– Jasne, że nie... – odparł zmęczonym głosem Fredrik. – Po co mieliby to robić?

Obaj policjanci, jeden w szlafroku, drugi w którymś ze swoich licznych szytych na miarę garniturów, obserwowali swoje rozmyte odbicia w szybie.

– Synne Jørgensen wraca. – Koss przerwał ciszę. – Oskarżenie zostało wycofane. Jednostka specjalna zamknęła śledztwo. Przez jakiś czas będzie pracowała mniej, bo kończy studia prawnicze.

– No i ładnie – odpowiedział Fredrik nieobecny tonem.

Myśli miał zajęte czymś innym. Była pewna sprawa, którą musiał poruszyć z inspektorem.

– Podejrzewam, że Kolbein Ihme Monsen, twój dziadek, został uprowadzony. Przez Børrego Drangego. Myślę, że kiedy odwiedziłem twojego dziadka, był pod działaniem narkotyku.

Koss jęknął, wyraźnie niezadowolony ze zmiany tematu.

– Kafa mi mówiła.

– Kolbein miał sejf – ciągnął Fredrik. – Ukryty. Porywacz go znalazł. Masz jakieś pojęcie, co mogło w nim być?

Sebastian Koss odwrócił się do niego.

– Nie – rzucił. – Powrotu do zdrowia życzę.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Fredrik długo przyglądał się nieprzytomnemu. Kołdra unosiła się i opadała. Oddech szemrał monotonnie i chropawo, popiskiwał kardiomonitor. Przesunął wzrokiem od łuku czoła. Plastikowe wężyki z solami fizjologicznymi wetknięto w czarną jamę w środku twarzy. Nagle poczuł wibrowanie

komórki. Kari Lise Wetre.

Mimo że Staffan Häyhä był nieprzytomny, stłumił głos.

– Słucham.

– Fredrik? Fredrik Beier? Poinformowano mnie, co się stało. Cieszę się, że pan żyje.

Fredrik odmruknął słowa podziękowania.

– Muszę z panem pomówić o pewnej sprawie. – Na chwilę zapadła cisza. – Annette była w ciąży.

Była w ciąży, kiedy ją zabito.



*Lista, listopad 1943 roku*

Drzwi szarpnięte przez niemieckiego żołnierza otworzyły się, inny żołnierz uderzył Kolbeina kolbą karabinu. Norweg wylądował na podłodze w sieni – na plecach, z pulsującym wściekle nosem i uczuciem, że mózg rozsadza mu czaszkę. W ustach pojawiła się krew, a opary benzyny, w których leżał, wzmacniały tylko oszołomienie zmysłów.

– Ty cholerny idioto – wysyczał znany mu głos.

A potem odebrał silny cios w ramię. To Elias uderzył go laską Kjella Klepslanda. Profesor dał nad nim krok do laboratorium.

– Dawać go tu! – krzyknął po niemiecku. – Dawać tu zdrajców!

Dwóch żołnierzy wciągnęło Kolbeina tyłem do środka. Dopiero kiedy cisnęli go na ścianę, odzyskał równowagę. Jeden z Niemców go trzymał, drugi zaś, ten, który uderzył go kolbą, skierował lufę karabinu w jego brzuch. Wprowadzono Klepslanda z rękami założonymi na głowie. Trzeci żołnierz wciskał mu lufę pistoletu w kark.

– Cholera. Cholera! Cholera! – Elias wściekł się, zobaczywszy swoje laboratorium: ślizgające się po kałużach benzyny cienie, odbijające się w nich światło i rozrzucone papiery sprawiały, że zniszczenia wydawały się większe, niż były w rzeczywistości. – Cholerni idioci! – krzyknął znowu, omiatając wzrokiem najpierw Klepslanda, potem Kolbeina. Z całej siły walnął laską w metalowy stół. Kiedy pękła, odrzucił ją precz. Wziął do ręki ołówek i skierował go w pierś Klepslanda. – To Nietzsche mi poradził, żebym miał na ciebie oko, Klepsland. Z powodu twojej niechęci... awersji... do planów moich i Karen.

Kjell Klepsland ścisnął palce na głowie, aż zbieleły knykcie. Zęby miał zaciśnięte, a twarz purpurową.

– Karen to dziecko – wysyczał. – Pan ją prześladował, kiedy nie miał jej kto bronić. Była sama z matką, gdy ja na froncie wschodnim walczyłem za ojczyznę.

Żołnierz za plecami Klepslanda podniósł pistolet, gotów uderzyć oficera Hirdu kolbą w głowę. Elias jednak podniósł ołówek w górę.

– Czekał. – Pochylił się nad stołem. Jego cichy głos brzmiał szyderczo jak krzyk mewy. – Wiesz Kjell, że się z nią pieprzę? – Przesunął językiem po górnej wardze. – Wiesz, że się z nią pieprzę? Ujeżdżam ją i ujeżdżam, aż się wije i płacze z bólu. Błaga, żebym skończył... – Wychylił się nad stołem jeszcze dalej, oczy mu się rozszerzyły. – I wiesz, co wtedy robię, Kjell? Obiecuję jej na

wszystkie świętości, że jeżeli nie da mi się ze sobą pieprzyć jeszcze raz i jeszcze raz, to wtedy tatuś się dowie. Wtedy Kjell się dowie, że jego córka to kurwa. – Zamuczał jak młody byczek i zmoczonym śliną palcem odsunął grzywkę na bok. – A potem pieprzymy się dalej.

Kolba pistoletu Niemca trafiła Klepslanda tuż przy prawym uchu. Cios był tak silny, że górna część ucha oderwała się od głowy i zawisała na skórze jak u labradora. Krew zalała twarz Klepslanda i stół roboczy. Ale jego samego nie zatrzymała. Rzucił się przez stół na Eliasa i złapał go rękami za szyję. Podniósł na pół metra i cisnął na stół, żeby go dobić.

Żołnierz pilnujący Kolbeina podniósł karabin i strzelił hirdmannowi w lewy łokieć, zaledwie centymetry nad twarzą Eliasa. Pocisk rozerwał jedną rękę, trafił w drugie ramię i strzaskał kość, sprawiając, że obie kończyny Klepslanda po prostu bezwładnie zwisły. Mimo to jego palce wciąż zaciskały się jak struny skrzypiec na gardle uczonego. Jeden z Niemców musiał mu je wręcz wyłamać przy akompaniamencie przyduszonego charkotu Brincha. Sam Klepsland niemal stracił przytomność z bólu.

Dopiero gdy hirdmann był mocno przywiązany sznurami do stołu, Kolbein zauważył, że ołówek Eliasa tkwi w piersi Klepslanda i nikt go stamtąd nie usuwa. Któryś z Niemców chlusnął związanemu w twarz zimną wodą. Klepsland zamrugnął i chrząknął. Oddychał szybko i płytko. Elias pochylił się nad nim.

– No to jak, Klepsland, pokój? – wycharczał. – Będziesz żył, dla Karen. To mój dar. Teściu. – Elias odwrócił się i paskudnie zakaszłał, po czym podjął wątek: – Mimo wszystko przecież się pobierzemy. I będziemy mieli dzieci.

Ranny nie zareagował wyraźnie, tylko zacharczał i coś szepnął. Elias przysunął ucho do zakrwawionej twarzy. Głos Klepslanda nagle nabrał mocy.

– Karen jest bezpieczna. Nigdy nie będzie twoja.

Elias w widoczny sposób zeszywniał. Potem się wyprostował, cofnął o krok i powiedział obojętnie:

– Zobaczymy.

Kucnął i otworzył szafkę pod stołem. Kiedy się podniósł, trzymał w ręku srebrną kolbę długości palca, którą wręczył stojącemu obok żołnierzowi. Potem otworzył szufladę i wyjął z niej szklaną pipetkę. Płyn wyglądał jak woda. Elias stanął przy głowie Klepslanda. Kciukiem odsunął skórę pod prawym okiem, odsłaniając dolną część gałki ocznej. Opróżnił tam pipetkę.

Początkowo trudno było dostrzec jakiś skutek oprócz lśniącej mokrej strużki, która spłynęła do oderwanego ucha. Jak samotna łza. Potem jednak Kjell Klepsland zaczął w niekontrolowany sposób szybko i gwałtownie mrugać. Jego oddech stał się szybszy, krótszy i głębszy. Mięśnie obrzmiały, a sznury, które go krępowały, napięły się do granic możliwości. Z potężną siłą próbował podnieść ciało, zapierając się barkami i piętami. Wygiął się mimowolnie w łuk nad stołem, a potem zwiotczał.

Powtórzył to jeszcze raz. Zwinął się pod więzami. Oddech przeszedł w rżenie. Brzuch nabrzmiał, kiszki grzmiały. Powietrze wypełnił intensywny smród eksplodującej laksacji. Długie ciało napięło się ponownie, przestrzelone ręce twardo i rytmicznie zastukały w metalowe podłoże, a z gardła wydobyła się seria rozpaczliwych pisków. Ciało zwiotczało. Gulgoczący pomruk wypełnił gardło, głowa opadła na bok i z ust wypłynął równy strumień gęstej ciemnej krwi.

Nie zajęło to nawet dwóch minut. Oczy trupa patrzyły na Kolbeina i pilnujących go żołnierzy. Prawe brunatne od popękanych naczynek, lewe wysadzone jak u flądry.

Śmiertelne tornado minęło. Nawet na czole Eliasa ukazała się zmarszczka zwątpienia. Żołnierz trzymający Kolbeina zwolnił nieco chwyt. Ten z karabinem dalej patrzył na martwe ciało, a Niemiec ze srebrną kolbą w ręku zeszywniał z dłonią przy ustach. Jego młoda, jeszcze niewinna twarz miała barwę popiołu.

Następny w kolejce był Kolbein. Wiedział. Miał być torturowany jak Klepsland. Dokąd się wybierał i kto mu pomagał – to wszystko miał wyznać w mękach. Elias nie okaże litości.

Już prawie oswoił się z tą myślą. Wraz z upływem lat utrata córki stała się czymś dalekim. Była taka maleńka, kiedy Elsa ją oddała. Wiedział, że będzie czuł smutek przez całe życie, ale świadomość, że dziecko znajduje się w państwowym sanatorium, że żyje i że się nim opiekują, była dla niego jak pewnik. Coś niezmiennego. A oto okazało się, że nie żyje. Jego córeczka leżała pogrzebana w czeluściach ziemi, a na jej nagrobku nawet nie wyryto imienia. Nagle wszystko wróciło. Żal stał się prawie nie do zniesienia. A niech umrze. Ale nie z jego ręki. Elias Brinch zabrał mu już wszystko. Czy na koniec ma mu też odebrać życie? Niedoczekanie!

Rzucił się przed siebie. Celował między nogi znieruchomiłego Niemca ze srebrną kolbą.

– Łapcie go! – ryknął Elias po niemiecku, gdy Kolbein czołgał się naprzód.

Żołnierz, który znalazł się między nim a tym z karabinem, próbował przydeptać mu kostki, ale poślizgnął się na benzynie i papierach, a bezwładny upadek na ziemię pozbawił go tchu. Tam, tuż obok sejfu, leżały granaty. Kolbein chwycił jeden, wyciągnął zawleczkę i rzucił go za siebie. Drugi wziął do ręki i pełzł na czworakach pod stołem w kierunku Eliasa i kryjówki za sejfem.

– Granat! – krzyknął któryś z Niemców.

– *Scheiße!* – zawtórował drugi.

Żołnierze rzucili się ku drzwiom laboratorium po śliskiej podłodze. Kolbein odbezpieczył drugi granat i cisnął go w kierunku wyjścia. Niemiec leżący na podłodze ryknął:

– *Nein, nein, nein!*

Granat musiał upaść gdzieś między jego nogami.

Wybuchł. Długi stalowy stół wyrwało z mocowania do podłogi, ciało Klepslanda plasnęło o ziemię. Posypały się odłamki szkła. W powietrzu zawirowały papiery, instrumenty, książki i meble. Kolbein skurczył się w sobie pod tym śmiercionośnym deszczem. Niemniej stalowy sejf osłonił go

przed skutkami eksplozji, a przedmioty, które na niego spadały, odbiły się rykoszetem od sufitu. Niszcząca siła zniknęła. Niemiec na podłodze przestał jęczeć. Znowu huknęło. Za drugim razem łomot i siła wydały się jeszcze większe, a Kolbeinowi udało się tylko wychwycić jasny, śpiewny ton. Potem runęła na niego wrząca fala. Z trudem podniósł się na kolana. Piekło. Ściana przy drzwiach zawaliła się, a fragmenty sufitu blokowały wyjście. Od wybuchu zapaliła się benzyna. Cała ściana płonęła. Płomienie biegły po podłodze. Drewno trzeszczało, pojawił się gęsty, ciemny dym. Żołnierzy nie widział. Musiał znaleźć inną drogę ucieczki. Tuż przed nim leżał martwy hirdmann. Eksplozja rozerwała sznury, którymi był przywiązany do stołu. Wylądował na brzuchu. Odłamki jak gałązki wystawały ze zmaltretowanego ciała. W sentymentalnym odruchu, by nie dodać martwemu więcej ran, Kolbein ostrożnie przeczołgał się nad nim. Smród ekskrementów był tak silny, że wyciskał z oczu łzy. Pozbył się wodnistego śluzu z ust i przełyku. Przesuwał się do końca stołu na rękach i kolanach. Stamtąd dwa metry dzieliły go od ściany i okna, przez które chciał wyskoczyć. Obok płonęło żywym ogniem archiwum Eliasa, a pęczniejący lakier wydzielał smrodliwą woń. I ta ściana już płonęła. Kolbein wstał, zrobił krok do tyłu, wytarł oczy i wziął rozpęd. Teraz albo nigdy.

– Będziesz się smażyć w piekle! – Ryk dotarł do niego razem z palącym bólem w kostce.

Zamiast silnie się odbić i skoczyć, Kolbein uderzył głową i rękami o płonącą ścianę pod oknem. Czołgająca się ludzka postać złapała go jedną ręką za nogi, a drugą próbowała dosięgnąć jego podbrzusza. Kolbein kopał w panice, żeby się uwolnić. Jednocześnie starał się rękami odpychać od płonącej ściany. Raptem trafił obcasem w coś miękkiego. Chwył za kostki zelżał. Podniósł się niezgrabnie.

Przed nim stał Elias – nachylony, na rozstawionych nogach, umazany krwią, kurzem i sadzą. W lewej ręce trzymał skalpel.

– Spłoniesz tutaj! – ryknął.

– Pamiętasz śniadania? – odparł Kolbein prowokująco. – Co wieczór, kiedy zamykałeś mnie w celi, miałem czas, żeby kopiować twoje notatki. Każdego ranka Kjell wynosił je stąd, starannie złożone na tacy po śniadaniu. Wszyscy się dowiedzą, kim jesteś! – zawołał.

Elias skurczył się w sobie. A potem rzucił się do przodu i cisnął skalpelem. Kolbein uskoczył i ostrze przecięło powietrze raptem kilka centymetrów od jego piersi.

– Jesteś mordercą. Mordercą dzieci. Obojętne, czy twoje życie skończy się tutaj, czy na szubienicy, i tak umrzesz, Eliasie. A twoje nazwisko zawsze będzie w pogardzie.

Nagle za plecami Brincha rozległ się suchy trzask – eksplodowały kolby z chemikaliami.

Kolbein instynktownie się skulił i omiół wzrokiem podłogę. Potrzebował broni, jakiegoś przedmiotu, dzięki któremu mógłby trzymać tego oszalałego do szczytu człowieka na dystans. Nagle dostrzegł. Tam. Złamana laska Kjella Klepslanda. Wybuch musiał ją cisnąć przez pokój. Z przełamanego drewna sterczały ostre jak igła drzazgi. Schylił się i podniósł laskę. Hebanowy

trzonek chłodził dłoń.

Elias wyprostował się i ruszył do kolejnego ślepego ataku. Kolbein cofnął się jeszcze o krok. Laska wydała mu się ciężka, twarda i nierówna. Żar płynący od ściany za jego plecami stawał się nie do zniesienia. Śmierdziało palącymi się włosami. Nagle wokół niego pojawiły się płomienie. Otoczyły go ze wszystkich stron.

Worek! Skoro leżał na plecach w kałuży benzyny w sieni, to paliła się nie tylko ściana za nim! Palił się on sam! Nie czuł bólu. Jedyne intensywne gorąco. Kolbein przesunął ręką wzdłuż biodra po wewnętrznej stronie rzemienia, drugą zaś chwycił worek, zerwał go z pleców i łukiem przeniósł przed siebie. Płonąca benzyna na skrawkach płótna poleciała na wprost i Elias krzyknął z bólu. Kolbein rzucił się naprzód z workiem przed sobą jak z płonąca tarczą. Trafił Eliasa jego środkową częścią. Brinch zwałił się na plecy, a Kolbein na niego. Elias zawył, gdy Kolbein przesunął płócienny worek w stronę jego twarzy, a potem uderzył. Ostre końce laski trafiły w podłogę. Elias złapał worek i wyrwał mu go z rąk.

Leżeli na podłodze twarzą w twarz. Cała lewa połowa twarzy Eliasa była spalona na węgiel. Czarna skóra koło ucha pomarszczyła się u koniuszka jak pergamin. Ale oczy się nie zmieniły, miały tak samo intensywne, gorące, nienawistne – i pytające spojrzenie.

– Elsa – zasyczał Kolbein. – Moja córka miała na imię Elsa. Po matce.

Spotkali się wzrokiem. Po raz ostatni.

Kolbein uniósł laskę. Uderzył i trafił. Uderzył. I trafił. I znowu. Znowu.

Ciemność i cisza. Spokój.

Kolbein Ihme Monsen wisiał makabrycznie upozowany na urwisku, półtorej długości ciała od szczytu i w takiej samej odległości od pobocza poniżej.

Nieprawda, że był nagi. Zwłoki były ubrane w spodnie od piżamy. I właśnie za te spodnie od piżamy zawisły w naskalnej siatce ochronnej, tak że ciało starca huštało się do góry nogami jak skoczek w locie, w spodniach zaciśniętych wokół kostek, ze zwiotczalymi ramionami i kutasikiem objającym się o pępek. Kafa nie potrafiła spuścić oczu z przyprawiającego o mdłości cienkiego prącia, z napiętej skóry napletka otaczającego podobną do orzecha włoskiego żołądź.

– Doniesienie złożył kierowca samochodu – odezwała się stojąca obok policjantka, wskazując auto na poboczu. – Mówi, że mężczyzna wybiegł, potykając się, z krzaków na górze, a potem rzucił się w dół i... cóż, zawisł.

Chociaż Kafa nigdy nie spotkała starca, cienka, chropowata skóra, siateczka blizn po poparzeniach na głowie i piersiach, uszkodzone lewe ucho i skrzywiony nos wystarczyły, żeby ją przekonać. W zapadającym zmierzchu wisiał nad nimi, na urwisku nad Mosseveien z widokiem na Ulvøye i kąpielisko Nordstrand, stary bohater czasów wojny. Zrobiła telefonem zdjęcie i wysłała je Fredrikowi.

– Prawie skończyliśmy tutaj pracę. Czekamy tylko na samochód z podnośnikiem – rzuciła policjantka.

– Biegł, potykając się...? – Kafa się zdziwiła. – Sam?

Policjantka kiwnęła głową.

– Tak mówi świadek. Ale... to się stało oczywiście szybko, a świadek prowadził, więc pewnie zwracał uwagę na drogę.

Stąd na Lambertseter, do domu Kolbeina Monsena, był przeszło kilometr. Koledzy ciągle tam wypytywali sąsiadów, ale jak dotąd nie znalazł się nikt, kto widziałby Monsena wynoszonego z mieszkania. Ani Børrego Drangego.

Kafa raz jeszcze spojrzała na mężczyznę na skalnej ścianie. Oczy miał zamknięte, a z głowy sączyła się strużka krwi.

– Dobra – powiedziała krótko. – Proszę do mnie zadzwonić, gdyby pojawił się ktoś, kto coś widział.

Policjantka zatrzymała ją na moment.

– Czy pani nie... powinna wziąć wolnego? Albo coś takiego? – Wymownym gestem wskazała

opuchniętą wargę i posiniaczone policzki oraz nos.

– Wyglądam gorzej, niż się czuję – wysepleniała Kafa, wycierając ślinę z kącika ust i próbując się uśmiechnąć.

Dom Kolbeina Ihme Monsena skryty za drzewami owocowymi był pogrążony w ciemności. Żółta taśma z urzędowymi pieczęciami na zamku stanowiła jedyny widomy dowód walki na śmierć i życie – jej i Fredrika. W holu Kafa poczuła, że znajduje się w miejscu, które nie jest już niczym domem. W miejscu pozbawionym duszy. Jak jego właściciel, tam, nad Mosseveien. Gdzie Kolbein Ihme Monsen spędził niecałą dobę, która minęła od jego zniknięcia? Zanim tu przyjechała, zatrzymała się na szczycie urwiska. Był to ogrodzony, nieprzejezdny teren porośnięty niskim, rzadkim lasem. Między drogą a występem skalnym biegły podwójne tory kolejowe. Jak, do czorta, Drangemu udało się zawlec stuletniego mężczyznę w te krzaki? Ostrożnie szła przez pokoje. Bałagan z poprzedniego dnia pozostał nietknięty. Na podłodze w gabinecie leżały rozsypane zakrwawione książki i magazyny. Krwawy ślad – Fredrika – prowadził z gabinetu do salonu.

Delikatnie położyła się przed regałem na książki i zapatrzyła w pusty sejf. W kurzu odznaczał się słaby zarys okręgu. Musiała tu stać niewielka butelka albo inny pojemnik wielkości kieliszka na lekarstwa. Przy ścianie po prawej kurzu nie było. Widać, coś się opierało o tę ścianę. Może książka? Pieniądze? Albo stare listy?

Długopisem powoli przymknęła drzwi sejfu. Skrytka była starego typu, z kołem pośrodku. Zamontowano ją bezpośrednio w ścianie. Nie nosiła śladów włamania.

Kiedy szła przez salon, pod jej stopami chrzęściło szkło. Na podłodze w sypialni leżały resztki taśmy, którą zerwał z niej Fredrik. Przypomniała sobie dźwięk upadku Staffana Häyhä – jakby ktoś wyłamywał udka upieczonego kurczaka. Odezwał się telefon. Fredrik.

– Spałem – zachrypiał. – Dopiero teraz zobaczyłem zdjęcie.

– I jak ci się wydaje?

– To on. Nie ma wątpliwości, że to Kolbein Ihme Monsen. Jakież uszkodzenia ciała?

– Nie. Nic widocznego. Niewielka rana na głowie. Wisiał tak wysoko, że nie sprawdziłam dokładnie.

– W każdym razie to nasz poszukiwany. Wobec tego powinniśmy chyba zawiadomić Kossa. – Fredrik westchnął ciężko. – Byłem na górze i obejrzałem sobie potwora – powiedział z wahaniem.

Kafa milczała.

– Nieważne. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Wracaj do zdrowia.

– Dzięki. A tak poza tym... spotkałem twoich kolegów.

– Co masz na myśli?

– Strażników pilnujących Staffana Häyhä.

Zapadła cisza.

– Nie – powiedziała powoli. – Mylisz się. Na Ullevål nie ma nikogo z PSB. Za wystawianie straży odpowiada stołeczna policja.

Fredrik Beier gwałtownie odsunął zasłonę. Zmierzchało. Nadchodził wieczór. Wkrótce Häyhä będzie jedynym pacjentem na pododdziale drugim.

Nie przejmował się pielęgniarzką ani pulsowaniem w barku. Ani zerwanymi szwami na kolanie, ani ciepłą, lepką krwią, która oblała łydkę i zabarwiła nogawkę piżamy na czerwono. Nie czekał na windę. Przed dwójką nie było żywego ducha. Kuśtykał korytarzem w zawrotnym tempie. Ze szwungiem mijał puste sale, brudowniki i pomieszczenia dezynfekcyjne. Skręcił za róg. Daleko na końcu korytarza zobaczył kilka ubranych na biało postaci. Drzwi do izolatki Staffana Häyhä stały otworem. Niepilnowane. Wołał, krzyczał do nich. Nie słyszeli?

Błysk silnego, oślepiająco jasnego światła. A potem huk.



Łukowate metalowe uchwyty z boku trumny przypominały zastygłe uśmiechy. Wieko zdobił jeden prosty, pleciony z jedliny wieniec z wetkniętą w środek białą orchideą. Wiele więcej kwiatów nie było.

Chudy pastor miał wygięte smutkiem usta. Jego słaby głos wzmacniały trzeszczące głośniki. Zamknął oczy, splótł dłonie i ze wszystkich sił natężył gardło, żeby zagłuszyć organy. Kiedy piszczałki umilkły, rozłożył ręce jak pasterz i potoczył wzrokiem po około trzydziestce zebranych.

– Złożyłam wymówienie.

Kafa Iqbal wychyliła się z ławki. Pachniała intensywnie. Feromonami. Położyła rękę obok dłoni Fredrika. Fotel na kółkach stał w środkowym przejściu, a oni oboje siedzieli w ostatniej ławce, bo detektyw nie chciał zwracać na siebie uwagi. Andreas zajął miejsce przed nimi.

– Synne prosiła, żebym wysłała podanie. Do was.

Przykrył jej dłoń swoją.

– Bóg dał Kolbeinowi Ihmemu Monsenowi długie życie. Przeżył dwie wojny światowe, przy czym ta ostatnia wyłobiła głębokie bruzdy w nim i w wielu innych. Pozostawiła ślady, które na zawsze naznaczyły Kolbeina i jego bliskich. – Słowa padały z charakterystycznym dla stanu kapłańskiego wibrującym „r”. Plenipotent Pana Boga zrobił znaczącą pauzę, podczas której wpatrywał się w Gerharda Monsena siedzącego w pierwszym rzędzie razem z synem Sebastianem Kossem i córkami bliźniaczkami. – Czcijmy naszych bohaterów. Tych, którzy ponieśli ofiary, którzy wybrali słuszną, a nie łatwą drogę, gdy kraj zalały ciemności. – Pastor utkwiał wzrok w organach. – Stanąwszy twarzą w twarz ze złem, Kolbein wybrał słuszną drogę. Nie zawahał się. Nie zwątpił. Walczył o swoją ojczyznę i dla swojego Boga.

Duchowny pobożnie wzniosł oczy ku sufitowi. Wywrócone białka były doskonale widoczne. Fredrik opuścił powieki. Trzeszczenie głośników przypominało szum eksplozji.

Butla z gazem bardzo powoli napępiała tlenem izolatkę, w której leżał Staffan Häyhä. Wyciek musiał powstać wiele godzin, a może dni wcześniej. Jednak w pewnym momencie powietrze stało się tak nasycone łatwopalnym gazem, że wystarczyła iskra.

Nie było jasne, co właściwie wywołało eksplozję. Może wadliwe uziemienie? Może iskrzenie w jakimś elemencie aparatury podtrzymującej życie? Pomieszczenie było tak zniszczone, tak wypalone, że technicy kryminalistyczni nie potrafili dać odpowiedzi. Jedyne, co można nazwać pewnym, to fakt, że wybuch nastąpił, zanim Fredrik dotarł do celu. Tylko dlatego nie zginął. Odłamki szkła, metalu i drewna rozerwałyby go na strzępy.

Policjanci, którzy strzegli izolatki, także mogli mówić o szczęściu. Znajdowali się na drugim końcu korytarza. Jakaś pielęgniarka potrzebowała ich pomocy przy dźwiganiu. A ta, która pilnowała Staffana Häyhä w środku? Poszła do toalety. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Fredrik przypuszczał, że człowiek przy ołtarzu nazwałby to cudem.

On sam wyszedł z wybuchu z rekordowo silnym szumem w uszach i nakazem od lekarza, by zachowywał absolutny spokój. Więc siedział tutaj w inwalidzkim wózku. A mimo to bolało. Czuł skurwysyński ból. W piersi. W sercu. W żołądku i w głowie. Nigdy tego nie zapomni. Nie zapomni oglądanej w telewizji, ze szpitalnego łóżka, konferencji prasowej w komendzie policji.

Wtedy naprawdę skurwysyńsko go zabolało.

Konferencję poprowadził Sebastian Koss. Po jego lewicy rozparł się komendant Trond Anton Neme, a na obu flankach zajęli miejsca Samir Bikfaya i Synne Jørgensen. Na wstępie Koss podał do wiadomości, że postępowanie w sprawie Synne zostało zakończone. Po gruntownym śledztwie jednostka specjalna doszła do tych samych wniosków, które kierownictwo policji wysnuwało od początku, a mianowicie że nie można obarczać Synne winą za niedostatki, jakie charakteryzowały śledztwo w pierwszej jego fazie. Sam Koss był mocno wzburzony tym, że rzecz wyciekła do prasy.

– To było niekoleżeńskie – wysyczał.

Synne i Koss wymienili spojrzenia. Przypominały wzrok, jakim nastolatki przyglądają się szarobiałemu śluzowi, który wycieka z prezerwatywy po nieudanym stosunku. Następnie Koss odwrócił głowę w stronę Nemego.

– Z przyjemnością możemy dziś poinformować, że policja uznaje to bardzo skomplikowane śledztwo za zakończone. Sprawa została wyjaśniona i zamknięta. Było to jedno z zakrojonych na największą skalę dochodzeń w sprawie przerażającej zbrodni, z jakim miała do czynienia stołeczna policja. Decyzje pana komendanta miały zasadnicze znaczenie dla końcowych wyników – oznajmił, ogarniając wzrokiem zebranych.

Policyjne dochodzenie – według Kossa – ujawniło, że Søren Plantenstedt, pastor we wspólnocie Światło Boga, porwał, torturował i zabił parę kochanków Pio Otamendiego i Carla Josefsena. On także podłożył bombę, która zabiła policjanta Ronny’ego Bergera podczas szturmowania kryjówki w schronie atomowym w Porsgrunn.

Motywy kryminalnego czynu była nienawiść. Søren Plantenstedt od lat wyrażał się nienawistnie na temat homoseksualistów. Jego poglądy podzielali inni członkowie wspólnoty Światło Boga, ale w toku śledztwa wykryto, że działał w pojedynkę. W tej sprawie nie ma innych podejrzanych.

Koss wyprostował się, podniósł głos i wbił wzrok w kamery za plecami około dwudziestu dziennikarzy.

– Søren Plantenstedt z kolei został zabity w trakcie przesłuchania w komendzie policji w Skien. Zrobił to Staffan Häyhä... – Zawiesił głos, by wiadomość dotarła do wszystkich. – Søren Plantenstedt i Staffan Häyhä są, jak już doniosły liczne media, obywatelami szwedzkimi. Współpracowaliśmy ściśle ze szwedzką policją, która wykryła, że Plantenstedt i Häyhä równocześnie odbywali służbę wojskową w szwedzkiej armii. Podobno się poznali. Kiedy jednak Plantenstedt odkrył, że Häyhä jest homoseksualistą, miał go prześladować i utrudnić mu bardzo karierę wojskową. To z kolei wywołało u Staffana Häyhä psychozę, która z czasem się pogłębiła.

Sebastian Koss osuszył kąciki ust i kontynuował.

– W wyniku dochodzenia policja stwierdziła, że rok wcześniej Häyhä wysłedził miejsce pobytu Plantenstedta i zaczął planować zabójstwo człowieka, który jego zdaniem zniszczył mu życie. – Głos Kossa przybrał mroczne tony. – Henrik Grøvn, Nils Bernt, Viggo Johan Farulven, Brynjar Lissemoen i pastor Bjørn Alfsen junior zostali zabici, kiedy Staffan Häyhä zaatakował siedzibę wspólnoty w Słonecznym Spokoju w Maridalen, żeby zamordować Søren Plantenstedta. Ivar Tufte odniósł poważne rany.

Koss rzucił okiem na kartkę na stole, po czym kontynuował relację o tym, jak to Plantenstedtowi udało się uniknąć zamachu i uciec do schronu wspólnoty w Porsgrunn razem z najbliższymi członkami wspólnoty – Annette Wetre, jej synem i braćmi Hennie. W Porsgrunn Annette Wetre odkryła zbrodnicze czyny Plantenstedta wobec pary homoseksualistów. Opuściła schron, żeby skontaktować się z policją, jednak Staffan Häyhä porwał ją, mając na celu wymuszenie na niej wskazania kryjówki Plantenstedta, a następnie zabił.

– Annette Wetre poświęciła swoje życie dla wspólnoty – oznajmił Koss stłumionym głosem. – Została zabita razem z waszym kolegą dziennikarzem, cenionym fachowcem Jørgenem Mostu. Z ustaleń śledczych wynika, że Mostu miał bezpośredni kontakt z Sørenem Plantenstedtem. Kiedy Häyhä nie uzyskał od dziennikarza informacji o miejscu schronienia źródła, zabił także jego. Członkowie wspólnoty Paul Espen Hennie i Fritjof Hennie zostali zabici podczas napadu Staffana Häyhä na kryjówkę w Porsgrunn. – Koss rozpiął górny guzik koszuli, a potem odgarnął włosy. Dłoń zaczęła swoją wędrówkę do nasady nosa, ścierając pot z błyszczącego czoła. – Jak wszyscy państwo wiedzą, Staffan Häyhä stracił życie podczas eksplozji w szpitalu na Ullevål w ubiegłym tygodniu. Dlatego też nie dojdzie do procesu karnego w tej tak głęboko... tragicznej... sprawie. Po naradzie z Prokuraturą Generalną policja postanowiła zamknąć dochodzenie.

Ceremonia przy grobie nie trwała długo. Fredrik poprosił, żeby Kafa z Andreasem poczekali na niego w samochodzie. Potem skierował swój wózek inwalidzki w stronę mercedesa Sebastiana Kossa.

Inspektor z żoną u boku schodził dostojnym krokiem na parking po łagodnym, wysypanym żwirem zboczu. Żona była oczywiście wysoką i śliczną jak z obrazka blondynką. Koss nie wydawał się szczególnie przybity śmiercią dziadka. Zatrzymał się na widok Fredrika. Przekazał żonę pod opiekę ojca i podszedł do policjanta długim, sprężystym krokiem pewnego siebie alpinisty.

– Beier! Dzięki, że przyszedłeś. – Głos zabrzmiał o pół tonu za głośno.

Fredrik od razu przeszedł do rzeczy.

– To wczorajsze przedstawienie, Koss... Nigdy bym nie przypuszczał, że przyjdzie mi oglądać coś takiego. Nie tu. Nie w Norwegii. – Splunął na żwir. – Staffan Häyhä wcale nie działał z powodu żądzy zemsty na Plantenstedcie. I ty to wiesz. Sześć tygodni przed masakrą w Słonecznym Spokoju znajdował się w Kandaharze. W Afganistanie! Häyhä nigdy nie spotkał Plantenstedta w wojsku.

Wzrok Kossa spochmurniał. Zapiął guziki marynarki.

– A ta historyjka o homosiach... – Fredrik wypluwał słowa. – Ja, w odróżnieniu od wszystkich innych wmieszanych w to śledztwo, spotkałem zarówno Staffana Häyhä, jak i Sørena Plantenstedta. Häyhä był panterą, Plantenstedt szczurem. Pastor nigdy nie odważyłby się zagrozić takiemu człowiekowi jak Häyhä. – Prychnął. – Sekta wytwarzająca broń biologiczną u progu wywołania sądnych dni! A wy fabrykujecie historyjkę, żeby to ukryć?! Możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

Sebastian Koss, który stał w odległości kilku kroków od Fredrika, nachylił się teraz ku niemu z lodowatym wyrazem twarzy.

– Śledztwo zostało zamknięte. Zostało zamknięte, ponieważ nie było czego więcej dochodzić – akcentował każde słowo. Uniósł długi palec przed nosem Fredrika. – Jedno – syknął. – Jedno. Cholerne. Oczywiście. Kłamstwo. Zrezygnowaliśmy z podania do wiadomości, jakie piekło terroryści ze Światła Boga planowali dla nas wszystkich. Czasami, Beier, rzeczywiście jest tak, że cel uświęca środki. Niebezpieczeństwo minęło. Wszyscy w to zamieszani nie żyją. Nie ma powodu, żeby wywoływać panikę. Nikomu to nie służy. Nikomu.

Fredrik przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– A Børre Drange? Co z nim, u diabła? Przecież wyście tego faceta po prostu całkowicie usunęli. Przecież to... szaleństwo. Cholera, przecież on zabił twojego dziadka!

Opalona twarz Kossa nabrała nieco czerwiejszego odcienia. Niewielkie oczy stały się jeszcze

mniejsze. I czarniejsze.

– Rzecz w tym, Beier, że się mylisz. Børre Drange nie żyje. Børre Drange zmarł sześć lat temu. Na Morzu Arktycznym. Dokładnie tak jak mówi jego ojciec. Dokładnie tak jak ma to zapisane w dokumentach Urząd Ewidencji Ludności. Nic w tym śledztwie nie wykazało niczego innego. Prawda jest taka, Beier, że polowałeś na ducha. – Zbliżył twarz tak bardzo, że Fredrik poczuł jego gorący, pachnący miętą oddech. – Nazywasz siebie specjalistą od zabójstw, Beier, a mimo to ignorujesz najbardziej podstawowe pytanie w tej kwestii. Po co? Dlaczego ktoś chciałby zabić mojego dziadka? Jaki motyw miał twój duch?

Fredrik czuł się tak, jakby ziemia pod nim drżała.

– Przeszłość – odparował desperacko. – Wiązała ich przeszłość, Koss. Nie widzisz zbieżności? Między szatańskimi pomysłami Wiedeńskiego Bractwa i tym szatańskim pomysłem, który chciała wprowadzić w życie sekta ze Słonecznego Spokoju? Tyle że nigdy nie dowiemy się na ten temat niczego więcej, ponieważ zabójstwo twojego dziadka zostało sklasyfikowane jako nieszczęśliwy wypadek, a śledztwo umorzono!

Koss potrząsnął głową.

– Na konferencji prasowej przedstawiliśmy nasze wnioski. Oparte na weryfikowalnych dowodach i faktach. To się, Beier, nazywa nowoczesne dochodzenie policyjne.

Fredrik siedział przez chwilę z otwartymi ustami, kręcąc w desperacji głową.

– Jesteś głupi czy tylko...?

Przecież sam spotkał Drangego. W przebraniu pomocnika domowego u Kolbeina Ihme Monsena. Znaleźli jego biblię u Kvarvingenów. I śpiwór. Uciekinierzy z sekty potwierdzili, że żyje. Mieli nawet, do cholery, zdjęcia gnojka z kamery monitoringu! Pendrive'a. Ilu jeszcze weryfikowalnych dowodów potrzebowali? Przecież to na Børrego Drangego polował Staffan Häyhä. Børre Drange był łącznikiem między sektą a Wiedeńskim Bractwem. To on załatwił bakterie i wirusy. To przecież było, do cholery, takie oczywiste.

– I tego człowieka chcesz po prostu puścić wolno?

Czubkiem skórzanego, zrobionego na zamówienie buta Koss wyłobił w żwirze wąski pasek, symbol przepaści między nimi.

– Przedstawił ci się? Ten z pomocy domowej?

Fredrik gapił się na niego jak głupi.

– Więc tylko ci się wydaje, że to Børre Drange. W domu mojego dziadka zawsze był bałagan w książkach, magazynach i innych rzeczach do czytania. Kolbein Ihme Monsen był chorym i dezorientowanym starcem, który pobłądził i spadł z urwiska. – Koss się wyprostował.

Uciekinierzy ze wspólnoty potwierdzili jedynie, że w Słonecznym Spokoju mieszkał jakiś mężczyzna. Mężczyzna o nazwisku Per Olsen. Pastor Per Olsen. Takie nazwisko widniało na Biblii,

którą znaleźli, i to Per Olsen podpisywał dokumenty prawne wspólnoty.

– A powód tego jest taki, że Per Olsen to jego nazwisko.

Fredrik nie wiedział, jak ma zareagować. Oczekiwał usprawiedliwień. Może przykazu, żeby trzymał język za zębami. A nawet groźby, że jego kariera szybko się skończy, jeśli nie posłucha. Ale nie tego.

– Kto podał nazwisko Børrego Drangego? – Koss sam sobie odpowiedział na to pytanie: – Staffan Häyhä w wiadomości dla Kari Lise Wetre. W pościgu za Sørenem Plantenstedtem podrzucił nam ten trop, dobrze wiedząc, że zaangażujemy nasze siły w poszukiwanie tego nieistniejącego człowieka. On tymczasem będzie mógł działać bez przeszkód. Uderzyć, gdy flanką będzie nieobsadzona. Sam wpadłeś w tę pułapkę, wystawiając mu Plantenstedta. To kosztowało pastora życie. – Koss strzepnął zwir z nogawki. – Nie widzisz, jakie to oczywiste?

Przypomniał, że Fredrik sam powiedział o Plantenstedcie, że wydaje mu się obłąkany. Że to fanatyk.

– Søren Plantenstedt był z wykształcenia biochemikiem. Jakie było prawdopodobieństwo, że pojawi się jeszcze jeden biochemik, równie genialny i szalony, by wziąć na siebie rolę Boga? – Koss prychnął. – I wtedy, Beier, gdy aresztowałeś Plantenstedta, popełniłeś duży błąd. Czytałem raport. Pytałeś, gdzie jest Børre Drange. – Koss złożył dłonie jak do modlitwy. – Søren Plantenstedt w tamtym momencie nie wiedział, kim jest Børre Drange, niemniej ujrzał w tym swoją szansę, żeby rzucić winę na kogoś innego, wskazać inną osobę jako mózg terrorystycznych planów. Na człowieka, który nie istnieje! Powtarzał po tobie i sprawił, że uwierzyłeś, że słyszysz jego zeznania. Tymczasem było to jedno wielkie kłamstwo naszpikowane szczegółami, których mu dostarczyłeś. Mniej więcej w taki sposób pracują... wróżki.

Fredrik nie poczuł, że z nosa leci mu krew.

– Co robił Staffan Häyhä u mojego dziadka? Nie wiem. Natomiast zdjęcie, które znaleźliście w laboratorium, świadczy przecież o tym, że pastor Plantenstedt żywił głęboką fascynację dla prac, w których mój dziadek uczestniczył przed wojną. No i masz swoją zbieżność.

– Co w takim razie z Perem Olsenem? – Własny głos wydał się Fredrikowi piskiem opon na gorącym oleju. – Mamy mu tak po prostu pozwolić zniknąć?

– Szczerze, Beier? Per Olsen mnie nie interesuje. Dochodzenie zostało zamknięte. Dwaj podejrzani, Plantenstedt i Häyhä, nie żyją. Nie da się ich postawić przed sądem. Per Olsen nie złamał prawa.

Słowa spadały na Fredrika jak mokry śnieg. Wszystko na nic. Cokolwiek by powiedział, Koss nie chciał tego słyszeć. Całą winą obarczono dwóch facetów, którzy nie mogli się bronić. Starał się odetchnąć, ale płuca wydawały się już wypełnione. Tylko krzyk byłby w stanie opróżnić jego piers z czarnej smoły.

– Co z Emirem? Co z tym rolnikiem rozplatanym w stodole? Na konferencji prasowej nie wspomniałeś o nich ani słowem.

– Häyhä ich zabił. Emira po to, żeby skierować nas na fałszywy trop. Ottar Skaren został zabity, bo natknął się na mordercę w stodole. Häyhä zabił ich, żeby się nam wymknąć. – Koss westchnął ciężko. – To nie jest tylko moja ocena. Spytaj PSB. Spytaj Nemego. Spytaj Synne Jørgensen. Wszyscy podzielają moje zdanie.

Na tym rozmowa się skończyła. Koss wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Fredrik patrzył na niego przez otwarte drzwi po stronie pasażera. Agresywna maszyna brzęczała jak gniazdo os. Koss wychylił się jeszcze.

– To nie jest żadna konspiracja w złej wierze. Po prostu wymazaliśmy coś, co nigdy nie powinno było się tam znaleźć. – Na żwirze rozległy się kroki i Koss ściszył głos. – Nie miałem zamiaru być taki... napastliwy. Nikt nie ma do ciebie pretensji, Fredrik. Szedłeś za swoim instynktem. Zatrzymałeś Staffana Häyhä. Jak już wyzdrowiejesz, czekają na ciebie nowe sprawy. Tak więc wykreślamy to z pamięci. Uczymy się, korygujemy kurs i idziemy dalej, prawda?

Fredrik patrzył na niego pustym wzrokiem. Był zmęczony. Kompletnie wykończony. Nic, żadna myśl, żadne uczucie, żadne słowa, nie było na swoim miejscu.

Modelowa żona Kossa spojrzała z litością na postać na wózku inwalidzkim, nim zręcznie wsunęła się do sportowego auta. Fredrik wytarł wierzchem dłoni krew leącą z nosa.

– Szybkiego powrotu do zdrowia. – Uśmiechnęła się do niego.

Skrzydła mewy opadły.

– Wiedzieliście?

Kafa nie odpowiedziała, wbiła wzrok w szarą powierzchnię szosy przed samochodem.

– Wiedzieliście, co powiedzą? Na konferencji prasowej?

Rzuciła okiem w lusterko na Andreego siedzącego z tyłu, po czym szybko skinęła głową.

– Tak. Mniej więcej. Zostaliśmy poinformowani na porannej naradzie.

– I co...? Co o tym myślicie?

Cień rzucany przez osłonkę przeciwsłoneczną przysłonił twarz Kafy. Andreas bez słowa pochylił się do przodu między siedzeniami i wskazał palcem na skórzaną torbę obok nogi Fredrika.

– Zajrzyj tam. Raport z sekcji Staffana Häyhä. Zwłoki doszczętnie spalone. Całkowicie nie do zidentyfikowania. Nie można było pobrać nawet jednej próbki. Ani DNA, ani krwi. Niczego. Facet rozwiął się z dymem. – Siwowłosy kolega położył Fredrikowi rękę na ramieniu. – Staffan Häyhä przez całe życie udoskonalał zdolność bycia niewidzialnym. Nawet w chwili śmierci nie pozostawił po sobie choćby jednego przydatnego śladu. Jego tajemnice poszły z dymem. Cała nasza nadzieja na to, że odkryjemy, kto go nasłał, poszła z dymem. Rozpadł się jak kromka chrupkiego chleba. – Prychnął. –



Po wybuchu gazu? Bardzo niezwykle.

Fredrik przetarł oczy pod okularami.

Kafa chrząknęła.

– Wiesz, jakiej trzeba temperatury, żeby ludzkie zwłoki doprowadzić do takiego stanu?

Oparł głowę o zagłówek i przyglądał się smutnym biurowcom mijanym po drodze do centrum.

– Jasne, że nie wiem, Kafa – Uśmiechnął się słabo. – Ale zakładam, że ty wiesz.

### *Jesień*

Podłoże w lesie było miękkie. Kiedy wiatr znad fiordu się wzmaczał i przechodził w śpiewną bryzę między pniami lip, nad ich głowami szeleściły żółto-brązowe liście. Z każdym podmuchem od gałęzi odrywały się nowe i w nerwowym tańcu opadały na ziemię.

Po formalnym uścisku dłoni powędrowali w las w milczeniu i dopiero gdy dostrzegli wodę, kobieta przerwała ciszę.

– Było tak, jak się domyślałam – powiedziała wolno. Głos nie zdradzał oburzenia. To była konstatacja.

Zatrzymali się po osłoniętej stronie niskiego budynku na skraju Hukodden z widokiem na Fornebu od zachodu i Nesoddtangen od południa, postawionego niegdyś jako domek kąpielowy dla Vidkuna Quislinga.

– Przykro mi – odparł.

– Nie ma powodu. To po prostu fakt. – Kari Lise Wetre, ubrana w gruby, czerwony wełniany płaszcz, odsunęła się od niego o kilka kroków, stanęła tyłem do lasu i zapatrzyła w niespokojne fale. Prawą ręką osłoniła oczy od słońca. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy. – Płód miał sześć tygodni. To się musiało stać... tuż przed atakiem na Słoneczny Spokój. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. – Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

Fredrik rozsunął zamek kurtki pod szyją. Wciągnął głęboko zimne, słone powietrze pachnące ptasimi odchodami i wysychającymi wodorostami. Potem odrzucił pobłyskujący bielą kawałek kwarcu, który wcześniej obracał w palcach.

– Sześć tygodni – powtórzył. – Więc Annette mogła nawet o tym nie wiedzieć?

Kari Lise wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy. – Po chwili w kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki od śmiechu. – Wie pan, co mnie bawi? Mówiłam panu kiedyś, że moja córka nie jest taką dziewczyną. Że nigdy nie przysłoby jej do głowy, żeby coś takiego zrobić. To...

Podeszła krok bliżej i stanęła przed Fredrikiem na wyciągnięcie ręki.

– Myślę o tym ze smutkiem, ale i z zadowoleniem... Wydaje się nam, że znamy swoje dzieci – rzuciła.

Wręczyła mu teczkę na dokumenty i ruszyli spacerkiem w drogę powrotną.

– Dobrze pan z nią wygląda. – Trąciła go w ramię.

Podpierał się hebanową laską z nieforemną, podobną do piłki główką i metalową nasadką na końcu. Przyzwyczał się już do jej używania.

Po powrocie na parking znowu podali sobie ręce. Kierowca otworzył drzwi, Kari Lise Wetre wsiadła i pożegnała Fredrika krótkim skinieniem dłoni. Pochylił się do drzwi auta.

– Do widzenia. Życzę szczęścia w pracy.

Fredrik Beier poczekał, aż czarny ministerialny samochód odjedzie i dopiero wtedy otworzył teczkę. Na jej zawartość składały się dwie kartki. Jedna z nich nosiła logo pracowni analitycznej. Jej treść była krótka.

„Obiekt 1. Dziecko nieurodzone, płód (6 tygodni). Biologicznym ojcem z prawdopodobieństwem ponad 99,997 procent jest osoba z numerem identyfikacyjnym 251068 28356.

Obiekt 2. William David Wetre Andersen (4 lata). Biologicznym ojcem z prawdopodobieństwem ponad 99,997 procent jest osoba z numerem identyfikacyjnym 251068 28356”.

Drugi dokument był aktem urodzenia wystawionym dla osoby o nazwisku Børre Andreas Drange. Numer identyfikacyjny 251068 28356.

# EPILOG

*Wyspa Serifos, Grecja, listopad 1943 roku*

Zdrada.

Słońce zniknęło za grzbietem wzgórza, pozostała tylko niecała godzina do chwili, gdy zapadną ciemności. Z wejścia do jaskini widział łódź rybacką, która powoli sunęła po turkusowej wodzie ku skupisku kredowobiałych domków w głębi zatoki. Nad Chorą świecił już księżyc. To średniowieczne miasteczko tuliło się do skalnej ściany nad zatoką Livadi, próbując się uchronić przed piratami, rabusiami i napadającymi armiami.

Wobec niemieckiej maszyny wojennej nie miało szans. Umiejscowienie nie chroniło mieszkańców także przed epidemiami, które w ostatnich latach szalały na tej greckiej wyspie prawie bez przerwy.

Kto go wtedy oszukał? Czy jego przełożeni wiedzieli?

Ze skalistego zbocza, gdzie stał, mniej więcej półtora kilometra od białych domków, nie dało się zobaczyć nic poza brunatnozielonymi przebłyskami między zabudową, gdy żołnierze biegli ulicami. Agresywne szczekanie owczarków odbijało się echem od wzgórza po przeciwnej stronie zatoki.

To, co ustalili, było jasne jak słońce. Kiedy wieczorem po akcji zapadł zmrok, po raz ostatni odwiedził miejscowy kontakt. Przekazano mu broń, pieniądze, prowiant i wyposażenie. A kiedy o świcie wrócił do jaskini, zrozumiał, że coś było nie tak, jak być powinno. Stanowisko wartownika, sto metrów wyżej na piarżysku, było opuszczone. Czyżby Niemcy ich znaleźli? Z jaskini zniknął sprzęt Amerykanów. Został tylko jego plecak, śpiwór i kilka puszek pulpetów w sosie. Jego ulubionych. I kartka przyczepiona do plecaka: „*Sorry*”.

„*Sorry*”? Cholera!

Kilka migawek. Tylko tyle zostało mu po Elsie. Leżała wtedy tak, że żołnierze przy wejściu do jaskini ją widzieli, jednak na tyle w głębi, by cienie zamazały szczegóły. Kiedy do niej podszedł, usłyszał, że oddycha szybko, pociągając nosem. Usta miała zakneblowane. Żołnierze z oddziału naciągnęli jej na ubranie szarozielony obszerny pulower. Był za duży, ukrywał zarysy ciała. Leżała na boku z rękami związanymi na plecach, a osobna lina łączyła barki z kostkami. Wyglądało to bardzo nieprzyjemnie.

Spotkali się wówczas wzrokiem i go rozpoznała. Nie robiła wrażenia złej ani przestraszonej – tylko zdziwionej. I była piękna. Nawet w tym położeniu. Szczupła jasna twarz, wąski nos, pełne wargi i ciemne włosy. Przyklęknął obok niej i pogłaskał ją palcem po policzku. Zadrżała.

To był ten ostatni moment. Ani jednego słowa.

Tak więc zabrali ją ze sobą.

Nie będzie sądu wojennego w Londynie. Elsa Schrader uniknie odpowiedzialności. Teraz to pojął.

Po prostu zmieni pracodawcę.

John Monkland Acton podniósł płócienny plecak, zwinął śpiwór i czekał na ciemności.